Witeź

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie — rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2; z przesyłką pocztową — rocznie rb. 10, półrocznie rb. 5, kwartalnie rb. 2 kop. 50; zagranicą — rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3.

Witeź

czasopismo społeczno-polityczne i artystyczno-literackie, wychodzące 1 i 15 każdego miesiąca

Rok 1908



ROCZNIK I = PÓŁROCZE I
ZESZYTY 1—12

★

Warszawa
Redakcya i Administracya przy ul. Książęcej Nr. 6
(telefon 9-03)



Drukowano w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki. Składał i łamał: Zenon Śmieszek. Odbijał na maszynie: Leonard Batylda. Klisze wykonano w zakładzie fotochemigraficznym B. Wierzbickiego i Sp. Broszurowano w introligatorni W. Tymińskiego. Papier ze składów Ignacego Wienera.

N 645 —

Prace zamieszczone w półroczu pierwszem (w zeszytach 1—12) roku 1908.

Od Redakcyi:

Artykuły społeczno-polityczne, historyczne i ekonomiczne:

Literatura i Sztuka:

Poezya:

Rysunki, winiety, przerywki, ozdoby:

Stanisław Wyspiański: Rysunek naklejony na karcie tytułowej zeszytu 1-go oraz powtarzany na okładkach zeszytów.

G. Fleury, Zygmunt Kamiński, Apoloniusz Kędzierski, Wacław Koźniewski, Władysław Krassowski, Henryk Minkiewicz, Ignacy Rożniecki, Edward Słoński, Leokadya Śliwińska, Stanisław Śliwiński, Tadeusz Ulanowski, Andrzej Zarzycki: Rysunki nad i pod wszystkimi artykułami w każdym zeszycie.



Redaktor i wydawca: **H. St. Pytliński**

WITEŹ

ROCZNIK I.
ZESZYT 1.

WARSZAWA
1 LUTEGO 1908.



Rys. St. Wyspiański

. . . .

PIELGRZYMIE POLSKI, BYŁEŚ BOGATY, A OTO CIERPISZ UBÓSTWO I NĘDZĘ, ABYŚ POZNAŁ, CO JEST UBÓSTWO I NĘDZA, A GDY WRÓCISZ DO KRAJU, ABYŚ RZEKŁ:

— UBODZY I NĘDZARZE WSPÓŁDZIEDZICAMI MOIMI SĄ.

PIELGRZYMIE, STANOWIŁEŚ PRAWA I MIAŁEŚ PRAWO DO KORONY, A OTO NA CUDZEJ ZIEMI WYJĘTY JESTEŚ Z POD OPIEKI PRAWA, ABYŚ POZNAŁ BEZPRAWIE, A GDY WRÓCISZ DO KRAJU, ABYŚ WYRZEKŁ:

— CUDZOZIEMCY RAZEM ZE MNĄ WSPÓŁPRAWODAWCAMI SĄ.

PIELGRZYMIE, BYŁEŚ UCZONY, A OTO NAUKI, KTÓREŚ CENIŁ, STAŁY CI SIĘ NIEUŻYTECZNE, A TE, KTÓREŚ LEKCEWAŻYŁ, CENISZ TERAZ, ABYŚ POZNAŁ, CO JEST NAUKA ŚWIATA TEGO, A GDY WRÓCISZ DO KRAJU, ABYŚ RZEKŁ:

— PROSTACZKOWIE WSPÓŁUCZNIAMI MOIMI SĄ.

. . . .

ADAM MICKIEWICZ

(z Ksiąg Pielgrzymstwa)

Tablicę tę, wyjętą z wieszczej świątyni, pragniemy wmurować w duszę Narodu, by ją wniósł do ziemi obiecanej i ołtarz swojego życia na niej postawił.

REDAKCYA



GUSTAW DANIŁOWSKI

Memento

Pęd do pracy kulturalnej czynnych członków naszego społeczeństwa charakteryzuje nastrój obecny.

Że jest to praca niezbędna, owocna i musi się odbywać energicznie, gdyż dzięki hamulcom zewnętrznym i wewnętrznej depresyi, w której leżeliśmy przez dziesiątki lat bezczynnie, zaniedbaliśmy się strasznie—o tem dwu zdań być nie może.

Ubóstwo nasze pod tym względem ujawniło się całkowicie w tej krótkiej błyskawicy, w której przyjrzeliśmy się sobie od stóp do głowy. Mamy 75% analfabetów w literalnem słowa znaczeniu, a procent prawdziwie światłych obywateli kraju jest rozpaczliwie niski. Prasa przygasła w dusznej atmosferze cenzury i, choć ta zelżała, swąd jej trwa w dalszym ciągu. Pomimo, że wszystkie stronnictwa, a właściwie ich zawiązki, ozdabiają się, prócz realistów, przymiotnikiem „demokratyczne", pod względem szerokości rzutu i rozmachu tej ideologii ustępujemy naszym przodkom z przed lat sześćdziesięciu.

Nietylko jednak opłakany stan kultury naszej popycha ludzi do pracy w tym kierunku, niepoślednią rolę gra w tym zwrocie ogólne zniechęcenie do działalności politycznej, która nie ziściła tak szybko, jak marzono, pragnień i nadziei. W dodatku jest to obecnie jedynie tolerowana droga działalności społecznej, po której stąpając ostrożnie, odbarwiając się gorliwie ze wszelkich kolorów, można jeszcze utrzymać się w kolei legalnej.

Stwarzanie swoistej kultury jest właściwie naturalną funkcyą każdego normalnie rozwijającego się narodu, która się odbywa niejako sama przez się, jak bicie serca, oddychanie lub mechaniczne poruszanie się wahadła nakręconego zegara.

W naszych warunkach jednak trzeba to wahadło co chwila potrącać, posuwać skazówki i tak sobie sztucznie radzić — dopóki klucz naczelnej sprężyny mechanizmu nie zostanie odzyskany. Bez tego klucza zegar idzie dzięki osobistym wysiłkom ludzi dobrej woli, spóźnia się, działa niezdarnie, ale koniec końcem idzie ku radości zegarmistrzów, zwłaszcza wychowańców szkoły „pracy organicznej", która dopiero teraz jako legalnie możliwa szerzyć się zaczyna. Przeciw tej radości jak wogóle przeciwko wszelkim uczuciom podniecającym energię nic nie mamy, chcielibyśmy je nawet podsycać w tej dobie małodusznych lamentów, że się różowych nadziei obłok rozwiał, że nie spadła manna niebieska, że się nie udało nabyć niżej kosztu rzeczy, które drogo kosztują, i za co niegdyś umieliśmy płacić z królewską hojnością i po nieudanem kupnie nie rozpaczać.

Pragniemy natomiast zwrócić uwagę, że powrotna fala „pracy organicznej" nadciąga i to z całym bagażem swej ideologii. Coraz częściej spotykamy się z wiarą, że rozwój kulturalny, krzewienie oświaty, podnoszenie dobrobytu jest uniwersalnem i jedynie skutecznem lekarstwem na wszelkie dolegliwości nasze, że samodzielność wewnętrzna za wszystko wystarcza i że jest ona w dodatku możliwa bez owładnięcia naczelnemi sprężynami życia, że zegar pójdzie dobrze i bez klucza.

„Nikt chyba nie wątpi, że społeczeństwo może bronić swych praw do bytu *tylko* powoływaniem się na swą kulturę" — rozlega się tak kategorycznie sformułowane zdanie przez usta miarodajne, w zgromadzeniu poważnem, potwierdzone ogólnem milczeniem.

W słowach tych odzywa się uparty głos z przed trzydziestu laty, powracają wskazania wąskich aspiracyj i abstynencyi politycznej, utwierdza się zasada bierności, stanowisko jedynie obronne, taktyka napadniętego żółwia, który cofa się w swoją skorupę, przeciwstawiając jej wytrzymałość zewnętrznym ciosom.

Zapewne, im ta skorupa jest grubsza, tem silniej trzeba uderzać, by ją roztrzaskać doszczętnie, ale że się łupie zwłaszcza od wierzchu, to nie ulega wątpliwości. Spójrzmy we własne dusze, czy nie są one

kalekie nieraz do rdzenia, czy nie brak nam gruzów i ruin, fatalnych stygmatów wewnętrznego dopasowania się do spętanego życia.

Legitymowanie się kulturą do praw swego bytu przypuszcza istnienie jakiegoś trybunału, który stosownie do złożonego egzaminu praw tych udziela.

Takiego trybunału nie znamy.

Wiemy za to, że hordy barbarzyńców zburzyły Rzym, a znów Prusacy, powołując się na wyższość swej kultury, dążą do wytępienia „mniej wartościowej nacyi" — Polaków.

Wilk nie pyta, co zjada: czy zwykłego barana, czy merynosa. Pożera wbrew argumentom, bo ma mocniejsze zęby, a tłustość ofiary często podnieca jego apetyt i potęguje sprawność żuchwy. Prusacy nie niszczyli materyalnej kultury zaborów, przeciwnie—dbali o nią, jako o przyszłą siedzibę dla siebie.

Fakt egzystencyi jest dostateczną podstawą żądania praw bytu — i płomienna, nieugięta, powszechna wola istniejących sama sobie te prawa zdobywa, jeśli nie mają zginąć.

Kultura wytwarza nader sprzyjające warunki do szerzenia się tej woli i dla zagrożonych w istnieniu musi być rozumiana jako niezwykle cenny środek, zapas, lecz nie cel sam w sobie.

W te sprzyjające warunki, by osiągnąć pożądany rezultat, należy wprowadzić czynnik świadomości, o co przedewszystkiem chodzi, do czego ta materyalna, moralna i umysłowa kultura zmierza. Po co się nagromadza ten kapitał, czy—by go tylko mieć, cieszyć się z posiadania, leżeć wygodniej pod tym pancerzem, by tyć — czy na tej tarczy oprzeć się, by wstać?

Wyobraźmy sobie statek wyrzucony z morza przez burzę i zamknięty w doku. Roztrzaskane maszty, zdarte żagle, zwichnięty ster, złamana busola — podziurawiony kadłub na mieliźnie do reszty się rozsycha, żre go rdza, toczą pasorzyty, obrasta pleśnią...

Tuli się po kątach wystraszona załoga ocalonych rozbitków.

— Naprawić statek! — pada wreszcie hasło.

— Zgoda!

I oto statek dzięki pracy przygotowawczej odzyskuje zdolną do płynięcia postać — ale nie wyrwie się z doku, jeżeli jednocześnie nikt nie zatroszczy się, by zawczasu pod kotłem wysoki ogień rozpalić, nie rozwiną skrzydeł pozszywane żagle, jeżeli się jednocześnie nie wytwo-

rzy żaden wicher ogromny, i statek nie znajdzie wyjścia, jeżeli nie odszuka właściwej gwiazdy przewodniej, która mu w pracy widocznej na pokładzie i skrytej pod pokładem stale przyświecać musi, w ognisku swem krwawą tęsknotę całej załogi jednoczyć.

Bez tej gwiazdy można tak dalece utonąć w robocie organicznej, że gdy żywiołowo wybuchnie ogień i ryknie wicher, nie będzie wiadomo, którędy się na wolną falę wydostać, i znów zacznie się błądzenie, chybotanie się z boku na bok, szamotanie się w różne strony, niewątpliwie bardziej kulturalne, ale równie zgubne.

— Łazarzu, wynijdź sam! — zawołał głosem wielkim Chrystus, gdy wskrzeszał.

A gdy wyszedł ten, który umarł, mając związane ręce, nogi i twarz chustami, kazał mu się przedewszystkiem chust pozbyć, bo by inaczej zmartwychwstały nie mógł odejść od jaskini swego grobu, co już cuchnął.

Wskrzesiciele kulturą ten werset biblijny powtarzać sobie powinni, jako stałe memento.

I to jedynie pragnęliśmy tym szczerym i żarliwym pracownikom przypomnieć.

MICHAŁ SOKOLNICKI

Szkice polityczne. I.

„...Y nie przestaną myśli swych, aż je skutkiem wypełnią"...

1. *) Wedle jednych, na początku było słowo. Jednakże tyle słów wyrzeczono w różnym czasie, że zaiste trudnem byłoby szukać i znaleść zpośród nich jedno jedyne, a zatem pierwsze. Zaś wszystkie słowa od początku istnieć razem nie mogły. Mniejsza o całą nieprzyjemność zjawiska. Mniejsza, że wbrew wszelkiej oczywistości ojcowie odpowiadaliby za winy swych dzieci. Ale języki najistotniej w świecie byłyby pomieszane w onem słowie. Czyli naprzód nastąpić musiało zmieszanie języków. To zaś się stało dopiero wonczas, kiedy ludzie jednej mowy będący, poszedłszy wstecz, przeciwko drodze słońca, znaleźli miejsce gdzie budowali miasto i wznieśli wieżę. Zaś wieża miała być tem dla człowieka, czem siedem kręgów opasujących świat, a także tem, czem siedem planet ukazujących się słońcu; zaś dosięgać miała obłoków niebieskich, kędy pycha człowieka miała swe mieszkanie. I za to był im pomieszany jeden ich język; rozproszyli się we wszystkie strony słońca. I od najdawniejszych dni rozpadłą jest ich budowa.

*) W szkicu niniejszym i następnych omijamy wszelkie odnośniki do źródeł, które bez wyjątku znajdują się w znanych i powszechnie dostępnych księgach Biblii. Nie używaliśmy cudzysłowu tam, gdzie ośmieliliśmy się własnemi słowami interpretować tekst, posługując się zawsze komentarzami.

Zatem zaś wiadomem jest, że na to właściwie człowiek ma słowo, aiżby myśli swoje miał za czem ukrywać. Albo także, aby zgoła myśli mieć nie potrzebował. O tem, jakoby na początku miała istnieć myśl, jak sądzę, mówić zdrożno w ogólności, grzechem zaś pójścia drogą przeciw słońcu byłoby powiedzieć to dzisiaj, w Polsce. Jedynie więc mogło najpierwiej być słowo, ukrywające myśl, a więc fałszerstwo myśli. Był-li więc na początku fałsz? Któryż człowiek to przyzna, który nie jest ku temu za dumny? Człowiek zawsze, nawet szydzący, wielbi wysokie swoje człowieczeństwo. Człowiek, który jest nędzą w pragnieniu, żalu i nadziei swojej, nędzy tej nie przypisze przenigdy swojego początku. Człowiek jest za dumny. Skopany i opluty jeszcze śni swoją wysoką szlachetność. Zbity i przydeptany, jeszcze w błękity gotów jest ponieść swoje człowieczeństwo. Zali więc to fałsz pierwszy przemienił się w prawdę jego marzenia? Czyli też fałszem każda godzina po drodze promieni, co się pod stopy ścielą, fałszem wszystkie godziny zrodzone po kolei — wstecz, aż ku pierwszej, w sercu fałszywego człowieczeństwa?

Czy może słowem onem, a więc i początkiem była jeno próżność ludzka? Nad każdem z tych pism, na wszystkiem słowie oddanem nam przez starożytność leży już dzisiaj cały ciężar wielolicznego wątpienia. Składane są jedne do drugich przez wieki; tworzone żmudną robotą zbierania; wymuszone zamknięciem, męką i krzywdą. Każde słowo starego pisma piecze jeszcze dzisiaj, jak ślad krwi. Każde słowo, jak ciemna, przedziwna zagadka na głębinie wieków złożona. Nagle cud się staje na toni mroku. Spływa iskra zwysoka, niewiadoma, niewidziana przestrzeń jednej chwili wyraźną, jak dłoń święta. Cóż się stało? Niepojęte—li w słowo zawarto?

Odtąd człowiek czyni swoją zabawę przez wieków dwadzieście. Kwitnie jeden kwiat za drugim. Opadają pełne, dojrzałe owoce. Wokoło rodzi się jutra cudowna zagadka. Gdy popatrzymy wokoło, na świeżo zorane skiby, widzimy to straszne, ciemiężycielskie panowanie jutrzejszych jutrzenek i dziwów zrodzonych z zapóźnionych mar. Śladami cichych promieni nocy żyją przechodzące samotne piosenki. Z południowego skwaru dobywają się dzikie urągowiska sobie, duchowi nikczemnemu, i jasnym dniom. Żmija wypełza ze złotego kielicha przeświętej ofiary. Orzeł się wzbija w kraje błękitne...

Och, jakże dosyć jest poezyi na polskiej ziemi!

2. Staje przed oczyma mojemi Grecya w złotych blaskach i złotych cieniach, mieszkająca w domu tak prostym, że jednem życiem zda się tętni rozliczność jego, tak świetlanym, że blask słoneczny nań padający podobien jest jego prostocie. „Jako pośniedziało złoto, zmieniła się barwa najlepsza, rozmiotano kamienie świątynne po rogach wszech ulic.“ Odgłosy runiętych gmachów i odbłysk czerwieni złoto-słonecznej padł jeszcze na spalone piaski aleksandryjskie. Od nagich skał w paszczęce lazurowego morza wstało widmo, szła grzebieniem fal cisza myśli, bladość marzenia. Zaś w ciszy i w marzeniu nie jest-li słowo, jak rozum powszechny? Nie było-li u Boga i na jego piersi położone, jak fala na sercu morza? Nie byłoż ono Bogiem, jak fala morzem jest? Nie byłoż bez czasu, jako fala morza jest przeciwko doczesnym niepokojom człowieka?

Rozdzielone były na początku rzeczy wszystkie i stawały się jak piorun w błyskawicy nieba. Zali jak piorun pierwszy i druzgocący przyszedł rozum na ludzi? O, nie, on szedł ścieżką wydeptaną przez cierpliwy trud nad przepaścią i urwiskiem. Płynął szlakiem połyskliwym, kołyszącym, zostawiony przez nędzę wieków i śmierć. Szybował, jak ptak w górze, śladami tych złudzeń i złamanych patrzeń w niebo, którędy szły pokolenia od początku. Na drogach wielolicznych stawała się światłość. I ujrzał Bóg, i zaznał człowiek, że światłość była dobra, bo na ciemnej drodze, nad urwiskiem skały, chroniąca i użyteczna. Sycił człowiek widzeniem swojem oko do żmudnego szczegółu roboty przywarte. Widział, ogarniał blaskiem wzroku wszystko dziejące się pod słońcem. I niewiele pamiętał dni z pośrodku żywota swojego.

Bo było światło, które istniało, ale niewidziane. Był czas wyżyn i świętość cudu, ale niepoznane, „Na świecie był... ale go świat nie poznał. Do swej własności przyszedł, ale go właśni jego nie przyjęli“.

Był kwiat, kwitnący jednej nocy ciemnej. Któż przyszedł w mrok i w zatrwożenia takiej nocy, któż kwiat ten widział? Było dobro, lecz któż je poznał? Przyszło światło i stał się rozum powszechny, lecz któż nim i kiedy odbłysnął?

Rozum powszechny? analizujmy pojęcia nasze i nie zostawmy ich na skrzydłach wiatrów, co przechodzą falami nieskończoności. Czem jest rozum powszechny? Jest li to spotkanie się ludzi najpierwsze i pierwsze upragnienie krwi; jest li to spotkanie się ich późne i gryzienie dusz wzajemne? Jest to może wskazanie gromady dla jednego człowieka;

może przykazanie dzisiajsze stugębne, jutro puste jak wiątr? Ach, głupstwo stare nakształt tego świata starości i stare jego walki okrucieństwo! Jest li powszechnością zmówienie się jednych przeciwko drugim? Albo rozdarcie wewnętrzne kraju i naszej doli i samozagryzienie siebie w bólu? Jest li to może dzień, który przeszedł, i krew wylana napróżno, albo też dzień, co nadejdzie w rozdzieleniu dusz, w rozpaczy narzekań, w trwodze klęski, tych królów, którzy berło duchów dzierżą dziś?

Ach, łatwo, łatwo, stawiać na początku, czcić na wyży niedostępnej, czego człowiek nie pojmuje, co w narodzie rozdarto na szczątki, czego niema, jak jeno spojrzeć daleko wkoło, po pustce zakrwawionych pól.

3. Szybowałoż to słowo w przestrzeni wolnej, bez winy i bez kary? Byłoż, jak słowa mnogie odtąd powiedziane, zawieszone nad przepaścią, kędy nie znaleść myśli, jeno głuchość była i niepamięć? O, nie zatrważał się człowiek słowem. W pustce zawieszone, zdawało mu się dzwonem bijącym na ziemi. W pustkę rzucone, były taranem, przebijającym wskroś twierdze, a z gruzu i miału wznoszącym podniebne świątynie. Słowa były krwią pokoleń. Słowa były trwogą nadziei. Słowa pamięcią wszystkiego tego, co zachowano i co pod gruzem z gruzem nie zmarło.

Słowa o przeszłości, jak prędko tracą się wasze dźwięki, jak łatwo, jak śmiesznie, że serce jest pęknione, i że dzwon jest pusty. Słowa długo później są powtarzane jeszcze bez myśli żadnej, łatwem jest ich poczęcie.

W temże to słowie mędrzec starożytny szukał początku wszechświatów, ruchu światła nad stygnącemi wodami, martwego głazu ziemi, bez końca rodzącego życie, i wszystkiego ptactwa na powietrzu i wszystkiego robaka ziemi, każdej duszy żyjącej. Słowo było pokarmem pierwszym i stworzeniem potrzeby pokarmu zarazem, i samąż istotą potrzebę czującą. Uniosło się nad oceanem prawód, gdzie ciemność się zwierała nad głębiną. Panowało nad ziemią pustą i próżną. Było i w ziemi i na wodach, i w próżni chaosu, połyskliwe jak światło, jeszcze w ciemności przedwiecznie żyjące.

Lecz nie słowo przełamało oceany, rozdzieliło żywiołów siłę, rozdarło nierozdzielne. A krzyk będący na początku słowa świadczy jeno o wiekach zmagania i walki.

Pochowajmy grecką bajeczkę, gdy tylu innych nie znamy, lub też kładziemy je w trumny, pod korce nowych pojęć. Wiele zyskamy na tym pogrzebie. Zbędziemy wiary w słowo. Opowiemy nędzę słowa. Będziem się śmieli z ludzi słowa. Nie poddamy się nigdy, nie wzruszymy serca naszego ani przez jedną chwilę bojaźnią czy świętością, chwałą czy pięknem słowa. Myśl, która do nas się włamie śród nocy, o godzinie samotnie świętej, przegryzie się sama w sobie i zostanie na dnie duszy niepowiedzianą. Chwała nasza nie zabłyśnie. Świecidła nas nie otoczą. Będziemy czekać cierpliwie dnia, w którym słowo nasze nie będzie naszym początkiem. A wiedzieć będziemy, że słowo było na początku jedynie w greckiej bajeczce, w łagodnem uśpieniu skwarów Małej Azyi, męczonej widzeniem ostatecznego zniszczenia swojej duszy, przeszłości swojej w grodach z marmuru, w szyszakach z błyszczącej łuski morza.

4. Była wedle innych na początku wszystkiego miłość. Z niej, jak gałęzi wysoki las z jednego pnia się począł. Z niej poszły w górę, ku błękitowi a chmurce sinej smutki nasze, żale za nigdy niewidzianem, tęsknoty za niemożebnem. Z niej, jak z pnia, lepkie ssawki w głąb pulchnej, ciepłej ziemi — maci. Z niej nienawiść i trwoga, wzgarda i zapamiętałość, jakby wielkie zwoje zgrzybiałej kory, chroniące ciepło wewnętrzne, czystość niepokalaną, kochanie pierwsze. Bowiem wrzkomo najprzódziej była miłość. A od niej dopiero rozmnożyły się nędze nasze.

Bo miłość była w człowieku i człowiek był miłością. Ale miłość ciążyła grzechem. Pod człowiekiem, w tajnem ukryciu, w ciszy i wątpieniu pracował grzech; pod człowiekiem była pożądliwość grzechu, i człowiek nad nią zapanował tem jedynie, że z grzechem się zrosła i stała się jednem miłość jego.

Naonczas zaś człowiek wymarzył swój stan najpierwszy. Był tam chłód pożądania bez troski i bez trwogi. I światło zimne, co ani parzy, ani przepala na proch. Złoty czas bez kacerskich klęczeń przed złotym cielcem. I cicho dźwięczący w powszechnej łagodności żywiołów smutek cudownej rozkoszy nad kryształowemi wodami. Tak było, myślał człowiek, kiedy w życiu ludzi się stała w on czas, na początku wszystkiego, jedna jedyna miłość.

I pocieszył się bajeczką nową, i żył dalej, dławiony ciężarem, który w sobie swą myślą wyrobił. I dławił człowiek jeden drugiego tymi sposobami, jakie mu myśl jego podała pod rękę i pod czyn. Stał się okrutny w tresurze. Marząc o prostocie, był giętki, śliski, wielooczny i mnogocewkowy. Szukał różności dróg miłowania swojego; i odnajdywał jeno wzgardę, na głębi ducha leżącą, i trwożną nienawiść, która mówi jedyna, gdy człowiek się zbliża do człowieka.

Pracował w samotności swojej. Przyjął mękę najsroższą w osobności serca swojego. Zamknął się w jednej dolinie bez wyjścia i znalazł w niej swoją jedyną pieczarę. I tam wydał krzyk duszy swojej. Tam zaczął kochać i wielbić człowieka. Znalazł swoje przemienienie. Udeptał w sobie węża. Myśli jego poczęły kwitnąć; serce pieczarnym ostatkom życia się radować; i płakał, jak dziecko. W tęsknocie za wszystkiemi straconemi resztkami kochania, w nędzy pustki kamiennej, w przeraźliwej ciszy łoskotu spadających w doliny skał, uczył się kochać ludzkość. Zaiste, musiał nie mieć wprzódzi nikogo, aby módz pokochać jednego człowieka, i teraz pogrześć musiał w sobie wszystko wspomnienie każdego zpośród ludzi, aby pokochać ludzkość.

Ziemia to bezpłodna, kraina bezdrożna i pusta. Człowiek po niej schodzi wdół i wpoprzek sam, bez odetchnienia. Bierze kamień nieokrągły, z dołów nieprzystępnych go wydźwiga i pełza po skale z kamieniem pod wysoki szczyt. Poczem z cichem osłupieniem patrzy i słucha, gdy kamień skacze pośród kwiecia dolin, gdy kamień trzaska o głaz przepaścisty. I schodzi znowu aż na głąb najsurowszą i najnikczemniej samotną, by odnowa zaczynać swoje prace.

Tak „póki dzień nie nadejdzie i nie nachylą się cienie". Cóże mu zostanie, gdy zblednie złota i krasna obręcz zachodu i przyjdzie mroczna cisza rozpamiętywań? Cóż stanie się wonczas z jego ukochaniem?

I cóż było w jego nocy nad pustemi głębiami, w nocy najpierwszej? Gdy miłość jeszcze nie wstąpiła mu w duszę, miłość przychodząca, jak rzadkie ziele, co zakwita pod progiem domu, ze smutku, z trwóg i nienawiści poczęte.

5. Myślę, że na początku nie było nic, jeno siła.

Ona była rzeczą pierwszą i nienazwaną. Była światłem, które istniało już w ciemności. Uniosła się w czasie bez przemijania i w prze-

strzeni bez miejsca, jak duch wieczyście czuwający nad niezgłębionemi wodami.

Ona była tem, czego nie było jeszcze. Była pierwszą chwilą i pierwszym krzykiem, który rozdarł przestrzeń nieistniejącą na części wszechistnienia.

Ona była istotą niszczącą nieistnienie. Była złamaniem się, i pierwszą nienawiścią, co wprzódy pełgała nad ciemnicą i nie była, jeno tęsknotą i nie miała, jeno wyobrażenie wszystkiego, a stała się wszechświatem przez pierwszą walkę i pierwszą, tworzącą, nienawiść niszczenia.

Ona od niebosiężnej krawędzi gór szła lodowcem ku zielonej dolinie. I ona była pierwszym wdziękiem zieleni i kwiatu, i ostatnim błyskiem i rozkoszą opadających owoców. Z lodowcem kamyki niosła na duże pola, w głębie dolin, i układała je i miażdżyła w słój ziemi ziarnisty. Na nim rozpostarła wodę jak kryształ lodowy czystą. Wody podniosła i uczyniła wód upadek w głąb ziemi, co wyjrzała płodna, uśmiechnięta słońcu. Każdy kwiat wznosiła i ku ziemi gniotła, aby był nowem, świętem życia naczyniem. Gdy pojawił się człowiek, a życie w dziesięciowieczach spływało mu na urabianiu pierwszej broni swojej przeciw bratu swojemu z kości ojca i matki swojej, człowieka ta siła parła ku ciężkim czynom, a potem gniotła na miazgę, a jego kosteczki z resztkami słupów, budowanych pracowicie przez setki pokoleń, czynią nowy słój ziemi, najżyźniejszy.

Ona jest w ogniu na głębinie, w kuźni czarodziejskiego okręgu ziemi, gdzie się tworzą i znikają wszystkie tkanki życia. I ona jest tylko, bezgranicznie zimna i srebrnie bezmyślna w otchłaniach gwiazd, w wieczystych obrotach świata, które nie są, jeno stawaniem się i wysychaniem milionów ogni, które nie są, jeno pełganiem początku nad niezmierzoną ciemnicą oceanu wszechświata.

A siłą tą była wola, mówiąca ze spokojem wieczystym rzecz niewymówioną. A wolą był ruch. A ruch był jeno siłą istniejącą. Więc w sile był koniec i początek. I bez niej nic się nie stało z tego, co jest. I przez nią jest światłość i noc, i utwierdzenie między ziemią a wodami, i wieczór i zaranek, i nasienie wszelakiego życia. „I były rzeczy wszystkie bardzo dobre". Napełniły świat walką i nikczemnością życia; trudem i niezgłębioną nędzą. I były, i będą po wieki wieków.

I ruchowi temu niema początku, ani zatrzymania, ni końca, bo jest wieczny i nieśmiertelny, i w sobie sam zawarty.

6. I cóż pomoże Człowiek? Zali więcej, jako jeno cząstką tej mocy, którą jest, pozostać na wieczność i uprawiać ciałem pokoleń nowe pokłady matki swej, ziemi ukochanej?

I cóż może człowiek, jeśli nie siłą swoją? Ona mu była dana przed kolebką, ażeby nędzy życia zdołał zakosztować. Przez nią żyje. Czem jest, nie wie. Co czyni, nie wie. Działa i kuje młot na swoich braci, i czyni wszystko przebojem. I potrzebuje silnej ręki i serca tęgiego i najzimniejszej ze wszystkich wytrwałości.

Siła istniała przed wszelką człowieczą umową, siła przed wszelkiem najpierwszem postanowieniem, siła była, jest i będzie na przestrzeni świata przed wszelkim swoim hamulcem, przed każdem powiedzianem, wierzonem czy łganem prawem.

„Rzekłem w sercu synom ludzkim, aby ich Bóg doświadczył i ukazał, że są bestyom podobni".

Aby żyć, trzeba być silnym. Zdaje mi się czasem w dni szare i mętne, gdy myśl naokoło przygasa w obłędzie wspólnej niewiadomości, że aby zachować życie niewolnika, na to nawet trzeba mieć dość siły. W dolinie ciemnej, pod najwyższą górą, pod wieńcem śniegów, kędy słońce niespodziane i nagłe wschodziło dziwacznie palące o południowej porze, i gdzie cisza była wiekuista i życie umierało u człowieczych stóp, myślałem, że nie gór obręcz zamknięta, nie tysiące śniegowych lat nad przepaściami dzisiaj, jutro i jeszcze za lat tysiąc wiszące: lecz mocne życie człowieka doliny broni przejść, którędy były drogi Hannibala i Drugiego Cezara. Górskiemi ścieżki, jak dwa tysiące lat temu, tak dzisiaj znowu płyną narody. Człowiek zazdrości drugiemu człowiekowi miejsca na stopę jego. Lecz twarda praca i zimna siła nieprzebyte dołem wytknęła granice. Gdzie płodny skłon pola, kędy zieleń świeża i ciemniejsza, gdzie kwitnie wielkolistny krzew winogradu, puste, równe, prawie, jak moje rodzime pole, jak okiem dojrzeć, się otwiera. Lecz moc człowieka zawarowała szczęście polu swojemu.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

Z powodu „Trybuny Ludów“

Cały dorobek ideowy, pozostawiony przez emigracyę polską z r. 1831, pogrzebały późniejsze wypadki. Po roku 1863 struny uczuciowe pękły, grunt ideowy zachwiał się, zakołysał i runął w przepaść. Inteligiencya polska, straciwszy wraz z nadzieją i wiarę w podstawy tej nadziei, zaczęła na nowych fundamentach budować gmach życia. Znalazła je w pracy organicznej, w trzeźwości i rozwadze, w zimnej pogardzie dla wzlotów podobłocznych, dla ideałów i marzeń, co wiodły niedawno całe szeregi „straceńców“ na ofiarne pola czynów i poświęceń. O tych czynach i poświęceniach mówiono z żalem i złorzeczeniem, za trudy i znoje, za ból i mękę dni mrocznych obwiniano przeszłość, całe lata gromadzono przeciw niej dowody, argumenty; potępiali ją dziennikarze, artyści, poeci, uczeni; potępiali tak długo, aż zginęła i przepadła. Z okresu, przypadającego na czas pomiędzy 1831 a 1849 r., ocalała tylko poezya, ocalała jako utrwalenie wieszcze ideałów, cierpień i działań ówczesnych, jako droga pamiątka po snach niewyśnionych, po złudzeniach, rozwianych przez wichry rzeczywistości. Jeśli wspominano tę przeszłość, to wspominano jako piękną legiendę poetycką, zawieszoną hen, nad błękitami. I do dziś dnia podziwiamy poezyę romantyczną, pławimy się w blasku jej sławy, ale nie znamy bohaterów, działaczów, przewodników, których czyny, uczucia i wrażenia ta poezya uwieczniła w słowie; nie znamy gruntu, na którym rozkwitły przepię-

kne kwiaty wieszczego natchnienia. I nieznane są wysiłki zbiorowe rozrzuconych na ogromnej przestrzeni Europy tułaczów, nieznane prace ich umysłu i ducha.

Co wiemy dzisiaj o gienialnym umyśle Mochnackiego, czy nie jest dla nas tajemnicą przejasna postać Stanisława Worcla, co nam mówi wielki samotnik Lelewel, co wiemy o nieustraszonym żołnierzu i znakomitym publicyście, Wiktorze Heltmanie, jakie wspomnienia wiążą się z nazwiskami Wołłowicza, Michała Chodźki, Stolcmana, Krępowickiego, czy znamy ich czyny, dzieła, choćby ich nazwiska? Czy umielibyśmy scharakteryzować Goszczyńskiego jako obywatela, co wiemy o działalności emigracyjnej Słowackiego, czy rozumiemy dobrze Mickiewicza jako nauczyciela, działacza, wodza?...

Epoka pozytywizmu ponury cień rzuciła na dziesiątki promiennych postaci, w otchłani lekceważenia pogrzebała ich prace i wysiłki ducha. Czas rozwiać mgły uprzedzeń i w świetle prawdy odtworzyć tę przeszłość, czas nawiązać potargane nici ideowe, wykazać ich ciągłość i związek z ideałami dni dzisiejszych.

Więc cofać się, wracać do mogił i z pianą bezsilności na ustach błąkać się po zarosłych chwastami zapomnienia cmentarzach, o płyty grobowców krwawić sobie pięści? Przenigdy! Społeczeństwo żywe zna tylko jedną drogę, a ta zawsze prowadzi naprzód, ale społeczeństwo żywe nie pozbywa się i z przeszłości tego, co pozostało w niej piękne, świeże, młode, czem można było żyć długie lata, a co, potępione, wzgardzone, skazane na zagładę, minęło bez wpływu i śladów. Dziś każdy głos tej przeszłości, choćby to był głos najpotężniejszy, mija bez wrażenia.

Mniej więcej rok temu ukazały się w języku francuskim nieznane przedtem artykuły polityczne Mickiewicza, a wkrótce potem przetłómaczono je na język polski.

Mickiewicz przemówił.

Głos Wieszcza zagrzmiał burzą i gromem, ale gromy przebrzmiały bez echa, zbudziły nieporównanie mniej zainteresowania, niż brzęczenie współczesnego komara, niż tomik bladych wypracowań publicysty z dni naszych. Kilka, zaledwie kilka artykułów, kilkanaście wzmianek bibliograficznych — to wszystko, na co się całe piśmiennictwo polskie z powodu nieznanych prac poety zdobyło! Pierwsza najnowsza premiera w teatrze, sensacye w kinematografach większe sprawiają wraże-

nie, dłużej żyją w pamięci, niż zjawisko, które gdzieindziej poruszyłoby całą inteligientną opinię kraju.

Przeszłość mści się.

Nie przebrzmiały jeszcze i pokutują do dziś bałamutne poglądy, wygłoszone w epoce pozytywizmu. Nie tak to dawno, jak Biegeleisen zarzucał Mickiewiczowi szowinizm narodowy, mówił o krzywdzie, jaką poeta wyrządził i literaturze i społeczeństwu. A głosowi Biegeleisena wtórowały dziesiątki innych. Później Piotr Chmielowski, nie doceniając działalności ideowej i czynów Mickiewicza, zbagatelizował je w oczach ogółu, a później jeszcze prof. Kallenbach nawet dobrą wolę poety poddał w wątpliwość, a prof. hr. Tarnowski przeszedł wszystkich swoich poprzedników i następców i napisał wprost, że Mickiewicz za swoją „konstytucyę" mógłby zasłużyć na wdzięczność Bismarka i Murawiewa. I padały te oszczerstwa w dzień jasny i najczęściej przelatywały mimo uszu bez protestu. Głosy uwielbienia profesorów francuskich, Micheleta, Quineta, Dumesnila, zastąpiły, niestety, głosy profesorów polskich. I zdziałały swoje. Do dziś dnia na łamach pism wszelkich kierunków i odcieni ukazują się artykuły, niemal w ten sam światły sposób oceniające całą działalność społeczno-polityczną Mickiewicza.

Poeta jako działacz nie miał poczucia rzeczywistości! — biadają najostrożniejsi z jego komentatorów. Bo czyż człowiek, nie bujający myślą w obłokach, mógłby namawiać Piusa IX, aby stanął na czele nowożytnej krucyaty? Tak, Mickiewicz nie miał poczucia rzeczywistości! Ale co było rzeczywistością, któż jej poczucie miał wówczas? Może druh poety, bohater włoski, Mazzini, człowiek praktyczny, obdarzony wielkim talentem organizacyjnym, twórca „Młodej Europy", naczelnik rządu rewolucyjnego w r. 1849, ten sam entuzyasta, który kilka miesięcy temu wzywał papieża do pokierowania ruchem wolnościowym, wzywał w przekonaniu, że na gotowe do wybuchu miny padnie lada chwila żagiew płonąca ze stolicy apostolskiej? Czy może to poczucie miał Pius IX, kiedy ogłaszał amnestyę, nadawał liberalny samorząd Rzymowi, lub rzucał hasło sfederowania Włoch? Czy może to „poczucie" miały rozentuzyazmowane miliony Włochów, Niemców, Francuzów, Turków, Żydów, nasłuchujących w naprężeniu, zali Pius nie rzuci słowa, które nową erę rozpocznie w dziejach świata?... Mickiewicz nie miał poczucia rzeczywistości!... On, który wierzył naiwnie w Ludwika Napoleona.... chociaż tę naiwną wiarę podzielał milion rodaków, cały

szereg działaczów ludowych we Francyi, cały szereg pisarzów i poetów w różnych państwach i krajach. Mickiewicz błądził, nie dorósł do zrozumienia ówczesnych teoryj!... On, który lekceważył przebudowę społeczną na zasadzie utopijnych pomysłów Blanca, Considéranta, Cabeta, lecz jednocześnie widział tysiące krzywd dookoła, a widząc je, mówił o „powszechnej sprawie proletaryatu“ i najsilniej propagował solidarność międzynarodową ludów, solidarność, co przetrwała szlachetne pomysły utopistów. Mickiewicz nie miał poczucia rzeczywistości, wogóle nie był politykiem! Bo politykiem nazywamy każdego kawiarnianego pożeracza artykułów wstępnych, każdego dziennikarza, piszącego te artykuły, każdego agitatora i mówcę wiecowego, ale odmawiamy tej nazwy Wieszczowi, chociaż on w politykę kładł umysł gienialny i duszę wielką i serce szlachetne.

Co to jest polityka?

„Polityką, działaniem, — pisał Mickiewicz już w „Pielgrzymie Polskim“, — nazywamy tylko czyny, albo słowa i myśli, które rodzą czyny“...

Mickiewicz sam działał bezpośrednio, a któż może powiedzieć, że jego słowa i myśli nie rodziły czynów, że płomienne artykuły o miastach robotniczych, o orleanizmie, o reakcyonistach i zdrajcach nie należały do tych iskier, co wywoływały pożar niezadowolenia? Któryż publicysta-polityk może powiedzieć, że słowo jego rodzi czyny? Gdzież zresztą szacunek dla Słowa Mickiewiczowskiego? Kiedy poeta mówi: „białe“, komentatorowie jego do dziś dodają: „to znaczy: „niebieskie“. I legienda o niedorzecznościach Mickiewicza, o jego straszliwych błędach i zgubnych wpływach trwa dalej nierozwiana. Głos poety mierzy się skalą głosów pisklęcych, poglądy — punktami programów dzisiejszych, czyny — miarą własnej małości i własnych postępków. Działaczowi z połowy ubiegłego stulecia, jego ideom, myślom, czynom każe się żyć w atmosferze smutku i nikczemnej nędzy dni naszych. Jakże łatwo odnieść później zwycięstwo nad *takim* Mickiewiczem, jakże łatwo w takich warunkach pogrzebać „Trybunę Ludów“ w ciepłej wodzie ogólników i lekceważenia!

„Trybuna Ludów“ jest jedną z najaktualniejszych książek, jakie się w ostatnich czasach ukazały. Są w niej ustępy, są całe artykuły,

które dotykają kwestyj tak żywych, tak obchodzących dziś ogół, jakgdyby w teraźniejszości były pisane. Takie prace, jak „Włochy potrzebują pieniędzy", jak „Przedmowa do procesu w Bourges", jak „Orleanizm", „Solidarność reakcyonistów i zdrajców", „O prześladowaniu prasy", nawet takie drobiazgi, jak „O powołaniu do porządku Piotra Leroux", z małemi zmianami, dotyczącemi nazwisk i terenu, dziś jeszcze mogłyby być drukowane jako artykuły wstępne.

Zmieniło się tło, przebrzmiały wypadki, ale nie przestała być aktualną historya zmagania się ze sobą dwu światów. W dniach walki i czynu powstał w głowie Mickiewicza projekt wydawania pisma. Szumiały ulice Paryża, wrzała Francya w oczekiwaniu wielkich zdarzeń dziejowych, kołysały się niespokojnie ludy Europy, cały świat zdawał się walić w gruzy, a słońce nowego życia podnosiło się coraz wyżej i coraz silniejszym płonęło blaskiem. W chwili, kiedy poeta obejmował redakcyę „Trybuny", opadały już wzburzone fale, dął wicher reakcyi, łamał szeroko rozpostarte żagle swobody, hamował pęd rozhukanych żywiołów. Po radosnych porankach otuchy, po promiennych dniach walki szła noc, wiała grobowem tchnieniem, roztaczała coraz szerzej swe posępne skrzydła. Rozpływał się zwolna dym upojeń, w żelaznych obręczach rzeczywistości pękały ostatki złudzenia. Na widownię wypełzły ze swoich kryjówek niewidzialne w dniach walki rezerwy „straży bezpieczeństwa" i z wysiłkiem, godnym Hébertów, zaczęły gasić tu i owdzie płonące jeszcze ogniska wolności. Polała się „krew bratnia", bruki Paryża powlokły się purpurą. A gawiedź reakcyjna sprzyjała organizatorom „dni czerwcowych", prowadziła dalej dzieło zniszczenia i dokładała usiłowań, aby utrwalić swe wpływy.

W dniach tryumfu ulicy, zatrwożone stronnictwo orleanistów wysłało do rządu swych przedstawicieli.

„Kupiec nie sprzedaje, fabrykant nie fabrykuje, robotnik nie pracuje, — powiedzieli rządowi tymczasowemu. — Więc zróbcie tak, żeby ci ludzie sprzedawali, fabrykowali i pracowali, a unikniecie niebezpieczeństwa" *).

W miarę wzrostu reakcyi, wzmagało się na siłach stronnictwo orleanistowskie, rosło, potężniało, przemawiało coraz głośniej i powie-

---

*) Artykuł Mickiewicza z dnia 5 maja.

wało coraz odważniej wzniesionymi wysoko sztandarami egoizmu narodowego i wyłączności klasowej. Słowa „naród" i „ojczyzna" nigdy przedtem nie były tak nadużywane. „Orleanizm — pisał Mickiewicz, — podjął się sprowadzenia z istotnej drogi narodowej ludzi, którzy poświęcili się posłannictwu obrony idei narodowej". W imię czego? W imię własnych interesów. Aby tylko zmusić rząd, — są słowa Mickiewicza, — „do wydania sobie na pastwę posad, interesów pieniężnych i budżetu".

Tak orleanizm wyglądał w rzeczywistości. Jakże inaczej sam siebie reklamował, w jakie barwy i pióra się stroił, ilekroć własnemi przemawiał słowami!

„*Fakt dokonany, dobrobyt, porządek, własność, rodzina, społeczeństwo zagrożone, anarchia, równowaga budżetu, nieprzyjmowanie wiadomości urzędowych, równowaga europejska,* — są to słowa, formułki z tysiąca innych, zręcznie używane przez orleanizm, aby powstrzymać pochód idei demokratycznej, aby paraliżować wysiłki jej przedstawicieli u władzy" *).

Każde z tych słów jest jak błyskawica, w której blasku widnieje jakiś nowy rys strasznego potwora, zwanego podówczas orleanizmem. Portret, stworzony przez Mickiewicza, należy do tych wyjątkowych wizerunków politycznych, których barwy nie blakną pod działaniem czasu, nie tracą wyrazistości i życia. Ale walka z rakiem, toczącym organizm Francyi, z „trądem egoizmu", jak orleanizm nazywał poeta, nie zasłaniała mu oczu na oceany krzywd, gwałtów i nędzy, które niemal w całej Europie występowały z swych brzegów. Wzrok Wieszcza przebiegał dalekie lądy, państwa, kraje, zatrzymywał się wszędzie, gdzie się toczyła walka o wolność, ożywiał się iskrami zapału, lub zachodził mgłą serdecznego współczucia. Ileż razy słowo redaktora „Trybuny Ludów" grzmiało, jak surma bojowa!... Jakiż zapał ożywia poetę, gdy wtóruje radośnie szczękowi oręża na Węgrzech, ileż mocy zawiera w sobie artykuł, w którym Mickiewicz mówi o materyalnych potrzebach zbuntowanych Włochów i wskazuje im źródła bogactw, i przypomina rabunki Radetzkiego, i woła do nich, aby nie zwracali uwagi na złowrogi syk prasy reakcyjnej, bo wystarcza, że pragną wolności, aby im reak-

*) Artykuł z d. 16 maja. Podkreślenia Mickiewicza.

cya rzuciła obelgą w twarz!... Niemal w każdem słowie czujemy pulsowanie krwi gorącej i przyśpieszony rytm serca i zapał, który tworzy cudy, i odwagę, co skrzydła przyprawia u ramion!...

W kurzawę krwi dymiącej, w płomienie patrzał poeta, krwią i płomieniem pisał swoje artykuły. A pisał je z powodu najbardziej zagmatwanych spraw różnych krajów i różnych narodów. Zdumienie ogarnia, gdy się pomyśli, jak szybko oryentował się Mickiewicz w tylu zawikłaniach, jak doskonale oceniał sytuacyę, jak wszechstronnie umiał ją później zobrazować. Mylił się często, to prawda, ale najczęściej mylił się wtedy, kiedy myliły się miliony, kiedy „omyłki“ były wypływem naturalnego zaufania w zwycięstwo prawdy, w tryumf sprawiedliwości. Nie było tak gienialnego umysłu, któryby zawsze przewidział wynik walki, a Mickiewicz był tylko... gieniuszem.

Jest jeszcze jeden rys, który cechuje artykuły Mickiewicza. Tym rysem jest niepokalana czystość intencyj, a zarazem żelazna moc w zwalczaniu własnej wiary, ilekroć razy silniejszą od niej okazała się rzeczywistość.

Mickiewicz-napoleonista, głęboko wierzący w dobre chęci Ludwika Napoleona, przypomni mu, na wypadek, gdyby świeżo kreowany cesarz zechciał pójść w ślady wielkiego imiennika, wyspę św. Heleny i salwy karabinowe w Pizzo! Mickiewicz, którego papizm tak raził Herzena, będzie miał odwagę rzucić płomienne słowa pod adresem Piusa IX i wyrzec, że „religia podług niego ma polegać na zapewnieniu ludziom korzystania z dobrych rzeczy ziemskich oraz swobody w urządzaniu parad religijnych“.

I wystąpi Mickiewicz, człowiek głęboko religijny i szczery katolik, przeciw księżom, prałatom i wyrzucać im będzie, że oczekują zbawienia od złota, kanonu i protokułów. Nie przejmie się teoryami i systemami ówczesnych utopistów, ale zawsze stanie po stronie pokrzywdzonych i wyzyskiwanych, nie zawaha się nigdy wypowiedzieć słów prawdy możnym i władnym.

Redaktor „Trybuny Ludów“, któremu współczesność zarzuca brak poczucia rzeczywistości, nie da się obałamucić pięknymi frazesami ministrów francuskich, będzie dyskredytował politykę rządu francuskiego, ostrzegał przed tajemniczymi krokami reakcyi, przewidywał trafnie jej plany i knowania.

Artykuły Mickiewicza kipią życiem, często pęka w nich słowo gniewu i strzela oburzenie, ale ich ton jest górny nawet wtedy, kiedy poeta odpowiada najzawziętszym swym wrogom, kiedy depce podłość i zdradę.

„Trybuna Ludów“ — to ta sama polityka, którą poeta określił już w „Pielgrzymie Polskim“...

Do księgi życia i księgi pieśni Mickiewicza przybyła nowa karta...

„Trybuna Ludów“, acz jej naczelny redaktor silnie odcisnął swoje indywidualne piętno, należała do tej samej kategoryi czasopism, co organ Proudhona *le Peuple*, co *la Réforme, la République* itd. Wszystkie te pisma łudziły się, że masy ludowe, pogrążone w chwilowej bezczynności, porwą się wkrótce do nowej walki, że zegar dziejowy wydzwoni niebawem godzinę zwycięstwa. Niemal cały okres czasu od rewolucyi lipcowej do 1849 roku był okresem głębokiej wiary w bliski tryumf dobra i prawdy. Na gruncie tej wiary rodziły się pomyłki, wykwitały piękne, lecz niemożliwe do ziszczenia projekty. Łudzili się przywódcy ruchu ludowego we Francyi, a wraz z Francyą łudziła się połowa Europy. Tułacze polscy, miotani burzą, jak liście, oderwane od pnia ojczystego, nie mieli więcej złudzeń, niż cała współczesność. Jednakże w społeczeństwie naszem powstała i coraz bardziej utrwalała się legienda o braku zmysłu realnego, o szaleństwach i naiwności działaczów polskich z tego okresu. I rzeczywiście ich polityka, rozpatrywana przez szkła doświadczenia długich dziesięcioleci, może się wydać niemal tak rażącą, ich nadzieje tak zwodniczemi, ich brak poczucia rzeczywistości tak wielkim, jak pomyłki, popełnione w teraźniejszości, jak nadzieje, które rozpaliło wczoraj, a które pogasiły mroźne powiewy dnia dzisiejszego. Ale te błędy nie powstrzymają fali wypadków, i koło dziejowe będzie toczyło się dalej po drodze postępu. I błędy bowiem są płodne w następstwa.

Ktoby jednak doniosłość działań przebrzmiałych chciał właściwie ocenić, ten musi rozpatrywać je na tle chwili dziejowej, na tle wszystkich prądów umysłowych, społecznych i politycznych.

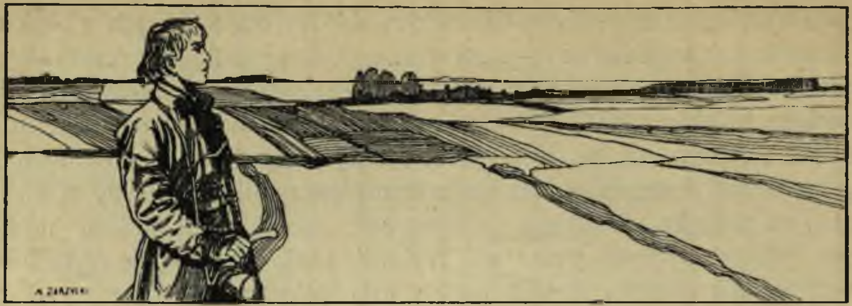
Czem była działalność Mickiewicza? Jakie znaczenie miała „Trybuna Ludów“?

Ocenimy ją w pełni dopiero wtedy, kiedy przestanie być tajemnicą historya emigracyi, kiedy wskrzesimy zapomniane postaci Mochnac-

kich, Worclów, Lelewelów, Heltmanów, kiedy poznamy ich nadzieje i dążenia, kiedy przenikniemy ich dusze, oddamy hołd ich pracom.

Dopiero w szeregu tych prac testament społeczno-polityczny Mickiewicza, wypisany w „Trybunie Ludów“, stanie się całkowicie zrozumiałym i żywym, ukaże się w pełni swojej potęgi i blasku. Testamentu tego nie spali obojętność, nie pogrzebie głusza milczenia. Gdy w myśl tego, co polityką na łamach „Pielgrzyma“ nazwał Mickiewicz, myśli jego i słowa, wypowiedziane w „Trybunie Ludów“, staną się czynem — wtedy pęknie obojętność, otworzą się usta milczącym...





MARYA KONOPNICKA

Pocałunek Roberta Emmeta

Emmet, jeden z przywódców Związku Połączonych Irlandczyków (United Irishmen), stracony w kilka lat po klęsce pod Vinegar - Hill (1798).

Wschodzi ranek z różanej świetlicy...
— Stanął Emmet u stóp szubienicy.
Stanął Emmet, pojrzał się do świata...
Niema przy nim ni druha ni brata.

— Hej, bratowie, hej, wy szczere druhy,
Jak świat pusty bez was! Jaki głuchy!
Niemasz, komu ścisnąłbym prawicę,
Gdy mi przyszło iść na szubienicę.

Stanął Emmet, pojrzał się po niebie:
— Ziemio — Matko, ginę — syn — za ciebie...
Za twą wolnośc, mój Narodzie, ginę,
Sam, samotny w ostatnią godzinę!

. . . .

Głucho bęben złowieszczy uderza:
— Robert Emmet, odmawiaj pacierza!
Z głuchym ziemię kopają łoskotem:
— Robert Emmet, żegnaj się z żywotem!

Podniósł Emmet płonące źrenice
Na wysoką, czarną szubienicę...
— O Irlandyo! Tyś moją modlitwą,
Ty pacierzem przed ostatnią bitwą! —

Jakiś gwałt mu rozpręża ramiona...
— Lud mój chciałbym przycisnąć do łona...
Chciałbym żegnać... Chciałbym raz ostatni
Czuć na ustach pocałunek bratni!—

I pochylił swą tragiczną głowę.
— Przez te rany... Przez te Chrystusowe...
I ostatnim pocałunkiem brata
Ucałował straszne lico kata.

. . . .

Głucho bęben złowieszczy uderza.
Robert Emmet odmówił pacierza.
Z głuchym ziemia jęknęła łoskotem.
Robert Emmet żegna się z żywotem.



STEFAN ŻEROMSKI

Bandos

W podgórskich, kamienistych działkach kieleckich, na jałowych sapach, przez które sączy się zaskórna woda z żelaznych rudawisk, na radomskich piaskach podsośnianych, na opoczyńskich krajach-smętniskach, gdzie się korzec sieje, kopę zbiera, a kopa korzec daje—hoduje się dola bandosa. Siedzi przykucnięta w bróździe, pośród zczerniałej ziemniaczanej naci, kędyś pod jałowczykiem, kędyś pod kępą łopianu, na wąskim wygonie, między owsem a żytkiem—jako pasturka, łachmanami od oka ludzkiego okryta, workiem od dżdżu. Tuła się wzdłuż gościńców, po rowach kurzem przydętych, wyciągając ku bryczkom przejeżdżającym obdartą chłopczyńską czapczynę. W kłębuszek skręca się z choróbsk tajemnych po zapieckach i werkach izb-szkarlatynek. Patrzy długo z za przepalonych szyb czworacznych na przejeżdżających paniczów wielkiemi, strasznemi, ojczyźnianemi oczami. Płynie w białej trumience, pomalowanej lubryką, pod rosę święconej wody u kościelnego proga i na ugór cmentarny.

Gdy się poczyna okrutny, nikomu i niczemu nie przepuszczający przednowek, wychodzi w dal—za Pilicę-rzekę, za Wisłę-rzekę, „w pszenne kraje". W pustych wioskach kieleckich zostaje jeno dziad strupieszały, oślepła, kudłata babka, koślawiec, niemowa, lub obłąkana latawica. Bywa wtedy, że opuszczony stary człowiek prosi się z głodu i biedy o śmierć, jak o łaskę. Bywa wtedy, że bezsilni ludzie żywią się mąką z kory olszowej w żarnach mielonej, mleczem ziarna ledwie

okwitłego żyta, garsteczką kaszy mannianej o białej rosie osmykniętej na cudzej łące. Ciemne chaty z nisko nawisłym czarnym dachem, głucho zamknięte kluczem drewnianym na wrzeciądz bukowy, zostają same.

Drożyny od gościńca do drzwi prowadzące zarastają trawą. Ze wsi ucieka ostatni towarzysz schroniska ludzkiego — wróbel. W inną okolicę wynosi się opuszczony pies.

A za Pilicą, za Wisłą, w „pszennym kraju" słońce pali bandosa grzbiet zgięty od świtu do wieczora. Twardy jest trud całodzienny na skwarze w pańskiem polu!

Jak mgnienie oka krótki jest sen w parną noc letnią. Od rannej zorzy po sierpem zajętem zbożu rozlega się surowa i wrzaskliwa bandoska pieśń:

„Dobrze temu, dobrze, kto kómu łeb odrze,
Jesce temu lepiéj, kto kogo oślepi"...

Lał się bandosa pot cuchnący w szmaty zgrzebne i w rudą jego sukmanę przez wieki. Żarło go robactwo, okrywał brud i osaczała ze wszech stron tajemnicza choroba, żeby pańskie dzieciątko jaśnie świeciło zdrowem ciałkiem i galanto uczesanemi włoskami. Wyklęczały jego kolana żłobowiny głębokie w kamiennych posadzkach wysokich kościołów, wycałowały jego usta jakoby nowe rany w Pana Jezusa przebitych nogach po kruchtach, żeby jaśnie pan dostojnie mógł siedzieć przed Bogiem we stalach, dumnie a pewnie spozierać na cichy swój lud, a pięknego pogładzać wąsa.

Taka jest przez wieki nasza rzecz-pospolita.

Płakał ongi, przed wieloma wiekami, nad żałosną dolą żeńców polski poeta:

„Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego,
Ty wstajesz, kiedy twój czas, jemu by się zdało,
Żebyś ty, o słoneczko, o północy wstało"...

A czy też kiedy w dalekiej przyszłości polski bandos dolę swoją w kamieniu wyklęczy? Czy ją wycałuje z Pana Jezusowych nóg gwoździami przebitych? Czy ją wydepce opuchniętemi nogami z nieskończonych kolein drogi między swoją czarną chatą a dalekim pszennym krajem? Czy też ją ostrą kosą wykosi z wonnie szumiących traw, czy

ją kiedy wyżnie sierpem pracowitym z jarego zboża świętej ojczyzny? Kiedyż ustanie skarga żeńców, lecąca po rannych rosach z pokoleń na pokolenia? Kiedyż się żeńcy polscy z miłością nachylą ku zbożu dostałemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy szumiącej nie mój ani twój, ale nasz, ojczysty?...

„Kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleść i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego".

Zdarzyło się onego czasu, że daleko—daleko szedł bitymi gościńcami samotny wiejski chłopczyna. Wracał do domu w kieleckie góry. Pojęli go byli ze sobą ludzie we światy, bo w chałupie, zawartej na głucho, nie miał przy kim pozostać, Żął we żniwa z innymi, wiązał, dźwigał snopki i układał we sterty. Napatrzył się pięknych paniczów harcujących ścierniskami na spasionych kucach, nadziwował się pannom, bokiem dosiadającym dzikiego ogiera, naślepiał się na pałac wielkookienny. Śpiewał panom podchlebne pieśni w dożynki...

A gdy ludzie po żniwach wracali i uszli już mil wiele, rozpuchła mu bardzo w kostce prawa noga. Szedł, utykając, z wielkim pośpiechem, żeby nadążyć. Bardzo się ludziom śpieszyło do chałup, więc go z jednego noclegu odeszli. Wlókł się tedy sam daleką, obcą drogą...

A jechał oną drogą na siwym koniku panicz wesoły. Zobaczył bandosa, siedzącego nad rowem, jak se głowę układał na pościeli z pryzmy kamieni szosowych, i z ciekawości zlazł ze swego konika. Zagadał. Popatrzał na nogę spuchniętą, wejrzał w tajemnicę oczu zamglonych... Przepytał się, jak i co. Poczęli obadwaj gwarzyć pomiędzy sobą. Gdy konik siwy szczypał trawkę przykurzoną, wszystko paniczowi bandos rozpowiedział,—o długości dnia, gdy się z sierpem na klęczkach idzie przez nieskończoną niwę, o głodzie przedwieczerza i dobrotliwych zachodach, o smaku niewysłowionym zimnej wody we dzbanie,—o bardzo krótkiej nocy i świcie niezbłaganym,—o chłodzie rosy porannej, przez którą stopy brną z noclegowiska na niwę,—o rozpuchniętej nodze i zabijającej duszę długości nieznanej drogi,—o zimowem wzdychaniu podstrzesznem, o komorniczem tęsknieniu ku onej pracy przednowkowej na znojnem pańskiem polu — i o dróżce zarośniętej pod progiem czarnej chałupy...

Zaszkliły się paniczkowe jasne oczy i sposępniała wesoła twarz. Siadł obok, tak samo na pościeli z kamieni, głowinę położył i słuchał.

Tak się ta wtedy na wieki wieczne rozmówili bandos z paniczem. Coś sobie szeptaną mową zaprzysięgli wraz. Aż do zgonu.

Panicz wziął w swe piersi serce bandosa, a swoje serce w jego piersi wcielił.

Poczuł snać w sobie wtedy po dziadach pradziadach ocknione widziadło, wyklętą, wykadzoną zmorę: — duszę rycerza. Krwawą bandosa dolę przypiął sobie do lewego boku, jak zardzewiały, w ziemi wykopany brzeszczot mieczowy.

Rąbać nim począł z ramienia ślepemi ciosami mrok zagęstniały i zdawna narosłą przemoc w ojczyźnie.

Wtrącał się wszędzie, był wszędzie, poeta, błędny don-kichot, Rycerz-Bandos. Deptał strudzonemi nogami wszystkie gościńce idejów, swoją własną żadnej nazwać nie mogąc, bo oczy niedościgła porywała dal, a stopy palił sandał z płomienia.

Wdzierał się na niedościgłe percie wyklętych marzeń, na strome w skałach kute stopnie poznawania, na śmiesznie zawrotne urwiska złudzeń potęgi.

Nad nim i nad bandosem jedna była dola i jedno niebo. Ścigał ich tęgi, zdrowy śmiech, urąganie, wyzwiska, potwarze i wszystkie groźby, od najprostszej, najpoczciwszej, międzyzdrowaśkowej, aż do bardzo złożonej, nowoczesnej, niemej, mówiącej jedynie połyskiem z zanadrza noża skrytobójcy.



STANISŁAW WYSPIAŃSKI

ZGASŁ W 38 ROKU ŻYCIA, DNIA 23 LISTOPADA ROKU 1907

GŁOS I. Upadła nam korona,
I duch na świecie zgasł.
GŁOS II. Kto ubył?
GŁOS I. Duch Heliona...
J. Słowacki

Nie umarł, nie odszedł — ON — potężny
— bo nie ma mocy Śmierć nad twórcami nieśmiertelności —

Był pośród nas, mówił do nas, bolał nad nami — tu, na tej ziemi, którą „ukochał szałem", ponad którą był „niesion skrzydłami z płomieniem w licach"...

Wsłuchajcie się w przepaście dusz —
Słyszycie gromy?
To mówi ON — wiekuisty —
To ON — cherubim zbuntowany — siecze płomienistym koncerzem Edenu zawarte wrota —
by Naród wszedł siłą.

Wpatrzcie się w przepaście dusz —
Widzicie błyskawice i skry, jak słońca, wielkie?
To ON — ON SŁOWEM zapala Duchy — — coraz więcej gore Duchów-Pochodni —

Jakoż mówicie: — Zmarł? — —
Oto przeczy wam Zygmunt krzyczący mową spiżu:
„Konrad! Helion! Konrad!
Król - Duch!
Jenże Był — Jest — Będzie!
Ponad łzy, ponad ból mnogi śpiewajcie hymnus tryumfu:
— Hosanna! ON żywie w nas — — —
„Zarwijcie serc! —
I czyny wasze strójcie na JEGO i mój ton!
Potęgo — wstań!

J. A.

IGNACY MATUSZEWSKI

Kiedy Słowacki stał się mistykiem?

I.

Utarte mniemanie, że wpływ Towiańskiego na Mickiewicza i Słowackiego zepchnął ich z drogi, po której szli przedtem i rzucił w czarującą otchłań mistycznego mesyanizmu, nie wytrzymuje krytyki.

Niewątpliwie Towiański odegrał, dzięki swej energii i wytrwałości, rolę czynnika, skupiającego i krystalizującego rozlane wśród emigracyi żywioły mistyczne w jedną całość, ale im głębiej wnikamy w charakter uczuć i poglądów naszych wielkich Towiańczyków, tem wyraźniej dostrzegamy, że nie byli to ludzie takiej miary, żeby nawet najdzielniejszy propagator zdołał ich przerobić do gruntu, narzucić im swoje przekonania i zaciągnąć pod swój sztandar.

Jeżeli Mickiewicz i Słowacki stali się mistykami i połączyli na czas dłuższy lub krótszy z Towiańskim, to nie tyle dla tego, że „mistrz Andrzej" ich zniewolił, ile dla tego, że posiadali w duszy swojej pierwiastki pokrewne doktrynom, głoszonym przez niego. Towiański był raczej organizatorem, niż twórcą ruchu zwanego „towianizmem".

Co do Mickiewicza, to już dawno zauważono, że myśli i marzenia, wygłoszone w III części „Dziadów", wydanej w roku 1833, zawierają niejako *in nuce* znaczną część mistycznej doktryny Towiańskiego, który, jak się zdaje, jeżeli nie zaczerpnął wielu pomysłów z „Improwizacyi" Konrada i wizyi ks. Piotra, to napewno przystosowywał do nich swoje własne poglądy, chcąc w ten sposób zjednać Mickiewicza dla „sprawy".

Bardzo przekonywająco wykazał to ostatnio Artur Górski w pięknej i głębokiej rozprawie swojej pod tytułem „Monsalwat" (1908), a także

Artur Śliwiński w cennej pracy pod tytułem „Mickiewicz jako polityk" (1908).

O źródłach mistyki Słowackiego pisał Chmielowski w studyum p. t. „Juliusz Słowacki Towiańczykiem" [1]); wzmiankował Małecki w znanej swojej monografii o Słowackim, nie mówiąc o wielu innych. Niżej podpisany poświęcił także specyalne studyum porównawcze mistycznym poglądom Słowackiego [2]).

We wszystkich tych pracach jednak uwzględniano przeważnie wpływy zewnętrzne, a więc: ogólny nastrój chwili, znajomość takich czy innych dzieł z dziedziny mistyki religijnej i filozoficznej, a przedewszystkiem apostolsko-agitacyjną działalność Towiańskiego.

Tymczasem, wczytując się uważnie w utwory Słowackiego, wydane znacznie wcześniej, nim autor „Balladyny" zetknął się z „mistrzem", można znaleść wyraźne ślady nietylko zajęcia się kwestyami mistycznemi, ale nawet pewnego zarysu doktryny metafizycznej, którą poeta ujął w całokształt w dziełach, noszących tytuł „Genezis z Ducha", „List do J. N. Rembowskiego", „Wykład nauki", a którą wcielił w postacie i sytuacye wielu poematów z ostatniej doby swojej twórczości, jako to: „Ksiądz Marek", „Sen srebrny Salomei", „Samuel Zborowski", „Król-Duch", nie licząc mnóstwa drobniejszych liryk oraz niewykończonych fragmentów (Teogonia, Z dziejów Nowogrodu, Zawisza Czarny i t. d.).

Jeszcze w r. 1841 Słowacki, interesując się żywo ruchem towiańskim, zachowywał się względem niego, jak świadczy korespondencya z Krasińskim, z pewną oględnością.

W r. 1842 wstąpił już poeta do organizacyi mistycznej; w sierpniu tegoż roku podpisał znany protest przeciwko wydaleniu „mistrza" Andrzeja z granic Francyi.

Po roku mniejwięcej Słowacki wystąpił już z grona, dla tego— jak sam mówi—że oprócz „duchowej strony zaczyna grać w kole struna polityczna", na której „ton" poeta nie mógł i nie chciał się zgodzić. Zwłaszcza zniechęcił go jeden akt, oburzający sumienie i poczucie patryotyczne wieszcza. Przeciwko temu aktowi założył Słowacki pro-

---

[1]) Piotr Chmielowski: „Studya i szkice literatury Polskiej", Kraków, 1886.

[2]) Ign. Matuszewski: „Swoi i obcy" rozdz. p. t. Mistyczne pisma Słowackiego w zestawieniu z doktrynami współczesnego okultyzmu. Wydanie II, 1903. Por. także: „Słowacki i nowa sztuka", wydanie II, 1904.

test, wyrażając się w nim, że „dążność koła", pomimo „veto i zaprzeczenia z ducha" poety „doszła do granic hańby i upodlenia". Szło tu, jak wiadomo, o tak zwaną sprawę rosyjską, na którą autor „Króla-Ducha" zapatrywał się inaczej, niż koło Towiańczyków.

Prócz politycznych względów, odegrała tu niemałą rolę i niechęć do więzów, jakie na silną indywidualność poety nakładała organizacya sekciarska. „Duch mój—powiada on—przywalony był wnętrznem cierpieniem i tęsknotą za dawną *osobistą odpowiedzialnością*—za dawnem sumieniem".

Co do ducha, panującego w kole, to Słowacki przyznaje „że ten czysty jest—i najpiękniejszy na ziemi. Ale wy go już *przyprowadzacie do form—już obumiera*".

Uznawał więc poeta wartość mistycznych poglądów Towianizmu, ale nie chciał być narzędziem w rękach partyi czy sekty, pragnął rozwijać ducha swojego samoistnie, bez kontroli i rozkazów organizacyi która, jak każda organizacya ludzka, zaczynała, chcąc utrwalić swoje, istnienie i rozszerzyć działalność ziemską, praktyczną, wchodzić na drogę kompromisów i używać względem „braci" środków przymusu.

Tak się przedstawia w krótkości stosunek Słowackiego do Towianizmu.

Nie godząc się na pewne czyny „koła" i na przemoc większości nad jednostką, Słowacki sympatyzował z samą treścią mistyczną doktryny i nie walczył z nią, lecz snuł dalej samodzielnie przędzę myśli pokrewnych towianizmowi, snuł nie dlatego jednak, żeby go Towiański nawrócił, ale dlatego, że już oddawna żywił w głębi duszy podobne marzenia i ujmował całokształt wszechświata w ramy analogicznego systematu metafizycznego.

Jak wiadomo, podstawę poglądów mistycznych Słowackiego stanowi połączenie panteizmu z indywidualizmem i chrystyanizmu z wiarą w metempsychozę, czyli przechodzenie dusz, które poeta przyznaje nawet najniższym tworom przyrody.

Metempsychoza stanowi motor ewolucyi nietylko człowieczeństwa, ale i całego kosmosu.

Pierwsze ustępy „Genezis z Ducha" charakteryzują dosadnie i jasno istotę poglądów metafizyczno-mistycznych Słowackiego.

„Na skałach Oceanowych postawiłeś mię, Boże, abym przypomniał *wiekowe dzieje ducha* mojego, a jam się nagle uczuł w przeszłości Nieśmiertelnym, Synem Bożym, *stwórcą widzialności...*

„Albowiem Duch mój przed począjkiem Stworzenia był w słowie, a Słowo było w Tobie—*a jam był w słowie.*

„A my duchy *zażądaliśmy kształtów* i natychmiast *widzialnymi* uczyniłeś nas, Panie, pozwoliwszy, iżeśmy *sami z siebie, z woli naszej* i z miłości naszej wywiedli pierwsze kształty".

Duchy indywidualne, tkwiące w łonie Bóstwa-Absolutu, wcielają się w materyę, która, doskonaląc się ciągle, idzie z powrotem ciężką, ale pewną drogą do źródła swego pierwotnego, boskiego pochodzenia.

„My, którzyśmy uczuli, że *materya* jest *dzieckiem ducha* naszego, a chociaż w kamień zamieniona, musi być wszakże przez *ducha naszego wyświęcona* i *Bogu duchowi oddana*" (List do J. N. Rembowskiego).

Cytaty przytoczone wyżej pochodzą z prac stworzonych pomiędzy rokiem 1842—1849. A tymczasem już w „Godzinie myśli", którą poeta napisał prawdopodobnie w r. 1832, a wydał w 1833, a więc na dziesięć lat prawie przed poznaniem się z Towiańskim, spotykamy ustęp, w którym Słowacki, opowiadając o swoim pożyciu duchowem z Ludwikiem Szpitznaglem, kreśli obraz świata, jaki sobie wyobrażali obaj przyjaciele:

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;
Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy,
I świat tworów, w dwa takie rozłamany ruchy,
Wiecznie krąży. *A dusza z iskry urodzona*
Różnem życiem przez wieki rozkwita i kona
Przez długie wieki, biorąc *kształty różnych tworów.*
W kwiecie jest *duszą woni* i treścią kolorów,
W człowieku myślą, światłem staje się w Aniele.
Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,
W doskonalszym cochwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w *Anioła rozwinie*,
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje
I będzie *częścią Boga* na żywiołów tronie.

Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;
Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje,
Ziemskiemi sny ścigani, grzeszą myślą dumy.
I co dnia z łona Boga dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina,
Każda się w kształty ziemskie krysztali i ścina.

. . . .

Gdyby zacytowany wyjątek z „Godziny myśli" nie wiązał się treścią z późniejszemi pismami Słowackiego, możnaby mniemać, że jestto tylko odbicie jakichś przelotnych rojeń o ustroju wszechświata, odpowiadające nastrojowi umysłu młodzieńca, który „wśród litewskiego grodu w ciemnej szkolnej sali" zastanawiał się wraz z umiłowanym towarzyszem nad rozmaitemi sprawami. Jeżeli jednak rozbierzemy wspomniany ustęp wiersz po wierszu, to odnajdziemy w nim wszystkie składniki, zawarte w „Genezis z Ducha" i złączonych z nią pracach mistycznych.

Mamy tam wyraźnie, choć tylko szkicowo, zarysowany proces inwolucyi i ewolucyi ducha, który, już zindywidualizowany, spływa z „Pana Boga" w ciemną otchłań doczesnego bytu i tam się „w kształty ziemskie krysztali i ścina", ale nie nazawsze, gdyż — jak pisze poeta— „dusza z iskry urodzona, *różnem* życiem przez wieki rozkwita i kona; przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów... raz wstępnym pchnięta ruchem ciągle w Boga płynie, w doskonalszem cochwila rozkwitając ciele".

Mamy tu więc i metempsychozę, która w rezultacie doprowadzi do połączenia się ducha ludzkiego z boskim: „Człowiek się silną myślą w Anioła rozwinie; ten Anioł zachwyceniem w światło się rozleje i będzie *częścią* Boga na żywiołów tronie".

To samo, tylko obrobione szerzej i bardziej szczegółowo, głosi poeta w pismach mistycznych z ostatniej doby swego żywota.

Nie tak jasno, ale dla wtajemniczonego w istotę mistyki Słowackiego, zupełnie zrozumiale, brzmi następujący ustęp z „Anhellego":

„Oto powiedziałbym wam tajemnicę, że *jednych dusze* idą w *słońce*, a drugie dusze oddalają się od słońca na *ciemne gwiazdy*, lecz nie zrozumiecie mnie!

„Powiedziałbym, dlaczego żyjecie i dlaczego się *rodzą miliony dusz nowych*, i na jaki cel dane jest ciało, lecz nie pojmiecie mnie!

„Lecz mówię wam, bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszej".

Mglistość tych zdań pochodzi stąd, że wygłasza je mędrzec, Szaman, do zgrai wygnańców, która niedojrzała jeszcze do zrozumienia zagadek życia i śmierci. Zresztą cały utwór trzymany jest rozmyślnie przez poetę w tonie tajemniczym, pełnym niedomówień i niejasnych aluzyj do wypadków z życia własnego i życia narodu, oraz pojedyńczych jego przedstawicieli.

Słowacki uczynił to świadomie, żeby nadać „Anhellemu" specyalny i najwłaściwszy do założenia dzieła ton i styl. Sam autor wyznaje w niedawno opublikowanym liście do Gaszyńskiego [1]) z dnia 22 maja 1839 r., że: „Anhelli potrzebuje komentarza, jak Dante, albowiem pisany jest zwięźle i z wielką ekonomią detalów — kto więc nie popracuje imaginacyą własną nad każdym frazesem Anhellego, temu wszystko w nim będzie blade".

Ale, jeśli zestawimy przytoczone wyżej słowa Szamana z odpowiednimi ustępami „Genezis z Ducha", tożsamość poglądu mistycznego na świat i życie w obu dziełach sama rzuci się w oczy.

Kiedy duchy, istniejące w Słowie, zażądały kształtów, niewszystkie poszły jedną drogą, i Bóg podzielił je na grupy, nie *według swojej*, lecz według *ich woli*.

„Duchy więc, które *wybrały światło*, odłączyłeś (Panie) od duchów, które obrały objawienie się w *ciemności*, i tamte na *słońcach* i *gwiazdach*, a te na *ziemiach* i *księżycach* rozpoczęły pracę form, czyli ewolucyę.

Ten ustęp tłumaczy nam, jak pojmował Słowacki pierwsze z zacytowanych zdań Szamana.

Tożsamo zresztą spotykamy już i w „Godzinie Myśli", gdzie poeta mówi o „dwóch łańcuchach, zbitych w światło u góry, a zlanych spodem w ciemność"; ogniwa tych łańcuchów „jak szczeble wschodów połamane, wiodą w *światłość* idące albo w *ciemność* duchy".

Niema wątpliwości, że przytoczone wyżej cytaty z trzech różnych prac Słowackiego, napisanych w różnych epokach jego życia, wyrażają odmiennymi wyrazami jedną i tęż samą myśl.

---

[1]) List opublikował Leopold Méyet w Gazecie Lwowskiej, 1902, N. 119—122.

Dwa następne z przytoczonych zdań Szamana łączą się ściśle z mistycznemi doktrynami inwolucyi, ewolucyi, oraz metempsychozy, o których wzmiankowałem uprzednio, a które rozebrałem szerzej w książce mojej p. t. „Swoi i obcy".

Jak wiadomo „Anhelli" był napisany, jeżeli nie w roku 1835, to najpóźniej 1837—1838, a wydany 10 sierpnia 1838 roku, a więc przed zetknięciem się z Towiańskim.



JAN LEMAŃSKI

Polonez

Jakaż jest najmilsza teza
W naszych win i kar nawale?
Tany, tany, bale, bale...
Więc zatańczmy poloneza.

Hej panowie, kto nie stary!
Nim kar i win nawał minie,
Dalej, dalej ku dziewczynie,
Stajmy w pary, w pary, w pary!

Grają skrzypce, basy, flety,
Bębny, trąby i oboje.
Hej, za swoją łap dziewoję
I rób... i rób... piruety!

Kto za życiem życia szuka,
Znajdzie co?—złamany szeląg.
Kiep ten, co się życia przeląkł,
Do kaduka, do kaduka!

Już nieboszczyk twierdzi Homer
(Niech mu ziemia będzie lekką):
Że szczęśliwszy jest daleko
Żywy pies, niż bóg, co pomerł.

Z poumarłych już nie wskrzesa,
Czyj raz trup przysypią proszkiem:
Zgnije, chociaż byłby bożkiem,
Z nazwą Ach... Ach... Achillesa.

Od frasunków serce wygój!
Śmiało staj na życia szaniec!
Patrz dziewczyna woła w taniec,
Tańcz więc, hasaj i podryguj!

W foljałach, w księgach szpera,
W ascetyzmach kiśnie, kiśnie,
A tymczasem czas mu zżera
Lica-róże, usta-wiśnie.

Nauczony, ale starczy,
Na dziewczęta patrzy zdala.
Trala... lala... trala... lala...
Choćby chciał, lecz sił nie starczy.

Ubił, ubił żądzom tamę
I tryb życia wiódł niewinny,
Aż mu inny, inny, inny
Ukochaną porwał damę.

Hej więc, póki służy krasa,
Prze... hasuj, prze... hasuj życie,
I nie żałuj przy kobiécie...
Pięt nie żałuj, ni obcasa!

Chwytaj, co ci dola winna
I w tan z damą staj miłośnie.
Dam nie żałuj: patrz, jak rośnie
Coraz inna, inna, inna!



HENRYK STAP

Pierwsze błyski

Wicher swobody, który przeleciał nad krajem, rozwiał na chwilę gęste mgły, unoszące się nad przesmutnemi polami naszemi, i porozrzucał wszędy nowe ziarna nadziei. Rozpaliła się energia, rozkwitło słowo. Stąd zaś poszedł niejeden czyn i, choć znikł, nie zginął bezowocnie. Masowe poruszenia umysłów, jak rozkołysane serca tysięcy dzwonów, nie ucichają nagle i bez skutku. Pozostają echa oddalające się i wracające, pozostają pragnienia. A w każdej duszy ludzkiej, w najgłębszych jej pokładach, tkwią utajone zarodzie sił. Gdy na nie w czas dobry padnie iskra, rozżarza tam płomyk niepokojący, zmuszający do wydarcia z siebie wcześniej lub później dążącej do wyzwolenia potęgi. Często jedna chwila wystarcza do uświadomienia sobie istniejącego już wewnętrznego żaru, który — stłumiony pozornie — tem silniej wybuchnąć musi. Toteż osławiona słusznie lub niesłusznie ospałość t. zw. prowincyi naszej minęła bezpowrotnie, mimo nadarzające się znowu dość częste oznaki przeciwne, których jednakże niemożna już uważać za stałą cechę. Mówiąc to, nie twierdzę bynajmniej, że stan obecny jest doskonały, że niczego więcej pragnąć nie należy. Nie. Ale zauważyć trzeba, że nietylko na prowincyi niewszyscy pracują: wszędzie i zawsze orze rolę pod nowy zasiew tylko pewien kontyngiens pracowników. Jeżeli ten nawet zmniejsza się widocznie, wina to nie prowincyi i jej ludzi, lecz silniejszych od nich okoliczności zewnętrznych. Idzie o to, aby, gdy te przeminą, nowe warunki zastały nieleniące się kadry. Że tak będzie, tego dowodzi historya paru lat ubiegłych.

Poprzednie życie prowincyi było wprost straszne. Bezecny strach plugawił dusze. W zajęciach prywatnych prym trzymały wint, plotki

i taniec, występy zaś publiczne ograniczały się do uczestnictwa w stowarzyszeniach dobroczynnych i strażach ogniowych, do urządzania balów, przedstawień amatorskich lub koncertów na wpisy szkolne, do strojenia ołtarzów na przyjęcie procesyi w jakie święto i t. p. Wszakże zgniliznę tego życia odczuwano — nie powszechnie, niestety, niemniej jednak silnie. Bo gdy nadarzyła się możność, nowe życie buchnęło z żywiołową, nadzwyczajną mocą.

Nastąpił okres ujawniania się niezmordowanych pracowników. Częstochowa i Sosnowiec zasłynęły z cotygodniowych odczytów (po dwa w dni niedzielne) z pomocą sił początkowo miejscowych, później i warszawskich. Niebawem podążył po tej drodze Lublin, dystansując nawet inne miasta. W błyskawicowo szybkim czasie zawrzał ruch niezmierny. Powstaje niebywała ilość pism prowicyonalnych, o jakiej tak niedawno jeszcze nie śmiałby marzyć najdalej idący optymista. Niektóre z nich doborem treści, duchem je ożywiającym, zapałem i starannością bodaj że przewyższają niejedno z czasopism stołecznych. Ilościowo, ku ogólnemu zdumieniu, przeważają—*o, horror!*—pisma liberalne i postępowe, jak to wykazywał w zgasłym administracyjnie „Tygodniu Podlaskim" d-r St. Wąsowski. Powstaje nawet—o, drugi *horror!*—chłopskie pismo: „Siewba"... Rodzą się liczne stowarzyszenia oświatowe. Mnożą się koła Macierzy, oddziały Towarzystwa Kultury Polskiej, uniwersytety ludowe ziem poszczególnych; w lubelskiem pracuje żarliwie „Światło". Rosną liczebnie i jakościowo szkoły początkowe i średnie, ochrony; tworzą się miejscowe wykłady systematyczne, kursy dla analfabetów, biblioteki i czytelnie, domy ludowe... Powstają liczne związki zawodowe, stowarzyszenia współdzielcze, kooperatywy, towarzystwa rolnicze, włościańskie kółka rolnicze imienia Staszica...

Gdyby owo życie szło niepowstrzymanie naprzód, w czasie krótkim nie mielibyśmy analfabetów, stępilibyśmy nędzę, kraj zaś zasłynąłby doborem dzielnych obywateli. Ale tak nadzwyczajna poprawa nie może się stać odrazu. Nie mówiąc już o zmienionych okolicznościach zewnętrznych, które przeminąć muszą, działalność tak żywo rozbudzona miała wiele niedomagań jawnych i ukrytych, które ustąpiłyby niewątpliwie z biegiem czasu, ale, będąc już naszą właściwością, tem silniej tamowały (i tamują) rozwój naszej pracy.

Zaczęły się spory, intrygi, insynuacye, bojkoty. Jednakże doszliśmy do częściowego zrozumienia sytuacyi, tak np. koła Macierzy gdzieniegdzie pracowały łącznie z oddziałami Towarzystwa Kultury: tu obywatelskość brała górę nad stronniczością partyjną. Są to sprawy powszechnie znane — dziś nie czas na ich roztrząsanie. Ale pojawił się wróg i kół i oddziałów, i bibliotek, i kursów, i wszelkiego „Światła". A zaczął walić w rozpoczętą mozolnie budowę mocnym taranem odezw biskupich i ambony, który godził nietylko w „bezbożników", „socyalistów", „postępowców" i innych tego gatunku zbrodniarzy, ale nawet w „panów sytuacyi" — ludzi większości, opatrzonych znaczkiem n.-d.

Odezwy mówiły o stowarzyszeniach, ambony grzmiały wyzwiskami imiennemi. Ten rodzaj walki gdzieniegdzie doprowadził do kompromisów, osłabł więc na mównicy, lecz kampania wre dalej w czasopismach kleru oraz w odłamie naszej (ku wstydowi) świeckiej prasy gadzinowej.

Niemniej ciężkie było i jest trwanie czasopism postępowych. Te, jako usiłujące oświetlać wszelkie zjawiska społeczne niezależnie od możnych tego świata, były i są usilnie zwalczane zarówno przez kler, jak przez rzeczonych ludzi większości. Dwa z nich: „Nowiny Radomskie" i „Echa Kieleckie", doskonale redagowane, padły w walce pod ciosami bojkotu, co się nazywa brakiem poparcia; trzeci: „Tydzień Podlaski", zgaszony, jak wspomniano powyżej, administracyjnie, nie zmartwychwstał już w żadnej formie, co się nazywa również brakiem poparcia. Wszędzie tutaj działała i działa plugawa broń pokątnego oszczerstwa i baśni w rodzaju modnych dziś: „kierunku antynarodowego", „szerzenia anarchii", „żydowskich pieniędzy" i t. p.

Trzeba umieć znosić gorycz, ale trzeba też uzbrajać się do walki.

Najważniejszym środkiem obrony byłoby zrzeszenie się sił niezależnych. Poczucie to istniało, organizacya jednak nie doszła do skutku. Tak, z zapoczątkowania Andrzeja Niemojewskiego, czynione były rokowania pomiędzy uniwersytetami ludowymi. Szło o połączenie sił prowincyonalnych w jedność, o utworzenie zalegalizowanego stowarzyszenia z centralą w Warszawie, któraby rozsyłała prelegientów, systematyzowała—wespół z dobranym komitetem naukowym—wykłady, starała się o dostarczanie pomocy naukowych etc. Poza walką z żywiołami wstecz-

nymi, stowarzyszenie takie, grupując działaczów oświatowych, przyniosłoby krcjowi nieobliczone korzyści społeczne i kulturalne. Gdyby się tak było stało, możeby nie narzekano dziś na znaczne zmniejszenie się frekwencyi odczytowej i nie szukanoby przyczyn tego smutnego objawu.

Również nie doszły do skutku peryodyczne zjazdy redaktorów pism postępowych, które mogły wytworzyć tyle pożądane zrzeszenie się prowincyonalnych sił publicystycznych. Z inicyatywy kierownika „Ech Piotrkowskich", p. Kazimierza Rudnickiego, odbył się tylko jeden taki zjazd w Warszawie z udziałem przedstawicieli dziewięciu pism, i na tem skończyła się tymczasem praca „skupiania i organizowania postępowych żywiołów całego kraju", której tak gorąco pragnął początkodawca.

Tymczasem. Bo przypuszczać się godzi, że zasiane ziarna wzejdą, gdy przyjdzie czas sposobniejszy. Myślę, że nic nie ginie bezpłodnie, a z powyższego jest widoczne, iż dobrej woli i energii czynnej tai się dużo. Tę zaś wydobyć na jaśnię najsnadniej można umiejętnie zorganizowaną pracą. Przedewszystkiem więc nie należy pogrzebać myśli o zrzeszeniu się powszechnem.

Życie prowincyi, silnie oddzielone od życia Warszawy, wytworzyło tam pewną niechęć do ostatniej, mimo płynące skądinąd całe jej ukochanie. Niechęć ta wyraża się głównie w obawie jakiejś supremacyi stołecznej nad resztą kraju. Może nawet wskutek tej obawy właśnie nie doszła do skutku ogólna organizacya odczytowa. Oczywiście, obawa ta jest płonna, ale jest faktem. Zawiniła tu znacznie prasa warszawska, traktująca prowincyę, jako coś niezupełnego, dorywczo, przygodnie. Przez luźne korespondencye nie stworzy się stałego kontaktu. Wiadomości o życiu prowincyi są najbardziej skąpe: nie wiemy nic o stanie i najpilniejszych potrzebach prowincyi, nie znajdujemy nigdzie oceny czy to jakich działań, czy prasy prowincyonalnej, odgradzamy się — jednem słowem — od kraju murem chińskim. Dopiero w roku bieżącym „Nowa Gazeta" uczyniła próbę wprowadzenia stałego działu p. t. „Echa prowincyonalne", w których p. Eug. Sokołowski z lubelskiego rzuca uwagi w kwestyi zmniejszenia się frekwencyi odczytów, podniesionej w piśmie wspomnianem przez Leona Rygiera i B. Gorczyńskiego.

Początek więc zrobiono, należy jeno, nie zwłócząc, iść dalej w tym kierunku. Niewątpliwie przyczynić się to może do obalenia owego muru chińskiego, uniemożliwiającego wspólnotę życia i tworzącego patryotyzmy lokalne.

W. LIS

Z Prus i Austryi

Gdy w listopadzie 1905 r., pod wpływem wiadomości o ogłoszeniu manifestu, ustanawiającego Dumę, wybraną przez powszechne głosowanie, odbyła się w Wiedniu olbrzymia demonstrancya, domagająca się zaprowadzenia w Austryi tego, co, jak się ludziom zdawało, zostało uzyskane przez Rosyę,—wtedy miał się odezwać obecny na wiedeńskim zjeździe socyalistów austryackich członek zarządu partyi socyalno-demokratycznej Niemiec, że już od 40 lat bierze on udział w ruchu robotniczym, ale dotąd jeszcze nie udało mu się być świadkiem demonstracyi robotniczej. Od kilku dni powiedzenie to należy już do historyi: Berlin doczekał się swej demonstracyi ludowej, a można nawet powiedzieć, że jak na pierwszy występ, była ona dość okazała. Według jednych 12, według innych 30 tysięcy robotników, którzy ciągnęli w niedzielę 12 stycznia pod parlament w Berlinie, narażając się na regularne poszatkowanie głów szablami policyjnemi, stanowi coprawda tylko drobną cząstkę ogółu głosujących na kandydatów socyalistycznych (uzyskali oni przed rokiem 250,000 głosów z pomiędzy 492,000 uprawnionych do głosowania), ale fakt ten redukuje tylko demonstracyę niedzielną do jej właściwych rozmiarów, nie odbierając jej bynajmniej znaczenia. Pamiętajmy, że wcale nie tak dawne są czasy, gdy bez najmniejszego skutku nawoływał do demonstracyj ulicznych Bernstein (rewizyonista i członek tamecznej frakcyi umiarkowanej), że gdy przed paru laty odbyła się w „republice“ Hamburskiej demonstracya przeciwko obcięciu prawa głosowania do sejmu, i lud Hamburski dość niegrzecznie zachowywał się przy tej sposobności wobec władz oraz gmachów publicznych, to organy partyjne uznały za właściwe skarcić go za to surowo, że obcięcie prawa wyborczego, ba, uniemożebnienie przedstawicielom robotniczym dostania sią do sejmu saskiego nie spotkało się z żadnym energiczniejszym protestem, oprócz stereotypowych uchwał, stano-

wiących niedzielną rozrywkę robotnika niemieckiego. I po tem wszystkiem widzimy teraz akcyę zgóry uplanowaną, zatem wiadomą władzom, skazaną na spotkanie się z zaciętym i nieubłaganym oporem ze strony policyi (która w państwie niemieckiem jest procentowo najliczniejsza z całej Europy), na rąbanie szablami i tratowanie kopytami końskiemi.

Nie była to zatem rewolucya (ani przez małe, ani przez duże *r*, używając nomenklatury warszawskiej), ale pierwsze wystąpienie świadczące, że lud państwa pruskiego naprawdę zdecydowany jest starać się o zdobycie wpływu na sprawy publiczne i nie chce dłużej znosić systemu wyborczego, który sam Bismark ze zwykłą sobie brutalną szczerością nazwał kiedyś „najhaniebniejszym".

Ciekawe jest zapatrywanie na tę sprawę rewizyonistów. Wspomnieliśmy już, że dawno nawoływali oni do demonstracyj. Teraz zaś główny ich przedstawiciel, Bernstein, poddaje pod dyskusyę projekt głosowania przy przyszłych wyborach do sejmu pruskiego na kandydatów wolnomyślnych, bez względu na to, czy ostatni zobowiążą się wzamian oddawać swe głosy socyaliście tam, gdzie wolnomyślny nie ma widoków powodzenia. Żąda on zatem zaprzestania dotychczasowej polityki targów z partyami opozycyjnemi, co, jak wiadomo, nie doprowadzało do niczego; postęp niemiecki bowiem zbyt jest zgrzybiały i przegniły wewnętrznie, by mógł się zdobyć na poparcie socyalisty. Nie będę się wdawał w rozbiór tej propozycyi, zaznaczam ją tylko, gdyż charakterystyczne jest, że w niemieckiej partyi socyalistycznej można snuć takie plany, bez obawy ściągnięcia na siebie zarzutu herezyi.

Dla nikogo chyba ta kwestya sposobu wybierania posłów do sejmu pruskiego nie jest tak doniosła, jak dla nas. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że w sejmie pruskim, wybranym przez powszechne głosowanie, nigdyby nie przeszło prawo, dozwalające wywłaszczyć siłą 70,000 hektarów (140,000 morgów naszych) ziemi polskiej, jak to uchwalił w kilka dni po berlińskiej demonstracyi sejm cenzusowy. Ale zdaje się, że ostatnimi ludźmi, którzy wysnują z tej prawdy odpowiednie konsekwencye, będą członkowie berlińskiego Koła polskiego, zarówno jak i ci, którzy ich tam posłali. Nic bowiem nie zapowiada w zaborze pruskim zmiany dotychczasowej taktyki Koła. Nie zdobyło się ono na żaden silniejszy akcent, któryby świadczył, że sprawa oparcia się wywłaszczeniu rozdziera mu serce... żaden z jego członków nie zasłużył nawet na wydalenie z sali, a o obstru-

kcyi, złożeniu mandatów, czy tembardziej innych, mniej parlamentarnych środkach, ani mowy nie było.

Coprawda, nie zawsze i nie wszędzie obstrukcya uwieńczona bywa powodzeniem. Doświadczyli tego na sobie Kroaci, których posłowie usiłowali zapobiedz uchwaleniu przez sejm węgierski ugody z Austryą, chcąc w ten sposób zmusić Węgrów do odstąpienia od nowej próby zmadyaryzowania Kroacyi. Według kroackich ustaw zasadniczych (które nie mogą być zmienione bez zgody obu kontrahentów—Węgier i Kroacyi), urzędnicy tego kraju muszą być rodakami, zaś językiem państwowym jest kroacki. Otóż Węgrzy usiłują zrobić wyłom w tej zasadzie, uznając kolejarzy za urzędników państwowych (węgierskich) i narzucając im, w drodze rozporządzeń, urzędowanie w języku węgierskim. Broniąc się przeciwko temu zamachowi, posłowie kroaccy, po wyczerpaniu innych środków, chwycili się obstrukcyi, która jednak została złamaną, poczem ugoda doszła do skutku. Obstrukcya kroacka upadła głównie dzięki temu, że inne narodowości niewęgierskie, mające swe reprezentacye w parlamencie budapeszteńskim (rumuni, słowacy, serbowie), nie uznały za stosowne poprzeć Kroatów, żeby nie utracić łaski rządu austryackiego, któremu na dojściu do skutku ugody oczywiście bardzo zależało. Jest to bowiem charakterystyczne dla tych drobnych narodowości, pozbawionych tradycyj historycznych, że nie ufają one nigdy własnym siłom, ale oczekują zbawienia zzewnątrz. Dawniej zwracały tęskny wzrok na północ i oczekiwały nowego 1849 roku, dziś wierzą w pomoc rządu austryackiego i spodziewają się, że ten, niewiadomo właściwie dlaczego, da im kiedyś to, czego im zachłanność madziarska odmawia.

Bezpośredni cel obstrukcyi kroackiej nie został zatem dopięty. Ale poruszyła ona takie siły w narodzie kroackim, że i rząd węgierski nie odważył się dotąd wykonać swych zamiarów. Kwestya nie jest zatem rozstrzygnięta, tymczasem zaś w Kroacyi agitacya wzrasta do niebywałych rozmiarów, i wszyscy szykują się do mających nastąpić wyborów. Co też przytem należy zaznaczyć, to jednomyślność wszystkich partyj w sprawie konieczności zaprowadzenia powszechnego głosowania do sejmu. Wyraziła się ona między innemi w przyjęciu deputacyi socyalistycznej przez prezydenta sejmu kroackiego (po naszemu — endeka), przyczem obie te tak sprzeczne siły postanowiły zgodnie walczyć o oparcie wyborów na sprawiedliwej podstawie.

MISERICORDIA



(G) Na porządku dziennym stanęła sprawa uroczystego pogrzebu Słowackiego. Ducha jego grzebano starannie, ale bezskutecznie. Prochy można—chodzi o to, gdzie? Twórcy Króla Ducha należy się grobowiec królewski obok Mickiewicza. Podobno jednak sfery, decydujące w tej sprawie, oponują. W takim razie należy poczekać, aż śmierć ich wytruje co do nogi. Słowackiego stać na to, czas bowiem nie istnieje dla nieśmiertelnych.

(p) „Tam-tam nazywa się narzędzie w orkiestrze, które dzwon udaje"…. Stąd początek bierze powszechny w czasie i przestrzeni ród Tam-tam-skich, Tam-tam-sohnów i wszelkiego innego robactwa nieszczęsnej kuli ziemskiej, toczącego ją odwiecznie pod każdą szerokością jeograficzną. Nasza biedna ziemia szczególnie pod tym względem jest płodna. Brzękawek i udawantesów pełno na każdym kroku, bo „tam-tam jest w stanie dzwon Zygmuntów z przedziwną oddać dokładnością, waży zaś ledwo kilka funtów, i każdy dźwignie go z łatwością"… Dźwigają więc ten niewielki ciężar brzękawki i udawantesy rozmaitego kalibru z powodzeniem doczesnem. Gdy zdarzy się wypadek znamienniejszy, lecz niczem niegrożący, wypełzają ze wszystkich kryjówek i mówią: jesteśmy. Przy najmniejszem zaś niebezpieczeństwie chowają się po norach ze drżeniem. Gdy następuje antrakt, krótszy lub dłuższy, wyciągają ze skrytek kilkufuntowe swe „narzędzia" i stają się conajmniej kronikarzami, najczęściej zaś krytykami tego, czego nie widzieli, czego—widząc nawet czasem—nie rozumieli. Tam-tam-sohnowie, oczywiście, nie znoszą nad sobą żadnych wielkości. Usiłują oplwać wszystko, do czego nie dorośli. O pierwszorzędnym poecie czy działaczu, o wieszczu-wodzu, o proroku, o gieniuszu słowa czy czynu, powiedzą: „partacz", nawet nie znając jego dzieł-czynów i idei,—gdyż nie są w stanie zrozumieć i odczuć jego ducha-olbrzyma. Tak mrówka nie zdaje sobie sprawy z ogromu słonia, na którego patrzy napozór. Tak Mickiewicze zawsze mieli i mieć będą swoich Mostowskich i Koźmianów. Ludzie ła-

godnie usposobieni i spokojni a spokoju nigdy niesyci zowią tam-tam-ludków niezbędnymi regulatorami życia. Ludzie szczerzy, umęczeni podłością tam-tam-żywota, spragnieni sprawiedliwości, — ludzie powtarzający sobie z nękającą dusze tęsknotą: „O, Zygmuncie! słyszałem ciebie i natychmiast poznam, gdy usłyszę"...—wołają rozpacznie: „O, naga skało Tarpejska, gdzież jesteś?!

(as) Przysłowiowe plotkarstwo prowincyonalne jest bardzo niewinną rozrywką w porównaniu z plotką wielkomiejską. Warszawa, milionowe miasto, nietylko, jeśli chodzi o plotkarstwo, nie ustępuje prowincyi, ale ją znacznie przewyższa. Plotka, zrodzona na bruku Warszawy, odznacza się niezwykłą lotnością: z szalonym pędem biegnie ona z domu do domu, z kawiarni do kawiarni, wciska się nieproszona wszędzie, niby iskra elektryczna przebiega w jednej sekundzie olbrzymie przestrzenie — i natychmiast po swem narodzeniu staje się tajemnicą publiczną.

W ostatnich czasach, do plotek, któremi karmiła się lat kilkadziesiąt tak zw. inteligiencya warszawska, przybyła plotka nowego rodzaju, plotka wyrosła jak szkodliwy chwast na gruncie miejscowych stosunków politycznych. Dawniejsze stereotypowe pytanie: „kto go rodzi?" – zastąpiło dzisiaj demokratyczniejsze: „do jakiej partyi należy?" Bo dziś każdy szanujący się człowiek, niemal każda instytucya kulturalna czy społeczna musi mieć swoją etykietę. Jeśliby jej sama sobie nie przylepiła, znajdą się usłużni, którzy zawieszą nad nią szyldzik wielomówiący. Czasem taki szyldzik przylega do człowieka, jak plaster bezpieczeństwa, – czasem sterczy, jak piorunochron, ściągający pioruny z pogodnego nieba.

Dawniej tego rodzaju „usługę", ile razy wyrządzała krzywdę, nazywano poprostu denuncyacyą, dziś na określenie takich „usług" nie mamy nawet wyrazu. Tymczasem dawniej ploteczka pozostawała bez następstw, dziś staje się często kluczem, otwierającym wrota najstaranniej zamknięte. Nie powstrzymuje to plotkarzy. Plotkują kawiarnie, knajpy, biura, zebrania towarzyskie, plotkuje cała Warszawa.

Jakże wobec tego zachowuje się prasa?

Wstyd pomyśleć, że właśnie prasa polska staje się często źródłem, z którego biją mętne strumienie owej ploteczki. W artykułach wstępnych, w korespondencyach, ba! nawet w sprawozdaniach literackich spotyka się nieraz przejrzyste, bardzo przejrzyste aluzye, bardzo dużo mówiące napomknienia, czasem wprost wskazówki, o których niemożna myśleć bez wstrętu. Gdybyż to była zła wola piszących! Ach, w takim razie możnaby poruszyć opinię i, wyłączywszy człowieka złej woli z obrębu społeczeństwa, wskazać mu właściwe miejsce. Niestety, podkładem plotki jest tylko bezmyślne gadulstwo lub niepoczytalność. I to właśnie jest przerażające. Bo jakże ma się bronić ofiara, przed jaki trybunał zanieść skargę?..

Apelować do opinii?

Ależ ta opinia znieprawiona jest przez plotkującą prasę!..

Uczynić skandal?

Byłoby to samo, co potwierdzić przejrzystą aluzyę, nadać sprawie, która może przejść niepostrzeżona, rozgłos niepożądany...

To też poszkodowani milczą...

A lotna plotka korzysta w dalszym ciągu z wdzięcznej sytuacyi, z każdej igły robi widły, spada szumiącym deszczem etykiet na wszystkich i wszystko, szerzy się zbrodniczo jak zaraza nikczemna, w całej pełni rozkoszuje się atmosferą przymusowego milczenia. I to właśnie plotkę czasów ostatnich najwymowniej charakteryzuje.

(u) W artykule o tajemnicy zawodowej adwokata (*Gazeta Sądowa* N-r 2) spotykamy zdanie: „...zapytywano ironicznie, czyżby adwokat miał prawo ukrywać nazwisko prawdziwego winowajcy, nawet wtedy, kiedy niewinnie oskarżonemu grozi najokropniejsza ze wszystkich kar—kara śmierci. Bez wahania odpowiadamy: tak!"

Kolizya etyki zawodowej z etyką ludzką kategorycznie rozstrzygnięta na korzyść pierwszej. Adwokat przerósł człowieka. A jednak ośmielamy się przypuścić, że tak zawodowo wymacerowane sumienie zaniepokoiłoby się nieco, gdyby wypadkiem kandydatem na postronek okazał się nie jakiś tam obcy człowiek, ale sam szanowny pan mecenas—posiadacz tajemnicy, będącej dlań jedynym środkiem ratunku.

(g) Na słynnej premierze „Bolesława Śmiałego" kapitalne głupstwo palnął maszynista, że podniósł kurtynę. Spostrzegł się jednak i ku wdzięczności widzów wnet ją w środku sceny zapuścił. Cóż, kiedy bezlitosna dyrekcya kazała mu odsłonić i ukazać w całej pełni ostateczny upadek stołecznego teatru...

(G) Pani Iza Moszczeńska z powodu sprawy Widerszalówny skłonna jest przyznać pewne prawa rodzicom. Z kolei siostry miłosierdzia mimo przykazanie: „czcij ojca twego i matkę" — zajęły wręcz przeciwne stanowisko. Jednem słowem odwróciły się role i pojęcia, a występowe żywioły warszawskie wzburzyły się tak gwałtownie, jakby Widerszalówna była dziś jedynem w Polsce dzieckiem, wydartem z gniazda i zamkniętem.

(G) Głośna enuncyacya +d byłego sekretarza Macierzy przekonywuje zoologów, że gady z gatunku *reptilia stavica* (sztuka niewielka lęgnąca się znakomicie w cuchnących szlamach rodzimych naszych stawów — stąd nazwisko) nietylko syczą, ale i gadają, co jednak nie zaprzecza opinii Brehma, że u płazów wogóle „życiowa wytrzymałość idzie w parze z umysłową tępością"...

Ignacy Grabowski. Król Stanisław August—Tragiedya w 10 obrazach.— Rzecz osnuta na tle kroniki historycznej 1764 – 1768 roku. (Warszawa 1908, str. 159).

A więc rzecz się dzieje w przededniu pierwszego rozbioru Polski, w dobie obfitego rozlewu podłości i rzadkich rozbłysków cnoty obywatelskiej... W epoce kuszącej dramaturga jaskrawą barwnością charakterów, niezrównaną grą światłocieni, — a przesiąkniętej ponurą melodyą nieodwołalnego *Requiem*, którego echa grają jeszcze dziś w zakątkach wielu, wielu dusz.

Czy autor wyczerpał w swej „tragiedyi"—raczej może kronice udramatyzowanej— wszystko, w co obfitowała ówczesna rzeczywistość? Zapewne—nie; ale z niemniejszą pewnością rzec można, że nie pominął żadnego prawie z tonów, z których się składał przeraźliwy dysonans owej doby. Kazał przemówić każdemu, czyje słowo ważyło na szali wypadków, i każdy—czy to król, czy ambasador, czy szlachcic bezimienny—staje przed czytelnikiem w szacie swej indywidualności. To już dużo.

Na scenie ta zaleta musi się przedstawić jeszcze ostrzej i wypuklej. Daje przeto ta rzecz szerokie pole aktorowi-artyście, charakterystyka bowiem osób jest jasna, wyraźna a szeroka.

Ale nie starczy do wypowiedzenia się autorowi osób historycznych. Chce on widocznie uwydatnić coś, czego nie może włożyć w usta żadnej z historycznych postaci, bo fałszem rozdźwiękłyby jej słowa—fałszem lub deklamacyą, emfazą. To „coś" jest to instynkt płomienny, rozświetlający drogę narodowi, ten instynkt, który w owej epoce był rozprószony w wielu, a nie ześrodkował się w nikim. I dlatego nie mógł rozbłysnąć. Głos jego bujał nad tłumami, to niewątpliwe. Znajdował oddźwięk w duszach Sołtyka, Radziwiłła, szlachcica Młodego, Czartoryskiego Adama. Lecz inne głosy w każdej z tych dusz zagłuszały przeczysty ton instynktu, i w tem była ich tragiedya.

Wprowadza więc autor postać półfantastyczną—Beniowskiego. Kim ma być on— widzimy z jego własnych słów:

„Pytasz kto jestem? Jestem z jakichś kresów
„ojczyzny, Boga, wolności i prawdy,
„bo to jest jedno, choć dzielą je zawdy.
. . . .
„Chcecie mego passe-porte,—ślijcie do Mohorta,
„Na Dzikie Pola, gdzie Tatarska porta
„pieje jak kogut na wieczne czuj-duchy!
„Tam mi wyjęto rękę z za pazuchy" — — —

Założenie piękne. Jak pogodzić z niem inny ustęp autocharakterystyki Beniowskiego: „tutaj dziewce pierś połechcę, indziej klesze gębę czeszę"... — jak, powtarzam, pogodzić ten ustęp z przytoczonymi i innymi—tuż obok—to pozostaje, zdaje mi się, tajemnicą swady i temperamentu autora.

Swoją drogą przemówienie Beniowskiego w 1-szym obrazie jest najpiękniejszym i najgłębszym momentem z całego utworu.

Co do zewnętrznej strony książki. Rzadko—nawet u nas—można znaleść rzecz tak dokładnie zeszpeconą błędami drukarskimi. Szkoda... *J. Adamowicz*

= Wyszła w świat wybitna i znamienna książka. Tytuł jej: MONSALWAT — Rzecz o Adamie Mickiewiczu—napisał *Artur Górski—nakładem autora*—Kraków, 1908. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i S-ki.

Pięknej tej księdze poświęcone będzie specyalne studyum, które damy w najbliższym czasie. Teraz notujemy tylko przerażająco smutny objaw: taka książka nie znalazła w Polsce nakładcy!

= Jednocześnie ukazał się dokonany przez Artura Górskiego wybór wykładów, przemów, pism i listów *Adama Mickiewicza* z lat 1840 — 1855 p. t.: NADESZŁY INNE CZASY, wydany już nakładem Gebethnera i Wolffa i stanowiący przypisy do powyższego dzieła A. Górskiego.

= Z nowości beletrystycznych mamy do zanotowania dwie powieści, mianowicie: DZIEJE GRZECHU *Stefana Żeromskiego* i JASKÓŁKĘ *Gustawa Daniłowskiego*.

= W ostatnim (30-ym) zeszycie CHIMERY twórca jej, *Miriam*, w „Ostatnich słowach" przemawia:

„Postanowiwszy uczynić zeszyt niniejszy ostatnim, — nie bez wzruszenia jednak żegnamy i sam korabl z banderą Chimery, na który,—pomnicie, towarzysze?—z takim w słońca wiodącym siadaliśmy zapałem, — i was, wysoka drużbo twórcza, wytrwała a niezłomna,— i was, nieliczni czytelnicy wierni, dla których księgi nasze nie rozrywką były, ale potrzebą. Żegnajcie i pomnijcie!"

= W d. 24 stycznia odbyło się ostatnie walne zgromadzenie unieruchomionej POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ celem zlikwidowania jej interesów do czasu ponownego uruchomienia oraz rozrządzenia istniejącym funduszem.

Majątek Macierzy po dzień 21 stycznia r. b. stanowiły: a) pozostałość w kasie zarządu głównego 640 rb. 69 k., b) w Banku Handlowym w Warszawie na rachunku bieżącym 10042 rb. 70 kop. (bez wliczenia w to procentu bieżącego od 1 stycznia r. b.) c) w Banku Krajowym Galicyjskich 193.370 rb. 64 kop. (bez wliczenia w to procentu bieżącego od 16 listopada 1907), d) depozyty papierów procentowych, ocenionych w dn. 17 grudnia 1907 r. na 94,047 rb. 25 kop. i stanowiące pokrycie trzech kapitałów żelaznych, ocenionych na 91,480 rb.—z przewyżką do dyspozycyi w sumie rb. 2567 k. 25.

Smutnego swego obowiązku dopełniła Macierz, dzieląc ów majątek pomiędzy liczne instytucye oświatowe. Rozumiemy dobrze, że nie mogło wystarczyć kapitałów na obdarowanie wszystkich bez wyjątku stowarzyszeń i uczelni. Uderza jednak okoliczność, że śród pominiętych są właśnie te wszystkie instytucye, które słyną, jako postępowe, a więc: Towarzystwo Kultury Polskiej, Uniwersytet dla wszystkich i t. d.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.



WITEŹ

ROCZNIK I ≡ ZESZYT 2.
Warszawa, 15 lutego 1908 r.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

Słowo optymizmu

Okres tak zw. ery wolnościowej wraz z tysiącem zawodów i rozczarowań przyniósł niejedno doświadczenie i niejedną zdobycz: wykazał kruchość wielu fundamentów, na których wznoszono gmachy nadziei, a zarazem skrystalizował ostatecznie fizyonomię polityczną różnych grup społecznych. Jest to zdobycz niewątpliwa. Społeczeństwo nasze w ciągu lat kilkudziesięciu nie żyło życiem politycznem w ściślejszem znaczeniu tego słowa. Polityka, o ile ją uprawiano, tyczyła się zawsze spraw obcych, własnej sprawy politycznej nie było i być nie mogło. Historyk przyszły zanotuje kiedyś, że polityka u nas długi czas ograniczała się do takich przejawów, jak nieuczęszczanie na widowiska przyjezdnej trupy rosyjskiej, jak bojkot kuratoryów trzeźwości, że politykę robiono nawet z powodu sensacyjnej premiery w teatrze, głośnej powieści, tryumfów znakomitego pianisty lub malarza polskiego zagranicą. Polityką była oświata i praca kulturalna i zaburzenia w uniwersytecie warszawskim. Czasem tylko wrzała głąb społeczna, ale nawet te wrzenia rzadko miały charakter polityczny. W takich warunkach przeciwieństwa i różnice poglądów nie mogły się ujawnić. Ścierały się conajwyżej słowa, ale nie walczyły ze sobą czyny. Taki

stan nietylko nie pozwolił na zróżniczkowanie polityczne, ale nawet w obozach zróżniczkowanych nie ustalił linii wytycznej, co więcej—niezawsze określał jasno cele i drogi, do celu wiodące. Pod sztandarami istniejących partyj grupowały się żywioły niejednolite, żywioły, których psychologia niewiele miała wspólnego z hasłami, wypisanemi na tych sztandarach. Zjawisko to tłumaczy się tem tylko, że akcya płynęła pod ziemią i w dodatku płynęła łożyskiem bardzo wąskiem. Pierwsze wstrząśnienie w społeczeństwie tak apolitycznem, jak nasze, musiało wykazać całe nieprzygotowanie do jakiejkolwiek akcyi politycznej. Jakoż nietylko jednostki w przeciągu stosunkowo bardzo krótkiego czasu zrzucały po kilkakroć swoją skórę polityczną, ale nawet całe obozy zmieniały barwę, wpadały w jaskrawą sprzeczność z niedawną przeszłością.

Okres ubiegły — to pierwsza próba ogniowa, przez jaką przeszły jednostki, obozy, społeczeństwo. Próba była straszna. Po raz pierwszy od lat kilkudziesięciu różne warstwy społeczne wyzbyły się masek i ukazały swoje właściwe oblicza, po raz pierwszy młode siły polityczne, niezaprawione w ogniu walki, porzuciły dziedzinę ideologii i weszły na praktyczną drogę czynu. Zdawałoby się, że pierwszym odruchem powinno być skupienie się i grupowanie polityczne. I były chwile, kiedy można było przypuszczać, iż tak jest istotnie. Niestety, po okresie chwilowego podniecenia nastąpiła era dezorganizacyi, era rozłamów, które trwają do dzisiaj, a przez które oficyalnie lub nieoficyalnie przeszły lub przechodzą wszystkie bez wyjątku obozy. Powoli tworzą się nowe ugrupowania, a co zatem idzie, nowe ustosunkowanie sił społecznych, bardziej odpowiadające rzeczywistości. Proces ten postępuje zwolna i, niestety, biorą w nim udział koła bardzo szczupłe, najbardziej świadome i najczynniejsze. Jest to praca wielkiej doniosłości, ale odbywa się jakgdyby za kulisami. Ogół o niej nie wie, a raczej wiedzieć nie chce.

Ogół jest bezczynny.

Wprawdzie, mówiąc słowami Mickiewicza, fabrykant już fabrykuje, robotnik pracuje, sklepikarz sprzedaje. Wprawdzie tryby machiny społecznej mniej lub więcej prawidłowo zgrzytają i „kipi" praca na polu oświaty, i powiększają się kadry pracowników przy warsztatach kultury. Ale ten ruch jest senny, powściągliwy, apatyczny. Stwarzają go jednostki, ogół nie bierze w nim żywszego udziału. Życie dzisiejsze

słabem bije tętnem, przechodzi, jeśli już nie przeszło, w stan biernej wegietacyi. Mogłoby się zdawać, że przyszedł czas odpoczynku, że ułożyły się do snu mózgi i dusze ludzkie. Bezczynność władz duchowych, skamieniała obojętność na wszystko, co nie wstrząsa i nie przeraża, to piętno chwili bieżącej. Nawet waśnie partyjne straciły swój ostry charakter. Nie leje się już „krew bratnia", nikt do jej przelewu nie jest już „zmuszony", gęściej i głośniej padają dziś słowa, niż strzały. Tak, padają słowa. A na zasadzie tych słów, zarówno szczerych, jak kłamanych, w każdej dobie odtworzyć można istotny stan psychologii społecznej.

Otóż ze słów, jakie najczęściej słyszy się dzisiaj, bije przygnębienie i pesymizm, niewiara w siły własne, oczekiwanie, czy ktoś kiedyś czegoś za nas nie zrobi, oglądanie się za szczęśliwym zbiegiem okoliczności i przypadkiem. Punkt ciężkości znowu przenoszony bywa nazewnątrz. I znowu słowo staje się bezbarwnem i pustem. Czasem wprawdzie słowo to nabiera barwy, ożywia się i przelatuje mimo uszu ze świstem. Zdarza się to wtedy, kiedy drżące usta wyrzucają z wściekłością pianę gniewu i oburzenia. A powody oburzenia mają dziś niemal wszyscy. Bo i jakże? Rozkołysane nadzieje zawiodły; myśl, która niedawno szybowała swobodnie po ogromnych przestrzeniach złudzenia, zamyka się obecnie w kole bardzo ciasnem. Powstaje pytanie: „dlaczego jest, jak jest", a wraz z tem pytaniem zaczyna się poszukiwanie winowajców. Poszukują niemal wszyscy. Kto nie bije się w pierś własną pięścią, tego wyręczają inni. Kto winien? I coraz częściej słowa gniewu padają pod adresem tych, co wywołali ruch olbrzymi, rozpalili pragnienia, rozżarzyli namiętności, poruszyli ukryte głębie. I niema dziś takiego błota, niema takich oszczerstw, ani kolumnij, którychby w tę głąb nie ciskano. Robotnik polski, który był niedawno bożyszczem, dzisiaj bezczeszczony jest przez lada pismaka. Prasa reakcyjna korzysta z każdej okazyi, z każdego wypadku, a gdy niema okazyi i wypadków, to stwarza je sztucznie, byle tylko zohydzić masy robotnicze. Z jakąś dziką radością prowadzona jest teraz ta praca szkalowania, jakgdyby z uciechą, że jest tak źle, że „cudowne przepowiednie" rodzimej reakcyi sprawdzają się, że nad świętą sprawą można z niejakimi pozorami słuszności zawiesić szyld hańby i ohydy. Nawet ci, co wczoraj bałwochwalczo przywiązani byli do powodzenia, co daliby się byli bezinteresownie porąbać za słuszność popełnianych „błędów"

i „omyłek“, dziś umywają ręce i z wyższością olimpijską krytykują dzień wczorajszy. Tymczasem ogół czuje instynktownie, gdzie tkwi jego siła, wie dobrze, na czem można się oprzeć. Ale prasa nasza czyni wszystko, aby zagłuszyć zdrowy głos instynktu, aby uśpić czujność, obrzydzić i zbagatelizować tę siłę. Do morza rozgoryczenia coraz to nowe napływają fale, wzrasta reakcya wewnętrzna i wzrasta pesymizm.

Przeszłość ubiegłych lat kilkudziesięciu mści się na całej linii.

Bo i cóż z tego, że pękła skorupa abstynencyi politycznej? Dziś robi się wszystko, aby tę skorupę wzmocnić, aby przywrócić jej dawną odporność. Jest to psychologia zawiedzionej nadziei. Pesymizm łamie skrzydła, paraliżuje ruchy, krępuje wolę. Powrót do dawnego stanu rzeczy nie wywołuje odporności, lecz przyśpiesza powrót do dawnej śpiączki.

Powodów do tego pesymizmu mamy niewątpliwie sporo, ale nie tyle, aby z rozpaczą opuścić ramiona i pogrążyć je w otchłani bezczynności. Okres ubiegły nie ziścił pokładanych nadziei, to prawda, nie rozpoczął nowej ery — i to też prawda, unieszczęśliwił jednostki — tak, tak; ale nie odjął nam nic prócz złudzeń, przyniósł natomiast sporo doświadczenia, a zarazem wykazał, jak okropne następstwa pociągnęła za sobą długoletnia abstynencya i śpiączka polityczna.

Okres ubiegły był lekcyą, która nie powinna przebrzmieć bez echa. Dziś właśnie wielki czas na pracę, która rozstrzygnie o przyszłości.

Przegrana batalia nie równa się jeszcze przegranej sprawie.

I dziś, w chwili ogólnego zwątpienia, a zarazem w chwili ponownego kształtowania się grup społecznych na nowych podstawach, niemożna tego dość głośno powtarzać.

Najstraszniejszym ciosem jest cios, własną zadawany ręką.



MICHAŁ SOKOLNICKI

Szkice polityczne. II.

„...gniew wypił ducha mego"...

1. Rzecz na świecie żadna nie jest warta, jeno siłą swoją. Z siły począł się i wstał świat. Siła bowiem bytowała na początku u Boga. Wszystkie rzeczy nie stały się, jeno jejże dziełem, a mimo niej żadna nie jest rzecz. W sile był żywot. W sile była światłość, w ciemnościach jaśniejąca bez miary. W sile były ciemności przedwieczne, nieogarnione, nieśmiertelne. A ciemność zawarła początek, narodziła w sobie przedwieczne świtanie. Ciemność, pramatka słońc, pierwszy chaos, złożony na dnie wszystkiego, rozpostarty bezkresem nieb, osnuwający krańce tęczami zjawisk.

Miłość jest tylko spętaniem sił i możnością dana im, aby się rozpętały. Słowo silne, jak strzała wyrzucona z cięciwy, pokazuje, dokąd siła idzie. Słowo słabe częstokroć nawet drogi nie pokaże. Czasem, jakby tuman, drogę zakryje, kędy przechadza się myśl.

W czasie, pośrodku przemijania cieniów, daną jest myśl człowiekowi. Myśl jest chwałą i nędzą, Szatanem i Bogiem, światłością ducha, czyli mętem, chwianiem się, snuciem. Jak błyskawica, co przyszła przez chmurne niebo: po niej ciemność głębsza. Ukazanie twarzy niewiadomych „w okropności widzenia nocnego, gdy sen na ludzi zwykł przypadać". Myśl jest tym snem ciężkim, o którym człowiek, wiecznie w żywocie swoim tęskniący, rzekł: noc moją obrócił w dzień. Myśli, jak gwiazdy, świecą człowiekowi; jak gwiazdy—błądzą, chwieją się; jak gwiazdy—gasną. Jak błyskawice, giną w swem poczęciu.

Pracujemy, biedne i pokrzywione dzieci ziemi, nad tworzeniem

drugiego chaosu. Powoli budujemy światłość ducha. Wszystka jest światłość zrodzona w ciemnicy i nieodmiennie jejże podległa. Chaosem, jakby początkiem odnowa wszystkiego, są źródła myśli. Mają oparcie w niepewności ciała, w ciągłem łamaniu się natury. Sobie samym są jako błędne gwiazdy, pokazujące wciąż na firmamencie drogi wszystkie, a każdej drodze i losowi sprzyjające błyskaniem. Firmament jest wieczyście ciemny dla kwitnących nam światów. A od tej ziemi aż do tego nieba rozpostarte są zwiewne tkanie widzenia przez myśl.

Myśl uczyniła człowieka samotnym, a nie jest nigdy sama. Jest jak powój, jak srebrna nić pajęczyny. Są myśli, jak chmury strzępiate, przechodzące na wysokościach, kędy odsłania się, niknie szczyt. Plączą, chwieją się, czepiają czegoś wiecznie i giną. Są siłą, kiedy strącają granie skał lawinami. Są siłą, gdy otumanią; albo, kiedy zerwą, rozdepcą człowieka. Są siłą, jeśli się oplączą, jeśli działają nie z siebie, nie z ducha, ale z krwi. Myśl żadna nie jest nic warta, jeśli nie może jednem swojem tchnieniem ludzi porywać w zaświaty, ludzi gnębić i tratować, zbrukać i zniszczyć, jeśli zaprą się ducha i gwiazdy wiodącej, i snu swojego, i błyskawicy w wiecznej ciemności.

Chaos myśli plącze się niepewnością bytowania wszystkiego. Nędza i boleść mieszka w nas, gdyż żaden twór z krainy naszego słońca nie zjawi się ani też trwa, jeśliby nie miał w sobie siły zwierza. Przez nędzę i boleść zdobywamy i jednoczymy w sobie całość istnienia. Wirujemy na drogach, kędy żyje potwór i cud. Chwiejemy się wskroś świata, gdzie czuwają Szatan i Bóg. Zamyka się koło nasze. Napełniony boleścią aż do mroku trwa człowiek i nadchodzącym chmurami wieczorom, koczującym ponadchmurnym duchom grozi przedwiecznie swojem zniszczeniem, mówiąc: „oto teraz w prochu zasnę, a jeśli mię rano poszukasz, nie będzie mnie". Przed wiekami żałością zbity człowiek zeznał, iże ciało jego oblekło się zgnilizną i plugastwem prochu. Zaś duch przechodzi przez wszystkie losy ciała. Niczem jest na świecie, jeśli choć raz się trwogą życia nie zmazał. Niczem jest, jeśli choćby wartości tego prochu w sobie nie posiada, z którego jest poczęty, i w nimże skończony. Niczem, jeżeli z prochu swojego nawet kamienia nie urobi, aby kamieniem mógł przycisnąć oczy nieprzyjaciela. Niczem zaprawdę nie jest taka myśl, coby nie umiała, w braku innego użycia, być położoną na drodze, aby się wróg potknął; i aby człowiek myślący później nie płakał głosem pustyni swojej, że ani już

moc kamienia nie jest mocą jego. Bo, istotnie: jeśli położy swego ducha na tej wielkiej drodze, i kiedy wyśle myśl, zmęczoną do śmierci, a nikogo nawet nie powstrzyma? Tedy płakać będzie i złorzeczyć wielką trwogą: bracia go minęli w obłędzie drogi, jako potok bystry, co prędko przebiegł, rozsypał się po nizinie skorupami lodu, szronem zginął w głębokości śniegu.

Dwojakiego bowiem rodzaju jest siła: mieczem być może, albo prochem leżącego kamienia. I są te siły na początku i są jednakowo na końcu, zarówno w ciemności i w świetle: prabłyskawicą rozdzierającą mrok i przedartym mrokiem. Są dzisiaj, pośród biednych ludzi, płaczem ich samotności i śmiechem, gdy się spotykają po drodze.

2. Dobry, mocny, ciężki jest kamień; lepszy jest ostry miecz. Od kamienia łupanego do wyostrzonego żelaza szło postępowanie ludzi: wprawdzie i dzisiaj więcej jest zawalidrogów, niż ostrotnących. Wielu zaś już i tak daleko zaszło, jeśli innym drogę zawalą.

Jeżeli rzecz którakolwiek jest, snać ma siłę; silna—istnieć będzie, aż póki trwa siła jej. Siłę inna tylko siła zmódz może. Zło zwyciężone będzie tylko przez mocniejsze: dobro, czyli też zło.

Ludzie zaś chcą potęgi żelazne i kamienne rozgnieść słowem. Słowa, jakgdyby wiatr łagodnego poranku: czy utulą ogień? czy uciszą żar? czy zagasną pod wietrzykiem burze południowe?

Siły trwają przemijaniem swojem. Niezmiennie przemija wszystko: i ciemności, i słońca: gwiazdy niebios i niebiosa ludzi. Trwają siły wszelakie pożeraniem wzajemnem. „Bojowanie jest żywot“. Pełno ma świat nienawiści swojej.

A ludzie chcą światy zdobywać miłością! Atoli grzech ów przeciwko myśli mniej niebezpieczny jest. Nim pokochają, nienawiść im serce miłujące zeźre.

3. Ludzie, którzy cieszą się, że ogień krwawy zachodzi, i widzą trwające złote zorze pokoju, podobni są tym, co patrząc na opadanie słońca, nie wierzą w jutrzejszych świtań błyskanie. Takim lepiej jest, ażeby przed porankiem zasnęli, patrząc w ciemności, sprawiedliwi.

Jednak dużo więcej tych, którzy widzą zorzę tchórzostwa wschodzącą nad ludzkość, i patrząc, w ręce klaszczą. Lubią wojnę cichą: uży-

wają względem bliźnich swoich bezkrwawych nożów idei: krwi na tych nożach nie znać.

Pokurczeni, jak nasz cień na bruku, stajemy się bohaterami cieniów: doskonalimy działanie na odległość rozgałęzionych naszych macek: potrzeba nam ognia nowego i bohatera, coby ogień dzierżył i one wydoskonalenie myśli, jak głowy harpii, wypalił.

Niema wpośród nas starożytnej czci ognia. Od płomieni jesteśmy, jako cienie daleko się kładące. Cienie mówią: „przeciw listkowi, co go wiatr porywa, pokazujesz moc swoją, źdźbło suche gonisz". A nasza prawdziwa wojna jeszcze jest tchórzliwa.

Żyją ludzie pośrodku stosu zamordowanyach myśli, około grudy ciał zabitych przez myśl. Nie mają ognia, ani odwagi, nie staną twarzą w twarz. O naszym to człowieku wyrzeczone było: „lat okrucieństwa jego nie jest pewna liczba, szum strachu zawżdy w uszach jego".

Myśli nasze są częstokroć piękne, w których niema człowieka. O kiedyż zawrzemy przymierze z ciężkim kamieniem? Kiedyż myśli zaważą, jak ogień tlejący, a rozbłysną, jak snop iskier?

Czyż dopiero wtenczas, gdy błyskawica Pańska rozedrze niebo od końca do końca, będziemy wiedzieli, że nadchodzi godzina Gniewu?

4. Jak złodziej, czyhają na nas jutrzejsze czyny nasze. Trza zaprzeć wrzeciądze dusz i czynić siłą dusz, aby nam czyny sił naszych nie ukradły. Czas, czas mnożyć nasz gniew. Gniew bowiem jest dobrym doradcą i uczciwym pośrednikiem. Ostudzone czoła, wyniszczone ciało gniew krwią nakarmi, ogniem przyodzieje. Człowiek gniewu świeci, jako latarnia żyjąca.

Myśl wysoka ma wyniosłe mieszkanie. Kwiat tajemniczy sam sobie rozkwita, błyska i więdnie. Sam jest człowiekowi ciężarem, z nim razem i w nim jest siłą. Przychodzi, staje się sam, od nikogo niewołany, nieczęsto.

Lepszy jest wspólny bat, niźli wspólna myśl. Bowiem myśl taka może być tylko słowem, gdyż myślenie istotne dzieli ludzi. Prawdziwie łączyć się można w pracy. Istotna praca z czynów się składa. A czyn jest zawsze piękny, jeśli tylko ofiarowany wysiłkiem człowieka: rozmnoży się jego panowanie.

Praca bowiem nie ma końca i nie zna miary. Czekają nas czyny nasze, abyśmy je pomnożyli. Mały jest naród. Trzeba go mnożyć.

Wołano niegdyś do Boga słowami: rozmnożyłeś naród, a nie uczyniłeś wesela. Czyny powstają w weselu, albo w gniewie. A że ku wesołości niepłodna jest ziemia nasza, trzeba, abyśmy mnożyli gniew.

5. Nad wysoką skalną szczeliną, pod lodowymi zręby wiecznych gór-samotników, kołyszą się wałem za wiatrami sine chmury. Gdy przechodzą duszne podmuchy z południa, chmura się strzępi, płynie powoli. Jak rzadko słońce, jak rzadko dni jasne odemkną widmo szczytów. Jak długo, jak smętnie, póki duszne wiatry, chmurne błądzenie, siną ociężałość rozetnie miecz potęgi bez czasu i bez kresu, utkwiony pomiędzy gwiazdami: Światło. Jak rzadki mocny gniew!

Za górą, za morzem, za ukrytym błękitem rozkłada się brzegiem umarłym, nagłą skałą piasek złoty i spalony kamień ku dalekości sinej od zbytecznych słońc. Skroś przez ziemię, w której niema zdroju, ani ochłody, szły przedwieczne tętna Boga. W sypkim piasku pustyni wybite są do dziś dnia ślady trwań przedwiecznych. Z jaskiń tych gór, od tajemnicy wiatrem zdali wiejącej, ku morzu sennemu, gdzie purpurowe zapadało słońce, wowały krzykiem wielkim głosy nieśmiertelności. Za lud mówił, za lud stawał Bóg. Trzęsieniem ziemi i pianą morskiego zalewu, piorunem i gradem z niebios i hukiem komet roztrąconych mówił naród judejski, gdy mu głosu zabrakło, jeśli broń była skruszona, i kiedy ręce omdlały od cięcia.

Mówił: „Czemu targam ciało swe zębami, a duszę niosę w rękach moich?“ Aby się głos podniósł jeszcze, serce krew swą wylało, aby niosła się przed człowiekiem zemsta. Gdzie siwa chmura wstaje z za mórz, kędy obłok biały się kołysze, na skrzydłach wichrowych przechodzi Bóg. Nocuje na chmurze serafinowej. Mieszka pośrodku ducha wiatrów i z burzą idzie, a lice mu drży błyskawicą. Na szczytach suchych skał są legawiska jego ptaków-gońców. Z pustyń za jego nakazem wyjdą dzikie zwierza. Pustyni i skałom śpiewa wieczny szum morza. Mówi gradem i błyskawicami zatraceń. On zna pustość serc ludzi. Więc i w próżności człowieczej mieszka, jest drgnieniem zdartych bezsenną modlitwą ust, wysiłkiem przemęczonej piersi.

„Czemuż mnie prześladujesz jako Bóg?“ pyta człowiek najsmutniejszy. Ty z kaźni niewinnych, z płaczu dzieciątek się nie naigrawaj—

woła boleść sroga. Ale milczy chmura koczująca i wiecznym, nieśmiertelnym szumem mówi morze.

Gdzie dolina żyzna, kędy morze łagodne, osiadły narody. Płynie srebrnym snem rzeka. Wielkie domy w miastach nad kamiennymi brzegami. Kołyszą się ptaki w górze. Oddaliły się o staj zwierzęta srogie. Rośnie drzewo koroną szeroką, kwitnie kwiat, zapłonie owoc. Doliną widzenia przechodzi zwierciadło niebios. Nad boże gwiazdy wysoka stolica, obłokami, jakby Bóg, przechodzi duma ludzi. Gdy zaciąży brzemię pustyni morskiej, ziemię rozproszą języki płomienia, ustanie rzeka, wicher powieje piaskiem szeleszczący. Obnażoną, uwiędłą, jak zszarzały węgiel, będzie ziemia. Złamie się drzewo, uschnie nasienie. Wszystkie zlecą się ptaki górne, wszystkie tam zakoczują bestye zimujące i zginą jedne wraz z drugiemi.

W nocy zburzone jest miasto. Latorośle wybiegną za potoki pod wierzbami, za zginioną zieleń, za suche morze. Podeptany jest wszystek gad i pełzacz ludzki, który na górze świętej usiadał. We śnie przeciągłym pustyni nad morzami piaskiem są miasta. „Ani tam rozbije namioty Arabczyk, ani pasterze odpoczywać tam będą“. Nad stojącą wodą zasmęcą się rybitwy. Dziki kosmacz pustyni przebieży kamykami wykładane świetlice. Ptactwo krwiożercze zamieszka w zborach rozkosznych. Aż nie zostanie, jeno gromada kamienia po obaleniu.

Ponad trupem przykrytym robakami dusza zwyciężonego wyć będzie sobie. Z otchłani wieków przyszła zemsta, a ziemia, umęczona słońcem, użyźniona człowiekiem, pod lotnym piaskiem odpocznie. Niema nic, jeno pustka nad szerokiemi, powolnemi wodami. Niema, jako jeno nędza ludzka i złote słońce nad bezpłodnym brzegiem.

Gniew żył w ludzie, i Bogiem jedynym stał się lud. A jeżeli zemsta sama siebie pożarła, jak wściekły lew na pustyni, jeżeli z gmachu narodu cegły wypadły i kamień na kamieniu nie został: świątynia wskrzeszona szła za słońcem, a drogom ich nie było kresu. „Cegły upadły, ale kwadratowym kamieniem budować będziemy. Płonne figi porąbali, ale cedry odmienimy“.

6. Gniew jest w ludzie. Żyje w prostej sile, niezmazanej bezpłodną myślą. Jest w tęgich barkach, mocnych, aby uniosły na sobie w przestrzeń chaos ducha. Ludzie, bojujący tylko z myślą swoją długiemi nocami; ludzie, którzy chcą siebie i brata swojego zgnębić, aby

wznieść człowieka w kraju, aby odbudować kraj w człowieku; wszyscy radośni walce—wierzą w lud, idą weń, stają się ludem. A kanonem wiary tej nie jest słowo. A drogą jej nie jest rozwój, co jako rzeka przepływa pośród niezmiennych brzegów, jako rzeka pod ogniami niebiosów usycha. Ale źródłem jej wojna, mocna i ciągła, jak parcie lodowców, wieczna, jak ludzkość. A jej zasadą społeczną jest gniew.

Zaś jej nauką polityczną jest wiadomość, której korzenie są wszędzie w polu, i której liść i kwiat są dla każdego. Trza się uczyć Historyi. Trzeba uczyć Historyi. Jesteśmy, jak dzieci małe. Od przypadków bez liku ciągle zależni. Och, nie na to nam trzeba Historyi, aby wypadki przewidzieć, aby dążenia liczyć. Potrzeba jej nam tylko po to, aby umieć chodzić.

Jesteśmy dziećmi małemi. Każdy z nas, pozostałych: „mały, lichy i niewielki". Rozrzuceni po bezkresnem polu, każdy z nas uprawia ciasną, samotną grządkę. Nie myślą naszą, ale czynem jesteśmy samotni. Niechaj kwitnie, niech się święci ten jedyny, ten rzadki, raz na stulecie kwitnący kwiat: samotna, dumna myśl człowieka; duch wychodzący gwiazdom na spotkanie; sen u Boga. Błyskawica przez całe niebo, skroś wszystek czas. Lecz czyny nasze są rozdrapane i podarte. A musimy być jako pługi, a czyny, jak skiby. Nim słońce wzejdzie, droga daleka, woła siny tuman.

Wstaje tuman od kresów błądzenia, od chmury ze skrzydłami anioła. Podnosi się tuman od korzeni naszych trosk. Cały naród jest jak ścięty, ach, bez płodu jeszcze, snop.

Dziećmi małemi jesteśmy. Stąpać nie umiemy po matce-ziemi. Nie wiemy, wcale nie wiemy, co kryje. Aby grzędy spracować, aby na tem polu siąść i dumać, aby razem orać: czyliż wiemy, co ziemia ta cierpiała, co daje, jakie leki, jakie sny, jakie trucizny zawiera ów ostatni pokład ziemi: trupy ojców naszych? My nie znamy, nie wiemy, zapomnieliśmy. Wzrośliśmy w niewiedzy blasku jedynego, co świeci w naszem najsmutniejszem niebie.

Och, nie na to nam potrzebna Historya, ażeby w drogi ojców wnijść, ani, by o klęskach śnić, i nie na to nigdy, aby myśl historyczną wyrabiać, wszystko rozumieć, dociekać, przerobić, odnowić, sfałszować, znieprawić i podeptać.

Ale żeby w ziemię rodzicielkę korzeniami wrosnąć.

I na to, ażeby w czynie, idącym, jak pierwszy powiew żniw nad polami, nie drżeć, jak wietrzyki.

I na to, aby mieć gniew nieugaszony, gniew burzy i gradu, gniew morza i wichru, gniew piekieł.

Wtenczas dopiero, gdy gniew żyć będzie w piersi naszej, wejdziemy w lud i staniemy się ludem. Bo lud jest jak te góry. Jego uczucia, zasłonięte chmurą siwą, okutane zimowem śnieniem, żyją i stoją odkryte i jasne przed wieczystem słońcem. Tak pod lodowcami, na dnie czeluści, słychać czasem, jak serce ziemi bije.

Od ludu polskiego uczyli się ostatnio Polacy kultury, sposobu myślenia i zasad. Ale pusta jest nasza równina. Jak tamte ziemie za dziejową karę, tak ona dziś „dzierżawą jeża i kałużami wód". W błocie, w rozpaczy tonie dom ludu. Skisła jest ciemność a zgniłe światło, które świeci. Popatrzeć na tę dziwnie szlachetną, cudnie wielką twarz ludu: jak tęskni do jasności, jak żebrze o blask! jak poomacku szuka, szuka...

Ale potrzeba, aby na równinie i na granicy miedz góry gniewu stanęły.

Głodnym miast chleba rzucano kamienie. Kamieniami są słowa i doktryny, ze słów uczynione, dla ludzi głodnych myślenia dla czynu.

Do ludu potrzeba iść z Historyą w dłoni. A uczyć się odeń gniewu. I rozmnożony będzie Gniew.



JAN KLECZYŃSKI

Włościanie w końcu XVIII wieku

Szkic

Chłopi polscy w końcu XVIII wieku byli to — jak zresztą wszędzie wtedy w Europie, oprócz rewolucyjnej Francyi — ludzie niemający „od rządu żadnego prawa, zabezpieczającego ich osoby i majątek", „nie byli przywiązani do kraju", ani też „interesowani w dobru powszechnem" [1]).

Nie posiadali nic — nawet wolności osobistej — oprócz wiary katolickiej, która w piekielnej ironii uczyła ich o równości wszystkich, o karze za grzechy i o władzy „nadanej od Boga". Żyli nie dla siebie, ale dla swoich panów, których bicz spadał im na plecy. Nie wiedzieli, że mają prawo do ziemi, którą obrabiają. „Nie wiedzeli, że mają ojczyznę" — mówił Kościuszko. „Na 7 milionów w narodzie — 100,000 wolnych" — woła Staszic. „Widzę miliony stworzeń" — pisze dalej o chłopach ten wielki człowiek o gorącej, prawej duszy — „z których jedne wpół nago chodzą, drugie skórą albo siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe, oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznemi piersiami ustawicznie robią. Posępne, zadumane i głupie, mało czują i mało myślą, to ich największą szczęśliwością. Ledwie w nich dostrzedz można duszę rozumną. Ich zwierzchnia postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza, niżeli do człowieka. Chłop — ostatniej wzgardy nazwisko mają.

Tych żywnością jest chleb ze śrutu, a przez ćwierć roku samo zielsko; napojem woda i paląca wnętrzności wódka. Tych pomieszkaniem są lochy, czyli trochę nad ziemią wyniesione szałasy. Słońce tam nie ma przystępu, są tylko zapchane smrodem i tym dobrotliwym dymem, który, aby podobno mniej na swoją nędzę patrzyli, zbawia ich światła, aby mniej cierpieli, i w dzień i w nocy dusząc, ukraca ich życie mizerne, a najwięcej w niemowlęcym wieku zabija. W tej smrodu i dymu ciemnicy dzienną pracą utrudzony gospodarz na zgniłym spoczywa barłogu, obok niego śpi mała a naga dziatwa na tem samem legowisku, na którem krowa z cielętami stoi i świnia z prosiętami leży. Dobrzy Polacy! oto rozkosz tej części ludzi, od której los waszej Rzeczypospolitej zawisł. Oto człowiek, który was żywi! Oto stan rolnika w Polsce!"

„Nigdy nie widziałem śmiejącego się chłopa polskiego" — pisze francuz Mehée [2]). Inny autor francuski, Vautrin [3]), powiada: „chłop ma minę dziką, twarz ciemną, spaloną, prawie czarną, policzki wychudłe, oczy zapadłe, unikające spotkania ze wzrokiem patrzącego, broda zakrywa mu oblicze, wzrost raczej mały, niż wybujały — chodzi zwolna i nie śpiesząc, apatya ogólna czyni go niezdolnym równie do wielkiej radości, jak do poczucia niedoli; wyrwany z ciasnego kręgu swoich idei, nie umie już pojąć nic — wówczas staje się prawie osłupiałym. Chłosta, która mu grozi, czy nagroda, co go zachęca, obojętne mu są również".

„Kańczug jest narzędziem, które rządzi tymi tłumami" — czytamy w „Nationalgemälde Polens". „Dwadzieścia batów—okropna kara, ale w Polsce za bagatelkę po sto i sto walą" — cytuje Kraszewski, poczem dodaje od siebie: „Obraz jaki nasz podróżny maluje, nędzy, zdziczenia, brudu, wybladłych twarzy i t. p. okropny jest, ale któż z nas przed laty pięćdziesięciu nie przypomina sobie, jak to po wsiach bywało!"

Kraszewski pisał to r. 1875, a więc mówi o roku 1825. Z tej samej epoki posiadamy już obecnie inne świadectwo, będące jednym krwawym wyrzutem przeciwko dzikiemu uciskowi, jakiego doznawali wówczas włościanie: jest nim „Opis życia wieśniaka polskiego", pisany przez Kazimierza Deczyńskiego, a podany do druku r. 1907 przez p. M. Handelsmana. Niemożna tego strasznego pamiętnika czytać bez wstydu i bólu. Opis, jak szlachcic targał za siwe włosy i kopał starca, ojca Deczyńskiego, jak go „pan" z kilku parobkami trzymał, a inni

walili kijami, jest niedozniesienia, jest policzkiem, który pali twarz każdego polaka, czytającego o tej hańbie, co żyła w narodzie niepokarana — w narodzie będącym w niewoli. Nie mówię już o piekielnych pomysłach wyzysku ze strony pana, w jakie obfituje ten pamiętnik...

Ale i potem nie lepiej chłopom bywało.... długo, długo.... Dola ich niewiele się musiała polepszyć aż do czasów tuż z przed roku 1863, kiedy jeszcze matka piszącego te słowa, wychowana na wsi, pamięta straszliwe sceny pańszczyźniane. Okrutne *bicie* chłopów należy do jej najokropniejszych wspomnień.

Jeżeli zaś stan tak ohydny *istniał jeszcze przed laty pięćdziesięciu od daty dzisiejszej*, to możemy sobie wyobrazić, co działo się przy końcu wieku XVIII.

Nikogo też nie zdziwi zapewne wniosek jednego z pisarzów tych czasów, cytowany u Kraszewskiego: „Jak koń i wół nie dba o to, czyli Polska jest polskim narodem na świecie, tak mieszczanin w Polsce i chłop nie jest w stanie czuć zguby narodu, bo nie był obywatelem polskiej ziemi".

„Jakiej usługi może się Rzeczpospolita spodziewać od takich ludzi?" – słusznie pyta inny autor [4]).

A jednak w tych ciemnych masach leżało właśnie odrodzenie narodu. Te siły spętane trzeba było obudzić, tchnąć w nie ducha.

Myślano o tem w Polsce oddawna. Ale myślały, niestety, tylko wyjątkowe jednostki. Idea, że dla włościan trzeba „coś zrobić", błąkała się u nas od XVII wieku. Dlaczego ją zatracono—ujrzymy w pracy, poświęconej szlachcie z owych czasów. Tam także wykażę, dlaczego za Stanisława Augusta idea ta, ożywszy nanowo pod wpływem straszliwych wstrząśnień i haseł francuskich, wydała takie tylko owoce, jak Konstytucyi 3-go Maja artykuł (4-ty) o włościanach, który zapewniał im „opiekę" rządu, nie zmienił jednak gruntownie stanu rzeczy, dawał tylko *„możność prawną poprawy ich bytu"*. „Ułożenie tego punktu Konstytucyi *wzywało do wzajemnych umów, które miały prowadzić do oczynszowania i emancypacyi"*... [5]).

I nic więcej...

Tymczasem przeszedł r. 1792, nadszedł wybuch r. 1794. Ojczyzna w osobie przywódców powstania zwraca się do ludu – bo musi – bo wie, że inaczej nie zwycięży — lecz *jak* się zwraca? Oto pytanie zazwyczaj dyskretnie omijane w historyi.

A jednak kwestyę tę postawił już bardzo jasno i zdecydowanie pisarz zbyt mało u nas znany, członek „Centralizacyi Towarzystwa Demokratycznego Polskiego", jeden z podpisanych pod słynnym „Manifestem" tego Towarzystwa, wydanym w r. 1836 w Poitiers, — Wiktor Heltman.

„Twórcy Konstytucyi 3-go Maja wiedzieli dobrze — pisze ów autor — że w masach ludu nietknięta dotąd siła spoczywa. Pojęcie to musiało koniecznie stać się jaśniejszem po r. 1792, kiedy najsmutniejsze nauczyło doświadczenie, że w stanie panującym zgasły siły, które przedtem do obrony ojczyzny wystarczały, że zatem, bez poruszenia mas, obcego jarzma zrzucić niepodobna. Jakoż myśl ta była w rzeczy samej panującą w powstaniu r. 1794". „Lecz tąk, jak w czasie czteroletniego sejmu, niedołężność jednych, zła wola drugich, wstrzymały jej rozwijanie się, skrzywiły ją i do zupełnej bezsilności przywiodły".

„*Obok głównej myśli poruszenia mas* — pisze dalej Heltman — *stanęła zaraz inna, wprost jej przeciwna, myśl nienaruszania społecznych między mieszkańcami stosunków.* Lękano się obrazić, zniechęcić, oburzyć stan panujący, który przez swoją polityczną i socyalną przewagę, przez dostatki i oświatę, stał jeszcze na czele społeczeństwa naszego. Chciano złożyć mu niewątpliwą rękojmię, iż kierujący narodowym ruchem nie mają zamiaru burzyć istniejącego rzeczy porządku, niszczyć przywilei, *naruszać własności.* Tą rękojmią miała być Konstytucya 3-go Maja. Dlatego w pierwszej zaraz chwili powstania przywrócono ją, ogłoszono za obowiązującą i wszystkiemi siłami bronić zaprzysiężono".

„Lecz zupełne zachowanie ustawy, gwarantujące wszystkie dawne domowe gwałty i wywłaszczenia, nie pozwoliłyby nic dla mas uczynić, niczem ich poruszyć; trzeba więc było koniecznie główną tej ustawy zasadę nadwyrężyć, a tem samem szlachtę zniechęcić. Otóż pomiędzy nienaruszeniem szlacheckiej 3-go Maja Konstytucyi a koniecznością jej zgwałcenia wahała się ciągle myśl patryotów. Niepewna i trwożliwa, sprzeczne z sobą żywioły pogodzić usiłująca, lękając się dotknąć ostateczności, w środku zawieszona, musiała udaremnić wszystkie, największe nawet i najczystsze poświęcenia". Otóż ta „wahająca się myśl patryotów" była także myślą Kościuszki. Wiedział on, że słowo „poddany" „przeklętem powinno być w oświeconych narodach" [6]). Wiedział doskonale o obojętności ludu, rozumiał, że powodzenie powstania zależy od

„upowszechnienia zapału“, od „uzbrojenia wszystkich ziemi naszej mieszkańców“, że zatem w ludzie wzbudzić trzeba miłość kraju“ [7]). Lecz jednocześnie potrafił wyrazić następujący pogląd: „Postawić masę 300,000-czną *łatwo* przyjdzie, *byle szczerze chcieli ziemianie i księża, którym lud powodować się daje*“ [8]). „Szczerą chęć“ czyli zapał winni według tego poglądu posiadać tylko ziemianie i księża; lud zaś, który ich *usłucha* — bo tak chyba tylko należy rozumieć zdanie „powodować się daje“ — to jakaś *bierna* masa, narzędzia, pionki w ręku tych, których rozkazy wypełniali od wieków.

Inaczej mówiąc, niewolnicy ci poszliby na bój siłą swej niewolniczej inercyi, dzięki temu, że dawno już zatracili swą wolę na rzecz uprzywilejowanych — nie zaś dzięki wrodzonemu popędowi „patryotycznemu“.

Bo przecież sam Naczelnik przyznawał, że oni „nie wiedzieli nawet, czy ojczyznę mają“.... Rzecz prosta, że w takich warunkach nie mogłoby być mowy o jakimkolwiek „zapale“. Gdyby więc nawet „łatwo przyszło postawienie masy 300,000-ej“, to taki bierny, posłuszny tłum, niewyćwiczony i licho uzbrojony, nie odpowiedziałby jedynemu warunkowi, jaki mógł ocalić sprawę powstania, warunkowi słusznie podkreślonemu przez Kościuszkę: „upowszechnienia zapału“.

Zarazem zaś zdrowy rozum i jakietakie wniknięcie w psychologię chłopa dyktowało, że frazes, jakoby lud dawał się powodować i szlachcie i księżom, mógł być zgodnym z prawdą tylko w minimalnej dozie, w drobniejszych jakich sprawach, nie zaś tam, gdzie chodziło przecież o ofiarę z własnego życia. Rzucało się w oczy, że trudno będzie *komukolwiek* zachęcić włościan do przelewania krwi własnej *dla takiej „wolności“, która.... nie miała być jednocześnie ich wolnością!* Tembardziej zaś trudno musiałaby przyjść ta „zachęta“ ludziom, którzy od wieków, codziennie, poniewierali chłopem, więcej ceniąc bydlęta. (Pomijam już samą nieetyczność podobnego werbowania żołnierzy, którzy ginęliby, nie mając nawet tej pociechy, że śmierć ich wyzwoli z nędzy, hańby, niewolnictwa i ciemnoty miliony współbraci-paryasów. Chętnie wierzę i nawet jestem głęboko przekonany, że w gołębio czystej duszy serdecznego idealisty, jakim był nasz Najwyższy Naczelnik [9]), miłość ojczyzny zasłoniła wszystkie inne względy, że względy takie nie przeszły mu nawet przez głowę).

„Wieśniak — pisze Kraszewski — nie był człowiekiem, obywatelem, ani być mógł Polakiem, bo był niewolnikiem“.

„Próżnem zupełnie byłoby — pisze w innem miejscu — narzekanie na brak miłości kraju w wieśniakach, którzy nie mieli ani czasu, ani powodu rozmiłować się w swobodzie, nie kosztując jej, ani wierzyć w tę, jaką im obiecywano“.

Dajmy na to jednak, że jeszcze *przed rozpoczęciem akcyi powstańczej* można było snuć jakieś niejasne, zupełnie oderwane od życia marzenia „jedności“ w narodzie ciemiężonych i ciemiężycieli, „napóźniej“ odkładając załatwienie najbardziej palącej sprawy uczynienia zadość sprawiedliwości społecznej. Lecz co czyni cały powyższy pogląd Kościuszki niezmiernie charakterystycznym, dlaczego o nim tyle mówię? — oto Naczelnik wypowiedział go w liście pisanym do Sapiehy już w obozie pod Połańcem, d. 12 maja (według Korzona), a zatem już przeszło miesiąc po bitwie Racławickiej i doświadczeniach z nią związanych.

Jakież to były doświadczenia?

Oto wprawdzie tam chłopi z pod Krakowa zwyciężyli, pokazując, że spoczywa w ich duszach bohaterska odwaga, lecz zarazem dowiedli, że nie zdają sobie sprawy z doniosłości dokonanego czynu — nie wiedzą dobrze, o co walczą — bo po bitwie „poszli sobie do chat swoich, i Komisya Porządkowa odezwą z d. 7 kwietnia nakazać musiała rządcom, aby ich drogą łagodności do powrotu zachęcali“ [10]). Zajączek twierdzi przytem, że „oficerowie nie byli w stanie powstrzymać swoich żołnierzy od obdzierania trupów“ [11]) — a włościanie nie mniej od innych byli czynni w tej akcyi. Ossoliński znów pisze, że Naczelnik „zdobycz oddał żołnierzowi i kazał chłopom, aby zanieśli (ją) żonom swoim, co zachęciło ich do wracania w większej liczbie“ [12]).

Niedosyć na tem. Nawet tam, gdzie widocznie „szczerze chcieli ziemianie“, a rzadko gdzie tak było, jak zobaczymy poniżej, — „zdarzało się, że *dziedzice przystawiali rekrutów powiązanych*“ [13]); „wszędzie — mówi Zajączek, naoczny świadek — widziano na twarzach i w mowach chłopów wyraz wewnętrznego smutku i obojętności, widomy skutek długiej niewoli, połączonego tyrańskiego szlachty z uciskiem od cudzoziemskich wojsk doznawanym“ [14]). „Wieśniak szedł ociężale i bez poczucia obowiązku“ — pisze Kraszewski.

Fakty owe malują dosadnie „upowszechnienie zapału“. Wiedząc o tem, *niewolno* było dłużej oddawać się marzeniom. Trzeba było

chwycić się radykalnych środków, obudzić lud przez silne, stanowcze czyny. Nie tak postąpił Kościuszko.

Wiedział on, że coś ludowi dać bądźcobądź trzeba; przecież trudno było nie zauważyć, że przy takiem zwłaszcza usposobieniu szlachty, które opiszę w wyżej zapowiedzianej pracy, lud powodować się jej nie daje. Więc w tym samym liście wspomina Naczelnik: „*Lud do sprawy publicznej przyciągać należy*“ — lecz zaraz widać, że w dalszym ciągu poddaje się mrzonkom: „*Ulżenie* pańszczyzny jest rzeczą konieczną“, Ulżenie! to miało wystarczyć! [15]) „Aby tylko nie naruszać społecznych między mieszkańcami stosunków“ — dodałby Heltman.

Takie były motywy, które spowodowały ogłoszenie słynnego „Uniwersału“ w obozie pod Połańcem.

Ogłoszono tam wolność osobistą każdego włościanina, każdemu wolno było osiąść, gdzie mu się podoba, *byleby spłacił długi i uiścił się z podatków*. Robocizny włościan zmniejszone zostały o dwa dni, o jeden dzień, lub o połowę nawet, ale pozostałe dni pańszczyzny należało odbywać gorliwie. Kto szedł na wojnę, ten oczywiście uwolniony był od pańszczyzny na ten czas, lecz powróciwszy, musiał ją dalej odrabiać. Wszelki, ktoby czynił ludowi jakie „uciążliwości“, miał być sądzony sądem kryminalnym. To samo dotyczyć miało uciemiężających dziedziców. Komisye Porządkowe w osobie dozorców miały przyjmować skargi i zażalenia zarówno szlachty, jak chłopów. „*Hultaje*“, którzy podburzaliby lud przeciwko dworom, mieli być chwytani i karani surowo. „Dobrodziejstwo rządu w ulżeniu ludowi ciężarów zachęcić go powinno *bardziej jeszcze* (!) do pracy, do rolnictwa, do obrony ojczyzny“ [16]).

„Uniwersał ten jest ostatnim wyrazem pojęć i dążeń reformatorskich Polski XVIII wieku w sprawie włościan“ — pisze Korzon. Jest tak istotnie — niestety — na więcej nie zdobyliśmy się wtedy. Heltman tak o nim pisze:

„Całe to postanowienie, jak widzimy, dokładnie maluje ducha, ożywiającego kierowników powstania. Niepodobna więcej nagromadzić półśrodków, mniej obu stronom dogodzić. I tak, Konstytucya 3-go Maja miała być zachowaną, wszyscy wierność jej poprzysięgli, uroczyście ogłoszono, iż każdy akt, naruszający prawa, za przywłaszczenie wszechwładztwa narodowego uważany będzie. Wszystko to jednak gwałci powyższe postanowienie. Ogłasza chłopom wolność osobistą, której

im konstytucya odmawia; zmniejsza ciężar pracy, a tem samem narusza własność, która nietykalną być miała. Z drugiej strony znowu warunek uiszczenia się ze wszystkich długów udaremnia zapewnioną możność przenoszenia się z miejsca na miejsce (czyli, że osoba każdego włościanina miała być „wolną“ fikcyjnie tylko — przyp. autora), a zmniejszenie pańszczyzny jest tylko złagodzeniem niesprawiedliwości, sprawiedliwością nie jest. Cóż mówić o innych artykułach? Ci, co za wolność walczyć mieli, za powrotem do domów znowu pańszczyznę odrabiać muszą, krew przelana uwolnić ich nie zdoła od krwawej na cudzą korzyść pracy. Prawo nakazuje wprawdzie nieludzkiego ścigać pana, lecz oddaje go pod sąd szlacheckich trybunałów, aby zaś następstwa trwożliwie rzuconej myśli nie rozwinęły się same, kryminalne kary oznacza dla tych, którzyby śmielszy krok naprzód odważyli się postawić“. „Podobne półśrodki musiały przynieść i w rzeczy samej przyniosły naturalny skutek: szlachta się oburzyła, lud nie powstał. W ciągu całego powstania dwa te fakty biją w oczy“.

Sąd to ostry, ale niemiłosiernie logiczny. I Korzon krytykuje „Uniwersał Połaniecki“ w niektórych punktach niemniej stanowczo. Zaznaczywszy tę samą, co Heltman, sprzeczność pomiędzy zaprzysiężonym przez Kościuszkę aktem, którym obowiązywał się „nie uchwalać takich aktów, któreby stanowiły konstytucyę narodową“, a wyraźnem naruszeniem tej przysięgi przez darowiznę dni pańszczyźnianych — darowiznę wieczystą, bo niepodobna było po skończeniu powstania przywracać dni roboczych, raz darowanych włościaninowi, bez wywołania buntów“,— tak dalej pisze:

„Więc ulga tak nieproporcyonalna i niejednakowa, ulga, która najuciążliwiej dotykała tych, co najmniej zapewne włościanina gnębili (skoro dwudniową lub jednodniową zadawalniali się pańszczyzną), ulga ta, powtarzamy, jest pomysłem nieudatnym, bo i nielegalnym wielce, i dla dziedziców rujnującym gwałtownie, i *dla włościan stosunkowo małej wartości. Ulga taka nie mogła wywrzeć dobroczynnych skutków uwłaszczenia,* ani też nie zrywała węzłów zależności ekonomicznej pomiędzy włościaninem bezrolnym a dziedzicem — właścicielem gruntu; wprowadzała tylko zamęt w te stosunki“.

Krytyki te są tak jasne i proste, że wyjaśnień już nie wymagają.

Lecz może słusznie uczynił Kościuszko, tak wielką wagę przypisując usposobieniu szlachty. Może przedstawiała ona wartość tak dro-

gocenną, że warto było dla niej — tymczasem — poświęcić lud? (Oczywiście jednak, że w takim razie nietrzeba było drażnić jej Uniwersałem Połanieckim).

Zobaczymy to w następnym szkicu.

Odsyłacze:

[1]) Słowa Kościuszki, cytowane u Korzona.

[2]) Cytowane u Kraszewskiego. „Polska w czasie trzech rozbiorów" — z przedmową Sz. Askenazego.

[3]) Tamże.

[4]) Tamże.

[5]) Tamże.

[6]) Cytowane u Korzona.

[7]) Tamże.

[8]) Tamże („Kościuszko", str. 316).

[9]) Kościuszko, jak się okazuje z całego przebiegu powstania, z jego planu i planów akcyi wojennej, był pozbawionym instynktu rzeczywistości marzycielem, który skutek swych działań opierał głównie na przypuszczalnym zapale wszystkich obywateli. Nawet jego błędy strategiczne dają się wytłumaczyć tą wciąż zawodzoną wiarą we własne społeczeństwo.

[10]) Korzon.

[11]) Cytowane według Zajączka u Korzona.

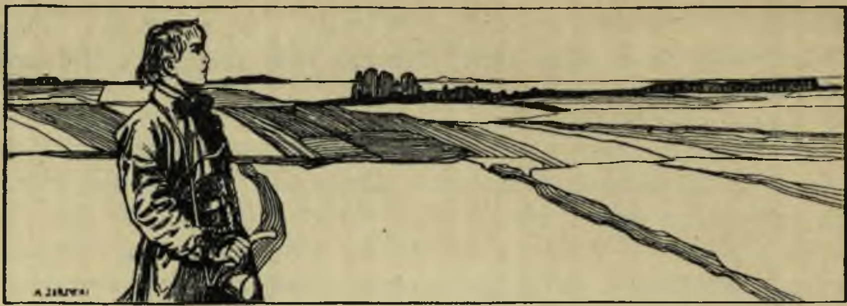
[12]) Cytowane u Korzona.

[13]) Korzon.

[14]) Zajączek. Cytowane u Heltmana, według francuskiego oryginału.

[15]) Marzycielowi – Kościuszce nawet we śnie nie przyszło chyba na myśl, aby w wielkiej chwili powstania szlachcice liczyli dni pańszczyźniane, a chłopi – blizny kańczugowe na swoich plecach. On tym uciśnionym chciał tylko pokazać, że Rzeczpospolita o nich pamięta, że niech się zerwą jak burza w obronie Ojczyzny, to ona już o nich nie zapomni. Targi uważał może za niegodne przy świętej walce o wolność.

[16]) Uniwersał Połaniecki (Korzon).



WŁADYSŁAW ORKAN

Naszła nas burza...

Naszła nas burza w czasie spania,
Naszła nas krwawa lić —
Daremnie myśl się sercu wzbrania,
Daremnie ciszą się osłania
I dalej pragnie śnić...

Kruchem ościaniem naszych domów
Raz po raz wstrząsa huk —
I słychać trzask dębowych złomów,
I widać w krwawych blaskach gromów
Apollinowy łuk...

Wzbierają wody — fale rosną,
Potoki wściekle rwą —
Świat się odmładza burzą-wiosną,
A którzy śpią — na wieki posną,
W namuł zniesieni krwią...

Noc śle naokół strachy-gońce,
Zbudzeni — pełni drżeń,
A po tej nocy burz, wstające
Rano tem jaśniej buchnie słońce
Na orzeźwiony dzień!

GUSTAW DANIŁOWSKI

Evviva!..

Ognie—wyklęte i z życia wyparte,
W męczeńskie groby zwalił się czyn męstwa,
Czas wrócić w sztukę, w złudę czarnoksięstwa:
Evviva l'arte!

Czas melodyjnym wierszem upleść kartę
O tem, co prędko i jak grom wygasło,
Hełm precz odrzucić, a uderzyć w hasło:
Evviva l'arte!

Rycerze!—wasze zbroje, płaszcze zdarte!
Legion w rozsypce! minstrele znów w szyku!
Z ran waszych temat spoi ich w okrzyku:
Evviva l'arte!

Czas przestać trzymać wciąż bezsenną wartę
W progach świątyni, co legła w ruinie!
Tyle zginęło—niech i reszta ginie!
Evviva l'arte!

A gdy już wszystko zostanie wydarte,
Muzeum sztuki stanie się pomnikiem,
Jak sclavus saltans biegł w zagładę z krzykiem:
Evviva l'arte!

IGNĄCY MATUSZEWSKI

Kiedy Słowacki stał się mistykiem?

II.

Należy zwrócić uwagę, że doktryna „ofiary", jako czynnika, posuwającego naprzód ewolucyę narodów, oraz całego wszechświata, wygłoszoną została w „Anhellim" bez specyalnych wyjaśnień, ale w pismach mistycznych okresu towiańskiego i potowiańskiego występuje ona bardzo wyraźnie.

Pierwszy ślad pojęcia „ofiary", jako motoru postępu społecznego, spotykamy już w „Kordyanie". Bohater dramatu, dyskutując w gorączce z doktorem, a właściwie szatanem, woła:

„Łżesz podły, każdy człowiek który się poświęca
Za wolność—jest człowiekiem, nowym Boga tworem.
. . . .
Słuchaj! powiedz szczerze,
Czy nie widziałeś nigdy człowieka? anioła?
Co swe cierpienia ludom przynosi w *ofierze*
I gromom spadającym wystawia cel czoła,
I śmierć za Zbawiciela ponosi przykładem,
Za lud cierpiąc...

Tutaj, coprawda, pojęcie „ofiary" nie ma jeszcze wyraźnego zabarwienia mistycznego, jakiego nabiera już w „Anhellim", gdzie bohater poematu, zwracając się do aniołów bożych, mówi:

„Idźcie! i powiedzcie Bogu, że, jeżeli *ofiara duszy* przyjętą jest, oddaję ją i zgadzam się, aby *umarła*".

Anhelli więc pragnie poświęcić za naród—nie życie, jak Kordyan, ale nieśmiertelną część swojej istoty, t. j. duszę. Ale ofiary takiej Bóg nie przyjmuje, gdyż dusza indywidualna nie podlega śmierci. Aniołołowie więc karcą Anhellego za podobne myśli, tłumacząc mu, że może „obrany jest na ofiarę spokojną", i że może od „spokojności" jego „zależy żywot jaki, a może i los milionów".

Jest to mgliste, ale, jak wspomniałem wyżej, cały poemat owiany był rozmyślnie, ze względów artystycznych, tumanem tajemniczości.

Coraz wyraźniej występuje idea „ofiary" w późniejszym, czysto mistycznym okresie twórczości Słowackiego.

„Książe niezłomny" Calderona pociągnął poetę polskiego prawdopodobnie tem, że główna postać dramatu jest uosobieniem bezwzględnego poświęcenia i ofiarności.

W „Księdzu Marku" bohaterski mnich-rycerz jest również plastycznem wcieleniem idei „ofiary" przedstawionej tak, jak ją Słowacki pojmował w „Genezis z Ducha" i związanych z tą pracą dziełach.

Ksiądz Marek, konając, mówi:

Kto *tu* śmierci jest mojej przytomny,
Niech widzi, jak ręka Boża,
Biorąc jeden duch ogromny,
Podnosi całe stworzenie...

Jakże Słowacki pojmował „ofiarę" w owym czasie? Oto w ten sposób, że w pewnym okresie rozwoju kosmosu duchy, osiągnąwszy dostateczny stopień doskonałości, a pragnąc posunąć się na szczebel wyższy, „ofiarowują" się na śmierć—pozorną, gdyż po niej następuje odrodzenie w wyższej formie. „Wtenczas to, o Panie, pierwsze, a idące już ku Tobie duchy w umęczeniu ognistym złożyły ci pierwszą ofiarę. *Ofiarowały się na śmierć.* Co zaś dla nich śmiercią było, to w oczach twoich, o! Boże, było tylko zaśnięciem Ducha w jednej, a obudzeniem się jego w drugiej doskonalszej formie". („Genezis z Ducha").

„Ofiara" więc splata się *tu* z metempsychozą. Do idei tej wraca poeta kilkakrotnie i przeprowadza ją konsekwentnie przez swój systemat metafizyczno-mistyczny.

Z początku cała przyroda dąży do tego, żeby dojść do stworzenia formy człowieczej, jako najwyższej na ziemi, a następnie każde poświęcenie się pojedyńczego indywiduum ludzkiego wpływa na podniesienie poziomu duchowego wszechświata.

W prześliczny sposób przedstawił Słowacki podobny moment w II Rapsodzie „Króla-Ducha" (strofy XLV—LV). Przytoczymy tu najcharakterystyczniejsze urywki tego ustępu.

Duch krwawego Popiela, znajdujący się poza światem ziemskim, a więc, jako nieskrępowany więzami ciała, przenikający tajemnice kosmicznego bytu, czuje, że natura pragnie wznieść się na wyższy szczebel rozwoju:

Jam stał—i cały smętny, na jasnoście
Patrzał... a wielką była gwiazd zawieja;
Wielkie czerwonych meteorów złoście.
Wielkie rozruchy swoje miała knieja,
Wielki niepokój ptaków na niebiosach—
Natura cała w westchnieniach i w głosach

Wołała:—Boże, wiekuisty Panie!
Podnieś mnie całą, podniósłszy człowieka,
Daj mi przez oddech *wyższy* oddychanie!
Daj krok, na który już czekam od wieka!"

. . . .

Wtenczas ja, wzbity modlitwą nad miarę,
Zacząłem składać wszystkie moje moce:
Tu płomień, tam pieśń; tam straszną poczwarę
Rozbijał piorun, co wnętrze druzgoce.
Leciały z wiatrem moje moce stare,
Jak wysadzone minami pałace...
Duch, który wieki zamyślone stworzył,
Uczuł je w sobie—*i ofiarę złożył.*

. . . .

Po złożeniu „ofiary" Duch Popiela wygłasza siedem błogosławieństw, a wtedy:

„Pan spogląda na niego litośnie:
Bo to uczułem, czego nie ma dusza,
Że mi ojczyzna cała w duchu rośnie
I rosnąć ducha mojego przymusza,
I zacierpiałem, ale tak radośnie,
Że sto lat uśmiech trwał, a w myślach głusza;
Jam tylko rosnął i ofiary składał,
A sto lat we mnie duch—uśmiechem gadał.

Człowiek przez „ofiary“ i metempsychozę podnosi siebie samego, ojczyznę, ludzkość, oraz całą naturę do coraz wyższych typów bytowania, których kresem jest powrót do źródła wszechistnienia, czyli do Boga, skąd wyszły wszystkie „istniejące w słowie“ duchy indywidualne.

Ale przedtem, nim nastąpi koniec tej ewolucyjnej pracy form, człowiek jeszcze na ziemi ma osiągnąć względną doskonałość, t. j. stać się aniołem „globowym“ czyli najlepszą istotą, jaka na kuli ziemskiej istnieć może.

Pojęcie „Anioła globowego“ odpowiada do pewnego stopnia idei „Nadczłowieka“ u Nietschzego, z tą różnicą, że autor „Zarathustry“ zatrzymuje się na tym etapie, gdy Słowacki przypuszcza absolutne połączenie się — *chociaż nie zlanie!* — jednostki z prabytem, absolutem, Bogiem.

Mówiąc w „Testamencie“ swoim o „sile fatalnej“, co ma „zjadaczów chleba w aniołów przerobić“, miał Słowacki niewątpliwie na myśli ów najwyższy szczyt doskonałości ziemskiej: człowieka.

Że tak jest, a nie inaczej, świadczą ciekawe określenia celów rozmaitych sztuk i nauk, podane w „Liście do J. N. Rembowskiego“. A więc, mówiąc o ekonomii politycznej, powiada poeta, że jest to „nauka... przez którą ruch ducha ludzkiego ma się wyobrażać przez wartości widzialne, *z celem uwolnienia ducha z pod ucisku pracy cielesnej*“.

Podkreślone zdanie zasługuje na specyalną uwagę ze względu na analogie z nowszemi doktrynami socyalnemi.

Historya—to, zdaniem poety, „nauka pracy, którą duchy globowe odbyły w formach ludzkich—w agregacyach z ducha wynikłych, które potworzyły *Narodowości*, z celem Królestwa Bożego, czyli przemienienia ludzkości *w przyszłe anielstwo globowe*“.

W analogiczny sposób określa poeta sztuki piękne, politykę etc.

Możnaby mniemać, że owoczesne teorye mistyczno-socyalistyczne, a zwłaszcza doktryna Saint-Simona, którego Słowacki wysoko bardzo cenił, oddziałała tu na bieg myśli poety, i prawdopodobnie tak było, ale samą ideę postępu i doskonalenia się człowieka, mającego stać się zczasem „aniołem globowym", ziemskim, żywił autor „Króla Ducha" jeszcze na ławach uniwersyteckich, kiedy, pospołu z Ludwikiem Szpitznaglem, „marzeniem księgi rozumiał ciemne, nie rozumiejąc myślą".

Świadczy o tem wiersz z cytowanego już na początku ustępu „Godziny Myśli".

Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie. A dopiero dalej dodaje poeta, że „Ten Anioł zachwyceniem w światło się rozleje i będzie częścią Boga".

Przed powrotem więc duchów na łono bóstwa, muszą one stworzyć królestwo boże na ziemi, muszą stać się istotami doskonałemi, przeduchowionemi, czyli dojść do stadyum „anielstwa globowego", jak się wyraża Słowacki.

Streszczając w krótkości to, cośmy powiedzieli o związku utworów z pierwszej epoki twórczości Słowackiego z dziełami z okresu towianizmu, sądzę, iż przytoczone przez nas wyjątki dowodzą, że autor „Godziny Myśli" już w *bardzo wczesnej młodości* był *mistykiem*, a z biegiem lat -- wytworzony jeszcze na ławie uniwersyteckiej systemat metafizyczno-mistyczny urabiał w całość, obejmującą wszystkie dziedziny życia indywidualnego i kosmicznego.

Ile w tym systemacie było pierwiastków własnych, a ile przyjętych od innych myślicieli i marzycieli [1]), o tem w danej chwili nie mamy zamiaru mówić, gdyż szło nam jedynie o stwierdzenie faktu, że nie Towiański popchnął Słowackiego do mistycyzmu, lecz, że autor „Kor-

---

[1]) Że Słowacki czerpał wiele z różnych dzieł filozoficznych i mistycznych — to nie ulega wątpliwości, ale czerpał tylko to, co odpowiadało jego indywidualności i zapatrywaniu. Znał np. Kanta, ale niewszystko go w dziełach gienialnego myśliciela pociągało. W „Podroży do ziemi świętej" np. Słowacki pisze:

Choć bardzo lubię filozofię Kanta,
Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,
Gdzie iść po śmierci.

Kwestya bytu pośmiertnego jaźni zawsze poetę interesowała gorąco.

dyana" posiadał wrodzoną skłonność do budowania „gmachów" mistycznych „pełnych głosów anielskich, szaleństwa i blasku".

O związku nastrojowym „Anhellego" z ostatnim okresem twórczości Słowackiego napomykano już oględnie parę razy. Obecnie możemy twierdzić stanowczo, że nietylko „Anhelli", ale znacznie wcześniejsze utwory, a zwłaszcza „Godzina Myśli" stanowi jedno z początkowych ogniw łańcucha, zakończonego takiemi, na wskroś mistycznemi dziełami, jak: „Genezis", „Samuel Zborowski" oraz „Król Duch".



ZOFIA RYGIER-NAŁKOWSKA

Małżeństwo

Nowela

Świeca, skrycie płonąca za ekranem, wydzielała z ciemności masywy ciężkich mebli sypialnych, zatapiając tu i owdzie w toń ich purpurowej politury wąskie sztylety bladoróżowego płomienia. Na sufit i całą połowę pokoju padał wielki cień od wysokiej poręczy drewnianego łoża, wysuniętego ku środkowi, zasnuwał tę część niby fałdami miękiego aksamitu. W jedwabistych chmurach martwym, dalekim połyskiem świeciła pionowa tafla zwierciadła, ciemne złocenia okuć błyszczały, jak zarzewia ognisk miniaturowych.

W połowie długości łóżka, twarzą zwrócony ku wezgłowiu, siedział na krześle niewidzialnem mąż chorej. Pochylał się nad mówiącą, z cieniów wyławiał migotliwe poruszenia wielkich oczów, przyjmował w serce cyzelowane kunsztownie zwarciem zębów wyrazy.

— ...wiem, że nie powtórzysz, co mówił. Powiesz jakieś inne słowa, znów będziesz kłamał. A przecież mogłabym wiedzieć — tak już dawno włożyłam żałobę po sobie — — Chciałabym — —

Głosem, w którym był półuśmiech pełen dobroci, mąż recytował pomyślną jakąś dyagnozę autorytetu. Chora wysłuchała z uwagą, nie przerywając. Baczność, pomiędzy myślami przyczajona, węszyła rozmiary fałszu, wpoprzek słyszanych słów podejrzeniami docierała do rzeczywistości. Lśnienie oczów zagasło pod powiekami zamkniętemi.

Gdy nastał moment ciszy, chora kończyła powoli:

— ...Chciałabym tylko wiedzieć, czy będzie to nocy dzisiejszej, czy za dni jeszcze — albo tygodnie — —

Umilkła. Po drodze spotkała myśl, idącą naprzeciwko.

— I znowu, znowu — Niedobra — — uczynił mąż wyrzut łagodny i ciepłą dłonią nakrył palce chorej, zakrzywione bezsilnie na fałdzie pościeli.

— A może i to właściwie jest rzeczą małoważną — — wątpiła.

Popadła w nagłe zamyślenie, podobne do wsłuchania w dalekie dźwięki. — Po tem lekarstwie ostatniem — takie dziwne uczucie — — rzekła.

— Szum w uszach? —

— Odległe jakieś śpiewanie, melodya szeptana... Przypomina mi się coś dawnego — jakgdyby trzciny wysokie nad wodą niezmiennie płynącą — przez długie lata... Musiało to być w dzieciństwie — jedna taka rzeka i brzegi z sitowia... I jeszcze inne zdarzenie — — Wiesz — — pieką mię oczy — —

— Zawsze wieczorem...

— Takie uczucie męczące, jakgdybym oczy miała zakrwawione. Zdaje mi się, że krew może płynąć oczami, jak z ran...

— Masz przecież zupełnie zdrowe oczęta — miękko tłumaczył.

— ...I coś takiego także już raz było, kiedyś — w życiu. Wszystko się teraz powtarza w te dni konania... I teraz już rozumiem, poco było mnóstwo rzeczy — wówczas zbytecznych. Teraz to wszystko jest potrzebne, to są formy, w których nadchodzi śmierć, to są przygotowane przejścia tajemne — — —

— Więc opowiedz — poprosił.

— Patrzyłam na zachód słońca — w pustem, zżętem dawno polu. Widnokrąg stał się wybrzeżem strasznego, purpurowego morza, w którem utonęło słońce. A na drugim brzegu tego morza leżały przecudne góry z ognia i ze złota. I spływały z nich — strasznemi dolinami — takie same purpurowe rzeki. Ach — róże niektóre mają taką czerwień drapieżną... Wtedy zamarzyłam — wiesz, *tam* pójść, na owo złote wybrzeże, na pewnej skale usiąść tamtych gór, na skale pełnej światła — jako dziewczyna młoda, jak Loreley — — na skale nad strumieniem purpurowym — — — Czesać włosy złociste i o zmierzchu patrzyć z takiej skały na morze, w którem utonęło słońce — — To marzenie było

cudne i straszne — bo zarazem myślałam o śmierci, choć nie wiedziałam, dlaczego. I patrząc — miałam tak samo oczy pełne krwi... Dlatego myślałam o śmierci — rozumiesz? — dziś wiem dopiero — —

— Ptaku malutki — nie — — nie — — usiłował przekonać. — Może zagasić świecę — może i to razi?

— Nietrzeba... — zatrzymała go z lękiem. — Lubię tak tę przezroczystą plamę światła na podłodze — zaraz tutaj, gdzie się kończy dywan. Widzisz?

— Tak — posadzka błyszczy —

— Gdy się wpatrywać długo, wygląda, jakby była przezroczysta i głęboka — zupełnie jakaś szyba nad przestrzenią. Ustawiam oczy tak, żeby patrzyły w nieskończoność... Można zajrzeć tędy w najdalszą głąb świata.

Przekomarzał się z uśmiechem:

— Widzisz tam coś naprawdę?

— Widzę.

— Cóż takiego?

Pomyślała chwilę.

— Coś odmiennego zupełnie, niż życie, coś, co mu się przeciwstawia. Patrząc — daleka jestem od rzeczywistości mojej, jak gwiazda zgasła dawno, a oczom ludzi niezmiennie widzialna... Daleka jestem od radosnego ziszczenia moich zemst, marzonych przez godziny tamtego konania, godziny męki... Od tamtego dnia noszę żałobę po sobie —

Mąż pochylił się niżej.

— Co takiego mówisz, malutka? — nie rozumiem — —

— Daleka i obca jestem teraźniejszości mojej, nienawistnemu dniowi, rozłamującemu byt na przeszłość i przyszłość, nienawistnemu dniowi, w który ma przyjść wreszcie wiadomość o śmierci niezmiernie dawnej — —

— Powiedz mi, co to znaczy — —

— Powiem — zgodziła się — dziś właśnie pora. Uczynimy spowiedź ostatnią — —

— Dobrze —

— Wyznaję: z przeminionego wybieram jedno jedyne zdarzenie, dziwaczne, fantastyczne zjawisko szczęścia. Biorę je w dłonie łagodne i pieszczące — —

W drżeniu, z sercem bijącem, przytulając czoło do jej ręki, wyszeptał, jak kochanek:

— I ja, dziecino moja... I dla mnie tamte cudowne dni szczęścia, wspomnienie najcenniejsze — — —

Zaprzeczyła oczami i niewidzialnym półuśmiechem. Dalej mówiła, jakby nie zważając:

— Biorę je w dłonie, jak zabitego ptaka o piórach jedwabistych, o oczach, zrobionych z brylantów. Sama — długą szpilką złotą przebiłam jego serce, żeby nie odfrunął odemnie nigdy. Wolę szczęście zabite, niż szczęście utracone — —

— Zabite?...

— Z tamtego szczęścia zostały mi tylko śliczne, długowłose pióra, dziób zakrwawiony i drapieżne pazurki. Oczy zrobiłam mu z jednych łez zupełnie twardych i wypchałam go zasuszonymi kwiatami z dawnych bukietów. I mam sobie teraz takiego ptaka...

Chora śmiała się cicho, jakby wszystko powiedziane było żartem. Mąż nie rozumiał. Zapytała po chwili poważnie:

— Czy ty doprawdy nie wiesz, że ja o *tem* wiedziałam już wtedy — że wiedziałam od samego początku?

— O czem ty znów, dziecko? — rzekł śpiesznie.

— Bo dziś trzeba powiedzieć wszystko — powtórzyła z uporem. — Miała — nie wiem — włosy złociste czy też błękitne oczy — —

Wziął ją za obie ręce, tulił je do ust.

— Jakże można — takie myśli — dzisiaj! — Powtórzono plotkę jakąś — — —

— Widziałam sama —

Przypomniała mężowi scenę napół zapomnianą, sytuacyę zabawną z przed lat wielu. Śmiała się znów z jego zmieszania.

— To *było* — rzekła. — Ale to niewszystko jeszcze. To dopiero o tobie — — A później — kochałam. Poczekaj — opowiem ci teraz historyę ptaka.

Przecierał czoło od męki niedozniesienia, błagalnemi, pieszczotliwemi słowami starał się odsunąć od siebie to, co się działo. Chora mówiła:

— Raz do mojego domu przyjechał młody i ładny pan na koniu białym. „Usłyszałem raz w nocy, jak pani śpiewała o śmierci" — po-

wiedział. „I to było ładnie?" zapytałam. „Nie. Dlatego chciałbym nauczyć panią życia". I zsiadł z konia.

— O kim ty mówisz?

— Nie pamiętam już, jak się nazywał — bo to było dawno, i byłam wtedy młoda. Więc słuchaj: zadawał mi różne pytania i ja odpowiadałam. „Czy lubi pani kwiaty?"—„Nie. Lubię myśleć o kwiatach". — „Czy lubi pani pocałunki?" — „Nie. Lubię tęsknić za pocałunkami". — „Czy lubi pani koehać?" — „Nie. Lubię patrzyć, jak mnie ktoś kocha". — „To źle, to źle, to źle" — tak powiedział ów śliczny pan. „W takim razie będę musiał odjechać".

Wtedy przelękłam się i poprosiłam, żeby został, żeby chociaż odpoczął po podróży. Ale uśmiechnął się tylko i powiedział: „Ja jestem wędrowiec i zawsze podróżuję. Ja nigdy nie jestem zmęczony. Pozostaję wszędzie zawsze tylko do zachodu słońca. Pani rozumie — wesoło jest póty tylko, póki świeci słońce. Później można prędko pojechać w to miejsce, gdzie ono właśnie wschodzi. Bo przecież zawsze gdzieś na ziemi wschodzi słońce". Prosiłam, żeby w takim razie zabrał mię ze sobą, ale nie chciał. „Och, nie, nowego wschodu niemożna znaleźć we dwoje". I pojechał. — Wtedy właśnie sama oglądałam ów czerwony zachód, który był taki podobny do śmierci. Odtąd noszę żałobę po sobie. Bo — wiesz — zabiłam swoją miłość dla niego — i to jest właśnie ten wypchany ptak. Rozumiesz — — ?

Chora śmiała się znów przytłumionym głosem.

— Dlaczego zaraz nie powiedziałaś mi o tem? — zapytał tylko.

— Poprostu nie przyszło mi na myśl — spokojnie wyjaśniła. — Och, zupełnie o czem innem rozmyślałam wówczas. Zresztą — i ty przecież nie mówiłeś także. To się żyje, a nie mówi — — Dopiero umierając...

Mąż milczał. W przestrzeni stała cisza z opuszczonemi, miękiemi skrzydłami. — Usiłował pokonać w sobie nagłą wrogość, żal głuchy składał w ofierze tragicznej godzinie.

Po długiej chwili żona mówiła znowu:

— Tam — w przestrzeni, pod szybą posadzki, na samym dnie przeszłości odnajduję tego wypchanego ptaka. Biorę go i wstawiam pomiędzy lustrami, które zrobione są z wody i oprawione w ramy z jednych białych kwiatów. W ten sposób szczęście moje odbija się we wszystkie strony świata i sięga aż do samej nieskończoności. Lubię patrzyć się

długo na jedwabiste pióra mego zabitego szczęścia, rozsypane po bezmiarach, przecudne pióra mojego szczęścia, które pachnie wodą i tymi białymi kwiatami — — To wszystko było niegdyś teraźniejszością — ty nie wierzysz?

— Ależ wierzę, dziecko — odparł uprzejmie. — Co roku przecież przychodzi na ziemię maj.

— I teraz, kiedy wsłuchuję się tak w głębiny siebie, w szepty złowieszcze krwi, przepływające dzikimi skokami przez serce — — tajemne chrobotanie jakby do drzwi, bezpowrotnie zamkniętych — — — Słuchaj — to dziwny wieczór — chociaż śmierć dokonała się już tak dawno...

Spięła brwi w namyśle.

— O czem to — ach — Teraz właśnie widzę owo jedyne miejsce świata... Jest tam w ogrodzie ciemnoróżowy domek dawnej struktury, białe koronki małych baszt, zabawne ostrołukowe okienka... Sama myśl o tem jest, jak szał... że między tamtemi drzewami...

Milczał. Usłyszała, jak odetchnął głęboko. Klamry zemsty zwierały się niewidzialnie. Zamknęła je cichym uśmiechem.

— Człowiek daleki jest od świata ludzi, jak gwiazda — mówiła jeszcze głosem wciąż słabnącym. — Jego życie umarłe, jak zagasłe światło gwiazd, długo jeszcze trwać musi pośród nich — na odległej ziemi. I śmierć jest naprawdę tylko wiadomością spóźnioną o śmierci — — —

Czaiła się podstępnie.

— Nie jest straszna śmierć — tylko niepewność, długie, monotonne chwile przerażenia... Można zapomnieć, że krzyczy serce — małe, czerwone rączki błagalnie wyciąga. Można przyjąć śmierć, jak zapach kwiatów, zapach tężejący w piersiach, owijajacy głowę w gęsty woal, w cudny szal żałobny nieświadomości — — — Widzisz — nie boję się zupełnie — więc powiedz. Możesz być szczerym zupełnie. Tak chcę wiedzieć — powiedz, co mówił — tam, u drzwi — —

Mąż wyznał cicho:

— Powiedział, że nie przeżyjesz dzisiejszej nocy —

WACŁAW WOLSKI

Ballada o Witeziu

(do rysunku St. Wyspiańskiego)

...Zakuty w zbroi stalowy mur,
Hartownej, krwawo-płomiennej,
Przyleciał z chrzęstem ognistych piór
Na boje z wojskiem Gehenny!...

Zanim zastępy ciemnych, złych sił
Ramiona jego roztrącą,
Już siłą ducha rzuca je w pył
Gromową, oślepiającą!...

Uderzył miecza ognisty grom
W posępne, tatrzańskie turnie,
Jak błyskawica mocarnym snom,
W gwiazd mroku śnionym pochmurnie...

* * *

...Tysiąc szlachetnych, płomiennych serc
Złocistem echem oddźwiękło
I w czarne mury Bastylii twierdz
Trzasło, jak taran, i... pękło!...

Czarny warowni szatana spiż
Stal tylko zburzy, nie złoto!..
Żelazne dłonie złożył na krzyż
Na mieczu witeź z tęsknotą...



HENRYK STAP

Przebudzenie

Przyziemny chłop odwrócił na chwilę zmęczoną twarz od skib, krwawym potem zraszanych, i z ciekawością obejrzał się dokoła. Jakiści wiater — inny, niż zawdy, żywszy i mocniejszy — obwiał skołataną głowę wieśniaczą, jakiści szept przeleciał nad znojnem polem. Chłop słuchał przez kilka pacierzy. Na czole położyła mu znak niezmyty powstała nagle myśl· Ciężkie, strudzone ręce uniosły się w górę, a rozmarzone oczy pobiegły za kraj pólka, za kraj wsi, do miast wielkich, skąd gwar niezwykły lecąc, tutaj ledwie dosłyszalnym szeptem się staje, i za one miasta — w daleko艣ć nieznaną. A szept trwał: „chłopie, to ci mówię: tak a tak"... Jużciż prawda; tak powiadali swoi, którzy za spracowane za światem pieniądze tutaj grunt kupowali; tak właśnie prawili różni, którzy niczego od niego — chłopa — nie żądali, jeno — żeby ich wysłuchał. Toż myślał wtedy, że podstęp jaki w tych rozpowiadaniach się kryje, bo niczego nie chcą, a cudowności obiecywują. A teraz poznał ich, przyjaciół swoich, i słuchał, słuchał. To ich głos płynie tutaj z siwej dali, to ten wiatr inny...

Głos mówiący:

Oto ci, chłopie, wkładam w mózg i serce słowa mocne, rodzące przemożny czyn twórczy. A przemożnym czynem będzie dzie zbudzenie milionów takich mózgów i serc gotowych. Oto poznasz człowieczeństwo swoje i dostojność swej jasnej duszy. A jasno-

ścią swoją rozświetlisz dusze swych braci. Oto poznasz, że jesteś niepożytą mocą, jaką tworzyłeś dotychczas nieświadomie. Ale i to ci powiadam, cierpliwy i wytrwały chłopie, że praca twoja będzie ciężka, nieraz krzywdzona i tłumaczona opacznie, a życie nie stanie się milszem odrazu. Czekają cię trudy mnogie i walka w prostem myśleniu twojem, i napaści nieprzyjaciół, i klątwy tych, co błogosławieństwo nieść mieli tobie. Nie ulękniesz się: pójdziesz najprostszą drogą, wśród łanów zbóż, owiany zapachem pól i łąk rodzimych; zwolna, lecz pewną stopą przejdziesz przez swojskie lasy wątpliwości; ominiesz trzęsawiska zdrad i boczne drożyny wybojów pełne; pójdziesz śmiało za gwiazdą prawdy, którą ci prawe serce wskaże, a nauka potwierdzi. Tak dotrzesz do progów sprawiedliwości, w której jest przyszłość twosa i twoich braci i tych, coś ich za braci nie miał, znając lub nie znając, rozumiejąc lub nie rozumiejąc, i tych dalekich, których poznasz i zrozumiesz zczasem. A tam ujrzysz i pojmiesz, że przyszłość wszystkiego narodu, który jest, jest wspólna; że są różne myśli o drogach i lasach, a w duszach jest jedno złożone; że wszyscy są synami jednej Ziemi i są z niej jednej. Zaczem pójdzie, że życie wszystkich jest jedno, jako równych w człowieczeństwie swojem, i wspólnem być powinno.

Chłop słuchał pilnie, poczem mocnym, pewnym krokiem poszedł do chałupy, rozwarł naoścież okno przedtem wiecznie zawarte, usiadł przy niem i, podparłszy twardą pięścią zbudzoną głowę, zapatrzył się w zmierzchy, spadające na niziny. Tak przetrwał na walce w prostem myśleniu swojem aż do świtu. A skoro gwiazdy mrugać przestały, zwyciężone różowością wschodu, którą już złote strzały nawskroś przebijać zaczęły, i zbudzone ptaki jęły na dzień nowy świegotać gwarliwie, podniósł się z miejsca nowy chłop-człowiek, przeżegnał się wielkim krzyżem i poszedł na nową służbę: budzić sąsiadów. Obudził — opowiedział te słowa, które mu wiater przyniósł, zaczem począł iść budzić innych, a za nim poszli drudzy — w różne strony: rozbudzać dusze — dalej i dalej.

Tak przeszli małe i wielkie drogi — kamieniste gościńce, niosąc słowo, proste, lecz wszechmogącą miłością przepojone, za którem szedł mocny czyn-upór, spiżowy upór chłopski, z tej niezmożo-

nej miłości płynący. Tak przeszli chłostani wielkim bólem, ciała i dusze szarpiącym, ulice wsiowe i dziedzińce przykościelne: janowskie, pratulińskie, krożańskie i wiele, wiele innych. Przeszli, nie zatrzymując się i nie zawracając ni razu, nie patrząc nawet wpobok, ufni w swoją prawdę i w miłość swoją, z której płynie moc-upór. A idąc, wyrównywali drogę dla innych, dla następców swoich: budowali wiecznietrwałe mosty pomiędzy sobą a nimi; rozrzucali spiętrzone kamienie, tamujące pochód i krwawiące stopy pielgrzymów; gotowali dla przyszłych pokoleń przystanki i schroniska pewne.

Aż ukończyli dobrym skutkiem swą śmiertelną pracę budowniczowie święci. Towarzyszyły im tajone łzy i westchnienia, zawarte w milionach dusz i niewydobywane na jaw pod obuchem żelaznej woli. Towarzyszyło im przerażające zdumienie tych, co w niemoc ducha wpadli, a od owych dopiero zdumieniem tem budzeni byli do życia. Towarzyszyła im braterska miłość innych, co z niemocy zawsze otrząsali dusze, i towarzyszyć im będzie wieczna pamięć wszystkich.

Tak już poznał chłop, że sam poradzić może, kiedy chce — mocno chce. Ale zżarło go cierpienie, zapragnął więc pomocy, gdy mu inni, mądrzejsi, choć chłopi, i nie-chłopi, mówili o tem, o owem, o prawie. „Jest jakieści prawo we świecie, a na niem wszystko stoi. Ty se, chłopie, to prawo weź w rozum i trzymaj; kogo masz przykazane słuchać, to słuchaj, a prawa swego pilnuj i nie popuść, bo to twoje, bo jesteś samorządny“. Samorządny? Niesłychane! Chłop nauczył się „swego prawa“ i pilnował, i nie popuszczał, bo przyszły takie czasy. Aliści niebawem poznano, że to znów kamienista droga. Zmartwili się bardzo doradcy i nuż odwiedzać chłopa w ciasnych, zasnutych pajęczyną izdebkach. „Tu — mówią — trza robić w polu, gospodarka się marnuje, a wy tu próżno siedzita; jeszcze wam mało? Nic tu — powiadają — nie wysiedzita, chyba gorsze utrapienie i już dla wszystkich, nietylko dla siebie. Zgodę róbta, wynośta się stela i jazda w pole: to wasza robota. Od innej to my — mówią — jesteśmy: pojedziem — i wszystko, przewszystko po dobrej woli przywieziem“. A tak!...

Ale chłop uwierzył i poszedł do swojej roboty przyziemnej. Je-

dnakże — po namyśle („jak to było głupie, to nietrza było namawiać i naród na cierzpienie podawać, a potem inaksze rzecze gadać")— rozważył, że chyba już sam o sobie myśleć musi, sam postanawiać i sam postanowienia swe wykonywać: tak uderzyła go jaskrawość przykładów owych.

Zachwiało się chłopskie serce, lecz tylko na mgnienie oka. Chłop namyślił się jeszcze i powiedział sobie w duszy, że chcąc sam się rządzić, musi wiele, wiele się nauczyć, pracować tęgo nad sobą i innymi i iść ku przyszłości ławą. Tak więc zbudował sobie „Siewbę" nowego, własnego życia, tak utworzył sobie własne swe kółka rolnicze.

I stało się. Chłop poczynił już i czyni zdumiewające postępy, skoro dobył z siebie własnej mocy. Chłop pisze i publikuje w swem własnem słowie drukowanem naukę dla swych współbraci-chłopów i większą jeszcze naukę — dla wszystkich innych.

A nie jest zarozumiały. Mówi bowiem:

> „Pragniemy w miarę sił naszych pracować nad stworzeniem dla narodu przyszłości lepszej, niż teraźniejszość i przeszłość. Wiemy i wierzymy, że główną narodu siłę stanowimy my, lud wiejski, rolniczy; dlatego od siebie samych pracę rozpoczynamy. Wiemy też, jak wiele nam jeszcze brakuje, abyśmy mogli stać się taką siłą, która we wszystkiem własną wolą kierować się może; trzech zaś rzeczy najbardziej nam brak do tego: oświaty, dobrobytu, jedności. Więc najpierw starać się będziemy o szerzenie oświaty, o podniesienie dobrobytu i o wytworzenie jedności w ludzie wiejskim i w narodzie całym".

A mówiąc o jedności, której zawołanie słychać zewsząd: od wielkiego obszarnika ziemskiego, od kapłana, od właścicieli fabryk, od rzemieślników, od robotników, od włościan — jednem słowem — od wszystkich, łączących się w swych grupach li dla wyłącznej korzyści tych grup, pyta:

> „Czy nas taka jedność — gdzie każda warstwa naszego społeczeństwa więcej ceni dobro swoje, niż dobro całego kraju, — doprowadzi do celów pożądanych?"

I odpowiada na to pytanie:

> „Podług mego chłopskiego zdania nie takiej jedności nam potrzeba! Taką „jedność możemy nazwać fałszem, lecz nigdy jednością. Nie rządców nam dziś

potrzeba, lecz bojowników, którzy z zaparciem samych siebie stawaliby w szeregach tej świętej prawdziwej jedności, która każe nam swoje osobiste interesy złożyć, jako niepotrzebny ciężar, by nam w pracy nie zawadzał. A więc trzeba wszystkim się zdemokratyzować. Bo nie dziw nazwać się demokratą; lecz trzeba zajrzeć w głąb swej duszy, czy tam z niej już wszystko wyrzucone precz, coby mogło przeszkodzić tej prawdziwej jedności. A więc, czy pan, czy ksiądz, czy fabrykant, czy rzemieślnik, czy włościanin — powinni w miarę sił swoich ograniczać swoje własne interesy, by się tem ściślej połączyć; nie powinien nikt nikomu bronić torowania sobie drogi do samodzielności i rozwoju, i owszem, w miarę możności, więcej oświeceni powinni wskazywać, jakiemi drogami dobywa się to źródło oświaty i samodzielności; lecz nigdy dla celów swych własnych lub celów klasy, do której się zalicza osoba przychodząca z radą; zresztą przy takiej jedności nie mają miejsca żadne klasy, żadne stany, żadne przywileje. Powinniśmy być wszyscy równi i taką jednością możemy zdobyć sobie Polskę prawdziwie demokratyczną. Taką jedność moje serce chłopskie widzi tylko prawdziwą, i taka tylko jedność może nas zbawić od zagłady".

Co tu zasługuje na te pioruny, jakie z niektórych stron usiłują zdruzgotać „Siewbę"?

Utworzono własne kółka rolnicze imienia Staszica, a ówczesny zarząd ich tymczasowy publicznie oświadczył w druku:

„Stoimy na gruncie bezpartyjnym. Pragniemy, oprócz dobrobytu, podnosić zarazem oświatę i moralność ludu. Dążymy, aby interesy drobnej własności, jak również bezrolnych, były na pierwszym planie, gdyż w tem widzimy podniesienie dobrobytu kraju. Opieramy pracę naszą na znanym już i wiadomym statucie. Stoimy na gruncie swobody prac i czynów, oraz na stanowisku bezklasowem, i do pracy naszej zapraszamy tak duchowieństwo, jak drobną i dużą własność i bezrolnych, podając bratnią dłoń ludziom dobrej woli. Pragniemy iść ręka w rękę ze wszystkiemi kółkami rolniczemi we wszystkiem, co ku prawdziwemu pożytkowi narodu prowadzi".

Co tu wywołuje nowe pioruny?

Oto, co w odpowiedzi na nie pisze chłop — obrońca swoich kółek:

„W Tłuszczu niektórzy właściciele i księża utrzymywali, że zakładając osobne kółka rolnicze, niezależne od Centralnego Towarzystwa, tworzy się rozłam w narodzie. Nie rozumiem, co to ma znaczyć, gdzie ci panowie widzą rozłam? Przecież do niezależnych kółek Staszicowskich więksi obszarnicy także należeć mogą...... W kółkach Staszica nie chodzi o robienie polityki ani o różniczkowanie stanów, a chodzi o szczerą pracę — chyba, że oponenci nie chcą należeć...... dlatego, że kółka chcą być bezpartyjne i mieć za główne zadanie podniesienie moralne i materyalne ludu przedewszystkiem...... Jeżeli praca w kół-

kach Centralnego Towarzystwa nie będzie rozłamem, dlaczego praca w Staszicowskich kółkach ma wywoływać rozłam?"

A dalej:

„Twórzcie sobie kółka centralne, a jeśli wy, panowie i duchowieństwo, oponenci, nie chcecie iść z nami, to sami je sobie zakładać będziemy. Nie mówcie jednak o rozłamie, nie grajcie na nerwach, bo wtedy włościanie mogliby to samo i o was powiedzieć. Nie do rozłamu dążymy, a właśnie do jedności, ale nie z głosem jedynie niemych pionków".

Zakończenie obrony, nad którem najbardziej warto się zastanowić, brzmi:

„Z przykrością widzimy, że duchowieństwo, które właściwie powinno całem sercem przygarnąć maluczkich, tego nie czyni. Czy to nie osłabia ich powagi i nie wywiera ujemnego wpływu na wiarę w ludzie? Głębiej się nad nim zastanówcie — bo chłop przestaje być głuchym i ślepym. Niedość mieć na sobie pieczęć demokratyczną lub sukienkę duchownego, trzeba miłować — a największe prawo do miłości mają ci, którzy jej dotąd jeszcze nie zaznali".

Te skargi serdeczne, jakich w „Siewbie" pełno, to zaglądanie w przyszłość, ta chęć do życia własnego, ów szlachetny ton pisma, usiłującego jeno oświecać brać ciemniejszą, wywołuje — miast zachęty — tylko oszczerstwa i insynuacye pewnych odłamów prasy, kleru i świeckiej. Rzeczywiście — zastanówcie się, panowie, nad tem, co tworzycie!

Najsilniejsza naganka powstała po grudniowym zjeździe kółek Staszica, odbytym w Warszawie. Ileż wtedy wypisano absurdów, a ile podłości! Co się działo z powodu wybrania do zarządu o. Antoniego Wysłoucha... Ale nie tykajmy tych brudów. Plotki, stworzone nieprawą drogą, obalił głos o. Wysłoucha w n-rze 3 „Siewby" z r. b.:

„Ty, ludu polski — zaledwieś głowę podniósł z wiekowego snu—i oczy twe łzami krzywd odwiecznych zwilgotniałe — do słońca obróciłeś, co nad potem i krwią twoją zroszonymi łany—podnosi się złote—i ręce twe potężne wyciągnąłeś do czynu — zaledwoś słowo wyrzekł—jedno z tysiąca, co w piersiach Twych tłumiła niewola—słowo bólem krzywd i cierpień—i pragnień—i nadziei wezbrane—i do przyszłości Twojej, co jak kwietna wiosna po mroźnych, śnieżnych zimy zamieciach — uśmiecha się jasna do Ciebie — wytężyłeś ramiona— i ledwoś w przyszłość tę jasną, po łzach tylu, i cierpieniach tylu, i bólach tylu,—beznadziejnych zdawało się smutkach, uwierzył nareszcie—Ty ludu polski— a już trwoga napełniła serca wielu—"

. . . .

„Niech krzyczą oni—niech plwają—niech bluźnią,—ale Ty ludu polski, co zniosłeś już tyle,—i wycierpieć tyle potrafiłeś,—Ty im to przebacz. I tym małodusznym, co nie rozumieją Ciebie. I tym—co trwożni, myślą że zginiesz,—bo ich nie zasięgasz rady,—i tym co małej są duszy—i o interesy własne wciąż truchleją, i tym co nikczemnie, oszczerczo, kłamliwie—znieważają Ciebie,—Ty ludu polski—przebacz im—oni—nie wiedzą co czynią. I nie złego pewnie są serca, ale małej duszy. I Ty, coś zniósł już tyle, i to z królewskim znieś spokojem—i nie patrz na nich nawet—niechaj krzyczą, bo to psa szczekanie na świętą procesyę. Ty idź swą drogą—w przyszłość Twą ku słońcu".

. . . .

Tak, nie zaśnie już lud. Tem pewniej nie zaśnie, że owi oszczercy zasnąć mu nie pozwolą. Albowiem niema potworniejszych wymysłów i insynuacyj, które nie byłyby rzucane na „Siewbę", jej redaktora i współpracowników. Nikczemności te są dzielnie odpierane przez rycerzy-włościan, którzy już dziś sami sobie tak dobrze radzić umieją. Toteż słowa te kreślę nie w celach obrony ludu i jego tak już wybitnie światłych przedstawicieli, umiejących płomiennie w jego interesach przemawiać: ani lud, ani ci prawi szermierze obrony nie potrzebują, ani też nie wymaga tego ich podniosła sprawa. Pragnąłem jeno skonstatować stanowcze i ostateczne przebudzenie się ludu naszego, celem zwrócenia uwagi pretendentów do opiekowania się nim, że ich metody postępowania istotnie dążą do tworzenia rozłamu pomiędzy wielomilionowym ludem — mocarzem a nieliczną warstwą, chcącą gwałtownie, lecz niemogącą już przodować narodowi. Prosty rachunek może ich otrzeźwi: rachunek nietylko liczebności, ale ścisły obrachunek mocy moralnej, której brak zapełnić usiłują plugawem oszczerstwem i marną plotką. Na tak nierycerskie wystąpienia jedynie stać was, panowie?...

A wy, duchy jasne, pracownicy na żyznej niwie chłopskiej, podajcie nam, pracownikom, strudzone dłonie bratnie do szczerego uścisku: na wspólną dolę i niedolę — —

W. LIS

Portugalia

Ponad wszystkimi wypadkami politycznymi dni ostatnich góruje zabicie króla i następcy tronu w Portugalii. Opinia publiczna została niem, rzec można, zaskoczoną. Czytało się bowiem wprawdzie dużo o ucisku, który w tym kraiku panował, i o wynikającem stąd niezadowoleniu, ale nikomu przez głowę nie przechodziło (a zdaje się, że najmniej samemu królowi Karlosowi), że ma ono niebawem wyładować się w tak piorunujący sposób. Wogóle dziś wieści o „wrzeniu", które tu lub owdzie panuje, daleko mniejsze, niż choćby przed kilku laty, wrażenie wywierają.

Od bezdennego pesymizmu do również bezgranicznych nadziei bardzo blisko w umysłach większości, stąd też nowe rozczarowanie, gdy po lizbońskiej salwie nie zmieniło się odrazu i powszechnie prawo państwowe, i, jak dotychczas, skutki wyraziły się zaledwie w tem, co dała Europie, w czasie największego swego natężenia, rewolucya 1848 r. (ucieczka dyktatora, powołanie ministeryum konstytucyjnego i częściowa wolność prasy). Szczególniej u nas panuje w stosunku do przewrotów politycznych, odbywających się na południowym zachodzie Europy, głęboki i dość komiczny sceptycyzm. Każdy nasz przeciętny „inteligient" czytał w dzieciństwie Buckle'a i Drapera, skąd prawie z mlekiem matki wyssał pogardę do narodów romańskich, a jeżeli który z nich poznał później Marksa i Lassala, to utwierdzał się jeszcze bardziej w tym pierwotnym poglądzie, gdyż obijały się ciągle o jego uszy ujemne oceny socyalistów utopijnych, wśród których spotykał same nazwiska francuskie; dowiadywał się o tem, jak to przeciwnicy

Marksa w Międzynarodówce rekrutowali się przeważnie z Francyi, Włoch i Hiszpanii, wreszcie imponowały mu ciągle wyniki wyborów do parlamentu niemieckiego, którym równych nie znajdywał nigdzie. Stąd rozpowszechnione u nas i u naszych wschodnich sąsiadów lekceważące traktowanie wszelkich „putsch'ów" hiszpańskich, portugalskich, nawet francuskich...

Tymczasem bez tych putsch'ów Hiszpania i Portugalia byłyby dotąd pogrążone w średniowiecznej barbaryi feudalnej, a Włochy stanowiłyby szereg pozornie cieszących się bytem państwowym prowincyjek austryackich, z interesującymi zabytkami przeszłości i kulturą, przypominającą nawet nie czasy Petrarki, Tassa i Kondotierów, ale wprost wojny krzyżowe. Szło tam nietyle o swobody polityczne lub o konstytucyę, ile o zniesienie inkwizycyi, dozwolenie niekatolikom publicznego odprawiania obrządków religijnych, zniesienie feudalnego stosunku właściciela gruntów do włościanina lub dzierżawcy i t. p. rzeczy, bez których inne narody dziś nie umieją sobie wystawić życia współczesnego. Zniknięcie (i to jeszcze niezupełne) tych zabytków średniowiecza kraje południowe zawdzięczać mogą tylko usiłowaniom owych, zwykle zwyciężanych, ale nigdy w swej pracy nieustających liberałów i republikanów.

Jeszcze na jedno warto zwrócić uwagę. Oto dawniej w Portugalii ruch republikański opierał się prawie wyłącznie na garści inteligiencyi postępowej, która walczyła z ustrojem kościelno-feudalnym wobec zupełnej bierności ludu, wstrząsanego tylko niekiedy, i to bardzo powierzchownie. Dziś zmieniło się to, jak zresztą wszędzie. Partya republikańska rekrutuje się w znacznej większości z włościan i robotników. Należą do niej również ludzie oświeceni, są między nimi nawet i zamożni, ale większość stanowi prosty lud pracujący. Partya socyalistyczna słabo się tam rozwija, chociaż lepiej, niż w sąsiedniej Hiszpanii, — i mniej, niż w ostatniej, jest doktrynerska.

MISERICORDIA



(H) Praca nasza, skupiająca się obecnie w słowie i poczynana z najlepszymi nawet zamiarami, powoli zmienia się w jednostronne i monotonne brzęczenie specyalistów od różnych objawów społecznych. Rzecz prosta, że — aby się coś stało — należy o tem nieustannie mówić, dowodzić, argumentować. Ale — argumentować. U nas zaś odbiera się wrażenie, jakoby pod tym względem istniał niby niedorozwój słowa. Niemożna jeszcze tego twierdzić stanowczo i konstatować powszechności zjawiska, ale niebezpieczeństwo to już silnie odczuwać się daje. Gdy np. mówi się o pisarzu, którego kierunku myśli sprawozdawca nie aprobuje, nie mówi się rzeczowo, nie argumentuje się, walcząc lojalnie z przeciwnem sobie przekonaniem, lecz bierze się luźne frazesy, wycinki, niemówiące o duszy autora i jego talencie, i bez przesłanek wnioskuje się o niewartości jego pracy lub wtłacza mu się gwałtem konkluzye, jakich ten nie miał na myśli: wprost opuszcza się najważniejsze zdania i wywody autora. W niektórych wypadkach gra tu rolę bijąca w oczy tendencyjność, rozmyślność — i to jest grzechem specyalistów wspomnianych powyżej. Często jednak dzieje się to skutkiem gorączkowości pracy, czy też ujarzmienia piszącego przez słowo, którego ten opanować nie może, a najczęściej przez brak oryentacyi ogólnej i chwili, przez brak zupełnej świadomości. Jest u nas grzechem powszednim brak zastanawiania się nad sobą i innymi, nad stosunkiem swoim do otoczenia. Stąd wynika wadliwość w ocenianiu tak siebie, jak innych, w ocenianiu zamierzeń i wykonywań, słów i czynów. Nie bierzemy nadto pod rozwagę przemijającego, lecz niemniej ważnego, charakteru chwili, gdy unosi nas namiętność; żądamy wypowiadania się najzupełniejszego lub też z niedopowiedzianych, ze względu na chwilę, słów, wyciągamy fałszywe wnioski — bez uwzględnienia okoliczności, nas samych zarówno trapiących. W jednem zdaniu zamkniemy definicyę jakiegoś objawu bezwzględnie złą, bo zrodzoną bez namysłu —

z wiatru. Musimy nadto mieć wszędzie etykietę i wszystkich pragniemy rozszufladkować. Jeżeli zaś godzimy się na jakąś jedną szufladę, to jedynie na swoją, a nie znosimy obok siebie pracy, bez nas poczętej i pomyślnie idącej. Pożerająca mania wielkości i widzenia tylko siebie zaczyna się stawać coraz powszechniejszą. Czas się nad tem zastanowić, bo straszna ta choroba jest wielce niebezpieczna nietylko dla owładniętych nią, lecz dla całego społeczeństwa.

(st) Życie dzisiejsze obróciło się nawewnątrz. Zaczynamy roztrząsać własne myśli i działania, docierać do sumień. Ogólny to rys znamienny unieruchomienia czasowego — wszędzie, gdzie to unieruchomienie się odbywa. Poczęliśmy więc, między innemi, wkraczać w dziedzinę rozmaitych etyk zawodowych. Piszemy i mówimy już o etykach adwokackiej i lekarskiej. Milczymy jeszcze o najważniejszej — o etyce warstwy „przodującej", „robiącej opinię". Tam spodziewaćby się należało istnienia i stosowania pojęć i obyczajów najgórniejszych, bo stamtąd rozlegają się gromy oburzeń i wyklinań. Zobaczmy przeto, czy w owym świecie piękne teorye idą w parze z piękną praktyką, czy piękne słowo rodzi piękny czyn — u siebie. Nie. Przykład. Wydawca pisma, chcąc w niem poczynić pewne zmiany, robi układ z nowym redaktorem, nie uprzedzając o tem dawnego kierownika, który pracował nad miarę przez lat kilkanaście, i którego jedynie jest zasługą, że pismo było coś warte. Nowy redaktor, nie pytając nawet o dawnego kierownika, nie wchodząc wcale w przeszłość, przyjmuje obowiązki. Nowy numer pisma wychodzi *bez wiedzy* poprzedniego redaktora (chorego), któremu nadto nic się nie mówi i później. Sumujemy wypadki: zasłużony kierownik pisma, człowiek z zasługami w innym również kierunku, ceniony dziennikarz i literat z głębokiem wykształceniem, o charakterze nieskazitelnie prawym, — zostaje wyrzuconym na bruk, czemu dopomógł kolega po fachu przyjęciem bez zastrzeżeń posady. Liczono tu na gołębią duszę człowieka, który nigdy nie upominał się o siebie, zawsze — o innych. Dotychczas nie przeliczono się podobno. Pod pióro cisną się słowa bezecne — odpowiadające postępkom tego rodzaju, kończymy więc... A pismo „z nowym kierunkiem" będzie grzmiało o szlachetności, o podniosłości ducha, o uczciwości! „Tamtam nazywa się narzędzie"...

(as) Warszawa upodobała sobie... Sherlocka Holmesa. Jego „tajemnicze przygody" są dzisiaj najczytelniejszą literaturą, stanowią treść zachwytów, osnowę rozmów, labirynt dociekań. „Tajemnicze przygody" stają się ulubioną lekturą inteligiencyi polskiej i wraz z miniaturowemi wydaniami poezyj Lenartowicza, Asnyka zdobią już nawet stoliki w „eleganckich" salonach warszawskich (oleodruki na ścianach). Lecz mniejsza o salony!.. Popularność Sherlocka Holmesa przenika coraz głębiej, opisy mordów, kradzieży i zbrodni znajdują liczne rzesze czytelników i śród warstw, które nic wspólnego z salonami nie mają. Te 15-kopiejkowe broszurki idą w świat szeroki, znieprawiają smak i gust, budzą niezdrowe apetyty. Ajent śledczy, a mówiąc gwarą warszawską, zwyczajny szpicel londyński, staje się postacią bohaterską, postacią, niewątpli-

wie o wiele popularniejszą, niż bohaterzy największych arcydzieł litetatury naszej. Sherlock Holmes ma swoich zażartych obrońców i wielbicieli, czyhających z niecierpliwością na każdy nowy zeszyt sensacyjnego wydawnictwa. Sherlock Holmes ożywił nawet twórczość oryginalną. Istna powódź sensacyjnych fabrykatów rodzimego wyrobu zalewa dziś Warszawę. Niemal na każdym rogu ulicy krzykliwy malec zachęca do nabycia jakich „tajemniczych przygód". Jak grzyby po deszczu wyrastają coraz to nowe broszury, książki, a nawet pisma, poświęcone wyłącznie sensacyjnej zbrodni. Sherlock Holmes stanowczo ożywił przemysł krajowy, wytworzył nową gałąź produkcyi.

A jak ten przemysł umie się reklamować!.. W jednym z ostatnich numerów *Kuryera Warsz." czytamy np. ogłoszenie tej treści:

„Król złodziejów. Rozgłośne „Pamiętniki" zmarłego niedawno w Me„dyolanie słynnego złodzieja Jerzego Manolescu (Księcia Lahovary), który, oże„niony z hrabianką X., obracał się w najwyższych sferach arystokratycznych „Francyi, Anglii i Niemiec, a śmiałością i rozmiarami kradzieży zdumiewał świat „cały. Wysyłam po nadesłaniu 15 kopiejek (markami) za zeszyt. Wyszły dotąd „trzy zeszyty, będzie osiem. Warszawa, Sotzik".

Niedawno pomiędzy dwiema firmami wydawniczemi toczył się bardzo charakterystyczny spór. Obie strony zarzucały sobie brak etyki. Chodziło nie o to, któremu z wydawców etyka pozwala na znieprawianie mas zapomocą literatury skandalicznej, lecz o to, kto ma do tego znieprawiania prawo. Były to dobre czasy! Dziś panowie Fiszer z Warszawy i Zoner z Łodzi mają niezliczonych konkurentów w osobach pp. Sotzików... Do pioruna! czy tylko skandal może być u nas kolportowanym? Czyż w całej Polsce nie znajdzie się wydawca, któryby umiał swemi wydawnictwami zamordować Sherlocka Holmesa i zrujnować jego fabrykantów... Taki wydawca oddałby wielką usługę literaturze i społeczeństwu!..

(p) Przeelektryzowane i najczęściej przebłocone ulice Warszawy zapełnia nocny gwar i hałas „muzyki", rozlegający się z kawiarni, tingiel-tanglów, kinematografów, illusionów oraz domów mniej lub więcej prywatnych. Błoto bryzga z pod gumowych obręczy kół pojazdów. Schody i salony rzęsiście oświetlone. Zabawa. Tańczy się na ubogich, uboższych i najuboższych, na uczących się i uczących i t. d. i t. d., przedewszystkiem zaś na kamienice dla właścicieli magazynów mód, na przyszłe żony z posagiem i na przyszłych mężów „z pozycyą", a także na zużytkowanie niewielkich dóz energii życiowej, na zaprzątnięcie sobie czemkolwiek jałowych dni i nocy... Wprawdzie pierwsze z wymienionych celów są tylko pozorem: wstyd nam bowiem tańczyć „bez celu", gdy nieledwie codnia rzesza zgłodniałych „bezrobotnych" zwiększa się o paruset ludzi, gdy codni a żywoty jakieś nagle gasną.

Ale tańczmy, bo już znikła rubryka wydatku na Macierz, a z zagrabionych w Prusiech ziem niewielki, lecz świeży grosz napłynie. Trzeba korzystać z okoliczności i nie tracić czasu, mając w pamięci, że okoliczności niezawsze są tak sprzyjające, czas ubiega i nie wraca, procenty zaś lichwiarskie od wszystkiego zawsze umieliśmy opłacać. Od tego przecie jest wieczny nasz karnawał... Do ostatniego tchu!

SPRAWOZDANIA

Ludwik Stanisław Liciński. Z pamiętnika włóczęgi. 1908 rok.

Książka nowa i ciekawa, od pierwszej kartki uderzająca wybitnie zuchwałym, walecznym, rycerskim temperamentem satyrycznym. „Ja wiecznie wojowniczy duch, ja włóczęga, idę kurzawą okryty, jak płaszczem, słucham burzy i burzę roznoszę“ — mówi autor o sobie. „Otwieram nozdrza na powiewy wichrów, przy błyskawicach czytam twarze ludzkie“. — Satyra pana Licińskiego nie rozrzuca efektownych ciosów na wszystkie strony, nie jest dla autora sama w sobie celem. Posiada ona mocną, wyraźną kość pacierzową, i atak każdy jest tu wymierzony świadomie, stanowi ścisłą konsekwencyę społecznego światopoglądu autora. Spojrzenie to rozrąbuje świat na dwie przepastnie odrębne dziedziny, na państwo Arymana i Ormuzda. Każdy zgrzyt jadu, każdy śmiech nienawiści, rzucony państwu zła, ma po drugiej stronie skali przeciwstawny i równoważny wzlot w dziedzinę ideału. W książce p. Licińskiego oscylacye między nienawiścią a zachwytem, między wzgardą a wiarą, obejmują niezwykle bogatą skalę uczucia, a obszar ten jest miarą wartości jego satyry. Jest on bojownikiem, który w największem napięciu bitewnego szału o Graalu Świętym nie zapomina ani na chwilę. „...widzę podarte me sztandary drogie i rozdeptany brutalną stopą przeczystych snów mych biały Jeruzalem. To moje słońce w rynsztoku“. Lub gdzieindziej: „Tam mewy moje białe, myśli alabastrowe, oślepłe z bólu, zepchnięte na dół, podarte leżą i połachmanione na strzępy...“ Nienawiść Licińskiego jest na całej przestrzeni podszyta wolą i pragnieniem ideału, jest tylko transformacyą jego ukochania. —

Artystyczna forma tych „Pamiętników“ przekracza szczupłe ramy kanonów estetycznych, posiada tony silne i oryginalne, sięgające — zwłaszcza w utworze „Burza“ — wyżyn prawdziwego piękna. Witamy w p. Licińskim bardzo zdolnego satyryka. „Nieprędko, nieprędko jeszcze spocznę“ — mówi o sobie — „w cieniach barykady siądę wtedy, tak jak się siada w akacyi lub kasztana cieniu, i będę śpiewał tym, którzy umrzeć mają...“ Książka jego pozostanie w literaturze, jako jeden z najciekawszych dokumentów dni ostatnich.

Z.

Boy. Piosenki Zielonego Balonika, t. j. kabaretu artystów w Krakowie.

Piosenki — dość friwolne z zacięciem satyrycznem, niektóre bardzo udatne; o Esiku — doskonała. Książka zaopatrzona w karykatury K. Sichulskiego i w nuty.

d.

* * *

= W dniu 9 lutego odbyło się ogólne zebranie delegatów wszystkich oddziałów TOWARZYSTWA KULTURY POLSKIEJ. Przewyżka dochodów nad wydatkami za rok ubiegły wyniosła w zarządzie rb. 13802 kp. 88. Ponadto utrzymywało się samodzielnie 16 oddziałów prowincyonalnych, których wpływy do ogólnej kasy Towarzystwa uchwalono zmniejszyć na rok bieżący do 10%. Liczne sprawozdania i wnioski wykazały, że działalność oddziałów rozwija się stale, acz walczyć musi z rozmaitymi szkodnikami społecznymi. Zaczem dokonano wyborów; do zarządu weszli: Władysław Chrzanowski, Gustaw Daniłowski, dr Tomaszewicz-Dobrska, Stanisław Gutt, Zygmunt Kramsztyk, Aleksander Lednicki, Czesław Meiro, dr Wacław Męczkowski, Stanisław Patek, dr Rafał Radziwiłłowicz, Bolesław Rotwand, Aleksander Świętochowski, — do komisyi rewizyjnej: Tadeusz Balicki, Wacław Kanigowski, St. Al. Kempner, Jan Kreczmar, Stanisław Osiecki. Nadto Aleksander Świętochowski został członkiem honorowym Towarzystwa.

= W niedzielę, d. 9 b. m., z powodu 70-ej rocznicy urodzin wybitnego literata i nestora krytyków warszawskich, WŁADYSŁAWA BOGUSŁAWSKIEGO, komitet Kasy Literackiej oraz liczni przyjaciele i znajomi składali życzenia zasłużonemu pisarzowi i zacnemu człowiekowi. W imieniu Kasy Literackiej gorąco przemawiał p. Józef Kotarbiński, oddając hołd należny długoletniej, uczciwej pracy. Jubilat odpowiadał ze wzruszeniem.

= Korespondent *Głosu Płockiego* z gminy Staroźreby tak opisuje przebieg ZEBRANIA GMINNEGO, na którem nie chciano przystąpić do wyboru członków komisyi weterynaryjnej:

„Gdy z kolei obrad wypadało przystąpić do wyboru członków komisyi weterynaryjnej, rozpoczęły się gorące rozprawy nad pożytecznością nowej ustawy weterynaryjnej. Przy omawianiu tej sprawy był obecny weterynarz powiatowy, który wstąpił w przejeździe na zebranie i bardzo pięknie starał się zebranym wytłumaczyć, jak wielce pożyteczną może być dla wszystkich ta nowa ustawa. Dowodzenia jego nie trafiły jednak do przekonania zebranych. Na wszystkie jego dowody odpowiadali gminiacy jedno: „Gdyby ustawa była dobra, to namby rząd jej nie dał. Przecież co dobre, to rząd zabiera, a nie daje. Wszyscy wiedzą, że szkoła jest pożyteczna. Jak Macierz zaczęła zakładać szkoły, a dzieci wiejskie chodzić do szkoły, to rząd Macierz zamknął". Nie pomagały żadne nowe dowody p. weterynarza. Pan weterynarz, wyczerpawszy wszystkie dowody, opuścił zebranie, nie wskórawszy nic".

= W nrze 5 „Gazety Sądowej" *Rada Towarzystwa Prawniczego* ogłasza KONKURS w odezwie, która brzmi, jak następuje:

Grono prawników, którzy ukończyli w r. 1877 uniwersytet warszawski, złożyło Radzie Towarzystwa rb. 300 na ogłoszenie konkursu na pracę z dziedziny prawa we-

dług uznania Rady. Wskutek tego na posiedzeniu, odbytem w d. 23 stycznia 1908 r., Rada ustanowiła następujące warunki konkursu:

1) Rozprawa ma być napisaną na temat „Stosunek państwa do narodowości w teoryi i praktyce" i obejmować conajmniej trzy arkusze druku; 2) sąd konkursowy stanowić będzie Rada Towarzystwa; 3) Rada ma prawo przyznać nagrodę rb. 300 jednej pracy w całości lub też rozdzielić ją na dwie; 4) własność rozprawy pozostanie przy autorze; 5) rękopisy, opatrzone godłem, powinny być nadsyłane do biura Rady w kopertach zapieczętowanych z dołączeniem zapieczętowanej również koperty, zaopatrzonej w dewizę i zawierającej: imię, nazwisko i adres autora; 6) termin do nadsyłania prac oznacza się do d. 31 grudnia 1908 r. włącznie.

= W numerze lutowym miesięcznik ilustrowany SZTUKA BRONZOWNICZA I ZŁOTNICZA, rozpoczynając szereg konkursów, zmierzających do rozwoju sztuki bronzowniczej i złotniczej oraz do wpajania w specyalistów zamiłowania do rysunku celem podniesienia artystycznego poziomu rzemiosł, ogłasza *pierwszy konkurs* na winietę do pisma.

= W salonach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych otwarto WYSTAWĘ SZTUKI STOSOWANEJ, o której zamieścimy w najbliższym czasie artykuł obszerniejszy.

= Nadesłany nam świeżo zeszyt pierwszy miesięcznika artystyczno-literackiego i naukowego, wydawanego pod redakcyą p. *Władysława Bukowińskiego* p. t. SFINKS, wyszedł z piękną dewizą, stanowiącą tytuł słowa wstępnego a zaczerpniętą z Testamentu Słowackiego: „Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei...."

= Ukazał się zeszyt 1 PRZEGLĄDU BIBLIOTECZNEGO, organu Towarzystwa Biblioteki Publicznej w Warszawie, poświęconego bibliotekoznawstwu, bibliotekarstwu i bibliografii. Czasopismo ilustrowane wychodzi w 4 zeszytach rocznie pod redakcyą Stefana Dembego. Zeszyt 1 przedstawia się okazale i dowodzi, żeśmy pozyskali nowe wydawnictwo europejskie.

= Wyszedł numer pierwszy miesięcznika ESPERANTYSTY POLSKIEGO (Pola Esperantisto), organu Towarzystwa Esperantystów Polskich, wydawanego przez p. Jana Günthera pod redakcyą dra Leona Zamenhofa. Komitet redakcyjny pisma, prócz redaktora, stanowią pp.: dr K. Bein (Kabe), Leo Belmont, A. B. Brzostowski, Antoni Grabowski, Stanisław Schels i A. Zakrzewski.

= Tegoroczny zeszyt pierwszy miesięcznika, poświęconego sprawom oświaty i wychowania, p. n. NOWE TORY, zawiera treść, jak zwykle urozmaiconą i bogatą, poprzedzoną wyjaśnieniem w słowie wstępnem, że zmiana redakcyi, t. j. inne nazwisko redaktora odpowiedzialnego i kierownika literackiego — nie oznacza zmiany kierunku, lecz miała na celu jedynie uczynienie pisma zbiorowem dziełem ludzi, pracujących na polu wychowania i oświaty. Pismo, wychodzące pod kierunkiem literackim Anieli

Szycówny z udziałem komitetu redakcyjnego, który tworzą: Józef Grodecki, Wacław Jezierski, Stanisław Kalinowski, Jan Michalski i Iza Moszczeńska,— podpisuje, jako redaktor i wydawca, Jan Michalski.

= Zeszyt styczniowy PANTEONU, miesięcznika naukowego, społecznego i literackiego, wychodzącego w Paryżu pod redakcyą Józefa Wasercuga, zamieszcza prace: Ludwika Kulczyckiego, Stanisława Brzozowskiego, Józefa Wasercuga, Kazimierza Wroczyńskiego, Izy Zielińskiej, Jerzego Huzarskiego, Wacława Nałkowskiego i Izy Moszczeńskiej.

= Nr 3 poświęconego sprawom kooperacyi dwutygodnika SPOŁEM! – zaleca się uznaną już, umiejętną redakcyą. Dobór artykułów i korespondencyj jest niezwykle staranny.

= P. Włodzimierz Dworzaczek będzie wydawał w *Mińsku lit.* polskie pismo ludowe p. n. POGOŃ.

= Z księgarni G. Centnerszwera i S-ki nadesłano nam szkice ekonomiczne *A. Bacha*, objęte ogólnym tytułem GŁÓD - MOCARZ (str. 101).

= Na KARĘ PRASOWĄ skazano redakcyę *Kuryera* (lubelskiego) za zamieszczoną w nrze 8 korespondencyę z Krasnegostawu (500 rb. grzywien lub 3 tygodnie więzienia), oraz redakcyę *Gazety Codziennej* za odcinek w nrze 15 z powieścią Zofii Casanova p. t. „Więcej niż miłość“ (500 rb. grzywien).

= 6 lutego na stokach cytadeli STRACONO: Jana Labiedzińskiego, Wincentego Brzezińskiego i Pawła Sandeckiego, skazanych przez warszawski sąd wojenny okręgowy za udział w zamachu na pociąg pod Łapami w d. 5 lipca r. z.

Redaktor i Wydawca:
H. St. Pytliński

Druk Piotra Laskauera i Sp.
Warszawa, Nowy-Świat 41.



WITEŹ

ROCZNIK I ≡ ZESZYT 3
Warszawa, 1 marca 1908 r.

G. DANIŁOWSKI

W drażliwej sprawie

Niejeden czytelnik domyśli się z tytułu, że chodzi o żydów—sprawę tę bowiem przywykliśmy uważać za drażliwą, stosunek do niej stał się u nas probierzem demokratyzmu, a cień nieprawowierności w tym względzie naraża piszącego na zarzut antysemityzmu lub filosemityzmu, *tertium non datur!*

Istotnie, prasa nasza dzieliła się zawsze w tej sprawie na dwa obozy; w jej enuncyacyach o tej kwestyi, dość rzadkich zresztą, bo najbezpieczniej milczeć, zaznaczały się zwykle dwa krańcowe stanowiska: życzliwej uprzejmości lub ziejącego pianą żydożerstwa. Ostatnie stanowisko miało zaletę szczerości, pierwsze często trąciło obłudą.

— No, jesteśmy przyjaciele — mówi pan młody w „Weselu".

— No, tylko tacy przyjaciele, co się nie lubią — odpowiada z przekąsem żyd, który przyszedł na uroczystość narodowego bałamucenia się *nieśmiele.*

Pan młody: A tak; jak są tacy, co się skubią,
To są i tacy, co się boczą.
Żyd: Niech się boczą, a jak oni potrzebują,

To ich u mnie ludzi wiele.

Pan młody: W zastawie.

W dyalogu tym Wyspiański trafnie ujął uczuciowy nastrój wzajemnych stosunków, o ile chodzi o te sfery, z któremi się stykamy, sfery znacznie już wyemancypowane, z których pochodzi córka Rachela, co zna cały Przybyszewski — panna moderne — synowie: Josielewicz, typ Jankla z „Pana Tadeusza", lub tak nawskroś przeniknięci kulturą polską Hirszfeld i Kwiatek. Ale są to sfery stosunkowo nieliczne; poza niemi posiadamy olbrzymią masę chałatową, z którą żyjemy od setek lat jak dwa obce plemiona, przedzielone łańcuchami gór, lodowatem morzem obojętności.

Samo Królestwo liczy półtora miliona tych „krajowych cudzoziemców", jak ich określił Żeromski, o których nie wiemy nic, albo bardzo niewiele.

Dochodzą nas w postaci nazw o mętnem znaczeniu sygnały jakichś ruchów nurtujących te masy: syonizm, socyal-syonizm, cieszący się niedawno wielkim wpływem, a dziś nagle tracący znaczenie Bund, różne t. p. aspiracye i tendencye.

Pozatem wiemy, że masy te toną w rozkisłym błocie okropnych naszych miasteczek, w trzęsawisku ciemnoty i w otchłani nędzy — nędzy niemal beznadziejnej, bo ekonomiczne zdobycze proletaryatu rolnego i fabrycznego nie dotyczą jej bezpośrednio, a mają jedynie pośrednie dodatnie znaczenie, jako zwiększenie siły kupnej okolicznej ludności, o ile jej nie niwelują rozwijające się zwykle współrzędnie kooperatywy.

Mieszkając czas dłuższy w jednym z takich wrzodów ziemi, pomimo starań nie mogłem się dowiedzieć i dotychczas nie wiem, z czego większość mieszkańców żyje i jak wogóle żyć tak może. Tam również miałem sposobność się przekonać, że niczem jest wpływ naszego księdza w porównaniu z wpływem cudotwórcy-cadyka, niczem nasze ludowe zabobony wobec jego iście szamańskich praktyk w miejscowej bóżnicy, a okrzyczana wyznaniowa szkoła nasza zasługuje na miano wzorowej wobec średniowiecznego systemu chederów.

Taki stan może dla filosemity lub judofoba stać się przedmiotem zachwytu albo złośliwej radości, ale staje się powodem ciężkiej troski dla ludzi, którzy rozumieją, że w zobopólnym interesie masy te muszą stać się sytymi i światłymi obywatelami kraju, który zamieszku-

ją, że te siedliska przesądów, zarazy i niedoli na wyższy stopień kultury i dobrobytu dźwignięte być muszą. Wszystkie te dolegliwości i zagadnienia domagają się rady i odpowiedzi, a najskuteczniejszą dać nam mogą ci żydzi postępowi, którzy zachowali kontakt ze rdzeniem współplemieńców.

Oni przedewszystkiem winni się wypowiedzieć jasno i niedwuznacznie. Zamiast jałowych rozpraw: czy żydzi teoretycznie mogą się uważać za naród czy nie?—powinni rozwinąć uczciwą dyskusyę na temat obecnego stanu tych mas, ich aspiracyj i dążeń.

Czas chyba poznać się po tylu wiekach wzajemnego współżycia.

Praca niektórych żydów - publicystów winna się zwrócić w tym kierunku, gdzie może być daleko skuteczniejszą, owocniejszą i dla obu stron bardziej pożądaną.

Wiercenie w ranach, które bolą najsilniej, jako własne, w których opatrywaniu jesteśmy kompetentniejsi, bo nietylko je widzimy, ale odczuwamy, nietylko ogarniamy rozumem, ale instynktem i intuicyą, pozostawmy tym *feldom* i *manom*, którzy cierpią z ich powodu również silnie i serdecznie, jak *scy* i *icze*.

Na polu zaś tamtej zaniedbanej pracy jest ogrom do zrobienia, ale inicyatywa winna wyjść ze strony żydów samych, jako najbardziej zainteresowanych, powołanych i najłatwiej oryentujących się w tej dla nas wprost niedostępnej dziedzinie.

Sprawa drażliwa winna się pozbyć drażliwości, a nabyć cech szczerej prawdy, uczciwego i sprawiedliwego traktowania, jak każda inna sprawa ludzka, bo jest taką i z punktu widzenia zasad ogólnoludzkich, bez uprzedzeń, płynących z osobistych sympatyj lub antypatyj, rozpatrywaną i rozstrzygniętą być musi.

MICHAŁ SOKOLNICKI

Szkice polityczne. III.

„...w zakonie Pańskim jest kochanie jego"...

1. Twardą jest ziemia. Ludzkość oplata się wkoło niej, jak powój, życie przenika ją, jak grzyb. Kiedyż życie stanie się twardem nakształt skorupy ziemnej? Czy tylko, czyż tylko przez śmierć?

Człowiek nowego czasu chce bardzo twardych, niezłamanych narzędzi. Lecz zapomina, że narzędziem jest sam. I gdy tak ciągle jakiś środek doskonali, czemże jest jego środek? — kruszeniem i drganiem bezustannem. Człowiek nie jest, jeno narzędziem, jedynem, którego sam nie doskonali.

Przez co narzędzie się doskonali? — Przez użytek w pracy, przez narządzanie rzeczy, przez powrót do swej istoty i przez dokonanie tego, co jest jednoczesne, ogólne dla wszystkich narzędzi. Człowiek doskonali się tem, co jest powszechnością dla wszystkich ludzi. Pokolenie jedno wzmaga się przez powziętą spólność ze wszystkiemi pokoleniami.

Myśl nie jest powszechną wszystkim ludziom, ani jest środkiem doskonalenia się ludzkiego, ani też sama w sobie się doskonali. Myśl wypływa, jak słońce z chmur, niewiedzieć kiedy. Na pewnych wyżynach nadchmurnych myśl koczuje zawsze, jak światło słoneczne na nieopętanym szczycie. Gwiazdy myśli wschodziły na horyzoncie bez końca, zawsze będące bez czasu.

Myśli nie rozwijają się wcale, niby kwiat z pąka: pokazują tylko

swoją przedwieczną istotę, jak gwiazdy, wracające w krążeniu. Ideały nie wznoszą się i są podobne szczytom, dostępnym tylko chwilami. Nawet marzenia, te najbardziej swoje, najgłębiej wewnętrzne rzeczy moje i każdego z nas, marzenia, one chwiejne, bladolice słupy, budowane na kresach widzeń sobie tylko samemu; nawet te najcichsze kwiaty samotności nie są własnością moją, ani żadnego z nas: jeno widmem i przeczuciem świata, który istnieje za nami, pomimo nas. Istniał już przed tysiącami lat; i półdziki człowiek doliny rzecznej, wyglądający wzejścia Syryusza w ostępy granatowego nieba, miał już w sercu wszystkie wstępowania marzeń, będące i dzisiaj własnością zawistną każdego samotnika naszych puszcz.

Nikt mi nie dowiedzie, że człowiek dawnego czasu, bliższy współżyciu istnień, nie znał lepiej pochodzenia i postępowania planet słonecznych, niźli dzisiaj człowiek patrzący ku nim przez doskonałe szkła. A jeżeli te szkła dzisiejsze są cośkolwiek warte, to tylko przez myśl, która odkryła przechodzenie światła i odrywanie się ciał niebieskich, podobnie jak słońce odkrywa zimową porą coraz to nowe doliny z pośrodka mgły.

Myśl więc nie była nigdy powszechną, ani z istoty swojej ludzką nie jest.

Powszechnymi dla ludzi po wsze czasy były brutalne warunki, z których powstawały czyny ich życia. Razem, zawsze obłamywali skałę i grzebali się w piasku. Jedną im była nędza istnienia; jedną, wspólną, jednakowo rozłamywali na cząstki; z ciągłej, powszechnej, budowali swoją małą, zamkniętą, udzielną. Byli po wszystkie czasy budowniczymi. Ale nadewszystko budowali nędzę własną. Pracowali na wiatr, siali poprzed burze. Byli wciąż i nieskończenie pracownikami, a przecież nadzy wychodzili z żywota matki, nagimi powracali w proch, nic nie biorąc z owoców pracy swojej. I chociaż w gruzy zwaliły się miasta, choć pioruny gniewu niebios zabiły państwa, i choć, jak błyskawice, przechodziły myśli, dumy, to jednak wciąż człowiek człowieka spychał z miejsca pracy jego i pracował na zagonie dalej. Pod wszystkie zachody słońca widać tę pracę, jakby orkę bez kresu. Postępowała praca, idąc pokoleniami wciąż przez tęż samą ziemię.

Kiedy myśli oplączą, kiedy duchy samotnie szukające przyjdą wieczorami, gdy ginie, to znów wraca w oczach ludzkich cień, człowiek pośrodku pustej nocy szuka ratunku. W najkrwawszem widze-

niu budzi się zwierz. Na dnie pracy ducha drzemie chuć zwierzęca. Okiełznać trzeba ducha swojego przez będącego w sobie zwierza. Potrzeba, ażeby ludzie, pogrążeni dzisiaj w myśli, wzięli się do obłamywania kamieni; lepiej, iżby nasza praca przechodziła, jako nasze ciało. A przechodzi każda praca, mija wszelki człowiek. „A im więcej pracuje szukając, tem mniej znajduje".

Wewnętrzne przymierze człowieka jest w pracy. Kiedy ciemności wielkie nas ogarnęły, gdy blaski niespodziewane i niewiadome na nic nam nie starczą, musimy stać się cięższymi nad ciemności nasze.

Więcej, niźli skałę, łupimy dziś siebie; lepiej, niźli piasek, przesiewamy ducha swego. Obejrzymy każdą naszą rzecz. Poznamy wszystkie, które pożyczone, zrzucimy każdy wzięty w podróż płaszcz. Kosztowne tkaniny rozedrzemy na sztuki, kłócący się w sobie, a łachmanami nie okryjemy nagości. Zostaniemy w końcu, nareszcie, samymi sobą i zobaczymy, że nic właściwie niema w nas, jeno powszechność i ludzkość. To wszystko, co przyjęte, nauczone, wymyślone, co się zdawało być duszą, było cudze. A to, co zapomniane było, w ukryciu czyniące, odnalezione, czego szukaliśmy po próżnicy tak długo, i około którego chadzaliśmy kołem błędnem, obwijali skrętem żmijowym samotności i dumy: to już nietylko nie jest naszem szczególnie, nietylko należy do innych: to są wszyscy, to jest wszechwłasność; to jest ludzkość.

Tak człowiek w nędzy życia miał własność swoją i dom nędzy swej budował: i nagle znalazł, że ten mały jego domek nie należy wcale do niego i jest domem powszechnym.

2. Silnym jest człowiek pracujący. Silniejszą jest ziemia. Człowiek, jak dziecko po ziemi postępujący, łączy usiłowania swoje przeciwko matce ziemi: albowiem sam nie poradzi.

Nasza wspólność, nasze zjednoczenie, nasze cudy gromadzkiej miłości nie są wcale szlachetniejszymi od zjadań się wzajemnych, zagryzań, szczuć i gonień: są również naszą potrzebą nieodzowną. I nie przez to mogą być zbawienne, jeśli są szlachetne: lecz temu jedynie, że są konieczne.

Nasz porządek towarzyski opiera się na wspólnej pracy. Zaś praca powstała ze wspólnej trwogi, która była mocniejszą, niźli wzajemna nienawiść. A z nienawiści zwyciężonej przez strach zrodziła się Wiara.

Człowiek widział obraz i podobieństwo swoje w postaci swego nieprzyjaciela i nienawiścią począł wszelkie względem siebie uczucia. I wszystkie człowiecze Bogi były zaprzeczeniem ludzkości, zdławieniem w sobie człowieka: pochyleniem się świata nad sobą, patrzeniem w siebie samego.

Tak Wiara, wszedłszy w siebie, a uciekając od swojego człowieczeństwa, odnajdywała tylko własne źródło w pustyni: ludzkość i jej czyn.

A co najdziwniejsze: najwyższe wiary stawały się w najmocniejszej pracy. Wielkich prac dokonywała twarda wiara.

Człowiek odnajdywał w sobie powszechność swoją. Jednoczył się z pokoleniami całą mocą pokolenia swojego; i dokonywał pracy przez wspólną z innymi ludźmi Wiarę. Istotnie, „moc i strach u onego jest, który czyni zgodę na wysokościach swoich".

3. Podnosi się praca człowieka, jakgdyby katedra gotycka nad niskimi skłonami pola. Świątynia twoja, Panie Zastępów. Zakon żywego przymierza. Przezeń budowały się rzeczy spólne człowieka. Trzeba było wysokiego uczucia, aby dokonać wszystkich małych rzeczy. Tedy mały domek samotnika stał się gmachem powszechności. Wiara przenosiła góry. Z dalekiego kraju, od wyżyny skalistej szło jej marzenie. I oto podniesioną została pośrodku nich: albowiem wiara góry buduje.

Wiarą tą nie była wcale spólna ludziom budującym myśl. Wiara jest uczuciem przywiązanem do ziemi, zależnem od wszystkiego tego, co posiada i czem się męczy każdy człowiek. Wiara jednoczy, myśl zaś dzieli. Na wysokościach myśli swojej czyni zgodę człowiek samotny już nie ze sobą, ani z ludźmi. Wtedy taki człowiek przeczuwa widzeniem swojem świat. Więc wątpi we wszystko, co tylko jest, około czego przechodzi „we dni pielgrzymowania swojego i w czasie, który jako cień mija". Wątpi, i „ani w nocy sercem odpoczywa". A przeto odmówiło serce jego „więcej pracować pod słońcem".

Człowiek czynu widzi jeszcze jasną godzinę narodzenia swojego. Ale człowiek myśli widzi mało rzeczy tych: a chwali więcej umarłych, aniżeli żywych. Zaś uważa za „szczęśliwego nad obudwu, który się jeszcze nie narodził". Wątpiący w myśli swojej są najwyższymi w sobie ofiarnikami wiary człowieczej.

Łatwo jest małej myśli w skaleczałym duchu wyśmiać małego człowieka i małą wiarę. Istotnie, ten człowiek nie rósł i nie pięknił myślą. Myśl tłumu wierzącego jest mała. Nie w myśli, nie w promieniu z niebios są wielkie, dumne, cudne katedry gotyckie: ale w czynie, ale w pracy. Z męki ciała człowieczego są urobione i od potu pełzającej pracy wilgotne.

Nie w małej myśli silny i piękny jest tłum, lecz w zbiorowym czynie. I jako ten gmach jasnego przeduchowienia w kamieniu, tak jest Wiara: nie jest światem ideału, nie jest promieniem boskości, ani krzakiem gorejącym prawdy przedwiecznej, ale, bardzo ludzka, przyziemna, jest pracą, jest czynem.

Przybytki jej w miasteczkach, okolonych kamieniem obronnym, wzgórzami, kędy stały strażnicze wieże. Z pól, przed nadejściem prędkiego nieprzyjaciela, zbiegał się ludek chłopski w mury strzegące. Wiara była pierwszym strachem i pierwszą łącznością człowieczej gromady; jej pierwszą pieśnią boju.

Nad zastępami idącymi do walki stała ponura wieżyca, krzyżem z chmur żegnająca na wyprawę. Wróconym łupom, wracającym i pognębionym pokazywał krzyż katedralnej wieży drogę prostą. Był, jak latarnia, ten krzyż, pośród morza nienawiści ludzi. Bo spojenie nienawiści nazywa się na świecie miłością. Jako ów krzyż widny zewsząd, tak nad miasteczkami, w trudzie i w boju, w szczęściu i niebezpieczeństwie czuwał duch katedralny, duch złączenia, duch utrudzenia. Zdaleka wszystko widzący, obchodził wokoło mury, niby strażnik uważny. Nad schylonemi ku rzece, wyjrzałemi ku dolinie domostwami siedziała kościelna budowa, jak matka-ptak nad ptaszętami.

4. Jeśli nie wierzymy w przyziemnego ducha powszechnej pracy, jeżeli bluźnimy wiązaniom jednej katedry, czyńmy to silnie. Niechaj grzech nasz będzie mocny, a prawda, podobno wreszcie znaleziona, niech czyni, bo oto prawdę poznamy po owocach, zaś grzechy silnych są na świecie odpuszczone. Bądźmy, jak piorun, który druzgoce tak często wysokie, święte wieże. Postawmy moc przeciwko mocy. Złączmy się przymierzem pracy z pokoleniami. Czy mamy taką łączność dzieła, taką spólność bitwy, abyśmy mieli wiarę? Czy mamy w cokolwiekbądź na szerokim świeeie taką wiarę, ażeby przez nią i w niej stawały się czyny nasze?

Ale obrzydł nowożytny ateizm i spieranie się z panem Bogiem o miedzę, i zemsta za mur graniczny przeciw pierwszym lepszym drogowym słupom. Myśl jest zawsze wolna i nie potrzebuje się kłócić o granice. Bo myśl szybuje po błękicie, jak orzeł, jako szybkie ptaki: nie gnają jej nietoperze. Bo myśl koczuje pośrodku chmur i ma mieszkanie swoje niedostępne pełzającemu, jako skrzydła, a przelatujące, jako powietrze.

Ale jeżeli chodzi o wiarę, to mówmy czynem. Postawmy naprzód większą wiarę. Obudźmy ducha czynu w ludzie. Obejmijmy pierś ruchu. Bądźmy myślą ruchu, czyli czuciem czynu, takiem, jakiem jest iskra dla ognia. Ale myślą pewną, bo czynną, wspólną, bo jednaką temu pracującemu pokoleniu. Aż każda część oblicza czynu będzie, niby portal gotycki, spojona postaciami swojemi ku dziełu podpory i wznoszenia, a zaś czyn, niby wieża strażnicza wpośrodku pól wyrosła: gdzieby duch wieży czuwający murowane granice obchodził.

5. Mało jest w nowoczesnym świecie człowiekowi wspólnych dzieł i rzeczy. Więcej jest wspólnej, jednako pełzającej myśli, która się przejada, zagryza i samodławi.

W gruncie jest dziś to samo, co było przed wiekami. Każdy dłubie swój kamień, każdy przesiewa bezpłodny swój piasek. Najlepsza, największa rzecz nowych czasów — to technika i jej sposoby. Fabryka jest istotną nową świątynią. Tylko iż człowiek dzisiajszy wzorem sposobów swojej techniki myśl na powszechny młyn nakręca. Zaś myśli niewolno używać, jak prochu, jak głazu. Bo myśl z prochu jeszcze wybucha. Myśl się mści. Myśl gniecie, jako głaz jeszcze wtedy, gdy przesiana, swój własny młyn i ciężarem swoim tłoczy najbrutalniejszą, ziemską pracę. Niebezpiecznie jest napoczynać myśli, bez środków zdławienia jej zupełnego, lub bez poddania się jej do śmierci.

Człowiek dzisiaj wcale nie wierzy w pracę swoją. Czynu dokonywa w swej dzisiajszej świątyni, bardziej podzielonej na specyalne oddziały, niźli dawny kościół był podzielony wedle zakonów, lub też świeckich i duchownych części. Samotny i smutny w utrudzeniu swojem jest najmniejszy człowiek. I bezdenne jest jego wątpienie o małej pracy. Tak pewny najwątpliwszych prawd powszechnych,

nie ma już człowiek prawdy czynu swojego. W końcu mały i niewielki ociężeje i dłonie opuści.

Potrzeba jest budowania nowego Zakonu. Nie przyjdzie on z żadnego do nas nieba, bożeśmy wszystkie obtłukli, czy rozproszyli, wiedzą, czy głupstwem, brutalnością miasta, czy brudem nędzy. Całe niebo okrywa szary tuman. Czy z dymu fabryk, czy z chorobliwego naszego oddechu? Ale pod tem szarem niebem zduśmy nasze lekkie myśli, strwóżmy nasze małe spory ciężką pracą. Nowy Zakon znikąd nie przyjdzie, jeno przez spólną pracę, od jednego złączonego hufca, dla jednego dzieła, które przejmie wrzystkie dusze.

Mocne musi być uczucie, co pobudzi do spólnej, do ciężkiej ofiary z pracy. Trzeba było Wiary na katedry gotyckiej budowanie. Ileż mocniejsza potrzeba wiary jest dzisiaj, dla poruszenia znękanej dłoni, ku ocknieniu zleniwiałych dusz. Mocne musi być życie, jako ta ziemia. I tylko uczucie do ziemi, i tylko zrośnięcie z ziemią, i tylko zbudzenie w sobie uśpionego i utrudzonego ducha ziemi, i tylko poznanie krzywdy ziemi mocne są obudzić czyn.

6. Czyż tak trudno uwierzyć w najbliższą przyszłość swoją? Czyż rzeczą tak sztuczną czyn dla kraju? Jesteśmy jedynem społeczeństwem pośrodku wszystkich innych, na które czeka wiara jego. Czyli już nie przyszła w tumanie zaległym od niepotrzebnie wylanej krwi? Do swej własności przyszła Wiara, lecz swoi jej nie przyjęli.

Czyn jest to Polityka. A społeczeństwa stają się, wschodzą, dają owoce i giną jedynie przez czyny swoje. Czyny muszą być oparte na świadomości zbiorowej pracy i muszą mieć Wiarę. A jeśli przeszła ponad górami, która zbudowała obronne miasta, była panującą nad ludem i w zmęczonej piersi pragnącego, i stała świątynią gotycką: azaliż równinnej duszy naszej nie skłębi w jeden wichr potępieńczego Gniewu, który się stanie Siłą?

Potrzeba nam zdolności widzenia dla paru wspólnych rzeczy i chociażby jednej łączącej wszystkich Wiary.

WACŁAW NAŁKOWSKI

Dwie drogi i dwa środki postępu

Wiadomo powszechnie, że zasadą życia ludzkości, jak i wogóle — całej przyrody, jest ciągła zmiana, rozwój, postęp.

Postęp ten wśród społeczności ludzkiej odbywa się dwiema drogami, płynie dwoma wzajemnie zasilającymi się prądami: doskonaleniem się naturalnem, wewnętrznem jednostek i doskonaleniem się zewnętrznem, sztucznem ustroju społecznego; jedno, jak wspomnieliśmy, warunkuje, wywołuje lub umacnia drugie.

Samo doskonalenie się, dalekie wybieganie naprzód jednostek w ewolucyi (zwłaszcza przy małej ich liczbie), bez równoczesnego dążenia do zmiany warunków zewnętrznych, społecznych — bez „sprzeciwiania się złu", jest niedostateczne i bardzo, że tak powiem, nieekonomiczne. Albowiem jednostki takie, zbyt wybiegłe naprzód, wśród stosunkowo barbarzyńskiego, przeważnie wrogiego im otoczenia, niewiele zdziałać mogą, lub — aby działać — muszą się nieraz podlić; najczęściej zresztą giną przedwcześnie, nierozumiane, a nawet pogardzane, prześladowane, więzione, mordowane.

Z drugiej strony sama nagła zmiana stosunków zewnętrznych, bez równoległej zmiany wewnętrznej, też niewiele narazie przyniesie korzyści. Albowiem złe jednostki przeniosą swoje instynkty, nabyte w dawnym ustroju, do nowego, przeniosą doń zarazę: wczoraj robiły interesy na klerykalizmie, wstecznictwie, chrześcianizmie i t. d., dziś

robić je będą na postępie, myśli niezależnej, abstynencyi, socyalizmie i t. d. —I to takiej metamorfozie podlegają nieraz nietylko typy, ale jedne i te same indywidua: zmieniają tylko napisy na szyldach swych kramów. I zdarza się wtedy, że jednostki brutalne, dzięki swadzie, zręcznej frazeologii i sprytowi życiowemu, przywłaszczywszy sobie idee zupełnie im psychicznie obce, przywłaszczywszy sobie cudzą wieloletnią pracę, stają odrazu u szczytu znaczenia i sławy — na podobieństwo tych przedsiebierców, którzy bogacą się cudzymi wynalazkami, podczas gdy sami wynalazcy giną w nędzy i zapomnieniu.

W każdym jednak razie nawet *przedsiebierstwo* postępowe jest— zwłaszcza w początkach zmiany, przy możliwej reakcyi—rzeczą dość ryzykowną; toteż większość społeczeństwą trzyma się wytrwale przedsiebierstwa pewniejszego, konserwatywnego, tembardziej, że ku temu, prócz interesu, skłania atawizm, a także retrospekcya uczuciowa, urok wspomnień.

Tym sposobem ten przemożny tłum konserwatywny da się podzielić na trzy kategorye. Jedni — to ludzie świadomie źli, przebiegli, którzy usiłują powstrzymać postęp, bo on naruszyłby ich przywileje; są to gieszefciarze, łotrzyki à la Połaniecki — Bigiel, Hurko — Liedwal i t. d., robiący interesy na głodzie ludzkim. Drudzy — to masy bierne, nieświadome, o instynktach zwierzęcych; są to niby urodzeni zbrodniarze — chuligańska czerń; zresztą pierwsza i druga kategorya dadzą się oddzielić tylko w teoryi, w rzeczywistości zaś splatają się one ze sobą psychicznie. Trzecia nakoniec kategorya — to dusze mniej lub więcej szlachetne, serca szczere, nieraz gorące, lecz umysły niedość rozwinięte, nieuświadomione, wprowadzone w błąd; ludzie ci gotowi są nieraz walczyć, poświęcać się w obronie swych kajdan, swej nędzy i ciemnoty — jestto owa *sancta simplicitas*, co znosi drzazgi na stosy Hussów.

Pierwsi i drudzy są straceni dla sprawy postępu: ich nietrzeba — lub niemożna przekonać, ich można tylko pokonać. W innym, lepszym ustroju społecznym pierwsi, stanowiący dzisiaj śmietankę społeczną, siedzieliby pod kluczem, rozmyślając melancholijnie o błogiej przeszłości; drudzy tworzyliby kolonie nieuleczalnych, podobnie, jak dzisiaj trędowaci.

Trzeci element — najliczniejszy — jestto materyał, który daje się pozyskać dla postępu drogą przekonywania, uświadamiania: przy pomocy żywego słowa, literatury i szkoły; za tym dopiero przyjść może *owocna* zmiana stosunków zewnętrznych, społecznych; zmiana bądź po-

wolna, ewolucyjna, bądź nagła, rewolucyjna — zależy to od stopnia podatności lub oporności powstrzymującej tamy. Ale nawet, gdy zachodzi druga możliwość, drugi środek — to warunkiem jego powodzenia bezpośredniego, a nawet i późniejszego wyzyskania, uniknięcia hydry reakcyjnej, jest wyrobienie uświadomionego materyału ludzkiego w dostatecznym stopniu i w wielkiej ilości.

Z drugiej strony nawet już w czasie tej pracy spokojnej, miarowej, kulturalnej, zachodzą wybuchy tłumionego uczucia, momentalne gwałtowne ataki. Tak wulkan, wydzielający normalnie gazy ze swego krateru, gdy krater ten zostanie zbyt mocno zaciśniętym, wybucha momentalnie, wskutek akumulacyi gazów. Ale niedość analogii z przyrodą: omawiana działalność ludzka ma przyczynę nietylko żywiołową, wynika nietylko z akumulacyi; jest objawem nietylko uczuciowo-psychicznym, ale i taktyczno-społecznym: w czasie wojny wódz przeznacza nieraz na zgubę wybrane bohaterskie pułki, rzucając je w szalone, beznadziejne szarże, aby sparaliżować na chwilę nacisk nieprzyjacielskiej nawały i przygotować pod tym przykryciem swe wojska do bitwy walnej; i zdarza się, że na te straszne ataki zgłaszają się w nadmiarze sami ochotnicy, jak bohaterowie japońskich branderów.

W miarę doskonalenia się gieniuszu ludziego i jego techniki nawet i ten drugi środek rozwoju zbliża się coraz bardziej do zasady: przy *minimum* strat *maximum* skutków.

JAN KLECZYŃSKI

Szlachta w końcu XVIII wieku

I

Szkic

Straszliwie upadli w wieku XVIII potomkowie dawnych rycerzy Rzeczypospolitej Polskiej. Trzeba czytać Askenazego, Kalinkę i Kraszewskiego, aby przedstawić sobie obraz tego wszechstronnego zwyrodnienia, jakie ogarnęło tę lwią niegdyś rasę, która nietylko wydawała bohaterów z pod Grunwaldu, Kirchholmu i Dzikich Pól, lecz zdobywała się na kulturę Złotego Wieku, śledziła postępy myśli i nauki europejskiej i umiała niekiedy stwarzać dla poddanych jej chłopów nie barbarzyńską niewolę, lecz stosunki prawie ojcowskie.

Objawy rozkładu widzimy już w wieku XVII — podczas wojen szwedzkich. Czasy późniejsze — saskie — zbyt są znane, by szerzej się o nich rozpisywać. Tyle tylko nadmienię, że widziano wtedy w tym jednym pijackim obozie szlacheckim partye polityczne rosyjskie, austryackie, szwedzkie, saskie, francuskie—polskiej ani jednej. Kombinacye ówczesne szlachty, a raczej prowodyrów jej—magnatów—z państwami ościennemi, dobitnie opisuje Askenazy w „Dwóch stuleciach".

Kiedy zaś nastała elekcya Stanisława Augusta pod opieką rosyjskich bagnetów i rosyjskich pieniędzy, zdumienie ogarnia, skąd w tym spróchniałym narodzie znalazły się jeszcze dziesiątki tysięcy barskich bohaterów. Lecz był to już ostatek sił starego pokolenia. Sejm Ponińskiego, na którym, według Kraszewskiego, ambasador Katarzyny II

„najpatryotyczniej przemawiał (!!)" i „prosił, aby prywatnemi nie zajmowano się sprawami, ale myślano o publicznych,"[1]) odsłonił właściwe oblicze ówczesnych „obywateli" Polski.

„Najnikczemniejsza uległość, prywata, najobrzydliwsze pochlebstwo" — oto słowa, któremi Kraszewski określa postępowanie sejmujących. Lecz słabe są określenia znakomitego pisarza. Straszliwsze są obrazy, które maluje. Wstręt potęguje się tam do grozy. Dość przypomnieć sprawę rozkradzenia dóbr i bogactw pojezuickich.

A „Katarzyna II skarżyła się przed księciem de Ligne na nacisk Polaków, żebrzących u niej pensyi i krzyżów!" [2]).

I cóż dziwnego, że tak zdegenerowani ludzie „uchwalili" rozbiór kraju, że tyranami się stali dla tych, których obdzierać mogli bezkarnie? Cóż dziwnego, że Staszic szlachcie *podłość* wyrzucał, że poseł saski, Essen, pisał: „uczciwy człowiek w Polsce, jeszczeby gdzieindziej za nicponia uchodził" [3]).

Lecz szlachta była niejednolita. Byli magnaci, był gmin szlachecki i t. zw. drobna szlachta.

O „panach" tak odzywa się Staszic:

„Kto na sejmikach uczy obywatela zdrady, podstępów, podłości, gwałtu? Kto niewinną szlachtę, najpoczciwiej i najszczerzej ojczyźnie życzącą, oszukuje, przekupuje i rozpaja? — Panowie. — Kto od wieków robił nieczynną władzę wykonawczą, rwał sejmy? — Panowie. — Kto sądowe magistratury zamienił w targowisko sprawiedliwości, albo plac pijaństwa, przekupstwa, przemocy? - Panowie. — Kto koronę przedawał? — Panowie. — Kto koronę kupował? — Panowie. — Kto obce wojska do kraju sprowadzał? — Panowie".

Wizerunku tego dopełniają następujące cytaty z Arndta [4]).

„Zamki jego w gruzach, dobra w zastawie, chłopów jego i poddanych wierzyciele, żydzi i lombardy dręczą. Szczegóły domowego życia zdradzają dumną nędzę: tłumy sług składają orszaki wielkie, imponujące, ale ludzie ci śpią na gołej ziemi; źle są odziani i karmieni".

Cytaty owe dają się zresztą zastosować i do większości szlacheckiego gminu, ogółu, o którym pewien francuz [5]) pisze: „Nauczyliście się używać fortun waszych rozpustnie, bez elegancyi, a dziw, że tacy sybaryci są ludźmi bez litości dla nieszczęśliwych niewolników, którzy

służą w ich domach, przenosząc nad nich psy swe i konie. Znikł duch wojenny, nawet—śmiem to powiedzieć—nawet odwaga".

Tenże francuz o drobnej szlachcie tak się wyraża:

„Czegóż się możecie spodziewać po tej nędznej szlachcie, która tylko domom waszym lichej służby dostarcza? Służy wam ona źle, dba tylko o to, aby się czegoś dorobić, drze was i zbogaca się waszym kosztem. Ci szlachcice ojczyzny nie mają, a mszczą się na chłopie za podłość, z jaką do nóg waszych padają. Męstwo służy im tylko do łupieży."

Czy możnaby cokolwiek przytoczyć na podanie w wątpliwość tych sądów obcych świadków — wobec sejmu Ponińskiego i wobec hulanek i balów, które trzęsły Warszawą, podczas gdy kraj szedł w grób, i na których nadskakiwano rosyjskim gienerałom, „wielbiąc" Imperatorową nie mniej, niż jej „rycerzy", niż znanych zdrajców i znanych sprzedawczyków? Chyba nie...

Ale konfederaci barscy i nieprawdopodobne nadużycia „gwarantów" Rzeczypospolitej, zaczęły budzić sumienia. I poszło to szybko—niepojęcie szybko—ale *nie silnie*. Fala ożywczego prądu rozlała się szeroko, ale płytko. Nie było w tem nic dziwnego po tem, co powiedziano wyżej. Raczej podziwiać należy, że ten sam naród, który przeżył—w znacznej swej większości spokojnie — obelgi z r. 1772, zdobył się w 16 lat później na tyle dobrej woli, jaka cechuje sejm czteroletni i późniejsze trzy lata.

O płytkości porywów patryotycznych świadczyć musi fakt, że podatek 10-go grosza, uchwalony przez sejm „tak nisko podano, że stanowił zaledwo 3%," podczas gdy w r. 1785 i 6 w 18 miesięcy sprowadzono... 36,000 beczek wina węgierskiego po 10 czerwonych złotych za sztukę i drugie tyle kontrabandy [6])...

Wielkie głosy Stasziców, Brzostowskich, Kołłątajów, trafiały już gdzieniegdzie do serc, ale rzadko, nader rzadko wypędzały węże z kieszeni szlacheckich. W zupełnem odosobnieniu znajdują się piękne czyny takie, jak Antoniego Odachowskiego ze Żmudzi, który to szlachcic, „lękając się, aby niedość ściśle obrachowaną ofiarą 10-go grosza sumienia nie obciążył, osiemset dukatów do skarbu testamentem przekazał" [7]).

Że już r. 1775 powstał projekt szkoły, któraby też dla chłopów była przystępna [8]), że kwestyę włościańską popularyzowało mnóstwo

broszur, wykazując konieczność zasadniczych reform, broszur pisanych z zapałem godnym budzącej się żądzy sprawiedliwości—to stwierdza tylko, że w Polsce istniała garść ludzi mądrych i uczciwych. Ale skąpe skutki tych wołań dowodziły, że choć szło odrodzenie, choć opinia większości w zasadzie była po stronie polepszenia bytu chłopów, to jednak ciężko się było rozstać nawet z drobną cząstką dawnych przywilejów i przesądów.

Dla ścisłości jedynie nadmienię tu jeszcze o sielankowej, fantastycznej nieledwie Rzeczypospolitej, jaką urządził w dobrach swoich hr. Brzostowski, osadzając (r. 1769) na gruntach dworskich i wiejskich wszystkich włościan swoich za opłatą czynszów, nadając im ustawę i rząd, składający się z dwóch izb i prezydenta wyznaczonego od dworu... Wyglądało to doprawdy, jak cudna bajka...

Lecz ogół martwo, wpółbiernie opierał się wszelkim dalej idącym zmianom w stosunkach społecznych. Bywało przecież, że podatki, nałożone na szlachtę, na włościan zrzucano".

Tymczasem zaś sprawa chłopska miała na swoje poparcie tak wymowną rzeczywistość, tak bijące w oczy fakty, że nawet — „gdy chciano ułatwiać osiedlanie się obcych kolonistów w Polsce pod pozorem wzmożenia rzemiosł, przemysłu i handlu, *papież Klemens IV doradzał raczej oswobodzenie włościan, jako środek dźwignięcia kraju daleko skuteczniejszy*" [9]).

Ale cóż?—Jedno z pism z r. 1791 pisze: „Gada cząstka o wolności ustawnie, a miliony rolnika stęka pod obmierzłem niewoli jarzmem" [10]).

Niełatwo było wydobyć szlachtę z przepaści, w jaką się pogrążyła po tylu latach staczania się w dół. To też *rok 1794 nie mógł jej zastać — i nie zastał też przygotowanej do wielkich czynów, jakim trzeba było podołać,* by nie pogrążyć kraju w ostateczne nieszczęście.

Po tem, co wyżej powiedziano, *a priori* trzeba było się spodziewać, że bohaterstwo nie ogarnie *całej* warstwy szlacheckiej.

Popiera takie niezbicie logiczne twierdzenie pamiętnik Zajączka [11]), któremu choćby z tego już powodu niepodobna zarzucać *zupełnego* i swiadomego fałszu, jak to czyni Korzon. Możliwa jest w słowach dzielnego gienerała, naocznego świadka, spora nawet przesada, lecz ignorować jego okrutnych świadectw niepodobna, dlatego też zamieszczam je poniżej, wraz z dowodami „za" i „przeciw".

„Długi pokój — pisze Zajączek — a dłuższa jeszcze anarchia wprowadziły w Rzeczpospolitą, *wolną i skrytą jakąś truciznę, umysły straciły wraz z wyobrażeniem i gustem do wielkich rzeczy energię*, potrzebną do wykonania wielkiego przedsiewzięcia. *Duch wojskowy był zwątlony;* mieszkańcy zachowywali swoje osobiste męstwo, lecz *nie byli zagrzani owym żywym entuzyazmem, jaki wytwarzają honor narodowy, miłość wolności i nałóg wojny*. Wielka część szlachty życzyła sobie rewolucyi, lecz sentyment ten w głębi ich serc tylko się taił (!!). Pragnęli uwolnienia, lecz chcieli, aby się to stało bez wielkiej ich ofiary majątku i krwi (!!)".

„Kościuszko — pisze dalej — zamiast czynności, którą trzeba było stawić przeciw tyranom, znalazł w szlachcie samą nieczynność i gnuśność. Ciąg rewolucyi dał nam widzieć, że szlachta Krakowska pokazała więcej gorliwości, niż inne części Polski, z tem wszystkiem nic tam nie szło z pośpiechem. Jak zebranie rekrutów, tak opatrzenie armii z trudnością się odbywało. Szlachta wzbraniała się dać wszelkiej kontrybucyi, za każdą niemal miarką zboża dostarczaną, o głodzie wspominała, a wszystkie jej operacye były oznaczone cechą niedbalstwa"...

Nasuwa się wniosek:

Jeżeli tak było w Krakowskiem, gdzie „pokazano więcej gorliwości, niż w innych częściach Polski",—to cóż się musiało dziać w owych „innych częściach"!

Lecz wniosek ten byłby nieścisły. Według Korzona na początku lipca czynnych było „Komisyj Porządkowych" 14 na Litwie i 17 w Koronie. Chociaż więc „skontrolować czynności tych wszystkich władz niepodobna dla braku akt", niemniej jednak sama liczba walczących w r. 1794 polaków wskazuje, że przy każdej „Komisyi" istnieć musiała spora garść dzielnej szlachty, która uzbrajała chłopów, sama też śpiesząc na bój. Liczba ta dochodzi u Korzona do 149.000.

Tu wyczuwamy istotnie przesadę w słowach Zajączka, ale czyż była ona tak wielka, by nazywać go „fałszerzem historyi i oszczercą narodu?"

Nie myślę obniżać bohaterstwa tych, którzy *dobrowolnie* wyszli w pole. Sądzę zresztą, iż gdybym dowiódł, że ocalili oni honor kraju, walcząc z najeźdźcami na tle obojętnej masy większości narodu, tem świetniejszą stałaby się ich chwała i zasługa wiekopomna.

Nie próbuję się także wdawać w niemożliwe dla mnie, a przytem jałowe, przypuszczalne obliczenia, ile szlachty mogło być w tych 149.000,

na które składało się 30 do 31 tysięcy wojska regularnego, rekruci, milicya, „luźne oddziały“ i „kupy pospolitego ruszenia.“ Zaznaczę tylko, że i na milicyę, i na rekrutów, i na oddziały luźne składały się przeważnie masy chłopów, werbowanych przez wojsko, lub prowadzonych przez szlachtę. Oddziały czysto szlacheckie (np. Jelskiego) należały do wyjątków [12]).

Ale dlaczego tyle oddziałów, prowadzących krwawą walkę, było „gołych“—według wyrażenia wielu raportów [13]), skąd ten straszny brak ubrania, butów, koni? Wiem, że trudną rzeczą było gromadzenie zapasów w tej zawierusze, że skarb był pusty. Czy nie przyczyniły się jednak do tego stanu fakty pewnego „niedbalstwa,“ „nieczynności“ i „gnuśności“ szlacheckiej, jak się zapewne zbyt jaskrawo wyraża Zajączek? Przecież od chłopów rzucania swego nędznego mienia na dobro ojczyzny niepodobna było wówczas wymagać, szlachta zaś czego jak czego, ale koni miała chyba sporo — tembardziej, że chłopskich używała, jak swoich.

A dalej—nie uwzględniając pewnej obojętności — sennej półobojętności—nietylko przeważnej części ogółu, ale nawet wielu wśród tych, co powstali, niepodobnaby wytłómaczyć *ani rozprzężenia armii litewskiej,* [14]), ani skarg Jakóba Jasińskiego na zdrajców i intrygantów [15]).

Nie było *dostatecznej* ofiarności [16])—to już wątpliwości nie ulega.

Zajączek pisał pamiętnik swój *pod wrażeniem całego przebiegu powstania.* Nic dziwnego więc, że jaskrawo uogólniał fakty, przejęty bólem przegranej—tak straszliwej w skutkach. Nic dziwnego, że pojedyńcze fakty mu przeczą.

Spojrzyjmy zresztą na dalsze jego twierdzenia:

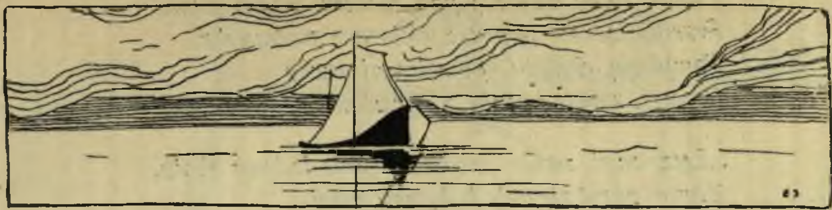
Skoro tylko Kościuszko wszedł w Sandomierskie, „większa część szlachty województwa sandomierskiego opuściła swój kraj, udając się do Galicyi, ci zaś, którzy pozostali w domu, byli bardziej szkodliwymi, niż pożytecznymi dobru publicznemu, bo nie myśleli, jak tylko o przytłumieniu jakiejkolwiek iskierki w duszy stępiałych przez niewolę wieśniaków, zachęcając ich nawet do opuszczenia swych chat ojczystych“— pisze Zajączek. Prawdę słów jego stwierdza *pełen goryczy list Kościuszki,* zamieszczony u Korzona („Kościuszko“ str. 313) a zaczynający się od słów: „Nie mogę bez wzruszenia głębokiej czułości mojej pomyśleć o nieczynności Sandomierzanów! Jakże więc miłość ojczyzny waszej ma przestawać na zapale nieczynnym“... i t. d. Co zaś do tego,

że „większa część szlachty opuściła kraj swój" i t. d.,—to nie znajduję potwierdzenia tej wiadomości, ale też i zaprzeczenia jej.

„...Pułkownik Chomentowski—czytamy dalej—wysłany był w celu zrobienia w Lubelskiem i Chełmskiem powszechnego powstania wieśniaków, lecz tyle w uskutecznieniu tego doznał oporu, że wyraźnie doniósł Kościuszce, iż członkowie ustanowionej zwierzchności w tych dwóch prowincyach byli zupełnie dalecy od ducha rewolucyjnego"... „że nietylko tam wszyscy o niczem, jakby wśród pokoju, nie myślą, lecz nadto, iż propozycyę powszechnego powstania przyjęto, jako zamach na wolność"(!!).

Odsyłacze:

1) Kraszewski.
2) Tamże.
3) Tamże.
4) Tamże.
5) Tamże.
6) Tamże.
7) Tamże.
8) Tamże.
9) Tamże.
10) Tamże. Cytata.
11) Książnica, r. 1907, tomy 11 i 12.
12) Wykazują to tablice, wyszczególniające skład różnych oddziałów i pułków, a zamieszczone u Korzona w „Wewnętrznych Dziejach Polski".
13) Tamże.
14) Tamże.
15) Korzon i Heltman.
16) Pojedyncze fakty wyjątkowej ofiarności, jak np. wystawienie przez szlachcica ziemi stężyckiej, Zgliczyńskiego, pułku konnego 728 głów—o czem wspomina Korzon—*i to zupełnie swoim kosztem*—nie osłabia sądu o *ogóle* szlacheckim—raczej przeciwnie—daje miarę porównania pomiędzy istotnem poświęceniem, a leniwem spełnianiem obowiązku.



ARTUR GRAF

Okręt wśród lodowców

(przekład Anny Bronisławskiej)

Na morzu antarktycznem, gdzie ciężka pokrywa
Bezbarwnych, zimnych niebios zawisa nad ziemią,
Kiedy góry lodowców skamieniałych drzemią,
Okręt, wtłoczony w skrzepłe fal cielska, spoczywa.

A dookoła, zewsząd, aż pod niebios brzegi,
Lecą podobne białej rozpostartej chmurze,
To wznoszą się w gwałtownych podskokach ku górze
Wieczne i nieskończone, nieprzebyte śniegi.

Tam—z dali—na granicy niebiosów i morza,
Którą od wieków mroki sinawe zawiały,
Mętne jawi się słońce, księżyc posmutniały
Wstaje i zaraz śpiący kładzie się do łoża.

Żadnego śladu życia w tej bezbrzeżnej głuszy
Jałowej, beznadziejnej, rozpacznie-niezmiennej,
I nic tutaj nie zmąca ciszy martwej, sennej—
Chyba wiatr niewidnemi skrzydłami poruszy.

Chyba tylko niekiedy pod niebem zziębniętem,
Przebijając się poprzez wichrowe podmuchy,
Pomykają cichymi, powolnymi ruchy
Ponure, smutne ptaki z rytmicznym lamentem.

...Lecz ongi, zanim przyszedł w te lodowe skały,
Zanim okrył się cały bolącemi rany—
Wszystkie wodne bezdroża, wszystkie oceany
Przebiegał lotem ptaka ów okręt zuchwały.

I błąkał się pod niebem przejasnem, wesołem
Równików i zwrotników; z wichrami zbratany
Latał po modrych toniach, siekł białe bałwany
I za słońcem obiegał całą ziemię kołem.

Gdzie nie był! Widział ujście boskiego Gangesu
I przylądek Nadziei, Antylle kwitnące,
I morza dookoła wysp złotych grające,
I w górze oceany gwiazd pełne, bez kresu.

A imię jego z dawien dawna było „Dalej"—
Wolność była mu życiem... Teraz wzięty w kleszcze
Od żelaznych mocniejsze—pogląda w dal jeszcze,
Lecz uwięznął nazawsze w skamieniałej fali.

Mijają długie lata. I słońca twarz blada
Patrzy nań obojętnie przez wieczyste mroki,
I patrzy smutnie miesiąc dziwny, ciemnooki,
Jak stary okręt zwolna w gruzy się rozpada.

Zwaliły się wysokie pnie—leżą bezwładnie
Maszty, około których zwinne żagle biegły;
Pokład cały wygląda jak rycerz poległy,
Ster prysnął, a kotwica rzucona tkwi na dnie.

A w górze niebo zgubione w mgle sinej,
A wkoło głuche, umarłe krainy.



WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

I

Miał dosyć obczyzny, ale nie miał wcale pieniędzy. Musiał więc czekać, aż zginą śniegi, stopnieją lody, i ogrzana ziemia otworzy na wsze strony swoje drogi i swoje kryjówki. Wtedy pójdzie piechotą... Czekał spokojnie, cierpliwie, nikomu nie zwierzając się, przed nikim się nie skarżąc. Pisał jedynie od czasu do czasu krótkie, dosadne listy i posyłał je na daleki zachód. W listach stale brzmiała ukryta, ale niezłomna obietnica: czekaj! przyjdę!

Wzamian odbierał blade karteczki, z których unosiła się nikła, odurzająca woń znanych mu perfum, i których obojętne napozór wyrazy szeptały coraz cichszym, coraz bardziej zdławionym głosem:

— Och! prędzej... Kiedyż... kiedyż!... Sił już nie staje dla cierpień!...

Wtedy tracił równowagę i, aby się uspokoić, uciekał daleko od lichej wioszczyny, gdzie mieszkał, od nieszczęśliwych, z którymi był skuty...

Dopiero, gdy szarożółte plamki wioskowych chałup roztapiały się w sinem przestworzu, gdy cichły do niewyraźnego szmeru szczekania psów, pianie kogutów, skrzyp sani, stuk drzwi i głosy ludzkiego gadania, gdy wszelkie ślady ruchu i życia do cna wsiąkały w bezmiar i majestatyczną martwotę śniegów, — siadał na brzeżku skalistego urwiska

i, ująwszy w dłoń podbródek, jak żywa statua florenckiego Medyceusza, topił czarne oczy w białą bezdeń.

Parów zaśnieżonej rzeki uciekał, niknąc w bledniejących przegubach złotośniadych cieni. Cichość grobowca, białość ciała, nieskalanego żadnem dotknięciem... Na nim legł, przywarł doń w dławiącym bezruchu błękitny wiszar wietrznego oceanu. A ponad tym mroźnym zlewem powietrza i zastygłej ziemi słońce rozpościerało swój cudny wachlarz złotych, przetykanych tęczą promieni. Pod ich dotknięciem lody płonęły iskrami ognistych ogni, z cichem westchnieniem osiadały, perląc się na śreń, śniegi... Szron zwijał twarde koronki i puchy... Nad pustynią przelatywały ledwie uchwytne tchnienia, ciche dreszcze i szmery lękliwe, jak słaby puls istoty, budzącej się do życia w uścisku zabójcy... Uwolnione z nadwątlałej sadzi gałązki kołysały się ruchem nieśmiałym...

Chłonął mary dźwięków, przywidzenia drgnięć duszą, łaknącą wolności... Aż mierzchnął dzień, umierały blaski, stygły westchnienia... Na widnokręgu rozlewała się struga krwi, kąpiąc w swej pożodze obłoki i góry.

Wtedy podnosił smutne jeszcze, ale gładkie już czoło, rozsuwał zasępione brwi, rękę odejmował od ściśniętych szczęk i, wybijając nią zlekka takt po kolanie, nucił cicho, zapatrzony na stulający się i opadający kwiat dnia:

„Już nam znikły nadziei promienie,
Zanim zorza zabłyśnie nam blada...
Wstańmy jako upiorów gromada...
. . . .
W noc spokojną do domów wpadniemy,
Gdzie szczęśliwi błogimi śpią snami,
Naszą pieśnią im pokój zmącimy...
Niechaj wstaną i pójdą za nami“...

Wracał późno wieczorem, gdy nic już nie było widać i w chmurze wysokiego brzegu świecił jedynie rząd rubinowy wioskowych ogni.

. . . .

Nareszcie zwycięska wiosna potargała na szmaty odzież zimy i jej milczenie. Ze strasznym łoskotem rozpękły lody na rzece i popłynęły,

błyskając zielonawemi graniami dziworacznych kier. W czarnych wilgotnych pachwinach ziemi zaburliły wody. Potoczyły się ku nizinom z dźwięcznym mamrotem ich pstre, łyskliwe zwoje. Zapryskały, zaburzyły się piany wodokatów w skalnych szczelinach, w omszałych wądołach, wśród wielkich szarych głazów, na których siwe liszaje i biały zamróz nocowały jeszcze obok siebie. Oślinione paszczęki wirzysk zakłapały pod brzuchami dziuplastych parszaków, co obdarte z łubia i sęków legły wpoprzek stoczyn. Popłynęły dołami ciche spracowane strugi wodne, wśród pęków żółtych traw jesiennych, pod nabrzmiałemi prąciami bezlistnych jeszcze młokicin. Z nabuchłych ról, z ogrzanych łąk trysnęła wszędzie ruń szmaragdowa. Zabielały centki sasanek i pierwiosnków. Roziskrzyły się gęsto żółte gwiazdy ostromlecza. Czarki jaskrów zalśniły się na mokradłach, niby wykute z cienkich blaszek porannego blasku słonecznego. Rude, obłe pagórki podlesi opłynęły chmarą niebieskich przelaszczek. A górą w borach i gajach, dokoła czerwonomiedzianych gałęzi, dokoła żelaznosinych pędów, dokoła powiewnych pławi, zwieszających się jak warkocz dziewcząt — tryskały, krzepły, gęstniały w oczach tumany młodego listowia. Niezrównany zapach żywicy i wina wionął z ran drzew, z nasion kwiatów, rozdartych pragnieniem nowych ukwieceń i nowych miłości. Zbudzone motyle lękliwie polatywały w słońcu i grzały na chropawych, ociepłałych pniach wyblakłe skrzydełka. Muchy, żuki, mrówki i pełzające robactwo wyległo na powierzchnię z zimowych kryjówek i skrzętnie badało teren swych nowych zapasów o sytość i miłość. — Zaświegotało ptactwo. Zagędźbiły w podniebiu senne trójkąty gęsi, zagrały klucze długonogich żórawi. W milczeniu poleciały na północ białe widziadła królewskich łabędzi. W zacisznych bojarach i bagienkach zatrzepotały się roje lubieżnych kaczek. Na słonecznych wygrzejach zawiodły zażarte boje niezliczone zastępy przelotnych kulików i kurek... W ciemniach puszcz zakukała przynętnie kukułka...

— Co wam jest? Tacy jesteście dziś dziwni?!—pytała go sąsiadka-wygnanka, zaglądając mu w oczy z niepokojem.

Milczał i ściągnął rozedrgane usta.

— Dlaczego nie przychodziliście tak długo?

— Miałem pilną robotę...

— Cóż to?

— Wybieram się w podróż długą i niepowrotną...

— Co? Uciekacie?!

Kiwnął głową.

Pobladła.

— Domyślałam się... A... a...

Głos jej się załamał. Ucichła. On spochmurniał.

— Cóż robić? Dlatego nie mówiłem nikomu... Niepotrzebne żale i smutki... Bywajcie zdrowi, muszę już iść, gdyż chcę zajrzeć do wszystkich!

Wstał. Gdy schylił się, aby ucałować jej rękę, w nagłym porywie przycisnęła jego głowę do piersi. Gdy wyszedł, te same dłonie przycisnęła do zamierającego serca.

Nie zauważył jej ruchu, nie dosłyszał cichego pół-jęku:

— Już po wszystkiem!..

Odwiedził górala z dalekich, południowych gór, umierającego w małej, zakopconej izdepce. Gdy wszedł, chory usiadł na pościeli i zwrócił ku niemu wyschłą, ciemną, orlą twarz z wielkiemi, płonącemi oczyma.

— A, to wy!.. Co słychać?.. Może odebraliście jakie wieści?..

— Nic szczególnego... Borykają się, ale mało ich pozostało...

Usiadł i opowiadał jak zwykle, co gdzie wyczytał lub usłyszał.

Piersi umierającego wznosiły się ciężko i wysoko, kotłowało się w nich, jak w wygasającym wulkanie.

— Nic, nic... Nie szkodzi!..—mówił, dysząc usilnie.

— Niech tam!.. Oczyścimy się w tym ogniu od wszystkich brzydot, wad i słabostek... Wszyscy źli i marni opuszczą nas... Wzlecimy ponad światy, ponad dzieje bieżące, przemijające... wzlecimy! Ale... mnie już nie będzie!..

Głucho zakaszlał i opadł na poduszki. Odjeżdżający uścisnął mu rękę.

Zajrzał następnie do „profesora", gdzie w zimnym, wilgotnym, brudnym chlewku, na glinianej podłodze pełzały, płacząc i swarząc się, pół nagie dzieci, a wśród nich kobieta, z bólem przyschłym do lic, czyściła w milczeniu kartofle.

Zajrzał i cofnął się. „Profesora" nie było. Dojrzał go daleko na ścieżce, dźwigającego na grzbiecie wiązkę chrustu. Podszedł ku niemu, nosze od niego odebrał i zarzucił je sobie na plecy, a obok,

wycierając pot z czoła, podreptał „profesor“... Wyrzekał na cały świat, na los swój, oskarżał historyę i ludzi...

Odwiedził „komunę“ studentów i robotników, gdzie dobry humor, miłość i zdrowie walczyły rozpaczliwie z nędzą i tęsknotą...

Gdy wyszedł stamtąd, westchnął, zdjął czapkę i spojrzał ku ciemniejącym niebiosom. W ich nieskończonych głębiach już migotały iskry niezliczonych nocnych słońc, a nad ziemią jeszcze słabo się krwawił ślad zagasłego jej żywiciela.

Młodzieniec minął domek dozorcy policyjnego. Policyant stał przed progiem i patrzał nań bezmyślnie. Odpowiedział mu na ukłon wstrzemięźliwem kiwnięciem głowy. Poczem zawrócił do siebie. Zajmował ubogi kąt w zapadłej w ziemię chałupie. Zapalił świecę i rozejrzał się po izbie. Pusto, ubogo, jak zawsze. Nic nie brał, nic nie ruszał. Wszystko zostawiał bez zmiany. Rzucił się jeno na pościel i zgniótł ją. Następnie usiadł przy stoliku, pomyślał chwilkę i napisał na ćwiartce papieru:

„Proszę nikogo nie obwiniać o moją śmierć. Żegnajcie, towarzysze!“

Wiktor Szumski.

— Zawsze to im ułatwi wyplątanie się z tej sprawy... I dozorcy mniej będą władze dokuczały... Nie był wcale zły dla nas... — rozmyślał.

Wymknął się niepostrzeżenie z domu z workiem ukrytym pod połą i bocznemi ścieżkami ostrożnie skierował się ku rzece.

Światła w wiosce już pogasły. Noc ciepła, ciemna szczelnym, grubym płaszczem otuliła okolicę. Promienie gwiazd ginęły w jej zmroku bez śladu, niby ostrza złotych igiełek, wetkniętych w miękie i czarne fałdy aksamitu. Wiktor skradał się, jak mara, i pilnie słuchał. Z nikim się nie spotkał i nawet zaspane psy nie szczekały nań. Po białawej łunie oparu i lodowym chłodzie poznał, że jest w pobliżu rzecznego parowu. Wkrótce usłyszał tuż pod sobą głuchy szum nurtów liżących podmywisko. Raz jeszcze rozejrzał się wokoło i hyżo ześlizgnął po gliniastej pochylni. W miejscu zacisznem a widocznem, na kupie wielkich kamieni położył kartkę i nakrył ją kapeluszem. Jeszcze raz posłuchał, obejrzał uważnie krawędź parowu, twardym zrębem odrzynającego się na jaśniejszem niebie, i ruszył steczką, lepiącą

się nad wodą u osypiska. Niedaleko w zaroślach odszukał małe czółenko, spuścił je cichutko na wodę, wsiadł z kocią zręcznością i pomknął bez szmeru ku przeciwnemu brzegowi.

Gdy się tam dostał, zawrócił i tuż u mielizny popłynął z prądem, ukryty w cieniu gór porosłych wysokim borem. W rozgrzaną twarz wiał mu wietrzyk lekki i wilgotny, a serce biło w piersi miarowo, niby wiosło o wodę... Nie rozmyślał, nie rozważał, jeno słuchem ssał ciszę, jeno drążył oczami cienie... jeno całym sobą wartował nad najmniejszą zmianą otoczenia. Przyjemne i potężne uczucie skupienia i siły pochłonęło go całkowicie.

Niedługo wszedł księżyc. Za rzeką sznur ścian i dachów wioskowych... parkany i ogrodzenia—stogi i gumniska—szeroka, bita droga z szeregiem drobnych jak zapałki i jak zapałki równych słupów telegraficznych — zabielały, zalśniły nagle od poświaty miesiąca, niby od spadłego na nie szronu.

Na ciemnem lustrze rzeki odciął się atramentowo zębaty szlak górzystego brzegu. W jego ukryciu czuł się Wiktor bezpiecznie nawet od rysich oczów syberyjskich wieśniaków. Na górskiej zaś stronie wiedział, że nikt nie mieszka, i że o tej porze roku nikt nawet nie odwiedza zapadłych jego ostępów.

Dopiero gdy miesiąc wszedł wysoko i cała rzeka zabłysła jak struga żywego srebra, Wiktor zatrzymał czółenko, wywlókł je na brzeg, wydziobał nożem w jego dnie wielką dziurę i, zaczepiwszy tyczką za powróz na nosie, odepchnął stateczek na głębinę. Chwilkę łódeczka walczyła ze śmiercią, kołysała się, zawracała... wreszcie napełniła się wodą i cicho pogrążyła na dno. Wiktor żerdź zręcznie z pętlicy wyszarpnął i puścił ją z wodą. Było mu trochę przykro... lubił czółenko, ale... niebezpieczne przedsiewzięcia nie znoszą sentymentów... Worek więc corychlej na plecach zawiązał i spojrzał przeciągle na brzeg przeciwny, gdzie bielała, jak okiem sięgnąć, taśma bitej drogi i wyciągał się długi komunik słupów telegraficznych, niknący w oddali.

II

Skręcił do leśnego jaru, wpadł w samo jądro ciemności, podbitych zdołu skalnymi złomami, zasnutych na całą swą grubość tłumem

chropawych pni i krętych gałęzi, z dachem skołtunionej gęstwiny, ledwie tu i owdzie przebitej wątłem ostrzem miesięcznego światła. Drożyna, którą szedł, ginęła bez śladu wśród czarnej smugawy. Ale wyczuwał ją jeszcze wprawną stopą myśliwca. Znalazł się jednak wkrótce w tak wąskim i zagęszczonym parowie, że księżyc już tu nie przenikał, że mrok i las zlały się naraz w jedną nieprzenikliwą dla oka otchłań, w której poznawał głazy, kłody i krzewiska jedynie po nieuchwytnych, niewyraźnych powiewach ciepła, chłodu, po nikłych zapachach. Zatrzymał się. Gdzieś nieopodal sączyła się kroplami wilgoć, wydzwaniając na opoce uchodzący czas. Nie był wcale znużony i nie miał wcale zamiaru odpoczywać. Przeciwnie, wzburzenie gnało go naprzód, a krople leśnej klepsydry padały mu na serce, jak wyrzut. Był zbyt blisko od wioski, od rzeki, i skrzydło możliwej pogoni mogło go zagarnąć.

Wyjął z kieszeni mały kompas i zapalił zapałkę. Przy niepewnem jej świetle określił kierunek wpadliny. Uśmiech szeroki, radosny przewinął mu się po ustach, gdy spostrzegł wśród czarnych wyrw dalszy ciąg ścieżyny. Ogarka zapałki wszakże nie rzucił na ziemię, gdyż mógł go wydać, lecz schował go do kieszeni, gdzie miał grzebyk, scyzoryk, ołówek i... inne użyteczności...

Ruszył dalej i puścił wodze myślom radosnym o tem, co ma przezwyciężyć. Piął się wolno po stromości jak ślepiec, macając przed sobą kijem. Drożyna — trop zwierząt leśnych, wiodący z puszczy do wodopoju — cochwila rwała się, kryła wśród korzeni i mchów, pod arkadami niskich zarośli, paproci i ziela...

Dniało, gdy stanął na przełęczy. Wodnista płachta powietrza zabielała w szerokiej szczerbie rozłogu.

Z dymiących się mgieł, z brudnych mszystych trzęsawisk, z kłakowatych wrzosowisk wznosiła się nieprzejrzana szczecina starego wysmału, lud cały drągowatych, osmalonych pni, żałobnych szkieletów drzew... Ościste kikuty ich sęków, wątłe, uszkodzone czuby i zwęglone cielska pochylały się żarliwie w jedną stronę, na południe... ku słońcu... jakby starając się uchronić swą nagość i nędzę od wiatru, od zimna... W dali półkolem otwierała nęcące objęcia świeża, zielona, żywa tajga... Wzruszające wspomnienie...

— Ci, co umarli... umarli! – szepnął.

Nagle szybko się zwrócił i rękę położył na rękojeści noża. Uszy

jego uchwyciły nieopodal cudaczne stękania... Potworny, jak legiendarny dziw, łoś, zarzuciwszy na kołtuniasty garb łopiaste poroża, pokroczył, grzęznąc i klapiąc racicami, przez bagno.

Zbieg poszedł za nim, ukrywając w wyboinach jego śladów odciski swych stóp.

Odtąd dnie składały się z kroków drobnych, z ruchów powolnych, z małych wybuchów wielkiej skupionej woli... I męką było nie to, że słońce paliło nieraz w tych nagórnych mokradłach, jak w piaskach Sahary; że rozmokłe obuwie plątało się dokoła okaleczonych nóg zbiega, jak wężowe pęta; że znój jątrzył stare i wygryzał nowe rany, że niewypoczęte członki z bólem i trudem obracały się w stawach, że deszcze i wiatry siekły często ciało, jak szpicruty dawnych wyroków... Męką było ciągłe uczucie nieskończonej odległości celu dla duszy drżącej od pragnień, jak rzucony dziryt. Pchał, motał na swe okaleczone nogi niezmierzony zwój pustyni z uporem potępieńca i wesołością warszawskiego robociarza... Popasać i nocować lubił w głębokich ostępach, w ciemnych jarach z szumiącymi na dnie strumieniami, które gęsto przecinały faliste płaskowyżyny. Zapadał w nie, jak w piwnice, pełne aromatu i pleśni wiekowej. Rozpalał ogień blisko huczącej wody i patrzał ciekawie, jak, po raz pierwszy może, pełgał czerwony blask płomieni po osędziałych od mchów głazach, po wielkich skrętach cedrowych korzeni, dźwigających wielkie kamienie niby oczy potwornych mątw... Nasłuchywał uważnie, jak łoskot kaskad i potrzask ogniska leciały rozedrgane przez ciemne kolumnady pni olbrzymich, jakby z granitu ciosanych lub odlanych z bronzu... Tam, gdzie nie dobiegał ani połysk ognia, ani granie potoków — topił wszystko szarozielonawy zmierzch, bijący z wysokiego stropu, i ciche zdroje bezdźwięcznie ciekły z niewidzialnych górskich poników, z samego serca obumarłych pod ziemią przedwiecznych lodowców... Po gąbczastych, wilgotnych widłakach, przez rude szczeciny wrzosów, po drobnolistnych jagodnikach, po rdzawych koronkach porostów, trącając nefrytowe baldachimy paproci, przekradały się kolorowe lisy, płowe łasice, białe, drobne jak ptaki, złe jak padalce gronostaje... Wśród ciemnych rosoch, wśród mroku siwego, jak ich futerko, przelatywały płochliwe wiewiórki, przesuwał się puszysty soból. Gniade sarny migały w przelotach, jak błyskawice, lub stały nieruchomo wśród pni sosnowych, podobne do rudosinych ich cieni... Chyży zając czaił się u ziemi,

świecąc krwawemi ślepiami pod dozorem wiecznie bacznych słuchów wielkich, jak infuła biskupia... Niewidzialny niedźwiedź przewalał się wśród gęstwiny, łamiąc krzewy.

Zmęczony tułacz przyglądał się tym zjawom boru, poznawał ich skryte obyczaje, chuci i zabiegi, ich niestrudzoną walkę o istnienie i czerpał z nich niepożyte wzory cierpliwości, stałości, odwagi...

— Będę chytry, jak wąż. jak soból, jak lis... Będę chyży, jak sarna, czujny, jak zając, uważny, jak borsuk... Będę cichy i mężny, jak gronostaj...

— O, wolności! jakże łatwo cię utracić, lecz jak trudno zdobyć!.. I jakże miła jesteś dla wszystkich!..

Na noclegach niecił w małych wgłębieniach ziemi niewielki ogieniek — byle mógł przy nim ugotować herbatę i trochę zupy z suszonego mięsa. Nie lękał się już pościgu, lecz wolał nie zdradzać niczem swego tutaj pobytu, uniknąć spotkania nawet z drwalami i myśliwcami.

Raz naskoczył na samego niedźwiedzia. Kudłacz leżał na pagórku, kopał pazurami ziemię i zjadał korzonki. Spostrzegłszy wędrowca, uniósł się, burą sierść na grzbiecie najeżył, mordę zmarszczył i sine dziąsła pyska z białych kłów opuścił. Wiktor zamarł bez ruchu z ręką u pasa, z duszą zatrwożoną. Pierwszy raz widział tak blisko leśnego drapieżcę, i uderzył go dziki, posępny blask krwawych jego ślepi. Niedźwiedź cicho zacharczał i podygał na tylnych łapach, ale po chwili odwrócił się z mamrotem i odszedł. Wiktor poczekał, aż umilkł chrzęst jego kroków i obejrzał uważnie porzucone przez zwierzę kłącze. Miały smak słodki, podobny do selerów. Odtąd po drodze Wiktor pilnie tych selerów szukał i wraz z cebulkami dzikich lilij używał za przyprawę do zupy. Niedźwiedź się przydał.

Po dziesięciu dniach wędrówki natrafił na małą chatkę myśliwską, a w dwa dni potem wyszedł niespodzianie na brzeg łąki, pośrodku której czerniał zeszłoroczny stóg. Skończyło się bezludzie.

DCN





STANISŁAW MLECZKO

Wyspiański o Hamlecie

Opowiada nam Wyspiański *), iż p. Kamiński, przyszedłszy do niego, oznajmił, że chce grać Hamleta, radby więc porozmawiać o Hamlecie. Twórca *Wyzwolenia* przyznaje się, że komentarzy do Hamleta nie czytywał, ale oczywiście czytywał Hamleta i dużo też myślał o Szekspirze i o tym Hamlecie, którego napisał Szekspir. Teraz więc tak zagadnięty, przeczytał go jeszcze raz i jeszcze raz przemyślał, i oto spisał wyniki ostateczne myśli swojej.

Tak powstało to nader pouczające studyum krytyczne największego ze współczesnych naszych artystów-twórców. Aby je przedstawić, trzymać się tu będziemy wedle możności tonu i głównych zwrotów osnowy dzieła, gdyż rzecz zgoła nie akademicka, owszem, aktualna i tak odrębnie zestawiona, że jeno w ten sposób możemy czytelnikowi zrozumienie jej ułatwić, a nie zaś utrudnić i do przeczytania zniechęcić jak to się czyni zazwyczaj u nas, gdy w druku pojawi się myśl nowa, niepokojąca.

Szekspir liche sztuki, które za jego czasów grywano, — poucza

*) The Tragicall Historie of Hamlet Prince of Denmarke, By Wiliam Shakespeare. Według tekstu polskiego Józefa Paszkowskiego świeżo przeczytana i przemyślana przez Stanisława Wyspiańskiego. Kraków, w druk. uniwer. Jagiellońskiego, 1905. in 8-o, stron 184.

Wyspiański — poprawiał i przerabiał, tak, iż całość każdej udoskonalała się stopniowo. Przerabiał zaś nie na papierze, nie w sposób literacki, ale bezpośrednio na scenie, na próbach. Gdy całość wyrażała już dobrze żądaną myśl artystyczną, to została ostatecznie przepisana jako dzieło Szekspira. Tak stało się i z Hamletem. Dawny „kiepski“ Hamlet po wielu a wielu próbach i przeróbkach uległ w końcu zupełnej rekonstrukcyi. W bohatera zaś tego dramatu, tchnął Szekspir podczas tych przeróbek własną swoją jaźń i własną inteligiencyę — a więc własne to słowo twórcze, które według C. Norwida jest „czynu testamentem“.

Wyspiański wykazuje nam nader przekonywająco kolejne fazy owych przekształceń Hamleta, a także i pierwotne pozostałości w tekście ostatecznie skodyfikowanym. Pozostałością po dawnym Hamlecie synu Hamleta jest według naszego poety Laertes syn Poloniusa — przeciwstawienie, parodya Hamleta szekspirowskiego... Z jakiejś kurtyzany, podstawionej przez króla-ojczyma dla szpiegowania Hamleta, powstał „cudny kwiat wiosenny“ — Ofelia...

Niektóre sceny tej przesławnej komedyi są więc resztkami owego „groźnie śmiesznego otoczenia“, jakie miał Hamlet w starym teatrze, pozostałemi zaś przez kompromis z tradycyą i pod względem formalnym niekiedy rażącemi niekonsekwencyą, pod względem ideowym jednak pozostawionemi zazwyczaj tak przemyślnie, że stały się jakgdyby wcieleniem zupełnie nowych pomiarkowań artystycznych. Tym sposobem np. Ofelia w scenie obłąkania powtarza słowa roli owej kurtyzany — słowa i piosenki, tak, iż zdaje się, że „sam instynkt kobiecy mówić jej każe... i życie pieśni budząc, mrozi życie“. Więc chociaż te dawne resztki można dziś krytycznie wyśledzić, to jednak — mówi nasz autor — wszystko jest zgodne z całością w tym dramacie. Niczego nie trzeba zmieniać, ani wykreślać, gdyż dopiero wtedyby się okazało, że właściwie jest co nielogiczne... To też „za kpów mają tych, co tekst inaczą, a za zbrodniarzy tych, co go się boją“.

Po wielu próbach neokonstrukcyjnych „przez kompromis dla tradycyi“ i współczesnego smaku pozostał także i ów Duch-król ojciec, ale już nie w roli dawniejszej, dominującej, jaką miał w pierwotnym dramacie, lecz niemal w tem już tylko znaczeniu, jakie ludzie zwyczajnie przywiązują do niepojętych zjawisk natury: zapominają. Na czyny ludzkie nie mają one wpływu. Ten Duch — mówi Wyspiański —

przychodzi do wiary i siły swojej gdzieindziej. Tam gdzie powstaną „Dziady"... Tu okazał się niekoniecznie potrzebnym: to bowiem, co Duch odkrył Hamletowi, można wykryć inteligiencyą i następnie, wykrywszy zbrodnię, „złożyć sąd inteligientny". Ta gienialna inteligiencya i ów sąd to właśnie Hamlet szekspirowski: złość i oszustwo „zwija się i sidła i wikła — aż prawdę wreszcie wykrztusi zmożone czujnością inteligiencyi".

Własny bowiem talent swoj twórczy, siebie samego dał Szekspir Hamletowi. Wypadło więc utrudnić zadanie, wyzwolić sztukę z banalności dawniejszej: zamaskować cały dwór, podwyższyć go również o całą skalę kulturalną, „dać im wszystkie pozory szlachetności", słowem, utworzyć coś w rodzaju jakiegoś związku dzisiejszych naszych „naszych", naszych „prawdziwych"!

Wśród takiego omroczu i szatańskiej, zewsząd czyhającej pułapki Hamlet może też błądzić i mylić się w czynach, ale podnosi się za każdą razą i dźwiga z tego stanu, — bo każdy taki błąd „przestrogą tylko jest i z drogi mylnej zwraca, co było brudnych piór, duch je utraca i na lot wyższy skrzydła swe roztacza... Niejeden też Polonius-Corambis musi paść, zanim hamletowa dłoń sięże Klaudyuszów".

Tym to sposobem ze sztuki „wymiernej, służebnej i w y g o d n e j" powstała sztuka „wolna, panująca, s ą d z ą c a, niewymierna, podlegająca tylko prawdzie i logice artyzmu", sztuka więc — dodajmy znowu od siebie — która ilekroć staje się aktualną i niedającą się łatwo zbanalizować, zawsze w wielki niepokój wprowadzi Poloniusów — „ojców narodu", sztuka i myśl: Słowackiego, Wyspiańskiego, Żeromskiego... Mickiewicza!

Wolna — i oto w Hamlecie scena z aktorami — iż przeznaczeniem teatru „było i jest służyć niejako za zwierciadło naturze, pokazywać cnocie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku postać ich i piętno".

Sądząca — i oto na scenę wprowadzony teatr, „gdzie sztuka, dramat i artyzm sądzi i także bierze nuty, że jak na wędę sumienia na wierzch wydobywa".

Niewymierna: Hamlet wie już wszystko, niczego więcej się nie dowie. „Los swój składa w Boże ręce. Co ma się stać, to stać się musi, jeśli nie teraz to później. Wszystko polega na tem, żeby być w pogotowiu"...

I w męce ducha, urastając inteligiencyą coraz wyżej i wyżej, Hamlet wznosi się „do sądu nad światem i oto staje się rówien temu co światem rządzi". I to jest jego śmierć i kres, i kres zarazem tych, których sądzi. Przyjmuje wyzwanie Laertesa, tak jak niegdyś ojciec przyjął wyzwanie Fortynbrasa-ojca. Tu jednak Wyspiański zapytuje Hamleta, jakgdyby własną duszę swoją zapytywał: ...„Miecz sądu chwytasz do ręki? Zjawia się oto przestroga: Żar święty, co w tobie płonie, już całym spala się blaskiem. Bogowie cię darzą oklaskiem, lecz okręt twój w fali zatonie".

W Polsce — mówi nasz krytyk-poeta — Hamlet jest wszystkiem ku czemu dojść można, byleby nie dążyć ku temu, co już rozwiązane. „Graj, panie K., Hamleta, gdziekolwiek zechcesz, wszędzie twe słowa: krzywda, fałsz, kradzież, szelmostwo... będą szelmostwo, fałsz, krzywdę oznaczać i wołać zemsty"!

To przedziwne studyum współtwórcze, ilustrowane własną poezyą autora (np. ślicznie upoetyzowana sylweta lady Makbet-Modrzejewskiej) samo jest, jakgdyby poematem, i jest też wybornym komentarzem do „niezrozumiałych" utworów samego Wyspiańskiego i zarazem królewską odpowiedzią małodusznym i obłudnym krytykom jego własnej twórczości, z czego autor, być może, sprawy sobie nie zdawał. Jest też samo przez się wyborną dyscypliną i metodą wskazującą, jak należy oceniać i wyjaśniać arcytwory narodowego piśmiennictwa, jak należy je wprzód w sobie przezwyciężyć, aby potem nie zostać snobem bałamucącym społeczeństwo.

Każda scena, każda postać w Hamlecie ma wyświetloną ogromną swoją głębię i ważność w tej pracy naszego arcymistrza. Ów Fortynbras np., który niemało sprawia kłopotu teatrom dzisiejszym, uważany poniekąd za figurę niepotrzebną, a przecież postać to ważna. On właśnie sprowadza katastrofę — koniec tej tragedyi Ducha. Ojciec bowiem młodego Fortynbrasa zginął z ręki ojca hamletowego, więc młody Fortynbras mści ojca.

Wchodzi tu jednak znowu i drugi czynnik już czysto żywiołowo-psychologiczny, według Szekspira bowiem — jak mówi Wyspiański — „tylko własnych (bezpośrednich?) krzywd człowiek mścić się może i umie". I oto kres całej sprawy. Klaudyusza wina jest już inna: kielich postawił i truciznę będzie sposobił, i za ten czyn nowy zginie. I Laertesa winą już nie to, że usłuchał namowy i rapier jadem nama-

ścił — ale to, że teraz dłoń podając Hamletowi, kłamie i zbójcą jest. I królowej winą nie to, jaką była dotąd, jeno to, że teraz na to igrzysko życia synowskiego patrzy oczyma niematczynemi! W tym przeraźliwym pojedynku, niemającym sobie chyba równego we wszechsztuce dramatycznej, Wyspiański każde słowo, każdy giest ukazuje nam w całej duchowej potędze.

Ale też i czyny ojców — dodaje — mają swoje konsekwencye, które nawet niepodjęte sprowadzają katastrofę tragiczną. Podjęcie zaś czynów za pokolenie ojców jest przeznaczeniem, z którego się wywikłać synowie nie mogą... przyjść ku niemu muszą i padają oni synowie najlepsi, jak Hamlet z samowiedzą momentu śmierci, gdy ona jest również końcem zbrodniarzy. „Bo ile w tobie prawdy jest i wiary, Bóg tobie zwycięstw da do twojej miary".

Taka jest myśl Szekspira w tym dramacie uświęcona i wyświetlona własnym twórczym światłem naszego wielkiego poety. Mamy zupełne prawo myśl tę przyjąć jako istotną. Rzeczowe zarzuty naszej krytyki, czynione Wyspiańskiemu, są wynikiem niedostatecznego wniknięcia zarówno w ideę szekspirowską, jak i w to złotopromienne studyum pełne myśli bezdennych. Hamletyzowanie — mówi Wyspiański — to wcale co innego, niż Hamlet. Cała jednak stotysięczna rzesza Rosenkranców i Goldensternów o wiele chętniej apotezuje właśnie to nic w Hamlecie, gdyż tym sposobem uwielbia własną słabość swoją i owo do niczego, którego spora garść leży w każdej naturze ludzkiej i czego się wyzbyć niełatwo.

Hamlet wiary niema? On twórca nieugięty, czujny. „Kto zaś tworzyć musiał—powiada Nietzsche—ten miewał zawsze swoje sny prawdziwe i znaki gwiezdne na swojem niebie—on wierzył". Hamlet niedołęga? Niedołęga i bohater? Wyspiański odróżnia te dwa rzeczowniki. Hamlet bohaterem jest, jak jest nim każda młodość — i nie słabość w nim jest, ale: myśl i rozwój tych myśli stopniowy. Nie niedołęstwo: brak energii lub siły — lecz czucie i uczucie człowieka, który chce czynów swych, sobie przeznaczonych, nieomylnie się doczekać i nie uczynić nic takiego, coby cień na niego rzucić miało, prawdy się nie ulęknąć i nie wejść w kompromis z szelmostwem... A czyny wielkie — mówi dalej autor „Wesela" — są to czyny prawe. A dorosłym do czynów jest się, gdy się wie, że się istotnie wyżej stoi nad innymi. A wyżej stać można nie cudzą myślą się wspinając,

jeno własną; wymęczoną w sobie w walce całego życia. Bo walczyć znaczy nie ulegać i nie ustępować. A opór znaczy: Sumienie i Wiara.

Taki wydaje sąd o Hamlecie Wyspiański, przedziwnie wyczuwając logikę wielkiej twórczości, sam twórcą będąc; toteż zaiste nikt z krytyków Szekspira nie wykazał w Hamlecie takich niewyczerpanych bogactw ducha ludzkiego. Dwie o tym arcydziele rozprawy: Matlakowskiego i Wyspiańskiego—uzupełniają się nawzajem i są perłami naszej krytyki nowoczesnej. Krytycy i egzegietycy, upatrując w Hamlecie przedewszystkiem niedołęstwo, „dekadentyzm“, nie są zdolni zrozumieć, że to, co oniby nazwali energią działania, zgubiłoby tu całą sprawę i zarówno w życiu jak i w dedukcyi artystycznej musiałoby dać ostateczny tryumf łotrostwu. Nie jest więc ich sąd w tym względzie należycie inteligientny, a Hamlet to właśnie tragiedya inteligiencyi ludzkiej, tragiedya wielkości ducha ludzkiego, a nie dramat indywidualności kulturalnie zdegienerowanej.

Krytycy naogół rozumieją Hamleta niemal tak, jak on życzył sobie być zrozumianym na dworze Klaudyuszów, nie wznoszą się więc częstokroć ponad otoczenie owej pary królewskiej. Toteż bodaj jeden tylko z nich Wyspiański mógłby być dla Hamleta Horacym. Spasowicz mocno zaniepokoił się nawet o los narodu duńskiego, w razie gdyby Hamlet królem został. Wielki znawca kodeksów nie zmiarkował, że właśnie o to rewolucya toczy się już sto lat w Europie, aby kierownikami społeczeństw mogli być Hamletowie, Mochnaccy, Staszice..... Sieroszewscy, a nie Klaudyusze i inni „prawdziwi demokraci“. U Nietzsche'go w „Duszy dostojnej“ w ustępie 14-stym mamy wyborne wskazania psychologiczne dla zrozumienia duszy ludzkiej tak czystej i wielkiej, jak dusza Hamleta.

Powoływanie się na sąd Goethego nie jest tu wcale miarodajne. Jeżeli Mickiewicz Słowackiego mógł nie pojmować, to dla czegóżby Goethe miał koniecznie bezwzględnie pojmować Szekspira. Krasińskiego sąd o Szekspirze także był przecie dość powierzchowny, a i Słowackiego też nie przeniknął całkowicie, gdy doszło do „Króla-Ducha“—utknął. Goethe oczywiście miał swoją słuszność, alež miał ją był nawet i Voltaire, dla nas jednak w tym razie słuszność Wyspiańskiego jest postokroć w a ż n i e j s z a!

Dziś nie ulega wątpliwości, że Hamlet, jako dzieło sztuki, to człowiek jeden z najpełniejszych i najbardziej rzeczywistych wśród wszyst-

kich kreacyj wytworzonych w fantazyi artystów, a więc bądźcobądź niedający się nigdy ująć całkowicie w żadną idealizacyę według formuły Taine'owskiej, w żaden szablon konstrukcyi poetyckiej. Stąd taka rozmaitość i wprost rozbieżność sądów o nim. Stąd też względna logiczność podobnych sądów płytkich, gdy przeciwnie w sądzie powierzchownym o „Weselu", albo o „Królu-Duchu" będzie zawsze widoczna niedorzeczność, choćby go wypowiedział sam ś. p. Spasowicz, lub sam prezes akademii. Hamlet w tym względzie z Faustem chyba tylko jedynie może być porównanym. Wyspiański gienialnie wykrywa nam gienezę i ewolucyę tego rodzaju artystycznej kreacyi.

W Anglii — jak poucza Wyspiański — jest przekonanie, że jeszcze żaden aktor nie grał dobrze Hamleta. Jest to stwierdzenie faktu, że w tym razie wszelka sceniczna interpretacya musi być jednostronną. Wyspiański pojął to o wiele głębiej od innych, i dlatego mamy prawo jego Hamleta uważać jako własną jego interpretacyjną twórczość i jako syntezę szekspirowskiego Hamleta. „Dusza duszy zajrzy w oczy"!

Studyum to współczesnego nam rówieśnika Mickiewiczów i Słowackich dziś otuchą serca nasze powinno napełnić i wiarą w przyszłość wyzwolonej myśli polskiej, dziś jak Hamlet uciemiężonej potrzykroć: przez ciemnotę, przemoc i spryt samolubnych oszustów.

Marzec 1907 r.

JAN LEMAŃSKI

DYALOG

(*Bajka*)

W spożywczym sklepie raz, gdy zcichła krętanina,
Pan Kawior Astrachański i pani Cytryna,
By czas — po ludzku mówiąc — zabić polityką,
Dały folgę — po ludzku iżby rzec — językom.

— Czemu ty — rzecze Kawior: — dla doli kamrata,
Dla mnie, zawsześ tak cierpka, zawsze kwaskowata?
Choć mieszkańcy jednego korzennego sklepu,
Masz dla mnie sam jedynie kwas, bez krzty ulepu?

— Bo mię, wbrew mojej woli, porzniętą na części,
Wtłacza w ciebie i wżyma, wciska siła pięści.
Gdyby nie ta brutalnej władzy niedyskrecya,
Byłabym tobie może słodka, jak lukrecya.

— Cytryno! Ty mi nie mów nic na silne pięście.
Kawiorem prasowanym być — to nie nieszczęście.
Ja... choćby mię najbardziej kułaki tłoczyły,
Pozostanę uległym wielbicielem siły.

— Pozostań. Ale mnie się kochać daj w swobodzie.
Ja urosłam w południu, ty — w północo-wschodzie;
Ja swą gienealogię wyprowadzam z drzewa,
Ty pochodzisz z jesiotrów i z bieługi trzewa.

— A ja na twą drewnianą plwam arystokracyę.
Dziś za mną, za kawiorem, przepadają nacye.
A zresztą myśmy krewni: ja towar, ty towar,
Ja z samowarem brat, tyś żółta, jak samowar.

— Pan się mylisz! Mosiężna demosu hołota —
Samowary, tak, żółte: lecz mój kolor — złota.
Mój naskórek złocisty, złociste me ziarno,
Bom z kraju, kędy płynie Tyber, Po i Arno.

— Choć w tobie ziarna złote są, a we mnie — rybie,
Ale razem oboje służymy przy bibie.
Gdyż nie zaprzeczysz pani, że bibę zaczyna
Po wódeczce kawiorek, z kawiorkiem cytryna.

— Tak, nie mogę, nie mogę zaprzeczyć, niestety.
Lecz *mnie* kwaśno i cierpko być przyprawą fety.
Dla *ciebie* zaś, jak mniemam, to okazya luba,
Gdy możesz wrócić, skądeś rodem — do kadłuba.

— Nie dotknęłaś mnie, złota pani, ani trochy.
Szczycę się, że mię rodzą jesiotrze patrochy.
Dlatego świat mię ceni wysoce i kocha,
Bo na świecie tym wszystko zmierza do patrocha.

— Fe! Fe! Cóż to za język! Cierpnę od tej prozy...
O kraju *mój*, gdzie kwitną, gdzie pachną mimozy!
Gdzie z murów się zwieszają laury i róże;
Gdzie bluszcz, gdzie mirt... gdzie morza plusk o skał podnóże!

— Pi! Pi! Co za poezya! Lecz, proszę ja pani,
Dla mnie piękniejsza Wołga jest przy Astrachani.
Tam ludu roboczego, jak mych ziarn — aż czarno!
Cóż mi twoje Po znaczy? twój Tyber? twe Arno?

— Ach, tam ja w srebrze liści, w nieba fiolecie,
W niezachmurzonem słońcu, w nieprzerwanem lecie,
Złota rosłam, szczęśliwa, gdzieś na górskiej zboczy...
O kraju mój, co zjawiasz mi się dziś przed oczy!

— Ba! Choćby nie wiem jaka twa imaginacya,
Jest nad nami silniejsza sklepikarska racya:
Czy urodzony w Wołdze ja, czy ty — we Włochach,
Prędzej czy później wszyscy zginiemy w patrochach.

— Ty mużyku z nad Wołgi, Ufy, albo Kamy!
Na gruncie się poezyi z tobą nie spotkamy.
Ty, w którym grzebie kopyść kupiecka, lub pazur,
Możesz-li czuć, co znaczy laur? bluszcz? wód lazur?

— O pani! pozwól, że ci tę prawdę wyłuszczę:
Z kraju rodem, gdzie kwitną laury i bluszcze,
Substancya twoja, chociaż może poetycka,
Ale czcza jest, a moja żyzna, choć mużycka.

— Tak, to prawda, ty jesteś ciemnym, czarnym tłumem:
Ja — złocistym, słonecznym indywiduumem.
To też ty, po mużycku, biernie siedzisz w kadzi,
A mój sok — żrący sok mój żelazu poradzi!

— Owszem, zardzewiająca jesteś, ostra, przykra:
Ja — przeciwnie, każdemu miła jestem ikra.
I dlatego smakosze dla mnie są życzliwi,
Ten zaś, kto pokosztuje ciebie — usta krzywi.

— Ale tyś mdły jest, gdym ja w ciebie nie wciśnięta,
Ja jestem, że tak powiem, rozkoszy puenta.
Ty coś w Wołdze świat ujrzał, w Kamie, albo w Wiatce,
Powinieneś się kłaniać mnie — arystokratce.

— Nigdy! Patrycyuszko, ty z Włoch rodowita,
Mnie tam i bez cytryny zje nie-sybaryta:
A ty? — kwas bez wartości, gdyś nie ze mną społem,
Mnie, z Wołgi mużykowi powinnaś bić czołem.

— Nigdy! Ty jesteś taki brzydki! taki ciemny!
Taki bezkształtny! taki jesteś nieprzyjemny!

A ja? spojrzyj i daruj, że sama się chwalę:
Czyś widział kiedy owoc z piękniejszym owalem?

— Chwalić się formą samą bardzo jest niemądrze.
Tyś owal, a ja — *ova* ryb: jądro przy jądrze.
Wam, owalom, brak spójni, brak wam przylegania,
I dlatego służycie mnie — z pod Astrachania.

— Ach, tak, tak... Urodzona na Latyńskiej ziemi,
Tu ginę, na obczyźnie, nie między swojemi.
O losie! Bez litości skazałeś cytrynę:
Zrodzona w słońcu, w kawior wyciśnięta, ginę!

Tu Cytryna, wspomniawszy na swój los ten przykry,
Parę kropel łez cierpkich wsączyła do ikry.
O, Cytryno, co cierpisz, Cytryno niebaczna!
Im bardziej cierpiąc, cierpniesz, temeś bardziej smaczna!





LEON WASILEWSKI

Stronnictwa galicyjskie w przededniu wyborów do sejmu

Ostatnia kadencya sejmowa dobiega końca, nie spełniwszy zadania najważniejszego. Reforma prawa wyborczego nie została przeprowadzoną. Wskutek usilnych starań konserwatywnej większości sejmu nowe wybory odbędą się na podstawie tej samej przestarzałej, krzywdzącej szerokie masy ludności pracujące, kuryalnej ordynacyi wyborczej. Jeszcze raz powtórzą się wybory, zapewniające przewagę polityczną garści uprzywilejowanej.

Na szczęście już po raz ostatni! Jakikolwiek bowiem będzie sejm nowy, sprawę reformy wyborczej załatwić *musi*. I nietylko dlatego, że dotychczasowy system wyborów nie posiada żadnych rysów, któreby się dały obronić z jakiegokolwiek stanowiska — nawet skrajnie konserwatywnego. I nietylko dlatego, że sejm, wybrany na zasadzie dotychczasowego systemu przedstawicielstwa, postradał wszelką powagę, wszelkie znaczenie i mir, zszedłszy do roli „wielkiej rady powiatowej". Z tem panujące w Galicyi koła godzą się jaknajlepiej. Ale do załatwienia sprawy reformy wyborczej zmuszają ich dwa czynniki: coraz bardziej potęgujące się niezadowolenie ogółu ludności i nacisk, wywierany przez rząd centralny.

Z niezadowolenia mas panujące w Galicyi sfery robią sobie bar-

dzo mało. Wszakżeż jeszcze „nie pali się" — jak mówi Ekscelencya Dzieduszycki. Masy ludowe narazie są tylko siłą potencyalną, trzymaną jeszcze w karbach zapomocą środków administracyjnych, dostarczanych z ramienia rządu. Co innego wola rządu. Rząd centralny wprawdzie nie życzyłby sobie, aby sejmy krajowe były wybierane na podstawie prawa demokratyczniejszego od ogólnopaństwowej ordynacyi wyborczej, gdyż musiałoby to olbrzymio podnieść powagę i znaczenie sejmów i wzmocnić dążności odśrodkowe. Z drugiej przecież strony rząd austryacki musi dbać o pewną równowagę w życiu państwa, skutkiem czego nie może dopuścić, aby, po zdemokratyzowaniu ogólnopaństwowej ordynacyi wyborczej, ordynacye sejmowe zbyt już daleko odbiegały od typu, uznanego za odpowiedni dla reprezentacyi ludów Austryi. Nacisk zaś rządu w kierunku reformy wyborczej może — w razie oporu — przybrać kształty bardzo nieprzyjemne dla sfer, panujących w Galicyi, forytowania dążności mas ludowych — polskich i rusińskich, chociażby przez cofnięcie pomocy starostw i żandarmów, która dotychczas była czynnikiem rozstrzygającym na korzyść szlachty przy wyborach.

Tak tedy nowy sejm będzie się musiał zabrać do reformy wyborczej, która ma natchnąć to zdyskredytowane, zdepopularyzowane ciało autonomiczne nowem życiem. Poszczególnym odłamom społeczeństwa chodzi o zdobycie przy nadchodzących wyborach takiego stanowiska, któreby pozwoliło im wywrzeć wpływ rozstrzygający na wyniki tej reformy. I oto jesteśmy świadkami zmian niezmiernie charakterystycznych, jakie zachodzą w konfiguracyi stronnictw galicyjskich na tle tych dążeń do przewagi.

Niektóre z tych zmian posiadają cechy tak nieoczekiwane, że aż wprost nieprawdopodobne. Weźmy naprzykład stosunek wzajemny ludowców i konserwatystów. Kiedy gruchnęły pierwsze pogłoski o tajnych rokowaniach stańczyków z dyktatorem stronnictwa ludowego, zapanowało powszechne zdumienie. Wszak nie było argumentu, jakiegoby p. Stapiński nie użył w swej 15-letniej walce ze „stańczykami" i „obszarnikami", którzy w organie stronnictwa ludowiego „Przyjacielu Ludu" przybierali kształty potworne jakichś bestyj apokaliptycznych, czyhających na krew i mienie chłopa. Walkę ze stańczykami p. Stapiński prowadził niezmordowanie z całym nakładem żywiołowej energii, uciekając się stale do środków demagogicznych. Stańczycy też nie

szczędzili skorpionów dla ruchu ludowego i jego przywódcy, prześladując go konsekwentnie, jako wroga najzaciętszego, nieprzejednanego.

I oto po ostatnich wyborach do parlamentu, kiedy klub ludowy stał się pewną siłą, z którą trzeba się było liczyć, i kiedy t. zw. „demokraci" w „Kole" zaczęli dążyć do obalenia w niem wszechwładzy konserwatystów, stosunek wzajemny konserwatystów i ludowców uległ nagłej zmianie. W organach konserwatywnych rozpoczyna się kokietowanie „też rolników" — chłopów, którzy powinni pójść pod wspólny „zielony sztandar" obrony interesów agrarnych. P. Stapiński pisze w „Przyjacielu Ludu": „Źle dla nas, gdy rządzą obszarnicy, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby rządzili urzędnicy, a stronnictwo wszechpolskie składa się z samych urzędników... Z tej walki między obszarnikami a urzędnikami — być może — wyniknie jakaś korzyść dla ludu. Może nareszcie obszarnicy przyjdą do rozumu i przekonają się, że bez ludu mała ich siła i musieliby przegrać wojnę z urzędnikami, których jest znacznie więcej. Może tedy obszarnicy wyciągną z tych doświadczeń naukę na przyszłość, że trzeba się podzielić władzą z ludem... Są pewne oznaki, że się to stanie".

Niebawem „oznaki" te przybrały kształty namacalne. Na zgromadzeniu delegatów stronnictwa ludowego w Gorlicach p. Stapiński wypowiedział mowę, w której ogłosił, że między stronnictwem rządzącem a nim stanęła umowa na warunkach następujących. Ludowcy odstąpią 3—4 mandaty z kuryi wiejskiej stańczykom, za co otrzymają dwadzieścia kilka mandatów i dwa miliony koron na założenie banku dla zorganizowania sprzedaży bydła. „Wolimy zaraz uzyskać coś pewnego, niż bawić się w mrzonki, które się kiedyś urzeczywistnią" — mówił p. Stapiński i roztaczał wobec słuchaczów obraz przyszłego raju galicyjskiego, gdzie będą panowali mali i wielcy agraryusze, gdzie kler, dotychczas namiętnie zwalczający ruch ludowy, sam się doń zbliży, i gdzie walka będzie się toczyła prawie wyłącznie z „pejsatymi przyjacielami" — lichwiarzami żydowskimi.

Tak więc pomiędzy niedawnymi wrogami zapanowała zgoda, i obecnie ludowcy gotują się do wyborów, po raz pierwszy nie mając do czynienia z gwałtami i nadużyciami władz administracyjnych. Konserwatyści umiejscowili cały tradycyjny aparat osławionych „wyborów galicyjskich" w Galicyi Wschodniej, ustępując w Galicyi Zachodniej — w kuryi posiadłości włościańskiej — pola ludowcom, którzy zobowiązali

się poprzeć stańczyków przeciwko t. zw. „demokratom“, skoro tego zajdzie potrzeba. Łącznikiem między dwoma tymi, wrogimi dotychczas, żywiołami są wspólne interesy agrarne — ów „zielony sztandar“, który ma powiewać nad złączonym obozem szlachecko-chłopskim.

Wynikiem tego sojuszu będzie prawdopodobnie wstąpienie ludowców do „Koła Polskiego“ w Wiedniu, co znowuż przyczyni się do utrwalenia tam zachwianej obecnie władzy konserwatystów i obniżenia wpływów t. zw. „demokratów“, a narodowych demokratów w szczególności.

Jakkolwiek zmiany w konfiguracyi polskich grup „demokratycznych“ nie są tak nieprawdopodobne, jak ewolucya ludowców, to jednak i tu spostrzegamy sporo rysów nieoczekiwanych. Że „Unia demokratyczna“, założona z takim hałasem, będzie przedsiewzięciem poronionem, to mógł przewidzieć każdy, kto tylko zna bliżej te żywioły, jakie ją zawiązały. Jednakże można było przypuszczać, że przetrwa ona nieco dłużej, że bądźcobądź nada pozory konsolidacyi grupom, w jej skład wchodzącym. Tymczasem stało się zupełnie inaczej.

„Unia demokratyczna“ utworzyła się przez połączenie — dla wspólnej akcyi — świeżych uciekinierów z obozu stańczykowskiego, którzy uznali, że w dobie powszechnego głosowania firma „demokratyczna“ bardziej popłaca od konserwatywnej, demokratów postępowych z pod znaku „Nowej Reformy“, która po śmierci Rottera bardzo przesunęła się naprawo, narodowych demokratów i konserwatystów mieszczańskich z lewicy sejmowej, systematycznie nadużywających firmy demokratycznej. Przypuszczano, że i ludowcy przyłączą się do tego ugrupowania, ale stańczycy ubiegli „demokratów“. Pozostała więc na placu tylko „demokracya“ mieszczańska, która dla zdobycia mandatów wysunęła hasło czteroprzymiotnikowego głosowania i szerokich reform.

Ale na tem też skończyła się cała działalność „Unii demokratycznej“. Nie zwołała ona żadnego zgromadzenia publicznego dla zainteresowania szerszego ogółu swą akcyą i planami na przyszłość. Niedość na tem — nawet nie ogłosiła swych kandydatur, a wkrótce zobaczyliśmy wcale nieświadczący o wewnętrznej spójności „Unii“ widok wzajemnie się zwalczających kandydatów, należących do stronnictw tego ugrupowania. W Przemyślu kandydat polskiego stronnictwa demokratycznego występuje przeciwko kandydatowi Narodowej Demokracyi, we Lwowie też mamy dwie listy demokratyczne. Podobnież dzieje się i gdzie-

indziej. Walka zakulisowa kół i klik rozwija się w najlepsze, a „Unia demokratyczna“ istnieje tylko na papierze.

Na zgromadzeniu, zwołanem dn. 17-go lutego we Lwowie, dokonał się rozłam ostateczny między „demokratami“ a „narodowymi demokratami“, przyczem stwierdzono, że „Unia“ była efemerydą, a Narodowa Demokracya złamała pakt, łączący ją z resztą żywiołów „Unii“.

Wszystko to było do przewidzenia. Bardziej niespodziane było natomiast usunięcie się Narodowej Demokracyi z „Rady Narodowej“, spadkobierczyni osławionego Centralnego Komitetu wyborczego — tego symbolu jedności i solidarności narodowej. Jeszcze tak niedawno ciż sami narodowi demokraci piętnowali nieuznawanie kompetencyi „Rady narodowej“ jako zdradę, mianując jej przeciwników „półpolakami“. Dziś, w obawie, że zostaną zmajoryzowani i pokrzywdzeni przy podziale mandatów, narodowi demokraci nie wahają się sami tej „zdrady“ popełnić. Było to takąż samą niespodzianką, jak akces księdza Stojałowskiego do Narodowej Demokracyi.

Stańczycy, osiągnąwszy zgodę z ludowcami, Stojałowskiego już nie potrzebują — tembardziej, że jego „centrum ludowe“ nie ujawniło żadnej żywotności i zanikło równie szybko, jak powstało. Wobec tego Stojałowski począł nadskakiwać narodowym demokratom. W „Wieńcu-Pszczółce“ ogłosił, że wyrzeka się wszelkiej sympatyi dla rządu rosyjskiego, i tłumaczył swym czytelnikom, że idee narodowodemokratyczne, a to, co on szerzył, niczem się nie różnią. — Narodowa — oznacza: antysocyalistyczna, demokracya zaś — to ludowładztwo, a więc myśl polityczna Narodowej Demokracyi — to myśl, której Stojałowski bronił przez lat 30. Ponieważ zaś pomoc ks. Stojałowskiego jest Narodowej Demokracyi potrzebna, przeto usługi „płaza, którego trzeba zdeptać“, jak pisał organ N. D. parę lat temu, zostały przez p. Głąbińskiego przyjęte.

Niemniejsze niespodzianki mamy na terenie stosunków polsko-rusińskich, ale o tem — następnym razem.

W. LIS

Ekspansya austryacka na półwyspie Bałkańskim

Pomimo tego, że z gruzów rozpadającej się Turcyi pobudowali własne swe domki, i rumuni i bulgarzy, i serbowie — a i czarnogórcy uzyskali „niepodległość“, która włożyła na nich przykry obowiązek szanowania baranów ludności okolicznej — jednak nikt na półwyspie Bałkańskim nie łudzi się co do tego, iż właściwymi spadkobiercami Turcyi mogą być tylko dwaj jej potężni sąsiedzi: Rosya i Austrya. Toteż cała historya wewnętrzna Turcyi europejskiej—to szereg starć między dyplomacyą obu tych państw, starć, które odbywają się przeważnie za kulisami polityki oficyalnej, a wychodzą na jaw tylko przy pewnych okolicznościach.

Przyczyny tej rywalizacyi dadzą się streścić w paru słowach. Podstawy jej stanowi rosnąca słabość Turcyi, która zmusza sąsiadów do wyciągania ręki po łatwą zdobycz, jeżeli nie dla samego zysku, to w celu zapobieżenia, by nie stała się ona łupem sąsiada, któryby przez to wzrósł niepomiernie w siły. Na tle tej słabości rozwijają się dążenia Rosyi, która ma na oku przedewszystkiem cele polityczne—panowanie nad słowianami południowymi, pokrewnymi jej i rasą i, co na Wschodzie ważniejsze, religią, oraz Austryi, którą pchają na południowschód potrzeby jej przemysłu. Nie posiadając kolonij zamorskich, przemysł austryacki, po zapełnieniu dość szczupłego i biednego rynku wewnętrznego, musi szukać i znajduje sobie ujście w Turcyi. A jeżeli zważymy, że $^3/_5$ ludności Austryi stanowią słowianie, to zrozumiemy, że nie może być dla niej obojętnem, kto panować będzie na całej przestrzeni jej granicy południowej i wschodniej.

Ale właśnie ta częściowa „słowiańskość“ Austryi była jedną z przyczyn, które do pewnego stopnia wstrzymywały jej dalsze posuwanie się na Bałkanie. Albowiem jeden z dwu narodów w monarchii

austryackiej rządzących — Węgrzy — nie życzy sobie bynajmniej powiększania w państwie elementu słowiańskiego, i tak stanowiącego w ich ściślejszej ojczyźnie (wraz z rumunami) większość sztucznie tylko i siłą w karbach trzymaną. Toteż od pokoju berlińskiego, który zapewnił Austryi Bośnię i Hercegowinę, polityka tej monarchii zasadzała się na utrzymaniu w Turcyi status quo, z jednoczesnem dążeniem do jaknajwiększego osłabienia państwa. Dlatego to, chociaż Austrya nie może pozwolić na zbytnie rozpanoszenie się anarchii w Turcyi europejskiej, które wywołałoby konieczność natychmiastowego rozwiązania t. zw. kwestyi wschodniej, jednak nie pozwoli też na żadne reformy, grożące wzmocnieniem cesarstwa otomańskiego.

Tej samej polityki trzyma się Austrya względem chrześciańskich państw na Bałkanie. Wyjątek stanowi Rumunia, która nie ma widoków na dalsze zdobycze terytoryalne, a zagrożona jest przez sąsiadów i północnych i południowych, przeto musi z natury rzeczy łączyć się jaknajściślej z Austryą. Dwa zaś inne państewka — Bulgarya i Serbia, chciwie spoglądające na ościenne prowincye tureckie i w dodatku czerpiące z tradycyj historycznych natchnienie do marzeń o rozszerzeniu swych granic aż po morze Egejskie, — stanowią sąsiadów zbyt niepewnych, by można było im pozwolić na jakikolwiek przyrost sił. I tu zatem polityka austryacka schodziła się w swych celach z dążeniami innych zainteresowanych mocarstw: utrzymywać stan dzisiejszy i przyczyniać się, wedle możności, do powiększenia rozkładu wewnętrznego.

Oczywiście, że była to tylko polityka czasowa, wymuszona okolicznościami zewnętrznemi. Gdyby bowiem Austrya mogła zawładnąć Macedonią, a może i Albanią, oraz Adryanopolem lub samym Stambułem, to zabrałaby je z taką samą lubością, jak uczyniła to z Bośnią i Hercegowiną. Na przeszkodzie stały jej, oprócz wyżej wzmiankowanej przyczyny wewnętrznej (niechęć Węgrów), dwie sprawy.

Przedewszystkiem strawienie Bośni okazało się rzeczą daleko trudniejszą, niż jej zaanektowanie. Wkrótce po wkroczeniu wojsk austryackich wybuchło tam powstanie, które zostało wprawdzie stłumionem, ale kosztowało Austryę paręset milionów guldenów i odpowiednią ilość żyć ludzkich. Należało zatem, przed posunięciem się naprzód, uspokoić kraj, przeciąć go odpowiednią ilością nowoczesnych linij komunikacyjnych, ustalić administracyę. Zanim zaś zostało to dokonanem,

znikły skutki wojny rosyjsko-tureckiej, i konkurent Austryi na Bałkanie wzmógł się o tyle na siłach, że dalsze aneksye groziły już wojną. I była nawet chwila (r. 1888), gdy o mało co do tej wojny nie przyszło...

Należało zatem czekać i ograniczyć się do przygotowywania gruntu na przyszłość. Ponieważ taka polityka odpowiadała zupełnie interesom współzawodnika, więc na Bałkanie zapanował na długie lata zewnętrzny spokój, połączony z wojną domową wszystkich przeciwko wszystkim. Nazywało się to „pacyfikacyą“ i „przygotowywaniem reform“ w Macedonii. Od r. 1897 Austrya i Rosya idą ręka w rękę, a 1900 r. zawierają nawet formalny sojusz w Mürzstegu, oparty na zachowaniu w Turcyi europejskiej status quo.

Wiadome są skutki „reform“ w Macedonii. Turcya musi tam utrzymywać — kosztem zupełnej ruiny swych finansów — kilkudziesięcio-tysięczną armię na stopie wojennej, a pomimo tego mordują się stale grecy i bulgarzy, rumuni i serbowie.

Podczas wojny japońskiej sytuacya nie zmieniła się. Austrya przechodziła wtedy ciężki kryzys wewnętrzny: w jednej połowie monarchii walka niemców z czechami doprowadziła do zupełnego zaniku parlamentaryzmu, w drugiej — rozpoczynał się konflikt rządu z parlamentem, domagającym się zmiany stosunku prawno-państwowego Węgier i Austryi właściwej. W dodatku ministrem spraw zagranicznych był hr. Gołuchowski, który, jakkolwiek był biurokratą austryackim, ale jednocześnie — na tyle dobrym polskim arystokratą, że dobrowolnie nie dokonałby niczego, coby mogło być nieprzyjemnem dla państwa rosyjskiego.

Tymczasem odbyła się epopeja mandżurska, bitwa pod Cuszymą, a jednocześnie spokój zapanował wewnątrz Austryi dzięki temu, że w Cislitawii wprowadzono powszechne głosowanie, a Węgrom udzielono „jaknajdalej idące usamodzielnienie prawno-państwowe“, i to pomimo, iż nie dokonały one bynajmniej strajku powszechnego. Stosunek sił na Wschodzie Europy uległ radykalnej zmianie. I pierwszem stwierdzeniem tego faktu, że na półwyspie Bałkańskim dziś jedno tylko mocarstwo ma głos decydujący, jest zapowiedziana przez bar. Aerenthala, austryackiego ministra spraw zagranicznych, kolej austryacka w sandżaku Nowibazarskim.

Kolej ta ma połączyć dwie stacye, oddzielone dziś od siebie 120

wiorstami dzikich i bezludnych skał — Uwac z Mitrowicą. Ponieważ zaś pierwszy jest końcową stacyą kolei bośniackich, a Mitrowica—złączona prostą linią kolejową z Saloniką nad morzem Egejskiem i Konstantynopolem, więc po przeprowadzeniu linii sandżackiej Wiedeń będzie ze Stambułem złączony bezpośrednio i, co ważniejsze, linią idącą wyłącznie po terytoryum austryackiem oraz tureckiem, zatem uniezależnioną od wszelkich kaprysów serbskich lub bulgarskich. Przemysł austryacki uzyska tanią i bezpośrednią komunikacyę ze Wschodem, a w razie potrzeby pójdzie za nim i wojsko.

Wielką korzyść będą miały stąd i Niemcy, które zajęte są w tej chwili budową kolei, mającej połączyć Skutari (przedmieście Stambułu, po drugiej stronie Bosforu) z Basorą oraz El Koweit nad zatoką perską. Kolej sandżacka da kolei mezopotamskiej bezpośrednie połączenie z Hamburgiem. W ten sposób wpływ niemiecki w Turcyi będzie jeszcze zwiększony.

Zapowiedź kolei sandżackiej wywołała w całej Europie ogromną wrzawę. Zwłaszcza ze strony rosyjskiej i francuskiej posypały się na Austryę gwałtowne obwinienia. Miało się wrażenie, jakgdyby krok bar. Aerenthala był z jego strony jakimś wybrykiem, którym zaskoczoną została opinia publiczna. W rzeczywistości rzecz ma się zupełnie inaczej. Dyplomacya rosyjska oddawna uprzedzona była o projekcie austryackim, ale nie miała żadnej możności zapobiedz mu. To, że projektowana kolej nie była tajemnicą dla innych dworów, przyznanem zostało przez rosyjskiego konsula gieneralnego w Wiedniu podczas interwiewu z współpracownikiem „Neue Freie Presse", a jak dalece Austrya była pewna siebie, dowodzi ta okoliczność, że od roku już niektóre części armii austryackiej wycofywane są z Galicyi i przesuwane na południe. „Sojusznik" włoski bowiem jest w tej sprawie niebezpieczniejszy od Rosyi. Można zatem z niejakiem prawdopodobieństwem powiedzieć, że wołania pism rosyjskich przebrzmią bez echa, i Austrya będzie mogła bez przeszkód zwiększać swój wpływ na Bałkanie. W ten sposób wypadki z dalekiego Wschodu odbiły się na położeniu Wschodu bliższego.

Irytacya nieurzędowych pism rosyjskich jest pod pewnym względem zupełnie słuszna. Dla ich redaktorów bolesnym musi być widok spychania ojczyzny z dawnego mocarstwowego stanowiska. Zdaje się jednak, że nieraz jeszcze przyjdzie im doznać tej przykrości.

MISERICORDIA



(J. G.) Zaszedł w naszych warunkach fakt wyjątkowy, sprzeczny z utrwalonemi pojęciami społeczeństwa, które przyzwyczaiło się śpieszyć z pomocą ofiarom nietolerancyi... odmawiało stale współdziałania prześladowcom... Szlachetny ten popęd wykwitł na gruncie ogólnego gnębienia, na tle osobistych bolesnych wspomnień, które posiada u nas każda niemal rodzina i choćby przez pamięć na nie otacza sympatyą każdą głowę—bez względu na to, czy podziela jej ideologię,—skoro cierń ją rozkrwawił.

Dr. Malewski, b. poseł ziemi Lubelskiej, kwiat ten zdeptał.

Przebieg sprawy, stwierdzony dochodzeniem i ogłoszony w pismach, przedstawia się w następujący sposób: kolega po fachu d-ra Malewskiego, dr. Rudzki, został skazany na banicyę z kraju. Wydręczony więzieniem, zrujnowany finansowo, wyrzucony z rodziną bez środków na bruk galicyjski, zyskał możność otrzymania posady asystenta przy katedrze hygieny i bakteorologii na Wszechnicy Lwowskiej, posady zapewniającej mu skromne utrzymanie i w spokojnej laboratoryjnej pracy wytchnienie po wielu ciężkich przejściach. Sprawa zdawała się pomyślnie załatwioną, gdyż odpowiedni profesor hygieny, dr. Kuczera, popierał jego kandydaturę, a nie było wypadku, by senat kwestyonował profesorowi prawo wyboru asystenta. Przewidywania w danym razie zawiodły jednak, bo oto dr. Malewski, objąwszy po d-rze Rudzkim, usuniętym przez władzę, wakującą posadę ordynatora w szpitalu lubelskim, uznał jednocześnie za stosowne przeciwdziałać jego kandydaturze; powalonego nie przez siebie przeciwnika politycznego, któremu, jak sam wyznał, żadnego zarzutu jako człowiekowi postawić nie może, ścigał aż po Lwów, póki do współki z przyjaciółmi pożądanego celu nie osiągnął.

Inaczej postąpił inny przeciwnik polityczny d-ra Rudzkiego, dr. Biernacki: stanął mianowicie w obronie ściganego skazańca i napisał artykuł p. t. „Zawziętość partyjna“, w którym napiętnował zabiegi d-ra Malewskiego.

Zajście osobiste: brutalna napaść b. posła na autora artykułu — stało się przedmiotem rozpraw sądu obywatelskiego. I tu się zaczyna rzecz najsmutniejsza. Że znalazł się jeden taki dr. M., moglibyśmy się z tem pogodzić: wyjątki zdarzają się wszędzie; ale że znalazło się aż 6-ciu ludzi z tak zwanej inteligiencyi, którzy, przegłosowawszy 1-ym głosem pięciu pozostałych członków sądu, wynieśli orzeczenie, że postępek d-ra M. względem d-ra Rudzkiego jest dopuszczalny i etyczny, to staje się symptomatem wprost groźnym. Co gorsze, w motywach większości: w skwapliwem usiłowaniu dowiedzenia, że udział d-ra M. w akcyi, skierowanej przeciw koledze, był tylko *bierny*, w humorystycznem przeciwstawianiu powadze Kanta powagi profesora Uniwerstetu Warszawskiego, Struwego, z jego „skromniejszą etyką“ — daje się dostrzegać pewny niepokój sumienia, które nie zdążyło widocznie jeszcze struć się do szpiku „myślami nowoczesnego polaka“, zarazić na dobre systemem „świadectw prawomyślności“ przy obsadzaniu stanowisk ściśle naukowych, gdzie jedynie wiedza i uzdolnienie winny rozstrzygać, — a jednak mimo to ludzie zdecydowali się powagą stempla sądu obywatelskiego stwierdzić przed opinią, że czyn niemoralny jest moralnym, niedopuszczalny — dopuszczalnym, a kto się nań oburza, racyi nie ma, — słowem wydać glejt bezpieczeństwa, patent zasługi objawom zwyrodnienia. Należy się prawdziwa wdzięczność tej mniejszości, która przez ścisłe i jasno sformułowane *votum separatum* dała wyraz prawym instynktom duszy polskiej, a zwłaszcza d-rowi Biernackiemu, który, nie lękając się napaści, potępionej zresztą jednogłośnie, na jasną wodę sprawę wyprowadził. Niewątpliwie tym szlakiem popłynie zdrowa opinia publiczna, a słynne „orzeczenie“ sześciu stanie się w przyszłości jedynie przykrym dokumentem, jak dalece w anormalnych warunkach życia upadł typ obywatela kraju, jak chwiejni i podatni wpływom przeklętej chwili bywają ludzie tak zwanych stanowisk poważnych.

(p) Niezbyt znana teorya o odspołecznianiu się tłumu otrzymuje w Warszawie dość częste uzasadnienia. Dość częste — ilość ich zależy od ilości zgromadzeń ludzi, chcących się wypowiedzieć lub decydować w sprawach ich obchodzących. Najgorzej się dzieje, gdy chodzi o sprawy dotyczące ogółu. Wtedy — bardzo często — mówi się o wszystkiem, najmniej o istotnej treści tych spraw. Nagle pojawia się niezliczona ilość mówców. W powietrzu wirują mniej lub więcej błyskotliwe frazesy, i patos w połączeniu z niepotrzebnością zapanowywa wszechwładnie nad zgromadzeniem ludzkiem. Wówczas występuje straszliwa nuda i zaczyna pożerać resztki samowiedzy, głęboko w strudzonych mózgach i móżdżkach ukryte. Z drugiej strony podąża irytacya świadomości: ktoś nareszcie przemówił do rzeczy, ocenił dokładnie położenie, wie, jak należy postąpić, daje dobrą radę — zapanował nad tłumem. Oklaski przerywają mówcy: tak, tak, dobrze mówi! Nagle komuś ockniętemu z drzemki nie podoba się wyraz — wyraz jeden, poszczególny. Protestuje głośno z miejsca. Mówca jest zmuszony do krótkiej repliki, ale już ogarnął świetnem przemówieniem wszystkich, protest więc czyni szybki odwrót. Występuje ktoś inny, z rozprzężonymi do ostateczności skutkiem poprzedniej

gadaniny jałowej nerwami, podniecony nadto przez ostatniego mówcę. Chce poprzeć jego wniosek, który uzasadnić i oświetlić usiłuje z innej strony. Pada jakiś wyraz — ten jeden, poszczególny, szczery wyraz nie podoba się napół obudzonym ludziom. Rozlegają się sykania, rozlega się dzwonek prezydującego, czyni się zamęt, uniemożliwia się udowodnienie tezy. Tak, tak: niezbyt znana teorya o odspołecznianiu się tłumu otrzymuje w Warszawie dość częste, nader częste uzasadnienia. Zebranym ludziom nie chodzi o treść, o wagę słów, lecz o frazesy dźwięczne, o brzękadełka. Nie umiemy się naradzać, nie umiemy dyskutować, nie umiemy wnikać w istotę rzeczy — nawet w zgromadzeniach *de titulo* najkulturalniejszych.

O, Warszawo!...

(J) Dowiadujemy się, że świeżo założony we Lwowie miesięcznik przybrał tytuł „Ateneum polskie“ wbrew uzasadnionemu protestowi redaktora i wydawcy wychodzącego od lat paru miesięcznika „Ateneum“, p. Cezarego Jellenty-Hirszbanda, który słusznie przewidywał szereg nieporozumień, jakie z tej analogii wyniknąć mogą.

Akcent „polskie“ sprawia nadto wrażenie przeciwstawiania swego organu — wydawnictwu niezaopatrzonemu w to nadużywane dziś *passe-partout.*

Czy był to tylko nietakt, czy złośliwa premedytacya — trudno ufać pismu, które zawiera krzywdę cudzą w swym nagłówku, choćby tekst jaknajszczelniej ideałami wypychało.

(zig — zag) Na uczcie jubileuszowej zasłużonego krytyka teatralnego i jednego z nielicznych wykształconych publicystów warszawskich, Władysława Bogusławskiego, wypowiedziano na cześć prawości i czystego charakteru jubilata x mów i wypito $x+1$ toastów. Owego „znakomitego, prawego“ człowieka już oddawna wysadzono z wpływowych pism warszawskich. Najgorętsze mowy i najserdeczniejsze gratulacye złożyli mu ci, którzy przyczynili się byli do odsunięcia go od wpływowych stanowisk. Niechaj nikt nie zarzuca nam wady niewdzięczności! Były to powinszowania ze szczerego serca...

(an) Doktór Wacław Moraczewski zarzuca Żeromskiemu nadużywanie w „Dziejach Grzechu“ grecczyzny. Zaiste, zarzut słuszny: cała ta powieść jest dla doktora Wacława Moraczewskiego *du grec.*

NOTATKI

= Na jednem z poufnych zebrań literackich u wiceprezesa Kasy Literackiej, p. Ignacego Balińskiego, mówiono o projekcie uroczystości jubileuszowych z powodu nadchodzącej w r. p. SETNEJ ROCZNICY URODZIN JULIUSZA SŁOWACKIEGO. Celem szczegółowego opracowania projektu wybrano komitet, który ma się zająć: 1) sprawą sprowadzenia zwłok Słowackiego z Paryża do kraju, 2) porozumieniem się z komitetami lwowskim i krakowskim i określeniem stanowiska komitetu warszawskiego, 3) projektem uroczystości jubileuszowych w Warszawie i w całym kraju. Komitet warszawski ma rzecz całą opracować możliwie wyczerpująco i ewentualnie przedstawić projekt swój na ogólnem zebraniu literatów, artystów, dziennikarzy i osób pragnących przyczynić się do uświetnienia obchodów.

Do komitetu wybrani zostali z prawem kooptacyi w miarę potrzeby: 1. Baliński Ignacy; 2. Berent Wacław; 3. Bogusławski Władysław; 4. Broniewski Kazimierz; 5. Bukowiński Władysław; 6. Chrzanowski Ignacy; 7. Czempiński Jan; 8. Daniłowski Gustaw; 9. Dąbrowski Ignacy; 10. Dębicki Zdzisław; 11. Dickstein Samuel; 12. Ks. Gnatowski Jan; 13. Górski Artur; 14. Grabowski Ignacy; 15. Jabłonowski Władysław; 16. Jankowski Czesław; 17. Jaroszyński Tadeusz; 18. Kotarbiński Józef; 19. Kozłowski Stanisław; 20. Kraushar Aleksander; 21. Krasiński hr. Adam; 22. Krzywoszewski Stefan; 23. Krzyżanowski Konrad; 24. Lemański Jan; 25. Lorentowicz Jan; 26. Łaganowski Karol; 27. Łubieński Roger; 28. Matuszewski Ignacy; 29. Méyet Leopold; 30. Nowaczyński Adolf; 31. Opieński Henryk; 32. Oppman Artur (Or-Ot); 33. Pilecki Antoni; 34. Przesmycki Zenon; 35. Rabski Władysław; 36. Sienkiewicz Henryk; 37. Święcicki Julian Adolf; 38. Weryho Władysław; 39. Wolff Józef; 40. Wyrzykowski Stanisław; 41. Żeromski Stefan.

= „Dziennik Wileński", po skonfiskowaniu n-ru 6 i zatwierdzeniu konfiskaty przez izbę sądową wileńską, ZAWIESZONO do czasu wydania wyroku sądowego w sprawie, wytoczonej redaktorowi odpowiedzialnemu. Prenumeratorom rozesłano nowopowstały „Goniec Wileński".

= W „Wil. Wiestniku" zamieszczono rozporządzenie wileńskiego, kowieńskiego i grodzieńskiego jenerał-gubernatora, wydane po porozumieniu się z ministrem spraw wewnętrznych a dotyczące WYDALENIA z Wilna, na czas trwania ochrony wzmocnionej, proboszczów, ks. Józefa Fordona i ks. Jana Mokrzeckiego, „wobec dokonania przez nich czynów szkodliwych dla porządku państwowego i spokoju publicznego".

„Goniec Wileński" pisze, że przyczyną tych wydaleń jest jakoby prośba, przesłana do papieża w sprawie ks. biskupa Roopa.

= Korespondent „Rieczy" z Humania donosi, iż z chwilą, gdy w miejscowej szkole prywatnej handlowej rozpoczęto dla życzących sobie tego uczniów WYKŁAD JĘZYKA POLSKIEGO, wielu wychowańców tamtejszego gimnazyum przychodziło na te lekcye, jako urządzane w godzinach pozaplanowych. Ostatnimi czasy uczniom tym ***zabroniono uczęszczać na rzeczone lekcye*** pod groźą wydalenia z gimnazyum.

Aleksander Brückner: DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ w zarysie. Wydanie drugie. Tom I (str. XI+485), tom II (str. VII+499). Warszawa. Gebethner i Wolff.—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908.

W. E. H. Lecky: DZIEJE WOLNEJ MYŚLI W EUROPIE. Z ośmnastego wydania angielskiego przełożyła Marya Feldmanowa pod redakcyą Wilhelma Feldmana. Drugi tysiąc. Łódź. 1908. Nakładem księgarzy Maks. Stiftera i Alfreda Straucha. Składy główne: Warszawa, Gebethner i Wolff—Kraków, G. Gebethner i Sp.—Tom I (str. XI+449).

Artur Górski: MONSALWAT. Rzecz o Adamie Mickiewiczu. Nakładem autora. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. Kraków. 1908 (str. II+230).

Stefan Żeromski: DZIEJE GRZECHU. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908. Tom I (str. 397), tom II (str. 308).

Władysław St. Reymont: NA KRAWĘDZI. Opowiadania: Na krawędzi.—Z konstytucyjnych dni.—Sąd.—Cmentarzysko.—Zabiłem.—Czekam.—Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1907 (str. 261).

Henryk Zbierzchowski: MALARZE. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1907 (str. 339).

Wacław Grubiński: PIJANI. Dramat w 4-ch aktach. Warszawa. 1907. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa (str. 149).

Bronisław Bouffał: SZKOLNICTWO ŚREDNIE W ANGLII. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1908 (str. 68).

Leon hr. Tołstoj: SPOWIEDŹ. Tłumaczenie z rosyjskiego. Warszawa, u Gebethnera i Wolffa. 1907 (str. 118).

Iza Moszczeńska: POGADANKI MORALNE. Warszawa. J. Lisowska—Marszałkowska, 101.—1908 (str. 185).

Radca stanu A. Kolb. JAKO ROBOTNIK W AMERYCE. Przekład z niemieckiego przez M. G. Warszawa, 1908 (str. 160). *Nr. 523 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Conan Doyle: CZTEREJ (The sign of four). Powieść. Tłum. z ang. Br. Neufeldówna. Warszawa, 1908 (str. 159). *Nr. 524 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Leon Chwalbiński: NA OBCZYŹNIE. Łódź—Warszawa. Nakładem L. Fischera. 1908 (str. 30).

N. E. Wolski: OBRONA RODZINY. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. 1907 (str. 67).

Redaktor i wydawca: H. St. Pytliński

Druk Piotra Laskauera i Sp.



WITEŹ

ROCZNIK I ≡ ZESZYT 4
Warszawa, 15 marca 1908 r.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

Jedyna odpowiedź

Iluzye prysły. Projekt wywłaszczenia został uchwalony, a kto jeszcze niedawno przypuszczał, że sumienie, sprawiedliwość, godność człowiecza odgrywają jakąkolwiek rolę w polityce względem bezsilnych, ten musiał stracić resztki złudzenia. Brutalna ręka Prusaka zdarła zasłonę z oczu i niedwuznacznie ukazała perspektywę przyszłości. Do olbrzymiego łańcucha doświadczeń dziejowych przybyło nam jedno ogniwo więcej i zaświadczyło wymownie, że ów łańcuch przedłuża sią konsekwentnie i ciągnąć się może w nieskończoność. Wobec nowej zbrodni, która w biały dzień, w obliczu całego świata została dokonaną, śmiało należy spojrzeć prawdzie w oczy i z prawdy tej wyciągnąć naukę na przyszłość.

Czem broniło się społeczeństwo nasze wobec grozy wywłaszczenia, jakie sposoby i metody walki wybrało?

Projekt uchwalał rząd niemiecki, a myśmy grozili bojkotem gieszefciarzom niemieckim. To było jedyne konkretne hasło, które z powodu projektu wywłaszczenia padło. Ale to hasło grzmiało już dawniej. Ilekroć razy w ostatnich czasach dochodziły nas z Poznańskie-

go jęki katowanych ofiar, tyle razy odgrażaliśmy się bojkotem i tyleż razy przekonywaliśmy się, że gieszeft w Królestwie Polskiem zbyt silnie zrośnięty jest ze swoim kumem niemieckim, by pioruny oburzenia, miotane z łamów prasy naszej, mogły rozerwać węzły interesów kupieckich. Jakież szanse ma bojkot? Jeżeli nawet przypuścimy, że ani jeden fabrykant Niemiec w Królestwie nie poprze jednym groszem przemysłu niemieckiego, to jakaż gwarancya, że w takim razie rząd cofnie się z wytkniętej drogi? Cóż znaczy ruina choćby kilkudziesięciu przemysłowców niemieckich wobec niemieckiej racyi stanu? Bojkot, nawet udany, może być conajwyżej jednym ze środków, ale nie jedynym. Zacieśnienie sposobów walki wyłącznie do bojkotu, to przeniesienie sprawy bytu lub niebytu wyłącznie na śliski i niepewny grunt interesów ekonomicznych.

Na podeptanie godności człowieczej, na policzki, wymierzane przez junkrów pruskich, niedość jest odpowiedzieć pobrzękiwaniem trzosa. Sprawa wywłaszczenia nie jest sprawą kieszeni polskiej i to przedewszystkiem powinniśmy zrozumieć. Ciosu, zadanego wprost w serce, niemożna odeprzeć bojkotem.

Czemże jeszcze cios ten próbowaliśmy odeprzeć?

Niestety, powtórzyła się historya, którą dobrze, tak dobrze znają dzieje nasze ubiegłego stulecia.

Ile razy społeczeństwu naszemu, a przynajmniej jego części zaświeciła gwiazda nadziei, lub też fundament, na którym próbowano oprzeć gmach życia narodowego, zaczął się chwiać i grozić upadkiem, tyle razy powoływano się u nas na przeszłość i w przeszłości tej wskazywano prawa, rękojmie, gwarancye, traktaty, mające osłonić nas przed nowem nieszczęściem. Był to fatalny błąd, wypływający z nieznajomości naszej historyi. Historya bowiem świadczy, że każda gwarancya, niemal każda rękojmia była upadkiem o jeden szczebel niżej, była tylko oszukaniem naiwnych i słabych, jakimi byliśmy zawsze, kiedy zdawaliśmy się na łaskę traktatów. Ile razy wałem obronnym nie były własne serca i własne piersi, tyle razy nadzieje, oparte na wszelkich innych rękojmiach, doprowadzały do gorzkich zawodów i rozczarowań.

Nie znamy własnej przeszłości.

Nie wiemy, że wskrzeszając „wypadki historyczne“ ubiegłego stulecia, powołujemy się najczęściej na smutny obraz własnego upadku,

obraz staczania się niżej i niżej. Sięgając w dalszą przeszłość, podobni jesteśmy do bezsilnego pisklęcia, które w drapieżnych szponach jastrzębia śpiewa o przeszłości swobodnej i lotach wysokich. Jakiż zresztą fakt historyczny mógłby przemówić tak potężnie i żywo, że głos jego zbudziłby sumienie junkra, skoro tego sumienia nie zbudziła zbrodnia?

Powoływać się na przeszłość, to znaczy: przypominać zbrodniarzom ich dawne zbrodnie, wskazywać drogę, po której konsekwentnie sto lat z górą pewnym i śmiałym krokiem stąpała przemoc. Powoływać się na przeszłość, to znaczy: wydobywać z trumny pamiątek najboleśniejsze dokumenty własnej bezsilności. Powoływać się na przeszłość i w przeszłości szukać obrony, to znaczy: stracić wiarę w teraźniejszość i przyszłość.

Przeszłość tylko w takim razie mogłaby budzić grozę i wstrzymać ciosy obucha pruskiego, gdyby teraźniejszość była dalszym ciągiem *tej* przeszłości, która podobne ciosy już odpierała. Niestety, role się zmieniły, a najświetniejsza karta, wyrwana dziś z księgi dziejów naszych, będzie conajwyżej tarczą ze zbutwiałego pargaminu, tarczą, budzącą tylko gniew i naigrawanie śród junkrów, uzbrojonych w nowoczesną broń gwałtu. Z przeszłości swojej możemy i powinniśmy wyciągnąć naukę wyłącznie dla siebie, ale na kartach historyi naszej nie uczmy butnego Prusaka, bo on tam jedynie wyczyta zachętę, przypomni sobie bezkarność wszystkich zbrodni, w ciągu całego stulecia popełnionych. Przeszłość — i tego niemożna dość silnie podkreślać — powinna być nauką wyłącznie dla nas samych. Ta przeszłość bowiem najwymowniej świadczy, że z chwilą, kiedy gwarancye pisała ręka obca, zaczynała się nowa era naszego upadku, że jedyną gwarancyą niezawodną była tylko gwarancya własnej odporności.

Złudzeniem jest wszelka autosugiestya, wywołana wspomnieniami przeszłości, i raz nazawsze złudzenie to należy odrzucić precz!

To jedna nauka, która powinna stać się powszechną zdobyczą.

Ale nie koniec na tem. Jeśli złudzeniem są nadzieje, oparte na przeszłości, to jeszcze niebezpieczniejszem złudzeniem jest oglądanie się wkoło, oczekiwanie, czy ktoś z boku, jakiś bezimienny dobroczyńca nie powstrzyma ręki pruskiej, potrząsającej zuchwale toporem gwałtu i bezprawia.

Taki dobroczyńca się nie znajdzie i o tem również mówi nam historya.

Kiedy po świetnym listopadzie tysiące rozbitków opuściły Polskę, wtedy nadzieja, pokładana w pomocy obcej, również rozgrzewała piersi wychodźców. A o ileż silniejsze podstawy miała ta nadzieja wówczas!... Na spotkanie żołnierzy polskich z dzisiejszych gniazd junkierstwa wylegały ongi nieprzeliczone rzesze mieszkańców i witały Polaków kwiatami i śpiewały im pieśni polskie. Pochód emigrantów ożywił poezyę niemiecką i malarstwo niemieckie, ale—co więcej!—podniósł ducha w ludzie niemieckim i obudził jego nadzieje. Dzisiejsze serce hakatyzmu, Lipsk, zapisał się w historyi emigracyi polskiej, jako najgościnniejsze miasto! A kraje niemieckie nie były wyjątkiem: te same objawy entuzyazmu budził Polak wszędzie. Dość przypomnieć sobie, że na żałobną wieść o klęsce zadrżała Francya, ocknął się Paryż i zaszumiał groźnie i gradem kamieni, skierowanych w okna ministeryum, wypowiadał swoją niezłomną wolę. Dość przypomnieć, że cała Europa ludowa widziała w Polakach bohaterów, a w losie Polski przeczuwała los własny i w tem strasznem przeczuciu niedwuznacznie potrząsała uzbrojoną dłonią.

Dziś wspominamy te chwile, jak poetycką opowieść, jak baśń, jak cudny sen, który rozpalił wyobraźnię i rozkołysał słodkie, lecz nierozsądne nadzieje. Przez ten sam pryzmat doświadczenia patrzymy na złudzenia, przyświecające działaczom z roku 1861, ale jednocześnie raz jeszcze tem samem złudzeniem próbujemy się zahypnotyzować.

Dziś zamiast kwiatów i pieśni polskich wita wychodźcę polskiego w Niemczech pogarda, czyha nań wyzysk, a w innych krajach nie wiedzą nic o cierpieniach i egzystencyi Polaka. Mimo to nie dajemy za wygranę, staramy się poruszyć opinię Europy, zbudzić jej uśpione sumienie.

Ongi odwoływaliśmy się do gabinetów i królów, później do ludów, dziś znowu odwołujemy się do sprawiedliwości, ba! przemawiamy w imię świętych praw ludzkich i w imię tych praw każemy przemawiać uczonym, artystom, poetom, literatom, dziennikarzom cudzoziemskim. Po co? Cóż przyjdzie z tego zarzynanemu człowiekowi, że morderstwo i gwałt, dokonywany nad nim, ludzie uczciwi nazwą morderstwem i gwałtem? Czyż doprawdy zależy nam na takiej opinii, czy istotnie wierzymy jeszcze, że głos ludzi czci i sumienia ma

dziś jakiekolwiek znaczenie? Czy te grzeczne słówka, ta filantropia ludzi bezsilnych jest istotnie dla nas pociechą? Straszną byłaby taka pociecha! Powiedzmy sobie nareszcie, że rozsyłanie ankiet może być aktem dobrej woli, ale dodajmy odważnie, że w tych ankietach jest jeszcze rezygnacya śmierci, przeczucie zgonu. Chyba nikt się nie łudzi, że istnieją słowa, które byłyby zdolne powstrzymać świadomy czyn zbrodniarza; chyba nikt nie wątpi, że czynom nie słowa, lecz czyny przeciwstawiać trzeba!.. A cóż nam dają ankiety?.. Tylko słowa, słowa, słowa... Powiedzmy nareszcie, że jest to najlichsza forma jałmużny, rzucona do pustej kiesy żebraka. I powiedzmy jeszcze, że codzienne dawki filantropijne, ogłaszane *urbi et orbi* przez nasze gazety, są pięknym fajerwerkiem, który efektownie rozbłyska nad otchłanią zbrodni, lecz jednocześnie oślepia oczy i otchłań tę przesłania...

Nie łudźmy się!.. Niema takich kart w naszej historyi i niema takich ankiet, któreby powstrzymały ciosy, grożące bezsilnym. I niema takiego współczucia, wyrażonego słowami, któreby cofnęło choć jeden projekt, ukuty w kuźni hakatystycznej. Trzeba z tego zdać sobie sprawę i powiedzieć śmiało, że gdyby zamiast milionów, przeznaczonych na wywłaszczenie, miliony te przeznaczono na szubienice, na których zawisnąćby mieli wszyscy wyrzuceni z ziemi Poznańczycy, to ani jedno serce w Europie nie pękłoby ze współczucia, to skazańcy, idący z pokorą na miejsce kaźni, wywołaliby tylko pogardliwą litość, tę samą litość, jaką świat cywilizowany żywił dla mordowanych bezkarnie murzynów. Z chwilą, kiedy Polak w Poznańskiem wyjęty został z pod praw ludzkich, z chwilą tą śmieszną rzeczą stało się odwoływanie do uczuć człowieka!...

Wywłaszczenie jest sprawą zbyt poważną i zbyt doniosłą, aby zamykać ją w ramach bojkotu. A zresztą nie możemy liczyć z całą pewnością na dodatnie jego wyniki; nie możemy również liczyć ani na swoją przeszłość, ani na cudzą pomoc, ani na uczciwą opinię Europy, ani na sprawiedliwość. Przeszłość doprowadziła nas do... wywłaszczenia, pomoc cudza nigdy nie była większem złudzeniem, niż w chwili obecnej, uczciwa opinia—jak świat światem—nie rządziła ujarzmionymi, a sprawiedliwość zawsze ustępowała przed siłą. Wszystko, na co mogliśmy liczyć zzewnątrz, straciliśmy już dawno, dziś pozo-

stała nam jedyna deska ratunku i zbawienia: dziś możemy liczyć tylko na siebie.

Słusznie powiada Mochnacki:

„Naród, który nie przestał być jeszcze narodem, w jakimkolwiek stanie się znajduje, tylko sam siebie ratować może“.

I to już wszystko, co dziś możnaby zagrożonemu w bycie swoim ludowi w Poznańskiem powiedzieć.

Ustawy o wywłaszczeniu nie wywołały nienasycone apetyty junkrów pruskich, nie stworzył jej kanclerz Bülow, nie wprowadziła jej w życie nienawiść rasowa Prusaków. Przyczyna wywłaszczenia jest tylko jedna, a tą przyczyną jest bezsilność. I jedynie — siła, siła, płynąca z głębokiego poczucia krzywdy, może stworzyć mur obronny, o który się rozprysną wściekłe fale hakatyzmu junkrów. Tylko siła może poprzeć argumenty, czerpane zbytecznie z historyi, tylko siła wytworzyć może uczciwą opinię w Europie, wywołać pomoc, wskrzesić sprawiedliwość.

Prawdą niezawodną jest: nie zbrodnia budzi sumienia, lecz odpowiedź na zbrodnię.



JAN KLECZYŃSKI

Szlachta w końcu XVIII wieku

II

Szkic

Korzon pisze, że Zajączek „dla uraz osobistych i gwoli miłości własnej rozpuścił po świecie oszczerstwa na szlachtę lubelską". Prawda, że dwa razy przerywały czynnności komisyi lubelskiej wojska nieprzyjacielskie, że to województwo żywiło (lecz żywić musiało!) Grochowskiego dywizyę, dopóki nie złączyła się z Kościuszką, dało ludu zbrojnego Zajączkowi, i że na Pradze 8-go listopada 1794-go znajdował się regiment z lubelskiego do 1,000 ludzi liczący. Chętnie znowu przyznaję Zajączkowi przesadę, ale czy były to wysiłki odpowiadające zamożności tego województwa? Wątpię. Co zaś do Chełmskiego, to niezbyt pochlebne o niem wiadomości czytamy u Korzona o *popłochu*, jaki wzbudziło przejście wojsk rosyjskich przez Bug, o wyjeździe komisyi i jej powrocie dopiero po wkroczeniu Haumanna i Wedelstelta, o *rozpuszczeniu pospolitego ruszenia* i powtórnem, późniejszem jego zwołaniu, pod presyą oskarżonego Zajączka...

Wreszcie zaś *Wołyń, województwa bracławskie* i *podolskie* „najrozleglejsze i najbogatsze prowincye Rzeczypospolitej, *nie wzięły wcale udziału w powstaniu*—co Korzon z bólem przypisuje demoralizującym wpływom Targowicy i obawie przed hajdamakami.

Wobec tych faktów i rozumowań, wobec tego, że szlachta, wprawdzie o pięć miesięcy zapóźno, lecz *samodzielnie* powstała jedynie przeciw Prusom w Wielkopolsce, że *zaczepnie* walczyła tylko nad Narwią i zpoczątku — na Żmujdzi, sądzę, że wartoby złagodzić surowy wyrok o pamiętnikach dzielnego jenerała, któremu wiele pojedyńczych zdarzeń wyjść mogło z pamięci, lecz którego, powtarzam, *ogólne wrażenie* o usposobieniu szlachty było niewątpliwie trafne, choć zapewne przejaskrawione.

Sądy Zajączka znajdują pośrednie potwierdzenie skądinąd.

„Większa część właścicieli nie puszczała chłopów, lub od pozostałej rodziny wymagała pańszczyzny — pisze Kraszewski — co zmusiło później Kościuszkę do wydania prawa, zakazującego domagania się jakiejkolwiek służby z chat, które dały żołnierza na wojnę".

Pańszczyzna!!

Tu jest jądro rzeczy. To klucz do zrozumienia postępowania szlachty. „Szlachcie, interesowanej o uwiecznienie niewoli i zachowanie życia wieśniaka, który jest bogactwem, powszechnie nie podobał się ten środek powstania (poruszenie mas), jako wszystko złe wróżący. Tak to *chciwość niema żadnej ojczyzny*, żadnych wspaniałych ofiar" [1]).

Więc dlatego szlachta uważała uniwersały Kościuszki (np. Un. dany w Połańcu), dające ulgi chłopom, za „naruszenie własności", za „zamach na wolność" [2]) — choć opierać mu się jawnie nie śmiała.

Oto wstęp do Uniwersału Połanieckiego. Słowa są Kościuszki:

„Z żalem wyznać to muszę, że często *srogie obchodzenie się z ludem* daje miejsce Moskalom do powszechnej na cały naród potwarzy. *Odbieram ustawiczne skargi od żołnierzy i rekrutów*, że żony i dzieci ich nietylko żadnego osłodzenia nie mają, ale za to prawie, że służą Rzeczypospolitej ich mężowie i ojcowie, wystawieni są na większe uciążliwości. Takowe postępki w wielu miejscach są zapewne bez wiedzy i przeciw woli dziedziców, lecz w drugich muszą być skutkiem złej chęci, lub obcego natchnienia, aby zupełnie zapał do obrony ojczyzny w sercach ludu ostudzić" [3]).

Lecz gdyby nie było nawet współczesnych świadectw o tej chciwości „stanu rycerskiego" w Polsce, to przecież wystarczyłyby nam wspomnienia późniejsze, choćby z 1831 roku, kiedy w burzy wojennej i tak wielkim jak się zdawało zapale — tak mało dla włościan uczyniono, tak prawie nic. Ówczesne obrady sejmowe dowodzą tego jasno, jak niemniej pamiętnik Deczyńskiego. Powtarzało się to samo: szlachta zazdrosna była o swoje olbrzymie prawa. W r. 1831 również obciążano rodziny chłopów, co poszli się bić z wrogiem, pańszczyzną [4]).

Przyjrzyjmy się, czem były owe obowiązki chłopa dla pana, jakiej to wolności strzegła szlachta przed rewolucyjnemi (!) dążeniami Kościuszki.

Kraszewski zamieścił w tej kwestyi następujące dane, wyjęte z dzieła wydanego r. 1790 p. t. „Uwagi praktyczne o poddanych polskich":

„Służyli z roli kmiecie w koronie z półwłóki z sześcią wołami

lub czterema końmi po cztery, pięć, sześć dni; do wożenia nawozu rozprzęgali się na dwa wozy. Komornice za mały datek pracowały na pańskiem; oprócz tego dawano czynsze, oprawę z płócien, jaja, kury, powaby poczostkowe i t. p. Zagrodnicy służyli pieszo. Wywóz towarnego drzewa z lasu liczył się do obowiązków. Na Litwie odrabiano po sześć, pięć, do trzech dni, napół ze sprzężajem... szli na gwałty; były daniny z chmielu, grzybów, orzechów, zsypy, działka zbóż i siana; w leśnych okolicach z łowów szła połowa do dworu. Dawano miody, len, pieńkę. Opłaty miały różne nazwy: poleśne, połykowe, spaśne; były szarwarki, stróże dzienne i nocne, tłoki i t. p.“

„Pan dla siebie — mówi autor — zbiera w czasy pogodne, dżdżyste dni zostawując dla poddanych, a dozorca w tym wyborze częstokroć wszystkie zmitręży. Dla poddanego łączy się razem żniwo z tym zwyczajem. Pan, swe spieszając, często choć narzuconym najmem przeszkadza poddanemu i w czasie i należycie zebrać. Powaby, tłoki zostawują domy poddanych pustkami i gospodarstwo w czasie najpotrzebniejszym bez dozoru“ i t. p.

O wyborze ludzi do dworu powiada: „W koronie jeśli chłop nie jest ludny, musi chować parobka, fornala, a miejscami poganiacza, dziewkę, pastuszka i kątnika, musi opłacać pijaka kowala za poprawki pługa lub sochy, ostrzenie kos i sierpów, którym oprócz zwyczajnego kubka, muszą się opłacać, często bez pieniędzy, chlebem. Oni muszą i włóczęgom po kraju dostarczać z pod gęby jadła, bojąc się podpalenia, i każdego podróżnego przyjąć, a często opatrzyć. Dodajmy wydatki przypadkowe, skargi, pokłony, pogrzeb, wesele, księdza, kościół, kolendy, włóczebne i t. d.“

Jednem słowem: „Wymyślne pańszczyzny, daniny, garbarki, podwody, czynsze i dziesięciny z bydeł i pastwisk — dla was. Dla nas — dyby, gąsiory, więzienie, kije, rózgi, łańcuchy i inne katusze“ [5]).

Warto więc było bronić tego arcywygodnego życia!

Wprawdzie, z wyjątkiem Francyi, wszędzie panowały wtedy stosunki podobne — „od zachodu aż po ordy Nohajca“ — jak mówi p. Handelsman. Ale w krajach tych nie było wyboru pomiędzy wolnością a słodkiem panowaniem nad chłopem... Słusznie Staszic przypominał, że przecież Kartagińczycy dali wolność niewolnikom, kiedy zawisła nad nimi straszliwa groźba Rzymu.

Niestety, mało u nas było wtedy ludzi o duchu starożytnej Kar-

tagi. O tem kierownicy powstania winni byli pamiętać. Jasne było, że zapał szlachecki nie wystarczał samemu sobie, że nie było mowy, żeby mógł udzielić się włościanom. A więc cóż trzeba było czynić?

Stańmy na gruncie czysto praktycznym, na stanowisku stosowania najbezwzględniejszych, byle skutecznych środków do dopięcia wielkiego celu. Więc może, zamknąwszy oczy na nędzę ludu, trzeba było poświęcić go szlachcie, zyskując ją dla sprawy jakiemiś niesłychanemi obietnicami, darowiznami? Nie; ona miała tyle, że nic jej już niepodobna było darować — żadnych praw, żadnych przywilejów. Ją już mogły poruszyć tylko hasła święte...

Dać było można tylko ludowi — tym, którzy nie mieli nic, i których interesem praktycznym było wydobyć się z pod wiekowej niedoli.

Nie uczyniono tego — usiłowano sprzeczne żywioły pogodzić, żywiąc idealistyczną nadzieję, że wobec świętego hasła: Ojczyzna — zniknie zarówno chciwość szlachecka, jakoteż chłopska nieufność ku panom.

Taktyka owa wywołała następującą, pełną goryczy, krytykę Heltmana:

„Z całego kierowników postępowania sądząc, można być pewnym, że środki poruszenia mas ograniczały się na zniesieniu poddaństwa i cieszeniu uciśnionych nadzieją lepszego w oswobodzonej ojczyźnie bytu; co z myślą nieobrażania szlachty dosyć było zgodne, lecz do głównego celu, do wydobycia żywotnej z ujarzmionych siły nigdy doprowadzić nie mogło. Czemże albowiem jest wolność osobista dla ludzi, ogołoconych ze wszelkich do korzystania z niej sposobów, ludzi w ostatniem ubóstwie i najgrubszej ciemnocie pogrążonych? Czem obietnice w ustach ciemiężycieli? Aby masy długą niewolą gniecione poruszyć, do życia powołać, uczucie poświęcenia w nich obudzić, silnego potrzeba wstrząśnienia, a silnie nie wstrząsną się umysły, ani serca zapalą próżnych słów dźwiękiem. *Równie polityka, jak proste sprawiedliwości uczucie nakazywały wyrwać niewolników naszych ze stanu uległości, upodlenia i nędzy, zagrabioną im własność i zdeptane prawa wrócić, nie cofać się przed następstwami gwałtownych wprawdzie, ale jedynie skutecznych środków.* Potrzeba było tę politykę pojąć, tę sprawiedliwość uczuć".

Nasuwa się pytanie: Czy środki, zalecane przez Heltmana, istotnie byłyby tak skuteczne, jak on to przypuszcza? Czy nie byłyby ryzykowne wobec przewagi szlachty i ciemnoty chłopa?

Ryzykowne—z pewnością. Wszelka rewolucya jest czynem nieobliczalnym w następstwach. Ale czyn wywłaszczenia, proklamowany głośno przez Naczelnika Narodu, stojącego na czele wojsk regularnych, w dwóch trzecich złożonych z chłopów i rekrutujących się w dalszym ciągu z chłopów — czyż nie byłby według wszelkiego prawdopodobieństwa skuteczniejszym od połowicznego czynu, jakim był Uniwersał Połaniecki? Chłopi byli wprawdzie ciemni i zobojętniali, ale ta obojętność nie była przecież zupełnem znieczuleniem *na własną niedolę*. Już po nieśmiałem spojrzeniu w stronę chłopa Konstytucyi 3-go Maja (której artykuł o włościanach nie zadowolił, notabene, „najgorętszych zwolenników ustawy"— jak pisze Smoleński [6]), włościanie posyłali do Sejmu dziękczynienia, a nawet ofiary na wojnę, jak stwierdza Korzon [7]), lub odmawiali gdzieniegdzie szlachcie robocizn, powodowali bunty, które uspokajano siłą wojskową, jak stwierdza Smoleński [8]). Objawy tego rodzaju, nieliczne i nieśmiałe po 3-cim Maju, musiałyby wybuchnąć potężnie po jakim śmiałym uniwersale Naczelnika. Należy też zwrócić uwagę na to, że Warszawa ówczesna nastrojona była wybitnie rewolucyjnie, świeciła krajowi przykładem męstwa, ofiarności i energii, miała przytem zapasy obfite. Jest więc bardzo prawdopodobne, że śmiały krok rządu powstańczego miałby siłę za sobą — siłę nietylko liczebną, lecz też siłę *zapału* i wściekłej odwagi mas poruszonych.

Panować nad tą masą byłoby zapewne niełatwo... Działyby się może w sennej dotychczas Rzeczypospolitej rzeczy straszliwe... i tych zapewne nie chciał brać na odpowiedzialność swoją Naczelnik, którego charakter miękki, marzycielski obcy był wszelkiej gwałtowności środków okrutnych i bezwzględnych. „On chciał być w Polsce Waszyngtonem—miał o nim, według pamiętników Koźmiana, mówić Staszic—ale mało zna Polskę, a jeszcze mniej Europę. Polskę zaś uratowałby chyba jaki Sulla". Tak, Sulla, Napoleon, człowiek żelazny, władny, nie cofający się przed krwią dla wielkich celów, nie zaś bohater wprawdzie tak świętej i wielkiej duszy, jak Kościuszko, lecz niestąpający po ziemi, człowiek, który liczył, iż ojczyznę jego zamieszkali Tymoleonowie, ludzie takiegoż poświęcenia, jak on...

Kościuszko wolał łagodzić zatargi i oddziaływać na masy wpływem osobistym, zachęcał, błagał, poświęcał się. Nie dopiął celu. Zresztą, na postanowienia jego względem ludu wpływał może Ignacy Potocki, kierownik nieudolny polityki zagranicznej, który bał się, by Polski

mocarstwa nie posądziły o jakobinizm, bał się przerażenia Europy, zapominając, że jedynym sprzymierzeńcem politycznym Polski być mogła wtedy rewolucyjna Francya, że Prus ani Austryi żadne względy powstrzymać nie zdołają, nie ułagodzą...[9]).

Przyczyn upadku powstania Kościuszkowskiego było wiele. Lecz jedną z pierwszych jest z pewnością zapoznanie przez kierowników powstania wagi załatwienia wtedy palącej sprawy społecznej [10]).

Odsyłacze:

[1]) Zajączek.

[2]) Jak się wyraża Zajączek.

[3]) Korzon: „Kościuszko".

[4]) „Żywot chłopa polskiego". Wskazuje na to zarówno ów pamiętnik, jakoteż źródłowy wstęp p. Handelsmana. Oto zaś ustęp niemniej charakterystyczny: „Nie zabaczyliśmy jeszcze, jak w legionach polskich szlachta krzyczała: Wolność, równość, a po powrocie do kraju za bunt poczytywano choćby najlżejszą o równości powiastkę" — cytuje p. H. z „Ludu polskiego na emigracyi 1835—1846" (Jersey, 1854, str. 4).

[5]) Kraszewski. Cytowane z książki bezimiennej „obywatelów koronnych", wydanej r. 1767.

[6]) „Ostatni Rok Sejmu Wielkiego". Wydanie r. 1897.

[7]) „Wewnętrzne Dzieje Polski". Tom I.

[8]) „Ostatni Rok Sejmu Wielkiego".

[9]) Korzon przypuszcza, iż dzięki temu, że Potocki dał się oszukać Prusakom, Kościuszko nie wiedział o obecności w kraju armii pruskiej przed bitwą Szczekocińską.

[10]) Artykuł niniejszy nie wyczerpuje oczywiście wszystkich argumentów w tej doniosłej i bolesnej kwestyi. Np. nie poruszam skomplikowanej sprawy, obszernie wyświetlonej przez Korzona, który pisze w „Wewnętrznych Dziejach Polski" (t. I, str. 360): „Prawo odebrało szlachcicowi *władzę życia i śmierci nad chłopem* dopiero w r. 1768". Poczem jednak cytuje na str. 362, w odsyłaczu, z księgi „O poddanych polskich r. 1789": — „W tym oświeconym kraju, zwłaszcza po zapadłem prawie, nie słychać, aby kto *propria autoritate* powiesić kazał, lecz że biednego chłopka na śmierć zaćwiczono, albo że od okrutnego smagania spuchł i w kilka dni umarł, to się nieraz praktykuje".

D-r WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ

O rynkach

Dla wielu zpośród postępowców naszych kapitalizm stał się nie przedmiotem krytycznej myśli, ani badania naukowego, to jest objektywnego, bez uprzedzeń, ale wprost bożyszczem. Bożyszczem strasznem, okrutnem, to prawda, ale niemniej bożyszczem, przed którem ci „radykalni" bałwochwalcy kapitalizmu na twarz padają, jak dzicy ludzie, modlący się do tygrysa właśnie dlatego, że ta bestya drapieżna im dzieci pożera. Bożyszczu temu przypisano najistotniejsze atrybuty bóstwa: wszechpotęgę, wszechwiedzę, wszechobecność. Zgodnie z tym nastrojem fatalistycznego nabożeństwa do kapitalizmu, wytworzyła się skłonność do uogólniania krańcowych objawów rozrostu przemysłu kapitalistycznego, objawów, jakie się gdzieniegdzie ukazały wskutek wyjątkowych warunków historycznych. Objawów tego rodzaju dostarcza przedewszystkiem Anglia.

Niezawodnie rozwój kapitalistycznego przemysłu fabrycznego w Anglii jest pod wielu względami typowy. Wszak właśnie w Anglii wynaleziono maszyny parowe, w Anglii najpierw zastosowano je do przemysłu: przemysł fabryczny jest wynalazkiem angielskim. Toteż w Anglii przemysł fabryczny, jako najdłużej istniejący, jest najdojrzalszy i doszedł do najpóźniejszych faz rozwoju, jakie dotychczas znamy. Mię-

dzy innemi, już dawno, bo przed sześćdziesięciu laty, angielski przemysł fabryczny pozbył się owej gorączki protekcyonistycznej, której obecnie dopiero podlegają młodzi jego rywale: przemysł fabryczny amerykański i niemiecki. Utożsamiając więc schematycznie kapitalizm z kapitalistycznym przemysłem fabrycznym, całość z najważniejszą jej częścią, można istotnie twierdzić, że Anglia posiada najdojrzalszy kapitalizm na świecie, że więc to, co w rozwoju angielskiego kapitalizmu jest typowe, i w innych krajach się powtarza i powtarzać będzie. Ale zauważyć trzeba, że niewszystko właśnie w rozwoju angielskiego kapitalizmu jest typowe.

Angielski przemysł fabryczny młodość swoją przebył w czasie, kiedy poza Anglią nie było maszyn. Rozwijał się więc, nie napotykając na żadnych równych sobie współzawodników ani u siebie, ani na stałym lądzie Europy. Niszcząc w swoim pochodzie krocie tkaczów ręcznych i innych rzemieślników, a rujnując także sporo właścicieli dużych rękodzielni, przemysł angielski, zanim jeszcze inne kraje oswoić się zdołały z użytkiem maszyn parowych, już sobie zdobył przewagę na rynkach całej Europy. Na tem właśnie polega jego wyjątkowość. W takich warunkach już żaden inny przemysł rozwijać się nie mógł, ani w przyszłości rozwijać się nie będzie.

Nieliczenie się z tą wyjątkowością prowadzi do konkluzyj błędnych i wysoce szkodliwych.

Bodaj najbardziej rozpowszechniona z tych błędnych konkluzyj jest następująca: W Anglii, gdzie niegdyś większość narodu stanowili włościanie, przemysł fabryczny wchłonął w siebie trzy czwarte ludności, a wraz z handlem i przedsiebierstwami przewozowemi prawie dziewięć dziesiątych, i w rolnictwie pracuje już tylko jedna dziesiąta część ludności. Stan włościański znikł prawie całkiem, zastępy rzemieślników zmalały, a większością, i to ogromną większością narodu angielskiego stał się proletaryat przemysłowy. Oto więc ogólne prawidło rozwoju kapitalizmu; tak będzie wszędzie. Wszędzie, a więc także w Rosyi i w Polsce przemysł fabryczny rozrośnie się tak dalece, że zatrudniać będzie trzy czwarte ludności. Zmaleją szeregi drobnomieszczaństwa, znikną chłopi, a ogromną większość narodu stanowić będzie proletaryat fabryczny.

Konkluzya ta jest nawskroś fałszywa.

Jeśli angielski przemysł fabryczny zdołał zatrudnić nietylko potom-

ków dawnych mieszczan angielskich, ale także większość potomków dawnych chłopów angielskich, a nadto krocie wyrugowanych z ziemi chłopów irlandzkich, to ten wyjątkowy, nieproporcyonalny rozrost tłumaczy się tem właśnie, że angielski przemysł przez najwcześniejsze zastosowanie maszyn zdobył faktyczny monopol wyższej techniki i zapewnił sobie w ten sposób monopol rynku, nietylko angielskiego, ale europejskiego. Sprowadzenie do przerażająco niskiego minimum ilości rąk roboczych, zatrudnionych w rolnictwie angielskiem, ograniczenie tej produkcyi do ekstensywnej uprawy zboża i jeszcze ekstensywniejszej gospodarki pastwiskowej, a więc zatamowanie wzrostu ilości i wartości produktów rolnych było w Anglii możliwe nawet wbrew podniesieniu liczby i siły kupnej robotników angielskich, bo niedobór krajowej produkcyi rolnej pokrywano dowozem z Europy i zzewnątrz niej. Innemi słowy, cała Europa stała się rynkiem dla angielskiego przemysłu fabrycznego, ale też wzamian Anglia stała się rynkiem dla rolnictwa całej Europy. Więc też Anglia póty mogła bez szkody zaniedbywać rolnictwo krajowe, póki kraje stałego lądu Europy zaniedbywały przemysł krajowy, albo też pomimo dobrych chęci nie zdołały go uczynić zdolnym do konkurencyi z Anglią. Ale też tylko dopóty. Wiadomo, że to się zmieniło i zmienia coraz bardziej.

Nie będę się w tem miejscu wdawał w dalsze szczegóły historyczne. Nie będę rozpatrywał, kiedy i o ile we Francyi czy Belgii, Niemczech czy Austryi, Ameryce czy Japonii, ta czy owa gałąź przemysłu stała się zdolną do konkurencyi z angielskim przemysłem; ani też nie będę roztrząsał kwestyi wielce spornej, czy i w jakich okolicznościach cła ochronne przyśpieszają, czy też opóźniają to doskonalenie się przemysłu krajowego. Wszystkie te szczegóły, jakkolwiek ważne, nie są nam nateraz potrzebne; wystarczy przedstawić sprawę schematycznie.

Kraj, który pierwszy u siebie rozwinął nowoczesny przemysł fabryczny, posługujący się maszynami, nazwijmy krajem *A*. Kraje zaś, które później poszły za jego przykładem, nazwijmy kolejno krajem *B*, *C*, *D*, *E*, *F*...... *X*. Rynek zbytu dla wyrobów przemysłowych, istniejący w granicach kraju *A*, oznaczmy literą *a*, rynki zbytu dla wyrobów przemysłowych, istniejące w granicach każdego z pozostałych krajów, oznaczmy kolejno literami *b*, *c*, *d*, *e*, *f*...... *x*. Wreszcie maksymalny rynek zbytu, w najkorzystniejszym wypadku możliwy do zdobycia dla

przemysłu kraju *A*, oznaczmy literami ç *A*, a odpowiednio maksymalny rynek zbytu, możliwy dla przemysłu kraju *B*, *C*, *D*, *E*, *F*...... *X* oznaczmy literami ç *B*, ç *C*, ç *D*, ç *E*, ç *F*...... ç *X*.

Oto jak się wtedy rzecz przedstawia. Początkowo kraj *A* nigdzie na świecie nie natrafia na równego sobie rywala. Maksymalny rynek zbytu, możliwy dlań do zdobycia, równa się sumie wszystkich rynków świata, czyli

$$ç A = a + b + c + d + e + f \ldots\ldots + x.$$

W kilkadziesiąt lat później występuje do boju kraj *B*. Znajduje świat zajęty. Aby więc módz, tak jak szczęśliwszy jego poprzednik, ogarnąć swoim wywozem całą powierzchnię kuli ziemskiej, kraj *B* musiałby do szczętu zniszczyć przemysł kraju *A*. Ale tego się w praktyce nie robi. Takie figle płatać można skutym prowincyom zabranym albo koloniom bezwładnym (chociaż i to jest ryzykowne, jak dowodzi Ameryka północna, która niegdyś była kolonią angielską), ale nie państwom niepodległym. Gdyby nawet kraj *B* zdołał połączyć wszystkie pozostałe kraje świata w jeden wielki sojusz handlowy, wykluczający z rynków swoich wyroby kraju *A* (jak to istotnie usiłował uczynić Napoleon Wielki względem Anglii), to kraj *A* mógłby nawzajem wykluczyć wszelkie obce towary ze swojego rynku krajowego. W najgorszym więc razie kraj *A* zachowałby swój własny rynek krajowy dla siebie, a tem samem zachowałby w ręku cenny objekt zamiany; ofiarując zaś dopuszczenie obcych towarów do swojego terytoryum tylko wzamian za dopuszczenie swoich wyrobów poprzez obce kordony celne, zdołałby w końcu zawrzeć korzystne traktaty handlowe. W ten więc sposób kraj *B* nie potrafi owładnąć całym rynkiem, dotychczas przez kraj *A* posiadanym, chyba mu wojnę wytoczy, zdobędzie go i spustoszy; w takim razie wprawdzie kraj *B* mógłby wyłącznie zapanować na rynku światowym, ale pojemność rynku światowego zwężyłaby się mniejwięcej o całą dotychczasową siłę kupną kraju *A*, a nadto prawdopodobnie o bardzo znaczną część siły kupnej kraju *B*, — bo tak rozpaczliwych wysiłków nie dokonywa się bez strasznego upustu własnej krwi. A zatem, uciekając się nawet do najkrwawszych ostateczności, kraj *B* nie mógłby zagarnąć całego rynku światowego bez bardzo dotkliwego uszczuplenia tegoż rynku. Jeśli zaś

nie chodzi o przemoc, tylko o pokojową konkurencyę handlową, to znowu niema żadnej przyczyny, dla którejby kraj o starszym i wyżej rozwiniętym przemyśle, jeśli się nawet da doścignąć młodszemu rywalowi, nie miał mu dotrzymać kroku, przynajmniej o tyle, iżby zachować dla siebie bądź to własny rynek krajowy, bądź to rynek częściowo krajowy, częściowo zagraniczny, ale ogólną pojemnością conajmniej równy rynkowi krajowemu. Zanimby zresztą doszło do tak daleko posuniętego wyparcia kraju *A* z rynku światowego, już dawnoby kraj *A* zabezpieczył swój wewnętrzny rynek cłami ochronnemi. A więc tak czy owak maksymalny rynek zbytu, możliwy do zdobycia dla kraju *B*, równa się już nie całemu rynkowi światowemu, lecz rynkowi światowemu, uszczuplonemu o rynek wewnętrzny kraju *A*, czyli:

$$ç B = b + c + d + e + f \ldots\ldots + x.$$

Jeśli znowu w kilkadziesiąt lat później stanie do konkurencyi kraj *C*, to będzie mógł conajwyżej zagarnąć rynek światowy, uszczuplony o wewnętrzne rynki krajów *A* i *B*, czyli

$$ç C = c + d + e + f \ldots\ldots + x.$$

Jest jasne, że dalszy ciąg tej seryi zrównań brzmieć musi:

$$\begin{aligned} ç D &= d + e + f \ldots\ldots + x \\ ç E &= \phantom{d + {}} e + f \ldots\ldots + x \\ ç F &= \phantom{d + e + {}} f \ldots\ldots + x \end{aligned}$$

i tak dalej. Ostatnie zaś zrównanie brzmi:

$$ç X = x$$

czyli w słowach: kraj, który się ostatni uprzemysłowi, będzie miał do zdobycia conajwyżej swój własny rynek wewnętrzny. Ale też nie będzie miał potrzeby zadowolić się mniejszą zdobyczą, o ile tylko zdoła zachować swoją niezawisłość państwową; w takim bowiem razie w każdej chwili będzie mógł sobie zabezpieczyć rynek wewnętrzny cłami ochronnemi. Innemi słowy: kraj, który się ostatni uprzemysłowi, zdobędzie ani mniej ani więcej, jak właśnie *swój rynek wewnętrzny*.

Oczywiście, że nie chodzi mi specyalnie o losy tego hypotetycznego kraju *X*, który najdłużej ze wszystkich krajów na świecie ociągnie się z uprzemysłowieniem. Mniejsza o to, czy będzie nim Tybet czy Nepal, każdy sam sobie da radę. Chodzi mi o to, żeby na skrajnym przykładzie kraju *X* wykazać, w jakim kierunku dąży rozwój stosunków handlowych we wszystkich innych krajach, czyli, że w miarę powszechnego uprzemysłowienia — położenie każdego kraju zosobna coraz bardziej zbliżać się będzie do położenia, jakie przewidujemy dla kraju *X*, t. j. do zachowania dla swego przemysłu własnego rynku wewnętrznego.

Naturalnie, że konkretna rzeczywistość jest bardziej złożona i mniej prostolinijna od schematu powyższego. Kraj *A*, po utracie wyłącznego zwierzchnictwa przemysłowego nad całym światem, może długo jeszcze zachować względne zwierzchnictwo nad znaczną jego częścią, a przeto długo jeszcze nie bać się konkurencyi, tylko pozostać wolnohandlowym krajem, jak to widzimy w Anglii współczesnej. Podobnie i kraje *B*, *C*, *D* jeszcze długo po zjawieniu się nowych rywalów na rynku światowym zachować mogą rozległe rynki w różnych częściach świata, a ufne w wyższość swoich wyrobów, mogą się stać wolnohandlowymi, jak to się prawdopodobnie w dość bliskiej przyszłości stanie z Ameryką, Niemcami, Francyą. Ale nie należy przeceniać ani doniosłości, ani trwałości takich objawów. Gdyby nawet powstała powszechna era wolnego handlu (co wcale nie jest wykluczone), to w miarę dorastania młodszych krajów do równej sprawności przemysłowej ze starszymi — ostatecznym wynikiem tej powszechnej wolnej konkurencyi byłoby zachowanie przez każdy kraj zosobna własnego rynku wewnętrznego.

Jeśli taki właśnie będzie ostateczny wynik rozwoju, to jaki odsetek ludności może wtedy stanowić proletaryat przemysłowy?

Ludność przemysłowa po to pracuje, aby mieć za co kupić żywność. Dzisiaj tę żywność, jeśli jej w kraju zamało, można sprowadzać z zagranicy, z krajów bez przemysłu, a zatem mogących mieć dużą nadwyżkę zboża na sprzedaż. Kiedy jednak już wszystkie kraje będą uprzemysłowione, to każdy kraj spożywać będzie swoje produkty rolne u siebie, nikt nie będzie miał ich nadwyżki na wywóz, więc też nikt nie będzie mógł pokryć niedoboru żywności dowozem z zagranicy. W takich warunkach podobne zaniedbanie kra-

jowej produkcyi rolnej, jakie w Anglii miało miejsce w ciągu XIX wieku, stanie się niemożliwem. Każdy naród będzie musiał dbać o zatrzymanie w rolnictwie tylu rąk roboczych, aby te mogły wytwarzać dostateczne zapasy żywności nietylko dla siebie, ale także dla całej przemysłowej ludności kraju, by nie wymarła z głodu.

W praktyce, rzecz oczywista, do śmierci głodowej nie dojdzie. Już samo utrwalenie się drożyzny żywności wystarczy do zachęcenia kapitalistów, aby we własnym interesie pieniężnym lokowali odpowiednią część kapitału w rolnictwie, co naturalnie czynić będą w sposób, w kapitalistycznym ustroju najryzykowniejszy, a w późniejszych fazach tego ustroju nawet jedynie zyskowny: będą wykupywali folwarki, lecz nie po to, aby osobiście na nich gospodarować, lecz żeby parcelować ziemię uprawną, parcele zaś sprzedawać lub wydzierżawiać drobnym gospodarzom, względnie robotnikom rolnym, pragnącym stać się drobnymi gospodarzami. Ponieważ jednak ku końcowi okresu kapitalistycznego dążności prywatno-kapitalistyczne już się nie przejawiają w niezakłóconej czystości, lecz bywają coraz bardziej krzyżowane przez wzrastające w siły dążności kolektywistyczne, więc ta zbawienna, bo sprzyjająca intensywnej uprawie, decentralizacya gospodarki rolnej coraz częściej odbywać się będzie nie za pośrednictwem kapitalistów prywatnych, ale za interwencyą państwa, i tworzyć będzie już nie dłużników lub czynszowników prywatnego kapitalizmu, lecz dłużników lub czynszowników państwa — jak to widzimy na przykładzie reform agrarnych, które u siebie oraz w Irlandyi przeprowadza Anglia XX wieku. Wszak najnowsza, świeżo uchwalona angielska reforma agrarna upoważnia rady hrabstw do wywłaszczania wielkiej własności ziemskiej celem oddawania robotnikom rolnym kilku— do kilkunastumorgowych parcel w długoletnią dzierżawę na dogodnych warunkach, a na wypadek, gdyby niektóre rady hrabstw nie chciały korzystać z tego upoważnienia, przewiduje tworzenie osobnych rad rolniczych w tym celu. A zatem to samo państwo angielskie, które w drugiej połowie XVIII wieku tak gorliwie pomagało lordom rugować chłopów, dzisiaj pomaga robotnikom rolnym rugować lordów. Nie ulega wątpliwości, że prędzej czy później i inne państwa, ulegające naporowi od dołu, pójdą za przykładem Anglii. Ale taka decentralizacya rolnictwa kładzie kres wyludnieniu wsi. Następuje zwrot ku intensywnej uprawie, która ze szczupłych obszarów ziemi duże wydoby-

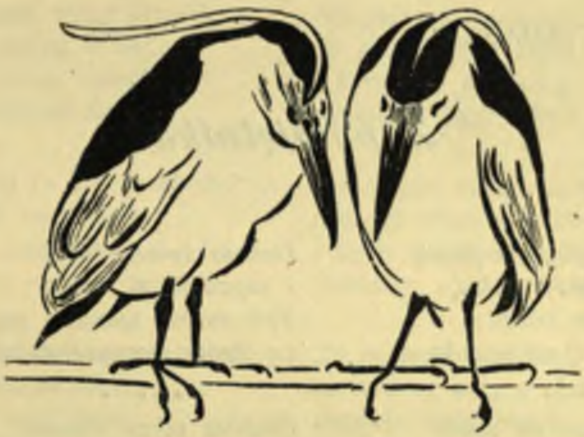
wa plony, ale też na tych szczupłych obszarach ziemi zatrudnia dużo rąk roboczych. A ponieważ w młodszych krajach rozwój dziejowy odbywa się w skróconej postaci (bo przy oddziaływaniu spółczesnych mu, a dalej posuniętych stadyów rozwoju starszych krajów), nie dziw więc, że chociaż w Anglii parcelacya dopiero dzisiaj zaczyna się krzewić na wielką skalę, w Rosyi — dziś również — mimo że rosyjski kapitalizm jeszcze niezbyt się rozwinął — parcelacya przyjmuje już olbrzymie rozmiary, aczkolwiek odbywa się w postaci wielce niedoskonałej. Również wiadomo, że we wszystkich trzech zaborach Polski ruch parcelacyjny zaczął się jeszcze nieco wcześniej, niż w Rosyi.

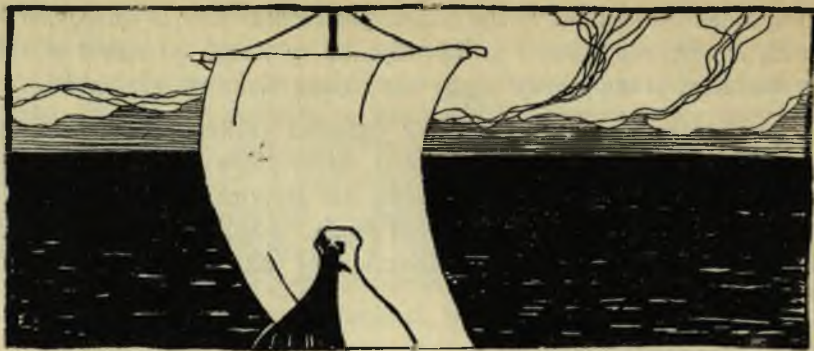
Zamiast więc zaniku włościaństwa, widzimy jego odrodzenie i rozrost. Ten rozrost klasy drobnych gospodarzów będzie trwał, dopóki trwać będzie ustrój kapitalistyczny. Oczywiście, że i rolnictwa nie minie przejście od prywatnej gospodarki do kolektywizmu; ale to przejście odbędzie się drogą nie proletaryzacyi, lecz kooperacyi.

W każdym zaś razie należy się liczyć, jako z trwałym, ostatecznym wynikiem kapitalistycznego rozwoju—z istnieniem klasy włościańskiej tak licznej, że potrafi wytwarzać żywność dla całej ludności kraju, czyli dla siebie oraz dla ludności przemysłowej. Zwiększanie wydajności pracy rołnej ma granice dość ciasne. Niemożna dowolnie powiększać obszaru ziemi podatnej pod uprawę, niemożna dowolnie przyśpieszać procesów życiowych roślin i zwierząt. Śmiało twierdzić można, że nawet przy wysoce racyonalnej uprawie jedna siła robocza, zatrudniona w rolnictwie, potrafi conajwyżej wytwarzać żywność dla czterech osób. A ponieważ zpośród ogółu ludności na jednostki niezdolne do pracy (dzieci, starców, chorych i t. d.) przypada mniejwięcej połowa, jeden więc pracownik rolny conajwyżej wytwarza dla siebie, dla drugiej osoby, pracującej w przemyśle lub innym pokrewnym zawodzie, oraz dla dwóch osób niezdolnych do pracy. A zatem na każdą jednostkę, pracującą w przemyśle lub też w zawodach miejskich i inteligienckich, potrzebny jest conajmniej jeden pracownik rolny. Innemi słowy: jeśli rozmiary rynku zbytu dla przemysłu danego kraju nie przewyższają rozmiarów własnego rynku wewnętrznego, to klasa włościańska musi wynosić conajmniej połowę ludności kraju. Ponieważ jednak poza włościanami z jednej, a proletaryatem przemysłowym z drugiej strony społeczeństwo zawiera jeszcze

w sobie różne żywioły nieproletaryackie (jak rzemieślnicy, urzędnicy, inteligienci, kupcy, fabrykanci i t. d.), więc ani w Rosyi, ani nawet w Polsce proletaryat przemysłowy nigdy nie będzie stanowił większości.

Nie znaczy to bynajmniej, iżby dążności proletaryatu przemysłowego były beznadziejne. Proletaryat przemysłowy ma niezawodnie bardzo doniosłe posłannictwo dziejowe, ale dokona go tylko w ścisłej łączności z klasą włościańską i spełni swoje zadanie historyczne, o ile zdoła zespolić ze swemi dążnościami cały lud pracujący — miejski i wiejski.





EDWARD SŁOŃSKI

Z pamiętnika

My, jak wędrowne ptaki,
znamy i głód i chłód,
i leżą nasze szlaki
na zachód i na wschód.

* * *

Obłąkał mnie od świtu
nieukojony żal,
nakryła mnie błękitu
i szumów pełna dal.

Za mgłami liliowemi,
za srebrną wstęgą rzek
dalekiej mojej ziemi
ostatni zginął brzeg.

Dokoła światy biegą
i zapadają w cień...
Tak wszedł tułactwa mego
na niebie pierwszy dzień.

* * *

Okwitła jakaś wiosna,
zgasł jakiś cudny dzień —
ostatnia polska sosna
rzuciła na mnie cień.

Mignęła przed oczami
i zaszumiała wślad:
— Za mgłami, za górami
twój cały został świat... —

Mignęła przed oczami
i weszła w błękit, w las...
— Za mgłami, za górami
nie ujrzysz więcej nas... —

* * *

Za mgłami, za górami,
gdzie wczoraj księżyc zbladł,
zabity gdzieś deskami
malutki leży świat.

Wioseczki zadymione,
przyziemne rzędy strzech,
a w jaką spojrzysz stronę,
tam — piaski, albo mech.

Na piaskach sosny drzemią
i krzyże patrzą w dal...
Jakże mi ciebie, ziemio,
na tej obczyźnie żal!

* * *

— W jaką to idziesz stronę? —
pytały, jak na śmiech,
wioseczki zadymione,
przyziemne rzędy strzech.

— Cóż poczniem my samotne? —
mówiły, jak na śmiech,
piaseczki moje lotne
i rudy skrzypiał mech.

* * *

Czasem tak jest w ojczyźnie,
że komuś miejsca brak,
że trzeba na obczyźnie
swej drogi znaczyć szlak.

To znów wypędzą kogo,
jak psa, na głód i chłód:
— A gdy cię głody zmogą,
zdychaj u cudzych wrót. —

* * *

My, jak wędrowne ptaki,
znamy i głód i chłód —
i leżą nasze szlaki
na zachód i na wschód.

Na jednych my napróżno
do kraju tężym słuch —
i karmi się jałmużną
męczeński nasz KRÓL-DUCH.

Na innych orkan dziki
gra, jak cmentarny dzwon,
i sypie mogilniki
tułaczom z naszych stron.

* * *

Za mgłami liliowemi,
za srebrną wstęgą rzek
dalekiej mojej ziemi
ostatni zginął brzeg.

—





WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

III

Już nie odważał się podróżować we dnie i niezawsze ośmielał się rozniecać ogień na postojach. Gdy słońce wypełniało powietrze swem złotem i ciepłem, gdy budził się nanowo przygłuszony nocą szmer życia, on, jak rosomak, wpełzał w najciemniejsze gąszcze i, podetknąwszy pod głowę worek podróżny, spał. Wstawał z wieczornemi mgłami, przekradał się w mroku, jak dziw leśny, strasząc wioskowe psy, i przepadał nad ranem. Wpleciony misternie w gałęzie krzów, niby drzewozwierz, przyglądał się z oddali z ciekawością i strachem siołom spotkanym, przysłuchywał pieśniom lecącym z pól lub okrzykom wadzących się ludzi... I nieraz spostrzegał tuż obok siebie któregoś z mieszkańców kniei z nadstawionemi uszami i wylękłym i zaostrzonym wzrokiem. Rozumiał ich, współczuł im i poczynał miłować...

Aż pewnego poranku stanął niespodzianie nad przepaścistą krawędzią leśnej wyżyny i zdumiał się. Góry znikły. Odbiegły w obie strony niby równy, siny szlak morskiego wybrzeża. A dalej, jak okiem sięgnąć, aż po grzędy białawych chmur, nie było widać ni drzew, ni wzgórka, ni cienia... Step zielony, gładki jak toń i jak toń blady, słał się bezbrzeżnie... Tu i tam niby głazy i mielizny, albo drobne wysepki, czerniały przyziemne budowle, kopulaste, maluchne namioty... Siwe dymy snuły się nad nimi, a obok błądziły stada koni i krów, podobne do igrających fok i delfinów...

Środkiem przecinał równinę biały szlak drogi z nicią telegrafu u boku.

Zbieg schował się przezornie do tajgi, przywarował w ustronnej wpadlinie i wyjął mapę podróżną.

— Tak, to step! Słynny buryacki step. Ominąć go niemożna, a przejść niepostrzeżenie pono niepodobna!

Tak mówiono... On legł u drogi, na zachód jak straszny, mściwy lewiatan... Wojował bezlitośnie z włóczęgami, którzy płacili mu wzamian pożogami, mordami okrutnymi i kradzieżą bydła.

Wiktor zarzucił ręce pod głowę i, patrząc na chmurki płynące swobodnie w stronę jego ojczyzny, rozważał, co czynić. Bał się drogi stepowej, bał się rozstawionych na wieżach pikiet ułusnych przeciw koniokradom.

Wprawdzie miał fałszywy pasport „posieleńca", lecz rozumiał, że ten go nie obroni. Postanowił nareszcie ominąć górami step możliwie daleko i przeciąć go za jednym zamachem, w ciągu nocy, w najwęższem miejscu.

Musiał podróżować we dnie, gdyż przekonał się, że w nocy łatwo mógł trafić na potrzaski, sidła, łuki, lub samostrzały, dość gęsto zastawione na zwierza po górach. Na noc więc zagłębiał się w las, ale we dnie wychodził na brzeg stepu, aby go wciąż mieć przed oczyma i wciąż śledzić jego wrogie ruchy. Ogień rozpalał w zupełnym ukryciu, w jamkach — ogień maluchny, niewiększy od miejskiej fajerki.

Co rano, jak olbrzymia koncha perłowca, otwierały się przed nim siwe, omglone rozłogi — w dole stepu, a w górze niebios. Na ich zlewie, daleko, tlił się różowy świt i powlekał delikatną, atłasową pożogą płaskość ziemi i nieba zaklęsłość. W miarę jak żagwił się wschód, chmury nawisłe u firmamentu, niby szare, namokłe żagliska, nasiąkały zwolna purpurą, złotem i ametystem. Gasły dopiero, gdy słońce pojrzało na nie zza widnokręgu i zamieniło je znów w brudne łachmany. Na stepie budziło się życie. Szły ku kibitkom z dalekich noclegowisk dojne kobylice, odpowiadając tęgiem rżeniem na cienkie głosy wabiących je źrebiąt; owce i krowy wypędzano z ogrodzonych „syrtów". Pochyleni na siodłach jeźdzcy ulatywali w dal, spleceni z końmi w jedną bryłę. Kobiety, dzieci, psy wylegały przededrzwi ruchliwą gromadą. Konni pastusi w „tułupach", wywróconych wełną na wierzch,

stawali nieruchomo na wzgórkach, jak czatujące jastrzębie, baczni na białe kłębki owiec rozproszone po obszernych żeremiach.

Wiktor szedł, z utęsknieniem wpatrywał się w mierzchliwy obłok zastepowych wyniosłości, to doszczętnie ginący za równią horyzontu, to ścielący nisko ponad nią długie skrzydła swej siniawy. Zawartość jego worka mocno zeszczuplała, a o kupieniu chleba na stepie nie mogło być mowy.

Nareszcie ujrzał na południowym nieboskłonie wielki leśny, wysoki przylądek, roztrącający bladozielone wełny stepu. Serce mu zabiło. Zrozumiał, że tam jest miejsce pożądane, o którem słyszał. Ale dzień cały szedł jeszcze, nim dostał się do szyi równiny. Wydała się bezludną. Łysawa jej wypuklizna nie wabiła widać stad. Porastały ją kołtuniaste wikliny stepowe, sztywne badyle ostów i dziewanny, pokręcone wichrami grzywy wyschłych oczeretów oraz piołunów. Szeroka droga wiła się wśród nich niewyraźnie.

Wiktor ukrył się w zaroślach u początku drogi i czekał zmroku. Przejechała mimo niego skrzypiąca, dwukołowa „arba", pełna kobiet, postrojonych w długie koszule, w niebieskie i czerwone świty, kobiet śmiejących się, wesołych i rozbawionych. Przeleciało z tętentem dwóch jeźdźców w żółtych, zatłuszczonych, jedwabnych chałatach i płaskich, czerwonych kapeluszach. Przebrnął piechotą żebrak z workiem na plecach, z długim zakrzywionym koszturem w ręku i półnagim pachołkiem-przewodnikiem przed sobą. Mówili gardłowem narzeczem, podobnem do krakania kruków.

Pociemniało. Wiktor worek podwiązał i puścił się na step. Szedł szybko popędzany niepokojem, jaki budziła w nim otwarta nagle wokoło halizna. Woddali, z obu stron migały czerwone ogieńki koczowników. Górzysty przylądek zmalał, przysiadł, skrył się za przęsłami potarganych traw i ciernisk, które niespodzianie wyrosły. Zdala dolatywały głosy porykujących pojedyńczo bydląt i głuche ujadanie owczarek.

Tułacz szedł coraz śpieszniej, pilno mu było znaleść się znowu w schroniskach znajomej kniei... Gdyby choć noc zapadła prędzej! Ale ciemności odbite od bladego stepu nie gęstniały. Czuł, że w opalowem ich przezroczu, na lekkiem wzniesieniu ziemi, czarna sylwetka jego widnieje daleko, daleko... Nagle drgnął. Poza nim zatętniały kopyta. Jeźdzcy jechali drogą wprost na niego. Ścisnął zęby i wstrzy-

mał z wysiłkiem huragan myśli. Szedł dalej, nie zmieniając kroku. Gdy go mijali, dostrzegł wilcze błyski dwóch par oczu, obmacujących go drapieżnie. Stanęli opodal.

— Aj!.. Oros!..

— Kuda poszoł?!

— Pstoj!..

Pogadali z sobą i zawrócili ku niemu. Zatrzymał się i chciał obrócić, lecz w tej chwili pętlica arkanu mignęła mu przed oczami i szarpnięty potoczył się nawznak w czarną otchłań...

Gdy się ocknął, wydało mu się, że spał długo i głęboko. Zdziwiło go niepomału, że jest nagi, że leży na gołej, otwartej płaszczyźnie. Zastanowił go uszczerbiony sierp miesiąca, wiszący nad czarnym zrębem niedalekich gór. Bacznie mu się przyglądał, jakgdyby najważniejszą dlań rzeczą obecnie było poznać ten nowy przedmiot...

Wtem usłyszał tuż obok gardłowy charkot... Z trudnością ruszył obolałą szyją, obrócił głowę... Ujrzał opodal dwie patelniane twarze, z ukośnemi szparkami oczów, z rzadkim, szczeciniastym zarostem dokoła wielbłądzich gąb. Postaci jota w jotę z historycznych obrazków, jakie czytywał w dzieciństwie. Jak tamci — siedzieli w kuczki na ziemi i, szeroko rozstawiając w powietrzu grube od „tułupów" ręce, oglądali jego odzież. Już chciał na nich groźnie krzyknąć, gdy jeden z nich błysnął nożem i wypruł zaszyte w kurtce pieniądze...

Pochylili się oba nad pakietem, i twarze im się poruszyły w rozkosznym uśmiechu. Dosłyszał ciche, słodkie rechotanie, dostrzegł białe kły w ciemnych szczelniach szeroko rozciągniętych ust... i chłód bolesny, jaki dawno go ziębił, zamienił się nagle w śmiertelny dreszcz... Liczyli pieniądze, chrząkając coraz smakowiciej. Wiktor skulił się cichutko i cichutko, jak wąż, popełznął precz od nich... W pobliżu jeżyła się życzliwie wielka, miotlasta kępa wikliny... Niedługo był za nią i przycupnął bez ruchu, gdyż głosy ucichły. Uniósł głowę od ziemi i oko pożądliwie zapuścił w okienko gęstwiny. Czynili w skupieniu dalszy przegląd jego garderoby... Poczem rozłożyli ją na dwie kupki i chwilkę pochyleni ku sobie łbami, jak dwa tryki, przyglądali się swym obliczom. Odstające uszy sterczały im jak rogi. Po chwili niższy wydął wargę i zamruczał, a drugi wyciągnął z zanadrza paczkę pieniędzy, oddzielił parę papierków, też wydął wargi i zamachał ręką przed nosem. Naraz oba wrzasnęli jak rozzłoszczone koczury i zerwali

się na nogi... Machali rękami, przysiadali, przytupywali, nie przerywając wrzasków... Biegnąc chyłkiem wśród krzewów, Wiktor oglądał się od czasu do czasu za siebie i widział, jak się bili pięściami, jak jeden padł, a drugi skoczył na konia i pomknął... Po chwili i ten drugi skoczył na konia i z wrzaskiem za nim popędził... Czas jakiś trwała szalona gonitwa, napełniając tętentem okolicę... Wiktor zatrzymał się i ukrył w krzewach, sposobiąc wrócić po odzież, lecz niezadługo ścigający jeździec pozostał daleko w tyle, konia zdarł, zawrócił i wolno pojechał na porzucony majdan. Tu zeskoczył z siodła, rzeczy w węzeł związał, przytroczył i, znowu wdrapawszy się na wysoką jak pagórek kulbakę, zaczął z wyciągniętą szyją, uważnie wśród zarośli krążyć.

Wiktor jeszcze niżej przy ziemi przywarował i ścisnął w garści znaleziony sęk. Jeździec zataczał coraz szersze kręgi, gdy nagle spłoszyła go odległa wrzawa i ognie, buchające na stepie. Stanął, posłuchał i stępa w tamtą stronę odjechał.

Gdy znikł, Wiktor wstał i, nie kryjąc się więcej, poszedł drogą ku przeciwległym górom. Przejmował go ziąb gniewu i rozpaczy.

— Co mu zrobią? Nic mu już więcej zrobić nie mogą!.. Da się zaaresztować, byle dobrnął do miejscowości, gdzieby mógł się po ludzku rozmówić, gdzieby nie ścigała go plemienna, zasłużona wreszcie nienawiść! Niech tam!..

Szedł przez stepy wielkimi krokami, biały jak upiór, podpierając się długim drągiem, odrzucając w mdłem świetle księżyca długi, niewyraźny cień. Spotkanego przy drodze koczowiska nie okrążył, nie wyminął, przeciwnie—przeszedł tuż, blisko koło kibitek. Wypadłe ze szczekaniem psy uciekły, podwinąwszy ogony, zdziwione jego nagością, przestraszone błyszczącym wzrokiem i gniewnym spokojem... Nawet buryat, wywabiony hałasem z domostwa, wrócił pośpiesznie, zatrzaskując za sobą drzwi i przysięgając, że widział idącego drogą „jerlika“.

O świcie był już w błogosławionej górskiej kniei i, narwawszy długich zwiędłych traw, gałązek i modrzewiny, uplótł sobie coś w rodzaju płaszcza, jakim w słotę chronią gołe barki wieśniacy Japonii i Chin.

IV

Mieszanina strachu i wstrętu pchała go dalej w bory... Szukał wioski, lecz myśl powrotu na step nie przychodziła mu nawet do gło-

wy. Z rozpaczą zrozumiał, że jest daleko od wszelkich sadyb ludzkich, dopiero wtedy, gdy droga, jakiej się trzymał, zmalała do rozmiarów głuchego, leśnego przegonu... Wlókł się dalej, bardziej zresztą zajęty szukaniem korzonków, wypatrywaniem nor mysich, gniazd wiewiórczych i ptasich, niźli przebytą drogą. Cel wysiłków znikł przed nim, zamglił się, rozprysł na tysiące majaczących pomysłów, chęci, nad któremi górował głód i straszne zimno... Nie wiedział, gdzie się przed niem ukryć, czem je utulić. Wpełzał do dziupli, lochał się jak dzik pod kupami przeliny leśnej, zaszywał w chruśniakach... Ale wszędzie dosięgała go wilgotna od słoty lub blada od rosy ręka zimna, trzęsła nim, biła o ziemię, ssała szpik i nadrywała wnętrzności... Resztką woli wstrzymywał od ryku szczękające zęby i wykrzywione usta... wydało mu się, że gdy raz z dygocących piersi wyrzuci rwące się głosy, pobiegnie na czworakach, jak wilkołak, opuści ludzi nazawsze. Wtedy widywał w gorączkowem zapamiętaniu obszerny, wygodny pokój, nocną oświetlony lampką, w biało zasłanem łóżeczku siebie i twarz słodką, pochyloną nisko nad nim z koroną złotych warkoczy nad czołem, szepcącą: „śpij, śpij! synusiu, śpij!"... — Budził się, gdy las był już pełen do samego dna dziennego światła i ciepła... Łatał naprędce swe liściaste łachmany i gnał przez haszcze, jak opętaniec, wypatrując ostrym wzrokiem pożywienia...

Nareszcie pewnego wieczoru, gdy był tak słaby, że nawet nie szalał, że przypadł do ziemi z cichym piskiem zdychającego szczenięcia, spostrzegł poprzez trawy i badyle, tuż u korzeni drzew, rubinową iskrę ognia. Usiadł i głowę przewiesił, nie chciało mu się ani szukać, ani sprawdzać, lecz ogień sam odszukał jego źrenice, świecił w nie wyraźnie, niezbyt daleko, nęcił, grzał... mamił migotaniem. Powstał więc i sunął się wśród cieni.

Tuż u drogi stał stary, przegniły szałas myśliwski, przed nim palił się drobny ogieniek. Nad ogieńkiem wisiał na drążku kociołek. Z głębi szałasu z poza dymu i pary wychylała się chwilami wyleniała bermyca sybirska, a pod nią twarz mięsista, czerwona, z sinym nosem, okolona długą, siwą, zwichrzoną brodą. Gdy nieznajomy usłyszał lekkie kroki Wiktora, nakrył lewą dłonią przymrużone oczy i bokiem wyjrzał z ciemności; prawą rękę jednocześnie oparł zniechcenia na rękojeści siekiery, leżącej w pobliżu.

— Hej, kto tam?.. Kto idzie?!

Wiktor w milczeniu wyszedł z ciemności i przykucnął przy ognisku. Czarne wychudłe ręce wyciągnął łapczywie ku ciepłu. Stary odchylił się cokolwiek w tył, twarz mu się zsiadła, broda najeżyła... Nie ruszył się jednak, nie zdradził nawet niczem wzruszenia. Siwe oczki jego patrzyły spokojnie, z pewnem nawet zadowoleniem na młodą, wynędzniałą twarz, na dziwaczny liściasty strój i nagie, przeświecające zeń ciało...

— Ze stepu? — zapytał łagodnie i zdjął rękę z siekiery.

Wiktor kiwnął głową.

— Jeść! — syknął przez ściśnięte zęby.

— To się rozumie!.. Urządziły cię te mordy kobyle!..

— Ledwiem uszedł...

— Widzę... Znam ich, psią ich mać obłupaną!.. Bywałem i u nich... He! he!

Rząd drobnych, białych zębów błysnął mu pod obwisłymi wąsami.

— Jeść!.. — szepnął znowu cichutko Wiktor.

— To się rozumie... Po co gwałtować?.. Niech się uwarzy. Nie umrzesz. I tak wiele ci nie dam. Ile dzion idziesz?

Wiktor roztworzył pięć palców. Stary pokiwał głową.

— Noo... Bywa gorzej!.. Połóż się, wygrzej u ognia. Rychło dośpieje...

Wiktor nie ruszał się i oczu gorejących z kociołka nie spuszczał, po krtani mu przechodził widoczny spazm.

— Młodyś!.. — mówił wolno stary, przyglądając mu się zmrużonemi oczkami... Pewnie pierwszy raz, bo boli jak dziewczynę, a potem nawykniesz, polubisz!...

Łyżkę do kociołka zapuścił, zamieszał, czerpnął, sprobował, znów zaczerpnął i ostrożnie na nią podmuchał.

— Na!.. Przetrzyj kiszkę... A nie sparz się...

Wiktor pieczołowicie wziął łyżkę i pociągnął zupy zaprawnej mąką. Do ciemnego zastygłego jego wnętrza wlała się nagle struga błogiego ciepła... Spojrzał wdzięcznemi oczami na starego i wrócił mu łyżkę.

— Dobrego po troszeczku!.. — rzekł włóczęga.

Zdjął kociołek z ognia i odstawił go na bok.

— Niech się studzi, a ty powiedz, jak było.

— Szedłem przez step...

— W „gęsiej szyi“?

— Zapewne... tu... u tej drogi...

— Jakto? Eh! Mać!.. Ty widzę, idziesz bez „sznurka“...

Wiktor zmieszał się.

Chwilkę mierzyli się oczyma podejrzliwie i wyczekująco...

— Nie jestem włóczęgą, dziadu! — rzekł wreszcie Wiktor.

— Ano widzę!

Ujął brodę w garść i koniec jej wsadził do gęby. Czekał. Ale Wiktor wstrzymał się i popatrzył w zamyśleniu na ogień.

— Ptaak! — szepnął z zadowoleniem stary. — Naści jeszcze łyżkę, a nie myśl, że przez chciwość nie daję... Wyciągnąłbyś do jutra kopyta, gdybyś zjadł... Kiszki ci się skręciły, powoli rozwijać muszą... Ciągnij kropelkami... nie śpiesz się.. Eh, eh! Dufna młodość wasza... nierozważna!..

— Weźmiesz mnie z sobą, dziadu, co?

— To się rozumie, źreć ci dam. A droga dla każdego otwarta: zechcesz, pójdziesz...

— Bóg ci zapłać, dziadu!.. Dobry jesteś...

— Z musu każdy dobry. Dokoła las, a w lesie rozmaicie bywa... Nie dam ci, to mię zabijesz.

— Co?!

— Nie cokaj, wypiorze! Ani się spostrzeżesz, jak zgrzeszysz.

I znów uśmiechnął się dziwnie.

— Ale barachła nie mam... Będzie wieś niedługo, tam dostaniemy... — dodał surowo i spojrzał przeciągle na Wiktora. Ten głowy nie podniósł. Siedząc na piętach, grzał z rozkoszą wyziębłe ciało. Morzył go nagły bezwład; nie miał siły nawet unieść ociężałych powiek.

— Naści jeszcze łyżkę!.. A potem właź w barłog...

Słyszał jak przez sen i jak przez sen czynił, co mu kazał głos głuchy, tajemniczy, uchodzący coraz dalej...

Obudził go nagły blask i zimno. Otworzył i oczy w błękitnem świetle dnia, tuż nad sobą ujrzał barczystą postać włóczęgi. Podniósł pokrywę modrzewiowych gałęzi, jaką był młodzieniec przykryty i ciekawie przyglądał się jego nagiemu żołądkowi i biodrom. Wiktor podebrał kolana.

— Czujnie! po warnacku drychniesz! Chwalę, ale czas wstawać. Do wsi daleko, a „marszłuta“ pusta.

Pokrzepiony snem i jedzeniem Wiktor rzeźko wziął się do reparacyi swego liściastego płaszcza i był gotów jednocześnie prawie z włóczęgą, który mył tymczasem kociołek, wiązał węzełek i gasił ogień.

— Przyjdzie wicher i rozdmucha... A las nasza matka! — pouczał sentencyonalnie Wiktora.

— Chcesz, wdziej!.. — dodał nagle, podając młodzieńcowi ciżmy. — Bierz, nie dmij się, mam zapasowe!

Ale Wiktor potrząsnął przecząco głową.

— Przyzwyczaiłem się, dojdę!.. Może we wsi dadzą...

— A jakże!.. Gdyby choć koszulę i portki dali... A co obutki, to już niechybnie ukraść trzeba będzie!

— Pójdę i boso.

— Jak chcesz... Nikt cię nie niewoli!..

W źrenicach włóczęgi zatliły się szydercze ogniki.

— Nawet pop zgodzi się, że jak mus, to niema grzechu! Co?

— A jak was zwać, dziadu? — spytał wymijająco Wiktor.

Włóczęga chwilkę pomyślał.

— A zwij choćby... Wasiliczem. A ciebie?

— Ignac...

— Niech będzie Ignac... A tylko zapamiętaj sobie, że lepiej wieś spalić, niźli wędrowca o nazwisko pytać... Takie jest nasze warnackie prawidło!.. Rzetelny włóczęga nie ma nic, ani rodu, ani plemienia, ma na sobie wór, a kasę... w szynku!

Szli drożyną, gawędząc. Słońce coraz częściej zaglądało na skrętach w cienistą szparę leśnego przesmyku i złociło zieloną koronkę modrzewiowych pławi. Wreszcie wypłynęło ponad drzewa i, niby szeroki brzeszczot ognistego miecza, rzuciło słup swych promieni na drogę między brunatnozielone pobocza puszczy. Szara, więzienna postać starego włóczęgi na koślawych, pałąkowatych nogach oraz młoda, smukła figura Wiktora w stroju leśnego fauna utonęły w rozedrganem świetle i cieple...

DCN





WACŁAW MAKOWSKI

Na temat „Dziejów Grzechu“

I

„Jak kwiat człowiek powstaje i skruszon bywa. — Przemija, jako cień...“

„Gdy raz tę różę zerwę — już jej życia
Wrócić nie zdołam; musi, musi zwiędnąć —
Niechże się jeszcze jej wonią nacieszę,
Póki jest na pniu...“

Na użyźnionej kałem, krwią i krzywdą ziemi rosną kwiaty, róże barwne i pyszne i wonią cudowne; rosną w polu, w ogrodach, w cieplarniach,—nawet w glinianej doniczce w oknie mieszkanka na trzeciem piętrze oficyny starej, schorowanej kamienicy rosną kwiaty. I bywają skruszone...

Dzieje Ewy — to dzieje tego kwiatu —

Ale cóż kwiat jeden? Oto wyrasta on na glebie użyźnionej przez oddawna gnijące łodygi, korony, kielichy innych kwiatów, tych, co dawniej zerwane, lub na pniu zwiędłe, opadłe, w ziemię i błoto wdeptane.

A każdy z nich miał swoją historyę, dzieje swoje, i może grzech swój, tragiedyę swoją. I wszystkie złożyły się w jeden akord olbrzymi człowieczej nędzy i nieszczęścia.

Bo zanim zakwitł i rozkwitł i został zerwany kwiat — Ewa, już były w okrąg inne kwiaty ginące.

Od lat już pan Pobratyński, piękny starzec, szukał bezowocnie posady, od lat już Adolf Horst, filozof, przesiadywał w knajpie, od lat już drżała o jedną, potem o drugą córkę, sama z niezagojonym dramatem w sobie matka Pobratyńska, i ciocia Barnawska, i Leośka, i wszystko dookoła trwało już od lat, może od wieków, może od świata początku, z małą zmianą dekoracyi, kulisów, bez zmiany w istocie.

A przecie każdy z tych ludzi był, jak kwiat, i mógł być pięknym, świętym, boskim kwiatem, i powinien...

Nie chodzi zatem o wielki i bolesny dramat Ewy, chodzi o gorszą tragiedyę życia.

Czemu ten żebrak, co „leży na chodniku przy marmurowych schodach wielkiego gmachu, wyciągnął kule i potworne kikuty. Rozwalił się, jak u siebie w barłogu. Łachmany szare. Twarz potężna, wzgardliwa, oko głęboko nienawidzące... — czemu ten człowiek nie zabija, lecz jęczy, czemu nie łży, lecz błaga?“

Tu tkwi oś powieści, w tej wielkiej życia tragiedyi.

A Ewa? — mniejsza o Ewę.

„Bądźcie pozdrowieni upadli, grzesznicy, obarczeni przez zbrodnie! Pan z wami, zbrodniarze...“

„Jakże można dawać jałmużnę, brud ręki swej, na pożywienie bratu — bliźniemu...“

Czytajcie te pytania, wejdźcie w te wątpliwości, posłuchajcie opowiadania Pochronia, gdy wspomina dziecięctwo, i o nędzy jasnogłowych polnych stokrotek — kwiatów mówi, przeżyjcie szalone godziny rozpaczy, pochylcie się nad arkuszami „norm“, nad strzępami jedwabnych tkanin, nad opuchłemi twarzami pijanych i obłąkanych żebraków, i pomyślcie: „jakże tu iść w swej czystości śród grzechów straszliwych świata?“—a wtedy nie będzie wątpliwości, że mniejsza o Ewę i jej grzech, i jej dramat.

Stara to, znana historya. Faust spotkał Gretchen, wracającą z kościoła, i nie mogła się już modlić — Łukasz spotkał Ewę pomiędzy spowiedzią a komunią, i odszedł od niej stan łaski. Romantyczna Gret-

chen potrzebowała pomocy Mefista, by zejść do więzienia. Ewa miała szatana — życie, gorszego stokroć, bo potężniejszego, niż wszyscy wysłannicy piekielni, aż zeszła na dno.

A zresztą wszystko jedno, dawna historya i znana —

Kwiatem była, bronić się nie umiała, kwitła pyszna, dopóki ten co ją zerwać miał, chciał się jej wonią na pniu cieszyć, a gdy ją zerwał, tak czy inaczej musiała zwiędnąć.

Czemużeś była tylko kwiatem, Ewo? Czemuś nie wzrosła ponad kwiat, czemuś nie była *człowiekiem?*

„Ewa jest to istność, która była, jest i będzie. Jest to kobieta nieśmiertelna“—mówi świadomy hebrajskich źródłosłowów Łukasz. Ale ten sam Łukasz nie jest świadomy tajników duszy ludzkiej i życia, i bez świadomości łamie ową istność—kwiat.

Więc „Dzieje Grzechu“ to dzieje grzechu świata i życia. W życie i w jego nędze patrzył Żeromski zawsze i patrzy teraz. A patrząc, widział kwietną bezradność człowieka i wybrał Ewę, i o niej opowiadał.

Więc ma ona w sobie coś z róży, miłośnie rozwierającej napęczniałe wonią płatki, niby usta nabrzmiałe, pragnące pocałunków, i coś z białości lilii, i z narcyzowego w siebie wpatrzenia, i z upajającej woni nikocyany,co się w dzień zamyka i białe gwiazdy roztwiera nocą — coś z mimozowych złotych kiści — i nic więcej.

A człowiek winien mieć siłę, siłę zwycięzcy, idącego naprzełaj może nawet miażdżącego kwiaty. Człowiek powinien być wielkim.

Ewa nie była takim człowiekiem —

I wszyscy ci ludzie, którzy przeszli przez ogród jej życia, wszyscy ci ludzie nie byli silni.

Szli marzyciele-uczeni, szlachetni hrabiowie, poeci-idealiści, zbrodniarze, niedołężni budowniczowie powszechnej szczęśliwości i rybacy dusz, ale nie było człowieka, zwycięzcy, bohatera, króla. Nie było, bo być nie mogło, bo kędyż takiego człowieka szukać, gdzie on jest, czy jest?

Oto wiązanka kwiatów ludzkich z rozmaitych grzęd wziętych —

Pierwszy, co spotkał Ewę, to Łukasz. „Jestem silnym człowiekiem. Jestem najsilniejszy ze wszystkich ludzi na ziemi!“ Tak mówi Łukasz o sobie, tak kłamie i łudzi się. Bo w czemże ta jego siła? „Opuszczam Panią dobrowolnie, świadomie, w chwili tej, kiedy mógłbym Cię ujrzeć za parę godzin“. — Tragediante.

Wierzy w prawdę, w rzeczywistość swojej siły, mającej się wyrazić w tem, że odwleka chwilę zerwania kwiatu, odwleka po to, by koniec końcem później, w innym momencie, zerwać, uledz, a potem bezradnie uledz życiu, kraść, i być jak dziecko niezaradne wobec życia.

Daje się opętać żądzy, którą potrafi wspaniałemi słowami podnosić do godności jedynej wielkiej prawdy, mądrości, filozofii życia. A potem bezwolnie daje się targać falom żywota, łudząc się, że on nad niemi panuje, włada.

Świadomie i samowolnie nie zdobędzie się na rzucenie światu rękawicy, na połamanie małżeństwa, a skoro pchnięty żądzą ulegnie jej, to ulegnie ze wszelkiemi konsekwencyami porażki; wszystkich filozofów świata, od dzikich i półdzikich Australijczyków do mędrców Talmudu, filozofów greckich i nowożytnego Zaratustry, powoływać będzie na uświęcenie swojej zwykłej ludzkiej miłości i żądzy szczęścia. Będzie się czołgał u stóp Rzymu-Kościoła, w który nie wierzy i którego nienawidzi, a nie umie stanąć jemu wbrew. Będzie o swojej dla Ewy miłości pisywał listy piękne, a zostawi ją beztroskliwie wówczas, kiedy najbardziej będzie jej potrzebny. I ten człowiek nazywa siebie najsilniejszym z ludzi —

A obok hrabia Szczerbic, szlachetny hrabia, upajający się własną szlachetnością, powstałą na tle piękności Ewy. Gdyby Ewa nie była tak piękna, szlachetny hrabia nie pomyślałby zapewne wcale o szlachetności i pozostałby tym samym wykradającym cudze listy młodzieńcem. Tak zaś słowo dał i słowa dotrzymał, aż do końca prawie, aż znowu do chwili, póki nie nastąpiła zbyt ostra kolizya pomiędzy ponętą, jaką on kwiat wokrąg siebie roztaczał, a obowiązkami hrabiowskiej szlachetności; a wtedy nastąpiła rozterka, rozterka bolesna, któraby się wnet ze szkodą teoryi skończyła, gdyby nie opór Ewy.

To znów Jaśniach, Bandos, poeta, papierowe bomby rzucający w kołtuństwo, oddawna i bez skutku—Jaśniach w jakieś złote marzenia wielkości człowieczego ducha wpatrzony. Potrafi on sam jeden może w stosunku do Ewy zachować obojętność siły nadziemnego ducha, a może właśnie słabości schorowanego ciała. Ale cóż, kiedy ten słońce z niebiosów zrywać pragnący jest igraszką fortuny zielonego stołu w Monte Carlo. Cóż, kiedy tego człowieka, co marzy o wielkim przetworzeniu duszy człowieczej, o tem, że człowiek sam w sobie życie ludzkości przeżyć powinien, sam ludzkością się stać, tego Jaśniacha

poznajemy w tawernie pod domem gry, przykładającego rewolwer do skroni, a kilka tysięcy franków wracają mu życie, i, gdyby nie te kilka tysięcy, zginąłby święty prorok światłości.

Inny marzyciel szlachetny — Bodzanta. Spadkobierca Tomasza Moore'a, ogrodnik kwietnego sadu, w którym będą mogli swobodnie przekwitać ludzie—kwiaty. Marzenia ma piękne, ma dobrą wolę, w konstrukcyi tych marzeń pomagają w księgach zatopieni idealiści. I oto zasadził ogród kwietny, oto na stokach gór kieleckich, ze złomów marmuru wybudował kościół dziwny, nowy, niedokończony. — Tylko na wszelki wypadek zarezerwował dla córki niewielki kapitał, tylko zapomniał, że dzieło jego tak piękne, tak szczęściodajne umrzeć musi wraz z nim, bo nie potrafił dać mu podstaw życiowych, „hypotecznie marzeń swoich obwarować". I więcej jeszcze: ten wielki opiekun i Chrystusowy nosiciel przebaczeń dla „nadłamanych trzcin", znajdzie jeszcze, obok zarezerwowanego dla córki kapitału, również zarezerwowaną dla Ewy starczą żądzę, nałożnicę „sekretną" uczyni z Ewy, sam swoim marzeniom niedołężnie kłamiąc.

I wszyscy są tacy—okłamywacze, marzyciele, cienia realizatorskiej mocy w sobie niemający, mali, niedołężni, słabi.

I wszyscy oni, tak albo inaczej, wyciągają ręce po bezradny kwiat Ewę, gniotą piersiami jak Łukasz, otaczają parną atmosferą tłumionych pożądań, jak Szczerbic, zamykają w szpitalnym pokoju chorego, jak Jaśniach, wciągają w wir sekretnych rozkoszy, jak Bodzanta.

Wszystkich ich stworzyło życie, tak samo, jak stworzyło Ewę, i wszyscy oni, pomimo tych zabłąkanych w ich duszach promieni jasności, marzycielskich zdążań ku przyszłości, wszyscy, miast piękno i szczęście tworzyć wokrąg siebie, tworzą nędzę i krzywdę i rozpacz, bo wszystkich pęta brak twórczej siły, bo żaden z nich nie jest realizatorem, nie jest „napoleonem" w swoim zakresie, jak powiedziałby Mickiewicz.

MICHAŁ MARYAN POZNAŃSKI

Z tryoletów

AKT WIARY

Całą purpurą ludzkich serc rozpaczy
U stóp Twych płoną myśli mojej znicze;
Hołdem dla Ciebie drży mój płaszcz tułaczy
W krwawej purpurze ludzkich serc rozpaczy.
Czasem się w górze błyskawicą znaczy
Tajemnic pełne, mroczne Twe oblicze,
A u stóp Twoich w łunie serc rozpaczy
Wiecznie goreją myśli mojej znicze.

AKT MIŁOŚCI

Drży moja dusza, jak ofiarna świeca,
Przed Tobą, wielki, chmurny Adonai;
Pod Twoją dłonią, co pioruny wznieca,
Drży moja dusza, jak ofiarna świeca.
Pod Twoją dłonią, która świat ukwieca,
Lęk się i zachwyt w mojem sercu czai...
Drży moja dusza, jak ofiarna świeca,
Przed Tobą, wielki, chmurny Adonai.

AKT NADZIEI

Ufam, że w niebios przepaść lazurową
Zapadną wszystkie żale i tęsknoty
I Twoje stopy opłyną, Jehowo,
Tam, nad niebiosów tonią lazurową.
Omdleją światy. Twe mocarne słowo
Zatrzyma w biegu gwiezdne kołowroty, —
A nad niebiosów ciszą lazurową
Mgłą srebrną zasną żale i tęsknoty.



ANTONI SZECH

Z nad świeżej mogiły

(z powodu śmierci ks. Edwarda Miłkowskiego)

Zdjęto go z drzewa — i złożono w grobie cichym — na cichym wiejskim cmentarzu — gdzie sosny szumią stare — i smutne płaczą brzozy.

I szaty kapłańskie wdziano nań do trumny — i na ziemi poświęconej — choć samobójcę — złożono —

Wobec okrutnej tragiedyi jego losu i bezmiaru cierpienia w jego śmierci — nie śmieli pastwić się już nad jego trupem — ci, co mu goryczy nie szczędzili za życia —

I ci, co kamienie mieli tylko dla niego — szyderstwa — obelgi — zniewagi — pogardę — zamilkli wobec tej trumny — jakby wyrzut sumienia odezwał się w nich i zatargał im duszą — Ten i ów tylko — z tych, w których ani odrobiny ludzkiego nie zostało serca — ani krzty ludzkiej duszy — błotem cisnęli na ten grób smutny —

Ale czemuż aż tyle trzeba było — by ludzką w nas duszę rozbudzić? — Czemuż, dopóki żył on, — tak okrutni byli dla niego wszyscy? — Czemuż wtrącano go w tę otchłań — rozpaczy? — Kto winien temu? —

On zapewne! —

Powinien był mężnym być, — tembardziej, jeżeli do walki stanął i do takiej walki — powinien się na cierpienia w stal duchowej

mocy przyodziać — a ludzką pogardę w tejże mieć cenie — co chwałę i cześć — Powinien był w granit zmienić swą duszę — i w spiż zakuć serce, — by nie jęknęło — nigdy — by nie zapłakało ani razu — Powinien był iść — naprzód — kędy zamierzył — i wiedzieć, że pójdzie samotny — i to osamotnienie swoje ukochać —

I nie pragnąć serc ludzkich — ani ludzkiego współczucia — ni żadnej dłoni — przyjaznej — ni piersi bliskiego kogoś — by spocząć — w chwili, gdy zbyt ciężko sercu —

Więc on był winien —

Ale czemuż tak bezlitosne i bez serca było dlań społeczeństwo? —

Wolno było nie podzielać poglądów jego — dążeń jego — można było potępiać przedsiewzięcia jego — można było zwalczać jego zamiary — i walkę z nim toczyć — jeśli się widziało, że szkodliwą praca jego — To wszystko wolno — Ale pogardą okryć człowieka — za to, że śmiał przekonania mieć swoje — za to, że śmiał myśleć inaczej, niż wielu — — To się nie godziło —

Ale cześć mu odebrać, — ale obrzucić go błotem, by bezmyślny tłum oburzyć na niego — i wpływ mu uniemożliwić — to było wstrętne i podłe — Ale odmówić mu odrobiny litości ludzkiej w sercu — i kawałka chleba nieledwie, — by go do rozpaczy doprowadzić — to nieludzkie —

Jak to — ksiądz — mówią — i zdradził Kościół i odstąpił odeń? — Tak — ale to było jego przekonanie — Chciał służyć Kościołowi i został kapłanem. — Potem — po wielu bolesnych walkach i zawodach, po rozdzierających chwilach wewnętrznego konania, zwątpił o Kościele — więc miał odwagę i uczciwość wystąpić — Faryzeuszem — obłudnikiem być nie chciał, jak tylu — tylu, co bardziej może, niż on, wątpią, ale stanowiska i chleba zdobytego nie opuszczą — i żyją w kłamstwie — On za szczery był i za uczciwy —

Można było ubolewać, że stało się tak, — że on dawniejszą swą utracił wiarę, z którą mu pewnie i samemu było lepiej — Można było wpływ jego i pracę przeciw Kościołowi zwalczać — Ale prawości jego cześć oddać należało — Gardzić nim — i potępiać go — nie — —

Żądamy tolerancyi dla przekonań naszych. — Ileż to skarg było, żalów — na ucisk sumienia — Czemuż sami uszanować nie umiemy przekonań innych? — I ksiądz jest człowiekiem — myśli — myśleć mo-

że — i nieraz musi — a skoro myśleć może — więc i przekonania swe zmieniać —

Dzieckiem nieledwie kapłanem został — cóż dziwnego, że potem zmienił przekonania — i że konsekwentnym być chciał — i w zgodzie z sobą —

Potępili go katolicy — to zrozumiałe — i dziwić się niemożna nawet — zwłaszcza, że zawsze mało jest takich, którzyby naukę Chrystusa — „nie sądźcie“ — wzięli do serca i to zalecenie — „nadewszystko miejcie miłość“ — wcielili w życie. — Ale jak niegodnie postąpili wobec niego — i ci inni, — co o postępie mówią — co zasady liberalne głoszą — co sami na nietolerancyę się uskarżają — „Były ksiądz“ — to postrach i dla nich — Oni — choć nie wierzą sami — ale zanadto liczą się z opinią tych innych — i kompromitować się nie chcą — Zresztą zanadto nienawidzą księży, by kiedykolwiek przebaczyć mogli księdzu, że był księdzem. Sam rozmawiałem w swoim czasie o zmarłym z pewnym postępowym redaktorem, który mi powiedział, że przyjmie jego poezye do druku — chyba jeśli swojem nazwiskiem ich nie podpisze — Cóż powiedzą, jeśli on w swem piśmie poezye eks-księdza drukować będzie — —

Zaiste smutny to stan społeczeństwa — gdzie najprostsze zasady tolerancyi tak są nieznane — Znosi się obłudników — czci się nieraz faryzeuszów — chwali się kłamców — ale uniemożliwia się wprost życie tym — co śmią mieć własne przekonania — i w imię przekonań tych żyć i pracować — Jakże tu mówić o kulturze — o dążeniu naszem do rozwoju — o przyszłym cywilizacyjnym postępie Polski? — Cóż ten postęp pchnie naprzód — jeśli u nas myśleć niewolno i mieć własnych przekonań niewolno? — Kiedy u nas każdy musi mieć etykietę jakąś na sobie, już uznaną i mającą prawo obywatelstwa — A temu biada, co wszystkie patentowane etykiety zedrze — i swoje własne *ja* nosi na czole swojem — Kiedy u nas w powszechnej społecznej maskaradzie każdy w masce jakiejś być musi, uznanej już i przyjętej —

U nas dla ludzi, co chcą naprawdę być sobą, miejsca niema. A przecież właśnie tacy ludzie tworzą przyszłość.

Niekażdego los popchnie aż w taką otchłań rozpaczy, jak tego, o którym piszę, bo w podobnych warunkach zresztą rzadko się kto znajdzie — ale ileż u nas wycierpieć musi każdy człowiek, co przeko-

naniom swoim chce być wiernym — A jednak my mamy czoło skarżyć się, że względem nas nietolerancyjnie postępują inni—i szczycić się cywilizacyą — — Zaiste, małomiasteczkowa to cywilizacya!

I oto dzięki tej „tolerancyi“ naszej padł w walce życia — pod stosem obelg — nienawiści — pogardy — i niegodnych oszczerstw — człowiek w każdym razie wielkich zdolności i szczerze rwący się do pracy i czynu — Padł w wiośnie życia, dwadzieścia kilka lat licząc zaledwie — Padł, bo mu „cywilizowane“ i „tolerancyjne“ społeczeństwo nasze pracę i życie uczyniło niemożliwem. Padł wdodatku — z duszą łez pełną — a z sercem goryczą i bólem wezbranem — A przecież cóż łatwiejszego mu było, jak faryzeuszem zostać — komedyę grać — udawać? — Wtedy po rękachby go całowano, a przy zdolnościach wszystkie urzędy były mu otworem —

To takie było proste! Więc słuszna spotkała go kara —

Kłamać nie chciał — więc czyż godzien był żyć w społeczeństwie, które chce, by kłamano, i które kłamców tylko i tchórzów chwali — i kocha —

Tak — on śmiał być szczerym. Więc — śmierć mu —

Wiem, że tem, co piszę, ściągnę gniew na siebie i różne insynuacye, toteż nie ze strachu, ale — bym nie był źle zrozumiany — dodaję —

Nie podzielałem przekonań tego, o którym tu piszę — W pierwszym numerze „Protestu“ znajduję urywki listu mego do redaktora, z którym redaktor polemizuje — Piszę powyższe słowa, bo zbrodnia, której się dopuściło społeczeństwo nasze na nieszczęsnym, stwierdzoną być powinna — Sumienie społeczne do porządku dziennego przejść nad nią niema prawa. To czarna — z krwi zakrzepłej — na niem plama. To także „bandytyzm“ – bandytyzm społeczny, gorszy od zwyczajnego, co godzi w sam korzeń kulturalnego rozwoju narodu —

Piszę także, by cześć oddać człowiekowi, co cierpiał wiele — i co śmiał szczerym być i za przekonaniem iść swojem, choć tych przekonań jego nie podzielam —

I kłamstwem i faryzejstwem w życiu się brzydził — Cześć mu za to —

A tym hańba, co mu duszę napoili jadem i w otchłań go wtrącili rozpaczy —



ODROWĄŻ

Wywłaszczenie

A więc tryumf, tryumf na całej linii!.. Pruska Izba panów przyjęła 143 głosami przeciw 111 uchwałę o wywłaszczeniu bez żadnych zmian, tak jak ją wydał sejm. Wszelkie zmiany, poczynione w pierwotnym projekcie przez komisyę — upadły. Przyjęto wprawdzie wniosek Wedela, opiewający, że od wywłaszczenia wolne być mają grunty, które od lat dziesięciu nie zmieniły właściciela, ale uchwalenie późniejszego wniosku Adickesa pogrzebało zupełnie i to ograniczenie.

Dzień ostatecznej walki zastał cały aparat rządowy pod bronią. Stanęli do apelu wszyscy ministrowie pruscy. W loży dworskiej ukazał się następca tronu, by widokiem swoim podtrzymać walczących w obronie zagrożonej ojczyzny patryotów. Mogli więc mieć pewność, że zapał ich będzie należycie oceniony. Najgorliwszy był pan Adickes, nadburmistrz frankfurcki (hasło bojkotu nie wydało się widać zbyt groźnem niemieckim sferom przemysłowym), który zachowywał się nie jak poseł, ale jak zażarty ajent rządu. Rywalizował z nim godnie jakiś „baron von Tschammer". Przedstawiwszy się Izbie, jako „wierny wasal jego Królewskiej mości", oświadczył się jednak przeciw ustawie ze względu na zasadę nietykalności własności. Natomiast oświadczył, że należy rządowi *dodać* kilka milionów jeszcze na walkę z Polakami, byle walkę tę prowadzono inaczej. Pan von Tschammer

podał sposób niezmiernie prosty: należy raz nazawsze tak Polaków, jak i Duńczyków pozbawić wszelkich stowarzyszeń, istniejące już — rozwiązać, zakładania nowych jaknajsurowiej zabronić. Zaś wszystkich polskich działaczów, agitatorów skazać na dożywotnie ciężkie więzienie. Wtedy będzie spokój. Odnośną uchwałę *powinien* wydać parlament, bo „od czegóż jest on nareszcie, jeśli nawet takiej rzeczy niemożna od niego zażądać!"

Znamiennem jest, że ustawa o wywłaszczeniu przyjętą została w Izbie panów w tej właśnie formie, w której chciał ją mieć rząd. Przeciwników było wielu, a jednak głosowanie przyniosło znaczną mniejszość niechętnych. „Berliner Tageblatt" stara się uchylić zasłony tej zagadki i daje do zrozumienia, że śród intryg zakulisowych przeprowadził Buelow jeszcze jeden targ z konserwatystami: obiecał im, że w sprawie projektu reformy ordynacyi wyborczej do sejmu pruskiego życzenia konserwatystów będą najszerzej uwzględnione...

Jakkolwiekbądź, w Izbie panów zarysowały się wyraźnie dwa obozy. Przedstawiciele starych rodów, wyższych sfer szlacheckich oraz wielu wysokich (byłych i czynnych) dygnitarzy państwowych — to przeciwnicy projektu rządowego. Zaś sojusznikami rządu byli przedstawiciele burżuazyi, „uczeni", bankierzy. Głosowali więc za projektem między innymi: prof. Schmoller, bankier Mendelsohn, hrabia Eulenburg i t. d. Między przeciwnikami widzimy ks. Fuerstenberga (osobisty przyjaciel Wilhelma), marszałka hr. Haeselera (najwybitniejsza pruska znakomitość wojskowa), księcia Günthera szlezwicko-holsztyńskiego (brat cesarzowej), ks. Hohenlohe i t. d. Nawet kardynał Kopp, nawet ten zdeklarowany hakatysta, umiał być rozsądnym i, zezując żałośnie w stronę loży dworskiej, skreśliwszy wymownie cały ból serca, które, jako „wierne królowi i państwu", musi zawsze „ciężko odczuć, jeśli trzeba coś odmówić rządowi", — nawet kardynał głosował przeciw projektowi. Ale Kopp miał za sobą centrum, pamiętające jeszcze dobrze „Kulturkampf", miał i dyecezyan polskich, musiał więc zdecydować się na „ból serca", by uniknąć ostatecznej kompromitacyi.

Nie żaden też sentyment skłaniał junkrów, zasiadających w pruskiej Izbie panów, do głosowania przeciw projektowi rządowemu. Wielka własność ziemska we wschodnich dzielnicach państwa zaczyna coraz bardziej cierpieć na brak rąk do pracy na roli. Do zwiększania się tego dotkliwego braku przyczynia się bezpośrednio — polityka ko-

lonizacyjna rządu pruskiego. Zaś na patryotyzm, będący jednocześnie zamachem na kieszenie, nie zgodzą się nawet najpatryotyczniejsi z junkrów.

Komisya Izby panów wydała urzędowe sprawozdanie z obrad swoich nad projektem ustawy o wywłaszczeniu. W sprawozdaniu tem znajdujemy niezmiernie ciekawe i charakterystyczne dane o stosunkach, panujących w dzielnicach polskich.

Sprawozdanie wymienia cztery przyczyny, które miały skłonić rząd do wniesienia wymienionego projektu, a więc: 1) zachowanie się ludności polskiej; 2) ciągłe zmniejszanie się ludności niemieckiej w dzielnicach polskich wskutek emigracyi; 3) zwiększająca się ilość zgłoszeń kolonistów niemieckich; 4) niemożliwe stosunki w handlu ziemią.

Najciekawsze sprawy porusza ów punkt 2-gi. Sprawozdanie twierdzi, że w ciągu dziesięciolecia 1896—1906 z rąk niemieckich w polskie przeszło ziemi o 75000 h. więcej, aniżeli z rąk polskich w niemieckie. Dane co do stanu posiadania w gminach i obwodach dworskich z lat 1905 — 1907 świadczą, że niemieccy właściciele pozbywają się ziemi. Drobna własność polska w ciągu lat 1905 — 1907 wzrosła o 5639 h., zaś takaż własność niemiecka w tymże okresie zmniejszyła się o 8628. Wielka własność polska zmniejszyła się w tym czasie o 1886 h., a wielka własność niemiecka o 26946 h. Tu dodać należy, że w okresie tym komisya kolonizacyjna nabyła z rąk niemieckich 126 dóbr rycerskich, zaś z rąk polskich tylko 26.

Weźmy teraz ogólną statystykę ludności. Zestawiając spis ludności z r. 1900 i z r. 1905, widzimy, że ludność polska wzrosła o 58785 głów, zaś ludność niemiecka w tymże czasie o 42880. A więc przewaga przyrostu ludności polskiej wynosi 16000.

Liczba Polaków na wsi wzrosła z 560131 do 590913, a więc przyrost wynosi 30782. Zaś ludność niemiecka na wsi wzrosła z 324810 do 334390, a więc przyrost wynosi tylko 9580. Obszary dworskie pod względem przyrostu ludności pomyślniej się przedstawiają dla niemczyzny.

A teraz miasta. W tym samym okresie czasu ludność niemiecka miejska wzrasta o 6,46%, a ludność polska o 11,3%. Oto bezpośrodni rezultat działalności komisyi kolonizacyjnej.

Statystyka zawodów i przedsiebierstw (Berufs—und Betriebsstatistik) z 12 czerwca 1907 również stwierdza ciągłe zmniejszanie się lu-

dności niemieckiej. Obliczenia tej statystyki wykazują, że w prowincyi Poznańskiej, w ciągu półtora roku, w gminach wiejskich ludność zmniejszyła się o 40000. Sprawozdanie komisyi Izby panów przypuszcza, że w tych 40000 więcej, niż połowa, przypada na Niemców. Jeśli zaś przypomnimy sobie, że komisya kolonizacyjna (opieramy się na dotychczasowej praktyce) w ciągu 3—4 lat osiedla na obszarze 70000 h. od 20 do 25 tysięcy kolonistów, a w ciągu półtora roku zaledwie z prowincyi Poznańskiej emigruje przeszło 20000 Niemców, — to nadzieje, pokładane przez rząd niemiecki w skolonizowaniu 70000 h., nie zdają się opierać na zbyt silnych podstawach.

Przyczyny emigracyi ludności niemieckiej z ziem polskich widzi sprawozdanie przedewszystkiem w niezadowoleniu Niemców, nie kolonistów, ale zdawna osiadłych. Ostatnich upośledza się niejako na rzecz nowych przybyszów. Koloniści korzystają z ulg i przywilejów, dawni mieszkańcy ponoszą jeno ciężary nowego systemu — tu należy zmiana w stosunkach szkolnych i kościelnych, koszty przeprowadzania nowych dróg i t. d. — Rządowy memoryał o komisyi kolonizacyjnej (20 Jahre deutscher Kulturarbeit) dowodzi, że koloniści przyczynili się w znacznej mierze do wzrostu podatków bezpośrednich. Jednakże ściśle przeprowadzona statystyka w powiatach, kolonizowanych, kolonizowanych mało i niekolonizowanych wcale, wykazuje, że koloniści nie wywarli żadnego wpływu na sumę podatków zarówno pośrednich, jak bezpośrednich.

Ludność niemiecka, zdawna osiadła w prowincyach polskich, widzi, że gwałtowne popieranie kolonizacyi przez rząd dzieje się z jej krzywdą. Jeśli dodamy do tego zupełne zdemoralizowanie handlu ziemią, spekulacye, podbijanie cen i t. d.; jeśli dodamy do tego lęk, że ustawa o wywłaszczeniu może się stać zczasem groźną nietylko dla Polaków, — zrozumiałe będzie zupełnie, że chłop i robotnik nie chce cierpieć „dla idei“ i ucieka z ziem polskich, zniechęcony przez gospodarkę kolonizacyjną.

Wieś wyludnia się, a brak rąk do pracy nie mógł junkrów skłonić do popierania ze zwykłym zapałem projektu rządowego.

LEON WASILEWSKI

Po wyborach sejmowych

Wybory dobiegły końca. Bodaj że nigdy jeszcze nie było tak nudnych, tak mało ożywionych, z tak rozpaczliwą obojętnością traktowanych przez ludność wyborów sejmowych, jak obecne. Trafnie też przezwano je „zaspanymi" wyborami. Nawet krzyczących nadużyć, jakie cechują normalne „wybory galicyjskie", nie było tym razem tak dużo. Zaledwie jednego chłopa na Rusi zabito!... I to nie przy wyborze posła, lecz podczas prawyborów. Gdyby nie zacięta walka, jaką stoczyły wszystkie stronnictwa we Lwowie z Narodową Demokracyą, nie byłoby żadnego epizodu, jako tako zabarwiającego mdłą szarzyznę akcyi wyborczej, przeprowadzonej na tle dogorywającej, przez wszystkich potępionej ordynacyi dotychczasowej.

Tryumfować naprawdę mogą tylko dwa stronnictwa: ludowcy i moskalofile rusińscy. Pierwsi urośli do grupy poważnej 19 posłów, zdobywając czternaście nowych mandatów. Drudzy wchodzą do sejmu w liczbie 10-ciu, kiedy poprzednio mieli zaledwie trzy mandaty.

Ponieważ w artykule poprzednim obiecałem omówić charakterystyczną zmianę, jaka zaszła w stosunku partyj polskich do rusińskich, przeto zwrócę się odrazu do wytłumaczenia zagadkowego zwycięstwa moskalofilów.

Stosunek Polaków do Rusinów w Galicyi ulegał w ciągu lat kilkudziesięciu stopniowej ewolucyi, zawsze jednakże posiadał pewien rys znamienny. Jeśli bowiem pominiemy dawno przebrzmiałe hasło „Niema Rusi — jest tylko Polska i Moskwa!", to zobaczymy, że wszystkie obozy polskie uważały za obowiązek narodowy zwalczanie przeciwników samodzielnego rozwoju Rusinów, jako odrębnego organizmu etni-

cznego. Bez względu na takie czy inne traktowanie potrzeb narodowych Rusinów, wszystkie partye polskie stały niewzruszenie na stanowisku, że tylko z Rusinami—narodowcami można mówić o jakichkolwiek ustępstwach, i że Rusinów—moskalofilów należy zwalczać bezwzględnie. Gdy szło o faktyczne robienie ustępstw Rusinom, czyniono je w myśl tendencyj narodowców, usuwając tem samem grunt z pod nóg moskalofilów.

I istotnie potężny niegdyś ruch moskalofilski w Galicyi kurczył się i topniał z roku na rok, z dnia na dzień. Każde zarządzenie, rozszerzające prawa języka rusińskiego w sądzie lub urzędzie, każde nowe gimnazyum rusińskie, każda nowa katedra rusińska na uniwersytecie lwowskim zadawały ciosy dotkliwe moskalofilstwu galicyjskiemu — tej roślince, hodowanej sztucznie i tracącej wszelkie szanse rozwoju w miarę ugruntowywania się ogólnoukraińskiej świadomości narodowej śród Rusinów.

O ile sfery urzędowe uznawały za konieczne brać w obronę Rusinów, czyniły to zawsze na korzyść żywiołu ukraińskiego. Moskalofilów traktowano jak wrogów, jeśli się tak można wyrazić, potrójnych. Ciążyli oni do Rosyi, więc byli separatystami względem idei państwowej austryackiej. Z tegoż samego powodu byli traktowani, jako nieprzejednani wrogowie Polski. Byli zwolennikami prawosławia, a więc przeciwnikami katolicyzmu. Jednem słowem, wszystkie względy natury polityczno-narodowej nakazywały partyom polskim zwalczanie moskalofilów, i lat temu dziesięć na polityka polskiego, któryby propagował popieranie moskalofilów przeciwko Ukraińcom, patrzanoby, jak na zdrajcę lub człowieka niepoczytalnego.

Tymczasem właśnie w ostatniem dziesięcioleciu stosunek wzajemny Polaków i Rusinów począł ulegać zmianom. Kwestya rusińska nabierała cech, które jej dawniej były obce. Z zagadnienia społecznego o barwie narodowościowej przekształciła się ona na zatarg narodowo-polityczny *par excellence*. W miarę zdobywania coraz to nowych koncesyj w dziedzinie praw narodowych, koncesyj, czynionych przez konserwatywną szlachtę polską, która w ten sposób chciała zabezpieczyć swe społeczne przywileje na Rusi, wzmaga się siła inteligiencyi rusińskiej. Rosnąc liczebnie, narodowa inteligiencya rusińska, wysuwa hasła nacyonalizmu, dążącego do zupełnego wyparcia Polaków z Galicyi Wschodniej. Jednocześnie występuje na widownię nacyona-

lizm polski, głoszony przez Narodową Demokracyę. Starcie się tych dwóch nacyonalizmów zaognia niesłychanie stosunki polsko-rusińskie. Inteligiencya narodowo-demokratyczna, rekrutująca się przeważnie z kół urzędniczych i zawodowych, broniąc polskiego „stanu posiadania" na Rusi, poczyna imać się zupełnie nowych środków walki z Rusinami Kiedy dawniej szlachta, skłonniejsza do czynienia koncesyj narodowych, niż społeczno-politycznych, opierała się jedynie na gwałcie i przemocy władz administracyjnych, inteligiencya narodowo-demokratyczna wciąga do walki z Rusinami szerokie koła ludności polskiej na Rusi i występuje jaknajostrzej właśnie przeciwko koncesyom narodowym. Ta to inteligiencya odkrywa na Rusi przeszło milion polskiej ludności chłopskiej i rozpoczyna ogromnie energiczną pracę uświadamiania jej pod względem narodowym. Zakładanie szkół polskich, czytelni, bibliotek po ulegających rutenizacyi koloniach mazurskich, urządzanie odczytów, wycieczek do Kalwaryi via Kraków, szerzenie specyalnych wydawnictw rusinożerczych, budowanie kaplic i kościołów łacińskich — wszystko to skierowuje walkę polsko-rusińską na nowe tory. Strajki chłopskie, organizowane przez Rusinów, pozwalają Narodowej Demokracyi pociągnąć i szlachtę do pracy, uświadamiającej wschodnio-galicyjski lud polski. Szlachta bowiem, zagrożona w swych interesach ekonomicznych, daje sobie wmówić, że polscy chłopi, uświadomieni narodowo, nie połączą się ze strajkującymi Rusinami. Walka chłopów rusińskich z polską szlachtą przekształca się bardzo szybko na walkę dwóch obozów nacyonalistycznych, nieprzebierających w środkach walki. Rusinożerczemu „Słowu Polskiemu" sekunduje polakożercze „Diło". Różni Budzynowscy i Petryccy otwarcie głoszą konieczność wyrżnięcia lub wytopienia „Lachów", z czego bardzo sprytnie korzystają politycy narodowo-demokratyczni. Orgia walki dwóch nacyonalizmów przybiera coraz ohydniejsze rysy. Dość tu przypomnieć krwawe burdy na uniwersytecie lwowskim, solidaryzowanie się polityków rusińskich z hakatą pruską i t. p.

Zwalczając dążenia narodowe Rusinów, zagrażające polskiemu „stanowi posiadania" w Galicyi Wschodniej, narodowi demokraci wcześniej czy później musieli zwrócić sympatye polityczne ku moskalofilom. Już w „Przeglądzie Wszechpolskim", w artykułach p. J. L. Popławskiego, spotykamy się z nieśmiałemi próbami zwrotu w tym kierunku. Próby były nieśmiałe, ponieważ chodziło tu o zerwanie z tra-

dycyą kilkudziesięcioletnią. Z czasem jednakże poczęto się odzywać w tym duchu coraz śmielej.

Narodowi demokraci i moskalofile posiadają jeden cel wspólny, jakkolwiek wychodzą z założeń wręcz odmiennych. Obydwom grupom chodzi o złamanie narodowego ruchu ukraińskiego, który narodowym demokratom przeszkadza rozszerzać polski „stan posiadania" na Rusi, moskalofilom zaś utrwalać rosyjskość. Stąd krok tylko do formalnego sojuszu dwóch tych antyukraińskich żywiołów. Narodowi demokraci rozumieją, że poparcie ruchu moskalofilskiego odbije się niekorzystnie na postępach Ukraińców, wnosząc do obozu rusińskiego rozdwojenie. Z drugiej znów strony ciż sami narodowi demokraci rozumieją, że propagowana przez moskalofilów rosyjskość gruntu na Rusi galicyjskiej nie ma, poważnie rozwinąć się nie może i Polakom żadnem niebezpieczeństwem nie grozi. I oto p. Buzek, narodowo-demokratyczny poseł ze Lwowa, podnosi myśl uznania jednego z głównych postulatów partyi moskalofilskiej: ogłoszenia języka rosyjskiego w Galicyi za krajowy.

Prasa narodowo demokratyczna poczyna gorąco popierać moskalofilów, udowadniając, że jest to żywioł rozsądny, poważny, trzeźwy i t. d. Argumentacya ta bardzo przypada do gustu wszystkim żywiołom konserwatywnym, ponieważ maskalofile społecznie są partyą reakcyjną, obcą demokratyzmowi Ukraińców. Moskalofile ze swej strony też zaczynają kokietować Polaków — w prasie i w parlamencie wiedeńskim, gdzie posłowie „rosyjscy" biorą udział w manifestacyjnym proteście przeciwko Prusom z powodu wywłaszczenia Polaków.

Nie będę tu śledził krok w krok tej ewolucyi, jaką da się wyczuć w stanowisku galicyjskiej prasy konserwatywnej i nawet demokratycznej względem partyi moskalofilskiej. Dość tego, że podczas ostatnich wyborów sejmowych tak sfery rządzące w Galicyi, jak i poszczególne stronnictwa polskie na Rusi po raz pierwszy popierały przeciwko Ukraińcom moskalofilów. I tem się tłumaczy ich zwycięstwo. Kiedy narodowcy rusińscy zdobyli 8 mandatów, moskalofilów wybrano 10. Narodowcom przybył zaledwie 1 mandat, moskalofilom — 7.

Zwycięstwo moskalofilów nie jest bynajmniej wynikiem jakiegoś nagłego wzmożenia się prądów moskalofilskich wśród ludności rusińskiej. Moskalofile i teraz, tak samo jak uprzednio, stanowią grupę bardzo słabo liczebnie, utrzymującą się na powierzchni sztucznie, dzięki okolicznościom, nic wspólnego niemającym z naturalnym rozwo-

jem społeczeństwa rusińskiego. Ale tym razem kandydatów moskalofilskich popierały konserwatywne i narodowo-demokratyczne żywioły polskie — i w okręgach, gdzie przy powszechnem głosowaniu do parlamentu wybierano olbrzymią liczbą głosów Ukraińców, teraz powychodzili ich przeciwnicy. Przytoczę dane cyfrowe z paru okręgów.

Oto np. w okręgu posła do parlamentu, Ukraińca radykalnego, Trylowskiego, przy wyborach parłamentarnych padło na kandydatów ukraińskich 37000 głosów, gdy moskalofil rusiński i polski konserwatysta razem otrzymali około 9000 głosów. Przy wyborach do sejmu na tem samen terytoryum, stanowiącem dwa okręgi wyborcze, wyszli dwaj moskalofile. W okręgu zbaraskim przy wyborach do Rady państwa w r. 1907 kandydat moskalofilski zdobył zaledwie 2 tysiące głosów na 30 oddanych. Obecnie z tego okręgu za wpływem pana starosty wszedł do sejmu moskalofil. Przestarzała ordynacya wyborcza (jawne, pośrednie głosowanie) umożliwia takie niespodzianki, nic wspólnego niemające z rzeczywistem usposobieniem ludności. Wobec takich wyników wyborów na Rusi, w sejmie lwowskim po raz pierwszy zjawia się nowa grupa narodowościowa — „Klub rosyjski“. Wprawdzie i dawniej w sejmie lwowskim zasiadali moskalofile, lecz byli to ludzie nieco innego typu w porównaniu z takim d-rem Dudykiewiczem, który obecnie staje na czele „Rosyan“ sejmowych. Moskalofile dawnego pokolenia różnili się od Rusinów-narodowców tylko większym konserwatyzmem i otwartą niechęcią do „chłopskiego“ języka rusińskiego. Jednakże, marząc o zlaniu się kiedyś z Rosyą, w swej działalności sejmowej musieli liczyć się z realnemi potrzebami ludności, która ich wybrała, i popierać postulaty narodowców w dziedzinie rolnictwa, rozszerzenia praw języka rusińskiego w sądzie i urzędzie i t. d. Dudykiewicze stoją na zupełnie innem stanowisku. Są to otwarci nacyonaliści rosyjscy, domagający się uznania języka rosyjskiego w Galicyi za krajowy, szkół rosyjskich, katedr rosyjskich na uniwersytecie lwowskim i t. d. To, co dla moskalofilów starej daty było marzeniem, ukrytem na dnie serca, nowe pokolenie moskalofilskie traktuje jako program polityki realnej. Jakie będą skutki tego pozornego popierania moskalofilów przez polskie sfery konserwatywne i narodowo-demokratyczne, trudno na razie przewidzieć. Bądźcobądź jednakże można już zgóry twierdzić, że taktyka podobna nie przyczyni się do osłabienia antagonizmu polsko-rusińskiego w Galicyi Wschodniej.

MISERICORDIA



(As) Sprawa wywłaszczenia głośnem echem odbiła się na łamach prasy naszej. Stało się! — woła melancholijnie „Dziennik Poznański“ i dodaje natychmiast: „Pogodzić się trzeba z tem i przygotować na to, w co trudno było uwierzyć“... „Czas“ krakowski powtarza za „Dziennikiem“ o proteście całego świata cywilizowanego (ankieta Sienkiewicza), a „Dziennik Polski“ pociesza się, że „Słowiańszczyzna“ nie odegrała jeszcze swej roli w dziejach, ale ją odegrać musi. „Dziennika Polskiego“ nie widujemy, powtarzamy więc słowa jego za „Krajem“: „Dziwnie się plecie na bożym świecie! Jesteśmy przekonani, że słowa, które wczoraj padły w Petersburgu, nie stały w związku z przedłożeniem rządowem pruskiem o wywłaszczeniu, ale przypadkowy ten zbieg okoliczności jest bardzo znamienny i bardzo szczęśliwy dla nas. Nie ulega bowiem wątpliwości, że słowa Cesarza, wypowiedziane z takim naciskiem, muszą znaleść echo w tych sferach Berlina, które są przedłożeniu przeciwne i stoją na gruncie konstytucyjnym“...

Ale ze wszystkich głosów prasy najsilniejsze wrażenie wywarł głos „Gońca Wielkopolskiego“. Pismo to nawet w wywłaszczeniu widzi „zyski moralne“. Tak jest, „Goniec Wielkopolski“ stara się pocieszyć społeczeństwo widokiem płynących z wywłaszczenia korzyści. Bo zdaniem „Gońca“ padną teraz „ostatnie przesądy kastowe“, stany zbliżą się do siebie i nastąpi ni mniej ni więcej, tylko...... „równość ogólna“!.. Niekoniec na tem. „Wszelkie względy uboczne, krępujące pracę narodową, zginą bezpowrotnie... Wszystkie warstwy społeczeństwa połączy siła i moc nieprzezwyciężona“, ale—co ważniejsze!—„odebranie ziemi obszarnikom podniesie z pewnością zaufanie ludu roboczego do nich, nieufność do panów zniknie w braku różnicy interesów, a wytworzy się pole działania bardzo wdzięczne“, słowem, zapanuje raj na ziemi... w Poznańskiem.

Słowa „Gońca Wielkopolskiego“ radosnem echem odbiły się na łamach wielu pism naszych. Doprawdy, wierzyć się nie chce, że te wszystkie brednie o „bardzo wdzięcznem polu działania“, w chwili, kiedy ziemia zapada się pod nogami, że te bałamuctwa o „mocy nieprzezwyciężonej“ w momencie najjaskrawszych przejawów bezsilności, o zniknięciu nieufności ludu roboczego do panów, że te deklamacye o „ogólnej równości“, słowem, wszystkie pomysły „Gońca“ prasa nasza traktowała seryo; a wierzyć trudno tembardziej, że ta sama prasa podawała jednocześnie wiadomość, według której minister spraw wewnętrznych w Berlinie zapowiedział, iż wywłaszczenie jest dopiero początkiem kampanii antypolskiej.

Można już dziś powiedzieć z całą pewnością, że gdy po ustawie wywłaszczenia (jeśli ta pozostanie bez odpowiedzi) przyjdzie ustawa nowa, jeszcze groźniejsza, to „Dz.

Pozn.“ powtórnie nawoływać będzie do pogodzenia się z losem, „Czas“ pocieszy się nową ankietą Sienkiewicza, „Dziennik Polski“ ujrzy znowu punkt oparcia w Słowiańszczyźnie, a „Goniec Wielkopolski“ zadeklamuje raz jeszcze o zyskach moralnych i „mocy nieprzezwyciężonej“...

Jeśli nawet w zbrodniczem podeptaniu godności ludzkiej część prasy naszej znajduje pociechę, to w czemże pociechy tej nie dostrzeże?

(JG) „Wszelka zdobycz bez względu na to, jaką drogą osiągnięta, może się stać podstawą pomyślności narodu i jego postępu...

„Niemiec, który, widząc, że w interesie państwa pruskiego trzeba podbić dla kultury niemieckiej Poznańskie, osiądzie sam i całą swoją energię obróci na umacnianie w naszym kraju niemczyzny, który będzie przygarniał dzieci polskie i uczył je poniemiecku, który w posiadłości swej zorganizuje zarząd niemiecki i wpływem kulturalnym otoczenie swe będzie przerabiał na Niemców, który będzie zakładał niemieckie instytucye filantropijne — *tylko szacunek we mnie wzbudzi*“...

Tak pisał p. Dmowski w „Myślach nowoczesnego Polaka“, a teraz organ jego, „Gazeta Codzienna“, zapełnia szpalty głosami oburzenia z powodu *haniebnego, niesłychanego, zbrodniczego* „prawa“ o wywłaszczeniu.

Jest to niekonsekwencya oraz sprzeniewierzenie się powtórne: przedtem — staroczesnej ideologii polskiej, a obecnie swej własnej — wszechpolskiej.

Co będzie dalej — któż zgadnie?..

(st) Prasa nasza istotnie trzyma rękę na t. zw. pulsie społeczeństwa. Gdy puls ten drgał przyśpieszonem tętnem karnawałowem, szpalty dzienników były przepełniane listami szczodrych „gospodyń“ balów, imionami myślących o wytańcowywanej nędzy wodzirejów i opisami toalet uroczych danserek, czyniących tej nędzy ulgę—szalonym ruchem pięknych nóżek. Gdy zaś puls ten z natury rzeczy osłabł wielkopostnie, prasa się opatrzyła również i zaczęła moralizować na temat przyśpieszonego, a więc niezdrowego, tętna karnawałowego. Czujni reporterkowie używają na „obywatelskości“, wiedząc, że nie narażą się już teraz ani szczodrym gospodyniom, ani myślącym wodzirejom, ani pięknym nóżkom. Oj, czas wprawić w szalony ruch nie drobne nóżki, lecz tęgie nogi i wykopać za nawiasy słowa drukowanego roznosicieli bezmyślności i obłudy!..

(JG) Byłem w charakterze sprawozdawcy na balu artystycznym młodej sztuki. Bal był świetny, sala ozdobiona pięknymi witrażami i oryginalnym fryzem. W tłumie fraków snuły się korowody kostyumów przeważnie z przeszłości. Był więc z zamierzchłych czasów pogańskich faun napróżno poszukujący nimfy, była biblijna Salome z obnażonemi plecami, zawracająca głowy najświętszym Janom, Krzyżak i wieki bliższe: Velasquez, Rembrandt, czasy dyrektoryatu, wreszcie ułan i karmazynowa szlachcianka — wszystko przeważnie z bibułki. Kwitły też rośliny egzotyczne i swojskie — irys, mak, a z owoców dwa winogrady—jeden tak bujny, że brała ochota zostać pracownikiem w tej winnicy pańskiej. Ale największem powodzeniem cieszył się symbol.

Cała publiczność: poważni mężowie, elegancka filisterya, otyła burżuazya — składała mu w postaci kwitków dyplomy uznania, dowody podziwu i szczerego zachwytu. Sympatya ta dorównywała niemal awersyi, jaką większość ich czuła dla rzeczy, którą wyobrażał; dystans, na który się doń ciśnięto, wyrażał się w stosunku wprost odwrotnym do odległości, na jaką uciekano od sprawy usymbolizowanej.

Ta nagła zmiana frontu tłumaczy się tem, że jedno skrzydlo symbolu wlokło się po ziemi podarte i strzaskane, drugie choć rozpostarte, jako papierowe nie budziło grozy, miecz, aczkolwiek wielki, był tylko pofarbowany na kolor krwi i w dodatku drewniany. Wszystko świadczyło, że jest to upostaciowanie rzeczy jakoby minionej, przebrzmiałej niepowrotnie i już wcale nieaktualnej—prócz sznurów i czaszek opasujących głowę, o których jednak w rubryce balu pisać niepodobna.

(zig—zag) Po upływie dwóch miesięcy od czasu pierwszego przedstawienia „Bolesława Śmiałego“ Wyspiańskiego na scenie Warszawskiego Teatru Wielkiego, jedno z przedstawień zaszczyciła obecnością swoją rodowa arystokracya tutejsza. Nazwisko Wyspiańskiego stało się tak głośnem, że niepodobna było tej ciekawostki nie zobaczyć. Otóż przyszli do theatrum bracia i siostry, krewni i krewne hrabiego Henryka z „Nieboskiej“, aby, ujrzawszy idącą trumnę, padającego na ziemię rapsoda, zaśmiać się śmiechem serdecznym. Stanisław hr. Tarnowski nie jest dziwakiem, ani zdziecinniałym starcem, gdy pisze głupstwa o literaturze polskiej. Przedstawia typ ludzi, posiadających psią naturę, to jest tylko trzy zmysły: dotyk, smak i powonienie Brak wyobraźni.

(JG) W „Słowie“ ukazał się „nadesłany“ (co za przezorność!) i podpisany literą W. (zbyteczna tajemniczość!) artykuł tak dworski a jednocześnie zuchwały, że wydziera z piersi okrzyk: — O, cześć wam, panowie magnaci!...

(G. I.) Po przeczytaniu artykułu pana ST. GR. w „Tygodniku“ zjawia się pytanie: w czyjej masce występuje jego autor i ile rubli otrzymał za spełnienie swego „rzemiosła“?...

(st) ...podobno jednak względy rodzinne nie znaglą wodza „prawdziwych demokratów“ do usunięcia się w zacisze domowe. Z tego można się cieszyć... Ale, do dyaska, czyż już niema innych względów?!

(zbi) *Darmstadt, 8 marca* (tel. wł.). Sympatyczna depesza „Nowej Gazety“ przesłana prezesowi sejmu heskiego z powodu potępienia przezeń antypolskiej polityki rządu pruskiego, wywarła w całej Hesyi piorunujące wrażenie.

═══ Jüdische Sprichwörter und Redensarten gesammelt und erklärt von *Ignaz Bernstein* unter Mitwirkung von *B. W. Segel.* Warschau 1908. (Przysłowia i zwroty żydowskie, zebrane i wyjaśnione przez *Ignacego Bernsteina*, przy współudziale *B. W. Segla*, Warszawa, 1908). Wydanie 2.

Książka pisana jest w żargonie żydowskim z jednej strony literami hebrajskiemi, z drugiej — łacińskiemi. Autor w przedmowie wyjaśnia, że używa *narzecza* podolsko-wołyńskiego, a nie żargonu. Wyraz ten uważa za niewłaściwy i obiecuje to w osobnej pracy uzasadnić. Na tem miejscu spierać się z nim o to nie będę, nie weźmie mi on wszakże za złe, że używać będę utartej nazwy żargon. Otóż różnica pomiędzy żargonem podolsko-wołyńskim a innymi, jak polskim, litewskim, galicyjskim, tkwić ma właściwie tylko w wymowie, w pisowni jej prawie niema. Autor wybrał żargon podolsko-wołyński dlatego, że, jak mówi, z pomiędzy żydów największa ilość posiłkuje się tym właśnie żargonem. Materyał czerpany przeważnie wśród żydów polskich i galicyjskich (co właśnie nadaje tej książce wartość z naszego stanowiska), a celem wydawnictwa jest zachowanie tych zabytków życia żydowskiego, którym grozi zagłada z powodu zmniejszającej się stale ilości ludzi, używających żargonu. W książce jest 3993 przysłów i zwrotów. Ludzie, znający język niemiecki, przy pomocy dołączonego słownika żydowsko-niemieckiego z łatwością książkę p. Bernsteina czytać mogą. Wśród przysłów znajdą wiele znanych i w języku polskim, co nasuwa ciekawe pytanie: kto tu zaciągał pożyczkę,—w każdym zaś razie dowodzi silnego oddziaływania wzajemnego. Książka ułożona jest sposobem słownikowym. Pod każdym wyrazem znajduje się odpowiedź, zwroty i przysłowia. Najciekawsze według mnie są te, w których wyrażana jest opinia żydów o sobie i o „gojach". Znajomość wzajemna tych współmieszkańców naszego kraju jest tak niewielka, a źródła znajomości żydów tak nieliczne, że nabiera znaczenia wszystko, co rzuca choć promień światła na tę nieznaną krainę. Z innego jeszcze względu ciekawe jest to, co żydzi mówią o sobie. Uwydatnia się tu zjadliwa ironia i samokrytyka, która tak charakterystycznie wyróżnia żydów wśród innych narodów. W zbiorze p. Bernsteina znajdujemy prędzej jakiś wyraz uznania dla „gojów", chociaż i to nieczęste, niż dla żydów. Dla zapoznania czytelników z charakterem materyału zawartego w książce p. B., przytaczam niektóre przysłowia, zamieszczone pod wyrazami: „goj", żyd, polak, polski:

1. Goj to zły robak.
2. Goj w dzieciństwie jest mały—gdy dorośnie, jest duży; a żyd odwrotnie.
3. Goj nabiera szacunku dopiero wtedy, gdy dostanie pierwszy policzek.
4. Kiedy u gojów jest kiermasz (zabawa), biją żydów.
5. Goj nie jest przyzwyczajony do nieszczęścia.
6. Żyć — z gojami, umierać — z żydami.
7. Lepiej być w gojowskich rękach, niż na żydowskich językach.
8. Zły to znak, kiedy żyd gwiżdże, a szlachcic (puryc) drapie się za uchem.
9. Żyd i wilk nigdy nie włóczą się napróżno.
10. Żyd może być taki lub owaki, ale nigdy nie jest głupi.
11. Żydowi nigdy nie należy dawać tyle, ile żąda (według wyjaśnienia autora dlatego, iż wtedy żyd będzie się martwił, że nie zażądał więcej).

12. Żyd wszystkiego ma zamało, tylko rozumu ma dosyć.
13. Złam bułkę: ze środka wyskoczy żyd.
14. Żyda mniej trapi własne nieszczęście, niż cudze powodzenie.
15. Żyd bije i sam krzyczy gwałtu.
16. Żydzi dziedziczą po przodkach: zmartwienia i hemoroidy.
17. Z żydem jest dobrze jeść kugiel, ale nie z jednego talerza.
18. Mojżesz także nie mógł dać sobie rady z żydami.
19. Bogactwo żydowskie jest, jak marcowy śnieg.
20. Żydowskiej obmowy w dziesięciu wodach zmyć niemożna.
21. Gdy żyd jest głodny—śpiewa, a chłop wtedy bije babę.
22. Co mi pomoże, że mówię popolsku, kiedy mnie na dziedziniec nie wpuszczają.
23. W Polsce wszystko jest krzywe, tylko schody są proste.
24. Warszawiak jest mądry tylko do rogatek. *i. p.*

═══ *Marcelina Kulikowska.* W promieniach. Powieść. Lwów. Polskie Towarzystwo Nakładowe. 1908.

Na tle niezmiernie wątłej i rozstrzelonej akcyi powieściowej rozrzucone luźne epizody prac i walk rewolucyjnych, sylwetki pobieżne nieprzeliczonych typów, urywki waśni partyjnych, zaznaczone przelotnie odcienie różnych stronnictw — wszystko w szczególnym jakimś locie i wichrze niewiarogodnego mnóstwa wyrazów. Jedynym niemal środkiem technicznym autorki jest narracya, tu i owdzie usypana tylko strzępkami dyalogów, których w tym tonie i dziwacznem tempie nikt z ludzi nie zdołałby prowadzić (np. rozmowa Abrahama z Józefem na str. 60—66, rozmowa Siłacza z Teosią). A oto *opowiedziana* mowa wiecowa: „Przekladał, jako to jest złe i nieetyczne, i niegodne ludzi i ducha wielkiego, i kultury i t. d. i t. d..... prowadzić podjazdowe wojny, chytrze nieprzyjaciela w pole wyprowadzać, naigrawać się nad nieświadomymi i t. d. i t. d.“ — Taki artystyczny sposób streszczania przemów nie jest przyjęty nawet we wzmiankach dziennikarskich już pod żadnym pozorem nie powinien przedostawać się do literatury. Natomiast wyłowione z powodzi różnych apostrof, dygresyj, banalności niektóre fragmenty opisowe, niektóre stany psychiczne (np. wrażenie, jakie wywarła na Teosi śmierć Józki) świadczą, że przy pewnej pracy i staranności pani Kulikowska byłaby w stanie napisać powieść daleko lepszą, niż „W promieniach“. *Z.*

═══ *Marya Płażkówna.* Obudzeni. Wydawnictwo księgarni Albin Standacher i Sp. Stanisławów. Jan Fiszer. Warszawa, 1907.

Tematy ciekawe, nowoczesne, czerpane przeważnie z dziedziny subtelnych konfliktów życia erotycznego, spostrzeżenia niepozbawione pewnego zmysłu psychologicznego, wynurzenia, posiadające zaletę szczerości—są tu podane w formie najzupełniej prymitywnej, wprost niedołężnej. Autorka posługuje się językiem nieliterackim, używa szablonowych zwrotów mowy potocznej. Ta dysproporcya treści i formy pozbawia zawarte w tomie utwory wszelkiej wartości artystycznej. Pomysły niektóre, jak „Siłacz“ lub „Miłość“, w innem opracowaniu mogłyby dać dosyć trafną charakterystykę zawiłości uczuciowych. Najbardziej sharmonizowana jest w tym zbiorze nowelka p. t. „Wiosna“. *Z.*

Redaktor i Wydawca: H. St. Pytliński **Druk Piotra Laskauera i Sp.**



WITEŹ

ROCZNIK I = ZESZYT 5
Warszawa, 1 kwietnia 1908 r.

To, co wyrzekł niegdyś Słowacki o losie swojej poezyi, że „jak dusza Anhellego, napróżno wychodzi z ciała i po słupie światła księżycowego wraca do ojczyzny, myśląc, że ją tam poznają i przyjmą ze łzami,“—mógłby powtórzyć dziś raz jeszcze.

Syn pieśni, syn królewski — w oczach ogółu stoi dopiero na stopniach należnego mu tronu, mówiąc z zadawnioną goryczą:

I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne,
Ja, co mam także kraj łąk pełen kwietnych:
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
I która także mnie kochać powinna!

Nie zaschła jeszcze sina rana pamięci o wstrętnym człowieku, który szarpał jego płaszcz niewyżebrany i otrzymał za to od najpoważniejszej instytucyi polskiej nagrodę, nie prze-

brzmiało echo tego haniebnego skandalu — a oto nadeszła wigilia cielesnych urodzin pokrzywdzonego Poety.

Zbyt lubujemy się w rocznicach, zewnętrznych blaskach obchodów, abyśmy nie skorzystali ze sposobności, nie zawahali przed poruszeniem świętego prochu, choćby mial rzec ze zgrozą:

— Oto przyszliście ruszać umarłe; czyż niedość trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?

Myśl trwożna prawdziwie pobożnych, czy z dostatecznym pietyzmem zbliżamy się do tych popiołów, czy zostaną przyjęte przez naród serdecznemi łzami, czy pochód tej trumny wywoła dreszcz święty entuzyazmu, szeroki, niezapomniany, czy pogrzeb ten wypływa z rzeczywistej, nieugaszonej tęsknoty, czy jest to istotnie ostatnia resztka, która jeszcze nie stała się naszą, — nie zyska posłuchu.

Data stu lat jest zbyt ponętna dla jubileuszowców, by mogli nie wyzyskać uroczystości w całej pełni.

Ostatni proch najświętszych spocznie w kraju ojczystym, zapewne w Krakowie, być może na Wawelu.

Warszawie, gorącemu sercu Polski, pozostanie prawo i chęć wzniesienia pomnika, wyrażenia widomym znakiem hołdu i czci dla twórcy Króla Ducha.

Czemże ma być ten pomnik? Kolumnową figurą, kopcem, sarkofagiem?

Wyraźną wskazówkę znajdujemy w dziełach poety:

> *Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa*
> *Mogły stać nagle indywiduami,*
> *Gdyby ojczyzną był język i mowa:*
> *Posągby mój stał, stworzony głoskami*
> *Z napisem p a t r i p a t r i a e!..*

O posągu żywej mowy mówi Słowacki, taki pomnik mu się należy, a zrealizować się daje jedynie przez teatr.

Teatr architektonicznie piękny, ze składek powszechnych, twórczym wysiłkiem artystów sztuki plastycznej winien być Mu wzniesiony i poświęcony przedewszystkiem kultowi Poety, świątynią, w którejby przemawiał do tłumów językiem, co

...ze słonecznej miłości był wzięty,
Nią złoty... gdy się zniżał malowany —
Lecz cały wielki, otwarty, natchnięty
I nie mówiony, lecz z ducha błyskany.

Taki posąg Imienia Słowackiego stałby się żywą, ciągle działającą instytucyą, najskuteczniej rozsławiającą Jego Imię, szerzycielem Jego ducha w narodzie, potężnym środkiem tego głównego celu, o który najsilniej chodzi.

Z takiego teatru płynęłaby nieprzepartą falą w naród ta siła fatalna, która zjadaczy chleba w aniołów przerobi.

Przez pomnik ten poznałaby Ojczyzna drugą osobę boga swej trójcy świętej, ujrzałaby Ją w całym przepychu i majestacie i pozyskała wreszcie dumne prawo powiedzieć Mu, jak Eloe Anhellemu:

— To ciało do mnie należy, i to serce mojem było —
a popiołom Jego, bez względu na to, gdzie legną:
— Nie skarżcie się, lecz śpijcie!

Redakcya)*

**) Komitet obchodu jubileuszu Słowackiego poruszył sprawę budowy teatru imienia Poety. Solidaryzując się z tym projektem, redakcya pisma naszego poświęca owej sprawie artykuł powyższy.*





MARYAN ZBROWSKI

O tworzeniu ojczyzny

„Da mihi pennas uti columbae,
„Et volabo et requiescam".

I znowu młot gwałtu i bicz szyderstwa nad rozkoronowaną głową narodu!

— „Wyważę was żeleźcem prawa z ziemi ojców, jak się wyważa kamień, leżący wpoprzek drogi" — grozi gwałt.

— „Uznamy was za obywateli, gdy wy uznacie za zaszczyt być obywatelami naszymi" — świszcze szyderstwo.

Słyszymy i rozumiemy treść tych słów, która jest: „wyrzeczcie się ojczyzny"...

Słyszymy i odpowiadamy: — „Nie" —

Nic więcej —

A odpowiedź tę dają nietylko te części polskiego narodu, przeciwko którym nastawione są ostrza gwałtu i szyderstwa, — ale cały naród widzialny i niewidzialny ze wszystkich kątów ziemi, z chałup i dworów, z fabryk i kościołów, z grobów i świetlic, z ksiąg, z podartych chorągwi—cały naród, który ma jedno Serce—Ojczyznę, jedną Wolę — Ojczyznę, jedną Duszę — Ojczyznę, a dziś jedno to żołnierskie — „Nie!" — Ojczyznę, tę samą, którą wrogowie, jako upio-

ra nieustannie widzą leżącą z „oczyma otwartemi w grobie" i byt jej ciągłem przerażeniem swojem stwierdzają—

A gdy mówią nam — „umarła" — i tłumaczą, że dla własnego dobra powinniśmy się wyrzec poćwiartowanego trupa, tedy pytamy: któż to ostrzy żeleźce praw przeciwko trupom?...

O Ojczyźnie chcę mówić i o godności naszej—mówić, nie jako człowiek, mający szczególne do mówienia prawo, bo prawa takiego nie posiadam, ale jako jeden zpośród miliona. Nadeszła bowiem godzina takiego niebezpieczeństwa, jakiego może nie bywało nigdy —

Głazy zatracenia toczą się na nas, i, jeżeli w samych sobie nie znajdziemy mocy odparcia i wytrwania, — biada! — Ale największe niebezpieczeństwo tkwi w nas samych.

Mieć Ojczyznę — znaczy nieustannie ją tworzyć. Ta zdolność w nas zmalała. Byliśmy skałą nadbrzeżną, czołem niegdyś obróconą na gwiazdy i nawałnice — Ale gdy rozsadzono skałę i minął czas mały — mały dla duszy— skała zgodziła się z pęknięciem swojem i stała się domem leporidów — małych świętokradców i poufalców — którzy ważą się mówić: „kocham tę moją Polskę", a nie wiedzą, iż miłować ojczyznę znaczy nie nachylać jej świętej głowy do swojej piersi, ale urastać i rozszerzać się do jej nieobjętości i tak się w niej zatracić, aby samemu czuć się ojczyzną. To największe niebezpieczeństwo, klęskę najgłębiej sięgającą przedewszystkiem wyczuć musimy — Musimy niemiłosiernemi, a jednak miłującemi najwieczniej oczyma prawdy przewiercić do dna serca własne i dobyć z nich krzyk: „żyjemy i mamy wolę żyć!"

Gdybyśmy tego nie uczynili lub, uczyniwszy, poczuli niemoc w sobie samych — niema ratunku, choćby na obronę naszą przeciwko młotom gwałtu i biczom szyderstwa stanęły wszystkie moce świata.

Minęły dawno jarmarki wyborcze, podczas których niczego nie oszczędzono ani od jarmarcznych potępień, ani—co gorsze—od jarmarcznych pochwał — Nie oszczędzono i ojczyzny. — Rzeczy najwyższe pochylano do samych oczu Pospolitości, aby je mogła obejrzeć, nie podnosząc się nawet na palce.

Pchły ziemne, skaczące wedle natury swojej „od wypadku do wypadku", ale niezdolne ani tworzyć, ani nawet przeczuwać zdarzeń, wylegly na powierzchnię i, puszczając na nici papierowego orła, pokrzykiwały — „Ojczyzna, ojczyzna" — i straż nad nią oddały

wężowi z głową wieprza; osądziły bowiem, że siła szczęk i zdolność do krętego czołgania się po nizinach są mocą i mądrością, które zabezpieczą godność narodu —

Z drugiej strony darły powietrze i uciskały duszę, jako krzyk chorego, ryki opętanych talmudystów społecznych: „Precz z Polską", — ryki ludzi, umęczonych od ciemności, z oczyma przekrwionemi od nieustannego patrzenia w jedną wielką starą ranę narodu.

Ale — minęło to wszystko. Opadły fontanny błota i pustych słów — pogasły wysokie oczyszczające płomienie uniesień, bohaterstw, poświęceń i nadziei — i z nawałnicy wyłoniła się znów naga i sińcami okryta pierś narodu, nad którą młot i bicz — a niemasz puklerza. I owóż jest chwila mowy-marzenia o Ojczyźnie.

Duchy czyste i wolne, duchy gór wysokich, w których łonie żywioły ziemi w dyament krzepną, zjawcie się — Wszak ona to — Ojczyzna — jest nieświadomem umiłowaniem milionów, krwawą legendą pobitych rycerzy, dumą poniżonych, skrzydłem wzlatujących wzwyż — Imię jej, szeptane w skrytości przez nieskończony dla serca różaniec lat, nizane, jako okrwawiona perła na sznur hańby, jest imieniem rozkoronowanego boga, jest podziemnym grzmotem tłumionego gniewu, wysoką gwiazdą nadziei, tajemnym znakiem, po którym poznają się nieznajomi – jest trzaskaniem łamanych w rozpaczy rąk, jest wściekłością samobiczowania i nawałnicą ognia, zdzierającego z serc rdzę samolubstwa, jest imieniem rzeczy najgłębszych i najszczytniejszych, które wykrwawić i wyśpiewać zdoła ze siebie dusza ukrzyżowanego rycerza.

Dziś — o, rycerzu ukrzyżowany! — nadeszło nowe niebezpieczeństwo: krzyż stał się tronem boleści i nawyknieniem i ubezpieczeniem przed nowym bólem, a dla wielu—nazbyt wielu—przyzwoleniem kłamstwa i lenistwa — Musisz więc zdobyć się na nowe bohaterstwo: uśmiechnąć się na krzyżu uśmiechem obudzonego boga, spłonąć rumieńcem woli i nadziei i wypowiedzieć głośno słowo woli i nadziei nowego życia — musisz teraz właśnie, gdy młot i bicz nad obnażoną piersią, a niemasz puklerza.

Ale czy zdobędziesz się na to? — Ty — to my. — Czy więc my zdobędziemy się na to? Czy na naszych czołach, wybielonych w ciemnym obłoku cierpienia, mogą rozbłysnąć promienie, rozdzierające ciemność dla nowego natchnionego czynu? Czy usta nasze, posępnie

zaciśnięte przez tyle lat — wieków, zdolne są wymówić szerokie światłodźwięczne słowo nowego życia?

I co jest owym nowym czynem i nowem życiem?

Oto pytania, w których zewrzeć trzeba wszystkie moce duszy. A kto chciałby choćby sobie tylko odpowiadać na nie, a nie oczyściłby serca z małości i nie wzbudziłby w sobie myśli wzlatującej najwyżej i czucia, mającego żar płomienia i czystość źródeł leśnych, a tak bosko człowieczego, iżby każdy, choćby obcy i wrogi człowiek, zniewolony był sercem podać się ku niemu, jako ku tchnieniu wieczności, niech lepiej odwróci się od nich i szuka swoich pytań i swoich odpowiedzi w bajorkach powszedniego dnia.

Bo przeminie człowiek i pokolenie; przeminie może naród polski widzialny; ale gdybyśmy my żywi zgodzili się, że imię jego może utonąć w zapomnieniu lub istnieć, jako naczynie puste, a nie jako treść duchowa, którą wchłaniać powinny dusze innych ludów, gdyby taka myśl choćby chyłkiem przez głowy nasze przemknęła, usłyszałyby ją kości naszych pobitych rycerzy, leżące jako gwiazdy podziemne po znanych i nieznanych mogiłach, i wstałyby i wyparłyby się nas, i wygnałyby nas z ojczyzny prawem stokroć silniejszem, niż prawo przemocy, które przeciwko nam kuje wróg — jedynem i słusznem prawem ducha.

Ojczyzna — dusza duszy każdego z nas — jest wcieloną duszą narodu, odradzającą się i poznającą siebie w pokoleniach, nieustannie twórczą, zdobywającą kształty widome i rozdzierającą je, jako płótno namiotów, gdy stały się zbyt ciasne. Wszystko, co z pracy jej i nieustannego rozrostu poprzez wieki widzialnem zostaje, jest jej znakiem — posągiem chwili, w której boskotwórczą żądzę życia na glinę rzeczy i zdarzeń wywarła, czując, gdy dzieło krzepło w kształt, że „jeszcze nie to", jako to muszą czuć prawdziwi twórcy. Jej więc znakiem i ofiarą jej boskiego gwałtu jest forma polityczna, prawo, język, obyczaj, obszar ziemi.

Jeżeli te jej widome kształty miłujemy, gdyż musimy i chcemy ją mieć dotykalną dla oczu naszych, bo taka jest nasza natura, wiedzmy, że miłujemy nieśmiertelną duszę narodu — macierz i płód naszych własnych dusz.

Wnijdźmy na tę wieżycę myśli bez strachu, że ojczyzna stanie się

obłokiem, który wiatr rozwieje. Jest coś wiecznego w obłoku—a tylko z wysokich miejsc widzi się i czuje całość.

Gdy na wyżynie zogniskujemy w sobie myśl przepojoną światłem najgłębszego i najprostszego czucia ojczyzny, wtedy nietylko usprawiedliwioną i naszą stanie się cała jej przeszłość, ale wytryśnie w nas wysoko bijące źródło jej przyszłości, którą wyczujemy, jako własną naszą przyszłość.

Ojczyzna nie jest państwem, bo nikt i nigdy nie miłował państwa. Dla wyzwolonego w sobie człowieka jest ono tylko złem koniecznem, jest zasłaniającemi dal ścianami budynku, który istnieje dla tego tylko, że istnieją złodzieje i zbóje.

Ojczyzna nie jest obszarem ziemi, określonym słupami i rowami granicznymi, bo nikt nie czuje: „moja ojczyzna jest do tego słupa i do tego rowu". Nie jest ona także posiadaną ziemią, bo jakże mogliby umierać za ojczyznę ci, którzy nie posiadają i nie mogą nawet marzyć o posiadaniu ziemi, — a z drugiej strony, czemuż między gubicielami i zdrajcami ojczyzny było najwięcej tych, którzy posiadali wiele ziemi? Wreszcie tu właśnie wolno użyć argumentu serca: można być na żywej ziemi ojczystej i czuć trumienną obcość, ale można poczuć żywy i nieodparty oddech ojczyzny, idący z jakiejś ubogiej mogiły na obcej ziemi i pośród obcych ludzi — Mamy takie mogiły!

Ojczyzna nie jest *jakąś* religią, ani tembardziej *jakiemś* wyznaniem, bo religię lub wyznanie można zmienić lub odrzucić, nie zmieniając lub odrzucając ojczyzny.

Nie jest ona językiem, bo gdyby język nie był żywem narzędziem duszy, strzałą na jej cięciwie, godzącą w rzeczy najdroższe i najtajniejsze, a których określić niepodobna, byłby jako las ściętych drzew.

Ojczyzna nie jest prawem lub zbiorem praw, prawo bowiem jest utrwaloną granicą wolności swego czasu — ale gdy minął czas, granica musi być złamaną.

Nie jest też ojczyzna liczbą ludzi, bo gdyby wojna lub mór wytraciły połowę narodu, pozostali nie mieliby tylko pół ojczyzny.

Nie jest więc ojczyzna żadną z tych rzeczy, jako czyn lub słowo nie jest człowiekiem, ale jest treścią ich zespołu — treścią, która może rozrastać się do nieskończoności i kształtować niezliczone objawy, wedle natury swej.

Ojczyzna jest w obszarze ziemi, którą naród wziął w posiadanie

i wlał w nią pot i krew swoją. Jest w religii, o ile naród stworzył religię własną, czy przetworzył cudzą, symbolizując w niej własne pożądanie wieczności i ponadżyciowej prawdy. Jest w państwie, jeżeli je naród buduje dla siebie i wedle potrzeb swoich, jako dworzec mieszkalny, a kładzie się u progu jego na straży przed złodziejem i zbójem. Jest i w języku, bo on to — istność nieuchwytna i żywa, płynąca jako rzeka ze źródlisk życia narodu—odbija w sobie wszystko, co w duszy narodowej trwało, wskazuje na pierwsze żywiołowe jej ruchy i zetknięcia się z naturą. Ojczyzna jest wreszcie i w prawie i w obyczaju, jeżeli prawo i obyczaj są naturalną groblą przymierza ścierających się fal narodowego życia. — Jest więc w zespole wszystkich tych rzeczy i w nieskończonej ilości innych, jako dusza tkwi w nieskończonej ilości zewnętrznych objawów swoich. Ojczyzna jest symbolem duszy narodowej — owego bytu, który się rodzi ze współistnienia przez wieki dusz ludzi i rzeczy na danem miejscu, rozwija się i utrwala w dziełach i szuka ustawicznie nowego tworzywa, któreby kształtować mógł. Tak tylko można stwierdzić i wytłumaczyć, dlaczego odczuwamy istnienie ojczyzny, jako ciągłej i jednej poprzez wieki i nieznane nam pokolenia przodków, pomimo zmian bytowania politycznego, rozdarcia ziemi, odmiany praw, języka, religii, obyczaju; dlaczego nosimy ją w sobie, jako skarb, i istniejemy w niej, jako w łonie matki; dlaczego wreszcie odczuwamy jej przeszłość, jako ustawicznie w nas bytującą, a teraźniejszość jej i przyszłość mamy za własną teraźniejszość i przyszłość. To właśnie wznosi nas ku największemu i najszczytniejszemu obowiązkowi tworzenia ojczyzny przez potęgowanie życia dusz własnych.

Życie duszy jest mnożeniem i potęgowaniem się jej pożądań i wysiłków ku stworzeniu własnego dzieła, któreby ją najpełniej wyraziło, oraz umiłowaniem cudzych wysiłków ku stworzeniu najpełniejszego dzieła — Gdzie niema tych pożądań i tego umiłowania, niema duszy —

Gdy się mówi o miłości ojczyzny odnośnie do przeszłości, co jest przedmiotem miłości? Czy pamiątki bezładu, bezsiły, zimnego wyzysku, uciemiężeń, zdrad? Jedne z nich usprawiedliwiamy pojęciami czasu lub koniecznością, na wspomnienie innych ogarnia nas niewczesny wstyd lub gniew, tak, iż uczuwamy, jakoby na nas spadała wina i hańba za nie i wyłączamy je z pojęcia ojczyzny — Gdy serce miłośnie zwra-

ca się ku przeszłości, widzi to tylko, co było wyrazem potęgi i piękna, wysiłkiem ku najpełniejszemu wyzwoleniu treści życia narodu. Miłujemy twórczą moc narodowego ducha, który w wysiłkach tych prężył ramiona, wczuwamy się w sam moment twórczy i przeżywamy go w wyobraźni, jakgdybyśmy sami twórcami jego byli —

Z tych to momentów twórczych, jako z gwiazd, pleciemy sercem wieniec na czoło ojczyzny. I dźwiga się wtedy przed nami jej wielki cień — cień orła-rycerza — z mieczem we władnej dłoni, ze skrzydły nieustannie gotowemi do lotu ku szczytom ducha — A gdy ona taka jawi się oczom naszym, błogosławione są źrenice ich i stają się jako źrenice wód, na które padła zorza — Wtedy dopiero uczuwamy dumę naszego istnienia — dumę narodową — i widzimy drogę przyszłości, pomimo że... „połamany leży wóz nasz—wóz bojowy". Takie umiłowanie ojczyzny mieli najlepsi z naszych ojców. Gdy oni mówili „ojczyzna", to wyraz ten żył całem natężeniem duszy, palił się i grzmiał, a z nich tryskały moce prorockie, wichury natchnień, które wiać będą poprzez ludzkość, póki ona istnieć będzie, albowiem nie ginie nic z dziedzictwa ducha.

Wszelka inna miłość ojczyzny jest czczym wyrazem, błahem upodobaniem zbieracza, zapełniającego daremnie przepaść własnej pustki; „niczem", które zobowiązywać może tylko do „niczego", co nie może być źródłem czynu, ani nawet „arką przymierza między dawnemi i nowemi laty"; co nie usprawiedliwia konieczności istnienia narodu, jako dobra, co wreszcie pozwala na podłość i poniżanie się, a z ojczyzny czyni „pobielany grób".

Jedna tylko istnieje miłość: twórcza, czynna — Wtedy tylko ma się ojczyznę w przeszłości, gdy się ją tworzy w teraźniejszości, więc gdy odrębne jej oblicze staje się koniecznem, jako pomnożenie bogactwa ludzkości.

Myśl, że odrębność narodów musi być startą dla dobra ludzkości, jest równie bezpłodna i prowadząca do bezpłodności, a więc szkodliwa, jak myśl, że naród może istnieć bez świadomości ogólnoludzkich celów. Wszystko, co jest, ma prawo istnienia, ale pod warunkiem, że istnieniem swojem mnoży i rozwija życie. Śmiertelnym grzechem ludzi i ludów jest pasorzytnictwo w jakiejkolwiek formie, za które zawsze przychodzi kara: rozkład i zatracenie. Nie pomoże tu ani obszar państwa, ani liczba ludności, ani nagromadzone góry zło-

ta i oręża — Im więcej było pozorów potęgi, tem haniebniejszy jest upadek. Brzemię idei trzeba uczuć w sobie, aby iść lekko ku przyszłości. Ludzkość ma wspólny cel, a każdy naród dąży do niego — musi dążyć, jeżeli ma żyć. — Tylko drogę dążeń swoich wedle natury własnej żłobi. Odrębność dróg i kształtów jest stwierdzeniem przez naród odrębności swego „ja", jest dumą jego i bogactwem ludzkości— Tem jednak, dla czego się żłobi drogi, co jest treścią kształtów i nadaje im wagę, może być tylko ideał wszechludzki — potęga życia. Wzloty ku niemu są wzlotami potęgi—Odejście jest odejściem w grób—

Naród, który posiada potęgę twórczą, panuje, równie jak człowiek twórczy panuje nad gromadą ludzi biernych, ale panowanie przychodzi wtedy samo przez się, jako wykonanie prawa naturalnego i jest dobrodziejstwem dla opanowanych, bowiem niesie im życie. Gdy jednak panowanie jest tylko skutkiem gry lub materyalnej przemocy, jest zbrodnią, z którą walczyć trzeba w imię człowieka do ostatniego tchu, jako ze złem wszechludzkiem.

Naród twórczy utrwala ojczyznę i tworzy ją nieustannie wewnątrz i zewnątrz siebie. Naród, który przestał być twórczym, musi stracić ojczyznę, chociażby jeszcze posiadał własną ziemię i prawo, i język, i obyczaj, bo wszystko to rozpaść się musi za lada dotknięciem, jako skorupa niewypełniona niczem.

Nad nami wzniesiony jest młot, który nie dotknie, ale uderzy w opokę narodu — w ziemię. Cóż czynić, gdy niemożna już odwrócić uderzenia?

Sienkiewicz rozpisał listy do znanych ludzi Europy i otrzymuje grzeczne „wyrazy oburzenia". Gdy nadejdzie ostatnia odpowiedź, z nią skończy się „oburzenie". Zapomniano bowiem, że znani ludzie Europy są owocem tejże Europy, która nietylko wydaje, ale i pielęgnuje „patryotów" pruskich, a z tej nowej łaskawości opinii śmieje się. Zresztą, nie wiedzieli pewno owi znani, kto żądał od nich potępienia gwałtu: czy Sienkiewicz—Jarema, dzierżący miecz i głownię, na której skwierczy chłopskie ścierwo; czy Sienkiewicz—Połaniecki — Jazon perkalowego runa, otwierający *conto* Panu Bogu dla porządku w interesach osobistych; czy Sienkiewicz — Płoszowski, który nie rozumie, dlaczego miłowaćby należało człowieka, gdyby Chrystus tak nie był kazał, i po „godzinach sali" wypatruje za obłokami „jakiejś wielkiej sutanny", do której tulą się umęczone dusze. — Musieli wszakże wiedzieć, że nie

mówił do nich ten, ktoby miłował człowieka dla niego samego, i ktoby miał moc, a choćby pożądanie rozszerzenia ojczyzny na cały świat duszy i czułby ojczyznę wszędzie, gdzie człowiek walczy o wolność.

Okrzyknięto bojkot wytwórczości niemieckiej. Przez zemstę. Nie wierzę w zemstę. Nie jest ona nigdy twórcza i nie może być trwałą.— Nie wierzę w ten nowy bojkot, bowiem kto tak gruntownie, jak nasi szlachcice, księża i mieszczuchy, zbojkotował niemiecką naukę, sztukę, dążność do samopomocy społecznej i oświaty narodu — czyli istotną twórczość niemiecką; kto tak sumiennie i wytrwale bojkotuje najwyższe objawy własnej twórczości; kto tak, jak oni, uznając zasadę oszczędności, stosuje ją przedewszystkiem i może całkowicie przez zmniejszanie pragnień i nasyceń własnej duszy i dusz innych,—temu już nie starczy siły na bojkot niemieckiej bawełny, lub piwa.

Walka ekonomiczna i kulturalna jest rzeczą elementarnie konieczną nietylko z narodem wrogim, ale nawet z przyjaznym. Musi jednak wypływać z istnienia i poczucia własnych sił wytwórczych. Jeżeli tych sił i ich poczucia niema, hasło bojkotu niemczyzny jest tylko kapryśnem pokrzykiwaniem impotensa, a jego skutkiem będzie nowy wstyd. Wreszcie gdyby skutkiem bojkotu wytwórczości niemieckiej miało być tylko wprowadzanie wytwórczości angielskiej lub francuskiej czy innej obcej, a nie własnej, naród nie zyska nic, a ojczyzna jego będzie istotnie zmniejszona, bowiem w dziele rąk narodu tkwi dusza narodu. Trzeba wydobycia z siebie i zwarcia wszystkich sił. Trzeba męskiego, potężnego czynu i wytrwania na wszystkich polach narodowego życia — Trzeba mnożenia i rozszerzania tych pól za wszelką cenę. Trzeba budzenia w sobie głębokich pragnień i umiłowań, i przekonania, że im więcej ma ich naród i człowiek, tem jest potężniejszy. Trzeba wreszcie zrozumieć, skąd płynie moc i prawo do walki politycznej i ekonomicznej.

Nietylko chlebem, bagnetem i traktatem żyje naród — Chleb *kogoś* żywi, bagnet *kogoś* broni, traktat *komuś* zapewnia prawo. Trzeba być *kimś*. Kto się powołuje na traktaty i wielkość ojców i stąd wywodzi prawo do ojczyzny, ale sam nie jest tym, kto ma własną wielkość i czuje prawo żądania we własnem ludzkiem imieniu, jest tylko chełpliwym i śmiesznym nędzarzem —

W człowieku — twórcy własnej prawdy — żyje ojczyzna.

Trzeba wyzwolić w Polsce wiecznego człowieka, który czuje dostatecznie wagę własnego istnienia, aby mówić i czynić we własnem

imieniu. Już się narodził, ale musi się kryć, i, gdy mówi, mowa jego jest urywana, jak mowa szalonego —

Wysłuchać go trzeba.

— „Uszanujcie człowieka"—woła wieczny człowiek—„To żądanie moje jest treścią dążeń całego lepszego świata — Twórzcie w sobie pełnego człowieka — Niech serce jego stanie się czujnem na każdy upadek i tryumf życia — Niechaj miłuje cudzą duszę dla niej samej — Niechaj wyzwoli ducha ziemi i w radości słońca go skąpie i uczci go — Niechaj w nim kipi gniew na każdy gwałt, gdziekolwiekby się stał — Niech nie poniża i nie będzie jałmużnikiem, ale współczującym i współdziałającym bratem—Niechaj się czuje obywatelem świata — Niechaj nie kłamie i dzieci swoich kłamać nie uczy, bo kłamstwo jest rzeczą podłych i tchórzów — Niechaj wie, że umiłowanie ojczyzny jest umiłowaniem prawdy, a ojczyzna niechaj mu się stanie własnem skrzydłem i brzemieniem. Jestem Prometeuszem, przykutym do skały cierpienia—ale nie skała, tylko wina moja jest świętością. Niechaj uczuje to naród i niech w winie Prometeusza upodoba sobie ojczyznę, a umiłuje ją jako duszę własną".—Tak mówi wieczny człowiek.

A gdyby go spytano, co to wszystko ma do groźby niemieckiego junkra, odrzekłby znów jak szalony:

— „Dajcie duchowi memu skrzydła rozpostrzeć, jako orłowi, a podniosę się ponad głowę sępa, pożeracza trupów, i stworzę nowy naród i nową ojczyznę, które będą kość z kości dawnego narodu i dawnej ojczyzny" —

Tak odrzekłby człowiek „szalony", który się musi kryć.

Ale podobnie „szaleni" mówili w Polsce zawsze, gdy nadchodziła godzina odrodzenia i tworzenia nowej ojczyzny. „Szaleni" mówili 3-go maja. — Wtedy to naród szlachecki, a już *ludzkiemu* ustępujący miejsca, stworzył swoje ostatnie dzieło — I widać Bóg dawnych rycerzy, co chrzęstem zbroic i szabel błyskaniem gwiazdy po stepach budzili i z piersi własnych tarczę żywą wszemu krześciańskstwu uczynili, dał prawnukom ich, że to ostatnie dzieło było godne —

Dziś, po stu latach, żywie naród już nierozumiejący różnicy pomiędzy szlachcicem a nieszlachcicem — ten sam choć inny naród, który musi stworzyć *swoje* dzieło.

I widać wybiła godzina, bo zaczynają mówić „szaleni". Zrozumiej-

cie to wy wszyscy, którzy mówicie, iż znacie przeszłość i nią się chełpicie — Zrozumiejcie i weźcie wszyscy na siebie brzemię idei, aby lekko iść ku odrodzeniu. Bo jeżeli dziś, gdy wnętrzności Polski się zakolebały i ruszyło się morze ciemnego ludu, któremu byliście latarnią myśli, nie zrzucicie szarego płaszcza małości, którym was nakrył strach i nawyknienie; jeśli nie zrzucicie tego płaszcza i nie staniecie w kolisku ducha; jeśli wśród nocy współczesnego kłamstwa nie zapalicie na górach wici wolności i prawdy i w ten sposób nie dacie znać o sobie witeziom całego świata; jeśli nie zaufacie młodemu życiu i za każdym wybuchem jego będziecie bić w dzwony przerażenia; jeśli w skorupie ślimaczej—w zastygłej ślinie mięczaka—rycerskiego orła rzeźbić będziecie i pohańbicie go; jeśli serce Ojczyzny i myśl jej dziejową na małej a chytrej wadze — jako sklepikarz pieprz — ważyć będziecie, — to... jesteście narodem mięczaków i sklepikarzy, to ci, „szaleni", którzy młodości swej w podziemiach żyć kazali, aby ją uchronić od widoku tyjącego raba, którzy czoła i piersi na wichrze dawnych natchnień Ojczyzny trzymali i u gwiazd jej dusze swoje zawiesili, zawstydzą się poniżenia Ojczyzny i pójdą przeciwko wam.



GIEJOT

Dwie polityki

Między polityką mieszczaństwa a polityką klasy pracujących istnieje zasadnicza różnica. Całokształt przejawów życiowych klasy pracującej da się określić, jako polityka wynikająca z jej stałych naturalnych potrzeb, których zaspokojenie wymaga ciągłych zdobyczy, nieprzejednanej walki. W łańcuchu jej postulatów społecznych i narodowo-politycznych wyraźnie zauważyć się daje świadomość wielkości zadań, jakie na niej legły, i płynące stąd poczucie potęgi.

Politykę mieszczaństwa—przeciwnie—cechuje małoduszność, świadomość niemocy, a w ogólnej sumie codziennych jej wystąpień na arenie życia politycznego snuje się nieprzerwaną nicią ugoda.

Polityka mieszczaństwa jest polityką przystosowywania się, systemem wiecznego oportunizmu.

Te ideologiczne podstawy obu polityk wynikają z zasadniczych praw, rządzących współczesnym ustrojem gospodarczym, i znajdują głębokie umotywowanie w przejawach życiowych tego ustroju. Współczesne stosunki gospodarcze podzieliły społeczeństwo na dwa wrogie sobie odłamy — pracujących i posiadaczy, wytwarzając warunki, w których wszelkie przeobrażenia natury społecznej i politycznej, przeobrażenia pojmowane jaknajszerzej, podjęte być mogą jedynie przez lud

pracujący, który się staje najenergiczniejszą sprężyną wszelkich ruchów społecznych, dążących do radykalnych przemian w obrębie stosunków zarówno gospodarczych, jak politycznych i narodowych.

Taki stan rzeczy staje się źródłem tej mocy duchowej, jaka cechuje klasy pracujące; świadomość tego stanu jest zarazem podstawą do budowania swej odrębnej polityki—zdobyczy.

Inne stanowisko jest sfer posiadających. Troska o zachowanie przywileju posiadania czyni je bojaźliwemi w wystąpieniach masowych i sprowadza do zera wartość motoryczną tych klas w poruszeniach ludowych; w charakterze maruderów zdolne są one dążyć za niemi, dopóki łamią przeszkody zawadzające i ich życiu, ale zawsze w myśl zasady „dotąd, lecz nie dalej“. Gdy zaś zaczyna się owo „dalej“, o które ludowi właśnie chodzi, trąbią natychmiast do odwrotu i są gotowe zawrzeć przymierze z wczorajszym przeciwnikiem przeciw zakusom zadaleko idącego sprzymierzeńca.

To dalekie sięganie, jako przeciwstawienie polityki przystosowywania się „do zmienionych warunków bytu“, nie oznacza, że klasy pracujące w swych codziennych konkretnych wystąpieniach nie powinny uwzględniać całokształtu wielorakich warunków chwili, ale są to sprawy taktyki, nie zaś programu, który nie może ulegać chwili, zmieniać co moment swych gwiazd przewodnich, zapominać o swych wielkich aspiracyach.

Uwzględniając istniejące warunki, klasa pracująca nie zapiera się swych ideałów — przeciwnie, stara się z tych warunków w myśl stałych dążeń najumiejętniej skorzystać.

Inaczej zachowuje się mieszczaństwo, które przystosowuje swe aspiracye i pożądania do przemijającej sytuacyi: gdy fala podnosi się—podnosi głowę, gdy fala opada—chowa ją, jak struś w piasek, ujawniając stale brak wiary w swe siły, brak trwałych zasad politycznego postępowania.

Te charakterystyczne cechy obu polityk szczególnej wyrazistości nabierają w naszych stosunkach.

Kilkudziesięcioletni zastój życia, o ile nie zabił wszelkiej myśli politycznej, wykoszlawił ją i wypaczył. Kilkadziesiąt lat bezwładu i bezmyślności odbiły się w fatalny sposób na myśli politycznej narodu, stwarzając płochliwe trzęsawisko, na którym wzrastały tchórzliwe teorye organiczne zarówno polityczne, jak i gospodarcze.

Myśl samoistna i odważna przeszła do tej grupy społecznej, która, zrozumiawszy swą misyę dziejową, ośmieliła się nie biernie konserwować „status quo“, ale dążyć czynnie do zmian, do zdobyczy. Ona jedynie piastowała hasło wielkie, czując, iż z jej potrzeb wypływa ono, jako konieczny warunek i najpewniejsza gwarancya pełni normalnego rozwoju tkwiących w niej sił.

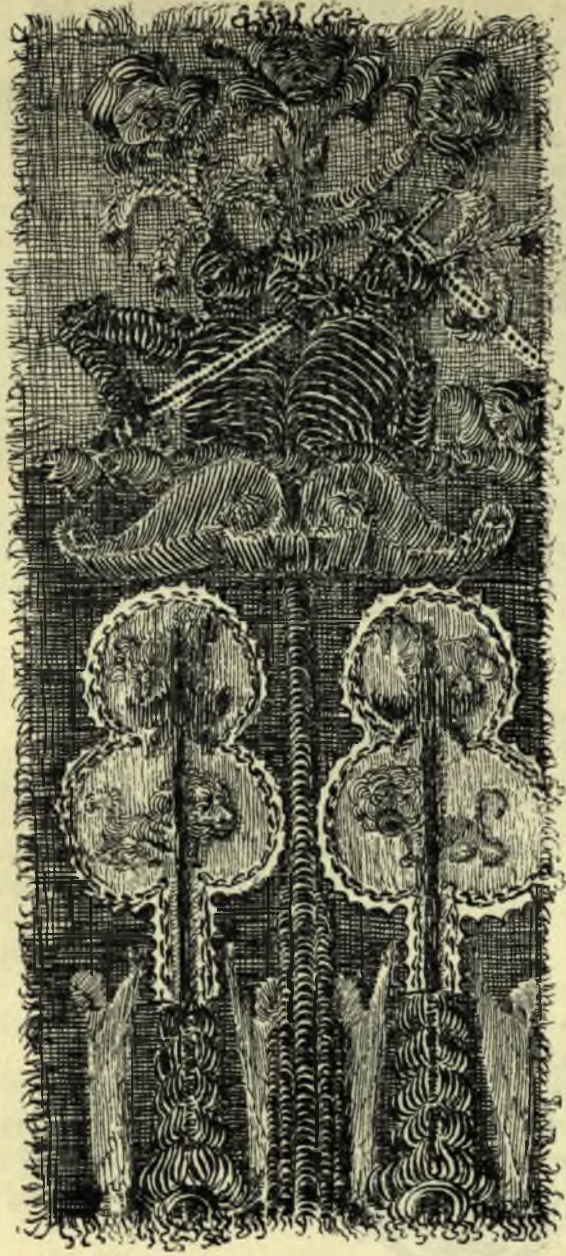
Przez długie lata nic nie było w stanie zachwiać tej wielkiej koncepcyi politycznej, zawierającej w sobie nietylko słuszne aspiracye szerokich mas, ale esencyę z krwi najdzielniejszych pokoleń.

Przez długie lata nikomu z tej grupy społecznej nie przychodziła na myśl zmiana podstaw działania, zmiana polityki zdobyczy na politykę przystosowywania się do przelotnych warunków „dzisiaj“, które jutro odwrócić może.

Jednakże długi okres bezwładu głęboko skaził treść naszego życia politycznego, i niełatwo go wykreślić z rachunków naszego politycznego bytowania — a raczej politycznego niebytu. Na tle tego skażenia rodzą się małoduszne pokusy zmian zasadniczych zarówno w światopoglądzie, jak i w konkretnych przejawach politycznych — pokusy, znajdujące wyraz w mętnych jeszcze enuncyacyach niektórych odłamów klasy pracującej. Zamiast polityki, wynikającej z najistotniejszych potrzeb, zaleca się politykę przystosowywania się.

Wyrzeka się szerokich aspiracyj za miskę soczewicy doraźnych korzyści, nie bacząc na to, że nietylko soczewica znikąd nie płynie, ale sama miska jest tak krucha, że zwykły kaprys potłuc ją może.

Jednostki zarażone duchem mieszczaństwa: jego bojaźliwością, poczuciem niemocy i kurczeniem się za lada zimniejszym podmuchem — schodzą krok za krokiem na grunt jego polityki oportunizmu, zupełnie racyonalnej ze stanowiska burżuazyi, ale ze stanowiska klasowego pracowników tem mniej zrozumiałej, im silniej się je podkreśla.



rys. T. Ulanowski

TAD. ULANOWSKI

Proporzec

Proporzec stary mam:
Utkany w złoty szlak,
Urwany, lecz – ten sam,
Chociaż mu drzewca brak.

„Witeziom dano znak;
„Piorunem zwarli stal...
...Ach, czemuż rąbka brak,
A może był to szal?

Szarfa! w krawacik wiąż:
Stalowy z mężem mąż
Okręcą szyję twą:
Niech się „fontaziem“ zwą!

Nad rycerzami kwiat:
Po białych liliach ślad:
A w każdej główka tkwi,
Co ma wyprute brwi...

Walkirye? Jakbyś zgadł:
Kwiat kwiatu będzie rad:
W krawacie dziewki lwie,
Co się „fontaziem“ zwie.

„Pod rycerzami łuk:
„Ostawił ci go bóg,
„I strzały, strzały dwie:
„Grotami je się zwie...

„A pośród lotnych piór
„Biały kapłanów chór
„Poskramia konie, lwy
„Obrębionymi szwy...

Masz walkę, kwiaty, łuk —
Za chwilę będziesz mógł
Starce i strzały dwie
„Fontaziem“ nazwać – lwie.

Proporcem? Nie, już nie!
To krawat, niech pan tnie!
Pod brodę szpilkę dam...
– Kawaler! ten... ten sam!



WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

V

Droga wiodła ich na poręby, na karczunki, gdzie miejscami na świeżych pleszach drżały w wietrze nieliczne oszczędzone sosny mateczne, — żałobne wytycznie popełnionego mordu. Długie cielska ociosanych kłód morążyły się wśród wrzosów. Na ugniecionych mchach bielały kałuże smolnych wiórów. Młody jagodnik strzelał nieśmiało nad mietliskami rdzawych porzuconych gałęzi.

Włóczęga przysiadł na pniaku gęsto ołzawionym brunatną żywicą.

— Psia kość! To ci narobili! Anibym poznał! — zauważył żałośnie. Spojrzał ku lasowi, który jakby się cofał w popłochu. Posłuchał w stronę, gdzie miarowo, ale zajadle stukały liczne siekiery. Wciągnął w nozdrza zapach drzewnego octu, dziegciu i zgorzelizny, lecący z polesia.

— Ani wątpić! nowosioły!.. któż inny mógłby tyle tajgi zepsuć! Nie, nie pódziemy tędy... Nie uszanują nas tam, nie!

Wsparł się na koszturze, popatrzał, pokręcił głową i poszedł w las, precz od łoskotu siekier i sinych dymów, wijących się nad rozłogiem.

— Sybirski czałdon żółty ma kałdon! To prawda!.. krew z nas przy sposobności wyssie!.. Ale znamy się z nimi jak łyse konie... Te zaś gołopięte lizołapy... niewiadomo nigdy, co i jak... Zuchelek im zgi-

nie, zachodu niewart... Zaraz wrzask uczynią do jęku ziemi... lecą za człowiekiem niemiecką milę, nie zipną... Asmodeusze!..—mamrotał, idąc szparko wskroś zarośli.

Szumski ledwie za nim podążał.

Obiegli daleko gęstwinami niebezpieczne miejsce. Gdy znowu wyszli na haliznę, czerwone słońce, jak wielkie gorejące oko, stało tuż nisko nad łanami wybujałego zboża. Młode, tu i owdzie wytryskujące pióra kłosów płonęły w jego promieniach, jak płomyki jarzących świec. Drożyną między zbożami i zasieką „okolicy", zbudowaną z potężnych, zapadłych i omszałych zwałów drzewnych, włóczędzy pomknęli ku wrotom widniejącym na drodze. Ledwie trącili odźwierze, z budy obok wyjrzała biała, kudłata i brodata głowa.

— A co to?

— Przechodnie...

Stary nakrył oczy dłonią jak daszkiem i przyjrzał im się.

— A ten... cóż taki?!

Wskazał brodą w stronę Wiktora.

— Czarna robota buryacka! Niech ich sam szatan pokocha! — odrzekł półgłosem Wasylicz.

Dziad wylazł całkiem z budy i cokolwiek rozprostował zgięte w pałąk plecy oraz barczyste ramioną. W wyblakłych oczach zatliły mu się słabe iskierki, białe szramy na czole i policzkach zaróżowiły się.

— Aa! Chlizcie do chazy, poseżdońcie!.. — powiedział półgłosem.

Wiktor, który stał na przedzie, nie zrozumiał i nie ruszał się z miejsca; dopiero stary włóczęga trącił go w łokieć z pobłażliwym uśmiechem.

— Właź! Na co czekasz?

Oba dziady za jego plecami znaczące zamienili spojrzenie.

— Muchorta!

Buda była niska, ciemna, cała prawie zajęta legowiskiem ze słomy i suchych liści, przesiąknięta zapachem butwiejących łachmanów i źle strawionego chleba, Wiktorowi wydało się, że wpełznął do złodziejskiej pieczary z ludowych bajek. Wyciągnął się na ziemi, gdyż siedzieć nie było na czem, a stać niepodobna. Starcy, przykucnąwszy u wejścia, rozmawiali nawpół zrozumiałą gwarą więzienną.

Domyślił się z pochwyconych wyrazów, że włóczęga wypytuje o wieś, wywiaduje o jałmużnę i możliwość wszelkiej pożywy. Wśród klątw, wykrzykników, przekręconych rosyjskich wyrazów przewijały się znane mu z etapów „jasaszne majaki“, „sary“ (pieniądze), „czistiak“ (chleb), „strzelać“ (żebrać), „tyryć“ (ukraść)...

— Śpiesz się... Aby przed nocą!..

Włóczęga porwał się do wyjścia.

— Hej! A ja? — zawołał Wiktor.

— Ty?... Ty zostań! Psy tylko swym widokiem nastraszysz, dzieci z całej wioski ściągniesz... Jak ubranie zdobędziemy, jak się „litościwą“ śpiewać nauczysz... — Wtedy co innego... — zobaczymy!

— Co dwóch, to nie jeden... słusznie... zawsze więcej dadzą... To prawda... Ale teraz pożytku nie przysporzysz, jak kozioł mleka — wtrącił stróż.

— Wrócę niedługo, może ci jakie portczyny dziś jeszcze przyniosę. Zostań!.. Chyba, że chcesz swoją goliznę kobietom pokazać... hę? — dodał drwiąco włóczęga.

— He, he, he!.. Łase na to tutejsze baby, och, łase... Tylko, że wszystko chciałyby na darmochę — zaśmiał się stróż.

Wyszli i jeszcze z sobą coś szeptali na drodze. Wiktor nasłuchywał zaniepokojony i niemile dotknięty.

— Cóż, wróci, czy nie wróci? — spytał, gdy stróż ukazał się we drzwiach.

— Co nie ma wrócić? Chyba, że źle „osiodła“!... Wtedy i ciebie, brachu, wezmą... Nasza wieś starodawna...

— Dawno służysz?

— Tu, przy tych wrotach, piąty rok waruję...

— Nietutejszy?...

— Nie, jam daleki, rosiejski...

Umilkł i zaczął popiół rozgarniać na niskiem palenisku pod okopconym otworem dymnika.

Wnętrze budy nasiąkało zwolna gęstym, ciężkim mrokiem. Przez dziury i szczeliny dachu wpadały ogniste smugi zachodu, niby zbroczone krwią dzidy szturmującego wroga. Przy blasku ich stary systematycznie układał szczapy, drewienka, wiórki, niecił ogień i gadał:

— Moja ziemia południowa, pobrzeż ciepłego Azowskiego morza, od Kierczy, od Tuzły... A służyłem niegdyś w wojsku, w samej

stolicy, w gwardyi, w Siemionowskim pułku. Czasy to czasy! nie to, co teraz! Kochano nas, ale nie pieszczono, oj nie! Za byle co uczono rozumu... I nabrałem się ja tych pałek, pamięcią nawet nie obliczę... Bardzo mię lubił nasz pułkownik i rotny też mię lubił... Jak tylko co trudnego, zaraz ja! Pamiętam, raz w pałacu, nie wiem już którego księcia bal dawano... dla samego oficerstwa. W sali wielgachnej jasno, niby samo słońce tam chodzi... Pod ścianami, po rogach postumenty, dalej sofy, fotele, dokoła kwiaty... A na postumentach dziewki gołe, ale żywe... Ładne takie, stoją, nie ruszą się... nie dyszą. Gapili się panowie, kwiaty wtykali, gdzie się dało, rżeli jak konie... Zwyczajnie wojskowi ludzie!.. Aż jedna spadła... Co tu robić? pustego miejsca niemożna zostawić. Jak je zapełnić? Rada w radę... Aż mój pułkownik woła na mnie — na straży stałem u podwoi. Zluzowali mię... Każe zdejmować amunicyę, ubranie... gołemu włazić na słup... Byłem biały jak kość, gładki jak szkło, rosły jak sośniak... Brwi niby dwa sobole, wąsy jak skrzydła jaskółcze... rumieniec na policzkach jak zorza niegasnąca... To się zebrało panów i cywilów przedemną—cały tabun, więcej, niż przed dziewkami. Winem mię częstowali z własnych kieliszków... Ech, pokazaćby go naszym paniom! — gadają. Potem kazali stać na słupie z najpiękniejszą dziewką. „Adam i Ewa“ — powiadają. Żądają, żeby obejmować ją i pod sobą dusić... Pieniędzy mi dali... Były czasy!.. Byli panowie i żołnierze!... Umieli żyć!...“

Rozczesywał krzywymi palcami swą mleczną brodę, która mu gęsto porastała twarz aż po szpary oczu, szeptał w zamyśleniu, patrząc na ogień i rozdymając poszarpane przez kata nozdrza.

— Czasy... czasy... grzechy nasze... głupi byłem... od szczęścia swego uciekłem... Wolności zachciałem... A gdzie ona jest... wolność? Towarzyszy zebrałem, hulałem, rabowałem, po kolana nieraz we krwi i złocie brodziłem i może nawet człowiekiem bym został, ale zgubiła mię słabość serca...

Już wtedy szeroko o mnie wieści poszły, obławy urządzano, okup za głowę naznaczono... Towarzyszy wyłapano... Hulałem za Wołgą. Postanowiłem uciec z „Rosiei“ na Sybir i ustatkować się. Pieniędzy miałem jeszcze trochę... Kupiłem sanie-poszwy, konika gniadego... Beczułkę wódki włożyłem pod siedzenie, chleba bochen, kiełbasy... Z miasta, gdziem się krył, wyjechałem w „buran“ taki, żem konia przed so-

bą nie widział... Liczyłem, że znam okolicę, jak matkę rodzoną, i przeliczyłem się... Ciemno było... nie wiadomo, czy noc czy dzień... Sanki jak łódź pływają po wydmiskach... Opamiętałem się rychło, żem zbłądził... Ale zamiast szukać drogi i po śniegu brodzić, od czego się w taki czas siły jeno traci, odzież macza i marznie, układłem się na dno sani, nakryłem derą, a gniademu dałem wolny paszport, niech szuka wedle swej myśli... Czuwam nie czuwam, ale też i nie śpię!.. Nagle zatrzymały się sanie, uderzyły o coś hołoble... Uniosłem derę, patrzę... Przedmiot czarny, wielki jak miejska kamienica... Gniady skubie zeń i źre... Stóg... A obok drugi koń i drugie sanie, jota w jotę jak moje... Na saniach siedzi figura... Podchodzę, pytam. Milczy. Biorę za rękaw, nie rusza się... Twarz cała zawiana śniegiem. Na kożuchu i czapce skorupa lodu... Chciałem bliżej popatrzeć, kogo Bóg dał... Czapkę z czoła zsuwam... Figura leci w tył, jak nieżywa... Dobryś!.. Chwyciłem ją delikatnie na ręce i do moich ciepłych sani wwaliłem... Poszedłem dokoła stogu poszukać, czy niema więcej towarzyszy... Pusto... Tylko zamieć wije i wije dokoła stogu w ciemnościach białe nici, niby kądziel dyabelską... Chciałem stóg zapalić, aby się ogrzać, ale uląkłem się... Może gdzie blisko „zaimka"... Spostrzegą... na ślad trafią... Czerniało coś niedaleko... Przywiązałem cudzego konia do moich sani. Pojechałem ku tej czarniawie... Był to las. Wiatr tu mniej dokuczał... Znalazłem zaciszną wądolinę... Odszukałem suchą sosnę złamaną... Siekierę zawszem z sobą woził... Naszczypałem trzasek, rozpaliłem wielkie ognisko... Zrobiło się ciepło... Śnieg wokoło rozmiotłem, udeptałem, gałązek jodłowych na dno nakładłem — jedną z „poszni" saniowych postawiłem bokiem od wiatru, niby szałas. Wtedy figurę z moich sani wyciągnąłem, z śniegu oczyściłem, na gałązkach położyłem, zacząłem zwolna ją ze szmat rozpowijać... Ciekawym, kogo Bóg dał... Dziwo!.. Dziewczyna... młodziutka, dostatnio ubrana... Leży, ani się ruszy, nie dychnie, oczy zamknięte... niby śpi... Biała taka, ładna, niby kwiatuszek ścięty... Zęby równiutko z pod zaciętych ust błyskają, na rzęsach szron topnieje, niby łzy... Wyjąłem beczułeczkę z wódką i przez słomkę zacząłem jej z ust do ust lać ciepłą gorzałkę...

Odetchla cichutko... Ostrożnie jąłem zdzierać z niej zlodowaciały kożuch, mokre przemarzłe obuwie, pończochy... Roztarłem nogi, ręce... Pocieplały... A takie były cienkie, krągłe jak badylki, a takie były mię-

kie jak atłas... wiadomo — dziewczyna! Zwlokłem resztę przesiąkniętego śniegiem ubrania... w jednej została koszulinie... Widzę, że budzi się... Zaróżowiły się policzki, drgnęły rzęsy. Rączyną chwyciła giezło pod szyją, nie daje tasiemek rozwiązać... „Głupia, ciało pomrozisz... trza wysuszyć“ — mówię. „Nie, nie!“ I nagle oczy otwarła i z taką trwogą na mnie spojrzała, jakby umrzeć zaraz miała... Znów jej usta zbielały... drży!.. Litość mię wzięła... Odsunąłem się, własnym kożuchem ją nakryłem, pytam, co i jak... Wyjechała z miasta do ciotki niedaleko, i wichura ją zamiotła. Opowiada składnie, co w domu i jak... Zupełnie najmłodsza moja siostrzyczka i nawet podobna... Takież oczy szare i ciemne rzęsy nad niemi i brwi... Zupełnie zgłupiałem... Zamiast pobawić się z nią, jak przystało wedle naszego zakonu, a potem rozedrzeć... Gawędzę z nią, rozpytuję... A potem, gdy zamieć, ucichła wywiodłem ją na drogę do miasta... I cóż: wydała mię! Pewnie pochwaliła się cudownem ocaleniem... A brat albo ojciec domyślił się, że to ja, połakomił na nagrodę i dał znać do policyi... Schwytano mnie...

Umilkł, brwi najeżył i brodę gwałtownie w garść schwycił.

— Jużem potem nigdy nie był głupi, he, he!

Biała szrama na czole znowu napłynęła mu krwią, broda i kudły na ciemieniu zaruszały się jak srebrne jeże, rozdarte nozdrza zadrgały jak skrzydła potwornego chrabąszcza.

— Coś nie idzie twój stary... Nie udała mu się pewno strzelanina... Późno!..

— Owszem — idzie!..—odrzekł Wiktor, nasłuchując.

Na drodze niedaleko miękko człapały postoły, cicho wtórzyły im uderzenia kosztura. W ciemnym otworze drzwi ukazała się wyleniała futrzana bermyca Wasylicza, a następnie i cała jego postać, podobna do kupy szarych łachmanów.

— A niech im Bóg da zdrowie!.. Uszanowali należycie. Nadawali więcej, niż trza... Doskonałej wsi stróżujesz, stary... wybornie... doskonałej wsi. Sam nie oceniasz, jaki masz skarb!... Wszystko jest, wszystko w przenajlepszym porządku... Widzieliście?!

Wyjął zza pazuchy dwie butelki wódki i miłośnie, pieczołowicie je na boku postawił. Roztkliwiony stróż przeżegnał się bogobojnie, wziął kociołek i, nie zwłócząc, ruszył po wodę do nocnej uczty.

Tymczasem Wasylicz wyciągał resztę zapasów: kołacze, piero-

gi, placki — i rozkładał je przy ogniu. Był tam nawet cukier i herbata.

Podjedli sobie, napili się herbaty i dopiero wtedy sakramentalnie otworzyli butelki. Stróż nie mógł ukryć wzruszenia, chrząkał jak stara kaczka, oczekując poczęstunku...

— Pij, chlaj, stary!.. Znaj prawdziwych włóczęgów! Pewnie dawno nie miałeś takiej gratki... — puszył się Wasylicz, podając mu wyszczerbioną filiżankę.

— Skąd zaś! Tego, co przejezdni dają, starczy ledwie na szmaty... A i jacy tutaj przejezdni... Samo chłopstwo nieubrane. A gmina nietylko nic nie płaci, ale jeszcze odemnie myta prosi. „Bogacisz się!“ —gadają... To dla was tylko, tułaczów oni serce mają... Ano i o „kogucie czerwonym“ też pamiętają... A ja co?! Dokąd się podzieję!.. Nogi, ręce nie służą... oczy nie dowidzą... uszy nie dosłyszą... Gniję na miejscu.

— Cóż, Ignac, zmarkotniałeś? Na, bierz i ty! Napij się... A co się tyczy portek i koszuli... to nie dostałem ich... Będziesz jeszcze musiał w swej pochodzić liberyi... — dorzucił Wasylicz, łypiąc swawolnie oczkami.

— Gdybyś zamiast dwóch butelek kupił jedną, toby na koszulę starczyło... — odrzekł niechętnie Szumski.

— Co?.. Słyszana rzecz? Toż to nie wiesz, człowieku, że prawdziwy włóczęga z siebie zedrze a przepije... Nieee!.. Ty, widzę, ptak... ptak, ale z nieznanego kraju i „chamło“ to ciągniesz, jakby cię ząb bolał.

— Nie martw się! — pochylił się dobrotliwie stróż ku młodzieńcowi. — Nie martw się... Jutro ja cię skieruję tu do jednej żołnierki, co cię za jedną noc pobytu ustroi... jak z morskiej piany wydmuchnie!.. A i sama baba niczego... szero-o-oka... rozłożysta!..

— Ho! ho! A może i mnie starego przy tej okoliczności nakarmi i napoi... — śmiał się Wasylicz.

— To się wie! Za ogiera i to rubla płacą...

— Ho!.. ho!.. ho! Słyszysz, Ignac!... Kapitały zbierzemy, jak dobrze pójdzie!

Szczerze śmieli się, otwierając szeroko czarne paszczęki i jeżąc siwe brody, tak że ginęły w nich doszczętnie i skurczone, pokiereszowane nosy i zmrużone, zaropiałe oczy i sieć zmarszczek potwornych, ryjących im twarze.

Szumski zcicha gwizdał, aby ukryć zmieszanie.

„Powiernuwsia ja z Sibiru,
„Nima mene doli,
„A zdajetsia nie w kajdanach,
„Jednakże w niewoli...“

Zaśpiewał nagle stróż głosem ochrypłym, nadpękniętym — jak z rozbitej beczki.

— Cichaj, cichaj! Ty nie umiesz, ja ci zaśpiewam Kainową — przerwał mu Wasylicz i, zasłoniwszy oczy ręką, kołysząc się z boku na bok, zawył żałośnie:

To nie trawka się kołysze pośrodku pola,
To kołysze się moja niedola,
Moja bezdomna głowa zuchwała!..
W bory się rzucił mołojec żwawy,
A już po borach stały zastawy,
I już straż nocna czujnie czuwała...
Pyta o pasport, o drukowany,
Z tłoczoną w laku krwawą pieczęcią,
Na białe ręce kładzie kajdany,
Zawiera wrota mocną wrzeciędzą...
. . . .

— Na, bracie!.. Siulim! — częstował go stróż, który wszedł nagle w rolę gospodarza, razwraz nalewał drżącą ręką filiżankę, sam pił i śpiewakowi podawał.

— Haim, bracie! A teraz razem! O carze, o Iwanie...

Podparli policzki dłońmi i, pochyliwszy głowy na bok, zawodzili cieniutko:

„Bili zucha, bili na pręgierzu,
Na perłowym bili go rozstaju,
W noworoczne bili go mroziska
Żelaznymi bili go prętami...
Stoi siłacz, ani się poruszy,

Ani zadrżą mu kręte kędziory...
Ino z oczu płyną łzy gorące...
I podjeżdża doń car prawosławny,
Prawosławny car Iwan Groźny...
Nie złota zagrała to trąbka,
I nie srebrne zagędźbiły rogi,
Ino ozwał się car Iwan Groźny...

Tak podśpiewywali sobie, częstowali się wzajem, przechwalali się, wymyślali sobie, swarzyli się... O Szumskim zapomnieli zupełnie. Wreszcie pobili się. Chwycili się za brody, zwarli łbami w cichości, jak dwa omszałe pnie, i potoczyli się w samo ognisko. Wiktor skoczył i w porę ich rozłączył, gdyż nad przyduszonym do ziemi gospodarzem już błysnął nóż w garści włóczęgi. Gdy Wiktor nóż mu odebrał, wściekły stary rzucił się nań z kolei i powalił, chwyciwszy za nogi...

— Puść, puść, a to cię wydam!.. Ścierwo... polityku... Myślisz, że nie wiem, coś za jeden?!... W pierwszym powiecie cię sprzedam, judaszu!.. Carobójco! Nie oszukkaszsz!.. — syczał włóczęga, starając się schwycić młodzieńca za gardło. Wreszcie padł zmożony przezeń, zachrapał nagle, jak konający, i usnął w mgnieniu oka.

Wiktor podniósł się na klęczki, odetchnął chwilę, rozplątał włóczędze pod gardłem zawiązki, zdarł zeń koszulę, poczem uniósł ją w ręce przed ogniem... Łachman zagrał krwawo, jakby skąpany w posoce... Młodzian wzdrygnął się, spojrzał na chude, czarne, pocięte bliznami od rózeg ciało włóczęgi i w zamyśleniu znów go pieczołowicie nakrył zdartą zeń szmatą. Odsunął nogą nóż, siekierę, torbę z chlebem, leżące na drodze, i wyszedł nazewnątrz nagi, jak wszedł.

Jakby nabrzmiała od natężonego blasku pełnia księżyca zalewała zielonawą poświatą dalekie lasy, pola i wieś, ku której zawrócił Wiktor. Czarne cienie chat kładły na drodze nierówny łańcuch wielkich kanciastych plam. W ucichłych budynkach, białych od miesiąca, jak przepalona kość, błyskały matowo ciemne okienka, niby ślepia szczelnie przywarte powieką. Zamknięte drzwi nieufnie strzegły progów. Z za płotów, z za wrót, z dalekich zacieniów gumien w miarę, jak je mijał, cicho, leniwo ujadały rozespane psy.

Wiktor, idąc środkiem ulicy, pilnie spoglądał na obie strony, na

małe półeczki podokienne. Wreszcie w ostatniej chacie dostrzegł na jednej z nich drobne, czarne przedmioty... Podszedł i schwycił je łapczywie... Były to słynne sybirskie „sawatejki" z czarnej, jak ziemia, mąki, umyślnie wypiekane przez oszczędne gospodynie dla włóczęgów... Wydało mu się, że w głębi okna w chacie zamajaczył jakiś cień, więc zastukał ostrożnie... Istotnie poza szybami zabielała brodata twarz chłopska... Wiktor ukazał mu giestem błagalnym swe nagie ciało.

— Koszulę!..

Chłop znikł, po chwili wrócił i pokazał mu siekierę...





WACŁAW MAKOWSKI

Na temat „Dziejów Grzechu"

II

Najsilniejsze zpomiędzy postaci tragiedyi „Dziejów Grzechu" to dwie odbijające od reszty, to dwaj przedstawiciele zła bez obłudy i bez pozorów: to Pochroń i Płaza—Spławski.

Cham Pochroń ma chamską siłę; to jest ten żebrak, który przestał wyciągać okaleczoną rękę, a ujął nóż, przestał jęczeć, a począł zabijać. Płaza to jednooki filozof zła, filozof praktyczny, który jednak zanadto jest wytworny, by sam miał teoryę swoją w czyn wprowadzać: woli używać brutalnej siły Pochronia. I to są jedynie dwaj ludzie zdolni do wprowadzania woli swojej w czyn, dwaj, którzy posiadają siłę realizatorską. Ale i ta siła jest bardzo względna. Idzie ona w kierunku małego stosunkowo oporu. Nie potrzebuje walczyć, zdobywać nic, nic tworzyć. Zrodziła się ona nie wbrew nakazom życia, ale właśnie z tymi nakazami w zgodzie. Nie występuje ona przeciw życiu, ma tylko dość odwagi, aby konsekwencye życiowych założeń doprowadzać do końca, nie cofać się przed niemi i, kiedy trzeba, w czynie je uzewnętrzniać, choćby czyn ten był tylko zwyczajną zbrodnią.

Zapewne—jest to siła, ale ta pośledniejsza, siła mięśni, sprytu, pospolitych żądz, które żyją zarówno dobrze w Szczerbicu i Bodzancie; tylko Szczerbic będzie je niedość wyraźnie tłumił, Bodzanta—zadawal-

niał w tajemnicy, Pochroń i Płaza—otwarcie, przemocą, bez maski. Toteż, gdy Płaza odnajdzie Ewę u Bodzanty, Ewa pójdzie za cynicznym Płazą, bo wszak treść ta sama, a kto wie, czy nie bardziej obmierzłym jest pozór kłamany, jest słabość wstydząca się siebie, niż bezwstyd siły —choćby brutalnej.

Tą siłą Pochroń i Płaza zagarną i przywiążą Ewę, a choć będą ją mierzić ich płaskie instynkty, ich brudne ręce „z czarnymi pazury", choć będzie chwilami próbowała ucieczki, to dokądże pójść ma? Z objęć Pochronia w objęcia wszystkich ojców rodzin, urzędników, nawet księży miasta Kielc; z łoża Pochronia w łoże Bodzanty. Wybór zaiste niewielki.

Pochroń ją będzie bił. Ale czyż nie jest gorsza moralna chłosta, jaką przeżyć musi dzięki Łukaszowi, nie gorsza ta świadomość, że popełnia obłudną zbrodnię przeciw ideałom, kiedy się oddaje Bodzancie, nie gorsza nawet ta zewnętrznie tak odmienna propozycya Szczerbica, w gruncie tak samo chłoszcząca, wyrzucająca poza społeczeństwo, piętnująca nazawsze—? A wszystko to upowite kłamstwem niedołężnego poddawania się, ustępowania przed życiem. Pochroń w niczem od nich nie gorszy, tylko śmielszy i konsekwentniejszy, silniejszy.

Więc cóż — apoteoza zbrodni, bo ona sama jest silna? To prawdopodobnie nie, ale napewno szukanie mocy, i może stąd wniosek rozpaczliwie smutny, że niema na ziemi, w ludziach mocy krom w zbrodni, że niema takich, coby życie do swojej woli słonecznej nagiąć potrafili, a jeśli są silni, to tylko brutalnej krzywdy życiowej zbiry.

Szukanie mocy —

Bo gdyby Łukasz nie był kłamał, mówiąc o swojej sile, gdyby był silny naprawdę, to nie stałby się życia igraszką, a Ewa nie stałaby się kwiatem więdnącym w jego ręku. Jakby postąpił Łukasz silny: czy siła jego polegałaby na wstrzemięźliwości, na cieszeniu się wonią róży na pniu, czy może potrafiłby wespół z Ewą, inną, silną Ewą, pójść wbrew niedającym rozwodu żonie i Rzymowi, wbrew ludzkim przesądom i społecznym kajdanom, stworzyć sobie własne życie, takie, jakiego pragnęli oboje—? Tak lub inaczej dramat by się nie stał, Łukasz, mocny człowiek, nie jęczałby, leżąc w szpitalu po pojedynku, nie kradłby rękopisów w Watykanie, nie czyniłby wielu, bardzo wielu rzeczy z tego, co uczynił Łukasz kłamiący przed sobą i Ewą, i społeczeństwem,

i żoną, i Rzymem. A wtedy i jego i Ewy życie poszłoby innym torem, i nie staliby się niedołężnemi ofiarami przypadku, zbiegu okoliczności, nieprzewidzianych poszukiwań wzajemnych po Europie i t. d. i t. d. Nie byłoby bladej i anemicznej miłości Łukasza, chwilami rozpalającej się żądzą, nie byłoby szalonych, rozpaczliwych dni męczarni Ewy na przedmieściu Lublina, tej całej bezradnej walki, kończącej się przerażającym momentem zabójstwa dziecka, nie byłoby tego wszystkiego tragicznego splątania wypadków, tej całej niedoli i krzywdy.

Gdyby silna była Ewa, nie byłaby zapewne, jak kwiat, czekający tylko na rękę, która ją ma zerwać dziś czy jutro, potrafiłaby znowu do siebie i woli swojej nagiąć życie i stać się czemś więcej nad kochankę Pochronia i „sekretną nałożnicę Bodzanty"; nie miotałyby nią fale życia bezwolną i bezradną, nie byłoby tragiedyi.

I gdyby silny był Szczerbic, potrafiłby wywieść Ewę z tego stanu, w jaki po katastrofie z Łukaszem popadła, a czyby uczynił ją swoją kochanką, żoną, wszystko jedno, czyby ją wziął i przywiązał nową, może nie taką jak pierwsza, ale ostatnią rozpaczliwą miłością, — czyby ją otoczył przeczystym i przeanielskim powietrzem samych lilijnych i świętych ekstaz, potrafiłby ją wzmocnić siłą ze siebie płynącą i stworzyć nową Ewę, Ewę żywą, nietylko pragnąć i nie módz wyssać resztki słodyczy z więdnącego kwiatu. A dramat, jeśliby był, to zcichłby wobec potęgi pełnego wzrastającego życia, co żywicznym sokiem zasklepia dawne rany.

Gdyby silny był Jaśniach, gdyby umiał sam nad swoją wolą panować, nie podnosiłby na siebie samobójczej ręki, i nie byłyby może płonnem tylko rozmyślaniem jego marzenia o ludzkiej szczęśliwości, o tępieniu kołtuństwa, a Ewa przy nim nie byłaby tylko znudzoną, wreszcie przypadkową szarytką, potrzebną do spełniania posług przy chorym: stałaby się człowiekiem żywym — i jeszcze był czas do przełamania tragiedyi.

A nawet czas był i na Majdanie, gdyby był silny — Bodzanta. I nietylko stosunek tych wszystkich ludzi do Ewy, ale cała ich epopeja życiowa układałaby się inaczej, i całe życie inne by było, krzywdy by nie było w życiu, nie byłoby „grzechu" ni tragiedyi z tego „grzechu" płynącej.

Na tle ogólnej krzywdy życia, jak zarażającej powietrze gruźlicy, przenikającej wszędzie, wciskającej się we wszystkie szczeliny, gnojącej płu-

ca ludzkie i dusze ludzkie,—na tle tego życiowego gnojowiska rozgrywa się tragiedya ludzi słabych, i niemasz wokrąg innych ludzi prócz słabych, bo nie są wyjątkiem z ogólnej niemocy dwaj bandyci, bo i oni są zasłabi na to, by stać się czemś innem, by życie do siebie, nie siebie do wymagań życia, naginać, i, mając siłę działania, są natomiast najsłabsi ze wszystkich wolą opanowania życia.

Czy to wypadek, czy wynik świadomej tezy? Chyba to drugie. A jeśli tak, to teza będzie brzmiała zapewne: słabi są ludzie wszyscy, słabe są Ewy, i słabość ich prowadzi do „grzechu", słabi są Łukaszowie, Szczerbice, Jaśniachy, Bodzanty, Pochronie, Płazy — i słabość ich tworzy karykaturalną, niedołężną tragiedyę, żebraczą nędzę życia: jęczą miast zabijać, a jeśli zabijają, to tylko z niemocy, z lęku, tylko podstępem i tylko żeby się czegoś pozbyć, nie żeby coś stworzyć.

Taka jest naga myśl, wydobyta z pomiędzy pasma przepysznych obrazów, od podwórza warszawskiej kamienicy, od przedmieścia brudnego Lublina, do słonecznych nadmorskich skał Monte Carlo i śpiewu fal morskich na brzegach Korsyki, skąd widać zdala we mgle, jak chmurę, jak obłok, Elbę, tę samą, co się stała widmem Napoleona, wielkiego i silnego człowieka.

Kiedy Ewa przyjeżdża z Jaśniachem na Korsykę, kiedy musi przed nim swój „grzech" wyjawić, kiedy mu powtarza: „Ja... zabiłam własne dziecko", Jaśniach mówi jej:—„Patrz, Ajaccio... Tam się w ciasnej uliczce urodził Napoleon, którego niedościgły Hoene Wroński nazywa „człowiekiem całej kuli ziemskiej". Pomyśl, ilu on ludzi zamordował, aby spełnić swe dzieło. Podnieśmy się ku niemu — i patrzmy mu prosto w oczy nieustraszoną źrenicą. Stańmy się jego następcami z ducha". A indziej, patrząc w mgławe zarysy wyspy majaczącej nad połyskliwą grą morskich fal, powtarza Ewa słowa tegoż Napoleona: — „Hasło nasze Elba" — mówi na znak nowych życiowych dróg, na znak rodzącej się w niej żądzy czynu, tęsknoty za siłą, mocą, zwycięstwem — Mówi tylko. Czynić nie zdoła, parę nieudolnych, w zarodku przez niemoc stoczonych wysiłków, to wszystko, na co się zdobędzie — Ale hasło rzucone pozostało dla nas — pozostało jako wytłumaczenie tragiedyi.

Dziwne, jak zdawna pokutuje Napoleon w literaturze naszej, jako symbol bohaterstwa, mocy, realizatorskiej siły; nie mieliśmy takich u siebie—przyniósł go do nas Mickiewicz, wyidealizowanego, podnie-

sionego do półboskiej potęgi. Dziś Żeromski razwraz cytuje Mickiewicza, czy to w słowach Jaśniacha czy Bodzanty, marzyciela czy nieudolnego realizatora Mickiewiczowskich wskazań, za nim podnosi i symbol Napoleońskiego bohaterstwa. Już przedtem pokazał go nam w „Popiołach" tchnącego tajemniczą siłą, wznowił teraz w symbolu. Ludzie, bądźcie Napoleonami swoich marzeń, — powtórzył za Mickiewiczem.

Temu wolno było mordować ludzi, bo on był mocny, on tworzył, on mordował, aby spełnić dzieło, ale niewolno mordować Ewom ni Pochroniom, bo oni nic nie tworzą, ich zbrodnia jest grzechem, grzechem niemocy, poddania się, lęku. Tylko o takim grzechu może tu być mowa; błądzą ci, co szukają w powieści zagadnienia grzechu, na sposób średniowieczno-chrześciański postawionego. To problem dawno przebrzmiały, i płytki problem chrześciańskiej czy deterministycznej doktryny filozoficznej: ta doktryna czy inna to wszystko jedno, chodzi o życie, tego życia całą rozciągłość i głębię, a ta się w onych doktrynach nie mieści.

Ksiądz mówi: „Grzechem jest zły czyn człowieka. Grzech jest obrazą Boga". I ksiądz ma racyę, bo czy nie jest złym czynem i grzechem słaby, niedołężny idealizm Bodzanty, czy nie jest złym czynem i grzechem wyszrubowana przez żądzę szlachetność Szczerbica; czy nie jest grzechem i obrazą Boga każdy z tych czynów tak mało w sobie twórczej boskości mający, — czynów, które pełnią na każdym kroku wszystkie osoby tragiedyi? Chyba jest.

Więc mniejsza o doktrynę, o określenie, chodzi o samą życia i czynu istotę, a tą jest twórcza, realizatorska moc. A wtedy jakkolwiek będziem nazywali czyny, to nie zmieni ich istoty i skutków: wielkie i mocne będą tworzyły i zwyciężały, małe i niedołężne będą „grzechami".

I stąd jeśli spojrzymy na całość dzieła Żeromskiego, to poza prawdą i głębią psychologicznej analizy dusz człowieczych zobaczymy w tych duszach coś niby symbole, symbole życiowej niemocy, życiowej krzywdy. I to ciężkie, rozpaczliwe, beznadziejne przygnębienie, które szło na nas z tych kart, kiedyśmy patrzyli na pokalanie Ewy, pryśnie.

Zdawało się zaprawdę, że niema wyjścia, że życie musi zdławić człowieka, „że człowiek przed losem swym próżno ucieka", że jakaś

fatalność prawie grecka prześladuje i z nóg zwala. Tak się plątało wszystko dziwnie po to, by Ewę zniszczyć, tak szło za nią nieszczęście, jak szatan, tak załamywało każdą jej ścieżkę.

Straszne byłoby to i rozpaczliwe, gdyby szło z jakiejś poza człowiekiem istniejącej siły wrogiej, szatańskiej po średniowiecznemu.

A jeśli to leży w człowieku, jeśli przyczyną zła—niemoc człowiecza? To wówczas—„Hasło nasze Elba!"—„Stańmy się jego następcami z ducha". Bądźmy Napoleonami swoich marzeń o szczęściu.

Jest wyjście. Niedola wasza i niedola człowieczeństwa z niemocy płynie. Obudźmy siłę w sobie. Bądźmy własnego losu i losu świata tworzycielami, kowalami form, a zwyciężymy życie, i szczęście samo przyjdzie do naszych stóp. I nie będzie dramatu Ewy, ni dramatu Łukasza, ni Szczerbicowego dramatu, ni Bodzanty przełamań, ni Pochroń nie będzie wspominał swoich bękarcich lat dziecięcych ani etapów więziennych, ni Płaza nie będzie rozkazywał, bo w każdym będzie moc rozkazywania, Pobratyński nie będzie szukał posady, a Horst gnił w knajpie — Nie będzie tego łańcucha dramatów i nie będzie tej tragiedyi życia — Ale do tego potrzeba mocy, napoleonowej mocy realizatorskiej.

I oto z ponurego obrazu, jaki się w „Dziejach Grzechu" roztoczył, wyrasta witeziowa postać zwycięzcy, człowieka wielkiego, wolnego, silnego. Niema go w powieści, nie wystąpił on w niej, bo gdyby zszedł na ten padół, zdołałby go rozjaśnić promienistością swoją, zdołałby gromy nieszczęść odwrócić, ujarzmić, w inne łożysko losy ludzi pchnąć. Ale myśl o nim jest. I z koniecznością narzuca się on *a contrario*. Tak na białym arkuszu papieru kładzie artysta czarne węglowe plamy, beznadziejnie czarne, splątane, chaotyczne, a oto, patrzmy, zpomiędzy tych plam wyłania się postać człowiecza, olbrzymia, świetlana, biała. Myśmy myśleli, że artysta maluje tamte plamy czarne, że one są istotą, a reszta to papier tylko, a stało się odwrotnie.

Po to wystąpiła w powieści krzywda i niemoc człowiecza i klęska, żeby się stać konturem dla nienamalowanego ideału człowieka silnego, zwycięzcy —

Tęsknotą do mocy twórczej życiowej są „Dzieje Grzechu" —

MARYA MARKOWSKA

Z melodyj śmierci

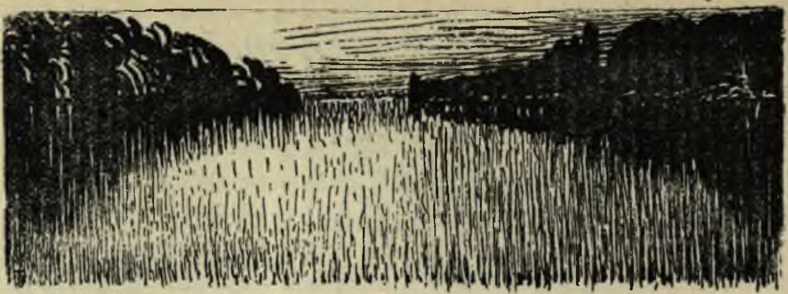
Za liściem liść... za liściem liść...
Wiatr w nagich drzewach gada...
I żenie precz, i każe iść
Melodya listopada...
Za liściem liść... za liściem liść...

Nic ci już ze mnie... popiół szary...
Pełga iskierka blada...
Kąty zaległy cienie—mary,
Śmierć u wezgłowia siada,
Mądrą źrenicą w duszy próchno
Zaziera... patrzy... bada...
Na skrzypce swojej gra cichuchno
Melodyę listopada...
Za liściem liść...
Za liściem liść...

Nic ci już ze mnie... zewłok lichy...
Już się mgły—płaczki wiodą,
I pacierz szepcą olchy—mnichy
Nad obumarłą wodą...
Chór mroków płynie... słońce zgasło
Za ciemnych borów ławą...
Idzie pogrzebu głuche hasło
Nad łąk pustacią rdzawą...
Za liściem liść...
Za liściem liść...

Nic ci już ze mnie... ostów puchy
Nad osmętniałą skronią...
Szarego ziela pęk ostał suchy...
Ćmy na pogrobne dzwonią...
Zagasło słońce, zgasło słońce
I nocą grób zawarło...
Wybiegły w pola wichry—gońce
Rozpaczać nad Umarłą...
Za liściem liść...
Za liściem liść...

Przysuj mnie, śniegu, śniegu biały,
Na ciche, długie spanie,
Póki wiosennych dni hejnały
Nie zagrzmią: Zmartwychwstanie!



A. S.

W sprawie szkolnictwa

Od szkoły rządowej do szkoły polskiej, którą pozostawił nam w spadku okres wolnościowy, przejście było tak gwałtowne, że rok ubiegły nawet rokiem próby nazwanym być nie może. Umysły całego społeczeństwa były zbyt jeszcze wzburzone przeżytymi i przeżywanymi wypadkami, aby tryby nowej machiny szkolnej prawidłowo funkcyonować mogły. I rok bieżący nie pozwala jeszcze wyrokować o wewnętrznym ustroju naszego szkolnictwa. Nie ulega kwestyi, że znajduje się ono w pierwszej fazie swojego rozwoju, że ma przed sobą długą drogę doskonalenia. Wszakże z doświadczeń, które przyniosło dwuletnie istnienie szkoły prywatnej w Królestwie Polskiem, z całą pewnością wynika jedno: szkolnictwo nasze oparte jest na bardzo kruchych podstawach finansowych, a wielu zakładom naukowym grozi bankructwo. I nic dziwnego. Szkoła prywatna, egzystująca bez pomocy państwowej, jest wszędzie pewnego rodzaju zbytkiem lub ideą: zbytkiem, na który pozwolić sobie mogą wybrani,—ideą, popieraną przez jednostki. Nasza szkoła prywatna nie może być ani zbytkiem, ani ideą: jest koniecznością, jest potrzebą, bez której społeczeństwo cywilizowane obejść się nie może. Tymczasem szkoła nasza ze względu na wysokość wpisowego dostępna jest tylko dla dzieci sfer zamożnych. Więc mniej zamożni rodzice walczą z wysokością wpisów, a rezultatem tej walki jest uwalnianie od opłaty szkolnej ogromnej ilości dzieci. Ta ilość w niektórych zakładach naukowych dochodzi do 30—40%

ogólnej cyfry kształcącej się młodzieży. Rzecz prosta, że taki stan rzeczy zmusza właścicieli szkół do łatania niedoborów kosztem tych, którzy wpisy opłacać mogą, a to prowadzi znowu do podwyższania wpisów. W takich warunkach szkoła prywatna u nas stawać się będzie coraz droższą, a co za tem idzie — coraz niedostępniejszą dla szerszych warstw społecznych.

Zło jest wielkie, a jak dotąd próbowano mu zaradzić za pomocą filantropii. Wieczorki, bale, rauty, koncerty, składki, zbierane przez pisma, — oto wszystko, na cośmy się wobec widma wydalenia, grożącego setkom dzieci, zdobyli. Jak zwykle, zapomniano o tem, że filantropia w najlepszym razie przynosi pożytek tylko jednostkom. Tymczasem sprawa szkolna jest sprawą całego społeczeństwa, a niema takiej filantropii, któraby przyniosła ulgę *całemu społeczeństwu*. I pewną jest rzeczą, że najszersza akcya filantropijna nie zaradzi złemu. A więc trzeba środków nowych, poważniejszych, potrzeba akcyi zbiorowej, potrzeba woli samego społeczeństwa. Kruchość podstaw finansowych naszego szkolnictwa odczuwają dziś wszyscy i niewątpliwie wola taka istnieje, ale brak jest cementu, któryby te atomy woli skupił w jedną potężną wolę społeczną, brak umiejętnej inicyatywy, któraby pokierowała rozstrzelonemi usiłowaniami i wskazała źródła szerokiej samopomocy. Dla sprawy tej prasa nasza powinna jaknajszerzej otworzyć swe szpalty: każdy głos, każdy projekt, mający na celu skupienie sił rozproszonych, powinien być omówiony i wysłuchany.

Nie mam zamiaru podawać konkretnych projektów, sądzę jednak, że trzebaby powołać do życia jakąś nową sprężystą organizacyę, któraby się porozumiała ze wszystkiemi towarzystwami, mającemi styczność z oświatą, i do akcyi swej wciągnęła jaknajszersze warstwy społeczne.

Trzeba poruszyć ogół.

Inaczej szkolnictwu polskiemu, — i to należy powiedzieć bez ogródek, — grozi ruina. Na stworzenie tego szkolnictwa czekaliśmy lat kilkadziesiąt, upadku jego doczekać się możemy w ciągu lat kilku.



W. LIS

Kto zagraża pokojowi?

Dziwne u nas można zauważyć zjawisko. Prasa nasza nie ma możności zajmowania się polityką wewnętrzną, jakby tego chciała, wskutek czego poświęca do przesady znaczną uwagę sprawom zagranicznym. Tymczasem niema kraju, w którymby przeciętny inteligient tak mało oryentował się w ogólnych tendencyach polityki międzynarodowej, jak u nas. Większość przekonana jest dotychczas, że główną „kwestyą“ w stosunkach między różnemi państwami jest antagonizm Anglii i Rosyi, że wszystkie inne sprawy układają się odpowiednio do tego; że zatem, ponieważ „droga do Indyi prowadzi przez Konstantynopol“, więc Turcya jest sojuszniczką Anglii, a wrogiem Rosyi, ponieważ zaś król angielski ścisnął obręczą sojuszów swego synowca Wilhelma, więc istnieje naturalna przyczyna do porozumienia Niemiec z Rosyą i t. p. W rzeczywistości pogląd powyższy, jak i wszystkie zeń wysnute wnioski należą w całej pełni do historyi starożytnej, gdyż stosunki lat ostatnich zupełnie odmiennie się ułożyły.

Przed laty trzydziestu kilku można było z zupełną pewnością twierdzić, że interesem życiowym Anglii jest zachowanie Turcyi, jako potęgi militarnej. Miało to dwie przyczyny. Anglia z obawą spoglądała na postępy armij rosyjskich w Azyi środkowej i zbliżanie się ich do granic Indyi. Nie posiadając wielkiego wojska lądowego, nie była ona w stanie obronić swych złotodajnych posiadłości indyjskich, a na wierność ludności miejscowej niebardzo mogła liczyć. Potrzebowała zatem sojusznika, któryby miał to, czego jej brakowało, i we własnym interesie był gotów każdej chwili zaatakować tego, kto jej zagrażał. Takim sojusznikiem była Turcya, której położenie gieograficzne ułatwiało w dodatku zwalczanie armii, mającej prowadzić wojnę azyaty-

cką. Drugą przyczyną był interes materyalny. Dzięki swemu wpływowi na Turcyę Anglia powoli zawładnęła niepodzielnie rynkiem tureckim. Wszelkie uszczuplenie tego państwa lub wywieranie nań przemożnego wpływu przez kogo innego—było Anglii nie na rękę.

Wojna r. 1877—78 zmieniła znacznie postać rzeczy. Turcya została pobitą i osłabioną. Straciła ona przytem znaczne terytorya, które wkrótce zaczęły rozwijać swój własny przemysł, odgrodziły się od zagranicy liniami celnemi, lub dostały się pod supremacyę ekonomiczną bliższych sąsiadów. Pomoc turecka przestała mieć dla Anglii to, co dawniej, znaczenie, a rynek jej skurczył się. Miał on się skurczyć jeszcze bardziej, gdy Anglia, nie zadawalając się zabraną przy ostatnim podziale Turcyi wyspą Cypr, zaanektowała tłusty kąsek — Egipt. Ale skutki tego stanu rzeczy nie tak prędko się przejawiły. Od tradycyjnej, w ciągu stu lat prowadzonej polityki niełatwo się odstępuje. I w każdym razie, w braku czego lepszego, Turcya była jeszcze sojusznikiem nie do pogardzenia.

Jednak czas robił swoje. Wewnętrzna dezagregacya państwa tureckiego podniosła się. Pod względem terytoryalnym Turcya traci wprawdzie tylko Kretę, ale od r. 1896 rozpoczynają się rozruchy armeńskie, które, pomimo ciągłych rzezi, urządzanych przez wojsko tureckie, nie ustają. Wkrótce powstaje druga ropiejąca rana — Macedonia. Obie te prowincye wymagały trzymania na stopie wojennej olbrzymiej armii, nie dając państwu wzamian żadnych dochodów. Od kilku lat przyłącza się do nich Yemen arabski, który pochłania rok rocznie tuziny batalionów. Turcya słabnie coraz bardziej, wreszcie staje się widocznem, że utrzymanie tego państwa możliwe jest tylko dopóty, dopóki jego sąsiedzi nie zdecydują się na przekroczenie jego granic. Dawne rachuby na Turcyę stają się powoli zupełnym anachronizmem.

Jednocześnie zaś Anglia coraz częściej zaczyna spotykać się z nowym konkurentem — państwem i narodem niemieckim. I to pod dwoma względami: towary angielskie wypierane są powoli (nawet we własnym kraju) przez tańsze wyroby niemieckie, polityce jej zagrażają Niemcy. Od czasu zaś depeszy, wysłanej przez cesarza niemieckiego boerskiemu prezydentowi, szykującemu się do wojny z Anglią, antagonizm ten staje się ostrym. Przypatrzmy mu się bliżej.

Zacznijmy od spraw ekonomicznych. Anglia spotyka się z kon-

kurencyą niemiecką w Chinach, Rosyi, Turcyi — jeżeli weźmiemy tylko większe rynki zbytu — oraz wszędzie. Produkt niemiecki jest zwykle tańszy, przemysł rozporządza olbrzymią armią ajentów, pracuje z wytężeniem wszystkich środków pomocniczych—państwa, nauki i t. d. To jednakże nie przesądzałoby kwestyi. Niemcy dotychczas w poważny sposób nie potrafili zaszachować Anglików. Weźmy dla przykładu Turcyę, na którą państwo niemieckie wywiera wielki wpływ, szczególniej od r. 1898, gdy cesarz Wilhelm, podczas podróży do Stambułu i Jerozolimy, wystąpił otwarcie, jako protektor islamu.

Eksport niemiecki do Turcyi wynosił (dane bierzemy z urzędowego Rocznika Statystycznego państwa niem. za r. 1903):

W r. 1899 — 32,6 milionów marek.
„ 1900 — 34,4 „ „
„ 1901 — 37,5 „ „
„ 1902 — 43,3 „ „

Rośnie on zatem bardzo szybko, ale nawet teraz nie da się porównać z eksportem angielskim. Podczas bowiem, gdy w r. 1316 (po europejsku 1900—1901) Niemcy wywieźli do Turcyi za 65 milionów piastrów, to anglicy—za 831 mil. p. („Gospodarka światowa“ *E. v. Halle*, r. 1906), co stanowiło przeszło $^1/_3$ całego eksportu do Turcyi (wynosił on w tym roku 2 miliardy 384 miliony p.). W wielu innych krajach zauważymy podobny stosunek. Konkurencya niemiecka jest zatem dla Anglii groźna, nie jest to jednak kwestya życiowa. Inaczej wygląda sprawa polityczna.

Od czasu zjednoczenia państwowego kapitalizm rośnie w Niemczech wprost potwornie *). Obecnie jest to machina, która wprzągnęła

---

*) Eksport niemiecki miał wartość:

W r. 1893 — 3.244 milionów marek.
1895 — 3 424 „ „
1899 — 4.368 „ „
1902 — 4.812 „ „
1906 — 6.478 „ „
1907 — 7.120 „ „

Wzrósł zatem w ciągu 15 lat o 3.876 milionów marek (prawie 4 miliardy) czyli więcej, niż o 100%! Jest to wzrost, jakim żadne inne państwo w świecie wykazać się nie może.

do swego organizmu 60 milionów istot ludzkich i całą siłą pary wyrzuca z wnętrza miliardy tonn produktów, dla których, choćby kosztem nadludzkich usiłowań, trzeba znaleść nabywców. Tymczasem rynek wewnętrzny zapchany jest do przesytu i nie może się rozszerzyć bez podniesienia płac roboczych albo obniżenia cen produktów, co w obu wypadkach równałoby się zmniejszeniu zysków. A nagromadzający się wciąż kapitał szuka ujścia, rzuca się zatem na obce rynki i zdobywa je rzeczywiście, ale tylko częściowo w granicach, zakreślonych przez samą istotę kapitalizmu, i z coraz większym wysiłkiem.

Jedynem wyjściem byłoby pozyskanie kolonij, związanych z metropolią unią celną. Byłoby to ulgą tylko chwilową, ale o nic innego dzisiaj przecież iść nie może. Ale byłoby ulgą poważną, gdyż rola kolonij w dzisiejszym ustroju jest daleko większa, niż dawniej. Z jednej strony dają one producentom możność zbywania produktów w dogodnych warunkach konkurencyjnych, z drugiej — każda nowa kolonia to nowy kawałek świata kapitalistycznego. Każda kolonia wymaga postawienia portu, pewnej ilości gmachów publicznych, szosy, kolei żelaznej, a to wszystko równa się szeregowi zamówień w największych i najbardziej łaknących konsumentów gałęziach produkcyi.

Niemcy muszą zatem, jeżeli chcą istnieć, zdobywać kolonie. Tymczasem wszystkie ich próby dotychczasowe skończyły się fiaskiem. Z początku zwrócili oni swą uwagę na Brazylię, przesiąkniętą kolonizacyą niemiecka. Ale Stany Zjednoczone wyraźnie oświadczyły, że nie dopuszczą ani do zdobywania przez państwa europejskie jakichkolwiek posiadłości w Ameryce (doktryna *Monroego*), ani nawet do zmuszania państw amerykańskich siłą do płacenia swych długów (doktryna *Drago*). Drugą próbą byl udział w koalicyi rosyjsko-francusko-niemieckiej, która nie pozwoliła japończykom wyzyskać zwycięstwa nad Chinami, a później sprowadziła ekspedycyę do Pekinu i aneksyę Kiao Czau. I tu wkrótce rygiel został zasunięty przez następne zwycięstwa Japonii, które uniemożliwiły rozszerzanie niemieckich posiadłości nad morzem Żółtem i z Kiao Czau uczyniły rodzaj zakładnika, od Japonii zawsze zależnego. Wkrótce potem Niemcy mieszają się do sprawy marokańskiej; między nimi a Francyą o mało nie dochodzi do wojny, poczem następuje sojusz Francyi z Anglią i Hiszpanią, który również rozwiewa iluzye co do możności obłowienia się w państwie maurów. Ostatniem pokuszeniem się o kolonie są intrygi w Turcyi, o których

powiem innym razem, stwierdzając tu, że nie dały, jak i poprzednie, rozszerzenia terytoryalnego.

Pozatem Niemcy zaanektowały wszystko, co leżało jeszcze bez właściciela, ale te różne Kameruny, wyspy Samoa i t. p. nie są w stanie odpowiedzieć potrzebom. Parę cyfr to wykaże. Cały wywóz do kolonij niemieckich wynosił w r. 1902 — 22 miliony marek (wwóz z tych kolonij — 7,2 mil. m.). Najważniejsza kolonia — „Południowo-Zachodnia Afryka"—daje przytułek, po 24 latach rządów niemieckich, 4.899 białym, a koszta jej utrzymania wzrosną w roku bieżącym o 40 mil. marek (dyskusya budżetowa z przed paru tygodni)!

Jednem słowem, historya pouczyła Niemców, że do kolonij dojdą oni tylko drogą wojny, lecz nie na miejscu, ale w Europie prowadzonej wojny, któraby poddała ich władzy jedno z państw, posiadających kraje, niewyzyskane jeszcze przez kapitalizm, lub ochraniających je swą potęgą. To objaśnia nam całą politykę zewnętrzną państwa niemieckiego, to niezrozumiałe napozór szukanie zaczepki z każdym, te mowy bezimienne i telegramy, i listy, które nietylko nie kompromitują ich autora w oczach „wyższych 10.000" społeczeństwa niemieckiego, ale przeciwnie—są wyrazem ich pożądań. Cała polityka wewnętrzna Niemiec, ów blok konserwatywno-liberalno-postępowy, który potrafił odnieść czasowe zwycięstwo nawet nad socyalistami, owo gorączkowe tworzenie floty, która narazie niewiadomo po co istnieje (gdyż koszty jej nie odpowiadają zupełnie dzisiejszym potrzebom) — to wszystko są tylko przejawy życiowej, przez tysiące wielkich fabrykantów, kupców, bankierów odczuwanej potrzeby—potrzeby zdobyczy nowych krajów.

Niedziw, że Anglicy, którzy doskonale o tem wszystkiem wiedzą, zakrzątnęli się około szukania sojuszników. Antagonizm z Rosyą, jako niebezpieczeństwem odleglejszem, zszedł na drugi plan. Przyczyniły się do tego również postępy oręża angielskiego w krajach sąsiadujących z Indyami, które otoczyły tę skarbnicę angielską szeregiem fortec, każdej chwili dla armii angielskiej dostępnych. Najważniejszą zaś zmianę w sytuacyi wytworzyła wojna rosyjsko-japońska. Zawarcie sojuszu zaczepno-odpornego z Japonią dało Anglii to, czego wymagała ona dawniej od Turcyi: wielką armię sprzymierzeńczą, która każdej chwili może i będzie chciała bronić Indyj. Pomoc turecka stała się zbyteczną. Nie należy z tego oczywiście wnioskować, iż-

by ona w danym wypadku nie miala być również użytą, ale w każdym razie dziś Anglia, chcąc powstrzymać zagarnięcie części Bałkanu przez kogo innego, już nie próbuje ratować istnienia Turcyi, ale dąży właśnie do stworzenia tam niezależnych państewek chrześciańskich.

Drugim wynikiem wojowniczej postawy Niemiec było zbliżenie Anglii z Rosyą. Trwanie dawnego antagonizmu zmuszałoby Rosyę, w tym stanie, w jakim znajduje się ona po wojnie, do szukania oparcia u Niemiec. Tego Anglia życzyć sobie nie mogła. Pewność, że Rosya w najbliższej przyszłości nie będzie próbowała ekspansyi na dalekim Wschodzie, zachęcała jeszcze bardziej do takiego zbliżenia. Nie zobowiązuje ono Anglii do niczego, a zapobiega koalicyi rosyjsko-niemieckiej.

Obecnie Anglia jest bezpieczna do pewnego stopnia przed jakowąś niespodzianką ze strony Niemiec. Ostatnie zaś gdzieindziej szukać muszą ujścia dla olbrzymich zasobów energii, które się w nich nagromadziły. W jakim kierunku to nastąpi, o tem można robić tylko przypuszczenia, tembardziej, że nawet dzisiejsza polityka, będąca wyrazem bardzo realnych interesów, jest jeszcze często w znacznym stopniu dziełem wypadku (taki wypadek niedawno, przed konferencyą w Algericas, o mało co nie doprowadził do wojny Niemiec z Francyą). Ale w każdym razie *furor teutonicus* zwróci się prawdopodobnie w stronę najmniejszego oporu, skorzysta ze słabości każdego państwa, które nie będzie rozporządzało potężnymi sojusznikami, związanymi nie traktatem, ale realną życiową potrzebą. Kto będzie tym wybrańcem losu pokaże zapewne niezbyt odległa przyszłość.



B. F.

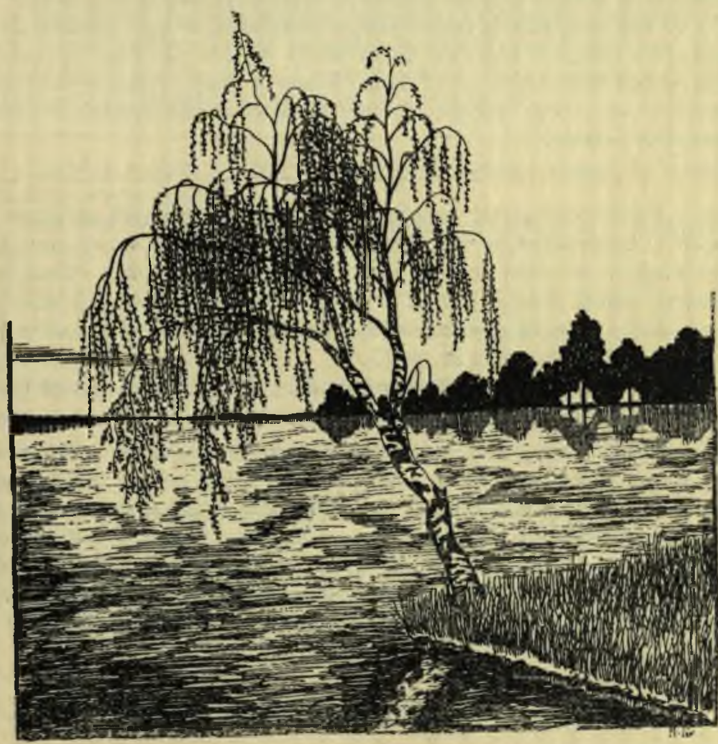
Jan Ludwik Popławski

(wspomnienie pośmiertne)

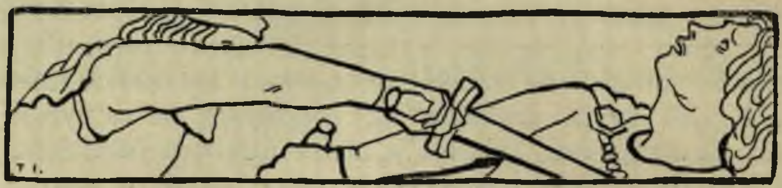
Urodził się 17 stycznia 1854 r. w Bystrzejowicach, gub. lubelskiej; gimnazyum skończył w Lublinie, następnie słuchał prawa na uniwersytecie warszawskim, gdzie jako słuchacz czwartego kursu, zamieszany w polityczną sprawę Szymańskiego, był zesłany do Wiatki. Po powrocie wstąpił do redakcyi „Prawdy“. Wkrótce znowu był uwięziony w cytadeli warszawskiej, a po roku 1885 był członkiem redakcyi „Głosu“, gdzie działalność swą wraz z ówczesnymi publicystami zwrócił do zapoczątkowania kierunku ludowego. W 1894 r. Popławski znowu dostał się do cytadeli, a w rok później, po uwolnieniu, wyemigrował do Galicyi.

Spory talent publicystyczny, zdolność organizacyjna, energia w przeprowadzaniu zamierzeń — zapewniły mu wpływ w szerokich sferach narodowo-demokratycznych. W Galicyi założył miesięcznik p. n. „Polak“ i przezeń wywierał pewien wpływ na lud wiejski. Stworzywszy niemal samodzielnie program narodowo-demokratyczny, rozwijał go w „Przeglądzie wszechpolskim“, „Wieku XX-ym“ i w „Słowie Polskiem“, którego przed powrotem do Warszawy był głównym kierownikiem. Po wojnie rosyjsko-japońskiej powrócił do Warszawy i objął redakcyę „Gazety Polskiej“, czyniąc ją organem narodowo-de-

mokratycznym. Chwila jego powrotu przypada na okres jawnej organizacyi stronnictw politycznych. Przywożąc z sobą rutynę publicystyczną i doświadczenie kierownika, szybko zapanował nad umysłami chwiejnymi, niezdecydowanymi, rzucił im gotowy, najwygodniejszy dla nich program i zorganizował w karne stronnictwo nacyonalistyczne. Jakkolwiek stał na czele stronnictwa, ogółowi był prawie nieznany, gdyż licznych swych artykułów nie podpisywał, ani na trybunę publiczną nie wstępował. Jednakże w obozie narodowo-demokratycznym miał licznych przyjaciół i zwolenników, którzy utracili w nim jednego ze swych najwybitniejszych przedstawicieli. Zmarł dnia 12 marca r. b. na raka w przełyku.



MISERICORDIA



(a) W nr. 67 „Gazety Codziennej“ bezimienny autor umieścił bombastyczny artykuł o skażeniu języka z powodu paru rusycyzmów, wyłowionych w drukującej się u nas *syberyjskiej* powieści Sieroszewskiego.

W *Wojnie Chocimskiej* spotykamy wprawdzie jeszcze gorsze, jak *chwost*, *kidać* i t. p., a mimo to dzieło Wacława Potockiego uważane jest za pomnikowe ze względu na język; Mickiewicz pisał: „Kupcze, jedź w miasto“... a w najświeższej dobie „Car Dymitr“ cieszy się wielkiem uznaniem krytyki, choć autor dramatu dla oddania kolorytu epoki i stosunków stworzył jakiś swoisty dyalekt polsko-rosyjski.

Powyższe dane przytaczamy jedynie dla przykładu, nie dla obrony, gdyż znakomity pisarz, na którego napadła „Gazeta Codzienna“, mówi sam za siebie.

Co do nas, to otaczamy takim samym pietyzmem te jego „burlące się wody“, „zawodzące boje zastępy“, jakim się otacza blizny wyżarte okowami na rękach bohatera: są to w jego królewskim języku święte stygmaty walk o „skarby ojczyste“, których uszanować nie potrafi jedynie skrajny bezwstyd truchłopisarka, co sobie targać się na wszystko pozwala.

(jk) „Kuryer Warszawski“ w jednym z artykułów wstępnych ogromnie się cieszy ze związku kamieniczników warszawskich, ponieważ „groził“ nowy strajk stróżów. Stróże, jak wiadomo, niemniej uciskają właścicieli domów, niż Polacy Prusaków. Podczas przeszłego strajku stróżów jeden z nich, ojciec czworga dzieci, mieszkający w norze pod schodami, w domu o jednej małej oficynie, zdołał wywalczyć sobie podwyżkę pensyi z 11 rubli miesięcznie aż na 13.

Istotnie — dobijać się o „fatalną trzynastkę“ może jedynie człowiek pozbawiony już wszelkich skrupułów. Słusznie więc „Kuryer“ czyni, że dzwoni na trwogę...

(zig–zag) Mówi się wiele o niekulturalnem zachowaniu się publiczności warszawskiej na widowiskach publicznych. Jest to prawda; spóźnianie się, brutalne krzyki „głośniej“, nieliczenie się z koniecznością wspólnego nastroju — są to rzeczy rażące każdego przybysza z krajów szczęśliwszych. Ale najczęściej pochop ku temu dają nie rzędy dalsze, publiczność uboższa, ale właśnie ów kożuszek cienkorunny, zwany śmietanką czyli kremem. Histeryczne damy z plutokracyi, tłuste podwiki w brylan-

tach, wywodzące się w prostej linii od Ewy albo Racheli, pogardliwe a przedewszystkiem rozmaite pół-dziennikarki i pół-literatki, uważające miejsce publiczne za swoją szwargotarnię, dają przykład publiczności, jak się zachowywać nie należy. Pierwsze rzędy krzeseł są rozsadnikami bakteryj nieuwagi i złego wychowania. Te damy należałoby „równouprawnić".

(i) W roli pogromcy Marxa w Towarzystwie Równouprawnienia Kobiet występuje p. J. Kurnatowski. Jeżeli mamy wierzyć słuchaczom, wszystko, nie wyłączając wartości, legło w gruzy, skutkiem odkrycia, że „pracą" jest nietylko praca ręczna, lecz i praca umysłowa, jakoteż praca polegająca na wytwarzaniu rzeczy, „których korzyści narazie ocenić się nie da"... Wymowną ilustracyą tworów ostatniej kategoryi był odczyt...

(d) Pan Stefan Gorski wzmiankę naszą z powodu jego artykułu w nr. 11 „Tygodnika" (powtórzonego następnie w „Bluszczu") uważa za „uchybiającą poziomowi poważnej prasy". Jeżeli miarą ma być wyżej wzmiankowany elaborat p. Gorskiego, to zapewniamy go, że pismo nasze do takiego poziomu dostrajać się nie myśli, gdyż w liczbie jego zadań leży także karcenie objawów poniżania godności drukowanego słowa, której p. St. Gr. właśnie w danym wypadku wysoce uchybił.

(c) Pomimo ciężkiego stanu przemysłowców, spowodowanego „zgubnemi wstrząśnieniami", ofiarność ich, gdy chodzi o istotne potrzeby kraju, nie słabnie ani na jotę: za przykładem Łodzi niektórzy fabrykanci Częstochowy uchwalili 16 b. m. przeznaczyć rocznie pewne sumy na powiększenie składu policyi miejscowej i w ciągu trzech dni zakłady Peltzerów, Motte, Częstochowianka, Huta Częstochowska, Stradom oraz Bank Handlowy uciułały na ten cel około 20,000 rubli.

(b) Zapytują naszego „Witezia", dlaczego nie dobywa miecza, by rąbać głowy sprawozdawców odczytowych.

— Azali miecz mój mam pohańbić szatkowaniem kapusty?... — brzmiałaby jego odpowiedź.

(E) W ogrodzie zoologicznym w Schönbrunnie zagłodził się orangutang: nie mógł znieść niewoli.

Omyliłeś się, Darwinie, posądzając człowieka o pochodzenie od małpy...

(jk) Ilekroć pojawi się w pismach hakaty lub czarnej sotni artykuł, przyznający nam jakąś siłę, natychmiast odpowiadają mu z niekłamaną radością ochładzająco-ironiczne wzmianki „Słów", „Kuryerów" i t. p. ugodowo-endecko-niewolniczych organów, które zaklinają się na wszystkie świętości, że my, Polacy, przez wieki wieków będziemy niezmiernie usłużni, pokorni, cisi, przestrzegający „prawa" (np. prawa o wywłaszczeniu), że pragniemy jaknajściślejszej zgody ze wszystkimi, że wszelkie pogłoski o innym u nas nastroju są „bezczelnemi oszczerstwami". Oniby

woleli zamieszkać w wozie Drzymały miast czemkolwiek te oszczerstwa usprawiedliwić, my zaś tym wozem wywieźlibyśmy ich chętnie tam..... gdzie raki zimują...

(Prima-Aprilis) 1. Wielka własność ziemska po 10 kop. z morgi, a przemysłowcy, inteligiencya zawodowa, duchowieństwo $1^0/_0$ od dochodów *netto*—postanowili składać na oświatę ludową, ogółem rocznie, skromnie licząc, parę milionów rubli. Jest więc nadzieja, że szkolnictwo krajowe przestanie żywić się muzyką, tańcami, deklamacyą i wystawą literatów, z których ciekawsze okazy zostały już obejrzane ze stron obu. Z okazyi tak chwalebnej uchwały Kapituła stołeczna wydaje obiad na cześć Redakcyi „Myśli Niepodległej“, p. Roman Dmowski przejdzie się pod rękę z p. Gabryelem Kempnerem wzdłuż całej Marszałkowskiej, a jednocześnie reszta postępu warszawskiego wyruszy dwoma elektrycznymi tramwajami z okolic Nalewek i Św-go Aleksandra...

2) Ks. Kłopotowski likwiduje swe interesy, by uzyskanym kapitałem obdzielić w równych częściach „Siewbę“, „Zaranie“ i Towarzystwo Kultury Polskiej.

3) W dniu dzisiejszym nie było ani jednej rewizyi, nikogo nie aresztowano, a karetki p. Nowodworskiego (by się konie nie zastały) oddano na usługi członkom skrajnych partyj.

4) W poważnych sferach naszych asymilatorów powstał nowy projekt rozwiązania kwestyi żydowskiej drogą wzajemnych ustępstw, mianowicie: wszyscy żydzi powinni dać się ochrzcić, a wszyscy katolicy — obrzezać: wówczas nikt nikomu nie będzie miał nic do zarzucenia. Słabym punktem projektu jest pytanie: co zrobić z płcią nadobną?...

5) Cała prasa konserwatywna, endecka i lawirująca jest tak dalece zachwycona duchem naszego pisma, a zwłaszcza działem „Misericordia“, że od dnia dzisiejszego postanawia reklamować je bezpłatnie i rozpowszechniać wszelkimi godziwymi, a nawet mniej godziwymi sposobami, — za co, dziękując serdecznie, obiecujemy (a to już naseryo) iść w obranym kierunku coraz dalej — —

——— *Bronisław Bouffałł.* Szkolnictwo średnie w Anglii. Warszawa, 1908.

Broszura p. Bouffałła ma nadewszystko znaczenie agitacyjne, o czem wymownie świadczą zarówno wstępne uwagi, jak i cały tok rzeczy. Autor zaznacza, że propagując wolną szkołę polską, zerwaliśmy z kulturalnymi wzorami Zachodu, a zamykając w ten sposób młodzieży drogę do wyższych uczelni zagranicą, stanęliśmy wobec grozy cofnięcia kultury naszej o lat kilkadziesiąt wstecz. Ponieważ rzecznicy samopomocy społecznej odwoływali się do praktyki szkolnictwa w Anglii, autor przedsiewziął wykazać, że argumenty tego rodzaju oparte były wyłącznie na nieznajomości rzeczy. Prawda, istnieją w Anglii dość liczne szkoły prywatne, lecz stosunki w nich panujące nie o wiele i dziś odbiegają od wzorów, poddanych chłoście w powieściach Dickensa. Istnieją również szkoły reformatorskie, lecz po bliższem przyjrzeniu się im, ukazują się jako zuchwałe, na bładze oparte spekulacye, będące przedmiotem drwin, a często wkraczające nawet w dziedzinę patologii. Przeważającym zaś typem szkoły jest szkoła publiczna, poddana ścisłej kontroli odpowiednich instytucyj. Rozprawialiśmy szeroko o szkodliwości egzaminów, znowuż powołując się na stan rzeczy w Anglii. Otóż system egzaminacyjny jest tak nadmiernie rozwinięty, że szkoła stała się pasmem egzaminów, zaniedbując nawet właściwe swe zadanie wychowania i gruntowania wiadomości. I jakkolwiek przesadę w tym kierunku wypadło zmniejszyć, niewątpliwie przecież, zdaniem powag i autora, wysoki swój poziom angielska szkoła średnia (publiczna) zawdzięcza właśnie rozwiniętemu systemowi egzaminacyjnemu. Rozwodzono się nad koniecznością zniesienia przywilejów szkolnych, tymczasem w klasycznym kraju wolnego współzawodnictwa i inicyatywy osobistej urzeczywistnia się w postaci zupełnie skrysztalonej dążność do nadania szkole „praw rządowych" (używając zwrotu, z którym się spoufaliliśmy), i to w takiej mierze, że szkoła średnia zaniechała zadań samoistnych, stając się pepinierką uniwersytetów, przystosowując swe nauczanie do wymagań uniwersyteckich komisyj egzaminacyjnych. Narzekano wśród nas na stopnie, w Anglii oceniają się postępy uczniów według skali stustopniowej. Chciano wprowadzić samorząd szkolny, w Anglii nie mogą pochwycić nawet treści tego pojęcia, gdyż tam panuje jedynowładztwo głównego kierownika. Chciano usunąć kary ze szkoły, w Anglii wciąż duch święty różdżką dziateczki bić radzi i t. d. i t. d. W faktycznej swej części studyum p. Bouffałła, oparte na bezpośredniej znajomości stosunków i na sumiennie wyzyskanym materyale drukowanym, jest z pewnością bardzo cenne i pożyteczne, prostując błędne i rozpowszechnione wśród nas wyobrażenia o stosunkach dalekich. Ale jest zarazem i jednostronne, gdyż zatrzymuje uwagę wyłącznie na stronie organizacyjnej szkolnictwa angielskiego. Jaki jest właściwie wewnętrzny bieg nauczania, do jakich prowadzi wyników, jak się przedstawia moralnie wychowawcza strona szkoły angielskiej — to wszystko są rzeczy, odsunięte na sam skraj pola widzenia, lub zupełnie z pola tego usunięte. Cokolwiek zaś sami możemy wywniować z obrazu przedstawionego przez autora, to wszystko chyba tylko *zrazić* może, nie zaś zachęcić do stosowania wzorów angielskich. Agitacyjny cel tedy jest chybiony. Chybiony jest również i z tego względu, że autor mierzy za zbyt wysoko, nie

posiadając w ręku odpowiedniej broni palnej. Można się zgodzić z nim, że te i owe argumenty, którymi uzasadniano dodatnie strony wolnej szkoły, były słabe, niekiedy nawet niedorzeczne, a powoływanie się na szkołę angielską zupełnie rozmijające się z rzeczywistością; że stan szkoły polskiej jest bardzo smutny, wysoce niezadawalający; gotowiśmy przyklasnąć w całej rozciągłości twierdzeniu, że inicyatywa prywatna nie może w drobnej cząstce nawet podołać zadaniom, które spełnić może tylko organizacya publiczna... Tak, postokroć prawda. Niemniej dziko wprost brzmi zarzut, iż zaniedbano dążyć do „spolszczenia szkoły publicznej z prawami", gdyż obałamucono się pragnieniem stworzenia równoległej szkoły prywatnej polskiej...

Z pewną wyrozumiałością wolno traktować złudzenia ludzi, pragnących z *malum necessarium* uczynić cnotę, jak to się stało z propagatorami wolnej szkoły. Lecz czynić komuś zarzut z nieuniknionego, niezależnego od niego zła — jest to *conajmniej* popełnić gruby błąd logiczny, jest to być tak zaślepionym swą *trzeźwością*, iż realna rzeczywistość jest widziana w kształtach, od realności dalekich. Ta sama trzeźwość, doprowadzona do absurdu, przenika całą osnowę książki, której istotą jest przeciwstawienie tendencyj szkolnictwa angielskiego stosunkom rodzimym. O takiej drobnostce, jak język wykładowy, ani słówka, ani też o takich drobiazgach, jak charakter instytucyj, które mają naginać praktykę szkoły do celów życia publicznego. I jeżeli próba zakończenia strajku, podjęta w połowie 1905 r., nie mogła się udać z powodu zbyt wysokiej atmosfery ówczesnej, broszura p. B. bądźcobądź temu nie zaradzi, gdyż do zjawisk niewspółmiernych tę samą przykłada miarę.

W swej części pozytywnej rozprawka p. B. tchnie wyzbywającym się wszelkich osłonek wstecznictwem. Z jakąż to lubością rozprawia o różnicach między „giętką trzcinką hiszpańską" a „brzozową rózgą"; stosowaną za *ważniejsze* wykroczenia, jak kłamstwo, znęcanie się nad młodszymi, *palenie tytoniu*!.. Jak smakują *trzy krwawe pręgi* od uderzenia trzcinką, które zdarzyło mu się widzieć osobiście... Idealną wydaje mu się rola nauczyciela w niższych klasach, polegająca na zadawaniu i wysłuchywaniu lekcyj. Ma to prowadzić do samodzielności umysłowej. System zaś, nakazujący młodszym uczniom ślepe posłuszeństwo kolegom klas wyższych i dający ostatnim prawo kary (cielesnej), za bezpośredni swój skutek ma rzekomo wyrobienie charakterów niezależnych... Nie mogę wyrozumieć, czy i ten rodzaj praktyki szkolnej służyć ma ku wdrożeniu w młodociany umysł zasady *nieuniknionej odpowiedzialności* za własne czyny, niezależnie od dobrej czy złej woli własnej, od osobistego przywidzenia przełożonych? A wspaniała to konsekwencya! Przewiniłeś — naucz się tylu a tylu wierszy, przepisz tyle a tyle stronic, odsiedź w zamknięciu tyle a tyle godzin! I wszystko to ma być *praktycznem* zastosowaniem *teoretycznych zasad Spencera*, który przecież żądał tego, by kara była *naturalnem* następstwem przewinienia!.. Nie mogę odmówić jednak konsekwencyi autorowi, gdy zaleca stypendyalny system szkół angielskich, opierający się na zasadzie, że nauka powinna być wynagrodzoną, że do przyszłej walki o byt należy popierać jednostki najbardziej do walki tej uzdolnione... Oczywistą jest rzeczą, że system ten nie ma nic wspólnego z udostępnianiem nauki dla mniej zamożnych. Autor jest najzupełniej świadomy *praktycznych* skutków takiej zasady. Spostrzeżono, mówi on, że w wyścigu egzaminowym o stypendya zwyciężają malcy i młodzieńcy, *pochodzący z warstw zamożniejszych*... Frazes o „największem uzdolnieniu",

o „walce" życiowej jest nieświadomą czy świadomą formą obrony „stanu posiadania" *sfer zamożniejszych*, jest tendencyą uczynienia z nauki *przywileju klasowego*. Co do zasady *wynagradzania* za naukę, jest ona sama w sobie potwornością, jest zaprzeczeniem kulturalnych zadań społeczności...

Wobec ideałów groszoróbstwa, wobec *trzeźwości*, tęskniącej do *moralnego rządu*, nie zdziwi nas zgoła przeświadczenie autora o głęboko *etycznych* skutkach metod, uprawianych przez szkolnictwo angielskie, ani też niespodzianką nie zabrzmi stwierdzenie *wysokiego* poziomu szkół angielskich, dla których idealnym typem jest młodzieniec, starający się umieć tyle, „aby módz przejść *przyzwoicie* przez wyższe studya uniwersyteckie". Sądzimy, że ujawniający się w takiej mierze brak istotnego zainteresowania się treścią nauki, traktowanie jej wyłącznie, jako środka karyery, jest naturalnem następstwem wykuwania podręczników, systemu egzaminacyjnego, popartego nagrodami pieniężnemi, i tej bezwzględności praktyki szkolnej, tłumiącej inicyatywę umysłową i niezależność moralną. Następstwo — w zachwyt wprawiające ideologów t. zw. walki o byt, dla których właśnie owa ideologia jest *orężem* w walce... Dla autora zaznaczone cechy szkoły przez niego opiewanej streszczają się w pojęciu „uczciwości umysłowej"! Uczciwością taką jest *przyzwoite* przejście przez uniwersytet!

Koroną broszury jest insynuacya, zawarta w tych słowach: „grozi nam zalew ze strony Żydów, którzy po krótkim okresie gorliwego popierania strajku szkolnego *w celu usunięcia chrześcian ze szkół rządowych*, w bardzo krótkim czasie powrócili do dawnej szkoły rosyjskiej, *skoro tylko celu zamierzonego dopięli*".

A. Drogoszewski

—— *N. E. Wolski.* Obrona rodziny. — Warszawa, 1907. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

— Obywatele! — mówił pewien ojciec rodziny, trzymając w ręku książkę powyższą — upada moralność, niszczeją dobre, stare nasze tradycye, zepsuty duch przewrotnych czasów wciska w szlachetne łono podstawy społecznej, wiekami uświęconej Rodziny, gnijące, zatrute pierwiastki! Giniemy, panowie! Ratujmy siebie i dzieci swoje od płynących z Zachodu i Wschodu fermentów! Czytajmy książkę, która jak powiew górski przepędzi grzeszne zaduchy współczesności! Czytajmy Rodziny Obronę!

Jakże dziwnie szanowny autor zaczyna swoje dzieło. Powołuje się na okładce książki na dwóch ludzi i jednego świętego: Solona, Heinego, i św. Augustyna. Zestawienie tych nazwisk niemile razi ucho prawdziwego katolika. Jeszcze dziwniejsza treść cytat z dzieł tych ludzi, np. „...publiczne osoby są narożnemi basztami i piorunochronami, strzegącymi moralności obywatelskich córek". Cóż to ma wspólnego z rodziną?

— Doprawdy, panowie, jestem zdumiony i nie wiem, czy nie wypadnie mi zmienić nieco wstępu do mojej przemowy —

Lecz ojciec rodziny lubił przeglądać tytuły rozdziałów, zanim zaczął czytać... Oto one: I Nasza twierdza — II Prostytucya przedchrześciańska (no, naturalnie!) — III Obyczajność chrześciańska (bardzo dobrze!) — IV Przedział moralny (?) — V Współczesna obyczajność (?—?) — VI Wolna miłość socyalistyczna (o, to musi być ciekawe!) — VII Wolna miłość niesocyalistyczna (?) — VIII Monogynia. — IX Obrona prostytucyi

(a toż co znowu?!) — X Więc wszystko dobrze? — i... dziwna rzecz... jakaś omyłka druku... nie, cóż u licha to ma znaczyć... przecież jeszcze mam oczy... Napisany najwyraźniej tytuł jedenastego, ostatniego rozdziału: XI *Wskazówki dla uwodzicieli...*

— ...A to paradna historya! A przecież p. Wuk w „Słowie“ zachwycał się tą „Obroną Rodziny“, a „Naprzód“ krakowski ją schlastał, miałem więc nieomylne wskazówki, że książkę tę mogę spokojnie dać w ręce każdej obywatelskiej córce! Czyżby się omylono? W „Słowie“ się omylono?! Nie, muszę zajrzeć do tego ostatniego rozdziału.

— Oho, podkreślone zdanie: *„ażeby uwodzący mężczyźni kierowali się pewnemi zasadami moralnemi, mającemi dobro ogólne na względzie“...* Jezus Marya! Pozwólcie, że się przeżegnam... Co to jest? A dalej: „Jak prostytucya warunkuje byt rodziny (wybaczcie, że czytam głośno te bluźnierstwa!), tak byt prostytucyi warunkuje uwodzenie. To ostatnie jest zatem tak samo ważną instytucyą obyczajową“... i... Ojciec rodziny cisnął książkę o ziemię. „Do czegośmy dożyli“, obywatele!?

Jednakże jakiś szatański magnes był w tej obronie rodziny... Z drżeniem więc czytał dalej zdania na chybił-trafił: „Czy każde uwiedzenie jest moralne?“ „Nie, zależy to przedewszystkiem od sposobu uwodzenia“. „Uwodziciel... ma to być uparty kusiciel, słodki grzesznik“... „Gorąca krew, czy obietnica ślubu lub zapłaty, oto jedyne społecznie dodatnie przyczyny upadku dziewczyny“... „Uwodziciele niechaj pamiętają, że sprawują ważną rolę w ludzkości“... „W rozpatrywaniu poszczególnych uwiedzeń jest olbrzymi urok“...

Ponieważ pot mu wystąpił na czoło i oczy zaczęły zachodzić mgłą, więc zaczął od początku. — Ha — może zrozumiem... — szepnął do siebie.

„Chrześciaństwo umiejętnie pogodziło praktyczną dwoistość moralną z teoretyczną jednością“... „Duchowieństwo widzi się zmuszone tolerować cudzołóstwo nietylko jako występek, ale nawet jako prawo („lex primae noctis“)“. „Kościół, odkąd w swej większości przestał składać się z fanatycznych, dogmatami żyjących ascetów, odrazu zrozumiał tę prawdę“ (że „nie wystarcza mężczyźnie jedna kobieta na całe życie, więc stosunki pozamałżeńskie są koniecznością“). „Przyszło mu to tem łatwiej, że ustanawiając celibat dla swoich kapłanów, nie mógł łudzić się, że będą go oni ściśle obserwowali“. „Kościół był postawiony wobec dylematu, albo część kobiet oddać zepsuciu, albo wszystkie: i wybrał pierwsze; za to należy się mu nasza wdzięczność“. „Swoboda obyczajów męskich nie płynęła z słabości religijnych wpływów moralnych, ale z większej jeszcze nad religię mocy męskiego popędu“. „Monogynizm chce obdarować kobiety wiernością mężów, której one często nie chcą, albo nie chciałyby, gdy ją poznały. Toteż rozsądne kobiety nieraz śmieją się pocichu z tych mazgajów“...

Tu ojciec rodziny przerwał czytanie — bo zemdlał i w kilka dni umarł. Nie przeniósł tej myśli, że pochwalił „Obronę rodziny“ Wuk w „Słowie“.

Książka zaciekawiła mnie. Napisana świetnym, mocnym stylem, z logiką będącą ideałem dyalektyki jezuickiej, dowodzi dalej o konieczności podziału społeczeństwa na klasy, aby uwodziciele nie spotykali uwiedzionych... a więc upadłych kobiet w „swojem“ towarzystwie (!), dowodzi moralnej (!) potęgi pieniędzy, zepsucia, jakie wyrodziłoby się zapewne w razie urzeczywistnienia ideału socyalistycznego (o ile wiem, autor pisze w tej kwestyi osobną książkę, w której trzymać się będzie oczywiście innego zgo-

ła poglądu), broni istnienia prostytucyi, rozkazując absolutną pogardę dla wszelkich prostytutek, upadłych i upadających, wreszcie, jak to już wiemy, daje „wskazówki dla uwodzicieli"...

Całe zaś dowodzenie, przeplatane błyskami cynicznych, szatańskich szyderstw i niemiłosiernego dowcipu, opiera się na „niewzruszonej" budowie, w której trzymają się za ręce: religia, własność indywidualna, „skłonność niewieścia ku dziewictwu i jednomęstwu" i... „publiczne osoby"... (rozdział I). Są tam przytem rozsiane cudowne kwiatki myślowe, które w żelazną budowę logiczną całości wsuwają się nieznacznie jak żądła gryzące, kruszące w proch całe dowodzenie, które porywa tych, co nieuważnie czytają... Np. „...wiele rozprzężenia moralnego wprowadził kapitalizm łącznie z demokracyą (!). Ale i kapitalizm i demokracya są dziejowemi koniecznościami, więc... trzeba je przy rugowaniu zła ominąć" (!). Albo takie rozumowanie (o pożądanym podziale klas): bogaci mieliby wiele i to najlepszych kobiet, średnio zamożni mieliby przeważnie po jednej kobiecie. „W klasach niższych stałe posiadanie kobiety byłoby wyjątkiem, może nagrodą za dobre sprawowanie (!)... zadawalaliby się prostytutkami, a gdyby nie chcieli niektórzy" prostytutek... to wśród takich wybrednisiów — biedaków możnaby „zaprowadzić umiarkowany zoofilizm"(!!)...

Jest to jedyna w swoim rodzaju książka. Niewątpliwie potężna, z wielkim talentem pisana satyra, utwór, z którego bije głębokie ujęcie życia, tego bujnego, przebogatego życia, panującego nad każdą formułką, każdą sztuczną zasadą. Wsteczne poglądy doprowadzono tam, dokąd prowadzi je dziejowa konieczność: do absurdu. Rany ustroju dzisiejszego obnażono w sposób nowy i oryginalny. Po przeczytaniu tej książki nikt nie będzie już chciał ich goić nakładaniem różowych plasterków abstynencyi, filantropii, lig czystości i tym podobnych łzawych ćwierćśrodków. To samo bujne życie, które drwi z katechizmów burżuazyjnych „moralności", wywróci istniejące stosunki i stworzy nowe, w których nie będzie miejsca na obłudę.

Jan Kleczyński

—— *Wacław Grubiński.* Pijani. Dramat w 4-ch aktach. 8-ka mała, str. 149. Warszawa, 1907.

P. W. Grubiński należy z pewnością do nowego pokolenia dramaturgów, tego, które umie bodaj na chwilę wizyę swoją uczynić jedyną rzeczywistością, umie zniewolić umysł i wyobraźnię widza czy słuchacza, wolę jego, samoistność unicestwić. Wprawdzie pierwszy akt — sceny w mieszczańskim saloniku — mógłby być przyczyną niejakiego zawodu, gdyż wlecze się ospale, fanfaronada natur „wyjątkowych" wzbudza nie smak (ktoś tam nudzi się, biedaczek, patrząc na walkę byków i rozszarpywane konie). Lecz naraz wstrząśnienie, i oto w szalonym pędzie migają przed nami transmisye, kółka, tryby całego mechanizmu, chwyta nas nieomal zawrót głowy.

P. Grubiński przeszedł, chciałoby się rzec, dobrą szkołę: szkołę Przybyszewskiego. Nie chodzi nam tu przecież w najmniejszej mierze o jakieś naśladownictwo motywów: w ostatniem dziele, jak u Przybyszewskiego, erotyczne popędy występują w świetle demonicznem. Wszak nie z pierwszym utworem występuje przed nami autor, i wiemy dobrze, że dusza ludzka jest dlań wielościenna. Ale p. Gr. jednakowo prawie, jak autor „Śniegu", ujmuje tragiczność: jako coś materyalizującego się niemal, a nie-

zależnego od swych przygodnych, zewnętrznych osłonek. Ponieważ dusza jest siedliskiem tragiczności, więc zbyteczne jest, nieistotne wszelkie motywowanie, wszelkie uzależnianie kolizyj od kojarzenia się faktów, przyczynowo ujmowanych, i rzeczy, posiadających określony kształt, barwę, wagę. Ponieważ tragiczność w uczuciu się jedynie mieści, więc uczucia, namiętności przychodzą niewołane, niespodziewane, niewiadomo skąd, i wybuchają z żywiołową siłą .. a człowiek, a wola jego to jak lekkie piórko wichrem miotane — to wątłe źdźbło, zdeptane przez nieznaną potęgę... Wobec tego charaktery, realne rysy to zaledwie symbole umówione, według których oryentować się możemy; a sytuacye urągające może życiowemu prawdopodobieństwu, to zaledwie słupy wytyczne, znaczące akcyę. Światło snopami całymi rzucane jest tylko na to, powtarzamy, co jest istotne, co jest absolutne, a otoczenie, akcesorya... to tylko niezbędna pomoc dla widza, to tylko chwilowa materyalizacya niewiadomej jedynie realnej potęgi...

Tylko — Grubiński jest bardziej psychologiem, niż Przybyszewski, lubuje się niekiedy w analizie. Nie jest to przecież — w „Pijanych" właśnie — jego siłą; wrażenie się osłabia, fala wysoko się wzdymająca opada naraz. Zachodzą jakby pewne wahania w miarę tego, jak między osobami działającemi odbywają się zamiany ról (Władysław i Skorowski).

I jeszcze jedna poważna różnica. U Przybyszewskiego człowiek jest niczem, lalką, gdyż potęgi w nim działające są to potęgi kosmiczne. Inaczej u naszego autora. Prawda, że i u niego jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej z duszy człowieka wyłania się jakiś wid przerażający, lecz ten, choć potężny, sam w sobie nie jest koniecznością, bo nie jest cząstką absolutu, nie jest wieczności objawem: jest tylko wcieleniem przypadku, jest potworem wylęgłym w ciemniach duszy ludzkiej, nie dlatego jednak, iżby przepłynął przez nią nurt oceanowy, w głębi swej kryjący tajemne twory. Dusza jest odosobniona, sama w sobie. A włada nią niepodzielnie — przypadek. Nie w tem zgoła znaczeniu — jak zdaje się przypuszcza — (patrz zapowiedź komentarza na ostatniej karcie), że ponury i gwałtowny Karol zastaje swą narzeczoną, gdy jak biedne ptaszę, przez niego zastraszone, tuli się z ufnością do Władysława (brat jego), ale w tem, że ponurość i gwałtowność Karola jest sama w sobie przypadkiem, rzeczą niekonieczną, zbyteczną, jest cegłą, spadającą na głowę, prowadzi do tragiczności zupełnie w tej samej mierze, co nieostrożny strzał, zabijający na miejscu. Zabłąkana kula, jeżeli trafia, ta nawet zwiastuje coś koniecznego, fatalnego — wojnę... Ale wściekły Karol, zabijający Władysława...

Tak, to są wszyscy „pijani", lecz upici czem? Może ta nieświadomość sprawia, że porwani nieraz i zahypnotyzowani zamykamy przecież książkę... dość obojętnie...

Jeszcze słówko o... przygotowywanej „próbie samokrytyki". Czy nie będzie to coś... zbytecznego? Nam powinno starczyć wrażenie — komentarze niepotrzebne. Ale dla samego autora — czy zapowiedziane studyum ma być świadectwem (według naszego mniemania—smutnem), że pomyślawszy dzieło swe, autor zamierzał dowodzić (śladem Irzykowskiego) jakiejś teoryi filozoficznej czy estetycznej? Zobaczymy.

A. Drogoszewski

Jak sobie na wsi radzić w nagłych wypadkach choroby przed przybyciem doktora, i jak się obchodzić z chorymi — opowiedział dla pożytku ludu wiejskiego lekarz *Władysław Wroński* (str. 259).

Książka pisana dla ludu. Język gładki, potoczysty, tu i owdzie przeplatany gwarą ludową. Znać, że autor zna lud, żył jego życiem i rozumie jego potrzeby. Wskazówki lekarskie wypowiedziane zawsze z taką łatwością i prostotą, że zdaje się, jakby to tylko któryś „kmoter“ „opowiadali“ ze swego rozumu, co mu doktór powiedział. Bogactwo treści ogromne. Mamy nietylko wskazówki, jak postępować w wypadkach nagłych zasłabnięć, ale i bardzo dokładne rady, jak się zachować w chorobach ciężkich i przewlekłych. Autor występuje przeciwko przesądom i starym zgubnym obyczajom, ale nie napada gniewnie, nie grzmi jak ksiądz z ambony, tylko bardzo spokojnie wyjaśnia, do jakiej zguby doprowadzają takie a takie leki; jak szkodliwe jest zbierać się według starych obyczajów przy chorym całej gromadzie ludzi i t. d. i t. d.—Obok licznych zalet książki w dziełku przebija jeszcze jedno. W autorze znać bolejącego nad nędzą ludzką człowieka. Mimowolny ton współczucia i litości znajdujemy cochwila.—Pamiętajcie—mówi autor—że człowiek nieprzytomny, to bardzo nieszczęśliwy człowiek, więc przebaczajcie mu w chorobie wiele, bądźcie cierpliwi, nie krzywdźcie go.—Albo: rozumcie, że obłąkanie to jest wielkie nieszczęście. Nie bijcie waryata, nie róbcie mu krzywdy.—Nie są to cytaty, ale jest to kwintesencya tego, co autor tak często powtarza. Książeczka w oprawie kosztuje 25 kop.

St. L. L.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Cezary Jellenta: LINIE HOFERA. Powieść. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa—E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł) 1898, str. 223).

Artur Śliwiński: MICKIEWICZ JAKO POLITYK. Kraków. G. Gebethner i Sp. (str. 254).

Kazimierz Rojan-Rosinkiewicz: TAJEMNICA NA DŁONI. (Głos w sprawie reformy szkoły średniej w Galicyi). Lwów. Księgarnia Polska Bernarda Połonieckiego. Warszawa — E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł). 1908 (str. 36).

Jan St. Lewiński: CHAŁUPNICTWO — jego istota, teorya, historya i rozpowszechnienie. Warszawa, G. Centnerszwer i Sp. (I. Mortkowicz i H. Lindenfeld), 1908 (str. 48).

Mieczysław Finkelstein: POEZYE. Serya II. Warszawa. Główny skład w księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków—G. Gebethner i Sp. 1907 (str. 47).

Anna Niemyska: ROMANS. Kraków. Nakład i druk W. Anczyca i Sp. 1907. (str. 32).

Andrzej Baumfeld: ANDRZEJ TOWIAŃSKI I TOWIANIZM. — Zarys chwili i postaci — skreślił.... W Krakowie. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. 1908 (str. 73+VI).

Andrzej Baumfeld: SAM NA SAM Z DUSZĄ-KAPŁANKĄ—napisał.... W Krakowie. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. 1908 (str. 71).

Kazimierz Krauz: MATERYALIZM EKONOMICZNY — studya i szkice—z dodatkiem „wstępu", napisanego przez *Ludwika Krzywickiego.* Kraków — Spółka nakładowa „Książka". Składy główne: Warszawa — G. Centnerszwer i Ska; Lwów — H. Altenberg (str. 291).

Maurycy Hilquit: DZIEJE SOCYALIZMU W STANACH ZJEDNOCZONYCH PÓŁNOCNEJ AMERYKI — z upoważnienia autora przełożył z III wydania oryginału angielskiego *Bolesław Jędrzejowski.* Kraków.—Spółka nakładowa „Książka" (str. 301).

Czesław Wrocki: W IMIĘ KRZYŻA! — Krótki rys dziejów inkwizycyi powszechnej — napisał.... Kraków, 1908. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i S-ki (str. 88).

Jan Błeszyński: MAROKKO w historyi, w życiu i w pieśni, według opowiadań francuskiego podróżnika skreślił.... Warszawa, 1908 (str. 151). *Nr. 525 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Stanisław Ostrowski: A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA... Nowela z końca XVIII wieku. Warszawa, 1908 (str. 134). *Nr. 526 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Juliusz Falkowski: WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849 z przedmową *Tadeusza Grużewskiego.* Część I i II. Warszawa. *NN. 527 i 528 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Artur Schnitzler: ŚMIERĆ. Nowela z przedmową *Adolfa Strzeleckiego.* Warszawa, 1908 (str. 125). *Nr. 529 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Sprostowanie. W zeszycie 4 *Witezia*, w art. „O rynkach", na str. 179, w wierszu 10, wydrukowano: „najryzykowniejszy"; powinno być: „najzyskowniejszy".

Redaktor i wydawca: H. St. Pytliński Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa.



WITEŹ — ROCZNIK I ≡ ZESZYT 6
Warszawa, 15 kwietnia 1908 r.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

Utopia wszechsłowiańska

Polityka pięści, konsekwentnie od pół wieku prowadzona przez rząd niemiecki, otwiera zwolna oczy rosyjskim mężom stanu, Wprawdzie „niebezpieczeństwo niemieckie", grożące jakoby całej Słowiańszczyźnie, nie od dziś jest tematem, poruszanym na łamach prasy: widmo uzbrojonego Prusaka już dawniej niepokoiło bystrzejsze umysły w Rosyi. Ale dzwon alarmowy, który próbowano rozkołysać nigdy nie miał dość siły, by zbudzić czujność i poruszyć opinię. Pewny siebie ogół rosyjski nie przywiązywał wagi do tajemniczych kroków i nieujawnionych intencyj drapieżnego sąsiada. Dopiero w ostatnich czasach, kiedy podniosła się nieco zasłona dyplomatyczna, kiedy cała Europa ujrzała szpony pruskie, wykonywujące jakieś tajemnicze ruchy, zaniepokojono się trochę i w Rosyi. Projekt wywłaszczenia spotęgował obawy. Zrozumiano nareszcie, że tylko rząd silny i pewny siebie mógł wobec całego świata podeptać godność ludzką i z całą bezwzględnością rzucić zapowiedź nowych zamachów na prawa człowieka. Polityka względem Polaków niejednokrotnie była miarą siły lub osłabienia rządów. To też nie gwałt, dokonany na Poznańczykach, lecz

siła, ujawniona w gwałcie, zaniepokoiła nieco opinię. I oto ze szpalt pism rosyjskich, niby z szańców zaatakowanych, padło kilka strzałów, ktorym tu i owdzie głośne odpowiedziały echa. Dla przenikliwszych publicystów rosyjskich stało się rzeczą jasną, że wzmożonej potędze Niemiec wzmożoną trzeba przeciwstawić potęgę.

W ten sposób odżyła „idea słowiańska".

Idea ta, zajmująca dziś tylko słowianofilów, lecz przez praktycznych mężów stanu oddawna pogrzebana w archiwum nieużyteczności ideologicznych, odradza się niekiedy, jak feniks z popiołów. Ile razy buta niemiecka zbyt wysoko podnosiła głowę, ile razy hardy Prusak zaczął wygrażać całemu światu, tyle razy wskazywano pancerz wszechsłowiański. I wyrażano nadzieję, że o ten pancerz, jak o skałę granitu, roztrzaska się pięść pruska. W ostatnich czasach zakrzywionym drapieżnie szponom pruskim znowu pogrożono flagą o wszystkich barwach słowiańskich. Uczynili to nietylko Rosyanie. I w pewnym odłamie opinii polskiej wzburzona fala rozgoryczenia znalazła ujście w morzu panslawistycznem.

Ta zbieżność zdań nie jest prostym przypadkiem.

Idea zjednoczenia narodów słowiańskich ma swoją piękną kartę w naszej literaturze politycznej. W okresie, przypadającym na czas pomiędzy 1831 a 1848 rokiem, nie było wybitniejszego pisarza, któryby swojego poglądu na sprawę tę nie wypowiedział. Prócz Mochnackiego, który już w „Nowej Polsce" wołał, by żaden Polak nie wierzył w „utopię słowiańską", idea zjednoczenia Słowian miała w obozie polskim niezwykle gorących apostołów. Takim apostołem idei słowiańskiej był Lelewel, a przedewszystkiem Mickiewicz. Chorągiew zjednoczenia, wysoko wzniesiona przez Mickiewicza, płonęła najpiękniejszemi barwami miłości, symbolizowała wolność i równość wszystkich narodów. Nie na fikcyi, jaką jest fizyczny pociąg krwi słowiańskiej, nie na interesach egoistycznych jednego narodu, lecz na gruncie miłości, ogarniającej całą ludzkość, zatknął Wieszcz polski swój sztandar słowiański.

„... *Słowianie* — są słowa Mickiewicza, — *nie powinni się spodziewać, żeby ich mogła zgromadzić fizyczna skłonność krwi wspólnej albo ponętna obietnica jakiej upodobanej formy rządu; dokazać tego potrafiłaby tylko idea powszechna, wielka idea, zdolna objąć całą ich przeszłość i przyszłość*"....

„..... *Wiadomo,* — mówił Wieszcz innym razem, — *że Polska walczyła w interesie Zachodu*", i wyraził przekonanie, że los Polski i Rosyi rozstrzygnie *„żywotne kwestye religijne, filozoficzne i socyalne*"...

Nie tu miejsce zatrzymywać się nad gienezą poglądów Mickiewicza, wykazywać ich związek ze stanem ówczesnej Europy i misyą dziejową Polski. To pewne, że idea słowiańska wypływała ze źródła najszlachetniejszych uczuć ludzkich, że tem źródłem, z którego biły przeczyste strumienie ideologii Mickiewicza, był altruizm. A poglądy Mickiewicza podzielała emigracya polska, podzielał je i Bakunin i, mając na myśli przyszłość ludów słowiańskich, pracę przewodnika nad tą przyszłością oddawał w ręce polskie.

Rzeczywistość rozwiała górne obłoki marzeń wszechsłowiańskich. W ostatnich czasach spróbowano je wznowić, lecz jakże odmiennie zabrzmiały dzisiaj głosy „braci Słowian", jakże niepodobne są do głosu Wieszcza!...

Ale czyż może być inaczej?...

Dawniej zjednoczenie Słowiańszczyzny było istotnie piękną ideą, dzisiaj jest tylko gieszeftem. Dawniej heroldowie tej idei przemawiali w imię międzynarodowego braterstwa, wskazywali świetlane drogi, wiodące do powszechnego pokoju i powszechnego szczęścia, — dzisiaj magowie słowiańscy narzucają wyraźnie swoją hegiemonię, wskazują ogień i pożogę wojny. Dawniej podłożem idei był kryształowej czystości altruizm, dzisiaj „bracia Słowianie" czerpią natchnienie z mętnej kałuży nacyonalizmu. Bo nie ulega kwestyi, że motorem, który wprawia dziś w ruch machinę ideologii słowiańskiej, jest egoizm narodowy, ta straszna klęska ostatniego półwiecza, przedewszystkiem zaś egoizm narodowy Prusaków. Wzrost nacyonalizmu w Niemczech rozbudził i wzmógł nacyonalizm rosyjski. I oto ze skojarzenia tych dwóch nacyonalizmów zrodziła się w Rosyi idea słowiańska, a strach przed żarłocznością wilka pruskiego i niektórym publicystom polskim nasunął myśl szukania obrony w twierdzy wszechsłowiańskiej.

Czem ma być ta twierdza?

Dwa znamienne głosy próbowały ją w prasie rosyjskiej scharakteryzować: głosy prof. Pogodina i p. Struwego.

Prof. Pogodin stwierdził najpierw, że polityka europejska dawno już nie była świadkiem tak zaciętej walki rasy słowiańskiej z rasą niemiecką. Prof. Pogodina zaniepokoiła siła niemiecka. Prof. Pogodin

zaczął szukać siły, którąby można przeciwstawić Niemcom. I prof. Pogodin siłę tę znalazł. A znalazł ją w idei słowiańskiej. Zjednoczenie Słowiańszczyzny — oto co ma być murem obronnym przeciw nawale niemieckiej. Jak dokonać tego zjednoczenia? Prof. Pogodin nie łamał sobie długo głowy nad tem pytaniem. W wyobraźni p. profesora wszystko układa się pomyślnie. Trzeba tylko zlikwidować sprawę polską, przekonać w ten sposób innych braci Słowian o swoich uczuciach wszechsłowiańskich, a potęga giermańska przestanie być straszną. Ale jak zlikwidować sprawę polską? Prof. Pogodin jest bardzo hojny. Prof. Pogodin żąda zadowolenia „wszystkich potrzeb narodu polskiego“. Ale co prof. Pogodin rozumie pod terminem: wszystkie potrzeby? Oczywiście te, które nie przyniosą uszczerbku państwowości rosyjskiej. Prof. Pogodin znalazł nawet bardzo poważny argument na poparcie swych żądań. Prof. Pogodin upewnia, że o siłę państwową Rosyi Polacy dbają taksamo jak Rosyanie. Nie wiem, których to Polaków ma pan profesor na myśli! Jeśli tych, co w drugiej Dumie głosowaniem swojem wzbudzili ufność w p. profesorze, to nie umiałbym nic na „pochwałę“ jego odpowiedzieć; ale jeśli ma na myśli ogół polski, to, bądźmy szczerzy, prof. Pogodin jest w błędzie, prof. Pogodin nie zna ogółu polskiego!...

Zaiste, głos prof. Pogodina jest bardzo znamienny!...

Prof. Pogodin jest człowiekiem humanitarnym, jest liberałem, ale pod powierzchnią jego liberalizmu płynie mętna rzeka egoizmu narodowego. Bo czemże jest dla prof. Pogodina sprawa polska, jeśli nie kozłem ofiarnym? Czem jest likwidacya tej sprawy, jeśli nie kluczem, otwierającym wrota do likwidacyi wszelkich spraw słowiańskich? A komu na tej likwidacyi zależy? Prof. Pogodin najwyraźniej pisze, że dziś jedynie idea słowiańska może być dla Rosyi oporą w sprawach polityki bałkańskiej, a nawet w stosunkach do Austryi, Niemiec i Turcyi. Co to znaczy? Prof. Pogodin zwątpił o sile Rosyi i nam nic do tego, ale czemu w koło swoich zwątpień wplótł sprawę polską? Ach, p. profesor widzi wspólność interesów słowiańskich... To bardzo pięknie, ale prof. Pogodin, żeglując swobodnie po morzu słowiańskiem, nie wypuszcza z rąk steru rosyjskiego, a w żegludze swej widzi tylko brzegi potęgi państwowej...

Z mętnych dowodzeń prof. Pogodina jedno wynika jasno. Na likwidacyi sprawy polskiej chciałby prof. Pogodin zrobić dobry inte-

res, ale, mydląc oczy zadowoleniem wszystkich potrzeb narodu polskiego, w gruncie rzeczy ma tylko na myśli podporządkowanie małej sprawy polskiej wielkiej sprawie Rosyi.

A na tem samem stanowisku, co prof. Pogodin, stanął niedawno inny jeszcze liberał rosyjski, p. Struwe.

Pan Struwe ma przeszłość, która zobowiązuje. Pan Struwe redagował ongi „Oswobożdienie" i uważany był za wyobraziciela opinii inteligientnej i postępowej Rosyi. Pan Struwe nie zawiódł nadziei. Ile razy po powrocie do ojczyzny zabrał głos, tyle razy głos ten mógł być uważanym za przeciętny wyraz liberalizmu rosyjskiego. Z tego właśnie względu i głos p. Struwego zasługuje na uwagę.

Otóż p. Struwe podobnie jak prof. Pogodin dostrzegł niebezpieczeństwo niemieckie i zaczął poszukiwać sprzymierzeńców. Rosya, zdaniem p. Struwego, wygłoszonem na łamach miesięcznika „Russkaja Myśl", powinna wzmocnić naturalne więzy ze Słowiańszczyzną. Środkiem, prowadzącym do tego celu i w oczach p. Struwego jest sprawa polska. Mniejsza o wywody logiczne! Całe rozumowanie schodzi do tego, że uregulowanie sprawy polskiej jest dla Rosyi kwestyą jej „potęgi zewnętrznej". Wygląda to tak, jakby p. Struwe zwątpił najzupełniej, by Rosya sama przez się mogła potęgę zewnętrzną osiągnąć. Nie wiem, czy takie twierdzenie przynosi zaszczyt.... p. Struwemu. Potęga zewnętrzna zawarunkowana jest zawsze potęgą wewnętrzną, ale i o to mniejsza! Nie mam zamiaru pouczać p. Struwego, gdyż chodzi mi wyłącznie o ostateczny rezultat jego wywodów. „Wielikaja Rossija" — oto jak zatytułował p. Struwe swój artykuł, a ten tytuł jest tak wymowny, że starczy za wszelkie objaśnienia. W artykule p. Struwego wielka sprawa Rosyi pochłonęła małą sprawę polską.

Pomiędzy prof. Pogodinem a p. Struwem niema różnicy.

Można śmiało twierdzić, że z wywodami, ukutymi na obraz i podobieństwo artykułu p. Struwego, niejednokrotnie się jeszcze spotkamy. Nie pierwszy to raz zresztą liberałowie rosyjscy w ten sposób przemawiają w sprawie polskiej. Niestety, głosy te przyjmowano u nas najczęściej z zadowoleniem. Jest to objaw bardzo znamienny, a zarazem bardzo smutny, świadczy bowiem, jak nisko upadło poczucie godności narodowej w Polsce, jak łatwo pewien odłam opinii naszej godzi się nawet na upokarzającą rolę biernego narzędzia w rękach tych, co mamią nas pozorami liberalizmu. Kto jednak bez łuski na oczach

patrzy na intencye pp. Pogodinów, ten widzi, że ich liberalizm przenieknięty jest duchem nacyonalistycznym, że ów liberalizm kończy się tam, gdzie kończy się interes egoistyczny.

Nacyonalizm rosyjski, reprezentowany dziś przez Kruszewanów i Puryszkiewiczów, ma jeszcze przed sobą przyszłość. Ta przyszłość niewątpliwie należy do kierunku, który w dobie obecnej reprezentuje p. Struwe. Likwidacya sprawy polskiej bez udziału Polaków — to wymowny dowód, na jakiej drodze znajduje się p. Struwe i ci, których opinię on wyraża,

Idea słowiańska jest tylko płaszczem, ukrywającym cel właściwy, ale nie jest celem. Na szczęście płaszcz jest przezroczy, a cel, skroś płaszcz widoczny, — nieurzeczywistnialny. Idea słowiańska zbankrutowała dawno, a zbankrutowała dlatego, iż rzeczywistość historyczna stanęła z nią w sprzeczności i wymownie dowiodła, że piękne i wzniosłe hasła, ożywiające niegdyś szlachetnych ideologów, na drodze zjednoczenia samych tylko Słowian ziszczonemi być nie mogą. Fizyczna skłonność krwi, o której mówił już Mickiewicz, pozostała naturalnie fikcyą. Istotnie, czem są tak zw. węzły krwi? Czy dzięki tym węzłom Bulgarzy lub Serbowie są bliżsi Polakom, niż Włosi lub Francuzi z ich cywilizacyą, nauką, literaturą, malarstwem, rzeźbą i tysiącznemi zdobyczami kultury? A jeśli nie, to jakiż cement może spoić ludy słowiańskie? Czy może perspektywa, wskazana przez p. Struwego?

Idea słowiańska jest dzisiaj utopią wszechsłowiańską.

Utopia ta nie jest godna nawet porównywania z ideą, w którą ongi tyle zapału kładła emigracya polska, a której rzecznikiem najwymowniejszym był największy śród poetów słowiańskich, Mickiewicz. W idei Mickiewicza znajdziemy pokarm tak piękny, że karmić się nim jeszcze mogą całe pokolenia. Cóż znajdziemy w „idei“ p. Pogodina i p. Struwego?

„Miał w sobie ducha polskiego ten człowiek, — wypowiedział Mickiewicz już w „Pielgrzymie Polskim“, — *który napisał na chorągwiach za WASZĄ I NASZĄ wolność i wyraz WASZĄ położył przed wyrazem NASZĄ, wbrew całej dawnej logice dyplomatycznej“.*

Oto co najgienialszy przedstawiciel Polski mówił ongi Rosyanom. A mówił to wtedy, kiedy sami Rosyanie uważali, że dzieło zjednoczenia Słowiańszczyzny tylko przez Polaków zainicyowanem być mo-

że. Myśl tego zjednoczenia, jak świadczą o tem głosy pp. Pogodina i Struwego, jeszcze nie zamarła. Ale zmieniły się czasy. Idea, której wykonanie najszlachetniejsi marzyciele poruczali ongi Polsce, dziś w ręce Rosyi została oddana, — lecz cóż nam mówią liberalni Rosyanie?

„Za naszą wolność przez likwidacyę waszej wolności!“ — oto ich hasło.

Różnica jest zbyt jasna, aby ją tłumaczyć.

Niech więc zwolennicy rosyjscy „idei słowiańskiej“ usłyszą jedno: dłoń, podana w poczuciu równości i braterstwa zawsze na serdeczny zasługuje uścisk, ale gdy pp. Struwe et C-o wyciągają ku Polakom ręce w liberalnych rękawiczkach ze skóry nacyonalistycznej, to godność nakazuje ręce te odtrącić.





ST. MENDELSON

W drażliwej sprawie

„Stosunek do sprawy żydowskiej — przytaczam tu słowa Daniłowskiego — stał się probierzem demokratyzmu". Inaczej być nie może. Demokratyzm atoli nie daje i dać nie może „filosemickiego" rozwiązania kwestyi, a to dla dwóch, między innemi, przyczyn. Przedewszystkiem — filosemityzmu niemasz wcale. Przy najdemokratyczniejszem rozwiązaniu sprawy, przy zupełnem uwzględnieniu „praw człowieka i obywatela", pojmując ostatnie słowo nietylko w politycznem, ale i w towarzysko-społecznem znaczeniu, zostanie jeszcze dużo miejsca dla antysemityzmu, gdyż część życia towarzyskiego nie wchodzi wcale w orbitę życia politycznego. Tyle co do pierwszej przyczyny. Następnie: demokratyzm oznacza panowanie demosu; kto konieczność tego panowania uznaje, musi także zrozumieć konieczność brania demosu, jakim on jest. Otóż demos nasz, a i wszelki inny demos nie może być filosemickim. Raz tylko—i to w Anglii, na polach przesiąkniętych krwią butną i modłami ponurymi purytanów, spotkałem się z manifestacyą przekonań, która mi się filosemicką wydawać poczynała. Przez chwilę widziałem już pokrewieństwo nastrojów, zrodzone przez bezustanne czytanie i przyswajanie sobie starego testamentu wśród angielskich *nonconformists*. Ale stary robotnik rolny, mój główny współbiesiadnik, dał mi objaśnienie nieoczekiwane: „trzeba — mówił — ułatwić żydom życie, byśmy zawsze mieli przed oczyma naszemi pouczający objekt gniewu bożego, karcącego Izraela". Filosemi-

tyzm więc moich purytanów podobny był do zamiłowania, jakie dumny z postępu czasów archeolog żywi dla narzędzi tortur średniowiecznych. I com raz usłyszał w rolniczem Lincolnshire, często powtarzano mi w całym kraju John Bulla. Demos każdy nie wyrzeka się swych uprzedzeń i przesądów, jeno zawiesza je na ołtarzu lepszego bóstwa — jako chwilową ofiarę.

Więc demokratyzm filosemickim być nie może. Zresztą nie idzie wcale o to, by nim był. Wszak żądamy tylko, by demos, przez posiadanie władzy uszlachetniony, nie podnosił kija ślepej nienawiści lub nietolerancyi — na nikogo. I na tem polega całe demokratyczne, t. j. polityczno-społeczne, rozwiązanie sprawy. Reszty dokona zasada *laissez faire* solidarności wszechludzkiej, zasada, która powoli osad dziejowy nietolerancyi rozpuści w nowych formach współżycia.

Wszystko powyższe jest jednak doktryną i nie ma znaczenia praktycznego, gdy mowa o stosunku polsko-żydowskim. Urzeczywistnienie demokratyzmu musi na ziemiach polskich być poprzedzone takiem rozwiązaniem sprawy żydowskiej, jakieby wspólność aspiracyj wytworzyć była w stanie. Sprawa żydowska u nas — i taki jest mój punkt wyjścia — to nietylko kwestya żydowska, którą i w innych, szczęśliwszych, społeczeństwach spotykamy, ale ponadto, a może nawet przedewszystkiem jest to *stosunek polsko-żydowski.* Idzie więc, powtarzamy, o znalezienie drogi do zsolidaryzowania aspiracyj obu stron, dziś sobie obcych.

I w poszukiwaniu tej drogi Daniłowski mówi, że „wiercenie w ranie", którą jest stosunek polsko-żydowski, „pozostawmy tym *feldom* i *manom*", niemniej i *sonom* (oraz różnym botanicznym i mineralogicznym nazwom), „którzy cierpią z jej powodu również silnie i serdecznie, jak *scy* i *icze*". Słowem „inicyatywa winna wyjść ze strony żydów samych, jako najbardziej zainteresowanych, powołanych i najłatwiej oryentujących się w tej dla nas wprost niedostępnej dziedzinie".

Otóż, zdaniem mojem, punkt wyjścia Daniłowskiego jest z gruntu mylny. *Feldy* i *many* nie są wcale „najbardziej zainteresowani, powołani i najłatwiej oryentujący się", o ile ta oryentacya ma prowadzić do czynu. A nie są oni nimi zarówno ze względów psychicznych, jak i politycznych.

Przedewszystkiem na jakiem stanowisku mają stanąć *feldy* i *many?*

W czem mają oni być „najbardziej zainteresowani“? Z jakiemi hasłami i w imię czego, oraz z jaką misyą mają oni wrócić i zwracać się do tej „masy chałatowej“, stanowiącej u nas miliony? Na te zapytania trzeba dać odpowiedź jasną, bo przecież należy zajrzeć prawdzie całej w oczy.

Jeżeli bolączką *feldów* i *manów* będzie położenie mas żydowskich, jeżeli ich troską główną stanie się potrzeba dźwignięcia tych mas na „wyższy stopień kultury“, to dla osiągnięcia tego celu mogą oni — jeśli nie muszą — pójść po linii najmniejszego oporu. A w takim razie kwestya żydowsko-polska może z łatwością stać się kwestyą żydowską w Austryi, kwestyą żydowską w Rosyi, zupełnie jak w zaborze pruskim, gdzie dziś niemasz kwestyi żydowsko-polskiej, pomimo, że w Poznaniu i w Toruniu istnieje jeszcze do pewnego stopnia kwestya żydowska w Prusiech. Z chwilą, powtarzamy, gdy *feldy* i *many* otrzymują nieokreślony bliżej mandat „dźwignięcia“ mas żydowskich, kwestya żydowsko-polska może — nie mówimy *musi* ze względów oportunistycznych w argumentacyi — przedzierzgnąć się w kwestyę żydowską *per se,* a raczej w kwestyę żydowską, ujętą w obowiązujące i realne ramki życia państwowego.

Nie stawiamy tu żadnej hypotezy. Uogólniamy tylko fakty niektóre z dziejów stosunku polsko-żydowskiego w ciągu lat ostatnich. Przyjrzyjmy się tym faktom.

Istniała u nas przez długi czas t. zw. praca asymilatorska, która dziś jest moralnie zbankrutowana w oczach t. zw. inteligiencyi żydowskiej. Nieprawdą atoli jest, że asymilatorzy niczego nie zrobili; prawdą jest tylko to, że *feldowie* i *manowie* z dnia dzisiejszego poszli *po innej linii,* aniżeli ich poprzednicy. O zmianach zaszłych najlepiej poucza nas Galicya, gdzie życie jawne i konstytucyjne roztacza się przed oczyma naszemi bez mroku mgły, towarzyszącej zjawiskom społecznym w krajach mniej wolnych. Otóż w Galicyi separatyzm mas żydowskich, a i „inteligiencyi“ żydowskiej wzmaga się do tego stopnia, że nawet w socyalnej demokracyi wydziela się już żydowska PSD. I — *utinam vates falsus sim* — nie tak daleki jest czas, kiedy w III okręgu (lwowskim), przeważnie żydowskim, o ile socyaliści zachowają tam swój mandat poselski, wybrańcem będzie już nie p. Diamand z *polskiej* PSD, ale kandydat *żydowskiej* PSD. Takie zjawisko wi-

dzimy w socyalnej demokracyi, która na ziemiach polskich jest tylko fermentem przyszłości, nie zaś stronnictwem politycznem dnia dzisiejszego. Przejdźmy do politycznego życia, ochrzczonego mianem burżuazyjności lub drobnomieszczaństwa, a spotkamy się z syonizmem, paol-syonizmem, stronnictwem żydów niezawisłych (w Krakowie). Przyszłość przygotowuje nam nowe grupowania się, bo już dziś mamy syonizm krajowy i syonizm... z obietnicą biletu podróży krążnej. Ale to najważniejsze, że w tych kołach żydowskich, które czy to z powodów sceptycyzmu, czy też dla interesu *nie chcą* zsolidaryzować się z syonizmem lub innemi formami separatyzmu, dusza tajemnie raduje się z przejawów separatystycznego ruchu żydowskiego. W separatyzmie szermierze i „sympatycy“ sprawy żydowskiej widzą siłę polityczną. Kwestya polsko-żydowska zmieniła się w kwestyę żydowską. Już nie idzie o uregulowanie stosunku polsko-żydowskiego, ale o stosunek państwa *centralnego* do kwestyi żydowskiej.

Czyż więc nie mamy słuszności, gdy mówimy, że przedewszystkiem trzeba wiedzieć, w czem *feldy* i *many* mają być „najbardziej zainteresowani“, na jakiem mają stanąć stanowisku?

Jeżeli potrafimy prawdzie zajrzeć w oczy, to powiemy, że niemasz tu wcale „najbardziej zainteresowanych“, gdyż *feldy* i *many* Daniłowskiego mają tę samą bolączkę i ten sam interes, które on odczuwa i żywi.

Feldy i *many* nie są więc „najbardziej zainteresowani“, nie są oni więcej zainteresowani, niż *scy* i *icze*, o ile ostatni są „przeniknięci kulturą polską“. Wrócimy jeszcze do tej kwestyi, a teraz chcemy zaznaczyć, że *feldy* i *many* nie należą nawet do „najłatwiej oryentujących się“ w aspiracyach i tendencyach „masy chałatowej“, która — jak Żeromski nie bez pewnej słuszności mówi — składa się z „krajowych cudzoziemców“. To, co Daniłowskiego swą tajemniczością przestrasza, nie ma tak gęstej zasłony. „Dochodzą nas — mówi Daniłowski — w postaci nazw o mętnem znaczeniu sygnały jakichś ruchów, nurtujących te masy (żydowskie): syonizm, socyal-syonizm, bund i t. d.“

Otóż zapozwoleniem! Te nazwy, jako sygnały ruchów, są zdaniem naszem, mniej zagadkowe od różnych nazw SD, od licznych różniczkowań się w PPS, a tembardziej od różnych „Zmów robotniczych“, i t. p. „anarchistów-komunistów“. Gdy masom ludności, od

wieków zamieszkałej na ziemi polskiej, mówi się w imię „antropologicznych właściwości“: *wynoś się!*—możemy łatwo zrozumieć, że przebudzona godność osobista dyktuje naiwną odpowiedź: „więc pójdziemy do Syonu“. Ale gdy na niebie ukazuje się jutrzenka swobody dla narodu całego, trudno nam z punktu widzenia „kultury polskiej“ pojąć rokosze „Zmów robotniczych“ i „anarchistycznych“ organizacyj. „Syonizm“ może być butnym grymasem ludzi stale odtrącanych, którzy pomimo tego ziemię przez nich zamieszkałą miłują. Miałem osobiście sposobność na zgromadzeniu syonistów, do Londynu z Litwy przybyłych, widzieć łzy i westchnienia tęsknoty, gdy im czytałem opisy przyrody z „Nad Niemnem“ Orzeszkowej. Ale co znaczą i znaczyć mogą histerye „Zmów robotniczych“ w chwili, gdy interes „kultury polskiej“ wymagał wielkiej karności i solidarności synów budzącej się do życia ziemi polskiej? Zapewne, że pierwszy raz słyszane słowa „syonizm“, „socyal-syonizm“ są dla nas „*nazwami* o mętnem znaczeniu“, ale po chwili treść tych nazw staje się bardziej zrozumiałą od treści różnych liter przyczepionych do „Królestwa Polskiego i Litwy“.

Słowem: ruchy dziś nurtujące masy żydowskie mogą być łatwo pojęte przez *skich* i *iczów*. Trzeba tylko, by ostatni zrozumieli, że „sprawa drażliwa“ u nas to nie kwestya żydowska zwykła, ale stosunek polsko-żydowski, bez którego uregulowania niemasz łatwego rozwiązania kwestyi polskiej. I właśnie dlatego *feldom* i *manom* nieraz objektywizm w sądzie może niedopisać, gdyż i im często zamykano wrota gromady polskiej, gdyż i oni przeżywali chwile ciężkie banitów z łona narodu, który za swój uważali. I właśnie dlatego, że w sobie wszystkie bóle i wszystkie rokosze godności indywidualnej stłumili, nie są oni „najłatwiej oryentujący się“ w uczuciach podrażnionej „masy chałatowej“. Widzimy zresztą, że między żydami-asymilatorami a syonistami panuje walka, najbardziej zacięta, walka, w której pierwsi muszą uledz, o ile praca asymilacyjna i nadal pozostanie w rękach wyłącznie *feldów* i *manów*. Tymczasem *scy* i *icze*, kierując się chłodnym interesem politycznym, będą w stanie uniknąć niejednego błędu.... uczuciowego.

Jaka bowiem jest pobudka realna, jaka treść realna syonizmu i wogóle separatyzmu żydowskiego? Nie dajmy się wprowadzać w błąd demagogii, t. j. argumentacyi chorobliwej, owym afrodysiakom słownym, obliczonym na pobudzenie w masach namiętności przeróżnych.

Syonistów, mówiących o narodowości terytoryalnej lub nieterytoryalnej, nietrzeba brać zbyt poważnie; wszak nie bierzemy poważnie różnych Jędrków i Lolków, mających zawsze w zapasie broszurkę o federalizmie, syndykalizmie, materyalizmie dziejowym i t. p. ryczałtowem rozwiązywaniu trudności społecznych, dla ich niekarnej umysłowości niedostępnych. Realna treść syonizmu jest jego separatyzm, *jako taktyka organizacyjna* siły społeczno-politycznej. Pewien *plebs* opuszcza mury Rzymu i udaje się na „wzgórze święte". Taka jest praktyczno-polityczna treść separatyzmu żydowskiego. Trzeba teraz Meneniusa Agrippy, którыby umiał sprowadzić rokoszan do grodu wspólnego. Czyż *feldy* i *many* mogą odegrać rolę Meneniusa Agrippy? Przenigdy! Nie mówiąc już o trudnościach psychicznych, zaznaczymy przedewszystkiem, że mandatu żadnego nie mają, że w mandat ich, gdyby go nawet otrzymali, rokoszanie nie uwierzą.

Przedewszystkiem, dokąd sprowadzić rokoszan? Ziemie polskie nie mają swego państwowego dachu samoistnego, ale posiadają *swoje* życie polityczne, społeczne i towarzyskie, skupione w stronnictwach, związkach i t. d. Większość jednak tych związków zamyka ludności żydowskiej swe wrota. Wezmę jako przykład Galicyę, gdzie dla *mas* żydowskich niema dostępu do żadnego ze stronnictw politycznych. Ze wszystkich naszych partyj politycznych konserwatyści *w przeszłości* najwięcej nawiązali nici organizacyjnych ze społeczeństwem żydowskiem; toteż za czasów absolutnego panowania konserwatystów żydzi pod względem politycznym popierali politykę polską. Zaznaczyliśmy, że tak było w przeszłości, t. j. w tym czasie, kiedy konserwatyści nie potrzebowali opierać się na masach; dziś, gdy i „prawica narodowa" zmuszona jest liczyć się z masami, uwzględnia ona także wszystkie przesądy tych mas, bo do nich trafić chce i musi. Toteż widzimy, jak nasi konserwatyści w Galicyi z łatwością dziś zapożyczają od *centrum* i od Stojałowskiego demagogii antysemickiej.

Co się tyczy demokracyi naszej, to — musimy odróżnić dwa peryody. W pierwszym peryodzie nasza demokracya była szlachecka; innemi słowami, szlachta w interesie czynnej polityki ruchu, chcąc powiększyć armię narodową, gotową upomnieć się o prawa do niezawisłości, sformułowała i zorganizowała nasz ruch demokratyczny. W tym okresie o antysemityzmie mowy być nie mogło. Ale też w tym okre-

sie demokracya polska nie opierała się na masach i nie liczyła się z potrzebami powodzenia *organizacyjnego* wśród mas. We wszystkich trzech zaborach demokracya polska była wtedy mniejwięcej w temsamem położeniu, w jakiem do dziś dnia znajduje się pod względem organizacyjnym w Kongresówce postępowa demokracya, która ma doktrynę albo ideologię, ale nie ma wielkiej styczności z masami. Z szerszych warstw społecznych jedynie Żydzi w większej liczbie odezwali się na głos naszej współczesnej demokracyi; toteż t. zw. narodowa demokracya nazywa postępową demokracyę stronnictwem żydowskiem. A gdy idzie o zwalczanie p.-d., czy to za jej „wolną myśl", czy też za jej „burżuazyjność", inne stronnictwa, o ile istnieją, począwszy od klerykałów i kończąc na socyalistach, podchwytują to identyfikowanie postępowej demokracyi z „żydowstwem".

Co się tyczy demokracyi w jej drugim okresie, to musimy szukać faktów w Galicyi, gdyż tylko na tej ziemi polskiej stosunki polityczne są normalniejsze. I widzimy ten charakterystyczny objaw, że demokracya w swych różnych ugrupowaniach nie umie wcale zbliżyć się do ludności żydowskiej. Nie umie i nie usiłuje nawet, bo obawia się zarzutu „filosemityzmu". Pozostając więc w doktrynie na stanowisku bezwzględnego zlania się ludności żydowskiej z ludnością miejscową chrześciańską, partye demokratyczne nie umieją tej doktryny zastosować w swej działalności *organizacyjnej.* I — powtarzamy — nietylko nie umieją, ale nawet nie chcą. Na lewicy demokracyi, w stronnictwie ludowem, najbardziej wrogo usposobieni przeciw antysemityzmowi myślą jednak o utopii dobrowolnego wysiedlenia się znacznej części ludności żydowskiej. Taka utopia jest polityką strusiów, ukrywających swe głowy pod skrzydłami na widok zbliżającego się niebezpieczeństwa. Mniejsza jednak o wartość tej polityki; nam bowiem idzie tylko o skonstatowanie faktu, że niemasz nawet obozu, do którego można dziś sprowadzić wyodrębniającą się ludność żydowską. *Feldy* i *many* nie mają więc mandatu, nie mogą mieć posłuchu u mas żydowskich, bo w oczach mas żydowskich oni sami są u większości społeczeństwa polskiego na indeksie narodowościowym, a wreszcie nie mają nawet przygotowanych w społeczeństwie polskiem namiotów, do którychby ludność żydowską sprowadzić byli w stanie.

Tę oporność w uobywateleniu mas żydowskich, jaką spotykamy nawet — a naszem szczerem przekonaniem: *szczególnie* — wśród de-

mokratycznie myślących warstw polskich, niektórzy tłumaczą fatalnym układem stosunków ekonomicznych. Ludowiec naprzykład powie, że stanowisko ekonomiczne wielkiej części „mas chałatowych“ pozostaje w antagonizmie do interesów drobnych producentów rolnych; taki sam antagonizm mogą wysunąć naprzód nasze sfery rzemieślnicze i wogóle drobnomieszczańskie.

W rozumowaniu tem dużo jest prawdy, i Daniłowski ma pod tym względem bardzo trafne słowa, gdy wskazuje na to, że nawet w świecie żydowskim „nędzy—nędzy niemal beznadziejnej, ekonomiczne zdobycze proletaryatu rolnego i fabrycznego nie dotyczą jej bezpośrednio, a mają jedynie pośrednie znaczenie, jako zwiększenie siły kupnej okolicznej ludności“.

Innemi słowy: w dwóch przynajmniej zaborach istnieje przesycenie kraju handlującą ludnością żydowską, przesycenie, które zdaje się nawet wzrastać. Ten fakt niezaprzeczony wskazuje wszakże tylko na to, że należy jąć się polityki emigracyjnej w stosunku do żydów tak samo, jak ona istnieje w stosunku do bezrolnych włościan lub robotników bez pracy. Zorganizowanie tej emigracyi powinno, naszem zdaniem, być „polityką“, umiejętnie, przezornie i z pewnem przewidywaniem przyszłości prowadzoną. Istniejące bowiem u nas przekonanie, że otworzenie państwa rosyjskiego dla ludności żydowskiej ostatecznie rozwiąże *dla nas* kwestyę żydowską, dowodzi lekkomyślności, z jaką traktujemy całą tę sprawę. Zapominamy zawsze, że kwestya żydowska u nas dzieli się na dwie części, i że jeśli kwestya żydowska *per se*, to jest kwestya równouprawnienia całkowitego lub częściowego Żydów w państwie, zrobiłaby postęp przez zniesienie dzisiejszych ograniczeń „osiadłości“ żydowskiej, to stosunek polsko-żydowski, z punktu widzenia polskiego, mógłby pomimo tego uledz znacznemu pogorszeniu. Tysiączne nici poczęłyby łączyć ludność żydowską w kraju z emigrantami, którzyby osiedli w Cesarstwie, i któż może przewidzieć, jakieby to wywołało zmiany w politycznych i kulturalnych ideałach oraz dążnościach ludności żydowskiej. *Sapienti sat!* Dla łatwo zrozumiałych względów nie chcemy kłaść nacisku silniejszego na ten argument. Przypominamy tylko warunki Ks. Poznańskiego, gdzie istniejąca dziś emigracya ludności żydowskiej nie przeczy temu faktowi, iż w przeszłości giermanizacya miast została ułatwioną przez utworzenie wielkich kulturalnych i politycznych ogniw między ludnością żydowską

w zaborze pozostałą, a tą, która do Niemiec wyemigrowawszy, stamtąd w ziemiach polskich myśl o łączności z ideałami i duchem niemieckości szerzyła.

Na te wszystkie okoliczności zbyt małą dotychczas zwracano u nas uwagę. I pomimo tego, że na niektóre z nich już przed kilkunastu laty wskazano, nie zdołały one jednak wzbudzić w naszych grupach politycznych zrozumienia tej zasadniczej myśli, że „sprawa drażliwa" w kraju naszym dzieli się na dwie części: na kwestyę żydowską i na stosunek polsko-żydowski, i że ostatni jest integralną częścią całej kwestyi polskiej.

Sądzę, że w tych luźnych uwagach dałem dostateczne umotywowanie dla swych wywodów, które sformułuję w następujący sposób.

„Sprawa drażliwa" jest smutną po przeszłości spuścizną, której społeczeństwo polskie—poczęści dla przyczyn od niego niezależnych—uregulować nie potrafiło. Takich „spraw drażliwych" mieliśmy zresztą w wieku dziejów porozbiorowych większą ilość. Ze stosunkiem atoli polsko-żydowskim nie postąpiliśmy dotychczas znacznie naprzód.

Oddawać mandat rozwiązania tej sprawy w ręce *feldów* i *manów* jest rzeczą niemożliwą, gdyż asymilacya przez mandat nie może być dokonaną. Doświadczenie zresztą lat ostatnich powinno nas przekonać, że sprawy tej przez mandataryuszów rozwiązywać niesposób.

Inne pytanie, jakich dróg i środków należy użyć, by dojść do rozwiązania tej sprawy. Dróg tych i środków jest większa ilość, ale o nich dziś mówić nie możemy. Szło nam o umotywowanie naszego punktu wyjścia, mianowicie o to, by zaznaczyć, że ta „sprawa drażliwa" dzieli się na dwie części: na kwestyę żydowską, jako na kwestyę prawno-państwową, i na kwestyę żydowską, jako na stosunek polsko-żydowski.

Kto rozejrzy się w położeniu kresów, kto weźmie pod uwagę, że w kraju mamy $1\frac{1}{2}$ miliona ludności, w miastach skoncentrowanej i do separatyzmu dążącej,—kto uprzytomni sobie, że prawie milionowa ludność żydowska w Galicyi *może* zdecydować, czy Galicya, jako „kraj koronny", pozostanie krajem polskim, — ten całą *polityczną* doniosłość kwestyi z łatwością oceni.





WACŁAW NAŁKOWSKI

O ludziach i ideach

(z mego notatnika)

Mistyka walki. W walce człowieka idei z podłością, wogóle — ze złem tego świata, są dwie strony tajemne, mistyczne: z jednej — ta niepohamowana, nieugięta siła, która pcha człowieka do walki, choć widzi on przed sobą otchłań cierpień i grobu; z drugiej — niepodpadający zdaje się wątpliwości fakt, iż ma on przeciw sobie nietylko zupełnie zrozumiałą, świadomą przemoc stosunków społecznych, ale także i zupełnie niepojętą, nieświadomą potęgę przyrody, potęgę przypadku: w tej walce cała przyroda, „przypadek“ wystąpi jako aliant zła przeciw tobie, bojowniku; gdy przez długie lata kujesz miecz zabójczy i w chwili stanowczej wszystkie swe siły przelejesz w rękę z tym mieczem, by roztrzaskać czaszkę wrogowi, wtedy przypadek, jak Mefisto, sparuje ci twój cios i zamiast trupa ujrzysz wroga jak nigdy potężnego, jak nigdy pewnego siebie.

Lecz duch twój nie ulęknie się wrogiej bezmyślnej natury, on i nad nią musi zapanować — miecz twój strzaskany, lecz ty rzucasz się naprzód bez broni, by, jak w znanej ponurej pieśni bojowej, „własnymi zębami szarpać wroga i kąsać do kości“, — zginiesz, ale jak Winkelried zrobisz wyłom, w który wedrą się bracia twoi, by jak ty, posłuszni prawom tajemnym, nieustraszeni wyrąbywać dalej drogę w nieprzejrzanych zastępach Arimana.

*

Czyściciele. Wielkość twórców polega na tem, że wyprzedzają oni ideowo swą epokę, że stają do walki ze współczesnym im sposobem myślenia i działania, że z ofiarą swego całego życia walczą przeciw przemocy swego otoczenia — że „burzą“.

Wskutek tego nienawidzeni, oplwywani, zagładzani, krzyżowani przez współczesnych, znajdują oni uznanie, cześć u potomnych, którzy wyprawiają im sute pogrzeby, obchodzą rocznice, stawiają pomniki, sprowadzają prochy.

Lecz i potomni w okazywaniu tej czci mają nieraz trudności, zwłaszcza w chwilach reakcyi: chodzi o to, że wiele myśli i uczuć ludzi wielkich wybiega tak daleko naprzód, iż nawet dla przyszłego pokolenia są one jeszcze nazbyt jaskrawe, za niebezpieczne—i to właśnie dla sfer kierowniczych, nadających ton, urabiających opinię, obejmujących ster wszelkich obchodów i uroczystości, by przy tem świetle zajaśnieć blaskiem pożyczanym, by przy tym ogniu upiec swe pieczenie. I jakże wybrnąć z tej trudności? — Oto starają się oni wszelką wielkość wyczyścić, wyprać z jej „grzechów młodości“, czy też—„zamroczeń umysłu“; zamazują jej właściwe oblicze swemi cuchnącemi maściami, wciskają wielką postać w swe prokrustowe łoże i dopiero tak wymokłego, wykoszlawionego, zmalałego, spodlonego „mistrza“ pokazują narodowi jako przedmiot czci.—O czemuż cienie wielkich bojowników ducha nie mogą w takich chwilach powstać z mogiły, by odtrącić tych natrętnych karłów, co bezkarnie bezczeszczą ich pamięć!

*

Ideał indywidualnego rozwoju. Jeżeli istnieje postęp ludzkości, to celem jego musi być człowiek zupełny, całkowity — człowiek, posiadający pełnię sił i władz, panujący nad niemi w zupełności, niby maszynista, któremu dość otworzyć lub zamknąć pewną klapę, przerzucić pas na to lub owo koło, aby nadać taki lub inny kierunek sile swej maszyny. — Celem rozwoju człowieka jest spotęgowanie siły i ułatwienie jej transmisyi.

Obecna doba kapitalistyczna, wymagająca podziału pracy, wyspecyalizowania, zdaje się zaprzeczać temu: czyni ona człowieka współczesnego jednostronnem narzędziem, podczas gdy człowiek pierwotny był raczej człowiekiem zupełnym, był panem wszystkich władz, potrzebnych mu do ówczesnego życia pośród natury. — Ta sprzeczność jest jednak tylko pozorna; polega ona na wahadłowym (czy raczej spiralnym) pocho-

dzie ludzkości: jak w rozwoju nauki i sztuki następują po sobie wciąż nanowo epoki analizy i syntezy, realizmu i idealizmu, na coraz wyższych poziomach, tak samo i-w rozwoju indywiduum ludzkiego: przez wysokie wydoskonalenie różnych poszczególnych władz, poszczególnych zdolności u różnych jednostronnych indywiduów otrzyma się - częścią przez bezpośrednie dziedziczenie (skombinowanie różnych władz u potomków z rodziców, różniących się między sobą), - częścią drogą osobistej pracy indywiduów nad samodoskonaleniem się (korzystanie umysłowe z cudzego jednostronnego wydoskonalenia — otrzyma się, przy innym, lepszym ustroju społecznym, jednostki coraz bardziej wszechstronne, coraz pełniejsze — znów typ człowieka pierwotnego, lecz na daleko wyższym poziomie, wzniesionym przez poszczególne, jednostronne wydoskonalenia. Praca wychowawców, którzy coraz bardziej uświadamiają sobie szkodliwość jednostronności i starają się jej przeciwdziałać, przyczyni się też bezwątpienia do przyśpieszenia tego procesu, do ułatwienia transmisyi przez odpowiednie ćwiczenia w latach młodości. Podobnież działają wciąż doskonalone środki techniczne, potęgując zmysły, ekonomizując transmisyę i ułatwiając zwycięstwo nad siłą brutalną.

Wtedy dopiero ludzkość wejdzie na drogę sprawiedliwszej, a i ewolucyjnie skuteczniejszej, konkurencyi jednostek; inaczej bowiem siła najmarniejsza, ale skierowana wyłącznie ku najtrywialniejszym potrzebom chwili, odniesie zwycięstwo nad największą, lecz zwróconą ku celom wyższym, dalszym, duchowym, a nie posiadającą łatwej transmisyi dla stawienia oporu brutalności, — dlatego dziś jeszcze żołdak zapanowywa nad filozofem, bydlęctwo nad ludzkością.

*

Autor a dzieło. Któryś pisarz, rozbierając życie znakomitych ludzi i odkrywając przytem wiele ich wad i zdrożności, przychodzi do wniosku, że nietrzeba być za bardzo *correct*. — To znaczy, że wadami okupuje się wielkość, i że człowiek *correct*, bez wad, jest zwykle zerem.

Wniosek ten indukcyjny może być prawdziwym (i to nie bez wyjątków) tylko w zakresie tej indukcyi, to jest: nie może obowiązywać na przyszłość. Jakże bowiem wniosek ten możnaby uzasadnić teoretycznie? Jak sądzę, w ten sposób: człowiek bez wad może być skutkiem dwóch przyczyn: albo — braku silnych namiętności, i taki rzeczywiście jest siłą małą, której można niebrać pod uwagę; albo też —

posiadania woli jeszcze silniejszej od posiadanych równocześnie silnych namiętności: każde, choćby najsilniejsze pragnienie, które osiągnąć można tylko drogą upadlającą lub krzywdzącą, zostaje tu stłumionem jeszcze silniejszą potęgą woli. Otóż taka walka wewnętrzna zużywa masę sił tak, iż człowiek choć silny, nie jest często w stanie nazewnątrz niczem się zamanifestować. Tymczasem człowiek o sile nieraz mniejszej, ale też ze słabszą o wiele wolą, mniejszą dumą, popełniający w życiu podłości lub wyrządzający łatwo innym krzywdy, nie przebierając w środkach, może się nazewnątrz silniej zamanifestować, pisać piękne poematy, rozwijać energiczną działalność, osiągnąć postawione sobie ambitne cele.

Wady więc nie są *przyczyną* wielkości, produkcyjności człowieka, lecz są jej warunkami i to przy dotychczasowych siłach człowieka i dotychczasowych stosunkach społecznych; lecz w przyszłości, przy wzroście sił człowieka z jednej strony, a zmniejszeniu zewnętrznego tarcia o przeszkody ustroju społecznego z drugiej, możemy mieć nadzieję, że zjawiać się będą coraz częściej ludzie, którzy nie będą potrzebowali wielkich czynów okupywać przestępstwami, a choćby wadami — ludzie, których życie i dzieła nie będą w dysharmonii. — Że na tej harmonii dzieła ich zyskają w swym wpływie, nie wątpimy: dysharmonia bowiem dla ucha subtelnego jest nietylko dostrzegalna, ale nawet i nieznośna; dzieła autorów, których życie zadaje kłam ich ideom, nie mogą na znających to życie wywrzeć wielkiego wpływu, podobnie jak na parafian — kazania bardzo moralne nikczemnego kaznodziei.

*

Temat dla poetów. Poeci romantyczni dla pobudzenia swej twórczości gonili całe życie za „wrażeniami", niby dzieci—za błyszczącemi cackami. Dziś poeta taki nie zdołałby zrozumieć człowieka współczesnego, nie mógłby być wyobrazicielem jego duszy; albowiem cechą *człowieka* (nie wyzyskiwacza) dzisiejszego jest właśnie brak wrażeń, głód życia; jest on oddzielony niby murem więziennym od życia, od wrażeń szczęścia i piękna — jest cały wciśnięty w swe wnętrze. — Dziś więc nie wrażenia musi malować poeta, lecz głód wrażeń, nie rozkosz doznawaną pod wpływem piękna, lecz wściekłość, nienawiść i zemstę, prężące się w pętach, któremi brutalność zewnętrzna skrępowała człowieka.

TADEUSZ ULANOWSKI

Fioretti di San Francesco

Rozdział XXI: WILK z GUBBIO

(*według tłumaczenia Stanisława Witkiewicza z języka włoskiego na gwarę zakopiańską*)



O starym świętym gram,
Co szedł na wilka sam
I u kościelnych wrót
Rozgrzeszył wilczy ród.

..Jezus z pod białych rąk
Anioły śle na zwiad —
— Wilk po wilczemu kląk(ł):
Na przednie łapy pad(ł) —

— Od nieba idzie blask,
Niby od prawdy łysk —
— Od Franciszkowych łask
Mieni się wilczy pysk...

Za świętym klęczy lud,
Żałobny pasterz trzód:
Na wilczy patrzy ślub,
Pomny wczorajszych prób.

„— Od światła wilczek zmięk(ł)...
„Na długo?“ — pyta lud.
„Hic nodus — oto sęk,
„Czy prawda zmoże — głód?“

A święty — o nim gram —
Rzecze: „otwórzcie bram!“
I wpuści wilka w gród,
Śród narodowych trzód.

O nim to, świętym, gram,
Co szedł na wilka sam,
Chciał ci on z wilczych cnót
Ludzki poprawić ród.

H.M.



WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

VI

Szedł noc całą z początku polami, a potem borem. Zjadł zabrane placuszki, znużył się, sposępniał. Zimny blask księżyca, zimna rosa nocna dokuczały mu. Miał zapałki, ale bał się ognia rozpalać chciał ujść, o ile można, najdalej, a dzień przespać w gąszczach. Ze wstrętem, z fizyczną niemal odrazą myślał o tem legowisku, na zimnej ziemi, pod zimnemi gałęźmi, wśród szorstkich sęków i kłującego igliwia leśnej ściółki... Usiadł na osędziałym od wilgoci pniu, aby wypocząć. Zamyślił się o końcu swej wędrówki, o ciepłym zakątku, o pracy wyzwalającej, twórczej, o ludziach dobrych, sprawiedliwych, ukochanych... o duszach ognistych, potężnych jak grom... I zamyślił się o celu celów, o powszechnem szczęściu i weselu... Tutaj, w tym dzikim lesie, nagi i głodny mógł o nich myśleć z dawną młodzieńczą świeżością, niezmąconą żadnym rozdźwiękiem. Nie miał nic, nic nie nie posiadał, w nikim nie mógł budzić zazdrości... Natomiast wszystkiego pragnął, wszystkiego potrzebował, jak te tłumy, za których rycerza uważał siebie... I naraz poczuł, że znowu wszystko obejmuje łaskawem, miłującem sercem, że znowu rozumie wszystko i tłumaczy ze słodyczą niezgruntowanej wspaniałomyślności... Znowu nawiedził go przejmujący dreszcz nadludzkiego misteryum, które odeszło go było w walkach, a do którego tajemniczo a daremnie tęsknił... Znowu ocienił go swem skrzydłem błyskawicznem okrutny bóg Ofiary... Wstał

przejęty, z pobladłemi licami, i zamąconą źrenicą powiódł po tłumie chropawych pni...

Puszcza budziła się. Daleki lazur niebios płonął rumieńcem i siał między drzewa delikatne karminy rozbrzasku. W ciemnych rubieżach leśnych, w zielonych ostojach uperlonego rosą podszycia ocykały się ledwie dosłyszalne głosy, piski, mamroty, wzdychania... Ledwie dostrzegalne ruchy kolebały liśćmi i wiciami roślin... Górą, po wybujałych konarach starodrzewiu przelatywały dreszcze dziennego wiatru i miarowo zaszumiało nefrytowe morze, gdzie każdy liść, każdy pączek igliwia był falą.

Z duszy Wiktora osuwał się niepostrzeżenie jakgdyby mglisty welon. Wracało mu dawne, niepożyte, twarde uczucie, pokrewne siłom, które dźwigały ten las...

— Chcę żyć!

Wyprostował się i smukły jak smerek, jak on okryty jedynie opaską gałęzi, ruszył przed siebie.

Drożyna niepostrzeżenie rozszerzyła się, rozwidniła i wywiodła go na skraj obszernej polany. Kędzierzawe zboża stały tam bez ruchu jeszcze blade od nocnej rosy. W dali czerniały ogrodzenia, płoty, budowle; w purpurze wyglądającej zza lasu zorzy wił się z komina gęsty słup dymu. Trafił widocznie do zamożnej, sybirskiej „zaimki". Puszcza okalała ją w koło zwartym pierścieniem. Na skłoniu, za łączką, błyskała srebrna struga, a nad polami w podniebiu śpiewał skowronek.

Wiktor szukał chciwie oczami ludzi. Długo nie postrzegał nikogo, nareszcie niespodzianie tuż, blisko wyłonił się zza pagórka oracz. Para mocnych kasztanów ciągnęła bez pośpiechu drewniany pług. Chłop wielki, mięsisty, w perkalowej, kwiecistej koszuli i czarnej czapce sukiennej, z niedużą jasną brodą dokoła ogorzałej twarzy szedł pochylony nad rękojeścią płużyska i uważnie śledził odwijającą się z lemiesza skibę.

Wiktor zaczekał, aż do końca doorał bruzdę pod same zarośla. Wtedy wyszedł z cienia. Chłop spojrzał nań ciekawie, wyprostował się, ale nie zdradził żadnego zdziwienia, ani przestrachu.

— Dopomóż Boże!

— Dziękuję. A skąd to?

— Ze świata!

— Rzecz prosta, że ze świata! Przecie nie od nas!

Rozśmiał się i błysnął białymi zębami i niebieskiemi oczkami.

— A któż to was tak ogołocił?

— Buryaci.

— Ho! ho! Zdala idziecie. I nikt was nie przyodział?

— Nikt. Chyba wy dacie jaką koszulinę i portczęta...

— Pewnie, że dam. Toć to srom dla całego świata, żeby taki młody chłop ciałem na słońcu świecił!

Zawrócił konie i lemiesz w ziemię wraził. Wiktor chciał iść za nim.

— Poczekaj tu. Nata-a-lka! He! hee! — krzyknął głośno w stronę zagrody.

— Ho! hoo! Naa-taal-kaa!...

— I-d-ę!...

Wiktor ukrył się w zaroślach. Po świeżo podoranej roli biegła w różowym „sarafanie“ młoda dziewczyna, migając złotymi warkoczami; przed nią skakał, ujadając, łaciasty pies, a za nią w obłokach kurzu pędzili, poszturgując się wyrostek z dziewczynką w kusych wiejskich koszulinach. Otoczyli ojca. Ten opowiadał im wesołe zdarzenie i kiwał głową w stronę Wiktora. W tę stronę spoglądała ukradkiem i zasromana dziewczyna, chowając rozśmianą twarz w rękaw koszuli; w tę stronę zwróciły niebawem i dzieci rozdziawione usta i oczy. Nawet pies przysiadł i, fajtając ogonem, mordę w tę stronę przekrzywił.

Wiktor nie mógł wstrzymać się od śmiechu. Nadzieja rychłego powrotu do ludzi wróciła mu dobry humor. Innemi już zgoła oczyma spoglądał na dolinę. Wydała mu się śliczną. Dojrzał nagle, że obrzeża ją na podgaju girlanda liliowych dzwonków, bladych przylaszczek i żółtych jaskrów, że kwitną tam głogi, że dziki chmiel wiesza już na krzewach „bojarki“ swe białe festony, że struga na łączce tworzy ciche zatonie, nad któremi czerwone porzeczki zwieszają łopiaste liście, ciemna olszyna chyli pnie rdzawe, a w których przeglądają się rzesze sitowi, irysów i tłumy niezapominajek błękitnych jak woda. W dali, na drugim końcu wyrębu, dymiły się poczwarne wykroty świeżego karczunku...

Jednocześnie zauważył Wiktor, że ogród przy chacie był duży i starannie ogrodzony, że gospodarskie porządki, obórki, śpichlerze były liczne i całe... Widocznie mieszkano tu rok cały.

Sporo upłynęło czasu, zanim na roli pojawiła się gruba baba w czerwonej spódnicy z węzełkiem pod pachą. Oddała mężowi rzeczy i usiadła wyczekująco na miedzy. Chłop z węzełkiem w garści, nie śpiesząc się, prół dalej ziemię lemiechem w stronę Wiktora.

Ten mył się tymczasem w potoku...

Tak dokonały się uroczyste jego obłóczyny.

— A teraz pójdziemy na śniadanie... Zwą mię Mitryj Stepanycz... A ciebie, chłopcze?..

— Wiktor.

— I nic więcej?

— Nic!

— Niech i tak będzie!.. Bez imienia i owca baran!..

— No, i zażyłeś, biedaku, niedoli, zażyłeś... Tyli kraj świata, — jak matka urodziła — szedłeś goluśki... Powiadał mi mąż... o rety... powiadał! Że też cię jeszcze nie zabili, dziwota, — litowała się gospodyni, razwraz składając ręce. — A taki młodziutki, dziecko nieledwie. Niestarszy od naszego wojaki—dodała, spoglądając życzliwie na młodzieńca.

Wiktor pomagał dość sprawnie gospodarzowi wyprzęgać konie i powiódł je pod szopę. Przy herbacie z gorącymi placuszkami na maśle nawiązała się dalsza znajomość. Potem przybysz narąbał gospodyni drew i dopomógł jej wysadzić flance kapusty w ogrodzie. Wieczorem Mitryj Stepanycz zaproponował gościowi, aby został u niego przez lato.

— Dużo ci nie dam, gdyż widzę, że naszej chłopskiej roboty nie umiesz, ale dam ci... rubla miesięcznie, buty, świtę, kożuch...

— Całe lato, nie wiem, czy będę mógł... ale na sianożęć zostanę... zgoda!

— A dokąd się śpieszysz? Tu, u nas, dobrze, cicho... Jedynie markocić ci się może, że wódki niema... A i to stary jeździ od czasu do czasu do miasteczka i przywozi... możesz się upić—przekładała gospodyni.

— A daleko miasteczko?

— Będzie wiorst ze sto...

Spojrzała na przybysza przychylnie; badawczo spoglądał nań gospodarz, ciekawie zerkała śmieszka Natalka, razporaz zakrywając rękawem rumiane usta.

— Kieszka, czort, po coś gwóźdź w ławkę wbił? Paskudniku! — krzyczała na braciszka, który nie omieszkał skorzystać z zamieszania i podstawił jej w odpowiedniej chwili szpilkę.

Szumski umyślnie zwłóczył z odpowiedzią. Postanowił atoli zostać. Wywie się o drogę, może nawet ze starym do miasteczka pojedzie, ogarnie się cokolwiek, trochę grosza zarobi...

Nieprzebyty bór opływał „zaimkę“ dokoła, jak czarne morze; pienił się, chmurzył w wietrzysko — zacichał tajemniczo w dnie upalne, nieruchliwe... Do najbliższej wsi było dwadzieścia wiorst, do gminy pięćdziesiąt. Żyli tu na ustroni, jak na wyspie. Nikt tu nie zachodził, nie zalatywały wieści żadne... Był to świat w sobie zamknięty, całkowity, nakryty niebem, obwarowany ostrokołem niebotycznej puszczy. Wiktor rychło poznał wszystkie jego tajniki. Podzielał gospodarcze troski Mitryja Stepanycza co do dobroci wykonanej przez dzień roboty i szczerze się martwił, gdy mu nie dogodził.

Słuchał cierpliwie zwierzeń gospodyni Maryi Wasilewny, współczuł jej „biedzie“ żeńskiej; oburzał się z nią razem na liszki, co się rzuciły na kapustę, podzielał obawy, że kartofle zbyt wolno dźwigają się z pod ziemi. Nie przerywał długich, żałosnych opowiadań, wciąż tych samych, o synu żołnierzu, który już trzeci rok służy gdzieś na kraju świata... W święta chodził z Natalką, Kieszką i Wierką do lasu na grzyby... hukał tam i śpiewał, ile dusza chciała. Pod przewodnictwem tegoż Kieszki, z którym nieraz „tabunił“ rozbiegłe po lasach konie (a było ich ze dwadzieścia), zbadał okoliczne tajniki, mokre „kałtusy“ bezkreślne, gdzie gnieździły się kaczki, poznał mszyste wysmały i wrzosowiska, gdzie rosla maroszka i chowały się wypiory cietrzewie... Nieraz przynosili z takiej wyprawy ustrzeloną zdobycz, za co coraz łaskawiej spoglądała nań gosposia i coraz chętniej żartowała z nim Natalka.

— Ty patrz w oba oczy... nie zmarnuj mi bez pożytku dziewki. Coś ich zabardzo puszczasz! — mruczał Stepanycz.

— Nie bądź głupi! Chłopak jak mnich, nie patrzy nawet w naszą stronę!

— Już jabym cię przeorem tego klasztoru nie zrobił... Znam ja ich, tych mnichów!

Marya Wasilewna wzdychała ukradkiem; w jej wypukłych, obciążonych górami tłuszczu piersiach też żyła niejasna tęsknota do małej

choć w życiu odmiany. Nieznacznie robotnikowi podsuwała smaczne kąski w czasie obiadu. Ale mąż bacznie na wszystko uważał i przybysza na chwilę nie pozostawiał bez nadzoru.

— A gdzie? A dokąd? A po co?—Kobiety czuły oko gospodarskie i strzegły się.

Niedługo gospodarz zabrał niebezpiecznego parobka na pokosy. Po paru dniach Wiktor posiadł niezgorzej mądrość wymachywania „litewką“ i Stepanycz zaczął niepostrzeżenie coraz więcej od chłopca wymagać, żyły zeń wyciągać... Gdy po pracowitym dniu od świtu do zmroku, skąsani przez komary, z obolałymi, jakby wyschłymi z krwi członkami wracali do domu, żaden z nich nie miał ochoty do romansów... W święto spali do obiadu, a po obiedzie znowu się kładli, aby spać do wieczora... Przezorny gospodarz kładł się wtedy razem z Wiktorem w szopie na sianie, pod pretekstem, że w izbie gorąco, a w śpichlerzu... myszy hałasują. Wiktor widział te manewry i śmiał się w duchu... Ale myślał, że to tak pilnują Natalki.

— Dziewka jak rzepa i bożą wolę już czuje — rozważał rozbudzony chrapaniem gospodarza. — Rzecz prosta, że się lękają! Owszem, niechby tylko mi spać nie przeszkadzali.

Gdy wszakże na mokradłach Natalka wchodziła w wodę zgrabiać siano i podkasywała spódnicę tak, że widać było białe nogi powyżej kolan, odwracał pośpiesznie głowę. Stepanycz wtedy uśmiechał się nieznacznie, chytrze. W swej obecności pozwoliłby dziewczynie i na bardziej ryzykowne doświadczenia. Udał mu się chłopak, polubił cichego przybłędę... Do roboty ochotny, nie sromnik, nie pustogłów, czytać i pisać umie... aż straszno, że taki odpowiedni... czy aby na długo?...

— Im włóczęga lepszy, tem mniej mu wierz! Boję ja się tego chłopca. On zupełnie inny, niż wszyscy... — zwierzał się żonie. — Widziałaś, jak oczami łypnął, gdy Natalka do wody wlazła? Aż zbladł...

— Aż zbladł, powiadasz!... A to ci dopiero! — pytała gospodyni, sama blednąc zlekka. — Trzeba będzie jednak mieć na nich oko... Już ja ich nie popuszczę, już ja ich wypróbuję... Dobry robotnik, szkodaby go stracić... A trzeba będzie!

— Po co „trzeba“? Ty tylko pilnuj należycie! Każ dziewczynie spać od ściany, za dzieciakami...

— Każę, każę! a jakże! — podchwyciła gorąco gospodyni.

Deszcze wstrzymały zbiór siana, zamknęły kosiarzy na czas jakiś w izbie... Ale i w domu roboty było huk. Gospodarz, który musiał jechać do gminy w pilnym interesie, wahał się i rozważał: czy wziąć z sobą Wiktora czy nie.

— Jeszcze go o pasport spytają! — ostrożnie zauważyła żona.

Pojechał więc Mitryj Stepanycz sam.

Deszcz chlapał, bębnił w dach, w ściany i okna domostwa, jak obrzydły, dokuczliwy grajek. A w dali ryczał i stękał targany wichrem ocean boru.

— Ale dziś to już ciebie, Wiktorze, nie puścimy na siano... Musisz spać z nami w izbie... w sieni...

— A bo co?

— Boimy się... Słyszysz, jak huczy... Jeszcze kto przyjdzie...

— Onegdaj w boru, mamko, tak ci coś czarnego latało niziutko. A zamiast ślepiów miało węgle żarzące... Prao! I Wierka widziała! Mamko, jak mi Bóg miły, latało!.. — łopotał Kieszka.

— Nie widziała ja, nie, łżesz! — broniła się Wierka.

— Cudacznie bywa na świecie... Bywa, że widzisz, czego niema, nie widzisz, co jest... Ale najstraszniejszy, a zarazem najmilszy to jest człowiek... Niektóry jak dyabeł, a niektóry jak spojrzy, niby do duszy anioł wejdzie! — wzdychała gospodyni.

Natalka opuściła szycie na kolana i, patrząc w płonące łuczywo, zamyśliła się.

— Szyj, dziewczyno... Czego gały wytrzeszczasz... Żniwa nadchodzą, obedrzemy się, jak cygany... Ja bo muszę jeszcze koszulę dla was obmyślić, żebyście od nas nie odeszli, jak poganin grzeszny—dodała ze znaczącym uśmiechem.

— A jak to było w tym stepie?

Opowiadał im przygodę z buryatami. Słuchały, zwiesiwszy ręce, nie spuszczając zeń rozgorzałych oczu. Kieszka i Wierka do kolan mu przypadły, aby nie stracić żadnego poruszenia jego ust. Cicho zgrzytał pilnik w ręku Wiktora o brzeszczoty nacinanych sierpów, ciągłe opowiadanie szemrało w szumie pluchoty, jak strumyk.

— O la Boga! — wzdychały kobiety.

— Wola jego przenajświętsza, żeś żywy został... Prawdziwe twory nieludzkie! Mordować przechodniów... Słychana rzecz! Niejeden do miejsc świętych może dąży...

— Albo tego, matko, i sybiracy nie zrobią!..

— O co to, to nie!

— A Małych?... — wtrąciła nieśmiało Natalka.

— Co Małych?.. On nietutejszy, on posieleńczyk... on zamorski, przyszedł nie z własnej woli; zza Bajkału przysłano go... Ale tutejsi ludzie tego nie robią! My lubimy ludzi rosyjskich... tułaczy... A wy skąd będziecie, można teraz spytać?

— Polak jestem....

— Polak?!...

Grube jej ręce opadły, jak kłody.

— Czuło serce moje, czuło!.. To wy z panów?..

— Cóż wy myślicie, gosposiu, że u nas niema ani włościan, ani prostego ludu?

— Nie widziałam, takich nie widziałam... Sama ślachta!.. Buntownicy, powiadają... Podpalacze... Ludzie bez cesarza, na wszystko się porwą... na wszystko zdolne!..

Długo jej opowiadał o Polsce, o wiekowem wygnaniu Polaków na Syberyę, o usługach, jakie okazali tej ziemi.

Dziwił się, dlaczego słucha go tak nieuważnie, dlaczego zamyśla się cochwila i dlaczego na odchodnem nie żądała już, aby położył się spać w sieni. Drzwi mocno zwewnątrz przywarła i córce kazała się obok siebie położyć... od ściany. A gdy nazajutrz wieczorem wrócił mąż, pośpieszyła mu opowiedzieć nowinę.

— Więc cóż? — zdziwił się ten. — Teraz rozumiem, skąd ma takie zręczne ręce! Oni uczeni... wszystko umieją!...

— Mówią, że czarowniki, że co chcą, to z człowiekiem zrobią; zamówią mu serce, a nawet... portret mu sfotografują i z sobą zabiorą, aby mieć nad nim wolę...

— Głupiaś... Wielka rzecz! Za to w miastach płacą pieniądze... A zresztą Bóg ich wie! — pomyślał i dodał chytrze: — Dobrze się mieć na ostrożności... Tymczasem chodź, poprosimy, żeby przeczytał nam list od Nikołki. Już mi czytano w gminie, ale posłucham raz jeszcze.

— A więc pisał?

— Pisał, pisał i pieniądze przysłał.

Skupili się wszyscy za stołem przy zapalonym na tę uroczystość ogarku świecy.

„Ukochani rodzice!

„W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

„Jestem zdrów, czego i wam życzę, i ojcu memu, Mitryju Ste-„panowiczu, i matce Maryi Wasilewnoj, i siostrze Natalii Mitrownie, „i bratu, Kieszce, i najmłodszej siostreńce, Wierce... I proszę pokłonić „się krewnym i znajomym...“

Tu znowu ciągnęła się długa litania imion własnych i ojcowisk...

„A proszę przyjąć 10 rubli, które załączam“.

— To te właśnie przysłał — ucieszyła się gospodyni.

— A jakże!

—. Stara się chłopak, rozumu nabiera! Do tej pory tośmy mu wciąż posyłali tylko, daj i daj! — objaśniała skwapliwie Szumskiemu.

„... Teraz często się zdarza zarabiać, gdyż nasz pułk stoi w mieście, gdzie same polaki i żydy...“

Nagle wargi czytającego drgnęły i pobladły; przestał czytać i list oddał gospodarzowi.

— Cóż tak? Ach, ach! — klasnęła dłońmi Marya Wasilewna.

— Tak, tak... tutaj on trochę niezręcznie pisze — bąkał zmieszany Stepanycz.

— Poczekaj, my mu odpiszemy, my mu odpiszemy, że i polacy i żydzi też są ludzie. Koniecznie napiszemy mu! Co? może nie!? Ty nie bierz tego tak do serca... Młodziak on! Gołowąs... Co on wie!? Głupawy chłopak — uspokajał i pocieszał Wiktora.

W nocy długo szeptał żonie, co mu w liście w gminie wyczytano, i co z tego powodu dodał od siebie pisarz gminny...

— Męko Chrystusowa — szeptała z przerażeniem baba, zwijając w kłębek grube nogi i ciało.

DCN



SAVITRI

Siły bezpłodne

Siedziałem nad brzegami czarnej rzeki.

Płynęła straszna, olbrzymiością nieruchoma, drgająca czasem, jak cielsko kosmicznego lewiatana.

I nie wiedziałem, co kryje ta czerń nieprzezrocza: czy głąb, przed którą myśl bezsilna drętwieje z trwogi, czy płytkie mielizny, więżące śmiałe żaglowce-ptaki, rwące się na tamten brzeg, w Istotność.

Siedziałem nad brzegami czarnej rzeki, głowę złożyłem między łapy granitowego sfinksa. W jego oczy spoglądałem, w jego oczy— otchłanie, szukałem w nich odpowiedzi.

Wreszcie zrozumiałem, że w oczach tych — nic niema. Niema odpowiedzi, nie da jej sfinks pustooki. Poza pustką tych źrenic — tylko granit, nic więcej.

Kuć granit — nic więcej.

Młot dajcie mi w dłonie — ciężki młot ramieniu memu — by rozprysnął się pod nim sfinks pustooki, a nowy kształt z jego szczątków wyrósł widmem odważnych zaprzeczeń na brzegach czarnej rzeki.

Dajcie mi młot!

Miasto — głowonóg.

Oplątało mnie zimnym uściskiem tysiącznych ramion - ulic, zgubiło w kołowrocie huczącym, wielogłosym. Zarzucało na mnie pętlice bulwarowych zakrętów, zdradziecko opełzało czerwonymi wężami latarnianych szeregów.

Zastawiało na mnie pułapki dużych, niespodzianie pustych i milczących placów, na których nieruchomiały zaklęte w bronz mary przeszłości.

Wikłało w sieci kanałów, wlokących się, jak pasma karbowanych włosów niewidzialnej głowy, spiętych arkami mostów, sterczących nad nimi, jak łuki brwi nad pustymi oczodołami.

Po ulicach snują się ludzie — ssawki ruchome a chciwe. Ze wszystkich emanują drobne prądy zimna i ssą ze mnie ciepło i życie. Wszystkimi dreszczami samozachowawczej odrębności ssie mnie miasto —głowonóg.

Dłonie chcą rozmachu, by własnym ruchem rozgrzać się i nie skamienieć. Dajcie im młot.

Drzwi bez końca otwierają się, jak usta chichocące i ironiczne. Prześladuje, mnie ich chichot przemierzły, pełznie za mną, jak kąsająca żmija, podskakuje jak ropucha napęczniała śliną zjadliwą, o wypukłych i śliskich oczach.

I wszystkie drzwi zamykają się przedemną z kategorycznym, odmownym stukiem.

Miejsca! Spoczynku głowie znużonej, obolałej od płyt ulicznych, z których spędza strażnik kamieni, jako chmura grodząca drogę promieniom, by nie stopiły lodu.

I gdzieś rdzewieje poza grubymi murami ten młot, którym muszę przekuć w nowy kształt granitowe, niepodatne cielsko pustookiego sfinksa.

Błądzę, błądzę.

Mały roznosiciel niezrozumiale wykrzykuje nazwę swego towaru. Człowiek w bluzie przechodzi, uginając się pod ciężarem paki. Obdartus z czerwoną twarzą naprawia bruk, z trudnością odrywając jego kostki, wtłoczone w ziemię uderzeniami wielomilionowych kół.

Przy zakopconem okienku suteryny siedzi chłopak z piersią zapadłą. Znużonymi palcami wytrwale wyciąga igłę — wyrabia obuwie nogom nieznanym, by się na kamienistej drodze nie pokrwawiły.

Dajcie narzędzie rękom moim, dajcie barkom mym ciężar!

Ogromne, szare oblicze ziemi. Zawieszone zieloną zasłoną, przetykaną srebrnemi nićmi.

Trzeba zdzierać tę zasłonę, a twarz obnażoną, bezwyrazistą, pobruzdzić rysami tragizmu i bólu, okrasić czerwienią ogni, wybielić gmachów marmurem. Czemuż mi własnym rysem przeorać ziemi oblicza nie dają?

Trzeba odrywać kawały tej maski wiekuiście cierpliwej, szczątki

zasłon jej rwać i przetwarzać, przetwarzać... Niech się bólem ziemia wykrzywia, niech odjękuje obłędnie tęskniącym głosem syren i dalekim poświstem lokomotyw — niech rzęzi każdem ziejącem gardłem kopalni, niech się przepasze krepą rozoranych zagonów — lecz musi wziąć na się piętno człowieczej woli.

Tworzywo przedemną—wszędzie. Prędzej w uderzeniach, w dźwiganiu, w obalaniu wyładować tę moc, co rozsadza żyły krwią czynu przepełne, rozdziera ścięgna napięte, a nie rozprężane!

Niech się skończy męka siły bezpłodnej.

Zbliżam się ku odwiecznemu tworzywu.

A przy mnie, koło mnie, zewsząd, zewsząd przez powietrze wyciąga się tysiąc odpychających dłoni...

Mur czerwony, jak mięso ze skóry odarte.

Na nim — plama bolesna: skurczona postać w łachmanie wyblakłym. Jedno drobne ogniwko oderwane od brzęczącego w milczeniu wieków łańcucha, małe oczko wyplątane z powszechnej sieci.

Wilgotny mur łzawi się bez końca i upuszcza na odsłoniętą w wichrze głowę chłodne, obojętne krople.

Zagwizdała syrena. Tłum gwarzący choć zmęczony przesuwa się koło bolesnej czarnej plamy na murze.

Na tle ceglastem patrzą oczy zgubione, zaprzepaszczone nazawsze w bezmiernem zdumieniu, w niepojętej trwodze — patrzą gdzieś w przestwór, przez powietrze — i widzą tysiące, tysiące, tysiące odpychających dłoni.

Chodź, chodź za mną! Budzi się w ciele wyssanem dreszczami chłodu moc nieczłowiecza, straszny bunt siły bezpłodnej.

Nie dano jej tworzyć — burzyć będzie... Odepchnięta—rozwalać będzie czaszki wielogłowego potwora, domy kamienne, druzgotać mury, poza którymi leży młot ukryty przed jej dłońmi — dłońmi żądnemi rozwalić pustookiego sfinksa.

Pognie żelaza w zamaszyste kośby narzędzia. Z ich łyskliwem ostrzem wyjdą siły bezpłodne na swój trud niszczycielski, na czerwone żniwo swoje — Kosić, kosić dłonie odpychające...



A. SZCZĘSNY

Zwierciadła

Zwierciadeł starych mowa, z żalu zzieleniałych
Po złotej twarzy słońca, które w nie spojrzało —
Szepce mi cichą baśń o fregat żaglach białych,
O pożegnalnych strzałach przed żeglugą śmiałą, —

Szepce mi o orkanów przeszłych zgasłej zgrozie,
O buntach w czasie cisz, na morza lustrze gładkiem,
O ryku głodnych załóg, kierujących statkiem,
Kiedy sternika trup zwisł z rei na powrozie.

O portach szepce mi, gdzie w stujęzycznej zwadzie
Stęsknionych bander krew na masztach się trzepoce, —
O pluskach mówi mi pod tamą w jasne noce,
Kiedy latarni błysk na garby fal się kładzie.

O ludziach mówi mi prawiących tajemnice
Dalekich świata stron, gdzie szczęścia szukać chcieli,
Gdy z żalem jeszcze raz chcą ujrzeć młode lice,
W gawędach skarżąc się — po co i gdzie płynęli...

WACŁAWA GRODZICKA

Na łące

Roztopionego złota polały się fale
Na upojone szczęściem rozkwiecone łąki,
Co, dręczone tęsknicą zimowej rozłąki,
Wonne piersi do wiosny stóp kłonią omdlale.

Grają perły, szmaragdy, turkusy, opale —
Pieśń kolorów, co niby woń kwietna — odurza:
Rozchyliła się cicha upojenia kruża
I czar słodki w majowym roztapia upale.

Jak poświęcone zioła w gotyckiej świątyni,
Spłoną kwiaty marzenia na ołtarzu ducha
I błękitnem westchnieniem ku szczęściu popłyną....

W pieśń miłości słoneczną serce się zasłucha,
A w tę ciszę świątynną, co wraz się uczyni,
Dawnych zaklęć gorące skry — padną i — zginą.

MARYA GLIKSONÓWNA

Pozdrowienie

Wszystkim tym, którzy wśród świata chaosu
giną od gromu —
Wszystkim samotnym, którym ręka losu
nie dała domu —
Wszystkim bezdomnym, ginącym z rozpaczy
w rozterce życia —
Wszystkim tym, których drogę łzami znaczy
los—od powicia —
Wszystkim tym, którzy miłości oddali
ostatnie tchnienie —
Wszystkim Rozbitkom — ginącym na fali —
ślę pozdrowienie!

ODROWĄŻ

Paragraf 7-y

„Obrady na zebraniach publicznych muszą odbywać się w języku niemieckim. Przepis ten nie stosuje się do międzynarodowych kongresów i do zebrań przedwyborczych do parlamentu i ciał ustawodawczych państw związkowych oraz Alzacyi i Lotaryngii od dnia urzędowego ogłoszenia dnia wyborów aż do ich przeprowadzenia. Rząd odnośnego państwa może dozwolić na wyjątki. Jednakże w dzielnicach, w których, w czasie prawomocności niniejszej ustawy, zamieszkuje stara zasiedziała ludność o języku nieniemieckim, o ile, wedle każdorazowego spisu ludności, 60% ogólnej liczby mieszkańców wynosi, wolno jej, podczas pierwszych lat 20 po ogłoszeniu niniejszej ustawy, używać także na zebraniach języka nieniemieckiego, jeżeli urządzający zebranie przynajmniej na trzy doby wcześniej zamelduje je policyi z dodatkiem, że rozprawy odbywać się będą w języku obcym i w jakim. Policya powinna wydać natychmiast bezpłatne piśmienne poświadczenie odbioru tego doniesienia. Jako dzielnice, uważane będą okręgi najniższych władz administracyjnych.

„Dozwolone są również wyjątki za pozwoleniem władzy centralnej, o ile ustawodawstwo krajowe nic innego nie postanowi".

Oto dosłowne brzmienie paragrafu 7-go Ustawy o stowarzyszeniach. Nowe tu zwycięstwo Bülowa i rządu jest niby niezupełne, ponieważ dopuszcza „wyjątki" i nie znosi jakoby zupełnie używania na zebraniach „języków obcych". Ale gorliwość policyi pruskiej i cały arsenał szykan, zawsze popartych „paragrafami", którymi tak doskonale umieją operować prowincyonalne pikielhauby, może być najzupełniejniejszą gwarancyą, że wszystkie „wyjątki" pozostaną wyjątkami — na papierze.

Dzieje przyjęcia paragrafu 7-go w komisyi parlamentarnej budzą

przedewszystkiem uczucie niesłychanego wstrętu i obrzydzenia. Paragraf kagańcowy przeszedł 16-u głosami przeciwko 12-u głosom centrowców, polaków i socyalistów. Panowie „wolnomyślni“ z własnej, nieprzymuszonej woli wleźli po uszy w ohydne bagno polityki ucisku i bezprawia. A przecież tak niedawno jeszcze ci sami ludzie, przy obradach nad ustawą o wywłaszczeniu w sejmie pruskim, nie szczędzili pięknych frazesów i z zapałem deklamowali o tem, że niewolno rządowi wobec polaków naruszać praw, przez konstytucyę zagwarantowanych, że niewolno mu zapominać o tem, iż *justitia fundamentum regnorum*. Niestety, *justitia* wolnomyślnych ustąpić musiała — wobec giełdy. Dziś już jest tajemnicą publiczną, że wolnomyślni przeszachrowali wolność zebrań na reformę giełdową. Ustępstwa konserwatystów w sprawie reformy tej uwarunkowane były zaprzaństwem i spodleniem się wolnomyślnych przy przyjęciu paragrafu kagańcowego i paragrafu, wykluczającego młodocianych ze stowarzyszeń. „Hotentocka“ większość w parlamencie niemieckim zdobyła nowe laury. Giełdziarska szacherka zwyciężyła właśnie 19-go marca, w 60-tą rocznicę rewolucyi, w 60-tą rocznicę owych dni pamiętnych, gdy za hasła wolności i braterstwa ludów umiano krew przelewać na ulicach Berlina...

W ciągu tych lat 60-u frygijska czapka bojownika odbyła nielada ewolucyę, pozbyła się doszczętnie groźnej czerwieni i jest dziś wygodną szlafmycą, przykrywającą ostateczne znikczemnienie i niecofającą się przed niczem podłość. Byle handel szedł, byle hasło „zbogacajmy się“ nie znajdowało zapór, ani przeszkód.

Paragraf kagańcowy znów jedną z takich przeszkód usuwa. W Nadrenii i Westfalii, dokąd tak licznie napływa robotnicza emigracya polska, nie znajdzie się w żadnym powiecie 60% „dawno zasiedziałej“ ludności polskiej. Niema więc mowy o zebraniach, na których obrady mogłyby toczyć się w języku polskim. Jakże więc ma się organizować i uświadamiać ów robotnik polski, za chlebem na obczyznę wygnany? Podatny i pożądany łup dla wyzysku wielkich przemysłowców westfalskich! A zarazem i bezwiedny krzywdziciel nietylko samego siebie, ale i robotnika niemieckiego właśnie dzięki swej bezbronności.

Paragraf 7-y już i teraz spada ciężkiem brzemieniem nietylko na emigracyę polską, ale i na wiele powiatów ziem polskich w zaborze pruskim.

Na 37 powiatów w *Prusach Zachodnich*, sześć zaledwie posiada przeszło 60% ludności nieniemieckiej, a więc: lubawski (80,1), starogardzki (72,6), kartuski (kaszubi, 68,7), pucki (kaszubi, 68,6), brodnicki (65,2), tucholski (63,8).

W *W. Księstwie Poznańskiem* na 42 powiaty, 26 ma przeszło 60% ludności polskiej; są to powiaty: wrzesieński, jarociński, średzki, źremski, poznański wschodni, poznański zachodni, obornicki, szamotulski, grodziski, śmigielski, kościański, gostyński, koźmiński, krotoszyński, ostrowski, pleszewski, odolanowski (90%), ostrzeszowski, kępiński, inowrocławski, strzeliński, mogilański, żniński, wągrowiecki, gnieźnieński i witkowski.

Pozostałe zaś powiaty, a więc: Poznań — miasto, Międzychód, Międzyrzec, Rawicz, Nowy Tomyśl, Babimost, Wschowa, Leszno, Wieleń, Czarnków, Chodzież, Wyrzysk, Bydgoszcz – miasto, Bydgoszcz — wieś, Szubin—nie mają 60% ludności polskiej.

Na *Górnym Śląsku* znajdujemy przeszło 60% polaków w powiatach: pszczyńskim (86,5), oleskim, rybnickim, gliwickim wiejskim, lublinieckim, opolskim wiejskim, wielko-strzeleckim, kozielskim, bytomskim wiejskim, tarnogórskim, katowickim wiejskim, zabrskim.

W dziewięciu powiatach, a należą tu: Katowice—miasto, Bytom—miasto, Opole—miasto, Gliwice—miasto, Królewska Huta, ilość ludności polskiej wynosi 58,1%—9,6%, w pozostałych powiatach śląskich ludność polska nie przewyższa 5%.

Statystyka powyższa sporządzoną została przez sekretaryat Koła polskiego w parlamencie na podstawie spisu ludności z 1900 roku. Statystyka poszczególnych powiatów według spisu ludności w roku 1905 nie została jeszcze ogłoszoną urzędownie. Wątpliwe jest przecież, by zmiany stosunków procentowych były znaczniejsze.

Stolica kraju, Poznań, liczyła w 1900 roku 53,3% Polaków, według zaś spisu ludności z 1-go grudnia 1905 roku jest w Poznaniu 78.309 Polaków na 137.067 mieszkańców. A więc stolica kraju, kilkadziesiąt powiatów i całe wychodźtwo skazane zostają na milczenie już teraz.

W roku 1905 ludność polska w Prusach wynosiła 3.646.466 głów, w ciągu lat 20 cyfra ta rosnąć będzie nieustannie: trudno uwierzyć, by powiodło się najbardziej koszarowemu rządowi oniemić takie zastępy. Charakterystyczne, że nawet polakożercza prasa niemiecka – taki np.

„Berliner Tageblat" pisze: „Po upływie przejściowych 20 lat będzie wolno w Niemczech przemawiać na zgromadzeniach tylko poniemiecku... O święta naiwności! — musi się zawołać wobec tych nadziei co do wychowania Polaków na Niemców. W przeciągu 120 lat nie zdołała szkoła pruska zmniejszyć procentowego wzrostu ludności polskiej, a teraz w przeciągu lat 20 ma zrobić z trzech milionów Polaków dobrych Niemców! Byłoby to niemożliwe nawet wtedy, gdyby szkoła pruska była idealna; obecnie nie potrafi ona nawet chronić niemieckiego stanu posiadania".

Koło polskie w parlamencie niemieckim wniosło rezolucyę, domagającą się *oficyalnej ankiety* w sprawie polskiej. Rezolucya ta brzmi:

„Ks. Brandys i towarzysze wnoszą, by kanclerz w etacie Rzeszy na rok 1909 zażądał odpowiedniej sumy na pokrycie kosztów urządzenia ankiety, podjętej przez członków rządu Rzeszy i parlamentu, a mającej zbadać polityczne stosunki ludności polskiej w Rzeszy niemieckiej".

W dyskusyi nad rezolucyą tą chce Koło polskie wytoczyć akt oskarżenia przeciw pruskiej polityce antypolskiej. Jeszcze więc dyskusya i jeszcze mowy, zawsze, niestety, jeno skarg pełne, a przecież lojalne—w rezultacie zawsze to samo zero.

Czy i teraz poprzestanie Koło polskie na tej zgoła bezpłodnej „pracy narodowej", czy nie rzuci się w wir walki o zdemokratyzowanie państwa, o zdobycie prawa wyborczego do sejmu, o złamanie potęgi junkrów i wstecznictwa? Ciosy, wymierzone przez żelazną pięść pruską w sam rdzeń istnienia narodowego, powinnyby nareszcie opamiętać „przedstawicieli ludu" i skierować ich na drogi, któremi chadza lud, o prawa swe walczący, a nie w tchórzliwe sobkostwo zjadaczów chleba.

H.M.

LEON WASILEWSKI

Nowy program

Co za szkoda, że prawie nikt u nas nie interesuje się sprawami słowiańskiemi! Szkoda — bo, nie interesując się niemi, nie czytuje „Swiata Słowiańskiego“. Zapewne nawet bardzo znaczna — jeśli nie przeważna—część czytelników „Witezia“ wcale nie domyśla się istnienia takiego pisma. Tymczasem wychodzi ono od paru lat w Krakowie, zajmując się przeważnie Słowiańszczyzną. I niech nikt nie przypuszcza, że w „Świecie Słowiańskim“ spotka się z nudnymi artykułami z dziedziny filologii, archeologii lub paleografii pobratymczych plemion, które łączy pokrewieństwo językowe, a jeszcze bardziej wściekła nienawiść wzajemna. Przeciwnie, „Świat Słowiański“ jest pismem, którego nic nie obchodzą tematy, od życia oderwane. Jest ono pismem *per excellence* politycznem, interesującem się zagadnieniami chwili i pragnącem skierować polską politykę narodową na nowe tory.

„Świat Słowiański“ propaguje politykę słowiańską i czyni to systematycznie od lat czterech, będąc organem krakowskiego „Klubu słowiańskiego“, w którym skupiają się żywioły zabarwienia konserwatywno-katolickiego pod przewodnictwem profesora Maryana Zdziechowskiego. „Świat Słowiański“ usiłuje reprezentować polską myśl polityczną w stosunku do reszty szczepów słowiańskich i faktycznie uprawia politykę słowianofilstwa polskiego. Na tę akcyę publicystyczną u nas nikt prawie uwagi nie zwraca, natomiast prasa zachodnio i południowo-słowiańska przysłuchuje się temu, co pisze „Świat Słowiański“, i gotowa brać jego słowa za wyraz opinii szerszych kół społe-

czeństwa polskiego. Warto więc wobec tego, aby i u nas dowiedziano się wreszcie, czem jest to „polskie słowianofilstwo“ i jaka jest jego idea przewodnia.

Nie mam zamiaru oczywiście poddawać rozbiorowi krytycznemu treści, bardzo ciekawej, mnóstwa artykułów „Świata Słowiańskiego“, wśród których są bardzo cenne przyczynki. Chcę tylko zwrócić uwagę na bardzo znamienny artykuł naczelny ostatniego zeszytu „Świata Słowiańskiego“ — artykuł, który odźwierciadla doskonale idee przewodnie „słowianofilostwa polskiego“, lęgnącego się w grodzie podwawelskim. Pragnąc zaś utrzymać się na stanowisku objektywnego referenta, będę się posługiwał prawie wyłącznie cytatami.

Artykuł, z którego treścią chciałbym zapoznać czytelników „Witezia“, jest zatytułowany: „Program Wielkopolanina“. Autorem zaś jego jest — jak zapewnia Redakcya „Świata Słowiańskiego“—„jeden z najwybitniejszych patryotów wielkopolskich“. Zresztą nie ulega żadnej wątpliwości, że Redakcya organu krakowskiego solidaryzuje się z poglądem swego współpracownika, któremu bez zastrzeżeń odstąpiła miejsce na czele numeru.

„Program Wielkopolanina“ jest programem szerokim. Autor jego, przemawiając w imieniu „Świata Słowiańskiego“, wybiega poza krańce dzielnicy własnej, pragnąc dać *całemu* społeczeństwu polskiemu nowy program polityczny. Mówi więc o wszystkich dzielnicach Polski i daje wskazówki każdej z nich, co ma u siebie czynić.

Autor artykułu w „Świecie Słowiańskim“ twierdzi, że „Niepodległości są dwa rodzaje: niepodległość narodu zosobna i z drugimi narodami we spółkę“ (str. 219). „Otóż Polska należy do tych krajów, które nie mogą osiągnąć i utrzymać niepodległości zosobna“ (str. 219). Polska wobec parcia Niemców na wschód „mogłaby albo zostać satelitą Niemiec, albo porozumieć się z sąsiadami wschodnimi lub południowymi“ (str. 219). Pierwszą ewentualność autor artykułu odrzuca z całą stanowczością. Co do sąsiadów „południowych“, to niewiadomo, kogo ma na myśli *), i nic o tem nie mówi. Natomiast

*) Redakcya „Świata Słowiańskiego“ zaznacza: „Przyłączenia Kongresówki do Austryi możebyśmy się tak dalece nie bali...“ (str. 305), lecz jednocześnie stwierdza, że „Program Świata Słowiańskiego ma w pierwszej linii troskę o utrzymanie Rosyi...“ (str. 314).

porozumienie się z Rosyą wysuwa na plan pierwszy, oświadczając, że „jednym z takich fetyszów, zmienionych na podstawę rozumowania narodowego, był aksyomat antagonizmu polsko-rosyjskiego, powiązany bałamutnie z ideą niepodległości“ (str. 217 — 218). Tymczasem nic fałszywszego od takiego rozumowania, bo — zdaniem autora—„My potrzebujemy Rosyi potężnej może jeszcze bardziej od Rosyan samych“ (str. 223). „Dlatego winniśmy bezzwłocznie pracować nad odrodzeniem Rosyi“... (str. 223).

Jak ma być prowadzoną przez Polaków ta akcya, tego z artykułu „Świata Słowiańskiego“ nie dowiadujemy się, jakkolwiek nie szczędzi on wskazówek, co czynić należy, aby przyśpieszyć chwilę realizacyi „polityki słowiańskiej“ we wszystkich częściach kraju. Najobszerniej potraktował Galicyę, gdzie, jak widać, ma być stworzoną podstawa operacyjna „polityki słowiańskiej“ według zasady *do ut des*.

Powiada on: „Szczegółowiej biorąc rzeczy, w Galicyi domaga się się rozwiązania kwestya ruska ze stanowiska słowiańskiego... Polacy wogóle nie mają ani prawa, ani obowiązku mieszać się w wewnętrzne sprawy innych narodów, ani więc Rusinów. Jeżeli chcą, niech się uważają za Rosyan, jeżeli chcą, za naród ukraiński. Należy więc, coprędzej zawrócić z fałszywej drogi. Dzisiaj Rusini galicyjscy rozpadli się na dwie narodowości, na Rosyan i Ukraińców. Ukraińcy posiadają zupełne równouprawnienie, Rosyan nie chcemy wcale uznawać. Krzywdę tę trzeba naprawić. Najpierw należy język rosyjski zupełnie równouprawnić z ukraińskim w szkole, sądzie i urzędzie. Niech te gminy, które chcą, mają szkoły rosyjskie; w gimnazyach rusińskich należy urządzić paralelki obok ukraińskich rosyjskie, jeżeli się znajdą uczniowie i profesorowie chętni, na uniwersytecie należy pozostawić profesorom i docentom rusińskim do woli, czy chcą wykładać poukraińsku, lub porosyjsku, oraz założyć katedrę języka rosyjskiego, jak istnieje ukraińskiego. Podobnie w sądach i urzędach należy tak samo używać na żądanie stron języka rosyjskiego, jak ukraińskiego. Tak samo należy równouprawnić z językiem ukraińskim rosyjski w sejmie galicyjskim i w Radzie Państwa wiedeńskiej“ (str. 223). A to wszystko w tym celu, by językowi polskiemu zdobyć to samo w Królestwie, co damy rosyjskiemu w Galicyi. „W Królestwie... autonomia na dziś kompletnie nieaktualna, więc należy ją odłożyć... Należy w Królestwie dążyć do równouprawnienia języka polskiego w szkole, sądzie i urzędzie obok

rosyjskiego... Słowem — do tego, co przyznamy Rosyanom w Galicyi, należy dążyć w Królestwie" (str. 228).

Najmniej mówi autor o sposobach realizacyi „programu słowiańskiego" w swej ściślejszej ojczyźnie, w Wielkopolsce. Powiada: „Dla nas dzień wkroczenia wojsk rosyjskich byłby najradośniejszy w życiu" (str. 224), i komunikuje, że „Przy zakładaniu pewnej czytelni w Poznańskiem (prywatnej, oczywiście) na arkuszach i kopertach oraz na stemplu umieszczono obok polskich napisów rosyjskie" (str. 224), co zapewne ma być wskazówką postępowania dla tych, którzy—zmartwieni nieobecnością w Poznańskiem Rosyan lub Rusinów, nadających się do zrosyjszczenia, — nie wiedzieliby, jak sobie radzić z „programem słowiańskim" przed przybyciem wojsk rosyjskich.

Po tych wskazówkach, zastosowanych do Galicyi, Królestwa i Wielkopolski, autor artykułu przechodzi do wskazań ogólnych, mówiąc: „Obok tego trzeba we wszystkich trzech zaborach, na całej ziemi polskiej przedsiewziąć jeszcze inną akcyę. Pospolity patryotyzm u nas ma stronę odwrotną, antagonizm rosyjski... Tataj należy rozpocząć pracę w tym kierunku, aby na miejsce tego, co nas dzieli z Rosyą, *akcentować* to, co nas łączy..." (str. 225).

Sądzę, że tych wyjątków wystarczy, aby czytelnicy „Witezia" ocenili „program narodowy" „Świata Słowiańskiego". Żałuję mocno, że tenże nie przyśpieszył wydania ostatniego zeszytu, gdyż mogłoby to zapobiedz zjawieniu się słynnego artykułu Słowianina z „Nowoje Wremia", p. Mieńszykowa,—„Polacy i Cuszyma". Utalentowany współpracownik dziennika p. Suworyna nigdyby zapewne nie napisał tego artykułu, gdyby się dowiedział, że posiada w Redakcyi „Świata Słowiańskiego" pokrewne sobie duchy...

WACŁAW GRUBIŃSKI

Teatr

Już pismo święte mówi: Nie samym chlebem człowiek żyje,—a lud rzymski wołał: *Panem et circenses*!—głosząc tym okrzykiem, że wprawdzie chce chleba, ale że sam chleb mu nie wystarcza. Więc nie oglądając się na zacnych, ale zbyt zacietrzewionych doktrynerów-utopistów, którzy z pianą na ustach prawią, że teatr jest zbrodniczem cackiem, dopóki pewna część danego społeczeństwa cierpi niedostatek, pozwolę sobie być innego zdania i, nie lekceważąc sprawy powszechnego chleba, upomnę się o drugą, równie ważną, sprawę ludzkiego żywota, o chleb t. zw. duchowy, wypiekany w formie teatralnej, znany pod ogólnym mianem sztuki i poezyi.

Twierdzę stanowczo, że jest kaleką, kto sztukę jako karygodny *lux* traktuje i jako niepotrzebny zbytek; kaleką jest według mnie, kto nie pragnie zbytku — ale czyż istnieją tacy ludzie? Przypomnijmy sobie, co mówi Szekspir ustami Leara:

O, nie mierz życia tylko koniecznością!
Zamknij człowieka w granicach potrzeby,
A będzie taki wiódł żywot, jak bydlę.
(*koniec aktu II-go*)

Już troglodyci mają swoją sztukę; mają swój zbytek, ten niezbędny zbytek, i dzisiejsze najuboższe dzikie społeczeństwa! A zatem, mówiąc lapidarną szekspirowską mową: tylko bydlęta nie znają sztuki, zaś człowiek, choćby i głodnawy, co przecież i zwierzętom czasem się przytrafia, tem się od bydlęcia różni, iż, jakotako załatwiwszy sprawę obiadową, tęskni do gwiazd (po kolacyi). Właśnie o jednej z form tej tęsknoty chcę parę słów powiedzieć w zwięzłym artykule, mianowicie, chcę zastanowić się nad instytucyą nazwaną teatrem.

Zaledwie mała garstka ludzi zdaje sobie sprawę z istoty teatru, choć teatr liczy tłumy wielbicieli. Te tłumy są u nas mniejsze, niż w Anglii, Francyi i Niemczech, lecz wszędzie są większe od kontyngiensu czytelników literatury pięknej, od masy zwiedzającej wystawy rzeźb i obrazów i od zastępów koncertmanów. Teatr jest najpopularniejszą i najulubieńszą artystyczną instytucyą. Źródło tej popularności leży przedewszystkiem w jego niezwykłej przystępności. Pozostałe gałęzie sztuki przemawiają do naszej wrażliwości w bardziej jednostronny sposób: np. obraz przemawia tylko przez oko, symfonia — tylko przez ucho, książka — przez słowo i to najczęściej czytane pocichu; — teatr czyni nas wrażliwymi na pewną treść za pomocą oka, ucha i słowa (zwracam uwagę, że należy odróżniać głos (ton) od słowa), więc uwalnia nas od posiadania wyobraźni, przynajmniej w tym stopniu, w jakim tego wymaga obraz lub

poemat. Bo aby poznać obraz, niedość go widzieć; trzeba go jeszcze słyszeć. I więcej jeszcze: trzeba czuć zapach np. wiosennego ranka, jeżeli obraz przedstawia ranek kwietniowy, albo odczuwać chłód zimowej nocy, jeżeli na obrazie bieli się i błękitnieje śnieg. Zatem oko widza nie może poprzestać na samem patrzeniu, musi być i uchem, musi być pięciu zmysłami naraz! A na to trzeba wyobraźni. Teatr, jak już powiedziałem, jeżeli nie całkowicie nas uwalnia od posiadania wyobraźni, to bądźcobądź wymaga jej w daleko mniejszym stopniu, niż pozostałe gałęzie sztuki — a oprócz tego pociąga działaniem, nieustannym ruchem, wieczną zmiennością. W świętym przybytku Melpomeny za widza posiada wyobraźnię autor, aktor i reżyser; widz ma do czynienia już tylko z rzeczywistościami (w postaci tak a nie inaczej wibrującego głosu, giestu, kształtu etc...), przez tę wyobraźnię stworzonemi i raz nazawsze wcielonemi. Teatr dlatego w większości wypadków jest ulubioną formą sztuki, że ludzie są... leniwi; a i dlatego, że przeważnie nie rozporządzają wielkimi kapitałami wyobraźni, choćby nawet chcieli jej używać; wreszcie dlatego, że człowiek lubi patrzeć na wszelki ruch—bodajby przez okno na przechodniów: tutaj właśnie leży tajemnica powodzenia takich płytkich, ale kolorowych sztuk, jak historyczno-komedyowe wypracowania Kozłowskiego: — bawi się drzemiące oko i drzemiące ucho, i czas mile płynie... Są jeszcze i inne powody, dla których teatr stał się faworyzowanym przybytkiem sztuki, lecz te wynikają ze względów ubocznych: teatr jest miejscem zbiorowem, gdzie można się pokazać, jak na balu, w całym uroku wdzięków i klejnotów, gdzie można zobaczyć wykwintne panie i rasowych panów; gdzie zza kulis wypływają na widownię anegdotki, plotki i skandale; przytem na scenie można ujrzeć ładną lub modną aktorkę, albo pikantną farsę; można się uśmiać zdrowym (głupim) śmiechem; zawsze można spędzić wieczór, z którym niewiadomo, co począć... Więc ciągnie do teatru rozlewny tłum, żądny najróżniejszych wrażeń, o rozmaitej skali wymagań, ciągną niebieskie ptaki, modnisie, kokoty, ojcowie rodzin, uczniowie i pensyonarki, garstka ludzi mądrych, garstka wyczulonych, i zastępy inteligientnego szarego motłochu, co — według słów Goethego — „wobec największych dzieł sztuki i natury zaraz sobie przypomina swoje najbliższe potrzeby, co bierze swe sumienie i swoją moralność z sobą na operę". (*Wilhelm Meister, str. 449*).

Czemże jest teatr? czem jest dzisiaj teatr?

Jest miejscem rozrywki, miejscem wytchnienia, czasami hecą, czasami prawie — prawie lupanarem, czasem mównicą, a najrzadziej sztuką.

Lecz czem jest teatr wogóle?

Kto mówi: teatr, mówi taki sam ogólnik, jak: książka. Książki bywają różnorakie. Teatry też bywają różnorakie. I w tem ogólnem tylko znaczeniu może powiedzieć Warszawa, że... posiada teatr.

Lecz czem jest teatr prawdziwy, czyli taki teatr, jakiego nie posiadamy?

Jest miejscem świętem, bo jest schronieniem poezyi, bo jest kaplicą praodwiecznego sfinksa—życia, gdzie w zagadkowe oczy bytu człowiek najgłębiej się wpatruje; bo teatr jest doskonalszym kształtem ludzkiego istnienia, jego radością, tragiedyą, fantazyą, tęsknotą, jest ludzkiem życiem w dziesięciokrotnej potędze, jest sztuką. I jeszcze dodam: sztuką najulubieńszą, bo najprzystępniejszą. Najulubieńszą tak jak życie, i najprzystępniejszą tak jak życie. Bo życie dla wszystkich żyjących jest dostępne.

W teatrze, jak w życiu, biorą udział (mówię o audytorium), ocierają się o siebie, zapatrzeni i zasłuchani w jeden i ten sam tragiczny przejaw różni, bardzo różni ludzie, i wszystkich scena zajmuje, porywa, wszyscy ją rozumieją, czyli odczuwają. Bo czyż żyje człowiek, który nie odczuwa życia? A scena, ze wszystkich sztuk, przemawia najbardziej życiowym językiem i najdosadniej, i najsubtelniej uczy nas mądrości. Lecz nie mądrości, zawartej w przemijających teoryach poszczególnych nauk, bo specyalna wiedza jest tylko narzędziem i to niezawsze w rękach mędrca, — uczy nas mądrości innej, tej jednej jedynej, której nie wykładają z żadnej katedry, a którą wyssać trzeba własnemi usty z twardej macierzyńskiej piersi obojętnego życia.

My prawdziwego teatru nie mamy. Świątyni, w którejby zamieszkał gieniusz, nie mamy. Przybytku, gdzieby się odbywało duchów obcowanie, nie mamy. Miejsca, w którymby wszyscy zgromadzeni stawali się o pewnej godzinie twórcami, gieniuszami i najmędrszemi, bo najgłębiej czującemi istotami, takiego miejsca nie mamy!

My mamy teatr... rozmaitości. Mamy taki teatr „do wszystkiego“, jak służącą w mniej zamożnym domu. Nasz teatr daje widowiska—nie odprawia nigdy mszy dla ducha. Nie powiadam przez to, że na przyciasnej naszej scenie nigdy się nie zjawi wielkie albo znakomite dzieło; owszem, oglądamy czasem i Przybyszewskiego i Szekspira, Fredrę i Moliera, Shawa i Wyspiańskiego—ale oglądamy ich w karykaturze lub w wykonaniu miernem i mniej niż miernem. Scena Żółkowskiego i Popielki, scena Bakałowiczowej i Królikowskiego, dziś żyje martwą tradycyą i przez przyzwyczajenie tylko zwie się pierwszą sceną polską. Uleciała z niej dawna powaga, dzisiejsi kapłani Melpomeny znani są... z niepobożności; święty znicz sztuki aktorskiej, powierzony ich leniwej pieczy, zgasł, bo go nie podsycali, zgasł, bo nad czuwanie przekłali sen. A tam, gdzie poświęceni zaczynają być niedowiarkami, tam kult i w tłumie umiera. Śmieje się tłum z augurów, gdyż augurowie zbyt nieostrożnie lekceważyli się nawzajem. I oto, na co zeszedł teatr, który mógł być chlubą kultury polskiej! *Rozmaitości* mocne w talenty, mocniejsze w próżniactwo! ex-pierwsza scena polska — dziś niezgrana, rozprzężona przez niedołęstwo kierowników, zdemoralizowana przez kaprysy swoich członków, trupa rządowa warszawska!

Dzisiaj jest miejscem lichej rozrywki, miejscem nieszanowanem, miejscem, gdzie się gienialność wykoszlawia w nudę, głębia w konwenans, dowcip w chrapanie senne, pomysłowość w szablon. Warszawski Teatr nie jest poważnym teatrem. Poziom artystyczny *Rozmaitości* opadł tak nisko, że dla podniesienia go potrzeba Herkulesa! Ale się nawet nikt za zbawcą nie ogląda.

Któż bo się ma oglądać? Aktorowie zatęchli w rutynie? Naczelnicy, których to mało obchodzi? Maszyniści przyzwyczajeni do długich antraktów? Ci się nie upomną.

Upomnieć się winno całe społeczeństwo, społeczeństwo młode, to, co się odradza, które potrzebuje świątyni, nie hecy, głębokiego, rozlewnego i szczytnego życia, nie zjełczałej blagi! Tego społeczeństwa heroldami, w sprawie budowania Teatru-Świątyni, w pierwszym rzędzie myśmy być powinni, my, dramaturgowie.

Nie mamy teatru! Stwórzmy go!

I stworzymy, jeżeliśmy narodem cywilizowanym, gdy nam nie wystarcza ta smutna szykana na teatr, nosząca charakterystyczne miano... Rozmaitości! Stworzymy!

MISERICORDIA



(p) „Przegląd Narodowy“ w zeszycie marcowym przytacza ustępy z artykułów Sokolnickiego i Nałkowskiego, ogłoszonych w „Witeziu“, i dochodzi do wniosków, z którymi polemizować z przyczyn ogólnych, zapewne i „Przeglądowi“ znanych, nie możemy. Toteż pozostawiamy je bez odpowiedzi. Natomiast niewolno przejść do porządku dziennego bez zastrzeżeń nad wstępem do enuncyacyi „Przeglądu“. Tutaj właśnie mielibyśmy poważne trudności z przyczyn powyższych, gdyby nie odprawa, wydrukowana w nr. 12 „Głosu Warszawskiego“ w odpowiedzi „Krajowi“ petersburskiemu... „Warszawskiemu Dniewnikowi“... i warszawskiemu „Słowu“ na mianowanie przez nich „Głosu“ głównym organem Demokracyi Narodowej.

Takie mianowanie — mówi „Głos“ — „jest dopuszczalne tylko wtedy, gdy pismo wyraźnie ten swój charakter zaznacza i przyjmuje na siebie wypływającą stąd odpowiedzialność jakiegokolwiek rodzaju“, albowiem narzucanie pismu „odpowiedzialności, wbrew jego woli, jest prostem nadużyciem, którego źródeł i pobudek zresztą ani badać, ani kwalifikować nie zamierzamy. Radzi bylibyśmy tylko, ażeby na przyszłość pozostawiono nam samym troskę o stwierdzanie naszej roli reprezentacyjnej“.

Niech to starczy za odpowiedź „Przeglądowi Narodowemu“. Troskę o nas pozostawcie nam samym i... komu innemu...

(c) Kronikarz „Biblioteki Warszawskiej“, pisząc z powodu artykułu Daniłowskiego w 1-ym zeszycie „Witezia“ p. t. „Memento“, wyraża obawy, że poszukując

„gwiazdy przewodniej", przyświecającej pracy kulturalnej, autor ma na myśli jakieś nowe „ciało" na firmamencie naszego życia ideowego. Bez teleskopu, gołem okiem z toku całego artykułu, a zwłaszcza z zakończenia, łatwo się domyśleć, o jakiej gwieździe Dan. mówi... By jednak uspokoić krótkowidzącego kronikarza, możemy go zapewnić, że jest to gwiazda ta sama, co świeciła pokoleniom poprzednim — ta sama, ale już nie taka sama. Dawniej świeciła jedynie promienna obwódka ciemnego ciała, które było w ten sposób niejako nie gwiazdą, lecz planetą tylko. Dziś, kiedy ta obwódka mocno przygasła, – niegasnące nigdy, pałające żywym płomieniem jądro macierzyste wydobywa tę gwiazdę z bałwanów chmur nieba... Dalej myli się kronikarz, wyłączając z prasy kulturalnej działalność, zmierzającą do politycznego i społecznego uświadomienia; jest to nader ważna dziedzina, której nie należy pomijać, zwłaszcza, żeśmy się pod tym względem zaniedbali najwięcej. Jasna oryentacya w sferze stosunków społecznych i sytuacyi politycznej jest kardynalnym obowiązkiem „obywatela kraju". – Nieuctwo w tej dziedzinie jest również szkodliwe, jak analfabetyzm elementarza.

„Cudzych cegieł" nie należy się też obawiać — przeciwnie: brać, jeśli dobre, a tylko stosownie do struktury swojego gmachu przefasonować. Wogóle artykuł kronikarza stwierdza własne jego zdanie, że „prasa zaledwie zaczyna rozwijać swoją linię bojową w kierunku przeprowadzania zasad, jakie wyznają zgrupowani dookoła niej publicyści i pisarze", — jest on mętny i nic prócz ogólników nie daje, świadcząc o chwiejności wyznawców...

(As) Teroryzm nierozumu! Pod tym tytułem zamieścił p. H. Mościcki w „Tygodniku Ilustrowanym" artykuł, na którego czele umieścił następujące słowa Mochnackiego: „Polska nie zginie brakiem obywatelstwa i cnoty, nie zginie brakiem męstwa i środków materyalnych, ale zginie teroryzmem nierozumu". Ze wspomnianego artykułu Mochnackiego podajemy jeszcze następujące wyjątki:

„Mistrzował w Polsce po wszystkie czasy, panował, broił ów teroryzm nazwiska, *teroryzm łatwowierności, teroryzm zaufania nieodpowiadającego zasłudze.* Byliśmy i jesteśmy dotąd dziwowidzami, chwalcami, panegirystami bądź mniemanego talentu, bądź urojonej jakiejś przewagi. Nic łatwiejszego, jak zostać sławnym i popularnym w Polsce... Ta mniemana sława, ta czcza reputacya, ta *urojona, wmówiona popularność* szerzy się następnie jak dźwięk hucznego dzwonu w powietrzokręgu, uzbraja się całą potęgą *teroryzmu łatwowierności* szczerej lub udanej, i ludziom myślącym nakazuje milczenie teroryzmem politycznego nierozumu. Biada temu u nas, kto myśli swoją głową i swojem rozumieniem rzeczy około siebie pojmuje. To wichrzyciel! To burzyciel! mówi i pisze za pruskie talary, za ruble...."

„Nieufność i podejrzliwość są najpierwszą cnotą"... gorących „czasów" – pisał jeszcze Mochnacki.

A p. Mościcki w „Tyg. Ilustr." pisze:

„Zmieniały się czasy, zmieniali się ludzie i warunki, w których wypadło działać, jednakże istota tego teroryzmu nierozumu pozostała ta sama, tembardziej przeto pomnieć należy złowróżbne słowa Mochnackiego".

Tak, tak...

(st) Do ohyd życia, wytwarzanych niemal codziennie u nas jako skutek wyjąt-

kowych okoliczności, w jakich pozostajemy, dorzucono nową, jedną z najstraszniejszych, jaką wyobrazić sobie można, tem straszniejszą od najstraszniejszych, że wyhodowało ją serce, wśród ogółu naszego cieszące się dotychczas — mimo krzepkie ciosy i poczynione już wyłomy — zaufaniem wyjątkowem. Cóż zatem dziwnego, że pośród żądnego sensacyi a ciemnego ogółu szerzy się plotka i oszczerstwo, kierowane najczęściej przeciwko tym, co wczoraj oklaskiwani, dziś są przedmiotem małodusznych wyrzekań, jak wszyscy, którym się nie powiodło narazie—? Co w tem dziwnego, jeżeli tę plotkę utrwala dziwnie dziś na wsze strony rozchybotana prasa, mająca jeszcze resztki zaufania powszechnego? Co w tem dziwnego, jeżeli plotkę—denuncyacyę za pomocą prasy szerzy człowiek w suknię kapłańską odziany?

Delacya księdza Kajetana Szymkiewicza w nr. 12 „Przeglądu Katolickiego“ o włościańskich kółkach rolniczych imienia Staszica, które — według słów czcigodnego kapłana— poza ustawą urzędową rządzą się jakąś „sekretną ustawą“, mającą być „przekalkowanym programem trudowików rosyjskich“, została odpartą tak przez zarząd wspomnianych kółek, jak oddzielnie przez O. Antoniego Wysłoucha, pod którego adresem denuncyacya była wymierzona. Nie o nią więc idzie, i nie o obronę ludzi, stojących poza wszelkiemi podejrzeniami; lecz chodzi tu o tę atmosferę zatrutą, w której potworności podobne lęgnąć się mogą; chodzi o ów wieczny nasz brak oryentacyi; o lubowanie się plotką; o wkradający się w życie zwyczaj podłego naszczekiwania jakgdyby celem zwrócenia uwagi, dziś miarodajnej, na objawy dla delatora z jakichkolwiek względów niepożądane lub nieprzyjemne; chodzi o rozpowszechniającą się coraz więcej nikczemność lub do niej prowadzącą głupotę. Dziwny zanik uczuć, wczoraj jeszcze sławionych, dziś zauważyć się daje, a plugawa broń oszczerstwa coraz częściej bywa stosowaną bez względu na skutki, jakie za sobą pociągnąć może.

Sprawa księdza Szymkiewicza sprzęga się w ogólnem swem znaczeniu ze sprawą księdza Szaniawskiego, redaktora „Chłopa Polskiego“. Kapłan ten bronił się sam w senacie w wytoczonym mu procesie prasowym, w którym został skazany przez izbę sądową. Wyciąg z tej obrony podajemy za „Głosem Warszawskim“ (nr. 13), który ogłosił w przekładzie dosłownym protokuł rozprawy w senacie, nadesłany mu z Petersburga w kopii. W obronie ks. Szaniawski „zaznaczył, że ciąży mu (*ugnietajet*) nietyle surowość wyroku izby sądowej, ile potępienie jego kierunku politycznego przez rosyjską władzę państwową, której gorącym szermierzem (*jarym pobornikom)* i narodu rosyjskiego był on zawsze“... A to dlatego, że rząd rosyjski działa w interesie mas pracujących, a więc najgorętszem marzeniem (*zawietnoj miecztoju*) oskarżonego było i będzie zjednoczyć cały naród polski pod władzą humanitarną Monarchy Rosyjskiego i tym sposobem zabezpieczyć nieszczęsny lud polski od okropnych ze względu na swe niesłychane okrucieństwo zamachów na prawa jego tyranów—Prusaków i od kłamstwa panów—magnatów, którzy nieraz z powodu poglądów takich grozili oskarżonemu śmiercią“. Dość... Dodamy tylko, że poprzednio ks. Szaniawski przeczył, jakoby w ten sposób wogóle dał upust swym uczuciom obywatelskim, obecnie zaś ogłasza, że przekład powyższy nie jest kopią stenograficzną jego mowy, że więc niebawem ogłosi sam całkowity tekst swego przemówienia. „Głos“ (nr. 15) w odpowiedzi na to słusznie twierdzi, że cokolwiek ks. Szaniawski zaprodukowałby, jako dosłowny tekst swej mowy

nie będzie to miało żadnej autentycznej wartości, gdyż w senacie mowy jego nie stenografowano; gdy zaś nie protestował w swoim czasie przeciwko protokułowi, ostatni tylko ma wartość autentyczną, o ile chodzi o wierne przedstawienie treści mowy ks. Szaniawskiego.

W rezultacie „Głos" (nr. 16) otrzymał zawiadomienie, że ks. prałat Szaniawski, z powodu wyjazdu na pewien czas z Warszawy dla poratowania zdrowia, usunął się z centralnego komitetu i z zarządu Związku Katolickiego.

Czy ks. Szymkiewicz też wyjechał na pewien czas — nie wiemy. Prawdopodobnie — również wyjedzie. A w takim razie mieć będziemy nowych turystów — dobraną parę! — rozsławiających imię Polski po świecie...

(rs) „Kraj Codzienny" (Nr. 70), pisząc o wywłaszczeniu, konstatuje, że „niespodzianie w obronie naszej powstali wielcy właściciele niemieccy, junkrowie, członkowie Izby panów. Jakkolwiek – pisze dalej „Kraj", — nie oczekiwaliśmy z tej strony pomocy, przecie podaną dłoń *ujęliśmy z wdzięcznością* dla obrony tych zasad podstawowych, na których opiera się własność prywatna, nietylko polska, ale wszelka wogólności".

A w dalszym ciągu w tymże artykule „Kraj" konstatuje, że gdy rząd gotował drugi zamach na Polaków, wówczas konserwatyści „opuścili swe stanowisko, na którem czas niejakiś wytrwali w sprawie o wywłaszczenie", i sami domagali się uchwalenia wyjątkowej ustawy językowej.

Wprawdzie „Kraj" już nie pisze, że tym razem dłoń pruską *„ujęliśmy z wdzięcznością"*, ale możemy być pewni, że na wdzięczność „Kraju" junkrowie pruscy nie będą długo czekali. „Kraj" tak pisze, jakgdyby mu było wszystko jedno, czyją dłoń ściska. A więc dziś junkrowi pruskiemu, a jutro?... — —

(H) Śmiać się chce, jak... psu z gardła, gdy się czyta opisy różnych uroczystości. Np. gdy po przechwaleniu jakiegoś rautu, uniesiony zachwytem recenzent kończy: „publiczność z zadowoleniem opuszczała salę"... Teraz znów z powodu krakowskiego obchodu jubileuszowego ku czci Świętochowskiego korespondent „Nowej Gazety" twierdzi, że *„teatr był przepełniony"*, korespondent zaś „Kuryera Lwowskiego" mówi: „Obchód, zapowiadany i przygotowywany od kilku tygodni, odbył się *przy rozpaczliwie pustej widowni"*. Należałoby mniemać, że obaj korespondenci byli obecni w teatrze. Dlaczegóż jeden z nich widział przepełnienie tam, gdzie drugi rozpaczał nad pustką?

(b) „Wyraz *nienormalny* był użyty, mówiąc o innej osobie" — — taki kwiatek stylowy spotykamy w liście ks. biskupa Ruszkiewicza, ogłoszonym z powodu rozmowy z redaktorem „Siewby", p. Kielakiem. List ten, jak się okazuje z wyjaśnienia p. Tadeusza Gałeckiego (nr. 103 „Przeglądu Porannego"), prócz błędów stylowych, posiada gorsze, bo faktyczne...

—— *Władysław St. Reymont.* Na krawędzi. Opowiadania. Warszawa. Nakł. Gebethn. i Wolffa. Kraków, G. Gebethn. i Sp. 1907.

Szereg obrazków, zawartych w zbiorku Reymonta, nosi na sobie piętno tej chwili gorączkowej, którąśmy niedawno, a tak zda się już dawno przeżyli; na ludziach i rzeczach pokładły się tu blaski od wielkiego pożaru, w którego ogniu przetwarzały się dusze ludzkie. Uprzedzam wszelako z góry, że wypadki, zdarzenia „dni konstytucyjnych" są bezpośrednim tematem jedynego zaledwie szkicu, posiadającego zresztą charakter referatu jedynie, niezawierającego w sobie pierwiastka powieściwego. Pozatem „rewolucya", stając się niekiedy tłem, nigdy nie jest w „opowiadaniach" autora osnową baśni powieściowej, która się rozwija niekiedy w przestrzeni fantastycznej, w czasie nieokreślonym, lub nawet w dobie, poprzedzającej wypadki lat ostatnich. Charakterystycznym we względzie „omijania" niejako „dni konstytucyjnych" jest obrazek p. n. „Sąd", w języku prawnym „samosąd" włościan nad złodziejami. „Starszy", opiekujący się szajką, w porę przestrzeżony, uciekł, goniony przez wzburzoną ciżbę. Rzecz powszednia, jeżeli nie codzienna, zdarzająca się zawsze i wszędzie, i która zdarzać się też długo jeszcze będzie, dopóki chłop upominać się będzie o krwawicę swoją... Ale... ale chłopi nietylko zabijają złodziei, oni naprawdę sprawują sąd, oni chcą wymieść krzywdę i paskudztwo, gdyż przyszli do przekonania, że nikogo ich krzywda nie obchodzi, i sami muszą poradzić, gdyż czują, że nadeszły *nowe* czasy, w których oni muszą się zabrać do roboty, jak *wszędzie*, jak w *innych* wsiach już to uczyniono... I oto wrażenie nasze nam mówi, że to, co się dzieje w „opowiadaniach" Reymonta, mogło powstać i zrodzić się tylko w chwili wyjątkowego wstrząśnienia, tylko w obecności iskry elektrycznej, wobec której, jak wiemy, wszelkie procesy chemiczne odbywają się gwałtowniej, z energią natężoną, w płomieniu i huku, procesy chemiczne, przetwarzające dusze, wywołujące akty woli i czynu, stwarzające atmosferę podniecenia nerwowego i świątecznych uniesień. *To* czuć w opowiadaniach Reymonta...

A jednak uczucie to pozostawia po sobie często wrażenie czegoś niedopełnionego, niedociągniętego, budząc rodzaj niezadowolenia i rozczarowania. Bodaj czy nie najdodatniejszym obrazkiem jest właśnie wspomniany „Sąd". Zdawałoby się, że wielki epik nie znajduje w organizacyi swej psychicznej takich pierwiastków, które pozwoliłyby mu sprostać zadaniu. W chwili, gdy świat nowy się *staje*, gdy wszystko jest *in statu nascendi*, wszystko jest burzą i płomieniem, i ruchem, w takiej chwili mowy być nie może o obrazowaniu względnie spokojnem, wymagającem kształtów skończonych, stosunków ustalonych, wykreślonych dróg. By przeniknąć nas tym ogniem, w którym pławią się umysły, wole, uczucia, rzeczy... trzeba *w sobie* mieć cząstkę burzy, trzeba być prorokiem, kapłanem, wizyonerem, trzeba być samemu ogniem i burzą, trzeba być *współtwórcą* rodzących się dni... Niedość dać się porwać fali, niedość być przenikniętym wichrem, który zzewnątrz przyszedł. Lecz Reymont jest spostrzegaczem, jego oko obejmuje kształty skrysztalone i proste.. I oto ze zbliżających się lub nawet rozwijających się dziejowego znaczenia wypadków autor z lubością opracowuje różne patologiczne kawały... („Zabiłem", „Czekam"). Ach, to są rzeczy obojętne. Szkoda zwła-

szcza obrazka „Zabiłem“, który pysznie się zaczyna... ale kończy się nieszczególnie. Mamy też dwa obrazy o symbolicznym zakroju („Na krawędzi“, „Cmentarzysko“), lecz te nie sprawiają głębszego wrażenia, może wskutek zaznaczonych już wyżej powodów. Zapewne, to, czego dotknął Reymont, nie może być takim śmieciem, jak większość rzeczy, które zawdzięczamy chwili minionej, lecz jednocześnie nie dosięga tej miary, którą do utworów Reymonta przykładać wolno.

A. Drogoszewski

—— *Cezary Jellenta.* Linie Hofera. Powieść. Lwów. Nakł. Księgarni Polsk. B. Połonieckiego. Warszawa. E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł), 1908.

Bohaterem powieści jest artysta malarz i rzeźbiarz w jednej osobie, którego życie rzeczywiste tak splotło się z sennem marzeniem, że granice jednego i drugiego niemal się zatarły, zwłaszcza, iż w rzeczywistości owej nic się prawie nie dzieje, a nawet jeśli się dzieje, to tak jest osnute mgłą, iż samo wydaje się raczej cieniem, niż czemś materyalnem. Jak ziarna w różańcu, różniące się od innych wielkością i kolorem, zrzadka na sznur nawleczone, zjawiają się tu i owdzie osoby, sytuacye, zdarzenia, echa zdarzeń, zjawiają się często w sposób niewytłumaczony i znikają bez śladu, by tylko dostarczyć pobudki do tej akcyi wewnętrznej, na którą się składają postanowienia, rozważania, wspomnienia, żale, a której największe bogactwo rodzi się na krawędzi, na której jawa wkracza w marzenie, w szczególny stan somnambulizmu, przynoszą jakieś widma, jakieś odblaski ze sfer pozaświatowych, jakieś migotanie wrażeń, przeczucia związków z duszami, w jakimś stosunku pozostającemi z duszą śniącą, zawikłany splot obrazów, widm, urywków myśli, uczuć... I tęcze słońc, tylko oku duszy widnych, i „świecenia“ dzienne ubiegłych chwil wytwarzają dziwną symfonię kształtów, barw, zapachów, podobnie jak smugi jasne i ciemne w analizie widmowej świadczą o istnieniu rozpalonych gazów, które nie dają się ujarzmić i drwią sobie z wysiłków badacza, z jego metod, z jego wiary w zmysły i światło dzienne.

. . . .

W jednym ze szkiców swoich, bodaj czy nie w kursie estetyki, Jellenta wspomina o tych wrażeniach estetycznych, które są dostępne jedynie dla tych, którzy nie lękają się trochę „popracować“, uczynić wysiłku, by osiągnąć przez dzieło komunię z duchem artysty... Ten punkt widzenia może stać się powodem niejakiego nieporozumienia: skąd ma wychodzić inicyatywa „pracy“? Czy dzieło ma przedewszystkiem pociągnąć ku sobie, czy też widz samorzutnie ma z siebie cnotę wysiłku wydelegować? Jeżeli przecież miarą piękna i głębokości ma być żmudna praca pochwycenia wątku, „Linie Hofera“ są dziełem pięknem... a przedewszystkiem... bardzo pracowitem... Przykrywszy dłonią zamknięte oko, dostrzeżemy natychmiast, jak z rzekomo jednolitego ciemnego tła wykwitają świecące plamy, kółka, linie, smugi... Im usilniej się wpatrujemy, tem żywszy ruch i liczniejsze, i rozmaitsze tworzą się desenie. Można je nazwać śladami wrażeń świetlnych, lub, jeśli wola, uznać za „linie (Fraun)hofera“, rzucane przez istności zaświatowe. Jakkolwiekbądź—natura istności owych pozostaje zakrytą, przed nami zaś wciąż plamy, rysy, kółka, gwiazdy, smugi... cochwila rozstępujące się przed uporczywem wejrzeniem, cochwila rozplatające się i splatające w chyżym tańcu. Zabawka nużąca i... bezcelowa. Nie tylko plamy, kółka, linie... Jaka potęga, moc, jaki anioł

czy demon się w nich objawia? Nic się nie objawia, nie nęci, ani przeraża, nic nie wstrząsa... I wciąż tylko wir i mgliste przetwarzanie się kształtów, barw i odcieni, a z naszej strony ciągły a próżny trud fiksacyi umykającej linii, plamy, punkcika świecącego. A od czasu do czasu wrażenie sztuczności, pretensyonalności, jakby wysiłek tkwił nie wyłącznie w *naszym* stosunku do dzieła, lecz również w metodzie autora. Chociażby tytuł: linie Hofera... bo „Fraunhofera"... ach, to takie długie, ciężkie słowo, jęczy bohater. Kochanka jego zażyła trucizny i oto woła rozpacznie: ratuj, ratuj. A on na to: „dotąd cię zbogacałem, miałżebym cię teraz zubożyć, zubożyć o najpotężniejsze uczucie, jakiego zaznała kiedykolwiek pierś ludzka — o uczucie *mojej* męki?" A jaka znowu męka z powodu cierpień ukochanej kobiety czy też jej zdrady? Wychodzi wreszcie po lekarza. „Niebardzom śpieszył... Mózg mój dręczyła psychologiczna zagadka, prawie spokojnie się rozkładająca na śmiertelnym całunie mojej duszy".

I to pono ma być znamieniem szczególnej potęgi duchowej bohatera, dalekości jego od ułudnego świata pozorów, a pokrewieństwa z absolutem... Po każdym zerwaniu ziemskich więzów w tragiędyę duszy wkrada się przecież uczucie ulgi: mniej kajdan, większa samotność, nieskończoność bliższa... Lecz i to jest tylko jedną plamą, jedną smugą więcej, nie linią wytyczną, nie planem, nie dominującym tonem... Jeszcze jeden punkcik, umykający przed spojrzeniem...

A. Drogoszewski

—— *A. Bach.* Głód-mocarz. Szkice ekonomiczne. Kraków, 1907.

Głód-mocarz — to wykład popularny teoryi Marksa i zasad socyalizmu. System takich wykładów wypracowany został oddawna, i autor od niego nie odstępuje. Nie miał on na widoku myśli nowych, ani oryginalnych. Toteż książkę Bacha oceniać należy tylko ze stanowiska celu, któremu ma służyć. Wobec „Głodu-mocarza" postawić winniśmy tylko pytania: czy autor dokładnie przedstawił przedmiot i czy uczynił zadość wymaganiom popularności. Pod tym względem przyznać mu trzeba niezaprzeczony talent. Przedstawienie niezmiernie jasne, wszystkie zagadnienia sprowadzone do pierwiastków najbardziej zrozumiałych, i styl prosty a piękny — czynią z „Głodu-mocarza" podręcznik wiernie, a zrozumiale wyjaśniający zamierzony przedmiot. Rzecz naturalna, że czytelnik wykształcony nieraz zawahać się musi wobec pewnych twierdzeń, które w książce brzmią może zbyt stanowczo. Ale jest to los każdej pracy popularyzatorskiej, szczególniej tego rodzaju, co „Głód-mocarz". I dlatego nie podnosimy na tem miejscu sporów, któreby nastręczala ocena omawianej książki, gdyby celem jej było uzasadnienie naukowe pewnych twierdzeń, a nie rozpowszechnienie pewnych zasad ustalonych. Cel, jaki autor sobie postawił, według naszego zdania, został przezeń osiągniętym.

Ponieważ o socyalizmie więcej się u nas mówi, niż zna rzeczywiste jego zasady, przeczytanie „Głodu-mocarza" może być pożytecznem nawet dla wielu ludzi z t. zw. inteligiencyi.

J. L.

—— *Jan St. Lewiński.* Chałupnictwo. Jego istota, teorya, historya i rozpowszechnienie. Warszawa. 1908.

W tragiczny sposób dowiedziała się ogromna większość społeczeństwa naszego

o istnieniu zagadnienia, zwanego chałupnictwem. Jak wogóle stosunki społeczne nasze o których mieli możność mówienia głośno ci tylko, którzy nic o nich mówić nie chcieli lub nie mogli, tak w szczególności stosunki robotnicze były dla szerszego ogółu ziemią zgoła nieznaną, i dopiero w ciągu lat ostatnich sprawa najemników wszelkiego rodzaju weszła na porządek dzienny. Coraz to inne strony stosunków najemniczych dawały znać o sobie, aż nareszcie z hukiem bomb ukazało się na horyzoncie chałupnictwo.

Bardzo więc dobrą myśl powziął p. J. St. Lewiński, wydając broszurkę, mającą za przedmiot „istotę, teoryę, historyę i rozpowszechnienie chałupnictwa."

Broszurka jest niewielka, nic dziwnego zatem, że przedmiot traktuje dość pobieżnie i niewyczerpująco. Daje ona wszakże pojęcie o tem, co to jest chałupnictwo, i nakreśla projekt praktyczny zbadania stanu jego u nas, narazie więc stanowi nabytek bardzo pożyteczny.

Chałupnictwo w istocie swej jest to praca w domu, niekażda wszakże praca tego rodzaju jest chałupnictwem. Cechę charakterystyczną jego stanowi praca, nie na własny użytek, ani też w celu bezpośredniej sprzedaży, ale dla przedsiebiercy, którym może być fabrykant, rzemieślnik, kupiec lub pośrednik, dający chałupnikowi materyał do obrobienia i płacący mu za pracę przeważnie „od sztuki".

Chałupnictwo przybiera rozmaite formy: chałupnik może pracować sam, z rodziną, a nawet przyjmować pomocników; może pracować we własnym domu lub też odnajmować część jakiegoś warsztatu lub fabryki, aby korzystać z motoru mechanicznego; bez względu na formę wszakże chałupnictwo jest zawsze pracą na rachunek przedsiebiercy poza jego fabryką, warsztatem lub kantorem.

Z rozwojem wielkiego przemysłu, znaczenie chałupnictwa upada i ilość chałupników wszędzie się zmniejsza. Utrzymują się oni tam tylko, gdzie chałupnictwo leży w interesie przedsiebierców. Praca w fabrykach i wielkich warsztatach przedewszystkiem wytwarza solidarność pomiędzy robotnikami, ułatwia im organizacye związków zawodowych. Oprócz tego, we wszystkich krajach cywilizowanych, obecnie stosunki w fabrykach, warsztatach i magazynach reguluje prawo o ochronie pracy, które opiekuje się nieletnimi, ogranicza ilość czasu roboczego, wkłada na fabrykanta obowiązek zabezpieczenia życia i zdrowia robotników, oraz wynagrodzenia ich w razie nieszczęśliwych wypadków, usuwa możność nadużyć przy wypłatach i t. d. Wszystko to, wpływając na polepszenie warunków pracy, stanowi obciążenie kapitału.

I oto chałupnictwo, według Sombarta, służy właśnie do tego, „aby udaremnić przepisy prawodawstwa, poczęści i ubezpieczenia robotniczego, utrudnić organizacyę robotników w związkach zawodowych i tem samem zniweczyć dwa najważniejsze czynniki reformy społecznej".

Chałupnictwo zatem stwarza takie stosunki pomiędzy robotnikiem a przedsiebiercą, których zwalczenie jest celem prawodawstwa socyalnego, i rzuca robotnika na pastwę wyzysku, w pracy fabrycznej znacznie ograniczonego.

Jest więc zrozumiałe, dlaczego przedsiebiercy dążą do utrzymania chałupnictwa tam, gdzie to jest możliwe ze względu ekonomicznego i technicznego, oraz dlaczego walczą przeciw niemu pracownicy.

Autor dochodzi do wniosku, że chałupnictwo zginąć musi wraz z wyzyskiem, sądzi wszakże, że w obecnych warunkach jest ono jeszcze konieczne, gdyż w wielu wypadkach daje zajęcie pewnej części ludności i umożliwia dodatkowe zarobki kobietom zamężnym, nie odrywając ich od domu i dzieci. Wniosek ostatni jest nieuzasadniony i nie wypływa bynajmniej z przesłanek autora. Ludzie uciekają się do pracy chałupniczej dlatego, że praca taka istnieje, ale w obecnych nawet warunkach konieczność jej, poza dążnościami przedsiebierców, o których wyżej mowa, nie jest zupełnie dowiedziona. Gdyby nie było chałupnictwa, praca, która w tej formie się wykonywa, odbywałaby się w dogodniejszych dla robotników warunkach pracy fabrycznej.

Jak powiedziałem, rozmiary książki nie pozwalają robić autorowi zarzutów z powowodu pobieżnego traktowania przedmiotu. Nie możemy jednak pominąć zasadniczego braku, mianowicie wskazówek, w jaki sposób prawodawstwa krajów cywilizowanych zachowują się wobec chałupnictwa, i w jaki sposób walczą z niem niektóre społeczeństwa (np. Nowa Zelandya). Ale, co jeszcze ważniejsze, autor nie uwzględnił przepisów obowiązujących u nas. W przedmiocie tym zaś wydano kilka przepisów, jakkolwiek nie w drodze prawodawczej, ale w formie wyjaśnień b. departamentu handlu i rękodzieł oraz wyroków senatu; niemniej wszakże, skoro chodzi o chałupnictwo u nas, i skoro autor postawił sobie i zadanie praktyczne, bo zamieścił w końcu książki plan ankiety w celu przeprowadzenia badań w naszym kraju, stan prawodawstwa ma znaczenie pierwszorzędne. Pomimo tego, ze względu na aktualność sprawy i stanowisko autora wobec przedmiotu, na pierwsze u nas przedstawienie chałupnictwa, wreszcie na szybkość, z jaką autor odpowiedział na pytanie ogółu: co to jest chałupnictwo?—książkę jego za bardzo pożyteczną uznać należy, zaspakaja ona bowiem narazie naglącą potrzebę.

Józef Lange

W ostatniej chwili. Już po oddaniu zeszytu pod prasę, depesze przyniosły ze Lwowa wiadomość o zabiciu wystrzałami z rewolweru namiestnika Galicyi, hr. Andrzeja Potockiego, przez studenta uniwersytetu Mirosława Siczyńskiego, Rusina, który się zgłosił na audyencyę z prośbą o przyznanie mu posady suplenta (pomocnika nauczyciela gimnazyalnego). Zabójca sam się oddał w ręce władzy, wołając do czekających na audyencyę włościan ruskich: „Za wasze krzywdy!“ Jak donoszą depesze, namiestnik zmarł po półtoragodzinnych męczarniach, a ostatnie słowa, wyrzeczone przezeń do urzędnika Grodzickiego, były: „Donieś pan cesarzowi, że byłem mu wiernym sługą“.

Rezultaty zaciekłej obustronnie walki nacyonalistycznej zwykle powodują coraz groźniejsze konsekwencye. Ale smutne doświadczenia, niestety, nie uczą...

Redaktor i wydawca: H. St. Pytliński Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa.



WITEŹ
ROCZNIK I ≡ ZESZYT 7
Warszawa, 1 maja 1908 r.

GUSTAW DANIŁOWSKI

Z psychologii konserwatyzmu

Poza ignorancyą, obawą nowych prawd umysłów z natury leniwych, poza usiłowaniem zachowania „status quo“ warstw, których interesom każda przemiana zagraża, my — prócz tych ogólnych podstaw konserwatyzmu — posiadamy własne specyalne, bujnie krzewiące się na tle naszego upośledzenia, gwałtownych klęsk i drobnych ciągłych pokrzywdzeń.

Człowiek, któremu w życiu się udaje — człowiek powodzenia — nabiera pewności siebie, rzutkości i śmiałości zarówno w myśleniu, jak w czynie. Jeżeli zaś życie go stale bije, skarb mu jego rabuje, staje się chwiejnym, lękliwym, upatrując we wszystkiem widmo niebezpieczeństwa, nowy zamach na tę odrobinę *swego*, którą zdołał z pogromu ocalić.

My jesteśmy takim właśnie zahukanym, apatycznym człowiekiem, mocno przywiązanym do każdej resztki pozostałej z dawnych „naszych czasów“, choćby obróconej już przez wieki w próchno, kryjącej w sobie nie zdrowy chleb życia, ale trującą zgniliznę. W promieniach tego uczucia wszystko, co tchnie tradycyą, co przypomina epo-

kę minionej chwały, nabiera glory nietykalnej świętości, bez względu na to, czem jest: czy godnym jej dorobkiem przeszłości, czy szkodliwym przeżytkiem, który, jako zawadę rozrostowi życia, precz zabrać należy. Zabrać! — z gorzkiego doświadczenia tak obawiamy się tego wyrazu, tego giestu, że dłoń, wyciągającą się ku łanom naszym, witamy instynktownym wprost odruchem niechęci, nie bacząc na to, co zamierza: wyrywać chwast i kąkole, czy niszczyć kłosy. W każdej takiej próbie wietrzymy dewastacyę narodowego mienia, zamach na „polskość“, nikczemne knowania do współki z jej wrogami.

Jest to stałe posądzenie, które nie minęło żadnego reformatora panujących stosunków, żadnej pokusy „poprawy Rzplitej od czasu, jak się zaczęła psować“, — posądzenie ciążące na każdym śmielszym wysiłku postępu po dziś dzień.

Nie zdołał uniknąć tych podejrzeń nikt, nawet Kościuszko, nawet Mickiewicz. Jest to stała potwarz, opasująca każdą głowę, która uświęconym tradycyą przesądom, choćby najbardziej rodzimym, najbardziej polskim, miała odwagę rzucić liberum veto. Przekupionymi zdrajcami narodu byli niedawno jeszcze t. zw. pozytywiści; za subwencyonowany przez rząd „Gołos“ uchodził „Głos“ w Warszawie w najświetniejszej swej dobie, nie mówiąc o socyalistach, którzy z wyrzutków społeczeństwa, emisaryuszów Prus, ledwie gdzieniegdzie zdążyli awansować na anarchistyczne żywioły, odszczepione od rdzenia narodu.

Historycznie zrozumiały, latami utrwalony nałóg konserwowania bez żadnego wyboru wszystkiego, co własne, wypływający dziś już nietylko z sytuacyj zagrożonych, ale i z zewnętrznego upadku wiary, zawiedzionych nadziei, utraty męstwa, z tchórzliwej obawy o swoją polskość, — jest psychologicznem podłożem zachowawczego nastroju społeczeństwa, kamieniem węgielnym naszego konserwatyzmu — niestety, nie jedynym. Dołącza się do tego pożądanie spokoju ludzi znękanych, oraz w silnym stopniu pewne pozorne analogie pomiędzy dążeniami władz a działalnością rzeczników postępu. Powierzchowne te analogie sprzyjają szerzeniu się łatwych, a więc zyskujących posłuch syllogizmów.

Katolicyzm jest krępowany na kresach na korzyść obrządku wschodniego. Postęp walczy z supremacyą kościoła, z obskurantyzmem i zdzierstwem jego przedstawiciela, kleru, — współdziała więc tendencyom nam wrogim.

Po powstaniu starano się zapobiegać zbliżeniu się ludu z dworami (które dziś zresztą odżegnują się od tego widma „szaleństwa" swych ojców): kto przez zbliżenie się do ludu i jego interesów stara się zniszczyć wyzysk, tę najistotniejszą kość niezgody, popiera cudze zamiary.

W sferze stosunków fabrycznych, trudniej dających się wtłoczyć w powyższe formuły, grasuje ukuty *ad hoc* frazes o rujnowaniu krajowego przemysłu, niszczeniu narodowej kultury.

I to wszystko skutecznie działa, potęga bowiem zręcznie zestawionych słów, potęga gładkiego frazesu tam, gdzie szeroka działalność się urwała, gdzie skutkiem tego zanikł zdrowy zmysł społeczny i polityczny, jest olbrzymie. W naszem konserwatoryum posiadamy sporo takich lapidarnych tradycyonalnych opinij, których żadna argumentacya rozbić nie potrafi.

„Polska skończyła się na konstytucyi 3-go Maja — od tej konstytucyi zacząć się powinna".

„Jesteśmy przedmurzem chrześciaństwa, powołanym nadal bronić katolicyzmu".

„Sejm czteroletni ciągle trwa".

„Naturalnym przewodnikiem narodu jest szlachta".

Jednem słowem, ciągle przyczepia się teraźniejszość do punktu, w którym samodzielne życie narodu zostało przerwane.

Płyną czasy, zmieniają się warunki, rwą się do życia świeże siły, powstają nowe stosunki, poszukujące odpowiednich form bytu, a zastarzała uczuciowa i myślowa podagra, świecące starożytną patyną zdania wołają: stać przy swojem. I większość stoi, jak słup Lota, zapatrzona w spopielałe zgliszcze dawnego siedliska, obwołując za rzeczywisty patryotyzm pełnienie rytualnych obrządków, płaczliwe nabożeństwa, dewocyę polskości.

Nigdzie tak silnie, jak w naszem społeczeństwie, nie ciąży nad życiem władza umarłego, nikt nie wlecze tak licznej armii trupów za sobą, z którą nieraz jest ciężej zmagać się, niż z żywymi, bo to umarłe było rdzennie nasze, a bieżąca doczesność posiada mnóstwo pierwiastków cudzych, narzuconych, jest więc traktowana niby obcy intruz, którego dokuczliwość potęguje tęsknotę do zawrócenia wstecz dziejów.

I z tem najtrudniej bodaj jest walczyć, jako z uczuciem podsycanem przez wspomnienia historyczne, oplatanem kwiatami poezyi, uczuciem pełnem nieodpartego uroku, rozmiękczającem energię życia

przez czar wspomnień istnień zagasłych, przez smutek po nich i łzy, a w swej treści istotnej uspasabiającem do konserwatyzmu.

Tyle przeszkód wewnętrznych ma postęp do zwalczania, nic więc dziwnego, że spotykając prócz nich jeszcze zewnętrzne, odbywa się powoli, a każdy śmielszy jego krok jest witany, jeśli nie wrzawą świątobliwego oburzenia, to podejrzliwą nieufnością tej zaskorupiałej w sobie, zmarniałej w jarzmie, zwierzchniej warstwy społeczeństwa, którą możnaby nazwać sparciałą historycznie. Skazana na jałowość przez wychowanie w tradycyach, w heraldyce, w patryotyzmie bezpłodnych westchnień, w zaduchu tych wszystkich przesądów narodowych, nawyknień psychologicznych, instynktów atawistycznych, w chełpieniu się ze zwycięstw grunwaldzkich, które mają równoważyć klęski dzisiejsze, wystarczyć za wszystko, — pragnie spoczywać na laurach, które nietylko zwiędły, ale już zgniły na nic. W tej sferze będzie zawsze „laurowo i ciemno".

Znacznie za to pewniejszym materyałem do przejęcia się nowożytną ideologią jest podstawowa warstwa narodu: lud wsi i miast.

Dla niego nie istnieją magiczne zaklęcia przeszłości, bo w niej udziału nie brał; on budzi się nie do snucia sentymentalnego snu mogiły, ale do realnego życia, które z fatalną, nieprzepartą siłą pędzi go do schwytania za łeb swego losu, do wydarcia się z matni, w którą się dostał bez winy. Toteż głos jego, gdy otwiera nieme dotychczas usta, rozlega się tak męsko, dobitnie i stanowczo, jak w słowach: „Walcz o prawdę aż do śmierci".

Czytając je, nabiera się wiary, że szeroka, płodna fala walecznego postępu wybuchnie z tej strony, że nie mylił się Mickiewicz, gdy radził:

> Nasz naród, jak lawa,
> Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa;
> Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi,
> Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.

W tej głębi wiedza praw i narodowej przeszłości nie zastyga w martwe rysy, nie splata się w tradycyonalny kołtun (*plica polonica*): lecz rozpływa się jak żywa siła, jak świeża krew po wyschniętych arteryach narodu, zapalając nieugaszoną wolę przyszłości. —

W skorupie zaś, wyziębłej w ciągu stu lat,—sztywnieje w umarłe kształty, których „żaden cud nie wróci do istnienia".



D-r WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ

Kapitalizm a feudalizm

Kapitalizm bynajmniej nie jest pierwszą formą wyzysku, a nie wiemy jeszcze napewno, czy będzie ostatnią. Przed 60-ciu laty kapitalizm zapanował nadobre jedynie w Anglii, na stałym zaś lądzie Europy był dopiero wyjątkową formą wyzysku—(obacz artykuły Marksa w „Nowej Gazecie Nadreńskiej"). Według świadectwa tegoż autora („Kapitał", tom I, część 7, rozdz. 21) jeszcze przed 40 laty ogromną większość ludu pracującego w Europie i poza Europą wyzyskiwano w formach przedkapitalistycznych. A i dziś nawet twierdzenie, że „ustrój kapitalistyczny panuje we wszystkich krajach cywilizowanych", jest poprostu bajką dla dzieci. Nikt chyba nie odmówi Chinom miana kraju cywilizowanego; a przecież w Chinach importowany kapitalizm europejski stanowi jak dotychczas dość nieznaczną domieszkę do swoistych form gospodarczych, całkiem odmiennych od kapitalizmu, bo na bardzo szeroką skalę opartych na współdzielczych formach własności. A i kultura Indyj jest chyba nieco starsza od kultury Łodzi; jednakże jeszcze bardzo daleko od tego, żeby się jako całość stać miały kapitalistycznym krajem na modłę europejską, i niewiadomo jeszcze, na czem się skończą próby przerobienia Indyj na tę modłę. Chiny zaś i Indye razem, to blisko połowa ludzkości cywilizowanej. Jakie zaś nowe

formy bytu społecznego wyłoni z siebie ta połowa ludzkości cywilizowanej, dla której kapitalizm nie jest wykwitem swojskiego rozwoju, lecz obcą naleciałością, ściśle związaną z najazdem albo próbami najazdu, to przyszłość dopiero pokaże.

Ale nawet i w Europie współczesnej kapitalizm nie jest nieograniczonym panem całego życia gospodarczego. Obok kapitalistycznych form własności i produkcyi widzimy z jednej strony bardzo okazałe zabytki poprzedzającego kapitalizm ustroju gospodarczego: feudalizmu, a prócz tego spotykamy cały szereg zjawisk, będących niewątpliwymi zwiastunami przyszłego ustroju ekonomicznego, opartego na zbiorowej własności narzędzi i zbiorowej pracy. Co do tych zwiastunów, dość wspomnieć o robotniczych kooperatywach spożywczych w Anglii, o ich obrotach wielomilionowych, ich fabrykach, kopalniach, gruntach, ich flocie handlowej na morzu; o wpływie angielskich związków zawodowych na administracyę fabryk kapitalistycznych; o wpływie dążności kolektywistycznych na gospodarkę gminną w licznych miastach angielskich, i dość wspomnieć o tem, że podobne zjawiska, acz w mniejszych rozmiarach, coraz częściej już i na stałym lądzie Europy spotkać można. A co do zabytków feudalizmu, to w tejże Anglii, która pierwsza zpośród wszystkich krajów świata rozwinęła u siebie nowoczesny przemysł kapitalistyczny, pozycye zajęte przez feudalizm do dziś dnia są nader poważne. Wszak w Anglii właściwej, najbardziej przemysłowej z pośród dzielnic Wielkiej Brytanii, połowa wiejskiej ziemi jest i dzisiaj, jak sto lat temu, feudalną własnością rodów magnackich; wszak ogromną większość drobnych, średnich i wielkich gospodarzy rolnych i w Anglii i w Szkocyi stanowią nie właściciele gruntów, tylko czynszownicy, którzy osiedli i zabudowali się na ziemi magnackiej; dalej w miastach angielskich kamienicznik najczęściej również nie jest właścicielem, tylko czynszownikiem, a czasem wszyscy kamienicznicy całej jakiejś ogromnej dzielnicy, większej niż Kraków, są czynszownikami jednego magnata; wszak spadkobierstwem magnackich posiadłości do dziś dnia rządzą osobliwe ustawy rodowe, niestosowane do majątków mieszczańskich; wszak ekonomiczne przywileje tych rodów zabezpieczone są potężnym przywilejem politycznym: połowa władzy prawodawczej przypada w udziale zebraniu dziedzicznych prawodawców-magnatów, Izbą lordów zwanemu. W innej postaci spotykamy ślady dawnego feudalizmu we Francyi współczesnej. Myliłby się bowiem, ktoby w latifundiach

francuskich upatrywał wynik kapitalistycznej koncentracyi zagród chłopskich; przeciwnie, zazwyczaj są to poprostu dawne posiadłości szlacheckie, które przetrwały trzy rewolucye i zmieniły tylko właściciela—a i to niezawsze. Jeśli republice francuskiej jeszcze tak niedawno dwa razy—raz za Mac-Mahona, drugi raz podczas sprawy Dreyfusa—poważnie zagrażał spisek arystokratyczny, to było to możliwe nie dlatego, że wszyscy ci markizowie, hrabiowie, wicehrabiowie i t. d. zachowali swoje tytuły szlacheckie, lecz dlatego, że w tak znacznej mierze zdołali ocalić drogocenny swój przywilej ekonomiczny: wielką własność ziemską. Co do Niemiec zaś, to chyba nikomu nietrzeba dowodzić, że ową klasą panującą, która rej wodzi w Prusach, a na czele Prus zawojowała Niemcy, nie są fabrykanci, tylko junkrowie pruscy. Interesom junkrów, nie zaś fabrykantów, służy niemiecka taryfa celna; a właśnie w ostatnich dniach zważyły się losy polskiej ludności pod zaborem pruskim w dwóch instytucyach junkierskich: Izby Posłów sejmu pruskiego o zapewnionej większości junkiersko-landrackiej oraz Izby Panów tegoż sejmu, złożonej wyłącznie z dziedzicznych prawodawców krwi szlacheckiej. W Austryi znowu do dziś dnia połowa władzy prawodawczej spoczywa, tak jak w Anglii, w ręku Izby Panów, złożonej w pierwszym rzędzie z dziedzicznych prawodawców-magnatów; przywilej ten przetrwał burzliwą walkę o reformę wyborczą. Przed tą reformą, a więc aż do 1906 roku, wielka własność ziemska była w Austryi uprzywilejowana także w Izbie Posłów, a do dziś dnia jest uprzywilejowana w sejmach krajowych. Podobnie uprzywilejowana jest arystokratyczna wielka własność ziemska na Węgrzech, gdzie Izba wyższa parlamentu całkiem wyraźnie nazywa się „Stołem Magnatów"; podobnie w Szwecyi i t. d. Słowem, rzadki wyjątek stanowią w Europie spółczesnej kraje, gdzie, jak w Norwegii lub Szwajcaryi, feudalizm już całkiem lub prawie całkiem został usunięty z widowni; a ponieważ są to kraje małe, względnie ubogie w ludność (ludność Szwajcaryi i Norwegii, razem wzięta, wynosi zaledwie połowę ludności Królestwa Polskiego), więc feudalizm sąsiednich krajów poniekąd i na nie oddziaływa. Jak zaś silnym narazie okazał się feudalizm na wschodzie Europy, na to nieuprzedzonym badaczom faktów nawet uwagi zwracać nietrzeba. Podciągać zaś feudalizm współczesny pod nazwę „kapitalizmu rolnego", to znaczy mijać się z istotą rzeczy. Albowiem istotą kapitalizmu jest wolna konkurencya, gdy istotą feudalizmu—wy-

kluczenie wolnej konkurencyi przywilejem. Cechą znamienną kapitalizmu jest nieustanne potęgowanie sił wytwórczych; cechą znamienną feudalizmu jest obrona przywileju kosztem zatamowania sił wytwórczych. Współczesną wielką własność ziemską wówczas można byłoby nazwać kapitalizmem rolnym, gdyby powstała była przez koncentracyę drobnych posiadłości włościańskich drogą wolnej konkurencyi; tymczasem rzecz się ma wprost odwrotnie. Wolna konkurencya prowadzi w rolnictwie nie do koncentracyi, lecz do parcelacyi. A podczas, gdy w mieście przywilej cechowy tak długo bronił rzemiosło od pochłonięcia przez wielki przemysł fabryczny, na wsi przywilej broni latifundia magnackie od rozpadnięcia się. Przywilej jest warunkiem bytu wszelkiego feudalizmu; toteż, gdziekolwiek na świecie spotyka się wielką własność ziemską, jako zjawisko masowe, zgóry można być pewnym, że stworzył ją przywilej. Reguła ta, nawiasem mówiąc, nawet w Ameryce się sprawdza. Takiem to pochodzeniem wielkiej własności ziemskiej tłumaczy się, dlaczego ta wielka własność tak wspaniałe pozycye zajmuje na Wołyniu i Białej Rusi, a o wiele skromniejsze w Belgii, Nadrenii, Westfalii—właśnie dlatego, że Westfalia, Nadrenia, Belgia, to kraje wysoce kapitalistyczne, a Wołyń i Białoruś nie.

Powtarzam więc: nie żyjemy w okresie wyłącznego panowania kapitalizmu, i nie jest dowiedzione, że kiedykolwiek taki okres nastanie. Widzimy przeciwnie, że w chwili, kiedy w centralnych siedzibach kapitalizmu powstają zarodki przyszłego ustroju współdzielczego, tenże kapitalizm nie zdołał jeszcze wyprzeć swojego poprzednika, feudalizmu, z całego szeregu mocnych twierdz. A to pozwala przypuszczać, że kapitalizm tego zadania wogóle już nie dokona z własnej siły, lecz tylko w sojuszu z siłami przyszłości.

Możnaby wprawdzie zarzucić, że dzisiejsza wielka własność ziemska, pomimo przywilejów ekonomicznych, prywatnoprawnych i politycznych, jednakże całkiem inaczej wygląda, aniżeli feudalna własność ziemska w XV wieku. Niewątpliwie; ale to tylko dowodzi, że feudalizm zmodernizował zewnętrzną swą postać. Wszak i kapitalizm przemysłowy, w ciągu marnych kilkuset lat żywota, różne już przeszedł metamorfozy. Inaczej wyglądał kantor, dostarczający surowca licznym rzemieślnikom domowym i odbierający od nich gotowy towar, inaczej wyglądała rękodzielnia kapitalistyczna; a fabryka znowu inaczej się prezentuje, niż rękodzielnia. A dalej, fabryka akcyjna znów inne przed-

stawia cechy, niż fabryka osobiście kierowana przez właściciela; kartel znów jest czem innem, niż stowarzyszenie akcyjne, a trust czemś innem, niż kartel. A jednak wszystko to—kapitalizm. Otóż podobnie i feudalizm ma swoje metamorfozy, a ma ich więcej, bo jest formacyą starszą i trwalszą. Już w wiekach średnich stopniowo zmieniał fizyonomię; od pobierania czynszów w naturze przeszedł do czynszów w gotówce, później do gospodarki folwarcznej opartej na pańszczyźnie. W dalszym ciągu feudalizm, zabierając coraz więcej ziemi pod uprawę folwarczną, coraz więcej pańszczyzny wymagał, a dla zabezpieczenia sobie tej pańszczyzny, wolnego niegdyś chłopa strącił w poddaństwo. Później, przekroczywszy zenit swej potęgi, feudalizm musiał się wyrzec poddaństwa, a pańszczyznę napowrót na czynsze zmieniać zaczynał; potem zaś i te czynsze wraz z resztkami pańszczyzny istnieć przestały. Ale niemniej feudalizm pozostał feudalizmem, bo połowa ludności chłopskiej, jeśli nie większość, wciąż jeszcze pracuje na dziedzica; a i druga połowa mniej lub więcej zależną bywa od właściciela lasów. Feudalizm pozostał feudalizmem, bo dla krociowych zastępów ludności wiejskiej swoboda wyboru pracodawcy dotychczas istnieje prawnie tylko, ale nie faktycznie. Feudalizm pozostał feudalizmem, bo prywatna własność tysięcy morgów ziemi daje władzę nietylko nad siłą roboczą chłopów, ale nad całym ich bytem. A najwymowniej świadczy o tożsamości istoty feudalizmu niegdyś i dziś, że równie jak w wiekach średnich ludność miast rekrutowała się z chłopów, uciekających przed uciskiem szlacheckim, tak i dzisiaj szybko rosnąca ludność okręgów przemysłowych rekrutuje się w pierwszym rzędzie z przychodźców ze wsi, a ci wieśniacy pochodzą przedewszystkiem z takich okolic, gdzie przeważa wielka własność. Podczas więc, gdy przemysł kapitalistyczny, im bardziej jest skoncentrowany, tembardziej też koncentruje coraz nowe tłumy ludności w swoich ośrodkach, wielka własność ziemska naodwrót, im rozleglejsza, tembardziej wypycha ludność z opanowanych przez siebie okolic. Toteż, zamiast wzorem kapitalizmu przemysłowego rozpętać wolną konkurencyę sił roboczych, aby módz ku sobie przyciągać robotników chociażby z drugiego końca świata—wielka własność ziemska naodwrót dąży do skucia wieśniaków w pęta ograniczeń prawnych, aby im uniemożliwić ucieczkę. Od morza Niemieckiego aż po stepy węgierskie wszędzie widzimy tę samą tendencyę feudałów spółczesnych do zabezpieczenia się od braku rąk roboczych drakońskiemi ustawami wyjątko-

wemi przeciwko łamaniu kontraktu—innemi słowy, pozbawieniem wieśniaków wolności osobistej. Najpyszniejszy rozkwit tej tendencyi widzimy u naszych kochanych sąsiadów pruskich, którzy polskiego robotnika sezonowego wprost na niewolnika zdegradowali, ażeby już ani głód, ani obelgi, ani cięgi, ani kopnięcia nie mogły go skusić do zerwania umowy i oddalić na poszukiwanie bardziej ludzkiego pana.

Łatwo zrozumieć, że system produkcyi, zmuszony do imania się takich środków, nie może być bardzo wydajnym. Toteż wielka własność ziemska naogół skłonna jest do poprzestania na ekstensywnej gospodarce. Sprawia maszyny, aby zastąpić niemi uciekających robotników, ale intensywności uprawy nie zwiększa, bo na to trzeba robotników licznych a stałych, chętnych, inteligientnych i gorliwych — a więc właśnie takich robotników, jakich gospodarka folwarczna nie ma i naogół mieć nie może. Im większe rozmiary przyjmuje ucieczka sił roboczych ze wsi, tem mniej można ryzykować, tem niemożliwszym staje się istotny postęp rolniczy, który przecież właśnie na zwiększaniu intensywności polega. Stosunkowo więc do rozległości swoich ziem wielka własność jest ekonomicznie słaba. Toteż, podczas gdy przemysł kapitalistyczny, im bardziej się rozrasta, tembardziej okazuje wobec państwa dążność manczesterską, dążność do butnego odrzucania wszelkiej interwencyi rządowej, która mu tylko przeszkadza w zgarnianiu zysków, — naodwrót wielka własność ziemska, im bardziej się starzeje, tem bardziej zaczyna wzdychać do protekcyi rządowej: nietylko do coraz surowszych ustaw przeciw łamaniu kontraktu, ale także do ceł ochronnych, do premij wywozowych, do synekur. Ekonomiczne korzystanie z wpływów politycznych maskuje jałowość gospodarczą. W gruncie rzeczy potomstwo dawnych rycerzy i dzisiaj bardziej mieczem żyje, niż pługiem.

Ta linia rozwoju feudalizmu nie jest zresztą jedyna w historyi. Czasami bywało inaczej. Mianowicie i tak, że *primus inter pares* przestał być *par*, ale nie przestał być *primus*; rozmnażał tedy po kraju zastępy oficyalistów swoich. Ale i feudalizm w ten sposób przeistoczony nie przestał być feudalizmem.

Panowanie klasy feudalnej oddziaływa na społeczeństwo w sposób zasadniczo inny, i zarówno w dodatniem, jak w ujemnem znaczeniu zupełnie inaczej, niż panowanie klasy kapitalistycznej. Mówię: w dodatniem i ujemnem, bo niewątpliwie członek starodawnej klasy feudalnej jest czło-

wiekiem kulturalniejszym, a nawet wogóle bardziej człowiekiem, niż członek młodej, rosnącej dopiero klasy kapitalistycznej. Szlachcic jest bardziej człowiekiem od bogatego lichwiarza. Albowiem wierne piastowanie tradycyi, jakkolwiek przestarzałej, więcej wyrabia człowieczeństwo, aniżeli deptanie *wszelkiej* tradycyi. Ale tragizmem klasy feudalnej jest, że póki ta klasa panuje, to kultura jej nietylko się nie udziela ogółowi narodu, ale przeciwnie, wytwarza u ogółu ludności swój własny negatyw: wytwarza brak kultury, ciemnotę i zdziczenie u wszystkich nieuprzywilejowanych. A modernizacya feudalizmu, dostosowanie się jego do współżycia z rosnącym kapitalizmem tylko modyfikuje ten uwsteczniający wpływ feudalizmu na społeczeństwo, ale go nie znosi. Właśnie w tej późniejszej fazie feudalizm z konieczności musi ustawicznie wznawiać wysiłki, dążące do skrępowania tych warstw ludności, których zależność jest niezbędna dla jego bytu, a które coraz bardziej wymykają się z pod jego władzy. Tylko nad ciemną i bezradną masą panować może przywilej; tylko ludność, pozbawiona praw, trwa biernie w zależności od dworów szlacheckich, kiedy tuż obok wabi fabryka wyższym zarobkiem i swobodą życia prywatnego poza warsztatem. Aby więc módz istnieć tradycyjnym sposobem, klasa feudalna musi systematycznie uwsteczniać społeczeństwo; musi opóźniać rozwój przemysłu, hamować krzewienie niekrępowanej oświaty, a przedewszystkiem jak chwast wypleniać z dusz ludzkich pojęcie równości. Przyparta do muru, zniewolona do ustępstw, może od biedy takie lub owe prawa przyznać takiej lub owej kategoryi stanowej, mieszczaninowi, włościaninowi, żydowi, robotnikowi nawet, ale nigdy — człowiekowi. Od dworu szlacheckiego na całe społeczeństwo promienieje dążność do skucia człowieka w pęta hierarchii stanowej.

Póki feudalizm stanowi jedną z sił żywotnych w społeczeństwie, kapitalizm nigdy nie może dojść do całej pełni właściwego sobie rozwoju. Feudalizm go uwstecznia; podtrzymując porządki hierarchiczne, broni mu owej rozkiełznanej walki konkurencyjnej na śmierć i życie, walki, która dla kapitalizmu jest tem, czem dla rekina rozhukana burza morska, oddająca mu na łup wszelkie stworzenia słabsze i niedołężniejsze; a wzamian za tę swobodę hulania po rozpasanym żywiole, feudalizm ofiaruje kapitalizmowi — opiekę w granicach przywileju. Jestto zamknięcie rekina do akwaryum. Realny rekin w takich warunkach zdycha; rekin-kapitalizm wprawdzie nie zdycha, ale charleje i karleje.

Skuszony możliwością oparcia nawet ekonomicznie słabych przedsiebierstw na zamykaniu granic dla obcych towarów, na subwencyach, dostawach i tym podobnych zmodernizowanych formach przywileju, protegowany, a tem samem utrzymywany w sztucznej małoletności, kapitalizm nie dorasta do normalnej dla siebie siły ekonomicznej, nie potęguje wytwórczości z właściwą sobie niestrudzoną energią. A bardziej jeszcze kapitalizm gnuśnieje, jeśli feudalizm, traktując robotników fabrycznych narówni z fornalami, utrzymując ich w patryarchalnem posłuszeństwie wobec „pana fabryki", oszczędza w ten sposób kapitalizmowi zabiegów kompensowania coraz wyższych płac coraz doskonalszemi metodami technicznemi i umożliwia mu kompensowanie zastoju technicznego zastojem w stosunkach robotniczych. Gdyby w kraju jakimś ta uwsteczniająca tendencya stanowczo i bezwzględnie wzięła górę, to ostatecznym jej wynikiem byłby upadek kapitalizmu, podobnie jak w Polsce XVII wieku wyłącznie szlachecka polityka sejmu niemało się przyczyniła do upadku miast.

Na szczęście zazwyczaj dzieje się inaczej. Feudalizm opóźnia rozwój kapitalizmu, ale nie tamuje go całkiem. Prędzej czy później kapitalizm mężnieje i uświadamia sobie, że opieka feudalizmu jest dla niego nie dobrodziejstwem, tylko hamulcem. Pragnie tedy pozbyć się tej opieki i na swój własny obraz społeczeństwo odnowić. W początku nie starczy mu jeszcze sił na ciągłość w tej walce; stać go tylko na kurczowe porywy, po których szybko następuje rozprężenie i skrucha — przykładem tragikomicznej pamięci przesilenie 1848 roku w Niemczech, podówczas znacznie mniej uprzemysłowionych, niż dzisiaj Królestwo Polskie. Ale te porywy powtarzają się w coraz krótszych odstępach, aż w końcu miejsce ich zastępuje walka nieustanna i nieubłagana.

W chwili jednak, kiedy się rozpoczyna to ostateczne mierzenie sił kapitalizmu z feudalizmem, klasa feudalna i klasa kapitalistyczna już nie są same w społeczeństwie. Obok nich już samodzielną siłą stał się lud pracujący w mieście i na wsi, świadomie czy nieświadomie niosący w sobie zarodki przyszłego ustroju kolektywistycznego. Gdyby ta nowa siła już była całkiem zjednoczona i skrystalizowana, toby walka dwóch dawniejszych formacyj rychło się stała bezprzedmiotową. Tak jednak w tem stadyum jeszcze nie bywa, bo podwójny nacisk kapitalizmu i feudalizmu zbyt dotkliwie powstrzymuje rozwój warstw

ludowych. Natomiast w temże stadyum lud pracujący jest już dość silny, aby w walce między kapitalizmem a feudalizmem przechylić szale. Jeśli je przechyla na korzyść feudalizmu, to zabija swoją własną przyszłość; jeśli na korzyść kapitalizmu, to swojej własnej przyszłości drogę toruje.

Frazes więc ś. p. Schweitzera, bardzo zacnego skądinąd monarchisty pruskiego: że wobec stronnictwa proletaryatu wszystkie inne stronnictwa stanowią „jedną masę reakcyjną", jest wierutnym fałszem. Niezbędnym warunkiem zwycięstwa proletaryatu jest zespolenie proletaryatu z ogółem ludu pracującego; ale i lud pracujący nie zwycięży, zanim wprzód nie rozstrzygnie sporu między feudalizmem a kapitalizmem na korzyść kapitalizmu.

Walka przeciw feudalizmowi nie jest atoli i zgoła nie powinna być krucyatą przeciw członkom klasy feudalnej. Taka krucyata chybiłaby celu. Ciesząc się przez długie stulecia monopolem najpomyślniejszych warunków rozwoju, klasa feudalna nagromadziła drogocenne zasoby kultury i zdrowia rasowego. Nie chodzi o to, żeby te zasoby zniszczyć, tylko—żeby je uczynić użytecznymi dla ogółu narodu. A to się stać może jedynie przez zniesienie feudalizmu. Ostateczna więc porażka feudalizmu nie doprowadzi do zguby członków klasy feudalnej, lecz do wyzwolenia ich z zaklętego koła uprzywilejowanej jałowości.



MAMERT WIKSZEMSKI

Z „Asmodeusza"

Asmodeusz:

— Tam: niebios rozżarzonych złota nieskończoność —
Lazurowym pieszczoty spazmem załamana
Cała — na wiarę niebios — złota kurtyzana.
Widmo! Tęsknoto moja! Piękności szaloność!

Widmo:

— Dla ciebie złotych włosów rozplatam pragnienia,
Dla ciebie uwięziłam świat mój w kształt niewieści —
Twoim oczom, rozdartym głodem mojej treści,
Nagich objęć otwieram obłąkane mdlenia.

Otom blizna — twych dali zatracona saga,
Otom widna źrenicom twym — i cała naga —
Na wargi pragnień twych lejąca znojne blaski —

Pójdź! Jeśli posiąść zdołasz moją wieczność białą —
Otom twoja — a słowo rozwiązań dojrzało!
Pójdź... Czekam, drżę i pragnę... pełna cichej łaski...

*
* *

Zielonoszarych oczu niepamięć źródlana —
Złote dna wyczerpania! Drażniąca ponęta
Zrodzona w piekle! W gwiazdach niebieskich poczęta
Cisza ust — złotym żarem pragnień całowana — —

Oaza warg wilgotnych i fatamorgana
Ponad nią purpurowej pieszczoty rozpięta — —
Biustu pożar mistyczny i z płomieni wzdęta
Dwojga piersi podwójna modlitwa różana — —

Ciało pełne tajemnic jak noc zwrotnikowa
Na oceanie — głucha, przepastna i gwiezdna — —
Blaski i mroczne gniazda opętanych sił — — —

Zagłada żądło ciche w twojem łonie chowa
A z twej nagości zieje czar bez granic — bez dna —
I jadem promienistym sączy się do żył.

*
*   *

Wiem, że twe usta nie są już bez winy,
Że skaz już pełna twoja ciepła szyja
Od wargi, co się nieprzytomnie wpija.
Siostry rozpustne — twego snu godziny.

Wiem, jak nalała się przez chciwe zmysły
Senność twych bioder i leniwość łona.
Jak od całowań słońca ciężkie grona,
Tak od miłości piersi twoje zwisły.

Wiem, że w twem sercu szukałbym daremno —
Budząc krwi sennej obłąkany harem —
Jedynej kropli nieskażonej żarem.

Wiem: lecz na niebios zenicie nademną
Jak krzyż — słoneczny grzech twojego łona.
Na nim rozpięta — dusza moja kona.



WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

VII

— Puśćcie mię, gospodarzu... Muszę iść!

— Przed żniwami? Zwaryowałeś chłopie, czy co? Jeszcześ portek, któreś zdarł, nie odrobił...

— Wstydzilibyście się, gospodarzu, taki szmat łąki wykosiłem z wami!

— Czego się mam wstydzić?.. Niech się wstydzi, kto po świecie chodzi i cudzego pożąda, a ja swego pilnuję... Nie więcej jak sześć tygodni robisz — policz, ileś zarobił? Nawet na przykrycie nagości nie stanie... Półtora rubla! A swoją robotą mi oczu nie kol, boś się od miesiąca godził, a nie z morgi... Umowa grunt!.. A i to pomyśl, na Boga, skąd ja na twe miejsce teraz robotnika znajdę... hę!? Trzeba też mieć sumienie i gospodarza interes rozważyć... Po żniwach, co innego... Inna rozmowa... Policzymy się... Co komu kto winien, to mu odda, i pójdziesz sobie... Przeszkadzać nie będę, wędruj, skoro, ci znów rządowa łoza pachnie!...

Wiktor zrozumiał, że nic nie wskóra, i nie nastawał.

— Zemknie, warnak! Czuje dusza moja, że w najgorętszej chwili drapnie! Tacy oni! — zwierzał się gospodarz żonie... — Od tego listu chodzi jak senny... I robota nie ta... choć skarżyć się nie mogę... pilny... Ale tak każdy z nich: dobry, dobry, aż oszaleje... Co robić?..

I odpowiedź należytą sam Nikołce poludzku pisał... I przytakuję mu, zagaduję, jak mogę... Nic... Milczy, czasem uśmiechnie się tak, że żałość mnie samego za serce szarpnie!... Zczerniał chłop... Czy może ty mu dokuczasz za... nacyę?... Albo Natalka? Powiedz dziewce, żeby ani śmiała... ni, ni!...

— Gdzie zaś, człowieku! Kto mu się sprzeciwi, takiemu drągalowi! Coprawda, nie mam już dla niego tego serca, co dawniej... Zawszeć on heretyk... Ale...

— Dziękuj Bogu, kobieto, że nie żyd, a i żyda ścierpieć byśmy teraz musieli. I żyda byś w brodę pocałowała—co? nie? Przecie zboże po deszczu osypie się w mgnieniu oka... A polak, co? Dziś polak, a jutro prawosławny...

Gospodyni słuchała z widoczną ulgą i znowu się zmieniła w obejściu z robotnikiem. Znowu lepsze kęsy i sutsza omasta znalazły się po jego stronie na misie z jadłem, znowu w głosie kobiety zadrgały dziwne, głębokie, niezrozumiałe dla Wiktora tony. I choć wszystko to stawało się coraz wyraźniejszem, on nic tego nie dostrzegał, ogarnięty strasznym porywem tęsknoty, pochłonięty jedną jedyną myślą: być jaknajprędzej ze swymi, dzielić z nimi losy, opisane w liście.

Otwarcie odejść nie mógł. Od rozmowy z gospodarzem śledzono go czujnie i, aby zmusić go spać w podizbiu, zapełniono szopę po sam szczyt sianem.

Częste deszcze przedłużały żniwa.

Markotny nastrój zapanował na „zaimce".

Uciekł. W noc ciemną, wietrzną, wyszedł ostrożnie, licho odziany i bosy. Zanurzył się w bór ciemny, zbałwaniony, drgający od zimna, obmierzły od dżdżowej siepoty. Drogę do miasteczka znał dobrze, ale instynkt włóczęgi kazał mu iść bokami, bezdrożem. Dobrze zrobił, gdyż w mglistym świcie rychło usłyszał tętent za sobą i, przywarowawszy w jamie wykrotu, dostrzegł Stepanycza, pędzącego oklep na koniu z fuzyą na plecach. Widział zdala, jak wyjechał na rozstaje, jak zsiadł i długo badał ziemię oraz krzewy wokoło. Poczem chłop wracał wolno, rozgniewany, zapuszczając złe, przenikliwe oczy w pobocza puszczy.

Dwa dni szedł Wiktor do miasteczka bez przygód szczególnych. Wsie omijał.

Przed wejściem do „powiatu“ wyczekał zmierzchu.

Mieścina składała się z wielkiego zabłoconego placu, z którego wychodziło kilka uliczek, wiodących wprost w pole. Na środku placu czarna, wielka, jak góra, cerkiew odrzynała się kopulastemi wieżami wyraźnie na chmurnem niebie... Niedaleko majaczyła niejasno biała plama murowanego, piętrowego więzienia, upstrzona centkami ciemnych okien. Dokoła rozsypały się pokornie niskie, płaskie, niepozorne domki... Słabe, nieliczne światła nieśmiało migały w oknach.

Szumski stał na rozstaju i nasłuchywał. Pod parkanem, poufale pochylonym na ulicę, ktoś człapał niezgrabnie, walcząc z deszczem i wichurą.

— Co to? Kto tu? Czego? — spytał lękliwie przechodzień, gdy Wiktor wynurzył się nagle z ciemności.

— Gdzie tu mieszkają „politycy“?

— A czego chcecie od nich?

— Mam interes... Przywiozłem na sprzedaż... Przysłano mię ze wsi...

Zaciął się, gdyż nie przygotował odpowiedzi zawczasu.

— To chodźcie za mną... — odrzekł nieznajomy życzliwiej.

Pocłapał dalej, co krok wpadając w kałuże wody, które usiłował wymijać.

— Pogoda!... A zboże i siano gniją! Jakże tam zbiory u was?

— Na pniu porastają...

— Znów głód... Lud nie dojada, a panowie tymczasem...

Zaczęła się leciuchna propaganda. Wiktor zrozumiał, że dobrze trafił, i nagła, szalona radość żywym, ciepłym strumieniem oblała mu piersi, serce, zziębnięte i wyczerpane członki. Cichy, niewstrzymany śmiech wyginał mu usta, okrąglił ścięte wichrem policzki, łaskotał mile wnętrzności. Tułacz szedł i milczał. Towarzysz tymczasem posuwał się chyżo w wywodach w kierunku programu rolnego. Był to czyściuchny program s.-d., najnowszego stempla, „bolszewickiej“ odmiany.

— Chcecie zabrać ziemię, bierzcie! Rozumie się, że bez żadnych wykupów. Ziemia boża!...

— Bez żadnego burżuazyjnego zawracania głosy... A czy wy sami macie ziemię? Czy dużo macie ziemi?...

— Nie, towarzyszu! Jestem wygnańcem. Uciekłem z Orlińskiego sioła...

Nieznajomy obrócił się z nerwowym giestem.

— Z Or-liń-skie-go sioła?! Z tak daleka? Jak się nazywacie?

— Szumski.

— Szumski... Szumski... Acha, coś sobie przypominam. — Pisano nam, ale myśmy myśleli, żeście już Bóg wie gdzie... Chodźcie prędzej, zmarzliście pewnie... To tu, tu... W tę bramę naprawo. Ale pozwólcie, że pójdę pierwszy, zobaczę, czy niema kogo obcego.

Skoczył na ganeczek pod filarki i znikł w sionce. Wiktor wycierał nogi na schodach i przysłuchywał się znanemu gwarowi za jasno oświetlonem oknem. Gwar nagle urwał się, następnie drzwi szeroko otwarły, buchając ciepłem i światłem...

— Chodźcie, chodźcie, towarzyszu!

Pokój niewielki, pełen tytuniowego dymu, lampa pod zielonym abażurem na stole... Szklanki i filiżanki z herbatą... Połamany i pokruszony chleb razowy... Książki, gazety... Twarze młode, oczy błyszczące z pod okularów i bez okularów... Czupryny gęste, rozkosznie rozwiane, lub ostrzyżone na wspaniałego jeża... Gdzieś w dali jaśniała nieśmiało łysina.

Obstąpili go, i pół tuzina rąk pompowało mu aż do omdlenia prawicę.

— Chcecie herbaty? Siadajcie tutaj! — zabrzmiał melodyjny głos kobiecy.

Wiktor ciężko usiadł i, całą potęgą woli opanowując wzburzenie, przytknął szczękające zęby do szklanki.

— Więc... Szumski? — spytała nagle łysina, siadając obok Wiktora na rogu stołu i wpatrując się badawczo w zbiega.—A do jakiej należycie partyi?

Wiktor z odcieniem dumy wymienił nazwę jednej z najpotężniejszych organizacyj politycznych.

Zapanowało chwilowe, niezrozumiałe dlań milczenie...

— Oho! A wiecie, że tam się u was coś psuje...

— Rozłam... Wiem napewno — wtrącił ktoś drugi.

— Co?...

Wiktor powstał mimowoli.

— Niepodobna!

— Dlaczego? To było do przewidzenia... Partya wasza nie ma

naukowych podstaw. Jest zlepkiem żywiołów... Drobne mieszczaństwo i robotnicy... Patryoci i socyaliści...

W miarę, jak mówili, Szumski bladł, i wąskie usta nikły mu całkowicie w półbolesnem, półwzgardliwem zacięciu.

— Ach, słyszałem już to... Więc to tylko domysł?

— Ależ nie, przejezdni mówili, i coś w tym sensie przemknęło w gazetach...

— A szczegóły, szczegóły?...

— Nie wiemy... Jutro odnajdziemy wam te gazety.

— Dlaczegóż was to tak boli? — zaczęła poważnie łysina.

— Różniczkowanie jest rezultatem wszelkiego wzrostu. Rewolucya, szczególniej proletaryacka, zaostrzająca klasowe sprzeciwieństwa...

Wiktor dotknął dłonią czoła i na króciuchną chwilkę zakrył nią oczy.

— Dajcie mu pokój, on zmęczony... — zauważyła łagodnie niewiasta. — Kto go weźmie na noc do siebie?

— Ja!... — zawołał wesoło młody, kędzierzawy blondyn. — Chodźcie, zaraz idziemy, bo potem trudno się do mnie dostać, psa spuszczają z łańcucha... trzeba stróża wołać. Nie trujcie się... Nic napewno niewiadomo. A te esdeki gotowe każdemu nalać atramentu do duszy. Krwi bo sami dużo nie mają. Wiadomo... Plućcie na nich, towarzyszu!

— Hola, hola! Bez zwrotów ludowych!

— Bywajcie zdrowi, zacni materyaliści, niech wam się sam kapitał przyśni!

— Złam nogę, idealisto...

— Albo lepiej jeszcze zgub kalosze...

— A przygotujcie jutro dla towarzysza możliwie dużo objektywnych przejawów waszego subjektywnego uświadomienia... Każdy po sztuce... Widzicie, w jakich paraduje proletaryackich cnotach?... A ja: omnia mea mecum porto!..

— Weźcie tymczasem mój pled — mówiła niewiasta, zarzucając na Wiktora chustę.

— Nie bierzcie, gdyż jest to zarazem jedyna kołdra tej oto mieńszewiczki... Przykryjecie się moim eserowskim kożuchem.

Odurzony Wiktor dziękował, brał, zwracał, uśmiechał się. Ale uśmiechy, słowa i czyny jego sprawiały wrażenie męczącej larwy, ru-

chliwej, powierzchownej skorupy, pod którą znagła stężały w twardą bryłę bezdenna boleść i smutek.

VIII

— Hej! Gołąbeczku chyżoskrzydły! Nieś! Wal! Rwii-i-ij!... Huu-u-u.... hee-e! — wykrzykiwał od czasu do czasu woźnica. Śmigał krótką nahajką, pochylał nisko przed siebie dziko wykrzywioną twarz i ręce z podebranemi lejcami wyciągał możliwie daleko nad zadami koni. Te przysiadały jak płomień, uderzony wichrem, następnie podchwytywały i, grając kopytami po ubitym szlaku, leciały w zapamiętaniu, ile stało tchu.

Chryple rechotało, nikło nieledwie w ogólnym tumulcie oszalałe szczękanie podróżnych dzwonków i janczarów uprzęży. Koła furczały jak piły tartaku, tnące powietrze. Wóz jęczał i postękiwał na wybojach. Obłok kurzawy rwał się i pozostawał daleko w tyle. Jeno wielki, czarny, roztrzęsiony cień biegł narówni z unoszonym pojazdem w blaskach słońca po bladej wstędze drogi. Z budy tarantasu wyglądali wtedy wesoło Wiktor i kędzierzawy eser.

— Śmigaj, chłopcze! Nie pożałujesz!

Wlatywali tak na każdą górę, bo tak każe sybirski obyczaj, i zjeżdżali tak z każdej góry, bo... lekko.

Nieraz na zakręcie tylne koła wyfruwały poza krawędź siwej przepaści; nieraz z przerażeniem spostrzegali tuż przed wyciągniętymi pyskami koni urwisty brzeg i błękitną toń rozlanego pod górą jeziora. Lecz nim zdołali krzyknąć, już zuchwały woźnica, oparłszy na hołoblach nogi i wygiąwszy się w tył łukiem na koźle, osaczał rozhukane rumaki.

— A co? Gieneralska jazda?! Takeśmy tu na Syberyi wszędzie jeździli, zanim przeszła ta przeklęta kobyła żelazna... A wy pewnie na nią się śpieszycie?

— Na nią. Albo co?

— A bo to, jeżeli chcecie miasto ominąć, to tu będzie bliżej kupieckim traktem na Telecką stacyę... I po co pocztą? my za tańsze pieniądze niegorzej was powieziemy... od przyjaciela do przyjaciela.

— Wal kupieckim traktem!

Mieli pasporty, rewolwery, przyzwoite ubranie i po kilkadziesiąt rubli w kieszeni.

— Bodaj to organizacya! Z piasku bicz kręci!

Wyboistym „kupieckim“ pojechali o wiele wolniej. I wioski tu były rzadziej i mniej przejezdnych. Wyrąb drogi, niby wąska rysa, roztrącał czarne połacie puszcz. Czasem wśród nich rozwierał się widok na słoneczny łęg, niby uśmiech pełen kwiecia i zielonej jasności.

Eser zeskakiwał wtedy z tarantasu i biegł jak oszalały w sam gąszcz wysokiej trawy, gdzie, niby niezliczone płomienie, czerwieniły się kielichy „sorany“, gdzie fioletowe irysy sybirskie siały swój zapach cudowny, gdzie pałał przejmujący „żarkoj“ — kwiat miłości do granatu podobny, gdzie szlaki gwiazdzistych rumianków wyszywały swe złociste wzory, gdzie chmurki liliowych dzwonków i błękitna mgła niezabudek naśladowały niebios odbicie...

Po długich wołaniach wracał dopiero młodzieniec, obładowany kwieciem, nurzając w ich kielichach twarz młodą, rumianą, złotowłosą, błękitnooką, jak one, i wesołą, jak pieszczący je promień słońca.

Jechali dzień i noc, śpiąc w wozie na sianie.

Ale raz woźnica nie chciał ich wieźć dalej po północku.

— Warnaki... włóczą się! — objaśnił niechętnie.

— Widzieliśmy ich dosyć na drodze, nie zaczepiali nas...

— Ale tutaj co innego... tutaj... zbytkują!.. — przekładał im mrukliwie.

Wiktor, któremu nie podobał się ani posępny „przyjaciel“, ani uboga i odrapana jego stancyjka, nastawał.

— Jedziemy. Nie twoja rzecz, co nam zrobią... Nie boimy się, mamy broń!..

— A jakże: nie moja rzecz!? Niby to oni mi popuszczą... Tu komisya ma zjechać. Jutro albo pojutrze z powodu ich rozbojów...

— Jak chcesz. My kogo innego poszukamy. Musimy jechać.

Chłop skrobał się w głowę.

— Jak chcecie — mruczał — ale ja ostrzegałem... Jechać, to jechać. A ile dodacie?

Umówili się co do dodatku. Wtedy znikł, i, zanim napili się herbaty, już zaprzężony tarantas stał przed ganeczkiem.

Noc cudna, przejrzysta i świeża, gwiaździstym, połyskliwym puklerzem ocieniala ziemię. Tylko w Syberyi i na wysokich górach

gwiazdy jarzą się tak jasno, rozszczepią swawolnie na pęki promieni, migocą, mienią się jak drogie kamienie niezrównanego dyademu. Wysoko, ale poniżej gwiazd, dwa widma białych obłoczków płynęły leciuchno w niewiadomą dal.

Eser, półleżąc w wózku obok Wiktora, zaśpiewał nagle pełnym głosem:

Chmurki niebieskie
Tułaczki wieczne...

Woźnica obejrzał się i gniewnie zaciął konie.

— Dalibyście, panie, ze śpiewaniem spokój... Ech!

— A co?

— Nie miejsce, nie miejsce! — mruczał i konie niecierpliwie popędzał.

— Boicie się? — roześmiał się młodzieniec.

Usiadł i patrzał rozmarzonemi oczami na ciemne, ciche, pachnące bory, w których turkot wozu i stuk kopyt końskich ginął bez echa, niby szmer biegnącej przez pole myszy. Wtem dostrzegł w dali migocący dziwacznie drobny, czerwony jak iskierka ogieniek. Już go z oczu nie spuszczał. W miarę, jak zbliżali się, ogieniek rósł, przybierał fantastyczne kształty, wreszcie łypnął szeroką łuną aż na drogę i podniebie. Nawet Wiktor podniósł się. U wielkiego stosu ognia stały dwie brodate postacie w łachmanach, oparte na sękatych drągach.

— A co to?

— Stróża!.. Pilnują ciała zabitego! — mruknął woźnica, wskazując głową na długi ciemny przedmiot, majaczący na kresach światłości.

Chłopi — radzi przejezdnym — poprosili natychmiast o tytoń.

— Swój to wykurzyliśmy, a cni się...

Zwijali papier w tutki i gawędzili z woźnicą.

— Jedziesz?

— Jadę...

— Rozpaczliwy jesteś chłop!..

— Płacą. Rubla dodali... „Rewolwerty“ mają...

— Abo tamci nie mają! Ech, człowieku...

— Wrócilibyście się, panowie, póki czas... Po dniu pojedziecie spokojnie! — zagadał jeden z nich do młodzieńców.

— Policya przyjedzie... obławę urządzi... to potem tu będzie jak w Peterburku... Śpiąc, przejedziecie bezpiecznie nie dalej, jak do następnego przegonu... A tam znowu komisya — drwił drugi.

— My właśnie swego „boja" na tamten przegon chowamy! — żartował Wiktor.

— A to jedźcie z Bogiem!... Ale w jarze podwiązałbyś, Romanie, dzwonki, na wszelki wypadek.

— Ano wiem.

Znów głucho zastukały kopyta i zaturkotały koła po zacienionej borami drodze. Pod górą, która jak brzydki garb, najeżony lasem, wzdymała się do połowy nieba, woźnica zatrzymał się, dał koniom wytchnąć, odpiął brzękadła i podwiązał dzwonki. Noga za nogą, cicho, jakby skradając się, wjeżdżali na przełęcz po piaszczystem zboczu. Chłop szedł obok wozu, Wiktor z towarzyszem również wysiedli. Górą, szczytami drzew, przelatywały ciche poszumy, jakgdyby dreszcze — czasem koń parsknął, czasem kute kopyto ostro stuknęło o korzeń lub skrzesało iskry o porzucony na drodze kamień...

— Dzięki Bogu, świta — szepnął woźnica, gdy stanęli na szczycie. — Teraz siadajcie i trzymajcie się...

Poprawił szleje na koniach, wytarł im mordy, przysiadł na rogu wasągu, podebrał lejce, krzyknął i jak burza spadł po stromej drodze w błękitniejący jar. Zanurzyli się w siwe, zimne opary, w których czerniały kosmate sylwetki drzew, a z pod których przebłyskiwały blade mokradła. Wielkie, czochrate kępy wpełzały nieledwie na wąską drogę, gdzieniegdzie ogaconą przegniłym chrustem. Trzciny i niskie sitowia oramiały zamulone rowy.

— Zatracone miejsce! Ani zawrócić, ani uniknąć spotkania!... Jedyne do ukrycia w trzęsawiskach wszelkiej zbrodni.

Pędzili wskok, choć wóz podskakiwał na wybojach, jak gumowa piłka. Przebyli z impetem rzeczułkę, rozbryzgując wysoko błotnistą wodę, i znów znaleźli się przed górzystym garbem, porosłym gęstą sośniną. Było tak stromo, że konie rychło zasapały się i zwolniły biegu. Chłop znów zeskoczył z kozła i, idąc obok, ponukał je nerwowo...

Świt już nadobre zarumienił niebo.

— No, najgorsze tośmy już przebyli; teraz można i zakurzyć!.. — rzekł Roman wesoło, gdy wdrapali się wreszcie na przełęcz. — Stąd do promu już niedaleko, a za przewozem — wieś...

Zanim spuścili się z ostatniego zjazdu, wzeszło słońce i zagrało złocistym słupem w bystrej, błękitnoszarej rzece. Ale u samego promu, gdy byli już zupełnie spokojni, nagle rozległo się za nimi przeciągłe gwizdnięcie, i z nadrzecznej trawy uniosło się kilka figur ludzkich...

— Oni!..—szepnął przejmującym głosem woźnica i konie ściągnął.

— Jedź! Czego stajesz? — krzyknął Wiktor.

Nieznajomi nie ruszali się i pozwolili im podjechać do samego przewozowego pomostu. Prom był z tamtej strony uwiązany u przystani, nad którą na urwisku wisiał mały domek. Wszystko tam spało głęboko, bielały zawarte drzwi, martwo sterczał komin bezdymny, zamknięte okno lśniło w słońcu, jak blacha z miedzi.

— Wołaj na prom!

— Ho! ho... hoho! Przewóz!—drżącym tenorem zajęczał Roman.

— Ho! ho! hoho!

— Pilno wam?... nie śpieszcie się... panowie!... Poczekacie!... Tu można człowieka zabić i pochować, zanim tam się ruszą... Tu takie obyczaje! Prawdę mówię...

— A skąd jedziecie? — ozwał się tuż blisko chrypławy głos, i siwy brodaty oberwus położył łokcie na drążkach tarantasu. Wiktor spojrzał bystro na niego.

— Wasylicz!

Włóczęga cofnął się cokolwiek, i twarz mu poczerwieniała.

— Ignac!... A to spotkanie! Powodzi ci się, widzę, tak... uchasz...

— A tobie jak się wiedzie? Daleko jednak zaszedłeś...

— Ano wie-dzie-się... — przeciągnął stary. — A co, czy nie zgadłem odrazu, coś ty za ptak?! Starego włóczęgi nie oszukasz...

— Krzycz, krzycz... na przewóz! — upominał Wiktor zbaraniałego woźnicę... — Poczekaj, strzelę, może prędzej usłyszą...

Szybko wyciągnął rewolwer i wypalił w powietrze.

Włóczędzy, którzy, stropieni rozmową, zbliżali się ciekawie do pojazdu, zatrzymali się na chwilkę.

— Co się śpieszysz — ciągnął Wasylicz, jakgdyby nic, — myślałem, że się z nami podawnemu herbaty napijesz?!

— Nie mam czasu, bracie... Pilne interesy. A wam pewnie niepilno... Przecież już raz musiałem cię dla pośpiechu porzucić... — uśmiechnął się Wiktor.

— Chwackoś nas urządził... Tylkoś niepotrzebnie koszuli mojej nie wziął... jabym wziął...

— No... bo twoja inna wiara... A chcesz, to cię podwiozę.

Wasylicz zamyślił się.

— Nie, nie mogę... Ja, widzisz, nie sam tu jestem. I po co?... Wcześniej, później... dalej, bliżej!... jednaki mój koniec... Daj trzy ruble na przepicie dla chłopaków i zabierz nas na prom... Już płynie... Widzicie ich, myślą pewnie, że japońcy... tak się pośpieszyli... — zwrócił się do towarzyszy, którzy z powagą i uszanowaniem przyglądali się wysokiej figurze Wiktora. Es-er też im się ciekawie przyglądał, nie wyjmując ręki z kieszeni, gdzie miał rewolwer.

Już na drugim brzegu Wiktor, płacąc za przewóz, dał pięć rubli Wasyliczowi, ale ręki mu nie uścisnął, choć ten zrobił ku niemu ruch. Łuna krwi opłynęła grubą szyję i obwisłe policzki włóczęgi.

— Dziękuję ci, stary, żeś mnie nakarmił...

— Niech ci służy na zdrowie! — odrzekł krótko.

— Może się kiedy jeszcze spotkamy...

— Ech, lepiej... nie!

— Bywajcie zdrowi!

— Jedź szczęśliwie i kłaniaj się od nas macierzy rodzonej — Rossiei... — odpowiedzieli chórem oberwańcy.

— A to przygoda!... — mruczał woźnica, nawracając do wsi.

Włóczędzy skręcili w bok i znikli w gęstwinie.

DCN



JAN LEMAŃSKI

Piskórz mądrala

(spolszczenie bajki Szczedryna)

Żył sobie piskórz. Miał ojca mądrego i matkę mądrą: ciszkiem chyłkiem, powolutku dożyli w rzece lat matuzalowych, nie bywszy ani w kotle, ani w szczupaczych jelitach zwarzeni, w połowicy dni swoich. To również zapowiedzieli synowi. „Pamiętaj, synku, mówił piskórz sędziwy, umierając: — chcesz-li zdrów żywota kosztować — czuj duch!“

A młody piskórz był mądrala nie w ciemię bity. Jak zaczął rozumem dochodzić, tak wymędrkował: kędy się obróci, wszędy śmierć chyha. Naokoło w wodzie pływają ryby same większe, on zaś — najmniejszy; każda może go połknąć, a on nie może połknąć żadnej, i nie pojmuje, po co koniecznie łykać? Rak może go szczypcami przepołowić; kleszcz wodny może mu przypiąć się do grzbietu i na śmierć zanękać. Nawet i swoi piskorze, bracia — nawet i ci, niechno zobaczą, że złowił komara, wnet rzucą się hurmem i odbiorą. Odbiorą komara i wadzą się o niego, aż daremnie go na szczątki roztarmoszą.

A człowiek? — cóż to za gadzina! ileż to on obmyślił zdrad, dybiących na jego piskorzowe zdrowie! — i więcierze, i sieci, i saki,

i kłomnie i, nareszcie—wędkę! Zdawałoby się, że niemasz nic głupszego nad wędkę. Ot, sznurek, na sznurku haczyk, na haczyku wkłuty robak lub mucha... I to jeszcze jak wkłute?... w położeniu rzec można najopaczniejszem! Tymczasem na wędkę właśnie piskórz zazwyczaj się poławia.

Rodzic niejednokrotnie go przestrzegał. „Osobliwie — mawiał — strzeż się wędki! Głupie to narzędzie, bo głupie, wszakoż ci na nas, piskorze, to lepsze, co głupsze. Rzucają nam muchę, niby to dla przymilenia, wrażasz w nią ząb ufający — aż tu w musze śmierć!“ Również bajał staruszek i o tem, jak to on pewnego razu, tylko—tylko co nie utrafił do kotła. Łowiono podówczas gromadnie, zgonem. Rozpostarto sieć wpoprzek rzeki do dna i wleczono tak przez wiele stajań. Nałapało się ryb coniemiara: i szczupaków, i okoni, i płotek, i ślizów,—nawet lin ospaluch w ile się nie osiedział. A piskorzy toś miał bez liku. Ileż to on, stary piskórz, najadł się strachu, podczas ciągnienia sieci, tegoby na karpiowej skórze nie spisał. Czuje, że go wloką, a dokąd — sam nie wie. Widzi obok siebie z jednej strony szczupaka, z drugiej — okonia; już-już — czeka—nie ten, to ten go napocznie, owi zaś ani myślą... „Wonczas, bratku, i o jedzeniuś zapomniał“. Wszystkich zaprząta myśl jedyna — śmierć nadchodzi, a czemu nadchodzi? skąd? co? jak? — niewiadomo. W końcu zemknęli skrzydła sieci, wyciągnęli ją na brzeg i zaczęli wygartywać ryby z matni na murawę. Owóż wtedy się o kotle dowiedział. Buzuje się na piasku coś czerwonego, dymi ku górze szaremi chmurami, i żar od tego aż dusi. Niedość, że brak wody przyczynia nudności, ten jeszcze, na dobitkę, znój — „ognisko“, powiadają. Na onem ognisku czerni się jakiś kadłub wypękły, a w nim bałwani się woda, jak na jeziorze podczas burzy — „kocieł“, powiadają. Naostatek poczęli wołać: sypta ano do kotła — będzie srogie jadło! I zaczęli nas sypać. Co którą smyrgnie rybak, to ta zanurzy się, potem, jak obłędna, wychynie, znów się zanurzy — i uspokoi; to znaczy, że zasmakowała w kotle. Sypali naprzód bez wyboru; potem jakiś starowina dojrzał go i rzecze:

„Kiepska obrada dla gęby z takiej okruchy, porośnij jeszcze, maciupki!“—Ujął go pod skrzele i z zamachem puścił do wody, do rodzimej. On zasie, ile że nie fryc, margnął jeno ogonkiem, aż się zakotłowało, i dał nura. Przybieżał do siedziby, gdzie piskorzyna, oniemiała z trwogi, wygląda powrotu synaczka.

Ale cóż to z tego? Darmo stary nauczał wtedy, co to jest kocieł i na czem się gruntuje; do dziś dnia nie masz w rzece roztropnego w tej mierze poglądu.

Jedynie piskórz mądrala wraził sobie w pamięć nauki ojcowskie i zadecydował: czuj duch! inaczej zginiesz, aniś się obejrzał. Tak sobie postanowił i zaczął żyć w myśl tego przekonania.

Pierwsza rzecz — wykoncypował sobie norę taką, iżby jemu samemu była tylko dostępna, i nikt inny żeby się nie mógł do niej wcisnąć. Dłubał ją ryjem calutki rok. A któż opisze, ilu to on strachom w oczy musiał zazierać przez czas nocnych kocołowań bądź w kępie tataraku, bądź w gęstwie sitowia, bądź wreszcie pod liśćmi grzybienia. — Nareszcie ją wydłubał. Wąsko, szczupło, ciasno mu było, ale czyściutko, schludnie, aż miło — w sam raz dla niego! To jedno. Powtóre, co się tyczy urządzenia życia — tak sobie rozważył: w nocy, kiedy człowiek, bydlęta, ptactwo i ryby śpią, on ruchu używać będzie, a we dnie — zalegać w norze i dygotać. Wszelakoż wziąwszy pod uwagę, iż, bądźcobądź, żerować nieodzownie musi, a żołdu nie pobiera i służby nie utrzymuje, przeto stanowi: w południe, kiedy wszelka ryba jest po obiedzie, z nory się wymykać i dziobnąć owad jakowy, jeżeli da się, a jeżeli się nie da — zapadać w norze na głodno i na głodno dygotać. Bo jużci lepsza nie jeść i nie pić, aniżeli, brzuch jadłem napchawszy, dać śmierci gardło.

I tak też sobie poczynał. W nocy zażywał ruchu, od miesięcznej światłości brał kąpiel, a w dzień zapadał w norę i dygotał; tylko w południe się wymykał coś—niecoś uszczknąć. Ale w południe czem tu się pożywisz? W południe znajdziesz tyle co nic: wtedy i komar z gorąca pod liść umyka i robaczek chroni się pod korę. Więc żłopnie kapkę wody — i po bankiecie!

Siedzi piskórz mądrala w norze po całych dniach, nocy nie dosypia, kęsa nie dojada i wciąż myśli: „zdaje się, żem żyw, ach, co też to będzie jutro?"

Lubo czujny duchem, czasami zaśpi — któż bo wolen grzechu? — a wtedy śni mu się, że dostał premiową pożyczkę i wygrał na nią dwieście tysięcy. Zachwycony, przewraca się na drugi bok, aż tu — patrzy — wyścibiło mu się z nory calutkie pół ryja. No, niechby tak szczur to spostrzegł! ani chybi — z nory by go wywlókł.

Razu pewnego ocknął się i cóż widzi? Oto przy norze tuż-tuż stoi rak. Stoi nieruchomy, jak zaklęty, i oczy wybałuszył, jak paciorki, tylko mu wąsy prąd wody poruchiwa. Toż mu stracha napędził, napędził. Do samego zmierzchu rak ów czatował na niego, a on tymczasem wciąż dygotał, wciąż dygotał.

Innym razem, zaledwie zdążył wrócić do nory przed świtaniem, zaledwie ziewnął w przedsmaku słodyczy sennej: aliści, ni stąd, ni zowąd, przed samą norą zjawił się szczupak i zębiskami kłapie. I ten także cały dzień trzymał wartę, rzekłbyś, sam widok pastwy go nasycał. Ale mądrala i tego okpił: nie wyszedł z nory—i basta!

Takowe rzeczy zdarzały się nie raz i nie dwa, ale, bodaj, codziennie. I codzień mądrala, dygocąc, przewagi i zwycięstwa odnosił, i codzień wygłaszał: „otom żyw, dzięki Bogu!"

Atoli, pośród tych borykań frasobliwych, i żeniaczki poniechał i dzieci nie miał, acz ojciec jego niepłonne w tym względzie poczynił był zabiegi. W obliczu własnej roztropności te sobie wyłuszczał powody: „Ojciec nie miał na co utyskiwać, za jego czasów i szczupak był mniej chciwożerny, i okoń nie tyle łapczywy na drobne piskorstwo. W kotle, dajmy na to, był na włos od przygody, to prawda: wszakoż i tu znalazł się dziadyga, co go z owych terminów wybawił. Obecnie zaś, po wyrybieniu rzek, nawet i piskorze są poszukiwane. Gdzież tu myśleć o rodzinie? dobrze, jeśli się samemu wyżyje!"

Owóż, takim trybem piskórz mądrala dożył stu lat z okładem. Wciąż dygotał i dygotał, ni przyjaciół nie miawszy, ni krewnych; ani on z nikim, ani z nim nikt. W karty nie gra, trunków nie pija, nie dali, do dziewcząt się nie umizga — jeno dygoce a medytuje, myśląc: „jakoś się i żyje, Bogu dzięki!"

Wostatku nawet szczupaki zaczęły go chwalić: „ot, gdyby wszyscy tak żyli, byłby w rzece spokój. A mówiły to umyślnie: nuż, wbity w ambit pochwałą, wyjrzy na popis — jam jest! a wtedy go— ot i łomot!

Lecz i na taki figiel mądrala wziąć się nie dał i ponownie knowania wrogów udaremnił.

Ile lat przeszło po owych stu latach, niewiadomo; dość, że nadeszła ostatnia chwila. Leży w norze piskorz mądrala i duma: Bogu dzięki, umiera śmiercią własną, jako ojciec z matką pomarli. I zaga-

dały mu w pamięci szczupacze słowa: „ot, gdyby wszyscy tak żyli, jak on"... A w samej rzeczy, dalibóg warto się zastanowić — coby to było?

Bezzwłocznie pobiegł po rozum do głowy, i zagaił rozpamiętywanie. Wtem coś mu szepnęło: „a wszakci tym sposobem ród piskorzy dawnoby zaginął!" Albowiem dla zachowania gatunku piskorza niezbędną jest rodzina, której on nie ma właśnie. Niekoniec na tem. Ażeby rodzinie piskorza zapewnić żywotność i rozrost, ażeby członkowie jej byli zdrowi i rzeźcy: trzeba, iżby wychowywali się w żywiole rodzimym, nie zaś w norze, w której on sam od wieczystej pomroki ociemniał; trzeba, żeby piskorze odżywiały się dostatnio, żeby cnót przykład sobie dawały, tudzież inszej zacności żeby sobie nawzajem udzielały. Bo, zaprawdę, jeno taki żywot mocen ród piskorzy doskonalić, nie pozwalając mu, owszem, znikczemnieć i zwyrodnić się do podłostanu lada oklejki.

Mylą się poplecznicy twierdzenia, jakoby należało uważać za prawych obywateli tych jedynie, którzy, strachem obłędni, siedzą po norach i dygocą. Zaiste, nie sąć to obywatele, ale, co najmniej, nicponie. Nikogo one nie grzeją, ani ziębią; nikomu nie przyczynią honoru, ani bezecności; nikomu sławy nie przysporzą, ani kogo zniesławią: — ot żyją po próżnicy, miejsce zaprzątają i żywność marnują daremnie.

Piskorzowi unaoczniło się to wszystko do tego stopnia wyraźnie, iż raptem ogarnęła go niezmożona chętka: „ej, wylezę z nory i prysnę w rzekę po junacku!" Zaledwie to pomyślał, już czuje na ramieniu duszę wylękłą. Niebawem zaczął dygotać i mieć się ku skonaniu. Przedygotał, żyjąc, i, konając—dygoce.

Jak błyskawica mignął mu szereg lat minionych. Jakież były jego uciechy? komu łzy otarł? komu dał zbawienną radę? komu powiedział rzecz miłą? komu dał przytułek, pociechę, obronę? kto wspomni o jego istnieniu?...

Na te wszystkie pytania nasuwała mu się jedna odpowiedź: — nikomu, nikt. Żył piskórz i dygotał — ot i cała historya. Teraz nawet wziąwszy: śmierć tuż-tuż, a on drży i sam nie wie—czego? W norze mu ciemno, ciasno, niema się gdzie ruszyć, promień słońca tu nie zaglądnie i ciepłem tu nie powionie. I leży piskórz w wilgotnem upowiciu, oślepły, znękany, nikt się oń nie zatroska... Leży i czeka—kiedyż wreszcie głodowa śmierć wyzwoli go nadobre z bezowocnego istnienia?

Słyszy, że obok nory pluszczą ryby jakoweś, może nawet bliźnie mu piskorze, ale żaden nim się nie zajmuje. Żadnemu nie przyjdzie na myśl zapytać mądrali: jakim on cudem przeżył sto lat z okładem, ani od szczupaka nie połknięty, ani szczypcami raka nie przebodzon, ani na wędkę pojman? Płyną sobie dalej, może zgoła nie wiedząc, iż w tej tu norze piskórz mądrala zamyka z życiem rachunki!

Ale mniejsza. Co mu najbardziej doskwiera, to przeświadczenie, iż nie słychać, żeby ktokolwiek nazywał go mądrym. Wręcz mówią: słyszeliście też o bałwanie, co nie je, nie pije, z nikim się nie brata, z nikim nie widuje, tylko wciąż ochrania swój żywot marny? Wielu nazywa go bez ogródek samotnym idyotą, dziwując się, że woda znosi podobnych—uczciwszy uszy—gudłajów.

Tak to medytował on sobie i drzemał, a raczej—już się zapamiętywał. Zalały mu uszy jakieś szeptania przedśmiertne, ogarnął drętwy chłód znużenia, chwyciły skonu paraliże, i sfrunął mu po raz ostatni niby z pożegnaniem, ów sen ułudny: śni mu się, że wygrał dwieście tysięcy, że zolbrzymiał na trzy piędzi, i że sam łyka szczupaki.

Śni mu się, tymczasem jego mordka ciszkiem, chyłkiem, powolutku—wyjrzała z nory całkowicie.

I nagle przepadł. Jak się to stało? czy go szczupak połknął? czy rak szczypcami przekrajał? czy własną śmiercią zdechł i wypłynął na powierzchnię? — niemasz, ktoby dał o tem świadectwo. Najniezawodniej zmarło mu się własną śmiercią, ile że dla szczupaka licha gratka—piskórz schorzały, wycieńczony, umierający i do tego—mądrala.

WIKTOR DZIERŻANOWSKI

Słowo...

Dźwięczy mi w uszach słowo
Muzyki rajskiej tonem,
Melodyą sfer echową,
Czemś tajnem, niezgłębionem...

Czy w czarną noc wichrową,
Czy w rośny świt zarania,
Nad moją krążąc głową,
Tęskliwą pieśń wydzwania...

To w surmę dmie bojową,
To do snu myśl układa,
I budzi mnie nanowo,
Nim jutrznia błyśnie blada...

I z ludzkich tchnień osnową
I z szmerem liści w lesie,
Odwieczną treść sfinksową
Do uszu moich niesie...

Muzyki dziwnej tonem,
Melodyą sfer echową,
Czemś tajnem, niezgłębionem,
Wciąż dźwięczy mi to słowo...

Wiklina

Jak wróg w stalowej zbroi, zwarty w zastęp siny,
Ciągnie olbrzymia chmura, do szturmu gotowa —
Cisza — zda się, że w piersiach zamierają słowa —
Że cień śmiertelnej trwogi napełnia doliny...

W oczekiwaniu niemem złowrogiej nowiny,
Ziemia energię całą skupia w sobie, chowa,
Wtem, jakby wichrów z chmurą nastąpiła zmowa,
Drgnął liść dziko rosnącej na łące wikliny...

A za nim drgnęły inne — Wiatr zadął pochwili,
I nagle krzak rozpacznie ku ziemi się chyli,
Pogrąża się w murawie, wyciąga, wygina,
Jakby dlań już ostatnia wybiła godzina...

Zapomniałem, wsłuchując się w wichrów skowyty,
Że wielka burza — wielkie tylko łamie byty...

LESZEK WÓJCIK

* * *

A kto napawa mętami bagniska
Usta spragnione ożywczej ochłody —
Nie ujrzy nigdy źródła żywej wody,
Co dla wybranych z skał Cierpienia tryska...
Zaś który tłumi w sobie jęk cierpienia
I czeka cudu Mojżeszowej mocy —
Skwar dnia przeczeka, a śród ciemnej nocy
Cudu nie dojrzy i umrze z pragnienia.





ELIGIUSZ NIEWIADOMSKI

O polskiej sztuce stosowanej

i jej przyjęciu w Warszawie

Nie chcę tu pisać *sprawozdania*, nie mam zamiaru rozprawiać o wartości pojedyńczych sprzętów czy druków, które były wystawione. Pragnę ująć rzecz ze stanowiska ogólnego.

Dotychczas na wystawach naszych królowały *obrazy* — ewentualnie rzeźby. W ciągu dziesiątków lat wymalowano tysiące obrazów, obrazków i obrazideł, nikomu niepotrzebnych, przyjętych albo nieprzyjętych do Zachęty, — kupionych do rozlosowania albo zwróconych autorom.

Publiczność wychowywana w ten sposób — rozumiała, że sztuka tkwi tylko w rzeźbach i malowidłach („ręcznych...“). Że te wyrazy to są synonimy *sztuki*. Że napatrzyć się jej można tylko na wystawie, dokąd oczywiśnie chodziła raz na miesiąc w niedzielę — po nabożeństwie — za opłatą tylu a tylu kopiejek od osoby. Po obejrzeniu wszystkich obrazów i przeczytaniu wszystkich podpisów — wracała do domu, i o sztuce przez cały miesiąc ani dudu.

Artyści byli tak dalece przejęci kapłaństwem swej misyi, że byliby się czuli dotknięci w najczulszem miejscu, gdyby im kto zaproponował skomponować np. okładkę do książki, albo wzór do tkaniny. Takie rzeczy uważano za zniewagę dziewictwa. „Mistrze pędzla“ czuli się powołanymi do szczytniejszych zadań.

Trwało to lata: dziesiątki lat.

Dopiero w ostatnich czasach coś się popsuło w państwie duńskiem.

Kilku „narwańcom" — w dodatku — *obcym* (czytaj: „zza kordonu") — strzeliło do łba, że sztuka stoi nietylko obrazami, i że niepowinna być zamykaną pod kluczem na wystawie, ale być wszędzie i u każdego — w całej treści życia, tak jak było niegdyś — w wielkich epokach artystycznych. Że taką samą twórczością jak malowanie obrazu — może być komponowanie stołków, łóżek, wazonów, kilimów i t. p. Że sztuka może być wszędzie, wszędzie jest miejsce i rola dla artysty — i pole dla twórczości.

Co gorsze, „ci panowie" nietylko ośmielili się szerzyć swoje przewrotne teorye w taki czy inny sposób, ale ku zgrozie kapłanów prawdziwej sztuki — sami zakasali rękawy i stanęli do roboty. Siedzieli całymi dniami u stolarzy, starając się poznać własności drzewa, tajemnice jego obróbki i wiązania, t. j. konstrukcyi... Uczyli się tkać — tak jest — *tkać!* Po to tylko, żeby zrozumieć wymagania *stylowej* (t. j. przystosowanej do natury materyału) tkaniny. Inni grzebali się w dawnych drukach, żeby wyczuć, jak one osiągały to osobliwe piękno, które cechuje zabytki dawnej sztuki drukarskiej. Inni skopiowali setki witrażów francuskich — pięknych epok, poznali wymagania szkła i ołowiu, wygrzebali zapomniane tajemnice promieniowania barw — po to, żeby stworzyć projekty do najpiękniejszych witrażów współczesnych.

I t. d. I t. p.

Wreszcie przyszło im do głowy zrobić wystawę. Niechby zresztą robili gdzie w Krakowie, czy Lwowie, czy jakim innym S. Louis... Ale po co z niepojętą arogancyą pchać się do Warszawy? Czy ich tu kto wzywał? Czy tu mało jest miejscowych talentów?...

Byliśmy na tej wystawie. Boczne sale Zachęty zmieniły się do niepoznania. Zamiast jednej wielkiej landary — szereg niziutkich, niewielkich — *intime* — pokoików. Każdy zastawiony inaczej i innymi sprzętami, ale dbanie o *jednolitość* każdego z tych wnętrz posunięto aż do gatunku kwiatów w żardinierce, aż do koloru muślinowej zasłonki w oknie... Chodziło nietylko o parę nowych sprzęcików — ale o doskonały zespół, *o harmonię całości...*

I w tem właśnie urządzający wykazali smak bardzo wykwintny. Zamiast śmietniczków, które i teraz jeszcze od czasu do czasu widu-

jemy w Zachęcie — pokazano publiczności wystawę *skomponowaną*— i to skomponowaną ślicznie.

Czegoś podobnego dotychczas w Warszawie nie było.

Sprzęty!... nie chodzi tu o nie. Były, rozumie się, i lepsze i gorsze, bardziej albo mniej oryginalne, mniej albo więcej konstrukcyjne. Ale znakomicie świadczyły o jednem: o chęci wydobycia się z paskudnego szablonu, który cechuje sprzęty dzisiejsze. I — co ważniejsze — wydobycia nie przy pomocy secesyi wiedeńskiej czy monachijskiej — ale... tam było coś innego... coś z siebie i coś z tradycyi... Z tych miłych czasów, kiedy to babki nasze — podówczas młode i piękne — siedząc za szpinetem — śpiewały dorodnym ułanom niezapomnianą pieśń o Filonie...

Dziś „wszystko przeszło“, — babki nasze cicho śpią w mogiłach, — i ułani zasłali kośćmi grochowskie pola... ale w starych sprzętach i pieśniach pozostał jakiś czar ukryty, jakiś sentyment niepochwytny — jak wpółzatarte słoneczne wspomnienie wczesnego dzieciństwa.

I to *coś* — przezierało tu i owdzie z kątów wystawy.

Pozatem nie chodzi zupełnie o „błędy“ i „przymioty“ tych sprzętów, o jakieś „pochwały“ i „nagany“. Bo te mi się wydają nie na miejscu. Rozumiem rzecz, jako *całość*, jako wielką sprawę, która *powinna* być drogą każdemu sercu polskiemu... Jako zadanie ogromne, do którego stanęli tylko nieliczni, i rozwiązują je w warunkach najtrudniejszych — wobec strasznej, mrożącej obojętności „ogółu“ — bez pomocy materyalnej, bez nadziei sukcesów. I rozwiązują je z całą uczciwością, z całem przejęciem się wielkością zadania — z całym wysiłkiem talentu i inteligiencyi. Dali z siebie, co tylko dać mogli. Złe czy dobre — nie wiem, ale lepszych u nas nie widziałem, bo wogóle nie widziałem szerzej zakreślonej pracy w tym kierunku.... *To są pionierzy.*

Tylko nie z tych pionierów, co przemywali złote piaski Kalifornii. Nie! tu nie piasek złoty płukać trzeba, ale kuć w twardych granitach polskiego obskurantyzmu i polskiej bezmyślności.

Jakże przyjęto tę *sprawę* i tych jej pionierów?

Publiczność? Cóż od niej wymagać można? Tak bierna, tak ospała, tak obojętna sztuce, jak nasza! Cóż wymagać od publiczności, kiedy w westibulu Zachęty ktoś ze „swoich ludzi“ łamał ręce nad tem,

że „tyle gwoździ wbili w ścianę"... Kiedy artyści patrzali na tę wystawę nieledwie jak na profanacyę „czystej" sztuki. A nawet znalazł się ktoś, co z amatorstwa oprowadzał publiczność po wystawie — wytykając i karcąc energicznie liczne „błędy", niewczesne pomysły i t. d., w myśl zbwiennej zasady: „różdżką Duch święty"...

Przypomina się mimowoli kapitalna uwaga Kramskiego. Onego czasu wielki malarz rosyjski Iwanow wystawił swój słynny obraz — „Chrystus przed ludem" — rewolucyjne na owe czasy dzieło. Uczniowie Akademii chodzili go oglądać, ale — wytresowani przez Bruni na nogach Apollinów i Hermesów—znaleźli tylko, że „stopy są doskonale rysowane"...

„I wierno i głupo"—filozoficznie konkluduje Kramskoj. I jakże, często w życiu tak doskonale dają się zastosować te złote słówka!..

Najmniej może szczęśliwie spełniła swoje zadanie krytyka. Z wyjątkiem paru pism ciepło usposobionych, ale mało czytanych, sprawozdania wypadły chłodno. I co gorsze zbyt trzymano się ram sprawozdania. Mówiono o stołkach i kilimach, krytykowano szczegóły, zamiast ująć *całość* faktu i pracę — zaczętą z właściwego końca, opartą na zdrowych podstawach — popchnąć dalej. To znaczy: zdobyć dla niej życzliwość publiczną. Jednemu niepodoba się przytem wyraz „polska" w nazwie Towarzystwa. Drugi znajduje, że sprzęty są zadrogie, inny — szuka z zapałem godnym lepszej sprawy prototypów prac wystawionych.

Jest to zresztą zrozumiałe. Krytyce naszej brak (między innemi) rzeczy niezmiernie ważnej, t. j. *skąli.* Inaczej mówiąc, miary do oceny *stosunkowej* doniosłości zjawisk. Pierwsza lepsza bzdura daje jej pochop do patetycznych deklamacyj o „przełomowej chwili". Sprytnie namalowany obrazek upoważnia do porównań z Leonardem da Vinci. Innym razem już z czystej przyjaźni porównywa się z Böcklinem jakiegoś amatora wiorstowej długości wężów z cynobru i ultramaryny. I t. d.

Odwrotnie. Tam, gdzie potrzeba mówić, krytyka milczy. Bo gdzie ona była, kiedy Warszawę i sztukę hańbiono gmachem Zachęty, kiedy Włodzimierską ulicę zeszpecono takiem paskudztwem, jak dom Techników, kiedy stawiano Filharmonię i dziesięć innych budowli?...

Co robi krytyka wobec niebotycznych konkursów Koła Archite-

ków? Konkursów, na których stale wyróżnia się prace najsłabsze i stale pomija dzieła talentu —?

Gdzie była, kiedy w tejże Zachęcie wystawiano potworne w konstrukcyi i dekoracyi sprzęty w *„stylu zakopiańskim“*? Wstrętne fabrykaty, po których już żaden człowiek smaku nie będzie mógł myśleć o zakopiańskich motywach.

I gdzie była krytyka artystyczna podczas skandalicznej sprawy z *dojazdem* do III-go mostu? Sprawy, której grozi jeszcze skandaliczniejszy epilog?

I tak dalej i bardzo daleko. Bo możnaby ułożyć całą litanię rzeczy, wobec których powinno się krótko i dobitnie powiedzieć — „Precz z tem świństwem!“ Przecież prawie wszystko, co się u nas dzieje w zakresie — szeroko pojętej — sztuki — wszystko prawie jest potwornością, dla której niema nazwy przyzwoitej.

Rozumie się, krytyka tu nic nie naprawi, bo zło ma zbyt głębokie źródła. Nie naprawi — ale zrobi — ale powinna była zrobić, co do niej należało.

L. R.

Ludwik Stanisław Liciński

Po życiu krótkiem, lecz pełnem krzywd niezasłużonych i cierpień, z nieugiętości ducha i z dumy szlachetnej płynących, po chorobie powstałej na podłożu nędzy, zmarł w Otwocku na suchoty młody, silny artysta i człowiek piękny. Umierając, miał zaledwie 34 lata, pozostawił więc po sobie niewiele; ale to, co pozostawił, było pisane krwią serdeczną.

Zarówno „Halucynacye“ — szereg nowel, drukowanych w dawnym „Głosie“, jak i świeżo wydaną książkę „Z pamiętnika włóczęgi“, cechuje wspólna nienawiść do obecnego ustroju społecznego, do małomieszczańskiej etyki, do fałszu i brzydoty życia,— oraz wielka tęsknota do obiecanej ziemi jutra, kiedy zapanują na świecie swoboda, równość i prawda.

Liciński był jednym z tych twórców, których życie nie przeczyło ich sztuce, lecz harmonizowało z nią doskonale. Dumnie odtrącił od siebie wszelką ideę kompromisu i prowadził życie włóczęgi i proletaryusza, dzieląc losy tych, dla których pisał. Nędza, w jakiej spędził krótkie lata młodości, zniszczyła jego organizm; suchoty przecięły życie pisarza — ale duch zdolnym pozostał do końca. Jeszcze na trzy dni przed śmiercią pisał o swoim gniewie na „ludzi, pełzających jak węże“, o tęsknocie do kwiatów „z twarzami anielic“.

Niechaj wspomnienie jego żyje w pamięci niewielkiej drużby duchów pokrewnych, niechaj ich krzepi w walce, niech będzie szczeblem „do sławy grodu“.



W. LIS

Rusini i Rosyanie w Galicyi

Państwo rosyjskie, nawet w tych obszarach, niezamieszkanych przez Polaków, które wielu ludzi u nas zwykło nazywać wprost „Rosyą“, nie jest jednolite narodowo. Są tam i Niemcy, i Łotysze, i Litwini, i Rusini i wiele innych narodów oraz narodków, bardziej lub mniej uświadomionych co do swej odrębności, i stosownie do tego z większą lub mniejszą energią dążących do uzyskania takich form bytu prawno-państwowego, któreby jej pozwoliły się rozwijać. Okoliczność ta nie jest dla nas pozbawiona znaczenia. Państwa rosyjskiego niemożna porównywać ani ze Szwajcaryą, ani z Austryą; narodowość panująca przeważa w niem bezwzględnie nad wszystkiemi innemi, ale w każdym razie fakt współistnienia z nami szeregu innych organizmów narodowych, mających pewne niezaspokojone potrzeby, stwarza dla nas szanse korzystne. Zwłaszcza tyczy się to narodów ościennych, związanych z nami wspólnością tradycyj historycznych oraz terytoryum, które one wraz z częścią narodu polskiego zamieszkują.

Coprawda, na ogólny kierunek polityki państwowej narody te w chwili dzisiejszej wywierają wpływ bardzo mały, dzięki swemu słabemu uświadomieniu. Tyczy się to zwłaszcza Rusinów, wśród których ilość ludzi, mających poczucie narodowe, śmiesznie jest mała w stosunku do ogólnej ilości używających języka (czy narzecza) rusińskiego jednostek. Jeżeli jednak zważyć na ten olbrzymi materyał etnograficzny, jakim jest Małorosya ze swymi 20, czy 25 milionami mieszkańców, złączonych wspólnością języka, historyi i urządzeń społecznych, to łatwo ocenić, jakie znaczenie miałoby istnienie obok nas, w łonie państwa, narodu rusińskiego. Ponieważ zaś rozwój samowie-

dzy narodu w jednej jego części musi odbijać się na reszcie, więc kwestya stosunków polsko-rusińskich za kordonem oraz wewnętrznego rozwoju ukraińśtwa galicyjskiego nie jest sprawą zaścianka, zwanego Galicyą i Lodomeryą, ale obchodzi nas wszystkich, a te lub inne jej rozwiązanie odbije się na losie całego narodu.

Otóż w rozwoju stosunków między Polakami a Rusinami zaszedł ostatnimi czasy fakt bardzo znamienny. Przy wyborach do sejmu galicyjskiego posłami zostało aż 11 przedstawicieli partyi „rosyjsko-narodowej", podczas gdy „ukraińcy" uzyskali tylko 8 mandatów, a stało się to przy czynnej pomocy polskich sfer rządzących, t. j. administracyi oraz szlachty. Przyczyny i znaczenie tego faktu pragnąłbym tu wyłuszczyć.

Zacznę od dość odległej przeszłości. Za czasów polskich kultura rusińska rozwijała się, wprawdzie daleko powolniej od polskiej, ale względnie pomyślnie. W Kijowie istniała akademia, na prowincyi pewna ilość szkół, drukarń, bractw. Ale Kijów odpadł od Polski, a Rosya, która w nim zapanowała, zaczęła się wkrótce przetwarzać w potężne państwo, w którem zanikały wszelkie odrębności prowincyonalne. Już Piotr I zaczął znosić autonomię Ukrainy, cesarzowa Katarzyna dokończyła tego dzieła, rozwiązując Sicz, zaprowadzając nauczanie rosyjskie. Rozwój narodowy zostaje wstrzymanym, odnawia się zaś dopiero w r. 1848, w Galicyi. Tam biurokrata austryacki Stadion oraz arystokrata polski Agenor Gołuchowski, przerażeni wzrostem polskiego ruchu rewolucyjnego, postanawiają przeciwstawić mu wskrzeszone rusińśtwo. Rusini uzyskują „Dom narodny" z bogatem uposażeniem, w niemieckim uniwersytecie lwowskim, obok jedynej katedry języka i literatury polskiej, powstają 4, później (w 1862 r.) 6 katedr rusińskich. Następuje era konstytucyjna. Element polski uzyskuje szybko przewagę, ale Rusini cieszą się zawsze opieką rządu i powoli rozwijają się u nich szkoły, pisma, stowarzyszenia, nawet banki. W tym okresie rządzi wśród nich partya *staroruska* (zwana też *świętojurską* od katedry św. Jura, która stanowiła jej ognisko). Partya ta jest konserwatywna, do Rosyi uczuwa wielką miłość, zaś w polityce trzyma się ślepo wkazań rządu austryackiego, co zjednywa jej nawet nazwę „tyrolczyków wschodu" — „czarnożółtych ruteńców". Ale sympatye ku Rosyi wchodzą wkrótce w kolizyę z lojalnością. W r. 1882 wielka gmina pod Zbarażem, Hniliczki, wypowiada chęć przejścia na

prawosławie, a wkrótce potem okazuje się, że prokuratorya zostaje zmuszoną wytoczyć proces pewnej ilości filarów świętojurstwa („proces Olgi Hrebar i towarzyszy“—księdza Naumowicza, radcy dworu Dobriańskiego i innych). Wszczyna się wielki alarm. Namiestnik Potocki, który w dalszym ciągu popierał świętojurców, podaje się do dymisyi, metropolitę Sembratowicza papież powołuje do Rzymu, gdzie pozostaje on do śmierci, wychowanie kleryków zostaje zreformowanem i usuniętem z pod wpływu ich dotychczasowych kierowników. Jednocześnie zaczyna się rozwijać nowe stronnictwo „ukraińców“. Ci stoją na gruncie odrębności narodowej, starają się oczyścić język i pisownię od naleciałości rosyjskich, zaś pod względem politycznym i społecznym są o wiele radykalniejsi od świętojurców. Między nimi a szlachtą zaczyna się wkrótce ostra walka, przerwana tylko raz, w r. 1890, gdy z poręki Kazimierza Badeniego zawarta była ugoda. Rusini otrzymali wtedy 4 gimnazya oraz dość znaczne uwzględnienie swego języka w administracyi i sądownictwie Galicyi wschodniej. Ale ustępstwa te bynajmniej ich nie zadowoliły, i po krótkiem zawieszeniu broni wszczyna się nanowo walka między nimi a szlachtą oraz mieszczaństwem polskiem.

W ostatnich czasach walka ta zaostrzyła się mocno wskutek wystąpienia narodowej demokracyi z hasłem sprzeciwiania się wszelkiemi siłami dalszemu rozwojowi Rusinów. Jednocześnie odradza się stronnictwo staroruskie w zmienionej, bardziej szczerej szacie. Występuje ono jako partya „rosyjsko-narodowa“, zarzuca skażony język rusiński i wprowadza *rosyjski*. Przyjrzyjmy się, jak jego główny rzecznik, poseł Markow, streszcza dążenia „rosyan galicyjskich“ *).

Kultura rosyjska stworzoną została nietylko przez wielko-, ale i przez mało-rosyan, stanowi przeto dorobek obu plemion. Język ukraiński jest tylko narzeczem rosyjskiego, nieposiadającem żadnych danych do rozwoju samoistnego. Przeto narzecze ukraińskie powinno być używanem tylko w szkołach ludowych i to dopóty, póki szkoła średnia i wyższa nie wyhoduje pokolenia, władającego językiem rosyjskim. Narzucanie rusinom galicyjskim dyalektu małoruskiego, używanego przez włościan w Rosyi południowej i rzekomo dla galicyanina

---

*) *Dr. Dmitrij Markow.* Die russische und ukrainische Idee in Oesterreich (rosyjska i ukraińska idea w Austryi). Wiedeń, 1908.

niezrozumiałego, — byłoby nonsensem, a taką samą niedorzecznością— wyrzeczenie się literatury rosyjskiej dla złudnej mary stworzenia własnej, ukraińskiej literatury. Dążeniem „Rosyan galicyjskich" powinno zatem być zaprowadzenie języka rosyjskiego w szkołach galicyjskich, w sądownictwie i administracyi, oraz równouprawnienie go z polskim w sejmie, a z innymi językami państwowymi — w parlamencie.

W życiu codziennem jednak stronnictwo ros.-nar. nie walczy o uznanie języka rosyjskiego. Ma ono dosyć kłopotu z nauczeniem czytelników swego organu („Hałyczanina") porosyjsku*), dlatego główną swą uwagę zwraca na zwalczanie narodowców ukraińskich, zadawalając się wygłaszaniem w parlamencie mów rosyjskich. Na tem tle zrodziło się zbliżenie między nimi a polskimi stańczykami oraz narodowymi demokratami.

To zbliżenie stwierdzonem zostało przed wyborami sejmowymi w licznych przemówieniach agitatorów rosyjskich na wiecach, gdzie w rozczulający sposób stwierdzaną była zgoda między nimi a Polakami, oraz przeciwieństwo obu obozów do patryotów rusińskich — ukraińców. W Bereźnicy, na wiecu, zwołanym przez hr. Edm. Dzieduszyckiego, ks. Korneli Senik wyraża nadzieję, że „oba narody w Galicyi (Rosyanie i Polacy) potrafią się zgodzić ze sobą na wszystkich polach i po stłumieniu nierozsądnego, na szowinizmie i ambicyi i najgorszych instynktach ciemnego tłumu opartego ruchu *ukraińskiego*, doprowadzą kraj do kwitnącego stanu" (Nowa Reforma, Nr. 28). W tym samym duchu przemawia włościanin Dawydiak. Organ „rosyjski", „Hałyczanin", jest ostrożniejszy: powiada, że „dopóki Polacy nie złożą *konkretnych* dowodów na to, że zmienili już swe zapatrywania na partyę rosyjską w Galicyi, dopóty partya ta nie może wchodzić z nimi w żaden sojusz", dodaje jednak, że „sojusz nie jest bynajmniej wykluczony, *ponieważ opiera się na obopólnych korzyściach*".

Przyszły wybory do sejmu. Kandydaci rosyjscy cieszyli się wszędzie poparciem starostwa, gdy zaś dochodziło do wyborów ściślejszych, głosowali na nich wyborcy, będący pod wpływem Rady narodowej polskiej. Rezultat jest wiadomy. A oto, jak formułuje przyszły

*) Służy ku temu umieszczanie w nawiasach wyrazów w „narzeczu", np.: pierczatki (rukawiczki), czułki (pończochy) i t. p.

stosunek obu narodów poseł Hlibowicki w „Polnische Post“, informacyjnym organie Koła polskiego, wydawanym w Wiedniu:

„Wychodząc ze słowiańskiego założenia naszej społecznej i politycznej działalności i licząc się z wymogami kulturalnego rozwoju narodowości i plemion, a temsamem uznając potrzebę spokojnego pożycia, stoimy na stanowisku, że oba narody, Rosyanie i Polacy, w całej Galicyi uznawać powinny zasadę *suum cuique*“.

Zaś zwycięstwo nad ukraińcami poseł Hlibowicki tak objaśnia:

„Ukrainofile nie mogą zaprzeczyć, że właśnie negacya imienia *rosyjskiego* i zamiana jego na „ukraińcy“ zrobiła ich partyę niepopularną we własnym narodzie... To, a nadto stałe wzrastanie świadomości narodowej rosyjskiej wśród ludu, pozwoliło nam liczyć na korzystny wynik ostatnich wyborów sejmowych“ (cytowane w „Słowie Polskiem“, Nr. 155).

Objaśnienie tej nowej oryentacyi „narodowej“ polityki sfer rządzących w Galicyi jest bardzo proste: urzędnik Polak obawia się wzrostu narodu rusińskiego, gdyż to zagraża mu utratą dotychczasowego uprzywilejowanego stanowiska we wschodniej Galicyi. Zaś obszarnik Polak jest wrogiem społecznych tendencyj silnie klasowo uświadomionego włościaństwa rusińskiego, które stanowi rdzeń partyi „ukraińskiej“. Obaj oni zatem wolą partyę „rosyjsko-narodową“, gdyż ta występuje mniej radykalnie pod względem społecznym i obojętnie się zachowuje względem żądań narodowo-ukraińskich. Co zaś później będzie, jakie skutki wynikłyby z uznania w Galicyi narodowości rosyjskiej,—to tych panów mało obchodzi. I gdy się temu przyglądamy, mimowoli przychodzą na myśl odległe, ale tak podobne do dzisiejszych czasy, kiedy to trzy królewięta, poparte przez tłum szlachecki, z nienawiści do „sukcesyi tronu“ i do społecznych pożądań rodzącego się mieszczaństwa polskiego, obaliły i dzieło sejmu czteroletniego i z niem—podstawy własnego istnienia...



W. J.

Zamach na namiestnika Galicyi

Zarówno psychologiczne, jak polityczne pobudki zamachu na hr. Andrzeja Potockiego, oraz do pewnego stopnia jego przypuszczalne skutki są obecnie wiadome. Niema już mowy o czynie szaleńca, czy tam neurastenika, nad którym zarówno Polacy, jak i Rusini przejdą niebawem do porządku dziennego. Był to czyn polityczny w całem znaczeniu tego słowa, czyn dokonany według wszelkiego prawdopodobieństwa na własną rękę, ale napewno w milczącem porozumieniu z ogromną większością tego, co się nazywa narodem rusińskim, — wszystkich Rusinów, zajmujących się polityką. Czynu takiego niemożna zbyć ani — szczerem czy nieszczerem — współczuciem dla ofiary, ani oburzaniem się lub sentymentalnym podziwem dla sprawcy. Należy wniknąć w przyczyny i wysnuć stąd wnioski.

W psychologii współczesnego patryoty rusińskiego dominują dwa uczucia: jawna i, dodajmy odrazu, świadcząca o niskim stopniu wyrobienia politycznego niecierpliwość, oraz utajone uczucie bezsilności. Niecierpliwość polityków rusińskich sprawia takie wrażenie, jakgdyby oni wszyscy byli studentami; nie pojmują oni bowiem zupełnie, jak można, mając jakiś cel polityczny, dążyć doń wytrwale przez długi czas z przeświadczeniem, że się go kiedyś osiągnie. Przy lada przeciwieństwie wpadają w rozpacz, wyciągają armaty tam, gdzie idzie o postrzelenie wróbla, a później, gdy potrzebna jest akcya intensywna, są wyczerpani. A jednocześnie odczuwają, jak nikła jest u nich narodowo uświadomiona warstewka ludu; nie mają zupełnie tej pewności siebie, która pozwala wstrzymać się raz, innym zaś razem ruszyć z całym impetem naprzód. Stąd łatwo rodząca się rozpacz i chęć sta-

wiania wszystkiego na kartę, zarówno u całych partyj politycznych, jak u poszczególnych jednostek.

Polityka Rusinów, to chęć zdobycia sobie lepszych warunków bytu narodowego. Ale brak im zupełnie wiary w możność uzyskania tego, czego im potrzeba, od Polaków. U siebie nie widzą sił potemu, i wśród Polaków nie znajdują sił, któreby im to zapewniały. Szukają zatem sojuszników poza granicami Galicyi. Żeby zaś pobudzić tych aliantów do akcyi, trzeba mocnych argumentów. I oto wszystkie usiłowania rusińskie z ostatnich czasów redukują się do stwarzania takich argumentów: w r. 1901 secesya młodzieży rusińskiej z uniwersytetu lwowskiego, w jesieni roku ubiegłego — krwawa bójka w uniwersytecie przy imatrykulacyi, później łamanie pulpitów i ciskanie w posłów deskami przy dyskusyi w parlamencie, wreszcie — *ultima ratio*, browning.

Ani jedno stronnictwo rusińskie nie potępiło wyraźnie i stanowczo czynu Siczyńskiego. Z początku głosy pochwalające go były nieliczne, redukowały się do enuncyacyi posłów, których kryje nietykalność parlamentarna. Ale zarówno władze austryackie, jak prokuratury polskie postanowiły nie dolewać oliwy do ognia i nie pociągały nikogo do odpowiedzialności za przekroczenie paragrafu ustawy karnej, grożącego odpowiedzialnością za „wychwalanie czynów zbrodniczych". Wtenczas okazało się, że zarówno radykali rusińscy, jak „ukraińcy" czyli stronnictwo narodowo-demokratyczne w zasadzie uważają, że czyn Siczyńskiego był tylko spełnieniem życzenia ogólno-narodowego. Ba, doszło do tego, że poseł Wasilko, wiceprezes klubu posłów rusińskich, za potępienie zamachu został ostro skarcony przez zgromadzenie studentów rusińskich w Wiedniu i uznał z tego powodu za stosowne oświadczyć, że zrzeknie się swej godności, ponieważ „naród" go nie popiera.

To określanie pożądanej oryentacyi „narodu" przez garstkę studentów wskazuje, że oni właśnie reprezentują jego opinię. My zaś ze swej strony możemy to uważać za objaw „niezdrowy", „nienormalny", ale musimy się z tem liczyć.

Co należy czynić? Jaką powinna być polityka stronnictwa, obejmującego wzrokiem całość interesów narodowych, w stosunku do Rusinów galicyjskich? Oto pytanie, które z musu nasuwa się obecnie każdemu. I odpowiedzi są. Galicyjska narodowa demokracya powia-

da, że należy sprzeciwiać się wszelkiemu uszczupleniu „stanu posiadania“ polonii galicyjskiej, co w praktyce równa się odmówieniu Rusinom wszelkiego postępu na polu praw narodowych. Nie mogą oni uzyskać uniwersytetu własnego we Lwowie, gdyż to „naruszyłoby charakter polski“ miasta; nie mogą rozszerzyć zakresu swego wpływu na urzędy oraz sądy, gdyż to zmniejszyłoby ilość urzędników Polaków. Wszystko ma zatem pozostać podawnemu. Konserwatyści dają inne wyjście: popierać żądania partyi „rosyjsko-narodowej“, czyli w zasadzie godzić się na wprowadzenie trzeciego języka krajowego — rosyjskiego — do urzędu, sądu, szkoły. W ten sposób, zdaniem szlachty wschodnio-galicyjskiej, osłabi się najskuteczniej siły narodowców rusińskich.

Oczywiście, że oba programy nietylko nie uspokoją umysłów we wschodniej Galicyi, ale one to właśnie stwarzają ten nastrój, który znajduje ujście w czynach, podobnych biciu kijami profesorów Polaków lub mordowanie polskich przedstawicieli władzy. I nastrój ten trwać będzie, dopóki Rusini nie przekonają się, że wśród Polaków samych istnieje stronnictwo, które, nie wyrzekając się bynajmniej troski o własną narodowość, chce jednak udzielić im wszystkiego tego, bez czego naród współczesny rozwijać się nie może. Tylko wówczas i w dodatku wtedy, gdy stronnictwo podobne będzie miało odpowiednią siłę, Rusini zaczną zwracać się nie w kierunku obcych sojuszników, zaniechają szukania pomocy czy na wschodzie, czy na zachodzie, lecz będą przystosowywali swe czynności do interesów sprzyjającej im partyi polskiej.

Oczywiście, że ani szowinistyczna narodowa demokracya, ani zgrzybiała przedwcześnie demokracya, ani stańczykierya galicyjska nie będzie takiem stronnictwem. Mogą niem być tylko socyaliści, którymi kieruje zarówno chęć jaknajwszechstronniejszego zdemokratyzowania kraju, jak wzgląd na całokształt interesów narodu. Tylko ten może zachować zimną krew i dać sobie radę z trudnościami, wynikającemi z walki o żer na śmietniku galicyjskim, kto potrafi sięgnąć wzrokiem zarówno w przeszłość, obejmującą harmonijnem współżyciem wszystkie narody między morzem Czarnem a Baltyckiem, jak i w przyszłość, brzemienną bojami, w których każdy sojusznik jest pożądany.

Nie jest bynajmniej utopią to, co piszemy. Głosy „Naprzodu“ kra-

kowskiego i „Głosu“ lwowskiego wcale nie były odosobnione. W każdym innym kraju czyn Siczyńskiego wywołałby napewno liczne głosy, domagające się bardzo ostrych środków wyjątkowych, mających zapobiedz powtarzaniu się czegoś podobnego. Stwierdzić należy, że tego w Galicyi nie było. Ponieważ zaś sprawa Galicyi wschodniej jest dla Austryi *mutatis mutandis* tem samem, co sprawa Czech, Morawii, Krainy, Istryi, Tyrolu i t. d. i t. d., więc trzeba się spodziewać, że dramat lwowski przyczyni się do wprowadzenia w całem państwie takich norm, któreby na przyszłość wszędzie umożebniły, pokojowe współżycie narodów. Na takiej rekonstrukcyi my tylko zyskać możemy.



MISERICORDIA



(p) Rzecz powszechnie znana, że wszelki określnik w zastosowaniu do pana redaktora „Myśli Niepodległej" przybiera przystawkę *wszech*, wywalczoną przezeń od katechizmowego Boga. Ale, jak widać z nr. 60 tego pisma (str. 559, 560, 561 — „Zapiski" — „Misericordia"), przynajmniej jednej z miliona zalet pan redaktor jeszcze nie zdobył: miłosierdzia... Przecie po tem, co napisał o nas — kto? — pan Andrzej Niemojewski! — poprostu nie możemy istnieć, nie dlatego, że *to* właśnie jest napisane, lecz dlatego, że to napisał pan Andrzej Niemojewski. A przecież „misericordia" znaczy też: miłosierdzie... Misericordię więc racz nam dać, Panie!

I Pan ją da z pewnością, jeżeli z uwagą i bez pasyi przeczyta to, o czem pisał, oraz to, co sam napisał. A zresztą — wielką wprawdzie jest winą naszą, że kochamy, bardzo kochamy swoich współpracowników, ale Pan, który nam to wyrzuca, ulituje się, wziąwszy na uwagę, że nawet w mniemaniu własnem nie mamy monopolu na doskonałość, że wszakże niekażdemu dano się pławić w bezkrytycznem samouwielbieniu, — a nadto, że gdzieindziej — bliżej — Pan znajdzie napewno i często ekwilibrystykę nawet garmontową. Co wobec tego mogłaby znaczyć, gdyby istniała, nasza ekwilibrystyka, której Pan tak się doszukuje w petitach! A kopnięcia? Miły Boże! (...ach, przepraszam Pana!...) – Toć że to chciało się skopać Przybyszewskich, Zychów, Swiętochowskich, Sieroszewskich, Prusów, Daniłowskich, Matuszewskich..... owszem, garmontem... Ci jednak żyją, na szczęście, dotychczas, i powodzi się im wcale nieźle. A już co do metody polemicznej, to o niej nie może być mowy tam, gdzie niema polemiki: protest więc zbyteczny.

Pozatem warto się zastanowić, że czyni się istotną krzywdę tak pani Izie Moszczeńskiej, jak panu J. Kurnatowskiemu, dopiero wtedy, gdy się miesza skierowane ku Nim żartobliwe uwagi, niezawierające ani szczypty chęci urażenia, ze wzmianką o owym artykule z nr. 10 „Tygodnika", nadomiar tak pięknie zrozumianą. Tak, tak... Trzeba uważnie czytać i rozumieć (co zresztą jest tak bardzo widoczne), że felieton nasz zawiera ucinki, żarty, no — i ostre odprawy z powodu spraw, nad któremi rozwodzić się dłużej niemożna lub niewarto; że nie są „maskami" owe litery (ta dyskre-

cya jest nieznośna — prawda?), oznaczające oddzielne artykuły, bo nawet w Piśmie Pańskiem znajduje się może więcej takich „masek"; że właśnie człowiek prawdziwie poważny pozna się zawsze na żarcie i granice jego określi... Ale na uznanie tego trzeba odrobiny dobrej woli, nie zaś niczem nieusprawiedliwionej niechęci i uprzedzenia. Tem bowiem tylko da się wytłumaczyć wzmianka o „adoracyi wzajemnej" oraz o „metodzie nieetycznej"... Wzruszenie ramion może być jedyną na to odpowiedzią.

Ale oślepła, bo bezpodstawna, zaciekłość, wysypująca cały worek zarzutów, sprawiła, że wypadło tuż z nimi... szydło. Oto jest i pan Józef Wasercug, i wydawany przezeń „Panteon", „reklamujący się" rzekomo w „Witeziu". O, kliczko! O, kapliczko! Przepraszamy najmocniej, ale poprawy nie obiecujemy. Owo „reklamowanie" to zamienne ogłoszenie „Panteonu", które, mimo niezadowolenie Pańskie, powtarzać się będzie... Za co jeszcze raz przepraszamy, życząc serdecznie: *Medice, cura Te Ipsum!*

(st) Poważni ojcowie rodzin drżący o synów i zięciów, matrony drżące o poważnych ojców rodzin, ciekawe mamy usprawiedliwiające „wolnomyślnością" pokazywanie nieletnich córeczek w różnych knajpach - kabaretach, gdzie sprośności śpiewane na estradach idą w parze ze sprośnościami przy stolikach na sali, — jednem słowem wszyscy—już ze spokojem katolickich sumień mogą używać dowoli: pierwsi—pożądliwego oblizywania się na widok „śpiewających" i „tańczących" półnagich „piękności", ostatnie—zaspakajania drażniącej ciekawostki, w której duma z własnej „czystości" łączy się z przymieszką niejakiej zawiści na widok bajecznych powodzeń kwiczących i skaczących bajader... Oto instytucya tak nam potrzebna — „Aquarium" — nareszcie została uświęconą przez kościół poświęceniem jej *magna cum ceremonia* przez księdza Pogorzelskiego, *ad hoc* sprowadzonego z Bielan. Uroczystość odbyła się wspaniale. Wypadków z ludźmi nie było.

(ja) Idea polska „nowoczesna" święci tryumfy: postulaty p. Romana Dmowskiego („Myśli nowoczesnego Polaka") i p. Zygmunta Balickiego („Egoizm narodowy") podbijać zaczynają świat. A więc:

1) W Prusach w imię „racyi stanu" uchwalono wywłaszczenie i zakaz mówienia popolsku.

2) W Galicyi Ukraińcy celem zwiększenia i wzmocnienia „stanu posiadania" zastrzelili namiestnika.

3) W Dumie minister spraw zagranicznych, p. Izwolskij, wyraźnie mówi o „zdrowym egoizmie narodowym", w obecności p. Dmowskiego.

Miło być ojcem żywotnych idei — słodko doczekać się ich tłumaczenia na obce języki...

„Nowoczesna" idea polska zwycięża na całej linii.

Hej!... laurów dla pp. Romana i Zygmunta!

(W. P.) W popularnych obecnie kinematografach zdarza się czasem taki figiel:

serya widoków zaczyna się przesuwać w odwrotnym porządku, tak, że ostatni widok staje się pierwszym, a pierwszy — ostatnim.

Jest to bardzo ucieszne widowisko. Przykład: kinematograf wyobraża obrazek rodzajowy: na podwórzu łapią prosiaka, niosą go do kuchni, zarzynają, pieką i wreszcie jedzą. Nagle coś się w kinematografie psuje, i obrazy zaczynają przesuwać się w odwrotnym porządku: pan, który tylko co jadł prosię, niesie do ust widelec i wydobywa z ust różne kawałki prosięcia; kawałki te padają na półmisek, zrastają się... oto już całe prosię leży na półmisku — chociaż upieczone, ale całe. Zanoszą je do kuchni, tam kucharz puszcza w ruch nóż w odwrotnym kierunku, i prosię zmartwychwstaje. Posługacz niesie je na podwórze i ucieka od tryumfującego zwierzęcia.

Kto widział taką scenkę, niech nie przypuszcza, że można ją obserwować tylko w kinematografie, i że jest ona zawsze zabawna i ucieszna...

Przecież przeżywana przez nas obecnie chwila jest takim właśnie kinematografem naopak. Wydaje się, że ten majster od kinematografu życia, ten „Ktoś Szary", (jakby powiedział Andrejew), przesunąwszy przed naszemi oczami olśniewającej piękności obraz, puścił kinematograf naopak. Ukazawszy nam z początku bardzo ciekawy obraz pod nazwą „Ruch wolnościowy", pan majster nagle nacisnął jakieś sprężyny, zawołał: raz, dwa, trzy! — i obrazy te same, tylko w przeciwną stronę, zaczęły się przed naszemi oczyma przesuwać z błyskawiczną szybkością: oto widok wprost przeciwny temu, który widzieliśmy dwa lata temu; oto scena będąca odwrotną stroną tego, co było rok temu; oto obraz, który z przeciwnej strony widzieliśmy przed półrokiem i t. d. Tak przechodził przed naszemi oczami cały cykl obrazów od początku do końca i od końca do początku. Wypadki, skończywszy cykl, powróciły do stanu pierwotnego; upieczone i zjedzone prosię znowu spaceruje po podwórzu. Zwolennicy widowisk dziwacznych i rzeczy przeciwnych naturze zadowoleni są z tego widowiska naopak, z tego przenicowania historyi i trwają w błogiem przeświadczeniu, że to właśnie jest naturalny bieg rzeczy, że tak właśnie być powinno.

Ludzie zaś zdrowo myślący — ludzie, których wzrok nie został porażony kataraktą wstecznictwa, zdają sobie sprawę z tego, że tylko traf albo zła wola maszynisty od kinematografu mogła im spłatać figla i zmusić do oglądania kinematografu naopak. Nie wątpią oni, że zczasem wszystko wrócić musi do normalnego stanu rzeczy: obrazy kinematografu pójdą w porządku naturalnym, a tryumfujące prosię znowu się znajdzie na półmisku.

(h) W Harmonijnym Gmach-Skandalu wypierają plamę nową; na nic jednak cała praca: nie obalić muru głową! Ja wam, praczki, mówię szczerze: ta się plama nie wypierze, a zaś *takie* pranie — ludzi, którzy piorą, także brudzi...

——— *Leon hr. Tołstoj.* Spowiedź. Tłumaczenie z rosyjskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1907.

Tołstoj jest jednym z najciekawszych dokumentów epoki, zarazem zaś jednym z najrdzenniejszych przedstawicieli Rosyi—nie tej Młodej Rosyi, co patrzy w Przyszłość, co znalazła już swego Boga, co wie, dlaczego żyć i dlaczego umierać — lecz Rosyi dawnej, ginącej, która pod złotogłowiem kryła ohydne łachmany, która nie wiedziała, co począć z nadmiarem swych sił i bogactw, która ciskała je też z rozpaczliwym, bezmyślnym uśmiechem w lochy bezpowrotne, nurzała się we krwi i błocie i czuła w sobie jakąś bezpłodną, nieutuloną pustkę.

Gdy się czyta brutalne, okrutne i naiwne wyznania Tołstoja, widzi się z jednej strony obnażoną z wszelkiej obłudy zbrodniczość i bezideowość mniej szczerych, niż pisarz rosyjski, sytych bourgeois europejskich, z drugiej zaś barbarzyństwo umysłu, nienawykłego do myślenia, człowieka, który przez pół długiego swego życia nie miał czasu ni ochoty spojrzeć *niżej*—spojrzeć nietylko okiem, lecz także sercem i duszą—człowieka, któremu zwierzęce bujne życie zabrało na swe usługi olbrzymi talent twórczy, przepaliło duszę, stępiło uczucia, artysty, który żył tylko—pomimo całej potęgi „realizmu" swych dzieł—własną wyobraźnią i najprostszymi, pierwotnymi instynktami swych powieściowych bohaterów.

Tołstoj jest pierwszorzędnym pisarzem, niezwykłej miary artystą. Jego styl ma w sobie surową powagę, prostotę, siłę i spokój rzeczy dojrzałych, nieomylnie prawdziwych. Jego ludzie żyją tak silnie, że pamiętamy ich lepiej chyba, niż życie samo. Ale pierwotność tych ludzi nie ma w sobie wielkości. Kieruje nimi miłość, strach, śmierć, zbrodnia, zazdrość, chciwość—lecz dno ich dusz puste—charakteryzuje ich jakiś bezwład ducha, który też całej działalności artystycznej Tołstoja odbiera właściwie tytuł wielkiego twórcy. Czytając Tołstoja, a nadewszystko jego „Spowiedź", w której ręką *quasi*-szczerego barbarzyńcy niweczy swe własne twory, obrzuca je pogardą, rozumiemy doskonale milionowych kupców rosyjskich, którzy, zbijając pieniądze wszelkimi środkami, nie wiedzą potem, jak skarbów tych użyć lub użyczyć, i... rozbijają bezcenne lustra, tworzą z fortepianów sadzawki pełne wina szampańskiego, w które puszczają sardynki, oblepiają adamaszkowe obicia gabinetów najdroższym serem, jaki wynajdą, potrafią wreszcie przez trzy tygodnie z rzędu pić na umór, by zagłuszyć w sobie czczość, nudę — lub wprost w tym celu, że coś przecież trzeba mieć za swoje miliony... I im więcej czyta się tego „wielkiego pisarza z ziemi rosyjskiej", tem bardziej - pomimo, iż mało który z poetów świata miał tak potężne, lecz także tak przyziemne odczucie życia—ogarnia nas jakieś nieuniknione znużenie, lub gwałtowna chęć wykrzesania płomienia z tych zdań, co zaczynają martwieć, trupieć... Spokój tego stylu czystego, bez troski i bólów, zaczyna się sączyć w duszę jak jednostajny, cichy szelest deszczu górskiego. Życie zaczyna znikać; postacie—te grube, gruboskrwiste, ociężałe postacie drażnią swoim bezwładem, zdaje się, że im brak czegoś, co rozstrzyga o człowieczeństwie—ha—może, powiedzmy wprost, o życiu. I nagle, jak rozkosz najwyższa, przewinie się w pamięci pierwsza lepsza zwrotka z Beniowskiego—

i oto dusza rozkołysana, porwana w bezmiar, rozumie odrazu, czem jest życie, a czem bezwład ducha, czem jest złączony w jedność wszechświat w sercu poety, a czem trupie rozmyślania nad tem że: „starzeję się", „zęby mi wypadają", „siły słabną—i po co mam żyć?"

A jednak, jeżeli w czem mogłaby być wielkość, to może właśnie w tej bezwzględnej szczerości „Spowiedzi". Straszne są wyznania Tołstoja w swej bezlitosnej prostocie: „zabijałem ludzi na wojnie, wyzywałem na pojedynki, żeby zabić, przegrywałem w karty, przejadałem pracę chłopów, męczyłem ich, wprowadzałem w błąd, oszukiwałem. Kłamstwo, złodziejstwo, cudzołóztwo wszelkiego rodzaju, pijaństwo, gwałt, zabójstwo... nie było przestępstwa, któregobym nie popełnił, i za to wszystko mnie chwalono, uważano i uważają moi rówieśnicy za stosunkowo moralnego człowieka". „Jedynem prawdziwem serdecznem naszem (t. j. poetów, artystów, literatów) pragnieniem, była chęć zebrania jaknajwiększej ilości pochwał i pieniędzy..." Dalej nazywa Tołstoj „pisanie książek i gazet" „pracą bezużyteczną" — i określa swój stan najbujniejszej twórczości tak: „teraz, gdy wspominam te czasy... żal mi i wstydzę się;— mam takie uczucie, jakiego doznaje się w domu obłąkanych".

Czyżby to były zupełnie szczere słowa? Czy niema w nich umyślnego oczerniania się? Napewno. I napewno ta nienawiść do własnego dawnego życia wynikła z trupiego doktrynerstwa, jakie zastąpiło u Tołstoja dawną twórczość. Bo czyż istotnie „żądza pochwał i pieniędzy" rozstrzygała o jego żądzy tworzenia? Czyż bezwiedny, a raczej niezrozumiany przez siebie samego instynkt piękna nie pchał potężnego artysty ku temu szczytowi życia, jakim jest sztuka?

Niewątpliwie. Lecz również nie ulega wątpliwości, że paliła mu duszę własna oschłość serca, brak łącznika pomiędzy nim a ludzkością — pomimo sztuki.

Gdy myślał nad życiem, z łatwością a rozpacznie przyjął rozumowania Salomona „marność nad marnościami". Życie wydało mu się głupim żartem — tęsknił do samobójstwa. Nie zrozumiał, bo nie mógł zrozumieć, ani Buddhy, ani Schopenhauera. Przechwalił się, twierdząc, że rozumie Kanta. W tych, tak pozornie oderwanych od życia abstrakcyach leży tak głębokie *odczucie* świata, że bez niego metafizycznie rozumować nie mógł. Ciekawe jest, iż rozumował tak, jakby życie jego oderwane było od życia świata, lecz poznał swój błąd. W następstwie zrozumiał metafizyczną istotę bóstwa, odczuł, że nie mając boga, trzeba przynajmniej „żyć, odnajdując boga".

I począł go szukać, i znalazł, jak twierdzi. Olbrzymim wysiłkiem inteligiencyi (artystycznej!) hodował w sobie, podsycał odczucie boskości. I to była niewątpliwa zdobycz cywilizacyjna tego samotnego, tragicznego barbarzyńcy. Wzniósł się do najprostszego uogólnienia myślowego i uczuciowego, do najprostszej syntezy. Stanął na poziomie, na którym mógł już zrozumieć metafizyczną treść religii.

Lecz dalej nie poszedł. Czucia nie starczyło. Zgubił się w myślowych kombinacyach. Z Biblii uczynił jedynie martwą sekciarską teoryjkę, nie zaś, jak Mickiewicz, piorunem w ręku wyzwalającego się duchem człowieczeństwa, w ręku wolności, mieczem walczącej o swoje prawa. Odczuł, iż w chrześciańskie dzisiejszem prawda jest pomieszana z kłamstwem, lecz wrodzony bezwład duchowy kazał mu wybrać stąd treść o „niesprzeciwianiu się złu", zamiast Chrystusowego wołania o miecz.

Motywy same, jakie po odczuciu bóstwa skłoniły go ku chrześciaństwu, są śmieszne. Zauważył, iż miliony, żyjące w wierze, żyją bez troski o śmierć; stąd wniosek:

oni znają prawdę! Ależ znacznie mniej troski o śmierć mają ludy wschodnie, Japończycy, Chińczycy, i wszelcy, którzy przebyli kulturę Buddyjską, a nawet Mahometanie. I ci żyją w spokoju... Czemuż więc wybierać chrześciaństwo?

I znowu odpowiedź: wrodzony bezwład ducha. Kazał on wybrać, co najbliższe.

Ale spojrzenie w lud—spojrzenie, spóźnione o lat 50!—dało mu jeszcze jedno: zrozumiał, że „zbytek, w którym żyjemy, odbiera nam możność pojmowania życia, i że dlatego, aby zrozumieć życie, muszę zrozumieć życie nie wyjątków, nie nasze — pasorzytów życia, lecz życie prostego roboczego ludu—tego ludu, który stwarza życie i tę, treść, którą on nadaje życiu".

I chociaż treść ta nie polega bynajmniej na tem, aby „wyrzec się wszelkich uciech życia, pracować, pokornym być, cierpliwym, miłosiernym", czyli „żyć po bożemu", i wyrzucić trzeba przynajmniej z tych określeń koniecznie cierpliwość i pokorę, to jednak sam fakt zbliżenia się z ludem pozostał zaznaczony głęboko... Był to znowu pierwszy krok oschłej i barbarzyńskiej duszy do odczucia świata i ludzkości, jako wielkiej jedni, wielkiej spólnoty, w której niemasz miejsca na egoizmy drobnych dusz—pierwsze następstwo odczucia i zrozumienia boskości.

Niema co mówić. Kto nie odczuł, nie przemyślał, nie przeżył głębin religijnego myślenia, ten niech nie marzy nawet o pójściu w dalszą drogę myśli, ten niech nie bierze w rękę Kanta, Platona, ani ksiąg Wedy, ani nawet Buddyjskich nakazów. Każdy systemat filozoficzny, jeśli ma jakąś wartość, powstaje nie jako kombinacya „suchych" abstrakcyj, lecz jako synteza tego, co się przeżyło. Zrozumienie boskości jest myślenia etapem najpierwszym. Trzeba ją odczuć—ażeby iść dalej.

Tołstoj myśli swe zaczął przeżywać wtedy dopiero, gdy się zestarzał. Uczucia jego nie sięgały nigdy ponad pewne granice instynktów nieuświadomionych, instynkty zaś owe nigdy nie trącały o przepaści, właściwe takiemu np. Dostojewskiemu. Tołstoj wczuwać się zaczął w nędzę ludzką wtedy dopiero, gdy rozum mu na nią wskazał, stąd też *wmówił* tylko w siebie, że pokochał lud, masy. Odwrotną drogą szedł Nietsche: jemu ukochanie ludzi podyktowało pogardę dla nich. I wyniki niepodobne. Tołstoj, wskutek swej sztucznej miłości, radzi bierność, jako szczyt mądrości i obowiązku; Nietsche zaś nad wszystko wywyższył czyn—czyn bohatera. I to są zasadnicze różnice w myślach dawnej Rosyi i Zachodu, dzisiejszej burżuazyi i Młodej Rosyi.

Tłumaczenie książki — naogół dobre, zbyt często jednak mówi się tam *a* zamiast *lecz*. Oprócz tego, znalazłem kilka tylko jeszcze rusycyzmów.

Jan Kleczyński

Aleksander Świętochowski: PISMA. Wydanie *drugie powiększone.* Tom I. OBRAZKI POWIEŚCIOWE: *Damian Capenko.—Chawa Rubin.—Karl Krug.—Kiemens Boruta.—Oddechy.—Na pogvzebie.—Woły.— W lesie.—Złodzieje.—Bartłomiejka.—Ostatni pieniądz.—Pustelnik.*—Warszawa, 1908.

Dymitr Mereżkowski: PIOTR I ALEKSY—przekład Walerego Gostomskiego. Kraków, G. Gebethner i Sp.—ANTYCHRYST (1907, str. 473)—PIOTR WIELKI (190, str. 3048).

Poradnik dla samouków. Część V. ŚWIAT i CZŁOWIEK. Wykład zagadnień wiedzy w świetle teoryi rozwoju. Zeszyt I z 82 ilustr. i 3 tablicami kolor.: POJĘCIE ROZWOJU—opr. *J. Wasserberg.* WSZECHŚWIAT i JEGO ROZWÓJ — opr. *S. Kramsztyk.* ROZWÓJ ZIEMI—opr. *W. Nałkowski.*—Wydawnictwo A. Heflicha i S. Michalskiego. Warszawa. Skład główny w Księgarni Naukowej. 1908 (str. XVI+215).

Lina Boegli: „AVANTI"—Listy z podróży naokoło świata, napisała...., przełożyła *Marya Świderska.* Lwów. Nakł. Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka (str. 286).

Aniela Szycówna: KOBIETA W PEDAGOGICE—MATKA. Wydawnictwo jubileuszowe im. Orzeszkowej: *Kobieta w życiu społecznem.* Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1908 (str. 50).

Marya Turzyma: WYZWALAJĄCA SIĘ KOBIETA. W Krakowie. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. 1906 (str. 178).

Wydawnictwa *Polskiego Stowarzyszenia Równouprawnienia Kobiet:*

Ludwika Jahołkowska-Koszutska: HEREZYE W RUCHU KOBIECYM. Warszawa. Skład główny w Księgarni Powszechnej (Marszałkowska 139) 1907, (str. 16).

Stanisław Koszutski, adw. przys.: KOBIETA i POLITYKA (O potrzebie praw politycznych dla kobiet). Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethne- i Wolffa. 1908 (str. 30).

E. Chwalewik: EKONOMICZNE CZYNNIKI RUCHU KOCIECEGO. Warszawa. Skład główny—Zgoda 4 (w lokalu Stowarzyszenia), 1908 (str. 20).

Cecylia Walewska: Z DZIEJÓW KRZYWDY KOBIET. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1908 (str. 29).

Dr. Maurycy Straszewski, prof. filozofii w uniw. Jagiell.: W DĄŻENIU DO SYNTEZY — Pomysły i szkice z lat od 1877 do 1907. — Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł), 1908 (str. 309).

G. Tschirn, prezes związku wolnomyślnych w Niemczech: MORALNOŚĆ BEZ BOGA. Nakł. księgarni Alfreda Straucha w Łodzi, 1908 (str. 54).

Dr. Stanisław Kutrzeba, prof. uniw. Jagiell.: HISTORYA USTROJU POLSKI W ZARYSIE. Wydanie 2. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, księgarnia E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł). 1908 (str. VII+278).

Tadeusz Grużewski: ZBYTEK CZY BRAK INDYWIDUALNOŚCI. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa. 1908 (str. 43).

Władysław Jarkowski: IDEA POLSKA A EGOIZM NARODOWY. Wydawnictwo „Sumienie człowieka". Petersburg. 1907 (str. 31).

Jerzy Kurnatowski: KATOLICYZM I POLSKOŚĆ. Wydawnictwo tygodnika „Echa Kieleckie". 1907 (str. 31).

Helena Orsza: Z DZIEJÓW NARODU. Wypisy z źródeł i streszczenia z opracowań historycznych. Tom I. Z 36 rysunkami w tekście. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. Kraków. S. A. Krzyżanowski. 1908 (str. XVIII+474).

Czesław Mech: KRWOTOKI — Upiorne sny z jawy bezsennej—przepisał... Księgarnia T. Paprocki i S-ka, Warszawa, 1908 (str. 31).

Jan St. Mar: DON JUAN REDIVIVUS. Poemat cyniczny. Ozdobił Zygmunt Ryszard Kamiński. Nakładem Wacława Wiedigera. Kraków. Druk. uniw. Jagiell. Warszawa. Księgarnia E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkułł). 1908 (str. 109).

Zim: Τοῦ βίου ἄνθοι (KWIATY ŻYCIA), Kijów. Nakład Zygmunta Gilewicza. Księgarnia Leona Idzikowskiego, Kreszczatyk, 29, w Kijowie. 1908 (str. 134).

Bolesław Biernacki: NAWRÓCONY. Powieść historyczna z XIV w. Warszawa, 1908, (str. 317).

K. Rojan: SAM. Powieść dla dorastającej młodzieży. Lwów, 1908. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł). Str. 215.

Aleksandra Suszczyńska: INACZEJ. Nowele. Warszawa, 1908. *N 530 Biblioteki Dzieł Wyborowych* (str. 138).

Wila Zyndram-Kościałkowska: SZKICE LITERACKIE. II. PROMETEUSZ. Warszawa, 1908. *Nr. 531 Biblioteki Dzieł Wyborowych* (str. 155).

Teodor Dostojewski: BIESY—Część I—tłum. T. K. Warszawa, 1908. *Nr. 532 Biblioteki Dzieł Wyborowych* (str. 138).

Juliusz Falkowski: WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849—z przedmową *Tadeusza Grużewskiego.* Część III. Warszawa. *Nr. 533 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Redaktor i wydawca: H. St. Pytliński Druk Piotra Laskauera i Sp



WITEŹ

ROCZNIK I = ZESZYT 8
Warszawa, 15 maja 1908 r.

HENRYK STAP

Z zagadnień chwili

Kameleonowe czasy dzisiejsze wydały kameleonowych ludzi lub przebarwiły tych, którzy zdawali się mieć stałą barwę. Serca i dusze, które tak niedawno jeszcze dźwięczały przy najmniejszym nacisku, jak spiż, zmiękły. Słowa, w których gromy huczały, znikły. Atmosfera, która wytwarzała błyskawice myśli i uczuć, stała się ckliwą i bezbarwną.

Nic więc dziwnego, że oplatająca życie sieć górnych pożądań i tęsknot, porwana w strzępy, opuszcza się coraz niżej, błotniejąc od dołu. To kameleony ściągają ją gwałtownie, drąc i plugawiąc ocalałe jej sploty, o ile tylko spostrzedz je mogą. Napozór dzieje się, co zawsze po wielkich napięciach, niedających narazie całkowitego osiągnięcia celów, odbywać się zwykło. Ale u nas — specyalnie u nas — odbywa się to tak, jakgdybyśmy sami opaść chcieli aż na najgłębsze dno tego ćwierćżycia, grążącego nas w bezduszność.

Co wczoraj jeszcze było dla nas bożyszczem, dziś usiłujemy zbeszcześcić, oplwać, ośmieszyć. Co wczoraj jeszcze było dla nas małostką, odsuwaną na ostatnie plany, dziś staramy się powiększyć, uznać za cel najwyższy.

Oczywiście — teoretycznie w życiu nie odnajdziemy stałej, wyraźnej linii demarkacyjnej, oddzielającej rzeczy ważne od mniej ważnych; ale są położenia, kiedy należy mieć w ciągłej pamięci gwiazdę, w której zbiegają się wszystkie interesy, najważniejsze i drobniejsze, kiedy należy zachować oryentacyjny punkt pewny, z którego zawsze widzieć można najwyższy cel pragnień i zabiegów. Bez owego stałego punktu widzenia wszystkie dążenia z konieczności maleć i marnieć muszą. A my właśnie to najważniejsze oparcie usuwamy sobie z pod nóg, coraz widoczniej tracąc równowagę pożądań.

Jedną z najogólniejszych przyczyn tego przesmutnego objawu jest brak ciągłego rozumienia stosunku idei do życia.

Wielkie tworzywo idei nowych, dążących do uszczęśliwienia wszystkich, nie bywa dziełem całego ogółu. Z jego cierpień tylko wytryska nowa myśl, rodząca się w jednostkach, odczuwających tak te cierpienia, że w nich właśnie potęgują się one do granicy, z pod jakiej już muszą znaleźć sobie ujście. Dopiero z usiłowań jednostek, cierpiących „za miliony", wyłania się myśl, drażniąca widokami lepszej przyszłości, błyszcząca wielką nadzieją, i ogarnia całe grupy ludzkie. Te rozmaitemi drogami dążą do jej uzewnętrznienia, rzucając nowy siew w dusze ogółu, który, w zwykłej obawie nowości, narazie daje mu odpór stanowczy. Ale myśl, dążąca istotnie do polepszenia życia, jest niezwyciężona. Przenika ona w masy, z biegiem czasu poddające się jej bezwiednie. Wówczas już idea uzewnętrznia się coraz silniej, ogarnia dusze całkowicie, staje się mocnem pożądaniem i rozpoczyna dążyć do urzeczywistnienia swych postulatów.

Odbywa się to różnie — w zależności od istniejących warunków — pokojowo lub bojowo. Najczęściej jednak, niestety, ostatnia taktyka miewa zastosowanie, nigdy bowiem myśl, świeżością tchnąca, nie staje się odrazu udziałem większości, zwykle bezbarwnej i biernej, która nadto zgóry dla nowej idei bywa usposobioną nieprzyjaźnie bądź przez wrodzoną zachowawczość, bądź dla interesów osobistych, bądź też — poprostu dla spokoju. Stąd wynikają owe niepokojące zdarzenia, coraz bardziej wrogo usposabiające większość przeciwko „nowinkom". Większość to bowiem nie chce zrozumieć narazie, że pognę-

bienie zrodzonych już pragnień przez silniejszą na chwilę reakcyę zawsze jest pozorne i czasowe, że reakcya — owszem — wzmaga napięcie, prężność usiłowań, które nigdy nie przestają nurtować i ujście mieć muszą. Wyrzekania na to zawsze są jałowe. Myśli zabić niepodobna.

Stare te prawdy właśnie wtedy, kiedy najsilniej w pamięci żyć powinny, uchodzą uwagi, co prowadzi zawsze do coraz sroższych konfliktów. Twórcami więc ostatnich są właściwie przeciwnicy „nowinek“ zapadłych w dusze, które żywiołowo dążą do ich urzeczywistnienia w życiu powszechnem, a więc do uczynienia ich obowiązującemi ogól, czyli—do ich uprawnienia.

Gdy jednakże nowa idea przejdzie wszystkie stadya rozwoju i wcielania się w życie, dla następnych pokoleń będzie już tylko obowiązującą normą prawną, nieodpowiadającą nowym stosunkom i warunkom życia, nowym aspiracyom i pożądaniom, zatem stanie się martwą. Świeża myśl już zacznie kiełkować w umysłach, przechodząc, jak wszystkie nowe idee, przez różne etapy, aż przeniknie masy i stanie się życiem. I tak dziać się będzie zawsze, dopóki ludzkość nie zaginie.

Te rzeczy wiadome powszechnie, tylokrotnie przez szeregi tysiącoleci przeżyte, są jednak zawsze nieznane czy zawsze pomijane, skoro prąd czasu wskazuje nowe drogi. Niepamięć ta, właściwie zaś niechęć do zastanowienia się, że idei niczem zwalczyć niemożna, prowadzi do sporów i starć, nawet do czasowych klęsk ogólnych. A gdy po nużących wysiłkach nastąpi *intermezzo*, ci właśnie, co spory owe, starcia i klęski opornością swą przeciw drodze życia wywołali, stają się oskarżycielami pionierów nowej myśli, głośno i zawsze przedwcześnie obwołując swe zwycięstwo.

Ten błąd powtarza się wiecznie, a potęguje go nienawiść, jaką rzekomi zwycięzcy pałają ku przeciwnikom rzekomo pokonanym. Zwycięzcy ci zwykle nie udają nawet szlachetnych rycerzy, którzy uważaliby za hańbę chęć pomsty nad unieruchomionym — w ich mniemaniu nazawsze — nieprzyjacielem. *Vae victis* — oto ich hasło, wykrzykiwane bez myśli o tem, że ich następcy błogosławić będą pamięć dziel-

nych pionierów nowości i może przeklinać pamięć swych ojców, tamujących prawidłowy rozwój życia.

Jeżeli żywiołowy ruch naprzód, jeżeli dążność do polepszenia życia, jeżeli idea nowa — niczem unicestwić się nie dadzą, a tego dowodzą dzieje ludzkości, jeżeli zatem twórcza praca jednostek i grup, torujących nowe drogi, skutek osiągnąć musi, jeżeli nadto praca ta powstaje wówczas, gdy życie przy dawnym *régime*'ie stało się nieznośnem,—jakąż rolę względem społeczeństwa odgrywają tłumiciele zbawczych prądów? Oczywiście, są oni bojownikami zapleśniałych pojęć, zbutwiałych sztandarów starego życia, skazanych zgóry na zagładę,—bądź przez nierozumienie, bądź dla interesu osobistego. Są przeto szkodnikami.

Ale istnieje kategorya osobników, przekładających zachowanie spokoju, dopóki są, nad wszelką myśl ogólniejszą; tym leniwcom wszystko jedno, co i jak się stanie, byle sami zawsze mieli winta i pieczeń: z tych zwykle powstają najsurowsi krytycy zdarzeń, których nie pojmowali, nie odczuwali, a często nie widzieli. Z tej to kategoryi „działaczów" najsnadniej płyną plotki, oszczerstwa i wyrokowania w obcych dla nich sprawach. Ci zawsze — wraz z inną jeszcze kategoryą: niezdecydowanych, chwiejnych — iść będą w ogonie orszaku zwycięzców, ktokolwiek zwycięży, powiększając armię szkodników społecznych; o sprawę samą kameleonom nie chodzi. W czasie zaś panowania reakcyi stanowią oni wspólnie z rycerzami zmurszałych przekonań falangę wyklinaczów „obcych żywiołów", „wrogów narodu" i t. p. bojowników prawdy.

Tutaj tkwi główna oś nieporozumienia. Żywioły, wrogie kroczeniu naprzód, powinny wiedzieć, że za ich panowania nad życiem ogólnem — życie to stało się ciężkiem, złem, skąd wynikła nieprzeparta potrzeba zmiany. Zaczem idzie, że sprzeciwiając się tej zmianie, oni właśnie są „wrogami narodu", żywiołami mu „obcymi". Pojęcia tu odwrócić się powinny zasadniczo.

Tak jednak bywa wszędzie w okolicznościach podobnych. U nas—specyalnie u nas — zarówno błędy powyższe, jak płynące z nich kon-

sekwencye, nabierają cech odrębnych, dochodzą do rozmiarów monstrualnych. Na to składa się szereg przyczyn.

Broniąc zatęchłego legowiska, poczciwcy nasi zapominają, że pracują nietylko dla siebie — że nietylko im chodzi o *status quo*. I pracują... A nie pamiętając o tem, stają się dwukrotnie „wrogami narodu" i „żywiołami obcymi", co tak pochopnie a bezmyślnie zarzucają swym przeciwnikom.

Zapominają też, że ich dążenia są wrogie wszelkiemu światłu, z którego wytryska myśl, i idą w parze z ciemnotą i brakiem świadomości powszechnej. Droga ich tutaj zbiega się z oddziaływaniem kleru na masy. Ten również — celem utrzymania mocno już zachwianej władzy — znowu występuje dziś otwarcie przeciwko wiedzy i świadomie szerzy fanatyzmy. Że tu nie przebiera się w środkach, tego dowodzą krwawe walki religijne w XX wieku, nadto w czasie, gdy ferment w innym zupełnie kierunku był tak silnie rozwinięty. Że nie przebiera się już w żadnych środkach, dowodzi tego rozpowszechniająca się groźnie epidemia oszczerstw i wprost — denuncyacyj. Takie objawy, jak: głośna sprawa księdza Szymkiewicza (nr. 12 „Przeglądu Katolickiego") w przedmiocie włościańskich kółek rolniczych imienia Staszica, delacye „Myśli Katolickiej" (nr. 3—4) o postępowcach, księdza biskupa Rawicz-Niedziałkowskiego (nr. 11 „Wiary") o redaktorach „Myśli Niepodległej", sławnego księdza A. Szaniawskiego (nr. 7 „Chłopa Polskiego") o p. A. Niemojewskim *) — nakazują przypuszczać zapanowanie szału kłamstwa, nieliczącego się z niczem. Nierozumna zaciekłość, prowadząca do podłości, jest złem tysiąckrotnie groźniejszem, niż chwilowe niewygody, przeżywane przez przeciwników nowych idei, nadomiar—li z powodu ich oporności bezmyślnej.

Atmosfera ta, demoralizująca w najwyższym stopniu społeczeństwo, przesiąka wszędy i zatruwa zgnilizną całe życie obecne. A pragnąca być regulatorem tego życia prasa słabo się jej opiera. Wyciąganie wniosków i sprawowanie sądów doraźnych na zasadzie tendencyjnego przedstawienia rzeczy, czy też wskutek zasłyszanej plotki lub oszczerstwa — jest na porządku dziennym. Wszelki śmielszy rzut myśli jest podnoszony jako burzenie podstaw narodowych. Wszelkie za-

*) Nr. 59 „Myśli Niepodległej", art. p. t.: „Apelacye do ramienia świeckiego".

palone błyskaniem gniewu słowo spotka się ze zwróceniem na nie uwagi niepożądanej. Zaiste — „nie wiedzą, co czynią".

Nie wiedzą. Bo podobnego rodzaju środki walki zwracają się przeciwko używającym ich szlachetnym rycerzom, wykazują bowiem wyraźnie ich słabość, niemogącą się imać innego oręża w braku zasadniczych podstaw do walczenia. Jedyne bronie: plotka, oszczerstwo, denuncyacya — dowodzą wymownie tak rycerskości bojowników, jak słuszności sprawy, której są wyrazicielami; gwałtowność zaś, z jaką występują, nakazuje mniemać, że wprędce się wyczerpią ostatnie ich pociski.

Ale w tej walce kameleonowi szermierze obłudy przyczynią jeszcze nieobliczonych szkód, szerząc w czasie jej przebiegu ciemny fanatyzm wszelkiego rodzaju i owo nieliczenie się ze środkami, plugawiąc imię człowieka donosicielstwem i ucząc posługiwania się nikczemnością.

Przeciwko temu należy się uzbroić w ostry miecz prawdy i razić mocnemi cięciami każdy objaw głupoty, krętactwa i podłości, gdziekolwiek się ukażą.

To właśnie jest najbliższem zadaniem uczciwej i niezależnej prasy,





ARTUR ŚLIWIŃSKI

Człowiek Czynu

(Maurycy Mochnacki. 1804—1834)

Już w dziecięcych latach zdumiewał swoje otoczenie: jako kilkunastoletni chłopiec umiłował wielkość i potęgę i skrycie marzył o dokonaniu czynów bohaterskich, których długie pasmo snuła mu przed oczyma płomienna wyobraźnia. Kiedy rówieśnicy oddawali się dziecinnym igraszkom, Mochnacki zgłębiał w samotności Homera, rozczytywał się w Plutarchu, entuzyazmował się historyą grecką lub zdobywał obce języki. Na otoczenie swoje i na świat cały patrzał jak przez mgłę, nie rozumiał najprostszych zjawisk, nie mógł pojąć, dlaczego życie w Polsce nie jest urządzone na wzór tego życia, którem żyła starożytna Sparta. Książki były murem chińskim, który ani jednego dźwięku i ani jednego promienia życiowego nie przepuszczał do świadomości chłopca. We własnym świecie i własnemi myślami żył Mochnacki. Wzrastał sam i kształcił się sam.

W otoczeniu książek greckich i łacińskich dojrzewał jego umysł, w zgłębianiu tajemnic bytu potężniała myśl przedsiebiercza i lotna. Droga, którą szedł do 15-go roku życia, była drogą własnych upodobań. Nieskrępowany konwenansem, pozostawiony samemu sobie, Mo-

chnacki rósł, mężniał, a kiedy wszedł w szranki życiowe, miał już za sobą olbrzymią pracę. Ta praca wyrobiła w nim najcenniejsze i najrzadziej spotykane przymioty: samodzielność myślową i płomienną, nieugiętą wolę.

Natura bujna, bogata, wyjątkowo szczodrze uposażona, nie mogła się przystosować do istniejących warunków życia. Więc Mochnacki lgnął do tych, którzy to życie chcieli przekształcić, sprzymierzył się z armią przewrotu, ale nie został, bo nie mógł zostać, zwyczajnym szeregowcem. On nie słuchał, lecz chciał, by jego słuchano, on nie poddawał się komendzie, lecz sam komenderował, wszędzie i zawsze wysuwał się na czoło; gdy inni drżeli na myśl o odpowiedzialności, on mężnie wyciągał ręce po władzę; gdy inni zaczynali wątpić, on rzucał nowy pomysł, czasem tak śmiały i tak straszny, że najodważniejszych przebiegał zimny dreszcz przerażenia.

Kiedy jako kilkunastoletni młodzieniec przyjechał do Warszawy, młodzież ówczesną w Europie ogarniał szał spiskowy. Od Uralu aż po Atlantyk, przez wszystkie państwa i kraje ciągnęła się olbrzymia sieć konspiracyjna. I w podziemiach dawnej stolicy polskiej gromadziło się coraz więcej materyału palnego, i coraz groźniej szerzył się pożar niezadowolenia. Wyłonione z wolnego mularstwa T-wo Patryotyczne rozwijało tak energiczną działalność, że rozgałęzienia jego pod różnemi nazwami dotarły wszędzie, gdzie przebywali Polacy. Tajne sprzysiężenia zakładano przedewszystkiem w wyższych uczelniach i szkołach. Jakoż już na ławie szkolnej poznał Mochnacki spiskowców i umiłował sprawę, w której imię łączyła się młodzież. Nieświadomy chłopiec w jednej chwili przedzierzga się w wytrawnego działacza, i odtąd podziemia spiskowe stają się jego żywiołem. Jak sam później mówił, nie było takiego związku, poprzedzającego noc listopadową, do któregoby nie należał. Był wszędzie, wiedział o wszystkiem, a zawsze zwracał na siebie uwagę. Często wywoływał wybuch entuzyazmu, często ściągał na swoją głowę gromy oburzenia i gniewu. Ambicyę miał wielką i nie taił jej, owszem, utrzymywał, że ambicya jest tylko zaletą. I miał prawo tak twierdzić: jego wielka ambicya zawsze z wielką sprawą była zespolona. Ale silna wola napotykała wolę innych, ambicya przeszkadzała ambicyom towarzyszów, i oto pomiędzy rzeszą sprzysiężonych a Mochnackim dochodziło do krwawo - bolesnych nieporozumień. Jeżeli wierzyć matce Mochnackiego, spiskowi wydali nań

wyrok śmierci, ale zabrakło im widać odwagi, by wyrok ten wykonać, bo niebawem zamieniono go na ostrą wymówkę. I Mochnacki w dalszym ciągu żył życiem spiskowem, działał, tworzył, pobudzał, wywoływał gniew lub zachwyty. Skazany na ciężkie roboty*) przez księcia Konstantego, miesiąc pracował przy taczkach w ogrodzie belwederskim, a po miesiącu z nowym zapałem rzucił się w morze spiskowe.

W roku 1823-im aresztowano go po raz drugi, tym razem jako więźnia stanu, podejrzanego o zbrodnię polityczną. W życiu młodego konspiratora zaczął się bardzo ważny moment. Zaczęła się nowa walka, straszniejsza od tej, którą dotychczas prowadził: walka z samym sobą. Wolny ptak nie mógł żyć w klatce klasztornej, nie mógł pogodzić się z losem uwięzionego. Przyszły długie dni smutku i głuche noce, przerywane okrzykami konających. Okrzyki tłumiło potem złowrogie warczenie bębna — i znowu zapadała cisza, i znowu wlókł się dzień za dniem, noc za nocą, coraz dłuższa i coraz posępniejsza. Mochnacki walczył z rosnącem w jego duszy pragnieniem swobody i w walce tej padł. Smutny dokument tego upadku, tak zw. „Projekt wychowania publicznego w Polsce“, projekt, napisany w myśl zasad Nowosilcowa, a ułożony czy też podpisany przez Mochnackiego, aż do śmierci mścić się miał na nim. Przyjaciele starali się później usprawiedliwić ten projekt młodością uwięzionego. Daremnie. Fakt pozostał faktem, a podpisanie owego dokumentu sam Mochnacki nazywał hańbą. Napadano go, więc bronił się, bo człowiek napadnięty zawsze bronić się będzie, ale w głębi duszy był przeświadczony, że popełnił czyn, którego usprawiedliwić niemożna. Był młody, to prawda, ale w 19-ym roku życia należał do działaczy wybitnych, świadomych tego, co robią. Do przeciętnych ludzi można stosować miarę przeciętną, Mochnacki nie wymaga zdawkowej wyrozumiałości. Zresztą Mochnacki sam się zrehabilitował, ale nie malowniczem zobrazowaniem okoliczności, w jakich projekt został podpisany, lecz dalszem życiem, poświęceniem, bohaterstwem, ranami i krwią, przelaną na polach bitew. To pewne, że z celi klasztornej wyniósł w głębi duszy bunt i pragnienie zemsty, pragnienie tem silniejsze, iż na razie musiał spożywać gorzkie owoce małodusznego kroku. Ks. Konstanty wskazał mu dwie drogi: jedna wiodła

*) Powodem tej kary była uliczna awantura z komisarzem policyi.

do urzędu tajnej policyi, druga do biura cenzury. Położenie było straszne, lecz Mochnacki pozostał konsekwentnym i formalnie przyjął miejsce w cenzurze. Obowiązków swoich nie spełniał i wkrótce otrzymał upragnioną dymisyę.

I znowu widzimy go w podziemiach buntu. Ruchliwy, czynny, palony żądzą zemsty, jednocześnie oddaje się pracy umysłowej i ulubionej rozrywce: muzyce. Sam gra na fortepianie, a talent musi posiadać niezwykły, skoro później, już na emigracyi, daje koncerty publiczne i marzy o rozpoczęciu wielkiej karyery artystycznej. W tym czasie coraz więcej zaczyna pisać. Z pod pióra jego wychodzą sprawozdania muzyczne, artykuły filozoficzne i literackie. I w tych dziedzinach również zwraca na siebie uwagę. Oczytany, wykształcony, przejęty Schleglem i Schellingowską filozofią natury, wydaje bitwę obozowi pseudo-klasyków i jeden jedyny odważnie i śmiało staje po stronie romantyzmu. A były to czasy, kiedy Mostowski nazywał sonety Mickiewicza „paskudztwem", kiedy Koźmian odmawiał Mickiewiczowi polskości i nazywał go „półgłówkiem, wypuszczonym ze szpitala szalonych", kiedy Brodziński do tego stopnia liczył się z autorytetami, że nie śmiał otwarcie walczyć z Janem Śniadeckim, niemogącym przebaczyć Szekspirowi, iż ten nie znał... reguły „trzech jedności".

Mochnacki pierwszy oddaje hołd Mickiewiczowi, pierwszy wskazuje talenty tej miary, co Goszczyński i Zaleski, związuje nieodłącznie swoje nazwisko z nazwiskiem Malczewskiego, pierwszy ku przerażeniu Koźmianów ma odwagę wypowiedzieć, że narzucać poetom reguły, to wszystko jedno, co pisać na bieżącej wodzie. Mochnacki pierwszy zaznajamia ogół z teoryą Schlegla, z wynikami najnowszej filozofii niemieckiej, — i w ten sposób wskazuje nowe źródła intelektu, otwiera przed oczyma swych czytelników dalekie a nieznane widnokręgi piękna.

Potomność zlekceważyła zasługi literackie Mochnackiego, chociaż krytyka polska nie wydała ani przedtem, ani potem równie przedsiębierczego umysłu, chociaż żaden kierunek literacki w Polsce nie miał tak wymownego i tak dzielnego rzecznika, jakiego romantyzm zyskał w Mochnackim.

Zapisując złotemi zgłoskami nazwisko swoje w literaturze, Mochnacki w tym samym czasie pozostawia po sobie niezatarte ślady i w historyi. Śmiało powiedzieć można, że należy do tych, którzy historyę tworzą. Wprowadzony do związku podchorążych, wypowiada walkę

Wysockiemu, który godził się podnieść sztandar buntu, ale nie miał odwagi stanąć na czele powstania i nie wierzył, by młodzież nieznana i niepopularna mogła z pożytkiem ująć w swe ręce kierowniczą władzę. Mochnacki drwił z tych obaw i drżał na myśl, że ster rozpoczętego dzieła pochwycą ludzie niepowołani. On się nie obawiał niepopularności i wiedział, co trzeba robić, aby stać się popularnym i zyskać zaufanie ludu. Mochnacki nie cofał się przed niczem, rzucił nawet projekt, który już raz znalazł oddźwięk w sercach młodzieży, a który odtworzył w „Kordyanie" Słowacki. I przekonał Wysockiego i podchorążych, ale projekt uskuteczniony być nie mógł.

Odwaga Mochnackiego przerażała podchorążych, a jego ambicya odstraszała powściągliwszą młodzież, wreszcie stworzyła niebezpiecznego przeciwnika w osobie Zaliwskiego. Nie mogąc narzucić swej woli, a nie chcąc poddać się cudzej, Mochnacki usunął się ze spisku i zerwał ze sprzysiężonymi stosunki. Jednakże podchorążowie nie mogli się pogodzić z tą stratą. Ale nadaremnie stukali do drzwi dzielnego towarzysza. Zawzięty Mochnacki nie wierzył w rewolucyę bez ustanowienia rządu rewolucyjnego i wszystkie usiłowania, by nanowo wciągnąć go do pracy spiskowej, spełzły na niczem. Zdawało się, że Mochnacki został stracony dla sprawy. Kiedy jednak zegar dziejowy wydzwonił stanowczą godzinę, Mochnacki wyrzekł się „swoich opinij"—i z bronią w ręku wyszedł na ulicę.

Rola, jaką odegrał w pamiętnych dniach, była olbrzymia. Opowiadać dzieje Mochnackiego z tych czasów, to wszystko jedno, co opowiadać dzieje początków powstania dzień po dniu, godzina po godzinie. Zaznaczam kilka momentów. Po 29 listopada nikt nie wiedział jeszcze, czem się sprawa skończy, i jak daleko rzeczy zaszły. Ale to ogólne niezdecydowanie i chwiejność powszechna trwała krótko. Wkrótce zarysowały się wyraźnie dwa prądy. Jeden z nich uosabiał minister książe Lubecki, drugi—mało komu znany młodzieniec, Maurycy Mochnacki.

Potężny minister miał w rękach swych władzę, trząsł rządem; Mochnacki znalazł sprzymierzeńca w ulicy i rzucił Lubeckiemu wyzwanie. Obaj mieli potężną wolę, obaj widzieli jasno, obaj w każdej chwili zdawali sobie sprawę, w jakiem stadyum znajduje się rozpoczęte dzieło i jakie kroki w najbliższej przyszłości należy przedsiewziąć.

Zwarły się ze sobą dwie moce — i zawrzała walka, jedna z najciekawszych walk wewnętrznych w dziejach powstań polskich.

Z kamiennym uporem i żelazną konsekwencyą dążył Lubecki do zniweczenia nadziei spiskowych, a Mochnacki dokładał wszelkich starań, aby pokrzyżować plany Lubeckiego i rozpoczętej sprawie nadać niepowstrzymany rozpęd.

Obaj ocenili się odrazu, obaj zoryentowali się szybko i obaj powzięli względem siebie zamiary. Lubecki był człowiekiem zbyt rozumnym, aby lekceważyć strasznego przeciwnika. Lubecki z wroga postanowił zrobić przyjaciela. Plan dygnitarza pomyślany był chytrze. Przez wciągnięcie Mochnackiego do rządu minister obiecywał sobie ugłaskać niesfornego młodzieńca i uczynić zeń posłuszne swej woli narzędzie. W żelaznych rękach księcia ugiął się już Ostrowski, później w zastawione sieci wpadł i uwikłał się Lelewel, z kolei los ten miał spotkać Mochnackiego. Taktyka ministra nie zawodziła go dotychczas, ale tym razem trafiła kosa na kamień. Młody buntownik przejrzał nawskroś dyplomacyę księcia i brutalnie odtrącił wyciągniętą doń rękę. Lubecki chciał dzielić władzę z Mochnackim, ale Mochnacki postanowił wyrwać ją z rąk Lubeckiego. Odparłszy atak księcia, nie poprzestał na tem, lecz na cios ciosem postanowił odpowiedzieć. Plan jego, jeżeli o planie może być tu mowa, był bardzo prosty i stokroć radykalniejszy. Palnąć Lubeckiemu w łeb!—oto jaki zamiar powziął Mochnacki...

Postanowienia rodziły się w tej głowie i przelatywały przez nią szybko, jak błyskawice, a później następował czyn—piorun. Tak było i tym razem. Zaledwie zamiar dojrzał, Mochnacki biegnie do szkoły podchorążych, formuje oddział i wiedzie go pod gmach bankowy. Zamiar krzyżuje niespodziewanie Wysocki — i wytrąca broń z ręki przyjaciela.

Ale do tego ostatecznego środka nie odrazu uciekł się Mochnacki. Przedtem utworzył klub i na zgromadzone tam prochy ciskał zapamiętale krwawe głownie niezadowolenia, szerzył bunt, wzniecał protest. I hałasował klub i szumiała groźnie ulica, coraz zuchwalej wyciągając ręce po władzę. Sytuacya zmieniła się szybko, ale Mochnacki w ciągu kilku dni dokonał tego, że runęły trzy rządy, i fala oburzenia doszła do szczytu. „Wichrzyciel“ był bliski władzy i miał chwile, kiedy mu się zdawało, że jeszcze jeden wysiłek, jeszcze jeden

krok naprzód, a pękną ostatnie spoidła reakcyi i zatryumfuje ulica. Złudzenie trwa krótko. Na ruinach trzech rządów powstaje dyktatura. Śmiertelnie śmiały trybun ludu porywa się do walki z Chłopickim, bożyszczem Warszawy, — i w jednej chwili ze szczytów powodzenia spada na łeb, na szyję, by znaleźć się nagle w nizinach rozczarowania i hańby.

Wydobyto „Projekt wychowania publicznego", podano go z polecenia Lubeckiego do publicznej wiadomości, a chcąc dobić Mochnackiego w opinii tłumu, rozpuszczono pogłoskę, że obraził on śmiertelnie Chłopickiego, że dotknięty do żywego dyktator leży chory i dogorywa.

Zawrzała oburzeniem Warszawa, i z ulicy w ulicę leciał okrzyk śmierci. Szukano przestępcy po całem mieście, ale nadaremnie. Mochnacki znikł — i nikt go wyśledzić nie zdołał. Nic dziwnego. Przestępca schronił się w pokojach swojego śmiertelnego wroga, księcia Lubeckiego. Minister nie wiedział jeszcze, co mu tak niedawno groziło ze strony „miłego" gościa, ale nie tryumfował. Dyplomata poprzestał na delikatnej uwadze, mówiąc:

„— Jak to niebezpieczno jest, panie Mochnacki, tak wysoko latać!"

Pan Mochnacki połknął gorzką uwagę, ale ani myślał obniżać lotu. W duszy jego paliła się straszna zawziętość, a w głowie powstawał plan nowy. Powalony na ziemię, zdeptany, znienawidzony, shańbiony, opuszczony przez wszystkich, nie ugiął się i nie dał za wygraną. W uszach jego dzwoniła jeszcze groźba śmierci, błoto hańby, którem go obrzucono, paliło jeszcze jak tysiąc policzków, pozostawionych bez odpowiedzi, a Mochnacki zamyślał już o nowym czynie. Cierpiała strasznie podeptana ambicya i blady gniew wzbierał w mężnem sercu, ale osobista krzywda malała wobec wielkości sprawy, która w oczach Mochnackiego coraz to zgubniejszy przybierała obrót. Nie mógł patrzeć na to z rękami założonemi bezczynnie. Toteż zaledwie ucichła burza potępienia, opuścił swoją kryjówkę i znowu stanął do walki. Rozumiał dobrze, iż na dawnej drodze straconego wpływu już nie odzyska, ale rozumiał i to jeszcze, że można go było podeptać i zabić, ale niemożna było zabić tego niezadowolenia, które on najlepiej reprezentował, a które w dalszym ciągu istniało.

Stać się znowu rzecznikiem tłumu, — oto co postanowił Mochnacki. W tym celu założył nowe pismo p. t.: „Nowa Polska" i dał uj-

ście wrzącym w jego piersi uczuciom. Ze szpalt „Nowej Polski“ niby ze skłębionej chmury padał grom za gromem. Było to pismo — walka, każde słowo dyszało czynem i w czynie szukało wcielenia. Ale „Nowa Polska“ nie miała odegrać roli, o jakiej marzył Mochnacki. Kanonadę, którą jej twórca rozpoczął, zagłuszyły wkrótce przygotowania wojenne i coraz głośniej dzwoniący szczęk broni.

Redaktor „Nowej Polski“ zrozumiał doskonale, że nadszedł dzień innej walki, i natychmiast pióro zamienił na karabin. Na podanie o przyjęcie go w szeregi wojsk polskich naczelny wódz Radziwiłł przysyła patent oficerski. Mochnacki dumnie odrzuca nominacyę i jako prosty żołnierz zaciąga się do pułku strzelców. I znowu, tym razem w mundurze szeregowca, zwraca na siebie uwagę: w batalii grochowskiej zyskuje pochwałę jen. Szembeka — i krwią zdobywa szlify oficerskie. Wyleczywszy się z ran, powraca znowu do szeregów, walczy pod Wawrem, Liwem, Długosiodłem, Prytyczą, wsławia się pod Ostrołęką bohaterską obroną armat i ozdobiony krzyżem *virtuti militari* zmuszony jest opuścić szeregi, by leczyć odniesione rany. Przyszedłszy nieco do zdrowia, powraca do pióra i w dalszym ciągu rozwija myśli, wypowiedziane przed paroma miesiącami na szpaltach „Nowej Polski“.

Tymczasem powstanie upadało.

Wzięcie Warszawy najmężniejszym zmroziło serca.

Wojsko polskie, skonsygnowane w Zakroczymiu, nie myślało już o dalszej walce, Opuścili ramiona wodzowie, i duch zwycięski zamarł w szeregach. Po obozie polskim tłukła się blada rozpacz i zaglądała w oczy przerażonym żołnierzom. Gwiazda powodzenia zgasła—i zwątpienie stało się powszechnem. Ale w duszy Mochnackiego wzbierał bunt. Widział on powszechny upadek ducha i, postanowiwszy podnieść rzucony sztandar wojny, spróbował w zmrożone serca wlać ciepło otuchy. Założył w Zakroczymiu „Gazetę Narodową“ i przez nią usiłował oddziałać na masy. Przemówił w imię godności. Artykuły Mochnackiego, podobne w „Nowej Polsce“ do gromów, zahuczały niemniej silnie, ale inaczej. Tym razem były to dźwięki spiżowego dzwonu, przerywane miękim szelestem rozsypywanych pereł, mowa wzburzonej krwi i pieśń tkliwego serca, komenda żołnierza i uczucie poety. W bólu przenikającym całe jestestwo, w szlochu i łzach rodziły się przedziwne słowa energii, powstawała przepiękna pobudka, zachęca-

jąca do męskiego wytrwania, do śmiałych działań, do walki na śmierć.

„Albożto, — pisał Mochnacki, — młódź nasza nie raźna i nie nauczona własnemi piersiami odpierać zgubę od kraju? Czyż nam zbywa na sprzęcie wojennym? Mamy burzące działa, któremiśmy potylekroć przerzedzali nieprzyjacielskie zastępy. Mamy gęste lasy i pussze jeszcze nieprzetrzebione; a w tej Polsce rozległej, bujnej, niezmiernej, od wschodu do zachodu, od północy ku południowi, żadnego kroku uczynić nie zdołamy, żebyśmy nie spotkali to rodaków, to współziemian, pragnących dzielić nasze zamiary i niebezpieczeństwa. W rodzinnej jesteśmy ziemi, w swoim kraju i między swoimi..... Choć nieprzyjaciel opanował stolicę, jeszcze to zwycięstwa na jego stronę nie przechyliło... Nie mury i pałace, ale serca polskie są ogniskiem naszej świętej sprawy, a tej twierdzy żadna moc nie weźmie, ani nie zburzy... Gdzie przenocujemy, tam będzie stolica Polski“...

Słowa te przebrzmiały bez echa, a fala emigracyjna i autora ich uniosła na Zachód.

Przybywszy do Paryża, Mochnacki zastaje tam ostatniego prezesa rządu narodowego. Niemojowski staje na czele grupy wychodźców i tworzy komitet, który miał objąć naczelną władzę nad przybywającą tłumnie emigracyą. Niemojowski był zdania, że rola polityczna wychodźców skończyła się w kraju i zdążył przekonać o tem garstkę przybyszów. I wszystko sprzyjało planom byłego prezesa rządu, aż przybył do Paryża Mochnacki. Sytuacya zmieniła się natychmiast. Nie podzielając poglądów Niemojowskiego, były twórca klubu wydaje mu walkę; zmusza najpierw, aby utworzony komitet, przezwany szumnie narodowym, przybrał miano czasowego, a później, gdy Paryż zaroił się od emigrantów, Mochnacki puszcza pomiędzy nich ciętą broszurę i ostatecznie podkopuje autorytet b. prezesa, rozwiewa resztki zaufania do jego komitetu.

Na gruzach organizacyi Niemojowskiego powstaje komitet Lelewela.

Mochnacki, niepowołany do nowego komitetu, usuwa się zwolna od czynnego, bezpośredniego oddziaływania na emigracyę. W życiu wielkiego myśliciela i nieustraszonego Człowieka Czynu nowa zaczyna się era.


T. Ulanowski

TADEUSZ ULANOWSKI

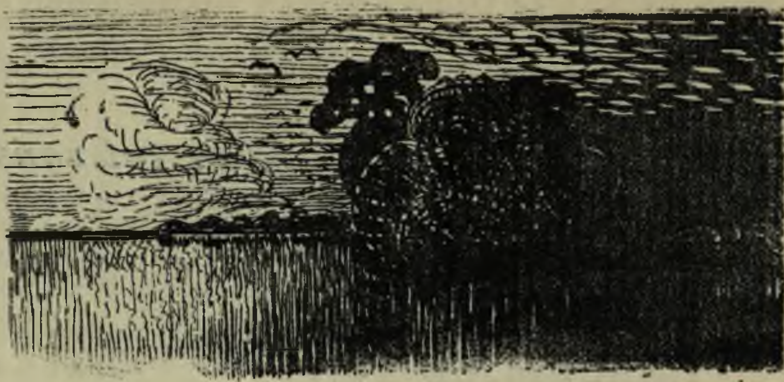
Staw tatrzański

Tytanów łzy spływają do kraterów,
W chrzcielnice bogów.—Litościwi —
Przed sądem tu maczają palce
I przebaczają! Lud się dziwi,
Co kamienował bohaterów,
Nim zgrzeszył sam—udziałem w walce.

Twe serce, ludu, jak jezioro,
Misterye niebieskie powtarza,
Pełne rumowisk, syte zbrodni,
Czystością górnych ofiar czyste.
U Jurajskiego stóp ołtarza
Szepce odwieczne „dziesięcioro“,
A echo septuorem: „Chryste“ —
Góry oblata!..

— Wy, niegodni,
Wy, nieprzytomni tajemnicy,
Bardziej od gór najstarszych dzicy —
I niepotrzebni! — za was one
W głąb jezior tchnęły Antyfonę!!

2



WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

IX

Stąd już niedaleko było do kolei.

Zmienili konie i raźno podążyli dalej szeroką, ujeżdżoną drogą wśród żółtych ściernisk, ustawionych mędlami snopów. Wokoło siniały odepchnięte w dal, wycięte, wykarczowane lasy. Białe nici pajęczyny włóczyły się leniwie w rozsłonecznionem, drgającem powietrzu, białe pajęczyny srebrnych obłoków rozprzędły się szeroko po zielonawem niebie.

Es-er siedział nadęty i oczy uparcie od Wiktora odwracał. Dawno już to robił. Już na stacyi zaniedbał wielu drobnych usług, jakiemi dotychczas otaczał starszego towarzysza.

Ale Wiktor zdawał się tego nie uważać i sam spokojnie robił to, co przedtem robił młodzieniec. Obecnie półleżąc nawznak w tarantasie, utkwił w zamyśleniu niemrugające czarne oczy w dalekie niebiosa.

Tak się jakoś złożyło, że Wiktor nigdy pierwszy nie rozpoczynał rozmowy: obecnie więc było mu szczególnie trudno się przezwyciężyć,

i zdarzało się, że upływały całe godziny w przykrem milczeniu. Leżeli obok siebie, czuli nawzajem ciepło swych członków, myśleli o sobie, ale się nie odzywali do siebie.

— Dlaczegoś tak z nim postąpił? Dlaczegoś mu ręki nie podał? — spytał niespodzianie es-er i całem ciałem zwrócił się do Wiktora.

— Komu?

— Staremu... Przecież on ci życie uratował.

Wiktor usiadł.

— Dostał za to pięć rubli — odparł chłodno.

Towarzysz spojrzał nań z niechęcią.

— Pycha... szlachecka pycha... — szepnął i, pogwizdując znowu, wbił oczy w nagie rżyska.

Przykry uśmiech wykrzywił wąskie wargi Wiktora i uniósł w górę końce jego długich, cienkich wąsów. Nie odpowiedział jednak narazie.

Leżeli dalej obok siebie w milczeniu dzień cały, rozdzieleni jakby taflą lodu.

Pod wieczór zamajaczył w oddali charakterystyczny rząd słupów, i długa równa linia niby brzeg ukrytego morza przecięła widnokrąg.

— Kolej! — zawołał ze wzruszeniem es-er. Za chwilę tarantas turkotał już na brukowanym podjeździe stacyi.

Była to licha, brudna i mała stacyjka, pozbawiona bufetu i nawet poczekalni, ale za to posiadająca wspaniałego... żandarma.

Wiktor z przykrością spostrzegł, że nie może opanować zimnej nienawiści, uczuł, że twarz wydłuża mu się, jak paszczęka wilka. Unikał więc spotkania wzrokiem z szarofiołkowem wspomnieniem przeszłości. Pulchny, niebieskooki, dość dobroduszny stróż bezpieczeństwa zaraz ich spostrzegł i zaniepokoił się również. Byli sami na stacyi. Pociąg miał przyjść według rozkładu za godzinę, nie licząc opóźnienia. Dla zabicia czasu wyszli na plant, lecz i tam natychmiast dostrzegli za szybą okna czerwoną twarz z faworytami i podejrzliwe niebieskie oczy. Spojrzeli na siebie znacząco. Młode, okrągłe policzki es-era podciągnęły się w górę. Mocno uścisnął Wiktora za łokieć.

Stacya zaludniała się zwolna; przeszedł posługacz z latarkami i bańką nafty; zaruszały się semafory; zadźwięczał, zakuł pośpiesznie a nużąco i jednostajnie sygnał elektryczny; koło drzwi pojawił się wy-

szarzany strażnik ziemski; stuknęło okienko kasy. Wtedy wrócili na salę. Niezwłocznie podszedł ku nim żandarm:

— Pasporty...

Podali je bez zbytniego pośpiechu. Czytał, oglądał, mrużąc oko, podpisy i pieczęcie z miną nieskończenie poważną. A tymczasem szyny już dudniły pod zbliżającym się pociągiem. Wiktor poszedł do kasy po bilety. Es-er dalej czarował uśmiechem „naczalstwo".

— A daleko stąd najbliższy bufet?

— Trzecia stacya! — odpowiedział pośpiesznie strażnik.

— Niema tu, widzę, nikogo, coby pomógł nam zanieść walizki do wagonu...

— Cóż... mogę i ja... podać!

— Więc nieście do drugiej klasy!

— A skąd panowie jedziecie i dokąd? — pytał przeciągle żandarm.

— Kupcy, kupcy... do Irbitu na jarmark. Przecież napisano w pasportach — odpowiadał pośpiesznie es-er, odbierając papiery i pomykając za Wiktorem ku drzwiom.

Ze słodkiem wzruszeniem, z przedziwnem rozkosznem uczuciem jakby ponownych zaślubin z czemś drogiem, od czego oderwano ich przemocą, wyciągnęli się na szarych siedzeniach wagonu, cuchnących tytoniem i zastarzałym brudem...

Za chwilę, za mgnienie oka pociąg ruszy, i utoną w ludzkiem mrowisku... Dlaczego jednak stoi tak długo? Zbyt długo stoi... podczas gdy serce bije...

Głucho szczęknął trzykrotnie dzwonek; blaszany dach, plugawe okna stacyjne i żółte jej ściany zaczęły niepostrzeżenie usuwać się, uciekać... Znikł zatroskany żandarm na drewnianym chodniku, mignęła czerwona, jak mak, czapka zawiadowcy... Wagon drgnął raz, drugi... zatrząsł się i z rosnącym hukiem i kołysaniem się potoczył po szynach, przystukując na spoidłach.

— Nareszcie!

Es-er zajrzał do sąsiedniego przedziału. Byli sami. Zapadający zmrok i żółte światło lamp powlekało brudnym kolorytem trzęsące się i stękające wnętrze wagonu.

— Jeść mi się chce! Zobacz, Wiktorze, czy nie zostało co jeszcze w walizce?

Szumski zdjął swój kufereczek i otworzył go. Znaleźli tam kilka suchych już jak kość obwarzanków.

— Wciąż zapominasz, że nie jestem Wiktorem, lecz Stepanem Iwanowiczem Kulkowym...

— Acha! będę pamiętał! A ja jestem Inocenty Matwiejewicz Sieriebriakow, — sprawdził młodzieniec, zaglądając do swego pasportu.

— A więc... Kiesza!

— Ano niby Kiesza...

— Bilety, panowie! Panowie tylko co wsiedli? czy nie tak? — przeciągnął przez nos konduktor.

— Właśnie! Oto są...

Gdy minęła kontrola, znowu pogrążyli się z zamiłowaniem w gryzienie obwarzanków. Nagle „niby Kiesza“ siadł na ławkę obok Wiktora i, opierając mu rękę na ramieniu, zagadał ciepło:

— Słuchaj... Daruj... Rozumie się, że ja wiem, że ja domyślam się, dlaczego... nie podałeś mu ręki... Ten tam... trup... Ale przyznaj, wszak z tobą postąpił on po ludzku? Dlaczego nie uszanowałeś w nim tej... kruszyny człowieka? Przecież to wszystko pewnie, co on z tego działu posiada!.. Nie zauważyłeś, jak on boleśnie się zmieszał... jakbyś mu dał policzek... Czyż tak wielka w zasadzie między nami różnica? Czyż ty... czyż my też nie tratujemy, nie rozbijamy rozmaitych poglądów i obyczajów, które są święte dla innych ludzi? Czy nie łamiemy co krok powszechnej etyki? On też jest... protestem, wybuchem krzywdy! On też, tak jak my pragnie pełni życia... On żywioł...

— Tak, właśnie!.. A ja nie jestem żywiołem!

— Więc czemże jesteś? Osobnik żyje raz tylko... wszystko, co czyni, czyni dla siebie... Trudno nawet czego innego żądać. Wszyscy pragniemy potęgi, rozkoszy... nienasycona chciwość wrażeń rządzi nami... Pod ich naciskiem urabiamy i wydajemy sądy nasze, i one popychają nas do czynów, zmuszają stwarzać dobro lub zło. Od energii duszy zależy jedynie, czy zadowoli się ona utartemi drogami, wskazanem kołem potrzeb i uczuć, czy rozpęta się i wybiegnie poza nie... A od ilości wiedzy nabytej, od subtelności odczuwania, od wytworności upodobań zależy, czy to się tak ujawni czy inaczej. Ten twój Wasylicz wydał mi się sympatycznym chłopem. On kąsa z bólu najbliższe mu przedmioty, jak pies kij, który go uderzył... My zaś staramy się złamać rękę... Oto cała różnica!

— Nigdy się na to nie zgodzę, nigdy! — porwał się Wiktor. — Wszystko we mnie protestuje przeciw temu porównaniu... Jeżeli chcesz wiedzieć... to pobudką mej działalności nie jest pragnienie wrażeń, ani pragnienie pełni życia, lecz wręcz co innego... Prędzej — poczucie sprawiedliwości! Wprost żyć nie mogę na świecie razem z tem, co się tam dzieje...

— Dlaczego więc... nie umrzesz *sam*?

— Dlatego, że umierając nie miałbym wrażenia, że *tamto*... choć część *tamtego* — zginie wraz ze mną, podczas, gdy zadając ciosy, widzę cząstkową śmierć.... Będę walczył, muszę walczyć, ale mylisz się, jeżeli myślisz, że ja to... dla pełni życia... Ja cierpię... ja strasznie cierpię... — dodał wstydliwie i cicho.

— I ja cierpię... — zgodził się Kiesza. — Ale cóż z tego? To znaczy jedynie, że dusze nasze nie znoszą rozdźwięku, sprzeczności... Lubię się zastanowić, skąd to pochodzi...

— Po co? Wolę myśleć, jak to usunąć!

Umilkli i zadumali się, patrząc w okno pociągu, gdzie obłoki czerwonych skier wyprawiały w ciemnościach nocy dziwaczne harce. To leciały jak krwawy deszcz, to wiły się, jak długie rozwichrzone włosy szybującej obok pociągu dziewicy pożaru. A pociąg uciekał, uciekał, gdakając miarowo...

— Widzę, że towarzysz jest trochę maksymalistą — zauważył z lekkim przekąsem Wiktor.

— Nie wiem doprawdy, kim jestem... Na co mi etykietki... Pracuję z ludźmi, których poglądy uważam za najbliższe swoim, a pozatem głównie mi chodzi, abym mógł być szczerym ze sobą i z otoczeniem...

— O to każdemu chodzi...

— Co zaś do maksymalizmu, to ta zachodzi między mną a nimi różnica, iż ja bronię bandytów, a nie bandytyzmu, jak w wielu wypadkach broniłbym zbrodniarzy, ale nie zbrodni...

— Tego tłum nie rozróżni.

— Na to już nic nie poradzę...

Znów w zamyśleniu patrzyli na okno, gdzie ognista wichura miotała snopy płomiennych wężyków, a purpurowy cień łuny biegł obok po polach, gajach i wodach, rozświetlał je na chwilę i malował krwawo.

— A więc nie zgadzasz się, że każdy istnieje dla samego siebie, że to, co czyni, czyni też wyłącznie dla siebie...

— Zapewne... — odpowiedział z roztargnieniem Szumski.

— Czyż ciebie to nie zajmuje?

— Owszem, bardzo nawet! Ale nie mam czasu na podobne rozmyślania... Dokoła tyle spraw, wymagających wielkiego natężenia umysłu. Zresztą wychodzi to poza kres dociekań, dostępnych obecnie ludziom... W osnowie ich leży problemat wolności woli... Nie mogę pozwolić sobie na te rozmarzające i osłabiające rozkosze. I powtarzam: wolę odczuwać odpowiedź w swych czynach.

— A o czem myślałeś przed chwilą?

— Myślałem... o nowem naszem nieszczęściu... Znów rozłam... W takiej chwili... Ostry miecz, miecz kuty w ciągu długich lat cierpień, przez wysiłki setek ofiarników, złamany, złamany...

Wstał niezmiernie poruszony i znowu usiadł.

Kiesza patrzał nań z głębokiem współczuciem.

— Ee... Może jeszcze plotka!...

— Nic pewnego, ale możliwe...

Znów wstał i, oparłszy czoło o szybę, patrzał na ognistą zawieję.

Kiesza leżał nawznak i cicho pogwizdywał.

— Jacy wy, Polacy, jesteście jednak egoiści!

— Egoiści? Dlaczegóż to?

— Przecież tych rozłamów na... kuli ziemskiej odbywa się mrowie... Nie wiem, czyś się nawet bardzo tem interesował, a tu nagle taka rozpacz...

— Żadna rozpacz... Dla każdego chyba własna koszula jest bliższa ciała. Czyż wy tak bardzo interesujecie się całą kulą ziemską?

— To zupełnie co innego. Wasza kwestya jest częścią naszej... Rozwiązanie naszych zagadnień...

— W dodatku, my jesteśmy stokroć od was nieszczęśliwsi... — ciągnął, nie zważając nań, Szumski. — Musimy zwalczać nietylko własne wady i występki... Cierpimy często za swoje i za cudze winy... To stwarza taką straszną plątaninę, taką duszącą sieć, że często wydaje się, iż niema dla nas ratunku. Każda wasza ofiara, każde wasze zwycięstwo, lub prosty wysiłek szlachetny staje się bezwarunkowo dla was cegiełką lepszej przyszłości... Dla nas one lecą w nienasyconą przepaść, która nie ma dna i brzegów...

— Och! Aż tak?!

Szumski nie odpowiedział.

I znowu jakgdyby mrożąca tafla lodu wyrosła między nimi.

Gdy nazajutrz obudzili się ze snu, w sąsiednim przedziale znalazło się kilku pasażerów. Obecność ich utrudniła im rozmowę. W oknach wagonu przesuwały się, niby wstęga kinematografu, szare zadeszczone krajobrazy. Kiesza kupił na większej stacyi jakieś romansidło, Wiktor pilnie studyował stare gazety.

Przejezdni zmieniali się, wsiadali, wysiadali. Parę razy zbiegowie uczuli na sobie ciężkie, badawcze spojrzenie znanych im dobrze figur. Raz zrewidowano nawet pociąg cały. Lecz zbiegowie umieli tak dobrze dostosować szarość swego zachowania się, rozmów i giestów do szarości otoczenia, że „oczy i uszy" prześlizgiwały się po nich wciąż jak po gładkiem miejscu.

Dopiero w Tajdze zagroziło im pewne niebezpieczeństwo. Kupa tragarzy wpadła do wagonu.

— Przesiadać, przesiadać! Do innego pociągu... Kto do Tomska?...

Musieli być w tem mieście, gdyż tam mieli dostać pieniądze na dalszą podróż i potrzebne wskazówki.

Podnieśli się.

— Hej, tutaj! Prosimy... Dwa kuferki...

— Będzie osobista rewizya! — szepnął cicho wąsaty tragarz z fioletowym nosem.

— Nie śpiesz się! Jeszcze to zabierz! Niech wyjdą... Po co się tłoczyć? — powiedział spokojnie Wiktor. Zwrócony tyłem do publiczności, zręcznie wyjął rewolwer i kiwnął na towarzysza. — Masz, schowaj to... oddasz nam w tamtym pociągu. Który numer?!

— Dwudziesty piąty... Dobrze, proszę pana! — odrzekł tragarz.

Spuścił rewolwery do obszernych kieszeni, jedną walizę zarzucił na ramię, drugą wziął w rękę i, tańcując na nogach, jak ciężko objuczony koń, rzucił się pędem po peronie...

Spokojnie odbyli ceremonię szczegółowej osobistej rewizyi i, zapłaciwszy tragarzowi trzy ruble, przybyli szczęśliwie do miasta.

Zatrzymali się w hotelu i niezwłocznie odszukali wskazanego jegomościa.

Był to blady, niemłody już mężczyzna o smutnej, zadumanej twa-

rzy. Przyjął ich w małym pokoiku skromnego mieszkanka. W głębi za drzwiami hałasowały dzieci.

— Rewolucya kona... Zniechęcenie... upadek sił... niewiara!...

— Czy mogło być inaczej tam... gdzie wieś od wsi o dwadzieścia wiorst leży... — mruknął Wiktor posępnie.

— To nic! to nic! To pójdzie w głąb, to się rozrośnie!—wtrącił ze wzburzeniem Kiesza.

— Zapewne... ale teraz... niezmiernie ciężko...

— A rozłam u nas. Coście słyszeli o rozłamie w naszej partyi?

— Rozłam istotnie nastąpił. Szczegółów wszakże nie znam... Zdaje się, że na tle taktycznem...

X

Przebyli Ural. Zbliżała się powoli chwila rozstania. Mimo serdeczną pozornie zażyłość, było w stosunku ich coś, co ich dzieliło, co ciążyło im i dokuczało. Nawet gdy zostawali sami, ograniczali się do zupełnie anegdotycznych opowieści lub niezmiernie oderwanych dociekań.

Wreszcie raz es-er, zlustrowawszy dalsze przedziały i przekonawszy się, że prócz grubego podpiłego kupca i popa z rodziną, niema nikogo, położył rękę na ramieniu Wiktora.

— Pomówmy otwarcie! Przykro mi, iż myślicie, że jestem wam przeciwny... Wcale nie... Boli mię jedynie ta nuta nieufności, jaką słyszę w waszych rozumowaniach.

Szumski szybko się ku niemu obrócił.

— Powiedz szczerze — wybuchnął — czy dużo jest takich, jak ty? To darmo! Pięćset lat zbiorowych wysiłków w pewnym kierunku urabia odpowiednią psychologię. Tylko grupy narodowo jednolite są dość gibkie i dość obyczajowo i duchowo przejrzyste, aby się w nich odbyć mogły wielkie, zasadnicze reformy. Gdzieindziej grożą ludzkości... przemysłowe koszary.

— Więc przypuszczasz, że bracia z ducha i pojęć byliby zdolni...

— „I nie wódź nas na pokuszenie...“ My pragniemy swobody bez zastrzeżeń..

— Nawet bez... braterstwa?

— O... zgoda na braterstwo... równych sobie...

— Ależ zgadzam się, najzupełniej zgadzam... — radośnie zawołał Kiesza i westchnął, jakgdyby mu ciężar spadł z piersi.

Szumski spojrzał nań życzliwie, ale po zmęczonej jego twarzy, już pożłobionej przedwczesnemi zmarszczkami, przesunął się ledwie dostrzegalny uśmiech.

Była to ostatnia ich na ten temat rozmowa, ostatni etap serdecznego zbliżenia.

— Ach, jakżebym chciał spotkać się raz jeszcze z tobą... później...—mówił z przejęciem Kiesza, siadając obok Wiktora.

Ten objął go wpół.

— Jak... wszyscy wolni, wszyscy dobrzy... wszyscy zdrowi, piękni i ukształceni... Lubię i ja... pomarzyć... Żyć w atmosferze, gdzie każdy myśli o wszystkich, a nikt o sobie...

Cicho gwarzyli o świetlanej, bardzo odległej przyszłości...

Za Saratowem musieli się rozstać. Kiesza skręcał na południe. Uściskali się, spojrzeli sobie w oczy. Serca zamarły im na krótką chwilę.

— Czy nie spotkamy się już nigdy?

— Dlaczego nie!? Ziemia nie jest znowu tak wielka, a miejsca naszego na niej spotkania nie tak liczne...

Po krótkiem wahaniu pocałowali się w usta, uścisnęli mocno, długo i trochę wzruszeni, trochę zawstydzeni tą „czułostkowością", rozstali się, nie patrząc na siebie. Kiesza schwycił przygotowaną walizkę za uszy, wyskoczył z wagonu i zmieszał się z tłumem.

Pociąg powlókł się dalej.

Widnokrąg zalegały spiętrzone, ołowiane, nisko nawisłe chmury. Kradły one światło dnia, niweczyły ślady barw na wyblakłej równinie, zamazywały jej ubogie kształty, zasnuwały dal czczą, beznadziejną mgłą. Tu i owdzie czarne cyprysowe kontury drzew bezlistnych i niezliczone krzyże wiatraków unosiły się żałobnie nad płaszczącą się, jakby wylękłą, ziemią, nad wielkiem sinem cmentarzyskiem ról, oczekujących na całuny zimy...

DCN



ANTONI LANGE

Sunda i Upasunda

*(Fragment z Mahabharaty *)*

I

Był potężny niegdyś Asur, [1]) *Hiranya-Kasipu zwan.*
Prawnuk jego był Nikumba, Daityów [2]) *ludu możny pan.*
Ten dwóch synów miał potężnych, bohaterskich, duchem groźnych.
Jeden z synów zwał się Sunda, drugi zwał się Upasunda.
Obaj jednej byli myśli i jednego zawżdy czynu;

*) Załączony urywek nie jest tłumaczony bezpośrednio z sanskrytu, lecz opracowany podług przekładu Boppa, przyczem jednak zestawiałem ciągle tłumaczenie z tekstem. Celem tej pracy jest poszukiwanie formy właściwej do przekładu rytmu Mahabharaty: wiersz jambiczny, którym spolszczyłem *Nala i Damayanti*, oraz *Savitri,* byłby w tłumaczeniu większych rozmiarów dla czytelnika zbyt nużący, a dla autora prawie niepodobny ze względu na ubóstwo rymów (i średniówek) jednozgłoskowych w języku polskim. Próbowałem przeto form różnych—jako to: wiersza trocheicznego o 16 sylabach, rymowanego i nierymowanego; heksametru; 10-zgłoskowego wiersza białego, jaki mamy w rapsodach serbskich; 10-zgłoskowego wiersza daktylochoreicznego i t. d.—W niniejszej próbie wiersz jest trocheiczny, naprzemian biały i rymowany. Jest to jeden z najsławniejszych urywków Mahabharaty: wyjęty z księgi I, podksięgi XVI, p. t. *Ardżunavasa* t. j. wygnanie Ardżuny. Tu z jednej strony przedstawiona jest niszcząca potęga namiętności; z drugiej—nieugięta moc ascezy. Bez względu na to, czy w złym czy w dobrym celu uprawiana: w każdym razie asceza cel swój osiąga—i nawet bogów przeraża tak, iż przed surową pokutą duchów złych — muszą ustąpić i wymagania ich spełnić.

Nierozłączni z sobą nigdy — zło i dobro dzielą społem.
Razem jedli, razem pili, razem spali, wędrowali.
Wolę zasię swą nawzajem temu ten wypełnia w lot:
Jednej myśli, uczuć, pragnień — jakby obaj byli jednem.

Tak ci rosły bohatery, aż rzecz jedną postanowią.
Postanowią w krzepkim duchu, aby zdobyć troje nieba.
Więc ofiary odprawiwszy, do Windyjskich [3]) *ruszą gór —*
I pokuty co najsroższe uprawiali długi czas —
W głodzie żyli i w pragnieniu, nieczesani, w szatach z łyka:
Duchem zmysły swe ujarzmią, wiatrem jeno karmiąc żywot.
Ciało własne zdając mękom, stali długi czas na palcach,
Z wyciągniętem wzwyż ramieniem, nie ruszając nigdy okiem.
Aż pokuty ich wszechmocą przerażona — przepalona —
Jęła dymić góra Windya: patrzeć na to — istny dziw!

Widząc groźne te pokuty — przestraszyli się bogowie:
Aby złamać tę ascezę — wszelkich środków poszukują.
Kuszą braci czarem złota, czarem ciał kobiecych woni,
Lecz ci wierni swym zamiarom, nie przerwali swej pokuty.
Znów ułudy niezwyczajne stworzą bogi tym ascetom:
Siostry, matki, lube żony — ukazują się im wciąż —
Przerażone — a ścigane przez okrutnych wielkoludów,
W przerażeniu wołające: — Hej, pomocy! hej, pomocy!
Lecz ci wierni swym zamiarom, nie przerwali swej pokuty!
Że ich czary nie poruszą, że ich troski nie zachwieją —
Przeto znikły te niewiasty i to całe złudowisko.
W końcu święty Ojciec bytu [4]) *do Asurów się przybliży,*
By im wielkie nadać łaski dłonią swą błogosławiącą.

Tedy Sunda-Upasunda, bracia duchem przepotężni,
Gdy zobaczą Ojca bytu — na krzyż złożą swoje ręce.
I tak Bramie, co zestąpił, pełnym siły rzekną głosem:
— Jeśliś, Panie, zadowolon tą pokutą naszą wielką,
Żeśmy prawdę i ułudę rozpoznali, ojcze, wskroś;
Że zdobyliśmy potęgę: wolą tworząc samych siebie, —
Tedy, Panie, łaskę czyń! daj nam żywą nieśmiertelność.
— Wszelką łaskę nadam wam, jedno krom nieśmiertelności.
Wybierajcie inny dar, równy zaś nieśmiertelności.
Panowania-ście pragnęli — taka waszej myśl pokuty —
Przeto właśnie wam nie będzie dana żywa nieśmiertelność.
Aby zdobyć niebios troje — taka waszej myśl pokuty:
Przeto, syny Dityowe, wola wasza się nie spełni.

Na to rzecze Sunda-Upasunda:

Co w trzech światach się znajduje — ile istot w nich się mieści —
Nieruchomych czy ruchomych — niechaj nic nas nie zwycięży!
Niechaj nic nas nie przeważy — tylko gdyby nadszedł dzień —
Że będziemy walczyć z sobą — jeden niech drugiego złamie.
Tylko wzajem sami siebie byśmy mogli przezwyciężyć,
Zresztą żaden inny twór — taką łaskę daj nam, Ojcze!

Brama rzecze:

— Coście rzekli — czego chcecie — iście dane będzie wam.
Ten jedyny rodzaj śmierci wam solennie przeznaczony.

Gdy Praojciec braciom obu ofiarował taki dar —
Pohamował ish ascezę i do nieba idzie stref;
Gdy zaś dar ten uzyskali bracia Sunda-Upasunda —
Których odtąd nikt na świecie nie mógł zabić—do dom ruszą.

Toż radością ich powrotu cały naród się radował.
Wonnościami włos oblęją i w kędziory go utrefią —
W barwne szaty się przystroją, a w girlandy i klejnoty.
Potem uczty jęli sprawiać ku wszelakich żądz uciesze.
— Jedzmy! kąpmy się w pachnidlach, rozkoszujmy się miłością.
Pijmy! śpiew nam niechaj dzwoni.—Tak wołano w każdym domu.
Krzyk godowy brzmi dokoła — pocałunki — rąk klaskanie —
Aż z radości wskroś pijana grzmi stolica Daityowa.
Tak Daityom, co dowoli odmieniają kształtów cień,
Upływały na igrzyskach lata — gdyby jeden dzień!

II

Gdy minęły igrzysk lata, na zdobycie Indry świata
Zgromadzili tęgie wici bracia męstwem znakomici.
Od przyjaciół pożegnani, od starostów i doradców —
Wyruszyli o północy, gdy lśnią gwiazdy strasznej mocy.
Mieli wojsko niezliczone, w obowiązku wyćwiczone,
Zbrojne w łuki, miecze, włócznie: w świat wyruszą bracia hucznie.
Toż zaklęcia—modły—męstwo — wielkie wróżą im zwycięstwo.
Na powietrze się unoszą żądne boju Daityów syny,
Latające podług woli, i w niebieskie mkną wyżyny.
Gdy poznali rzecz bogowie, więc świadomi Ojca łaski,
Wnet opuszczą troje niebios, płynąc w wyższych Rajów blaski.
Gdy zdobyli Indry sfery — tłum wytępią bohatery
Powietrzniaków—żywiołaków i rakszasów [5]) i yakszasów [6]).

Toż zwyciężą silni bracia podziemnego Węża państwo —
I nad morzem opanują Mleczhasowe [7]) mnogie plemię.
Poczem zdobyć zamierzyli obaj bracia całą ziemię.
Wić zgromadzą doborową i okrzykną takie słowo:
— Króle, mędrcy i bramini — osiągają ofiar mocą
Nieśmiertelnych istot blask i szczęśliwość ich promienną.
Że zaś ci, co czynią tak, — to Asurów wieczne wrogi,
Przeto niszczyć ich należy, podwoiwszy ducha siły.
Tak gromadą wyruszyli z Zachodniego brzegu morza —
Duchy, pełne okrucieństwa, idąc w różne świata krańce.
Kto ofiarę bogom składał, kto ofiarą rozporządzał,
Zabijali go — i dalej bohatery w strony cztery
Szły — i ogień gdzie się pali na ołtarzach czyli w chatach,
Zgaszą, zmącą, w wodę strącą groźną siłą swą niszczącą.
Gdy zaklęcia wygłaszają—pustelników duchy mocne —
Łaską Bramy przygaszone, modły nikną bezowocne —
Gdy więc modły zanikały jako groty w piasku ławy —
Pełne trwogi w swej ascezie precz uchodzą mnichy święte.
Ci, co zmysłów panowanie — już zdobyli — cel pokuty —
Jako węże przed orłami uchodzili przed tą dwójcą.
W gruzach stały wciąż pustelnie — i ołtarze — i świat cały
Spustoszony — niby rażon groźną ręką boga czasu.
Gdy książęta, mędrcy znikli i kapłani rozmyślacze,
Dalej szerzą swe zniszczenie pożądliwe krwi — Asury.
Więc, przyjąwszy postać słoni—w czasie rui — z groźnym rykiem —
Szerzą w puszczach władztwo Yamy [8]), śmierć powszechną i ruinę.
Znów tygrysy — znowu lwy—znów rozwiani jako mgły —
W gruz niszczyli święte gaje, gdzie asceta bogów śni.
Bez monarchów i kapłanów, bez ksiąg świętych i ołtarzy —
Przepełniona jękiem—lękiem, bez zakupna i przedaży,
Bez festynów uroczystych — była ziemia dziś dokoła —
Bez libacyj winnych bogom i bez ślubnych godów zgoła.
Bez oraczy— bez pasterzy gród i sioło w zgliszczach leży.
Aż od kości-czaszek tłoku — cały świat był straszny oku,
I zburzony na wsze strony cały świat był straszny oku.
Słońce, księżyc, gwiazdy jasne i mieszkańcy nieb dziedziny —
W przerażeniu patrzą wielkiem na Daityów straszne czyny.
A gdy bracia zwyciężyli ziemię ogniem wytępienia:
Bogi szły do Kurukszetry [9]) i błagały wyzwolenia.

III

Zatem wszyscy bogomędrcy, riszyowie [10]) wszyscy święci —
Zatroskani byli srodze tem powszechnem wyniszczeniem.

Ci zwycięzcy czyści gniewu, władcy ducha, zmysłów pany,
Szli do zamku Prarodzica, rozżaleni świata żalem.
W otoczeniu bogomędrców, świętych riszich i braminów —
Był tam Brama, władca raju, był tam Agni [11]*, był tam Vayu* [12]*,*
Był tam Indra [13]*, Księżyc, Słońce—wiecznie w Bramy wzrok patrzące.*
Więc świadkowie opowiedzą: gwałty Sundy-Upasundy:
Jak zrobili—co zrobili, jaka złość ich oraz moc
Powiedzieli o tem wszystkiem bytu Prastworzycielowi.

Gdy zaś Brama wyrozumiał wobec sejmu bogów rzecz:
Jedno mgnienie myślał o tem, jaki bogów ma być czyn.
Śmierci wyrok wydał na nich—i zawoła Visvakarmy [14]*,*
Widząc tuż Wszechbudownika—i rozkaże taką rzecz:
— Czarującą stwórz mi pannę!—rzecze wzniosły Mahadeva [15]*.*
Rozmodlony Visvakarma, treśc pojąwszy jego słów,
Czarującą tworzy pannę: nieruchome i ruchome
W jedność łączy w niej Budownik, że patrzącym istny dziw!
Złoto, gemmy drogocenne zdobią ciało jej promienne.
Ogniem pereł i kamieni—oto posąg skrzy się—mieni —
Tak starownie jest ulana panna ta przez Budownika,
Że się przy niej wyda niczem każda światów trzech podwika.
Każda bowiem cząstka ciała — doskonała jak potrzeba,
Tak że rychło w niej rozpoznasz nieśmiertelną córę nieba.
Cudna—jako promień słońca—wielkie ognie żądz budząca —
Każdy rozum tumaniąca—każdy wzrok oślepiająca.

Więc, złożywszy w krzyż ramiona, rzecze Bramie ta stworzona:
— Jakaż, powiedz, królu, sprawa, że do bytu duch mój stawa?
— Idź—i zbudź, błogosławiona, w sercu dwóch straszliwych braci,
Płomienisty ogień żądzy—czarem cudnej swej postaci.
By na widok twój, Apsaro [16]*, na tę postać doskonałą,*
Rozdwoili się, skłócili walką z chuci rozgorzałą.
— Tak!—w ukłonach chyląc ramię, czysta nimfa rzecze Bramie—
I obeszła—w prawo—w lewo—kołem wszystek niebian chór.
Zgromadzenie jasnych bogów oraz świętych riszich zbór—
Tam odwraca ciągle oczy, gdzie Apsary wid uroczy.
Każdy wzrok był skierowany w cudną postać boskiej dziewy—
Każdy wzrok wysokich niebian, prócz jednego Mahadewy.
Gdy schodziła w dół—na ziemię—ważą sprawę bogi—święci:
— Rzecz spełniona!—tak wołają, czarem piękna jej dotknięci.
Gdy schodziła Tilottama—toż opuścił wielki Brama
Rzeszę bogów wniebowziętą—i w siedzibę swą szedł świętą.

IV

Gdy podbili świat dwaj bracia z konieczności wyzwoleni –
I trójniebo przerazili, trud swój mieli za skończony;
Bogom, yakszom i gandarwom [17], *królom, wężom i olbrzymom*
Zrabowali wszystkie skarby, wielce tem uszczęśliwieni.
Gdy nie było już nikogo, coby godzien był ich walki —
Próżni trudu, obaj ninie godowali jak bogowie.
Zażywali pieszczot, wieńców, słodkich woni, jadła w bród
I napoi płomienistych, które w sercu żarzą krew.
Tak po gajach—po dąbrowach—tak po górach a dolinach —
W czaru pełnych okolicach — żyli jako nieśmiertelni.
Raz na zboczu góry Windyi, gdzie są hale gładkorówne,
W drzew zielonych bujnym cieniu — oddawali się rozkoszy.
Miękkie łoża tam wniesiono—oraz stoły jadłem kryte:
Tam więc obaj spoczywali, otoczeni rojem niewiast.
Wtem z muzyką dźwięczną dąży ku Daityom orszak kobiet.
Pieśni głoszą wielotonne te boginie krasołonne.
Owo cudna Tilottama, sypiąc w lesie kwiaty wonne
I uwodne ornamenta, purpurową suknią spięta —
Szła, zbierając karnikary, rozkwitnione nad moczary.
Zwolna idzie na szczyt góry, gdzie siedziały te Asury.
Obaj trunkiem upojeni, obu w oczach skra się mieni.
Toż na widok Krasopani—zadrżą tak oczarowani –
Aż na łożach podskoczyli, śpieszą ku niej w jednej chwili.
Opętała dusze obie, każdy ciągnie ją ku sobie.
Prawe ramię Tilottamy rozgorzały chwyci Sunda,
Lewe ramię Tilottamy chwyci żądny Upasunda.
Ogniem żądzy swej pijani—rwą się obaj ku tej pani:
Podnieceni swą potęgą, niby wina czarą tęgą —
Tak obojgiem upojeni— wzajem na się marszczą brew —
I zakrzykną—gdy im z żądzy rozbujała huczy krew.
— Moja żona! twoja jątrew!—tak do brata woła Sunda.
— Moja żona! twoja jątrew!—tak zaryczy Upasunda.
— Nie, nie twoja! – moja, moja!—tak ich dziki szał rozdrażni.
Jej pięknością opętani – zapomnieli o przyjaźni.
Aż pochwycą ostre miecze—i brat brata wzajem siecze —
I gdy miecz się z mieczem szczepi, obaj dyszą żądzą ślepi.
— Moja—moja!—z tym okrzykiem—patrzcie—brat zabija brata,
I upadną straszne trupy—gdy ich wzajem miecz rozpłata.
I upadną krwią oblani, jako spadłe z nieb otchłani
Słońca dwa. Aż przerażony Daityów lud uchodzi srogi —
Pełny zgrozy, pełny trwogi – hen, w piekielne śpieszy progi.

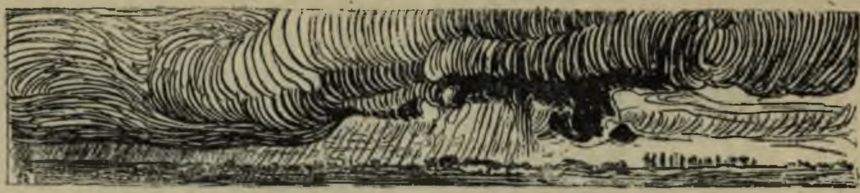
Aż ci świata Prastworzyciel, riszyowie, święci, bogi
Zeszli uczcić czarozłudą Tilottamę krasoudą:
Więc praojciec Mahadeva, by zlać na nią wielkie łaski,
Dał jej sfery promieniące czarownymi samoblaski.
I łaskawie do tej dziewy tak przemawia krasobrewej:
— Będziesz kroczyć po przestworzach, kędy słońce kroczy w zorzach
Zyskasz taki blask uroczy, że nie spojrzy ci nikt w oczy [18].
A gdy taki dar uzyszcze, cud - Apsara od Praojca —
Ów trójniebo Indrze zwrócił i do swego szedł ogrojca.



Objaśnienia:

[1]) *Asur*—znaczy niebóg, przeciwbóg, szatan. [2]) *Daitya*—druga nazwa Asurów, jako synów *Diti*—t. j. skończoności. Bogowie zowią się *Aditi* — nieskończeni. Asury czyli Daitye nie są nieśmiertelni. [3]) *Windya* - pasmo gór w Indostanie. [4]) *Ojciec bytu* — właściwie Wielki Ojciec—*Pitamaha*—Grossvater—Pradziad, Praojciec — przezwiska Brahmy. [5]) *Rakszasa* — zły duch niższego rodzaju, żyjący w lasach. [6]) *Yaksza*—duch ludziom życzliwy. [7]) *Mleczha* (właściwie *Mlczha*)—tak nazywali hindowie ludy barbarzyńskie, obcym językiem mówiące, to znaczy: Nieme, Milczące. Pierwiastek *mlcz* jest ten sam, co w słowie *milczeć*, a znaczy: bełkotać. *Mlczha*=Niemiec, Bełkotliwiec. [8]) *Yama*—bóg śmierci. [9]) *Kurukszetra*—dolina święta, na której niegdyś odbyła się wojna bogów i demonów, a w czasach późniejszych straszliwa bitwa, w której zginął cały ród Bharatydów. — [10]) *Riszi* — kapłan, święty, pustelnik najwyższego typu. [11]) *Agni*—bóg ognia. [12]) *Vayu*—bóg wiatru. [13]) *Indra*—bóg piorunów. [14]) *Visvakarma*—jest to Hefest, Wulkan indyjski. [15]) *Mahadeva*=Wielki Bóg=Brahma. [16]) *Apsara*—nimfa, rusałka. [17]) *Gandarwy*—muzykanci niebiescy. [18]) Tilottama zostaje przemienioną w gwiazdę poranną, która towarzyszy wschodzącemu słońcu.

3



TADEUSZ HERBURT

Andrzej Strug

(„Ludzie podziemni“ *).

Nad każdem społeczeństwem, nad ludzkością więc, od niepamiętnych czasów, odkąd ona istnieje, zawisła wielka tajemnica społecznych przeobrażeń. Odczytywaniem tego odwiecznego rebusu, składającego się z nadziei i proroctw, z błagań i pogróżek, zajmuje się nauka i sztuka. Właściwie cała twórczość ludzka jest w swych widomych przejawach wyrazem żelaznego losu ludzkości. Renesans włoski, zanim Marya Medycejska wyruszyła do Francyi dzielić łoże z pierwszym Burbonem, był już zapowiedzią monarchicznej wspaniałości, a owa wszechstronność artysty miała być równoznaczną z wszechgotowością, wszechposłuszeństwem poddanego. Znacznie później sekciarstwo religijno-moralne Anglii było widomym znakiem utajonej chęci poświęcenia życia już nie dla jednego człowieka i na jego skinienie, lecz dla— sprawy wyzwolenia. Widzimy, jak to sekciarstwo Kromwelowskie przeistacza się na rezonerstwo Konwentu francuskiego, ale nie przestaje wyobrażać tej samej energii utajonej, którą jest chęć wcielenia nowych zbiorowych pragnień.

Każdy z tych następujących po sobie etapów społecznych dążeń wymaga nowych ludzi, i ci nowi ludzie swym bardziej lub mniej „spodziewanym“ udziałem w dziejach, nadają epoce to, co nazywamy jej charakterem.

---

*) *Andrzej Strug: Ludzie podziemni.* Serya I. Lwów, 1908. Polskie Towarzystwo Nakładowe.

Pobieżny rzut oka na historyę typów twórczych da nam nieomylne wrażenie ich pozornej pierwotności, a przynajmniej etycznej „secesyi". Kromwell, Robespierre, Napoleon I-szy ujawnili swą gienialność przez taką obyczajową secesyę. Ten sam Napoleon, rozdawca koron, który swój tron wstawić kazał do sali burbońskiej, w swem życiu prywatnem stworzył nawet w sposobie mieszkania inne wymiary, niezbędne dla jego planów. Szereg małych pokoiczków w wielkiem Trianon z wyściełanemi ścianami, żeby kto nie podsłuchywał rozmowy, szereg jakby dla służby przeznaczonych ubikacyj, dziwi zwiedzającego, ale badaczowi przypomina namioty polowe, których płótno więcej miało do powiedzenia (Marengo, Jena), od wielu ścian pałacowych. W jednej z takich schowanek stoi krótkie łoże cesarza, a obok maleńka kołyska jego syna. Prawdziwe gniazdo orłów, nie większe od gniazda ale też stokroć groźniejsze.

Każdy bez wyjątku typ twórczy, targający losem swego społeczeństwa, ściele sobie odpowiednie gniazdo. Jeżeli Napoleon cesarz, mając przy boku rzymianina Dawida, odbiegł od zbytku burbońskiego, upierwotnił własne i swego otoczenia życie, to i najuboższy działacz społeczny, powiedzmy—zbiorowa siła tych działaczy staje wpoprzek nałogom społecznym i jedynie tą drogą na pewien czas uwagę na sobie skupia.

W swej książce, pod tytułem: „Ludzie podziemni", Andrzej Strug daje szereg postaci nowych, rzec można, własnych. To agitatorzy.

Są to ludzie postawieni przez prawomyślną logikę poza granicami murów miejskich, jak owe w dowodzeniu zbyteczne przesłanki. Poprostu nie mówi się o nich. Przynajmniej do pewnego czasu. Ale za to, rzecz dziwna, oni, tę nowe duchy, ciągle do nas i o nas mówią. Więcej czasu poświęca agitator swemu bliźniemu, niż on sam. Może w tej przewadze tkwi źródło doraźnej niechęci, tej samej, z którą przyjmujemy każdy uporczywy głos sumienia.

Człowiek podziemny Andrzeja Struga czuje się już władcą w swem państwie przyszłem. Chwilami tylko musi ten władca oglądać się i—uciekać, uciekać, uciekać! Przed kim? Zazwyczaj mówimy, że przed szpiegiem, ale jest to sąd powierzchowny, i to bardzo. Agitator musi strzedz się własnego społeczeństwa. Ni mniej, ni więcej. Gdyby tylko chodziło o szpiega, nie byłoby żadnego w tem wszystkiem posłannictwa. Jeżeli Strug artystycznie wcielił widmo pościgu społecznego

w postaci szpiega, to w rozwinięciu swych niezwykłych scen więziennych i ulicznych pomnaża tę pogoń. Od banalnego oglądania się za szpiclem agitator, nowy człowiek, dobrze przez autora poinformowany, przechodzi natychmiast do oceny całego mrowia ludzkiego, które śpi, gdy on czuwa, które bawi się, gdy on świat przetwarza, które korzysta z tak zwanej wolności, gdy on, władca, znajduje się w celi więziennej.

Oto Tański stoi na ulicy, a przejeżdżający dorożkarz „gumowy" zdzielił go batem po twarzy. Za co? Jak śmieli go uderzyć, jadąc tam, z czego kamień na kamieniu nie zostanie? Wtem o kilka wierszy niżej refleksya:

— A może i ty pojechałbyś z ochotą do domu publicznego? Co? przyznaj się, no, no, przyznajże się? — Otóż za to dostałeś po pysku. Dostałeś, to trzymaj...

Tak rozmyśla asceta polski, pogromca przeszłości, poskromiciel jutra, dawca niepokoju codziennego.

Strug jest mistrzem w uzewnętrznianiu całej pierwotności i żywiołowości siły moralnej, która agitatora różni od zjadacza chleba.

Tęskni on do ciepłego łoża w pokoiku przyjaciela, przechodzi ulicą pod jego oknem, widzi światło, ale nie wejdzie, czuje bowiem, że jest śledzony. Tej nocy prześpi się na parkanie, na deskach, na trocinach, a obudzi go żargon pluskającej deszczem rynny. Władca świata jest wszędzie, a istota niewidzialna, kto wie, czy snu potrzebuje. Dodajmy więc od siebie, czytelniku polski:

— Panie agitatorze, czy aby i ta chwila drzemki pod rynną nie była zbytkiem?

W imieniu narodu pytamy cię o to...

Na każdym kroku w opowiadaniach Struga wyczuwamy wielki sentyment, wynikający z przeżycia materyału artystycznego. Tak musiało być niezawodnie.

Andrzej Strug ma sumienie wyczulone na miarę nowych religij, ma też niemniejszą od religiantów najpierwszych, niepohamowaną chęć owładnięcia umysłami bliźnich („Nekrolog").

Znawca murów więziennych, czuje się w ich nieskończoności tak dobrze, jak matematyk („Zmora").

Te mury więzienne czuje agitator w największym gwarze ulicznym, w nieznajomym tłumie; poprostu każde stado swych bliźnich na-

ładowuje on swą myślą do tego momentu niechęci, że w danej chwili ci bliźni muszą się na niego rzucić, ukamienować, lub komuś wydać („Na stacyi").

Mimo rozbicie na kilka opowiadań, książka Struga stanowi piękną, zwartą całość. Jest to obraz pierwotnej polskiej siły, która w ekstatycznem poświęceniu oddaje całą siebie sprawie tworzenia. I gdy o północy pomyślę, że „oni" już wstają z łóżek, gdy jedząc widzę ich oczy kontrolujące moją żarłoczność, a ręce piszące coś na ścianie mego pałacu, doprawdy, doznaję warszawskiego niepokoju, który prawdopodobnie, jest zarazem wszechpolskim.



EDWARD MILEWSKI

Z cyklu: KOLIE MIŁOSNE

Jeżelim kiedy usty gorącemi
Zbyt długo gwiazdki twoich rączyn badał,
Przebacz mi, przebacz—przeto, że na ziemi
Jam innych gwieździc dotąd nie posiadał.

Jeżelim kiedy oczy stęsknionemi
Zbyt długo jasność twoich ócz spowiadał,—
Przebacz mi, przebacz — przeto, żem na ziemi
Innej jasności dotąd nie posiadał.

Chodziłem długo ścieżki ciernistemi,
Wielem przewalczył, przetęsknił, przebiadał —
Przeznałem boleść, znój i nędzę ziemi,
Lecz tylkom szczęścia, szczęścia nie posiadał.

Jeśli więc czasem czyny szalonemi
Serce twe płoszę, gdy ciszą nie władam,—
Przebacz mi, przebacz, ach, bo ja na ziemi
Pierwszy raz szczęścia szaleństwo posiadam.

Mam ja na harfie obrączkę złotą —
Z metalu serca obrączka ta;
Nieutuloną gwiazdy tęsknotą
Ona mi wiecznie na strunach drga.

Przez dni zawieję, co w mrok się plotą,
Jak niegasnąca wieczności skra,
Nieutuloną pieśni tęsknotą
Świeci mi gwiazda, pociecha ma.

Pociecho moja, gwiazdo wybrana,
Ty, coś daleko odemnie, hen,
Przed tobą natchnień schylam kolana
I pieśni miłość oddaję w len.

W zmierzchach cię witam, żegnam cię zrana,
W noc z tobą przędę bezsen i sen,
Pociecho moja, gwiazdo wybrana,
Ty, coś daleko odemnie, hen!...

W. LIS

Pan Michał Bobrzyński

„Nie granice, nie sąsiedzi, tylko nieład wewnętrzny przyprawił nas o utratę politycznego bytu“ *). Taką była kwintesencya książki puszczonej w świat przez dzisiejszego wielkorządcę Galicyi przed laty 30. I książka ta wżarła się w umysły inteligiencyi polskiej od jej prawego do lewego skrzydła. Za ewangielię narodową uznała ją i spokrewniona z Bobrzyńskim politycznie konserwa, i w zupełnym rozkładzie znajdujący się ówczesny szlachecki patryotyzm i postępowcy wszelkiego gatunku — aż do pojawiających się dopiero socyalistów włącznie. Opozycya patryotyczna przeciwko zasadom Bobrzyńskiego tyczyła się śmiesznych fachowych drobnostek, jak ten lub ów podzial dziejów Polski na okresy, jego zaś myśli przewodnie krytykowano w najlepszym razie z punktu widzenia sentymentalizmu narodowego, który, uznając pewne prawdy za słuszne i dowiedzione, wolałby jednak, by ich nie wygłaszano. Dopiero później, gdy wyrosło już całe pokolenie, zatrute stańczykowską sofistyką, zjawili się historycy, którzy w dziejach naszych czegoś innego zaczęli się doszukiwać, niż tylko stopniowego przygotowywania upadku ojczyzny. I co przytem charakterystyczne, to, że wielu ludzi oburzyłoby się szczerze, gdyby im powiedziano, że mają coś wspólnego z konserwatyzmem i ugodą, a jednak wielbili oni dzieło Bobrzyńskiego i bezwiednie kształtowali swe poglądy polityczne na modłę, przez niego urobioną.

Czy dziś jest inaczej? U wielu, ale nie u wszystkich. Żywiołowa siła rozwoju społecznego i wypadków politycznych pchnęła całe odłamy narodu na tory wręcz sprzeczne z tem, co wskazywał Bobrzyński;

---

*) *Dzieje Polski w zarysie* przez *Michała Bobrzyńskiego*, wydanie III, str. 348

niektóre grupy potrafiły stworzyć sobie nawet ideologię, odpowiednią do czynów, ale znaczna część wszelkiego rodzaju endeków, pedeków, esdeków *e tutti quanti* kroczy dalej starem łożyskiem. I śmiać się chce nieraz, gdy się czyta, skromne zresztą, ataki na Bobrzyńskiego wszystkich tych ludzi, którzy jemu właśnie zawdzięczają to, czem są dzisiaj.

Popularność swoją Bobrzyński zawdzięczał nie ogromowi wiedzy, gdyż niemniej od niego uczony był epigon starej demokracyi Szmitt oraz konserwatyści Szujski i Kalinka. Buława hetmańska dostała mu się za to, że był on zawsze konsekwentny, i że historya była dla niego przedewszystkiem orężem politycznym. Dla narodu, który, tak jak nasz, zmuszony jest wpatrywać się w przeszłość, rzeczą pierwszorzędnej wagi jest takie lub inne objaśnienie tej przeszłości. Bobrzyński to zrozumiał i potrafił z tego skorzystać.

W ciągu ostatnich 2-ch wieków istnienia państwa polskiego „ani jednego prawdziwie wielkiego i rozumnego czynu, ani jednej prawdziwie wielkiej historycznej postaci" (str. 356, tamże) nie było. A i poprzednio nie o wiele było lepiej: wiek XVI, niesłusznie zwany Złotym, przygotowuje wszystkie elementy późniejszego rozkładu, zaś wiek XV osłabił Polskę przez unię z Litwą, wkładając narodowi na barki brzemię niemożliwe do uniesienia. Były coprawda i światłe postacie, ale tych szukać należy w czasach, omal nie przedhistorycznych, wśród Mieczysławów Starych, usiłujących fałszowaniem monety zubożyć społeczeństwo i w ten sposób utrzymać samowładną władzę księcia, zniemczałych, ale „mądrych i pobożnych" Henryków Brodatych i t. p. A poza temi postaciami, z któremi trudno, by nas coś łączyło ideowo, mamy w całej naszej przeszłości tylko niedołęstwo i anarchię, oraz z żelazną konsekwencyą odbywające się przygotowywania nieodzownego upadku. Szujski niesłusznie zupełnie dopatrywał się przyczyn upadku w młodzieńczości narodu oraz jego gieograficznem położeniu; mylił się Kalinka, który doradzał Poniatowskiemu, by ten „upadł z honorem" (przedmowa do II-go wydania „Zarysu dziejów"). Upadek oświaty, moralności publicznej, poniżenie miast i ucisk wiejski—były to drugorzędne przyczyny zguby kraju, pierwszorzędną zaś była niezdolność utworzenia silnego rządu.

Taka była doktryna Bobrzyńskiego, doktryna przyjęta przez konserwatystów z pewnym oporem, gdyż obrażała ich tradycyjne wierzenia w splendor szlacheckiej Polski, zaś przez radykałów różnych od-

cieni—z entuzyazmem. I czy można dziwić się temu, że pokolenie, wyznające podobne zasady, nie było w stanie wykrzesać w sobie zapału do budowania tej, tak godnej pogardy Polski, że wychodzili zeń biurokraci austryaccy, „trzeźwi“ poznańczycy lub oburącz trzymający się cudzej poły „esdecy“?

Nie chcę przez to oczywiście powiedzieć, że Bobrzyński tworzył wszystkie te partye. Już sama ich różnorodność wskazuje, że pochodzenie ich było niejednolite. Ale dał on im sformułowanie i uzasadnienie podkładu ideowego, który łączy je wszystkie. I na tem polegała jego rola historyczna.

Bobrzyński był tem niebezpieczniejszy, że potrafił rzucać frazesami, które czyniły zadość potrzebom ideału, kryjącym się często na dnie nawet najbardziej ugodowo nastrojonej duszy polskiej: „Kto z hasłem „w imię prawdy“ spuszcza się w otchłań dziejów upadku własnego narodu, ten musi mieć poczucie, musi mieć przekonanie, że z bolesnej swej wędrówki przyniesie narodowi bezpośrednią korzyść“ — powiada on, a na innem miejscu zapewnia, że „wszystko, powiadam wszystko, możemy odzyskać.“ Szujski mówił o nim: „oto jest człowiek, który wierzy w to, co pisze; on daleko zajdzie“, i wielu ludzi myślało to samo.

Rzeczywistość pokazała, że Bobrzyński, doszedłszy do władzy, umiał ją wyzyskać wyłącznie dla potrzeb pewnej klasy — reakcyjnej magnateryi galicyjskiej. Osobnego studyum by potrzeba, iżby zobrazować działalność Bobrzyńskiego, jako kierownika galicyjskiej Rady Szkolnej. Ograniczę się tu do paru szczegółów.

Gdy wielkorządca dzisiejszy mianowany został wice-prezydentem galicyjskiej Rady Szkolnej (prezydentem — funkcya raczej honorowa — jest namiestnik), zaczął od tego, że zerwał z tradycyą R. S., która dawniej walczyła z ministerstwem o rozszerzenie zakresu swej kompetencyi. Nazywa on to w swem sprawozdaniu z 10-letnich rządów „błędem politycznym, który opóźnił rozwój szkoły,“ który „R. Szk. wykoleił z torów normalnej pracy“ (str. 32). I rzeczywiście, za jego rządów stosunki unormowały się szybko w ten sposób, że Rada Szkolna wyrzekła się wszystkich swych pretensyj i dziś wpływ jej na szkolnictwo jest następujący: na utrzymywane przeważnie kosztem kraju szkoły handlowe, przemysłowe i seminarya nauczycielskie minimalny, na szkoły średnie — ograniczony do aprobaty książek szkolnych, na szkoły ludo-

we—do mianowania i przenoszenia nauczycieli. A jak wyglądają te „autonomiczne“ podręczniki szkolne! Są one tak austryackie, tak nieliczne i stronnicze zawierają „informacye“ o Polsce, że zostałyby napewno zaaprobowane przez najzaciętszego centralistę wiedeńskiego.

Gdzie zaś rozwiniętą została energiczna działalność, to na polu tępienia wszelkiej samodzielności nauczycielskiej, wszelkiej myśli postępowej, a forytowania natomiast klerykalizmu. Oprócz wydalania jednostek opornych, korzystano hojnie z prawa przenoszenia ich za karę na miejsca źle płatne, do biednych i dzikich wiosek górskich. W ciągu 10-ciu lat zostało w ten sposób przeniesionych 1,750 nauczycieli ludowych. Jednocześnie zostali oni poddani dyskrecyonalnej władzy inspektorów powiatowych, przeważnie księży, którzy za pomocą tajnych kwalifikacyj rozporządzają ich losem.

Jeżeli przyjrzymy się szkole średniej, to znajdziemy tam nielepsze stosunki. Już fakt ciągle powtarzających się zatargów między władzą a uczniami wskazuje, że nie musi tam być dobrze, a stronice organu młodzieży „Promienia“ stwierdzają to najzupełniej. Despotyzm katechetów, wydalanie za lada błahostkę, prześladowanie samokształcenia—oto obraz szkoły p. Bobrzyńskiego.

Czy przynajmniej szkoła galicyjska zyskała na rządach Bobrzyńskiego pod względem fachowym i ilościowym? Parę cyfr da nam odpowiedź.

W roku 1901-ym, przy ustąpieniu Bobrzyńskiego, ilość szkół średnich (gimnazyów i szkół realnych) wynosiła w Galicyi *41*, z 23,259 uczniami, czyli na 1 szkołę wypadało 567 uczniów. Tymczasem przyjmując, że normalnie w jednej klasie niema być więcej uczniów, niż maximum 50, na gimnazyum klasyczne powinno wypadać chłopców 400, na szkołę realną 350, a ilość szkół musiałaby wynosić *67*. Wyżej 400-u lub 350-ciu uczniów ma szkół 28, wyżej 900 — 4, a gimnazyum rzeszowskie doszło do potwornej ilości 1,082 chłopców z 25-ciu klasami („Słowo Polskie“, 1903, N-r 479). Nauczycieli jest w tych szkołach 953, z tego 364 „nieetatowych“ czyli najmitów bez praw, których dyrektor może każdej chwili wyrzucić. Wogóle zaś od 1892 do 1901 roku liczba uczniów wzrosła o 63%, co świadczy o chęci uczenia się, ale liczba szkół tylko o 32%, nauczycieli wogóle o 41%, za to liczba „nieetatowych“ o 83%, nieegzaminowanych—aż o 100%!

Przejdźmy do szkoły ludowej. Nie będę tu powtarzał liczb, ty-

czących się analfabetyzmu, ale dość powiedzieć, że jeżeli postęp szkolnictwa ludowego będzie nadal odbywał się w tem tempie, jak za rządów Bobrzyńskiego, to analfabeci znikną w Galicyi za lat 533 („Słowo Polskie" NN-ry: 150, 160, 173). Zresztą—prawie na każdym kroku sprawozdanie wykazuje nie postęp, ale cofanie się: rośnie ilość szkół z gmachem, ale bez nauczyciela, zmniejsza się ilość urządzonych „bardzo dobrze," posiadających gmachy „bardzo dobrze." Toteż nic dziwnego, że zpomiędzy 651 uczniów, którzy zdali egzaminy w seminaryach nauczycielskich w roku 190C-ym, tylko 102 (15%) stało się nauczycielami ludowymi!

P. Bobrzyński nietylko nie zdobył „wszystkiego" na swem wysokiem stanowisku, ale rządy jego były dla szkoły polskiej w Galicyi tem, czem są rządy klerykałów w Belgii, oraz antysemitów w Wiedniu. Czem on będzie, jako Namiestnik, pokaże przyszłość. Konserwatyści galicyjscy mają ogromny talent przystosowywania się do warnnków, a Galicya dzisiejsza zupełnie już nie jest tem, czem była w roku 1890-ym. W każdym jednak razie złą nam przysługę wyrządził Siczyński, umożliwiając dojście do władzy tego klerykalnego stańczyka.

ODROWĄŻ

Z pruskiego raju

A więc już z dniem 15 maja bieżącego roku zaczyna obowiązywać paragraf kagańcowy, w obecnym układzie Ustawy o stowarzyszeniach noszący miano paragrafu 12-go. W ostatnich czasach pojawiły się bardzo znamienne rewelacye, przyczynki do dziejów „uratowania“ tego nowego środka obrony „uciśnionej niemczyzny“.

Stało się, że czarne kruki z katolickiego Centrum pozazdrościły laurów wolnomyślnym szachrajom. Centrum oponowało przeciw paragrafowi kagańcowemu — póki opozycya ta nie miała żadnych widoków powodzenia. Skoro jednak sytuacya chwilowo uległa zmianie, Centrum odsłoniło swoje właściwe oblicze.

Rzecz tak się miała. Poseł duński Hanssen postawił wniosek, aby w paragrafie 7-ym przed słowem „zebranie“ dodać „polityczne“. W myśl więc tego wniosku paragraf kagańcowy krępowałby nie wszystkie wogóle zebrania publiczne, ale jedynie zebrania polityczne. Wniosek znalazł wielu zwolenników, a rozbicie się głosów mogłoby doprowadzić do pogrzebania osławionego paragrafu. Rząd oświadczył, że wniosek Hanssena jest nie do przyjęcia i wytężył wszystkie siły, by uratować sytuacyę. Jednakże najmniej dwunastu posłów miało się oddzielić od większości rządowej, a jak wiemy, paragraf 7-y przeszedł większością tylko 21 głosów. Zależało więc wszystko od Centrum. Centrowcy oświadczyli poufnie, że przy głosowaniu nad wnioskiem Hanssena napewno wypowiedzą się za nim. Ale gdy przyszło do głosowania, żaden z Centrowców nie pamiętał o swej obietnicy...

Dowody tej „czułości“ centrowej dla Polaków mnożą się nieustannie. Miesięcznik „Hochland“ pomieścił niedawno gwałtowny artykuł centrowca, profesora Spahna. Szanowny „uczony“ za największe „niebezpieczeństwo polskie“ uważa organizacyę ekonomiczną Polaków.

Rozpisując się o celach i potędze tego ruchu — ma on jakoby obejmować wszystkie ziemie dawnej Polski — „profesor" dochodzi do wniosku, że „rząd pruski nie może na to spokojnie patrzeć"—i ogromnym głosem woła, by postępowano „jaknajenergiczniej i bez wahania". Wywłaszczenie należy przeprowadzać jaknajbezwzględniej.

Wszystko jednak, co Centrum w stosunku do Polaków popełniło i popełnia, nie przeszkodziło naszym „jedynym i prawdziwym" wzdychać miłośnie do kompromisu z tą właśnie hakatą w „katolickich" szatach. Zawarli więc narodowcy na Górnym Śląsku pakt przedwyborczy z Centrum i, oczywiście, nienajlepiej wyszli na tym targu. Centrum oddało im zaledwie trzy mandaty w okręgach: pszczyńsko-rybnickim, raciborskim i opolskim. Narodowcy zaś zobowiązali się popierać Centrum w 10-u okręgach, które wybierają 18-u posłów.

Ale „Katolik" posła Napieralskiego tryumfuje z powodu kompromisu, uważa go za zwycięstwo idei katolickiej i za wielki dorobek polityczny, oraz cieszy się nadzieją, że kompromis będzie „początkiem wielkiej pracy na Śląsku", a obie strony „będą się prześcigały w staraniu o *dobro ludu*".

A jednym z kandydatów centrowych, którego narodowcy mają popierać w imię „dobra ludu" polskiego, — jest hrabia Henckel-Donnersmarck, że już nie wymienię innych. Ale „idea katolicka" tryumfuje.

Wracam jeszcze do ustawy kagańcowej. „Berliner Tageblatt" informuje, że pierwotny projekt Ustawy o stowarzyszeniach nie zawierał żadnych ograniczeń językowych. Dopiero na żądanie wielkich przemysłowców nadreńskich ukuto ów osławiony paragraf. Baronowie węglowi, potężni wyzyskiwacze, chcieli położyć tamę uświadomieniu robotnika polskiego, przywdziali wtedy dostojne szaty patryotyzmu niemieckiego i przypuścili szturm do jednego z ministrów pruskich, którego ścisłe stosunki łączą z potentatami westfalskimi. Mógł więc później sekretarz stanu oświadczyć, że w sprawie paragrafu językowego wielcy przemysłowcy nie wywarli żadnego nacisku na kanclerza, bo też starania ich inną szły drogą.

O „sposobach" zaś, których używano, by posłów nakłonić do głosowania za paragrafem 7-ym, pisze w „Journal de Colmar" poseł alzacki Wetterle. Tych członków bloku, którzy zdradzali chwiejność i wahanie, obrabiano z niesłychaną gorliwością, póki nie ustąpili. Jeden

z kolegów posła Wetterle był zdecydowanym przeciwnikiem paragrafu 7-go. Użyto więc względem niego takich „specyalnych" środków, że po dwóch dniach steroryzowany poseł oznajmił Wetterlemu: „Niestety! jestem nietylko posłem. Mam także i ważne interesy prywatne, w których mogłyby się wywiązać wielkie trudności".

Pomijam tu wartość moralną posłów, których zdanie uzależnia się od „trudności w interesach prywatnych", chodzi jedynie o to, że dla rządu i blokowców dobre były te właśnie środki, które — naturalnie, nie wobec „polskiego niebezpieczeństwa"—kolidują z ustawą karną.

Magnaci węglowi jeszcze jednak nie nasycili się krzywdą polską. Organ ich — „Rheinisch-Westphälische Zeitung" wciąż woła na trwogę i usiłuje wzrost „niebezpieczeństwa polskiego" w tak jaskrawych odmalować kolorach, by każdy, „patryotycznie usposobiony Niemiec" nietylko uznawał za niezbędny paragraf językowy, ale też ocenił i starał się usunąć jaknajrychlej słabą tego paragrafu stronę: wolność używania języka polskiego na zebraniach w czasie wyborczym. ....„Organy policyjne są stanowczo niedostateczne... Liczba Polaków, osiadłych w okręgu przemysłowym nadreńsko-westfalskim, jest olbrzymia... Życie polityczne tej ludności jest tak intensywne, że interes ludności niemieckiej wymaga, aby zwalczać je wszelkimi środkami, jakimi tylko rozporządzamy"... i t. d., i t. d.

Wobec tego „niebezpieczeństwa polskiego", „uciśniona niemczyzna" ma do zanotowania takie tylko cyfry, według budżetu pruskiego na rok 1908 — oczywiście, oprócz olbrzymich sum, przeznaczonych dla komisyi kolonizacyjnej.

A więc. Fundusz dyspozycyjny prezesów naczelnych dla szerzenia i wzmocnienia niemczyzny w W. Księstwie Poznańskiem, Prusach Zachodnich i Wschodnich oraz w obwodzie rejencyi opolskiej na Górnym Ślązku — 2250000 mk.

Dodatki dla niższych urzędników „na kresach wschodnich" — 2000000 mk.

Dodatki na wychowanie dzieci dla wyższych urzędników — 150000 mk.

Dodatki dla urzędników pocztowych „na kresach wschodnich"— 690000 mk.

Na dokończenie zamku cesarskiego w Poznaniu 650000 mk.

Na zakupno i sprzedaż Niemcom stoków pofortecznych w Poznaniu — 800000 mk.

Osobiste odwołalne dodatki dla nauczycieli za szczególniejsze popieranie niemczyzny—1185000 mk.

Na wychowanie dzieci administratorów wiosek, należących do komisyi kolonizacyjnej,—11000 mk.

Razem: 8636000 mk.

I czyż można się dziwić, że biurokracya niemiecka na ziemiach polskich „poświęca się" z takim zapałem obronie „uciśnionej niemczyzny"?

Niestety, wobec tego, co się dzieje, społeczeństwo polskie nie uderza „w czynów stal". Do zanotowania mam dwa fakty, które nawet na usta ludzi bardzo zrównoważonych muszą wywołać jakieś nieparlamentarne „mocne" słowo.

Smutnej sławy poseł Dziembowski przekonał się bardzo dotkliwie, jako „krzyżackiego gadu nie ugłaszcze... ni prośbą ni dary", a oto pisma „narodowe" i „katolickie" ogłaszają zawiadomienie, które innego oręża każe szukać do walki z „gadem krzyżackim".

„Pielgrzymka jubileuszowa do Lourdes pod przewodnictwem duchowem ks. Patrona Wawrzyniaka, prałata z Mogilna... nadzwyczaj liczne zgłoszenia ze wszystkich dzielnic Polski... punkt zborny dla wszystkich pątników w Berlinie..."

Kiedy w potwornej kuźni prusactwa kuto zamach na ziemię i mowę polską, gdy wołano z różnych stron o wiece protestujące wówczas „wielcy" i „poważni" politycy narodowi zalecali, jak zawsze, spokój i uznawali wiece za zbyteczne. Teraz, gdy już łańcuchy gotowe, uznano nareszcie, że „wobec tych ciosów... społeczeństwo nasze ma obowiązek zebrania publicznego głosu zbiorowego (?), by otwarcie i zdecydowanie zająć stanowisko wobec nowych środków antypolskich i wytknąć sobie drogę na przyszłość". Taka jest zapowiedź wiecu w Poznaniu. Nie miejmy jednak żadnych złudzeń co do tego „zbiorowego głosu", bo oto program wiecu: 1) zagajenie; 2) wybór marszałka, jego zastępcy i ławników; 3) przemówienie dr. Wł. Mieczkowskiego; 4) przemówienie posła dr. Trzcińskiego; 5) odczytanie i przyjęcie dwóch rezolucyj; 6) zamknięcie wiecu.

A więc: „pielgrzymka do Lourdes" i „odczytanie i przyjęcie dwóch rezolucyj"...

MISERICORDIA



(a—z). W 3-cim zeszycie naszego pisma ukazał się króciutki artykuł „W drażliwej sprawie“ żydowskiej, mający jedynie na celu wywołanie dyskusyi w tej doniosłej a zaniedbanej kwestyi. Cel został osiągnięty. Kilka pism przedrukowało ten apel, wybitny publicysta p. St. Mendelson obszerniej wypowiedział się z tego powodu w zeszycie 6-ym „Witezia“, a redakcya „Myśli Niepodległej“, której ta sprawa, jak przynajmniej twierdzi, mocno leży na sercu, uczuła się nie wdzięczną za współdziałanie, ale przeciwnie—dotkniętą.

Zupełnie słusznie autor wyraził się: „Królestwo liczy półtora miliona tych *krajowych cudzoziemców*, jak ich określił Żeromski“,—użył trafnego określenia znakomitego pisarza, natomiast nie wspomniał ani słówkiem o tem, że p. Andrzej Niemojewski w czerwcu z. r. wygłosił w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa blisko dwugodzinny odczyt o żydach. Czyż to nie oburzające?

P. Andrzej Niemojewski w czerwcu zeszłego roku blisko dwie godziny w sali Muzeum P. i R. przemawiał, a „Witeź“ zachowuje się tak, jakby w czerwcu roku zeszłego nic ważnego nie zaszło. To wystarcza, by zarzucić piszącemu, że dlań „nie istnieje to wszystko, co historya (to jest: p. A. N.) na ten temat dała, a zwykłe określenie przedstawić jako „cytatę“, na którą rzekomo w charakterze *przyjaciela* autor się powołuje.

Takie figle płata historya histeryi i megalomanii p. A. Niemojewskiego, któremu się zdaje, że każde jego wystąpienie na sali jest erą, i gniewa się, gdy echo odpowiada mu: zero! A odpowiada dość trafnie, bo dzięki traktowaniu z punktu osobistej ambicyjki wszystkiego i wszystkich, nawet rzecz w założeniu dobra — w jego zazdrosnych, drżących z ustawicznej irytacyi, wyciągniętych łakomie po laury rękach, —psuje się i obraca na nice. Dzięki tym wadom, p. A. N. jaknajmniej się nadaje na jeneralnego ajenta Wolnej Myśli na Królestwo Polskie i nie może jej owocnie reprezentować, póki się sam nie wyzwoli ze szponów tych mało zaszczytnych namiętności, które zbyt często motywami osobistej natury zabagniają metody jego myślenia i działania.

Co do samego artykułu, to, prócz śmiesznie pretensyonalnego wypominania tego wszystkiego, co pismo pana N. w kwestyi żydowskiej zrobiło, sążnisty artykuł przy-

nosi niewiele nowego. Dziewięćdziesiąt dziewięć odpowiedzi na ankietę Dr. Juliusza Mosesa, to są przeważnie, jak zwykle tego rodzaju plony, kilkuwierszowe, rymem i prozą, płytkie aforyzmy na temat kwestyi żydowskiej.

Toteż na liryczną skargę: „Cóż tedy może uczynić skromna i niepozorna „Myśl Niepodległa", gdy się nic nie czyni, i gdy nawet to, co się czyniło, ulega zapomnieniu lub trwożliwemu przemilczeniu? Chyba po raz wtóry — przysporzyć materyału do myślenia" — — musimy odpowiedzieć: tylko nie ankietami, gdyż przytaczanie materyału tego, jak na 19 stron druku, przynosi bardzo mało.

Mocno pocieszającym, jako akt opamiętania się, jest wyznanie: „nie rościmy pretensyi do nieomylności. Bynajmniej nie twierdzimy, że nasze poglądy i nasze obserwacye są jedynie trafne". Mniej udatną, bo zbyt patetyczną, pełną pustej frazeologii, jest końcowa apostrofa do młodzieńców żydowskich.

Przy sposobności zwracamy uwagę czytelników na „Wolne Słowo", którego redaktor, p. Leo Belmont, z wielką znajomością rzeczy i całkowitą bezstronnością omawia sprawę żydowską.

(p. w). Jak po procesie wrzesińskim, tak i obecnie po uchwaleniu przez sejm pruski ustawy o wywłaszczeniu, słomiany zapał do bojkotowania towarów niemieckich zrobił sromotne *fiasco*. Powstały wprawdzie aż dwie instytucye, mające ów bojkot ułatwiać: biuro informacyjne o źródłach wytwórczości przy Stowarzyszeniu Techników i koło samopomocy przemysłowo-handlowej przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu. Obie jednak te instytucye są w wysokim stopniu obojętne dla tych, w których—zdawałoby się—interesie powstały. A więc biuro informacyjne o źródłach wytwórczości nie ma kogo informować, bo wytwórcy nie chcą mu nadsyłać swych adresów, a co się tyczy koła samopomocy przemysłowo-handlowej, to nazywać się ono powinno raczej kołem niemocy, tak nie wzbudza zainteresowania: wyznaczone naprz. na d. 3 maja zebranie ogólne koła nie mogło się odbyć, przybyły bowiem na nie zaledwie 4 osoby!...

Oto jak wygląda bojkot—w rzeczywistości.

(W) Po słynnym lokaucie piekarskim, który skończył się zwycięstwem przedsiebierców tylko dzięki usłużności t. zw. „polskiego związku zawodowego robotników przemysłu mącznego", dwie piekarnie przeszły w ręce robotników. 24 pracowników piekarskich udziałami 300-rublowemi spłaciło właściciela tych piekarń, p. Kropiwnickiego, i zaczęło gospodarować na własną rękę.

Cóż się okazało?

Ci robotnicy-właściciele stali się gorszymi wyzyskiwaczami od najgorszych przedsiebierców: we wszystkich piekarniach praca trwa $8^1/_2$ godzin, w piekarniach udziałowych—14; we wszystkich piekarniach robotnicy bezrobotni mają zapewnioną ilość zastępstw, w piekarniach udziałowych—nie; zorganizowani właściciele piekarń prowadzą rokowania ze związkiem zawodowym robotników i często ustępują słusznym żądaniom, piekarnie udziałowe—nie... I t. d.

Doszło do tego, że polski związek robotników przemysłu mącznego musiał na odbytem d. 26 kwietnia zebraniu zagrozić bojkotem owym świeżo upieczonym fabrykantom, o ile nie zmienią postępowania.

Czy zmienią?

(bg) „Gimnazyum 8-klasowe, popierane przez *miłośników Adama Mickiewicza*". Tak ogłasza się jedna ze szkół polskich w Warszawie. Jak to się nazywa? Czem to jest? Albo brakiem inteligiencyi. Albo nadużyciem wielkiego nazwiska do celów reklamy. Albo — nadużyciem takiem z powodu braku inteligiencyi. *Quartum non datur.* W każdym przypadku nie powinna była tego uczynić — szkoła polska, mająca kierować inteligiencyą i wychowaniem publicznem młodzieży. Jakiem prawem szkoła rzeczona ogłasza, że... ma tak wiele wspólnego z Mickiewiczem, iż każdy „miłośnik" (?) Mickiewicza popiera ją lub nawet może—musi popierać?...

Co to znaczy?

(P. W.). Rok mija od chwili, kiedy na naszym rynku księgarskim zjawiły się słynne „Przygody Sherlocka Holmesa". Od tego czasu rynek ten i kolportaż uliczny przesycony jest różnemi przygodami Sherlocków Holmesów, Nicków Carterów, Nat Pinkertonów... Końca nie ma ta literatura śledcza; czytają ją wszyscy wszędzie, ale najbardziej czytają ją dzieci, które z wrodzoną ich młodocianym charakterom wrażliwością usiłują odtworzyć w życiu to, co wyczytali w książce; bawią się w ajentów i zbrodniarzy, śledzą, szpiegują; często zaś udana walka pomiędzy rzekomym mordercą a jego prześladowcą przechodzi w krwawe nawet starcia. „Być ajentem" jest to grać pierwszą rolę w tych zabawach; o ten „zaszczyt" dobijają się wszelkimi sposobami. Tak zwolna w umysłach dziecinnych zaciera się obrzydzenie do rzemiosła szpiegowskiego, rozwija się zaś uznanie dla sprytu znakomitych detektywów. A przecież od uwielbienia dla Sherlocka Holmesa jeden krok do aprobowania każdego szpiegostwa.

Czas, czas wielki wystąpić poważnie i ostro przeciwko propagandzie szpiegostwa, przeciwko apologii donosicielstwa.

(m) P. Zygmunt Balicki w „Przeglądzie Narodowym" zaniepokoił się bardzo o młodzież, czytającą *Dzieje grzechu.* Możemy go pocieszyć.

Czytelników „Egoizmu narodowego" lub „Myśli współczesnego polaka" nic zgorszyć nie zdoła, nawet zestawienie jednej z najświetniejszych kreacyj naszego piśmiennictwa z bezeceństwem brukowych świstków. O swoich więc czytelników p. Balicki może być zupełnie spokojnym. Dla innych historya podniosłej, pięknej miłości, zwalanej ręką Pochroniów, stanie się groźnym symbolem tych strasznych dziejów grzechu, którego dopuszczają się nad duszą narodu „nowocześni polacy"...

═══ *Antoni Szech.* Wyjaśnienia. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. 1908.

Rzadko o tak jaskrawe i wymowne uwidocznienie naszych stosunków, jak sprawa ks. Szecha. Istnieje w społeczeństwie polskiem jakiś rozpaczliwy brak dobrej woli, tchórzostwo myśli, nienawiść do wszystkiego, co jest nowe i żywe. Niestety, to nie „spostrzeżenie“, lecz rzecz, która od dzieciństwa do grobu ciąży nad każdą śmielszą jednostką u nas. Niema chyba kraju na świecie, gdzieby z taką zupełnie barbarzyńską zajadłością rzucano się na to, co najszlachetniejsze, najczystsze. Obelgi, potwarze, przekleństwa sypią się ohydnym śmietnikiem na głowę tych uczciwych, którzy nie chcą gnić w bezczynności, lecz ratować, podnosić kraj, wstrząsać sumieniami, tworzyć, oświecać nieprzebite mroki wiekowej, zakorzenionej w duszach ciemnoty.

Potwarze i wyzwiska, sypiące się na ks. Szecha z ust przeróżnych „wolontaryuszów nikczemności“, to znowu jedna z wielu kart zawsze tej samej u nas historyi. Ks. Szech miał tę bohaterską nieostrożność, że urodził się nieskazitelnym człowiekiem, polskim myślicielem i głęboko wierzącym chrześcianinem, który nie chce przyjmować za frazes treści wiary Chrystusowej. Kapłanem, zakonnikiem został nie dla grosza, ani apatycznie obojętnego na sprawy świata wegietowania w celi, ale dla chwały Bożej, dla szerzenia równości, braterstwa i sprawiedliwości, dla podnoszenia dusz ku zrozumieniu Boga i zasadniczej idei chrześciaństwa.

Tego przodownicy naszego wstecznictwa i klerykalizmu znieść nie mogli. „Umysły“ ich wytrysnęły błotem na tego, co odrodzić pragnie Kościół. Według nich wszelkie odrodzenie, wszelkie światło, wszelkie szersze uczucie, szersze ponad plebanię, gospodynię i obdzieranie wiernych za chrzciny i pogrzeby — to „herezya“, to coś mącącego ciche błotko słodkiego wegietowania w pierzynach polskiej „wsi wesołej“, gdzie im tak dobrze, tak zwierzęco dobrze. Tak było oddawna—tak jest i teraz. Wprawdzie minęły już czasy, kiedy nasz kler miał w posiadaniu swojem $^{1}/_{10}$ część wszystkich dymów Rzeczypospolitej, kiedy biskup krakowski posiadał 44 klucze i przeszło $^{1}/_{2}$ miliona złp. intraty, lecz i to, co zostało,—rzecz nie do pogardzenia. A nuż ludzie się ockną, nuż zrozumieją, że nie w tuczeniu księży i wymyślaniu na postęp leży treść religii? Nuż przyjdzie nowa fala „filozofii recentiorum“ i zwali szanowne gusła, tak jak to było w w. XVIII-ym, kiedy to ***dzięki usiłowaniom światłych księży***, pijarów, a potem nawet (o zgrozo!) jezuitów, przestano ludzi pławić w rzekach i palić na stosach za posądzenie o „stosunki z szatanem“, kiedy to nauka przez księży szerzona waliła przesądy takie, jak np. że wydobywanie ognia z machiny elektrycznej jest sprawą dyabelską, lub takie (wyznawane w zakonach), że kołtun, jako pochodzący z czarów, leczyć należy egzorcyzmami? (Patrz Smoleńskiego: „Przewrót umysłowy“). Może więc ks. Szech jest jednym z takich niebezpiecznych szerzycieli wiedzy, który nowożytne gusła chce obalić — jak: klepanie różańcowych pacierzy, wiara w łatwe, a bardzo dochodne miejsca cudowne i t. p.? A więc: huzia na niego!

I oto ten szlachetny, samotny człowiek tłumaczyć się musi przed zgrają analfabetów myślowych i kastratów uczciwości, że myśl jego od herezyi jest daleka... oto

wydaje swoje „Wyjaśnienia", tchnące duchem najwznioślej, najprawdziwiej pojętej idei Chrystusowej, tej samej, co była osnową duszy Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego...

„Zdawałoby się—pisze ks. Szech—że aby ludzkość zjednać (wobec tego, iż coraz bardziej oddala się od Kościoła), tę ludzkość, co żyje i w przyszłość dąży"—„Potrzeba, według rady Chrystusa, ze skarbu wydobyć rzeczy nowe".

„Potrzeba, by ludzkość w religii ujrzała dźwignię czynu—potęgę, co krzepi—co opuszczone dłonie do pracy podnosi, co serca skarlałe rozszerza i spiżowy wdziewa na nie hart i co pragnienia wielkie w dusze wlewa i w bohaterów przemienia ludzi"—

„Więc zamiast główny nacisk kłaść na dogmatyczne formuły—co nie wyjaśniają nic, a wiarę utrudniają tak bardzo i czynią z niej jakiś suchy system naukowy — jakąś anatomię czy chemię Boga—zamiast być źródłem tego życia, co prawdziwem jest życiem"—

„Nacisk położyć główny na religię, jako dźwignię moralną".

Dalej wspomina ten bohaterski człowiek, iż „w literaturze pierwotnej, chrześciańskiej, niema prawie śladu, by zadawano sobie pytanie, jak się godzi stan niewolnictwa z zasadami Chrystusa".

Dziś zaś trzeba „Chrystusową moralną ideę przenieść z jednostki na społeczeństwo całe, na ludy i klasy", „sprawiedliwości żądać nietylko w stosunku człowieka do człowieka — Ale w stosunkach warstw—narodów".

Trzeba „Miłość podnosić nietylko jako cnotę jednostki" — „Ale miłość postawić jako rozstrzygnięcie wszystkich zagadnień świata—jako tajemnicę, co decyduje o szczęściu jednostek—narodów—społeczeństw—ludzkości".

„To wszystko *jest* w religii — tylko wydobyć to trzeba z jej skarbów i zapalić to, jakby sto słońc nad ludzkością".

„I językiem przemówić innym — nie tym, co w średniowiecznych przemawiano szkołach".—„Bo on dziś brzmi, jak język umarłych".

„Ale językiem takim, który ludzie dziś pojmą—i co serca *dzisiejsze* poruszy".

Musiałbym całą książkę Szecha przepisać, by wykazać wszystkie zawarte w niej myśli. Tego odradzającego ducha niepodobna zamknąć w kilku wierszach sprawozdania.

Ale to zaznaczyć trzeba koniecznie, że świeże powietrze, które wnosi do Kościoła Szech, że szlachetny, humanitarny, a przytem głęboko chrześciański duch, jakim tchną jego słowa, jest czynnikiem dla chłopa polskiego zbawiennym, dla chłopa, karmionego dotychczas zabobonem i nienawiścią ku wszelkiej idei nowej, wszelkiemu postępowi—zamiast wiarą, miłością i sprawiedliwością.

Gdybyż poszedł za Szechem kler polski, gdybyż zechciał zrozumieć moralne, uczuciowe, umysłowe znaczenie systemu nauczania, wpajania pojęć religijnych przez Szecha! Gdybyż ocenił cały ogrom różnicy pomiędzy jego metodą, a dawnym, ciemnym systemem kościelnym barbarzyńców, ludzi, których do kruchty pcha tak często chęć zarobku, a nie wiara! Gdybyż ten kler polski chciał zrozumieć głębokie społeczne znaczenie takiego odrodzenia Kościoła!

Niestety, jak sądzę z pisemek „prawomyślno"-katolickich—wątpliwe to rzeczy. Wolą ci fałszywi „katolicy" plwać na to, co nowe i szlachetne, niż uderzyć się w pier-

si. Tylko niech nie zapominają wierszy *biskupa Krasickiego* o Pawle, który

trzech mszy słuchał,
Zmówił cztery różańce, na gromnicę dmuchał,
Wpisał się w bractwa wszystkie, dwie godziny klęczał,
Krzywił się, szeptał, mrugał, i wzdychał i jęczał...

Albowiem taką przestrogę daje Pawłowi owemu biskup Krasicki:

Krzyw się, mrugaj, bij czołem, klęcz, szeptaj i dmuchaj,
Zmów różańców bez liku, bez liku mszy słuchaj,
Jeżeliś zdrajca, obłudnik, darmo kunsztu szukasz,
Możesz ludzi omamić — Boga nie oszukasz...

Jan Kleczyński

═══ *Helena Orsza.* Z dziejów narodu. Wypisy z źródeł i streszczenia z opracowań historycznych. Tom 1-y. Wydanie M. Arcta w Warszawie. 1908.

Wśród licznych wydanych już studyów, zarysów i podręczników z dziedziny hirtoryi Polski, wypisy pani Orszy wyróżniają się oryginalnością układu i wyraźnym celem pedagogicznym: dostarczenia uczniowi materyału historycznego w postaci odpisów z najlepszych monografij, w streszczaniu dzieł innych autorów i udostępnieniu wiarogodnych źródeł. Zgodnie z zapowiedzią, p. Orsza wzięła stanowczy rozbrat z przestarzałą rutyną nauczania dziejów narodu opisami „bojów i uroczystości, życia królów i uczt magnackich", z ogłupiającem nauczaniem chronologicznych dat i głośniejszych wydarzeń; wysunęła zaś na plan pierwszy dzieje społeczne, prądy duchowe i stosunki polityczne — słowem — *życie narodu*, ożywiając tym sposobem zapomnianą przeszłość, budząc ciekawość jej poznania i ucząc tego, co było gienezą i przyczyną naszego rozwoju i siły, a nie ich skutkiem lub dowodem.

„Z dziejów narodu" p. Orszy nie jest podręcznikiem historyi Polski do użytku początkującego ucznia. Jest to dzieło pomocnicze, w którem uczeń najwyższych klas gimnazyalnych, jak chce tego autorka, mając prawdopodobnie na myśli szkoły galicyjskie, — a nawet niejeden dzisiejszy nauczyciel w Królestwie Polskiem znajdzie wiele nowych dla siebie systematycznie i bez cienia stronności zgromadzonych i zestawionych w całość odpisów i streszczeń dokumentów wiarogodnych, które zmuszą go do samodzielnej pracy, do myślenia historycznego, poznania ducha czasu i jego dążeń, bez narzucenia mu postronnych sympatyj i zapatrywań. Autorka ani na chwilę nie pozwala sobie kierować się osobistymi względami: w kwestyach, które dziś jeszcze stanowią przedmiot sporów uczonych, zestawia różnobrzmiące dokumenty, nakazując czytelnikowi samodzielne rozwiązanie sprawy, ewentualnie — wyrobienie sobie pojęcia o istocie rzeczy i sporu.

Wydany dotychczas tom pierwszy „Z dziejów narodu", pomimo 470 dużych stron tekstu i licznych ilustracyj, obejmuje dzieje narodu do czasów jagiellońskich. Jest to już oczywisty dowód niespotykanego dotychczas w naszej literaturze historycznej bogactwa materyału. Tom ten poza stosunkami politycznymi z czasów wszechwładzy książęcej, które w dotychczasowych dziełach i podręcznikach były już częściowo omawiane, zawiera niezmiernie ważny i bogaty rozdział (IV) „Z czasów tworzenia się stanów". Duchowieństwo, szlachta, rycerze, wieśniacy, mieszczaństwo i żydzi mają poświęcone sobie wyczerpujące i niezbędne wiadomości o powstawaniu i formowaniu się tych stanów, o ich prawach, przywilejach i wzajemnych walkach

i zabiegach, rozwoju i ucisku. Cenne są również podrozdziały, poświęcone tak mało znanym jeszcze: organizacyi państwowej i prawu polskiemu, które, poznane przynajmniej w główniejszych zarysach, zrozumialej tłumaczą nam dalszą formacyę prawno-państwową narodu.

Zabytki kultury, z trudem i mozołem rozpoznawane w śladach zamierzchłej prahistoryi, — uwzględnione w początku dzieła—i nabierająca rodzimych cech sztuka polska i zachodnie na nią wpływy, szczegóły z zarania literatury narodowej i szkolnictwa—w końcu dzieła—zamykają obfitą treść tomu pierwszego „Z dziejów narodu".

Pani Helena Orsza, wydając swą pracę, dała nam dzieło może z pewnymi drobnymi „brakami", jak je sama nazywa, natomiast z wielką znajomością wymogów pedagogicznych i niemniejszem zrozumieniem potrzeb szkolnictwa chwili obecnej.

Stefan Wężyk

Edward Słoński: Bezimieńce. Opowiadania dzisiejsze. – Warszawa, str. 175.

Z gór, gdzie dźwigali strasznych krzyżów brzemię,
Widzieli zdala obiecaną ziemię,
Widzieli światło niebieskich promieni,
A sami do tych nie wejdą przestrzeni,
Do godów życia nigdy nie zasiędą
I nawet może – zapomnieni będą!

Z. Krasiński: „Ostatni".

O tych, którzy „nawet może zapomnieni będą", mówi nam w swych „Opowiadaniach dzisiejszych" autor, a mówi „prosto a z krzykiem", jak o rzeczach wielkich mówić należy.

Niema w jego słowach fałszywego sentymentalizmu, niema również taniego patosu, o co tak łatwo w utworach aktualnych, obrazujących chwile niedawno minione, chwile jaskrawe w kolorycie, pełne barw krzyczących i rzucających się w oczy kontrastów; jest natomiast szczere a rzęwne uczucie, schylające się miłośnie nad otchłanią nędz ludzkich i jest wielka rzeźkość duchowa, będąca wynikiem głęboko tkwiącej w duszy wiary w ostateczne zwycięstwo dobra nad złem — Ormuzda nad Arymanem.

Rzewność i rozlewna a szczera uczuciowość są, zdaje się, zasadniczymi motywami duchowej organizacyi twórcy. W opowiadaniach większych, gdzie trzeba plastycznie a konsekwentnie przedstawić charakter człowieka—siły autora zawodzą jeszcze: główne linie rysunku plączą się, skutkiem czego dana postać niedość wypukle uzmysławia się w oczach czytelnika, a w psychologii jej zdarzają się nagłe, zbyt mało umotywowane skoki („Pan Marcin"). Jest to, być może, wynik braku wprawy technicznej w tym rodzaju twórczości, a zarazem skutek pośpiechu w tworzeniu, zwłaszcza, że i pewne zaniedbania w stylu (zbyt częste np. używanie zaimku „jakiś") zdaje się świadczyć o tem. Tam natomiast, gdzie autor ogranicza się przedstawieniem jednego momentu uczuciowego, a więc w obrazkach mniejszych, z pod pióra jego wychodzą rzeczy skończone, w istocie piękne: świadczą o tem takie opowiadania, jak: „Strzał", „Pajac", „Drewniany człowiek", a przedewszystkiem „Hania", jedna z najsilniej odczutych rzeczy w spółczesnej nowelistyce polskiej. Liryk z istoty swego talentu—autor głęboko wczuwa się w duszę dziecka, co stanowi bardzo rzadki i cenny przymiot

w naszej, tak ubogiej pod tym względem, literaturze; z wyjątkiem bowiem Bolesława Prusa, nikt nie sięgnął u nas głębiej w duszę dziecka, i ta sfera twórczości leży dotychczas odłogiem. Należy zatem otaczać uznaniem każdy wysiłek twórczy w tę skierowany stronę.

Książka p. Słońskiego jest wytworem istotnego talentu i jasnej a szlachetnej duszy. Jest, prócz tego, cennym upominkiem dla tych, którzy osobiście przeżyli te niezapomniane chwile, kiedy to nawet „papierowa twarz pajaca przestała się nagle śmiać i okryła się krwawym grymasem", a w duszach „drewnianych ludzi" zapalały się iskry bohaterstwa.

A. Lemiesz

KSIĄŻKI NADESŁANE

Iza Moszczeńska: O WYCHOWANIU RELIGIJNEM. Nakładem „Panteonu" (odbitka z pierwszego N-ru). Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i Sp. Warszawa. Marszałkowska 143. (str. 20).

Tytus Filipowicz: POLSKA I AUTONOMIA. Nakładem Wydawnictwa dzieł społeczno-politycznych „Życie". Tom XII. Kraków, Szlak, 6. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i Sp. w Warszawie. 1908 (str. 68).

Leonidas Andrejew: JUDASZ ISKARYOTA I INNI. Przełożył z upoważnienia autora *Leo Belmont*. Warszawa. Nakład księgarni Powszechnej (Marszałkowska 139). 1908 (str. 101).

Jerzy Strumiński: Z ETAPU. Notatki z czasów pierwszej Dumy. Kraków. Skład główny u Gebethnera i Sp. 1907 (str. 65).

Kaz. Przerwa-Tetmajer: NA SKALNEM PODHALU. IV. *Nakładem autora*. Skład główny w księgarni Himmelblaua w Krakowie (str. 234).

Marceli Prévost: PROFESOR MOLOCH (odbitka z „Czasu"). Kraków. G. Gebethner i Sp. 1907 (str. 299).

Zygmunt Kramsztyk: BOHATEROWIE PANA TADEUSZA. II. SOPLICOWIE. Warszawa. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i Sp. (str. 210).

Jrn Rundbaken: ŚLADEM ROSYNANTA. Poemat dramatyczny. Napisał... Nakład Redakcyi „Chimery". Warszawa (str. 90).

Paulina Kuczalska-Reinschmit: SIOSTRY — sztuka psychologiczna. Warszawa. Nakład Redakcyi „Steru". Skład główny w Administracyi (ul. Boduena, 2). 1908 (str. 69).

Biblioteka Równouprawnienia Kobiet:

Marya Dulębianka: POLITYCZNE STANOWISKO KOBIETY. Warszawa. Skład główny w Administracyi „Steru" (Boduena, 2). 1908 (str. 18).

A. Leśniewska: NOWA DZIEDZINA PRACY KOBIET w związku z reformą zawodu farmaceutycznego Warszawa. Skład główny w Administracyi „Steru" (Boduena, 2). 1908 (str. 12).

Bohowityn: CZARNEMI CZCIONKAMI... Kraków. Gebethner i Sp. 1908 (str. 151).

Bohowityn: Z GRUZÓW. Powieść. Warszawa. Nakładem księgarni E. Wende i Sp. (str. 171).

W. Rostworowski: PSALMY DNIA DZISIEJSZEGO. Nakł. Księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie. Warszawa. E. Wende i Sp. (str. 58).

Marya Rodziewiczówna: BYLI I BĘDĄ. Powieść z niedawnej przeszłości. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 1908 (str.323).

Maurice Leblanc: ARSENIUSZ LUPIN, wytworny-włamywacz. Przekład *J. P.* Tom I. Warszawa. 1908. *N. 534 Biblioteki Dzieł Wyborowych* (str. 135).

Teodor Dostojewski: BIESY. Tłumaczył *T. K.* Część II. Warszawa. 1908. *N. 535 Biblioteki Dzieł Wyborowych* (str. 143).

Redaktor i wydawca: H. St. Pytliński Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa



WITEŹ

ROCZNIK I ≡ ZESZYT 9
Warszawa, 1 czerwca 1908 r.

JERZY HUZARSKI

O nacyonalizmie żydowskim

Wobec bankructwa sielankowych rojeń o gienialnej asymilacyi mas żydowskich postępowa publicystyka nasza pogrążyła się w otchłani bezbrzeżnego pesymizmu, wyrzekając się raz nazawsze nadziei rozwiązania gordyjskiego węzła zwanego kwestyą żydowską.

Z wyżyn dziennikarskiego Olimpu posypały się liczne gromy na żydów, na żydowski nacyonalizm, fanatyzm, ciemnotę. Nikt nie starał się poznać prądów, nurtujących w łonie współczesnego żydowstwa; ograniczono się do naiwnych utyskiwań na społeczeństwo żydowskie, jakgdyby papierowe gromy były w stanie usunąć pewne niepożądane zjawisko społeczne.

Obawiamy się, że optymistyczny głos nasz wyda się może dysonansem wśród zgodnego chóru głosów pesymistycznych, lecz pomimo tego nie zawahamy się powiedzieć, że obecny pesymizm jest również przesadny i nieuzasadniony, jak dotychczasowy optymizm. Kwestya żydowska nie jest u nas bynajmniej nierozwiązalnym gordyjskim węzłem, ani żydowski nacyonalizm groźnem widmem. Przeciwnie—w obecnem swem stadyum żydowski nacyonalizm i separatyzm wydaje się nam

raczej stanem przejściowym, nieuniknionym etapem na drodze do duchowej emancypacyi mas żydowskich.

Ażeby uzasadnić ten pozorny paradoks, postaramy się wniknąć w istotę współczesnego separatyzmu żydowskiego, zbadać jego gienezę, psychikę i historyę.

Historya żydowskiego nacyonalizmu niewątpliwie znana jest ogółowi najlepiej. Każdy wie, że nacyonalizm ten jest tak dawny, jak dawne są prześladowania żydów. Każdy wie, że hartował się on w ogniu płonących stosów, że utrwalały go niezliczone banicyjne edykty, że starannie pielęgnowano go zzewnątrz, obficie zroszono żydowską krwią, aż wreszcie wyrósł on i wybujał do przepotężnych rozmiarów.

Lecz separatyzm, który wyrósł na tym gruncie, był separatyzmem biernym; polegał on głównie na tem, że żydzi odosobnili się, zamknęli w ghettach, żyjąc nadzieją powrotu do Ziemi Obiecanej, krzepiąc się wiarą w swe szczytne posłannictwo, widząc jedyny ratunek i ucieczkę w ciasnym fanatyzmie i przywiązaniu do zakrzepłych form. Od prześladowców swych, ich kultury żydzi odgrodzili się nieprzebytym murem własnej suchotniczej kultury, wytworzyli własne życie duchowe, darząc obcych i wszystko, co od nich pochodziło, głęboką pogardą. Treść duchowego życia żydów stanowiła wiara w wyłączną doskonałość ustanowionych przez Talmud obyczajów, w niewątpliwą słuszność i świętość Szulchan-Aruch [1]), w niezgłębioną mądrość Zoharu [2]), wreszcie mistyczne przekonanie, że ich cierpienia na tym padole płaczu mają jakiś tajemniczy, zaświatowy cel.

Ta forma separatyzmu, to powolne pleśnienie żydów nie raziło nikogo. Do tego stanu rzeczy przyzwyczajono się chociażby dlatego, że trwał on od wieków. A kiedy wreszcie słabe promyki światła poczęły nieśmiało przenikać i do ghetta, kiedy poszczególne jednostki zaczęły odrywać się od masy, zbliżać do otaczającego społeczeństwa, przejmować jego mowę, obyczaje — uwierzono, że ghetto już się rozpada.

Niestety tryumf był przedwczesny i wkrótce nastąpiło bolesne

---

[1]) Rabiniczny kodeks ułożony w XV-ym w. przez rabina Caro.

[2]) Podstawowa księga Kabały przypisywana Mojżeszowi de Leone z Kastylii w XIII-ym w.

rozczarowanie. Okazało się, że to, co powstało w ciągu wieków, nie może zniknąć w ciągu lat kilku. Mur tak gorliwie wznoszony w ciągu stuleci, nadomiar spajany najtrwalszym cementem — krwią, ostał się nowym tchnieniom. Asymilacya posuwała się wprost żółwim krokiem, nie była nigdy procesem zbiorowym, lecz zjawiskiem sporadycznem. A powolność procesu asymilacyi wraz z bankructwem dotychczasowego światopoglądu mas żydowskich z istoty rzeczy wywołać musiała powstanie żydowskiego nacyonalizmu w jego współczesnej formie.

To bankructwo dotychczasowego światopoglądu wyda się może niejednemu problematycznem, ale dla każdego znającego bliżej masy żydowskie nie ulega wątpliwości, że w wewnętrznem życiu żydowstwa nastąpił potężny przełom.

Doniedawna jeszcze masy żydowskie godziły się ze swem położeniem pozbawionych praw i wzgardzonych „krajowych cudzoziemców". Tkwiły one bowiem duszą nie w doczesnem, lecz przyszłem życiu, żyły nie teraźniejszością, lecz nadzieją lepszego jutra — w Obiecanej Ziemi lub na tamtym świecie; pogarda i prześladowania były dla nich dopustem bożym, który znosiły z podziwu godnym stoicyzmem. Być może zresztą, że masy żydowskie niezupełnie jasno zdawały sobie sprawę ze swego poniżenia, przyzwyczajone doń od wieków. Ale w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat fanatyczna i mistyczna wiara zaczęła powoli słabnąć; tchnienie sceptycyzmu powiało nad ghettem, wdzenikając coraz głębiej, wzruszające coraz silniej zbutwiałym gmachem dawnych wierzeń, owiewając coraz szersze masy. Niemało zdziałało w tym względzie równouprawnienie żydów na zachodzie, które tutejszym żydom otwarło nowe a pociągające horyzonty. Z drugiej strony kuszący obraz życia zewnętrznego, którego ściśnieni w ghetto żydzi nie znali bliżej, lecz które widzieli i odczuwali, że jest ono inne, lepsze, przejmował pewną odrazą do własnego bytu; wreszcie coraz częstsze przykłady „apikojresów" [1]), którym działo się nienajgorzej, — wszystkie te warunki rozbudziły uśpioną godność żydów, uświadomiły im stan poniżenia, w którym żyją. Wszystko, co było w żydowstwie silniejszego i czynnego, a w pierwszym rzędzie młodzież—pojęła, że dalej tak

[1]) Odszczepieńcy; w danym wypadku asymilowani żydzi.

być nie może, że należy wytworzyć inne warunki bytu, zmienić *własne* lub *otaczające* życie.

Gdyby w swoim czasie do mas tych wyciągnięto rękę, niewątpliwie poszłyby one po racyonalnej drodze — pomyślałyby o tem, aby zmienić *własne* życie, aby z „krajowych cudzoziemców" przeistoczyć się w najzupełniejszych krajowców. Ale nikt nie wyciągnął do nich ręki, a pozostawione samemu sobie młode pokolenie żydowskie nie było w stanie usunąć pierwiastków, które tkwiły w jego duszy, nie mogło wyplenić z siebie uczucia, które wyhodowało w niem otoczenie, — pogardy, niechęci i niedowierzania względem „goimów". Z jednej więc strony młode pokolenie żydów oderwało się od tradycyjnego żydowstwa, z drugiej — otaczające społeczeństwo nie przyciągało go niczem, pozostawało dlań obcem a nawet nienawistnem.

Obecne pokolenie żydowskie nie oczekuje już Mesyasza, który wybawi Izraela z niewoli, ale nie spodziewa się też zmiany położenia przez wyrzeczenie się nabytych w ciągu wieków cech i obyczajów, tembardziej, że wskutek braku kultury cechy te uważa za najzupełniej normalne. Chce ono więc *otaczające* życie nagiąć do siebie i domaga się praw właśnie, jako dla „krajowych cudzoziemców". Chlubę znajduje ono w tem, co przez światlejszy odłam żydów oraz społeczeństwo rdzenne było i jest uważane za smutną spuściznę wieków, za ohydne piętno, objaw ciemnoty. Wstrętną gwarę niemiecką podniesiono do godności „narodowego języka" i zażądano dlań prawa obywatelstwa; kahały—ową pozostałość dawnego ghetta—uznano za „organizacyę żydowskiego samorządu narodowego"; zażądano własnego przedstawicielstwa, żydowskiego sejmu, żydowskiego szkolnictwa, żydowskich urzędów.

Oto psychologia olbrzymich szeregów nacyonalistycznej armii żydowskiej, tej, która masowo zapisuje się pod sztandary socyal-syonistów, Bundu, dubnowistów i innych separatystycznych partyj żydowskich wszelkich nazw i odcieni. Dla nas nie ulega wątpliwości, że taki stan jest przejściowem stadyum, prowadzącem bezpośrednio do duchowego wyzwolenia chałatowej masy żydowskiej z pęt fanatyzmu i ciemnoty. Najważniejsze już bowiem stało się: chałatowa masa żydowska, a raczej jej młode pokolenie zrywa z dotychczasową tradycyą i zastojem; pojmuje ono już całą bezsensowność swego dotychczasowego istnienia, pragnie wytworzyć nowe warunki bytu, bardziej przystosowane do współczesnego ustroju. Wprawdzie dziś dążenia te przybierają karykaturalną for-

mę, lecz pochodzi to jedynie stąd, że masy nie znają jeszcze właściwego kulturalnego życia. Poznanie ostatniego jest już rzeczą najbliższej przyszłości. W dążności do zmodernizowania swego kulturalnego życia młode pokolenie żydów nie będzie mogło poprzestać na próbach ucywilizowania żargonu; łaknąc cywilizacyi, a nie posiadając własnej, będzie musiało przyjąć cywilizacyę obcą — europejską.

Toteż nie wahamy się twierdzić, że obecny szalony wzrost nacyonalizmu wśród żydowskiej młodzieży jest zjawiskiem raczej dodatniem, niż ujemnem; jest impulsem, który wyprowadza żydowstwo z dotychczasowej śpiączki, wciąga w wir życia i prędzej czy później doprowadzić musi do historycznej konieczności — asymilacyi. Nie napróżno starsze pokolenie żydów ze zgrozą spogląda na odbywający się przewrót; wiedzione instynktem samozachowawczym widzi ono to, czego nie jest w stanie dostrzedz większość publicystów: że zbudzenie się do życia młodego żydowstwa jest wyrokiem zagłady na całą smutną przeszłość, ostatecznem zerwaniem ze spuścizną przodków.

Oczywiście pół-ciemne masy, których jedyną kulturalną cechę stanowi dotychczas sceptycyzm względem dawnych wierzeń, nie były w stanie opracować tak ściśle sformułowanego nacyonalistycznego programu. Nie one to wymyśliły modne hasło kulturalnej autonomii żydów. Program ten był dziełem nacyonalistycznego odłamu żydowskiej inteligiencyi, masa zaś przyjęła go z entuzyazmem, gdyż odpowiadał on jej podwójnemu pragnieniu: niezbliżania się do obcych i moralnego podniesienia przez uzyskanie praw obywateli. Psychika tych inteligientnych przywódców żydowskiego separatyzmu, twórców licznych nacyonalistycznych partyj — syonistów, Bundu, Volkspartei [1] i t. d., jest dla ogółu naszego łatwiej zrozumiała, niż psychika nieznanej masy. Podłożem jej jest gorzkie rozczarowanie, bolesne bankructwo nadziei na zbratanie z żydami społeczeństw chrześciańskich.

---

[1]) Partya utworzona przed paru laty przez znanego historyka żydowskiego Dubnowa i stąd zwana „dubnowistami“. W programie swym partya wyrzeka się Syonu, natomiast domaga się utworzenia czegoś w rodzaju żydowskiego autonomicznego państwa w strefie osiedlenia.

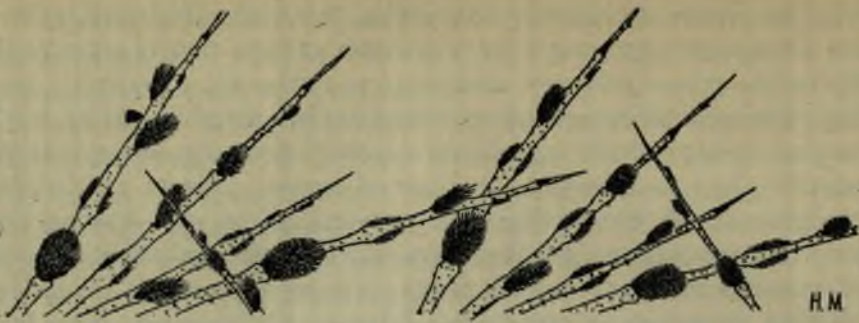
Separatyzm wśród inteligiencyi żydowskiej wytworzył się po żywiołowych pogromach w epoce 1881-go i 1882-go roku, wzmógł się zaś po zdarzeniach lat ostatnich, po rzeziach w Kiszyniowie, Homlu i t. d. W chwili, kiedy inteligiencya żydowska sądziła, że zniknięcie wyznaniowych i rasowych różnic, zanik politycznego i społecznego antysemityzmu jest rzeczą najbliższego dnia, rozszalał się niespodzianie straszliwy huragan pogromowy, po którym nastąpiły w Rosyi ograniczenia prawodawcze (t. zw. ignatiewowskie prawidła), a w Polsce wzrost społecznego i narodziny ekonomicznego antysemityzmu. Ten nieoczekiwany cios wyprowadził z równowagi żydowską inteligiencyę, natchnął ją przekonaniem, że antysemityzm jest chorobą nieuleczalną, przeciwko której zabezpieczyć żydów może tylko ucieczka. Na tem tle powstał lat temu trzydzieści ruch palestynofilski. Jego twórca, dr. Pinsker, utrzymywał, że „antysemityzm to odmiana strachu przed upiorami“ że „jako psychoza jest on zaraźliwy, jako choroba dziedziczna—nieuleczalny“, i sądził, że antysemityzm ustanie dopiero wówczas, kiedy naród-nieboszczyk odzyska utracone życie państwowe. Na tem tle przed dziesięciu łaty powstał i syonizm, który powoli przestał być syonizmem w ścisłem słowa tego znaczeniu, a stał się poprostu separatyzmem, odsuwając na dalszy plan ideę przesiedlenia do Palestyny, a na pierwszym planie stawiając zorganizowanie żydowstwa w diasporze.

Ten rodzaj separatyzmu żydowskiego wydaje nam się również mało niebezpiecznym dla sprawy duchowego wyzwolenia żydów. Siłę swą czerpie on z warunków przejściowych — pogromów i chwilowego wzmożenia antysemickich tendencyj wśród społeczeństw chrześciańskich—i tem samem już nie może być zjawiskiem długotrwałem. Przytem inteligiencya żydowska zbyt jest przesiąknięta kulturą europejską, aby mogła *à la longue* propagować nienawiść do tej kultury. Może ona chwilowo utworzyć śmieszny klub narodowy w parlamencie austryackim, składający się z trzech czy czterech członków, ale wytrwać w separatyzmie nie jest w stanie chociażby dlatego, że sama nie wierzy w możliwość odrodzenia samoistnej kultury żydowskiej. Już obecnie zresztą widzimy masową dezercyę żydowskiej inteligiencyi z pod sztandarów syonizmu.

Oświetliwszy psychologię obu odłamów żydowskiego separaty-

stycznego obozu, dochodzimy do wniosku, że stan skamieniałości, w którym dotychczas pogrążone było żydowstwo, zaczyna powoli ustępować. Wprawdzie proces duchowej emancypacyi żydów nie odbywa się według schematu ułożonego przez reformatorów dziennikarskich, gdyż masy nie mogą odrazu przejść od zupełnej ciemnoty do asymilacyi, lecz nie ulega wątpliwości, że *e pur si muove*. Jednem ze stadyów tego procesu jest właśnie żydowski nacyonalizm w jego obecnej postaci, i dlatego naszem zadaniem powinno być nie zwalczanie tego, co jest nieuniknione, lecz przyśpieszenie procesu wyzwalania się żydów z więzów ciemnoty i odosobnienia. Niestety nie w naszej mocy leży użycie najniezawodniejszego środka — powszechnego i obowiązującego nauczania początkowego, a inicyatywa prywatna nie może zastąpić przymusu szkolnego, tembardziej, że inteligiencya i burżuazya żydowska przejawia w tym względzie zadziwiającą ospałość. Toteż publicyści nasi zamiast polemizować z przeciwnikiem, który nie jest w stanie ich usłyszeć, mianowicie z ciemną chałatową masą, powinni raczej wystąpić przeciwko inercyjności inteligiencyi i burżuazyi żydowskiej.





LEON WASILEWSKI

Polityka Słowiańska a Polacy

Od dłuższego już czasu jesteśmy świadkami pewnej gry politycznej, której reżyserya jaknajstaranniej unika wszystkiego, coby ją mogło narazić na wysunięcie się z tajemniczych mroków intryg zakulisowych.

Dowiadujemy się z krótkich, pobieżnych wzmianek dziennikarskich, niebudzących żadnego echa głośniejszego, że odbyło się zebranie poufne posłów z „Koła Polskiego“ w Wiedniu, zebranie, na którem ci panowie naradzali się wspólnie z posłami czeskimi nad sprawą zjazdu wszechsłowiańskiego. O przebiegu obrad cicho w prasie polskiej. Natomiast w organie p. Suworina czytamy pochwały dla owych posłów polskich, głoszone przez dość szeroko znanego u nas „profesora“ Filewicza.

I znów spotykamy paruwierszowe wzmianki dziennikarskie o zebraniu różnego odcienia polityków rosyjskich w Petersburgu z udziałem posłów polskich, o zebraniu, na którem znowuż omawiano sprawę zjazdu wszechsłowiańskiego.

W prasie rosyjskiej, czeskiej i południowo-słowiańskiej o zjeździe tym mówi się bardzo dużo. Dzienniki czeskie, chorwackie, rusińskie (moskalofilskie) w Galicyi i słoweńskie, wciąż powracają do tego tematu, wypowiadają szczerze swe nadzieje i pożądania, związane z tym

zjazdem, tylko u nas przygotowania do owego zjazdu przybrały charakter knowań tajnych, wstydzących się światła dziennego, jakgdyby zgóry uznanych za zdrożne i bojące się zetknięcia z otwartą dyskusyą publiczną. Ma się wrażenie, jakgdyby komuś chodziło o zaskoczenie społeczeństwa znienacka dokonanym już faktem, z którym to społeczeństwo musiałoby się pogodzić jako z rzeczą, która się już nie odstanie.

Tembardziej przeto zależy na tem, aby szerszy ogół począł sobie zdawać sprawę z charakteru i celów awantury, w którą go chcą wciągnąć niepoczytalni intryganci polityczni.

Z artykułu p. A. Śliwińskiego w zesz. 6-tym „Witezia" widać dokładnie, *komu* jest nieodbicie potrzebna obecnie „polityka słowiańska", nie będę więc tej strony kwestyi poruszał. Natomiast chciałbym wykazać, że przy obecnej konfiguracyi politycznej Europy Wschodniej polityka słowiańska, prowadzona przez Polaków, jest najzupełniejszym absurdem.

Wzrost absolutyzmu pruskiego, maskowanego konstytucyonalizmem, pozbawionym wszelkiej mocy wobec bezsilności żywiołów socyalnodemokratycznych i szczerze wolnomyślnych, powoduje wzmożenie się kierunku antypolskiego w Niemczech. Potęgujący się napór hakaty urzędowej i nieurzędowej zagraża samemu już bytowi Polaków w zaborze pruskim. Skutkiem tego poczucie własnej słabości społeczeństwa polskiego w Poznańskiem rodzi tam bolesne pragnienie oglądania się za jakąś pomocą zzewnątrz. Ponieważ zaś właśni rodacy Poznańczyków z taką pomocą im przyjść nie mogą, jako nieposiadający żadnych sił militarnych, przeto oczy polityków poznańskich zwracają się w kierunku jedynego państwa militarnego, o którem sądzą, że jest dość silne, aby poskromić potęgę Prus. Poczucie własnej bezsilności wobec przewagi niemieckiej i wiara w karabiny rosyjskie — oto źródła, z ktorego płynie ów „prąd słowiański", tak silny dziś u polityków Poznańskiego i Prus Zachodnich.

Zbyteczne byłoby chyba zatrzymywać się dłużej nad całą rozpaczliwą naiwnością tego prądu. Serdeczna przyjaźń, łącząca tradycyjnie Niemcy z Rosyą, jest ufundowana na tak trwałej podstawie identyczności interesów politycznych obydwóch państw w dorzeczu Wisły, że tylko przedstawiciele ideologii dogorywającej szlachty poznańskiej mogą marzyć o wkroczeniu wojsk rosyjskich do Poznania. Zresztą, gdy-

by nawet przyjaźń rosyjsko-niemiecka została zerwaną, to i tak Rosya nic na zachodzie nie będzie mogła uczynić wobec tego, że wszystkie interesy pchają ją na wschód — bliższy, bałkański, i dalszy, wschodnio-azyatycki. Tak tedy „prąd słowiański“ w zaborze pruskim jest fatalnym błędem, opartym na mrzonkach bezmyślnych. Wskutek tego jest on podwójnie szkodliwy. Z jednej strony pozwala łudzić się społeczeństwu mrzonkami, z drugiej zaś odbiera mu chęć poszukiwania innego wyjścia z sytuacyi niezmiernie trudnej.

W zaborze pruskim polityka słowiańska — wobec nieobecności w Niemczech innych Słowian poza Polakami [1]) — może mieć tylko ten szkodliwy charakter, o jakim mówiłem wyżej. Lecz czyż w Austryi, gdzie obok Polaków prowadzą działalność polityczną Czesi, Rusini, Słoweńcy, Chorwaci i Serbowie, możliwa jest jakaś specyficznie „słowiańska“ polityka Polaków?

Polacy w zaborze austryackim stykają się bezpośrednio z Rusinami i Czechami. Bezwarunkowo, solidarność polsko-rusińska w Austryi jest postulatem koniecznym ze względu na interesy ludności, wspólnie zamieszkującej Galicyę Wschodnią, ale w obecnej fazie rozpętania nacyonalizmu wściekłego po obu stronach nie może być o tem mowy. Słowianie-Rusini marzą o wyrzuceniu Słowian-Polaków za San i otwarcie solidaryzują się ze wszystkimi gwałtami Prus, skierowanymi przeciwko ludności polskiej. Słowianie-Polacy zioną nienawiścią do Słowian-Rusinów i świeżo zainaugurowali politykę popierania największych wrogów rozwoju narodowego Rusi. Walka polsko-rusińska będzie się niewątpliwie potęgowała, antagonizm zaś narodowców rusińskich do Polaków musi pchać pierwszych do obozu niemieckiego, ponieważ położenie gieograficzne Rusinów pozwala im zupełnie spokojnie patrzeć na grożący Słowianom zachodnim zalew germański. Tak więc na gruncie galicyjskim polityka „słowiańska“ nie ma żadnych podstaw, gdyż tu panuje niepodzielnie antagonizm dwóch szczepów słowiańskich oraz brak u jednego z nich antagonizmu do Niemców, mającego być wrzekomo łącznikiem między wszystkiemi plemionami słowiańskiemi.

Zdawałoby się, że stosunek polsko-czeski da się oprzeć na pod-

---

[1]) Drobniutka garstka Serbów Łużyckich nie może naturalnie być braną w rachubę polityczną.

stawie solidarności słowiańskiej, ale jestto tylko złudzenie. Przedewszystkiem na Śląsku austryackim, gdzie polski obszar narodowościowy styka się z czeskim, o żadnej solidarności słowiańskiej niema mowy. Toczy się tam poprostu walka zacięta między posiadającemi przewagę kulturalną i polityczną Czechami, a przeważającym ich liczebnie i ustawicznie wzrastającym, dzięki stałej imigracyi z Galicyi, żywiołem polskim. Popieranie polityki czeskiej w sejmie opawskim ze strony posłów polskich (często wbrew interesom Polaków) nie może zamaskować toczącej się walki polsko-czeskiej, której terytoryum w ostatnich czasach rozszerza się i na część Moraw (okolice Morawskiej Ostrawy, Witkowic, Przywozu).

Ale jeśli porzucimy ten grunt czysto lokalnego sporu polsko-czeskiego i spojrzymy na stosunki polsko-czeskie na widowni ogólnopaństwowej, to zobaczymy, że i tam nie są one sielanką. Tak Polakom, jak i Czechom (zwłaszcza zaś Czechom) chodzi przedewszystkiem o to, aby żadna z dwóch tych „bratnich" narodowości nie osiągnęła wcześniej celu swych marzeń politycznych. Albowiem tak zupełne wyodrębnienie Galicyi, jak i realizacya czeskiego prawa państwowego wydałyby — w pierwszym wypadku Czechów, w drugim zaś Polaków — na pastwę przewagi niemieckiej w parlamencie centralnym, o ileby te ustępstwa nie zostały uzyskane jednocześnie. O tem zaś nie może być mowy, gdyż tak jedna, jak i druga zdobycz mogłaby być tylko wynikiem „zdradzenia" interesów słowiańskich przez jedną z dwóch zainteresowanych narodowości słowiańskich.

Że chęci do takiej „zdrady" nie zabrakłoby ani Polakom, ani Czechom w parlamencie wiedeńskim, o tem nikt nie wątpi, tylko że warunki ogólno-państwowe nie sprzyjają takiej „zdradzie". Stąd Czesi i Polacy muszą iść ręka w rękę w Wiedniu bynajmniej nie dla jakiejś polityki słowiańskiej, lecz z pobudek, nic wspólnego niemających z solidarnością szczepową. I jedni i drudzy doskonale radzą sobie z temi partyami niemieckiemi, których interesy są im bliskie, i tak samo występują przeciwko interesom swych słowiańskich współplemieńców, skoro tego wymagają ich własne interesy ekonomiczne lub polityczne. Fikcya solidarności słowiańskiej występuje tylko na bankietach i obchodach uroczystych, ale i tu Polacy czują się niezbyt swojsko wobec kierunku, jaki przybierają wylewy uczuć słowiańskich ich pobratymców zachodnich i południowych.

Jeśli w stosunku do Słowian austryackich (z wyjątkiem Rusinów) pewną rolę odgrywa wspólne niebezpieczeństwo niemieckie, mocno dające się odczuwać takim Słoweńcom, słabiej Czechom i Polakom śląskim, prawie zaś wcale Polakom galicyjskim, to w stosunku do Słowian południowych i węgierskich i tego nawet niema. Przecież wprost niepodobna żądać od Polaków, aby się roznamiętniali antagonizmem chorwacko- lub słoweńsko-włoskim na południu Austryi lub bardziej współczuli z ciemiężonymi przez Madziarów Słowakami, niż np. z Irlandczykami lub Ormianami tureckimi. Ani stosunki ekonomiczne lub kulturalne, ani tradycye historyczne nie wytworzyły żadnej łączności, bodaj idealnej, między Polakami a Słowiańszczyzną południową. Losy Serbii lub Czarnogórza, walki niezdecydowanych narodowościowo Słowian macedońskich i t. d. — wszystko to wzrusza nas daleko mniej od faktów z życia ludów zachodnio-europejskich, z którymi łączą nas tysiączne nici stosunków najrozmaitszych.

Podsumowując to wszystko, musimy przyjść do przekonania, że „prąd słowiański", sztucznie wprowadzany dziś do naszego życia politycznego, jest czynnikiem nam najzupełniej obcym, nic wspólnego z naszymi realnymi interesami niemającym.





BOLESŁAW LEŚMIAN

Aniołowie

Niegdyś powagą i grozą płomienni —
Stali się dzisiaj wspomnieniem i echem,
Wymysłem ptaków, obłoków uśmiechem,
Ci — niezastępni i ci — niezamienni.

Dla gnuśnych bogów są stróżami ziemi,
Dla zakochanych — wzorem lub przysięgą,
Dla dzieci — dziećmi, lecz bardziej pięknemi,
A dla poetów — przyrównań potęgą.

Dla zmarłych — lilią, wykwitłą nad pleśnie,
A dla rycerzy — bojowem żelazem,
A dla uśpionych — zaledwo snem we śnie,
A dla mnie — niczem i wszystkiem zarazem!

Zaś dla rusałek, zrodzonych wód jaśnią,
Są zaniedbaną w niebiosach współbaśnią...

* * *

Bywają ognie podobne do ciszy,
Co na przechodnia w zaroślach czatuje...
Takich się ogni nie widzi, lecz słyszy,
Nawet nie słyszy, a raczej zgaduje...

Serca im w piersi wonieją, jak róże,
Lecz im niewolno korzystać z róż mocy,
Ni czarów własnych nadużyć po nocy,
Ni łkać, ni wątpić, ni konać w lazurze!

Niewolno modlitw gałązki jedynej,
Niesionej Bogu ku czoła ozdobie,
Przyłamać stopą, — lub przyśnić się tobie
W postaci nagiej, zuchwałej dziewczyny!..

Więc próżno patrzą w słoneczność dokolną,
Bo im ni kochać, ni szaleć niewolno!

* * *

A oni właśnie najtrwalej, najdzielniej
Kochaćby mogli od nocy do świtu,
Podobni mewom w zatokach błękitu,
Tem od nich różni, że tak nieśmiertelni!

Oni to właśnie zmyśliliby krocie
Pieszczot zawiłych, nieznanych na ziemi,
I niestrudzeni byliby w pieszczocie,
I niestrudzeni, i wielcy — i niemi!

Bo dla nich tylko, zaprawdę, że dla nich
Przyjdzie ta miłość, co światy ogarnie!
Jam śledził w niebie poloty ich sarnie
I lęk błękitny w ich źrenicach łanich!

Jam słyszał nieraz, że szemrzą, jak płomień,
Skrzydłem, utkanem z tęcz i oszołomień!..

* * *

Znojni miłosnych zachceń tajemnicą,
Jednako zemdleć potrafią w pogoni
I za rycerzem, co się kocha w broni,
I za bezbronną na kwiatach dziewicą...

Zmarli i żywi, zbożni i występni,
Niezwyciężeni i ów, który ginie,
Są ich miłości zarówno dostępni,
Jak szczyty górskie i pyły w dolinie!

Nie ujdzie motyl, ni pająk, ni szerszeń
Ich oczom chciwym, gdzie miłosna baczność
Zmienia tęsknotę w bezbrzeż i cudaczność,
Skąpiąc jej wszelkich granic i zawierszeń!

Bo nie zna granic ich żądzy przewina
Prócz tej, gdzie nagłe szczęście się zaczyna!

* * *

Zawieruszeni w parowach obłocznych
I zapodziani wśród niebieskich polan,
Lubią się ruchów pozbywać widocznych,
Klękać — i włosy rozpuszczać do kolan.

Lubią się kluczem rozwłóczyć żórawim
Po sennej wzdłużni liliowych wieczorów,
Albo kagańcem zjaskrawić się pawim
I pomieszaniem umyślnych kolorów.

Oku, gdy ku nim pośpieszy i przebrnie
Świetlane oćmy, co w niebie się mrowią, —
Oni się naraz błękitnie zróżowią,
Zgasną i — spojrzyj! — zazłocą się srebrnie!

Lecz im nie dano, mimo skrzydeł trwałość,
Ponad kolorów ulecieć nieśmiałość!

* * *

I lubią jeszcze powikłaną zgrają
Spłoszyć się nagle o samej północy,
Albo udawać, że tylko udają
Uległość niebu i hołd swej niemocy...

I lubią szukać wskroś nieba opary
I nie znajdować błękitnej przyczyny
Narodzin, którym słoneczne zegary
Nie dały owej, śmiertelnej godziny!

Lubią się jeszcze nie skarżyć, nie żalić
Na kwiatów wonność, na słońca uduszność,
I na ten ogień, co nie chce ich spalić,
I na istnienia całego niesłuszność!

A potem nawznak kłaść się na niebiosy,
Splatać ramiona i rozplatać włosy.

* * *

Śni się im czasem, że ognia zagładom
Oddają ciał swych skrzydlatą wytworność,
Że przeklinają swych ramion oporność
Zmownym pieszczotom i nocnym układom!

Że łodzie, tratwy i promy powietrzne
Mkną na wyścigi wraz z nimi w zaświaty!
Że złotem żądłem wpijają się w kwiaty,
By z nich wysączyć wina niebezpieczne!

Że — upojeni i śmiertelni prawie,
Czepliwej wargi szukają wargami, —
Że się naoślep tarzają po trawie,
Ale nie sami — o! dziwnie nie sami!...

I przez sen płaczą we trwodze dziecięcej,
I we śnie wiedzą, że sen to — nic więcej!

* * *

Ocknieni ze snu — przypomnieć nie mogą
Widzeń, podobnych do ognia i róży,
Choć wiedzą o tem, że sen się powtórzy
Z tą samą różą i ogniem, i trwogą...

Wiatr im zaprzecza, do sporów niezdatnym,
Zaprzecza, wyje i szumi nad czołem,
Że róża — prochem, a ogień — popiołem,
Popiołem szarym i prochem szkarłatnym!

Więc, gdy łzą oczu rozszemrzą jeziorność
Ku ostatniemu na błękitach cieniu,
Ofiarowują całemu stworzeniu
Zaranność modlitw i skruchy wieczorność...

Ofiarowują mu wszystkie swe zorze
Prócz tej, gdy sen ich powtórzyć się może!...

* * *

Skąd oni rodem? Z czyjego kochania?
I kto takiego udzielił im chrzestu,
Że pierś ich nigdy nie jest bez śpiewania,
A skrzydła nigdy nie są bez szelestu...

I kto ich zmyślił? Kto wywiódł ich z marzeń?
I dla jakiego pod ziemią powodu,
I dla jakiego na ziemi ogrodu,
Dla jakich jeszcze na niebie wydarzeń?...

Kto pierwszy wyznał, nad czyją mogiłą
To słowo: anioł—skrzydłami objawne?
I czemu wyznał tak dziwnie, że było
Odrazu święte, odrazu pradawne?

I czemu w zgony zapatrzon słoneczne,
Tym, których niema, dał imię tak wieczne!

* * *

Niema ich nigdzie, w nijakiej ustroni, —
Ni cnót ich śpiewnych, ni żądz nieugaśnych,
Ni harf, grających pod męką ich dłoni,
Ni surm, wiecznością i miedzią hałaśnych!

Trudno snuć wiarę w tę bajkę zaklętą,
Jak trudno czasem żal rozbiałośnieżyć
W postać łabędzia z szyją, snem przygiętą!
I ja w nich nie chcę, nie mogę uwierzyć!

Ni w to, że Bogu w marzeniach się roją,
Ni w to, że skrzydłem od grzechu mię strzegą —
A jeśli śpiewam — to tylko dlatego,
By zakłopotać ich bólem pieśń moją, —

I by niewiary sromotę bezsterną
Pokrzepić pieśnią pokłonną i wierną!...



WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

XI

Im dalej posuwał się Szumski na Zachód, tem dobitniej czuł tężejące kleszcze nadzoru i wywiadu. Ze wszech stron lustrowały przejezdnych coraz doskonalej wyćwiczone oczy, coraz kunsztowniej wykształcone uszy. Musiał zatrzymać się w jednem z miast litewskich, aby dowiedzieć się szczegółów o położeniu w kraju i dostać potrzebne adresy. Nie znalazł jednak osoby, którą mu wskazano, już była „poza granicami“ dostępu... Organizacya w rumowiskach, wszędzie popłoch...

Postanowił więc jechać do rodzinnego miasta, gdzie miał resztki stosunków. Popychał go tam i nieśmiały szept serca, któremu uległ po krótkiej walce. Ogarnęła go naówczas gorączka pośpiechu i niepokoju. Cała tęsknica przebytej drogi niby ogromny głaz przywaliła mu trzepocące się piersi. Miarowe postukiwanie kół odbijało się w bezsennej głowie jak kucie złośliwych i potwornych gnomów.

...Nigdy... nigdy... nigdy.....

...Nłedługo... niedługo... niedługo.....

Śmiesznie często spoglądał na zegarek, odliczając godziny... Sia-

dał, wstawał, przechadzał się, aż nagle przychodziło mu do głowy, że wszyscy już zwrócili uwagę na jego niezwykłe zachowanie się... że sąsiad z przeciwka z za przymrużonych rudych rzęs śledzi go ołowianemi oczyma... Złowrogo spoglądał na otaczających, ściskał zęby i, oparłszy tył głowy o poduszki siedzenia, zamierał na długie godziny bez ruchu, z zamkniętemi powiekami.

Ktoś pociągnął go za rękaw. Drgnął i otworzył dziko płonące oczy.

— Co?

— Bilet!

— Czy niemożna pytać trochę grzeczniej?

Kontroler patrzał nań ze zdziwieniem i nieufnością, podczas gdy on szukał bezładnie po kieszeniach, nie mogąc pokonać drżenia rąk. Pasażerowie spoglądali na niego ciekawie, wyczekująco...

— Aha! oto jest! Włożyłem do portmonetki. Czy daleko stąd przesiadam się?

Czuł, że mówi zbyt głośno i zbyt wiele.

— Przesiada się pan dopiero na trzeciej stacyi.

— Doskonale. A bufet daleko?

— Tam też będzie miał pan bufet.

— Bardzo dobrze, dziękuję.

Otaczający interesowali się nim coraz więcej. Jakiś żydek wyjrzał z drugiego przedziału i zapytał półgłosem:

— Pan zdaleka?

— Zdaleka.

— A skąd?

Wiktor zamknął oczy i udał, że zasypia. Wewnątrz wszakże drżało w nim wszystko. Miał wrażenie, że lodowaty jakiś podmuch przeleciał tuż mimo niego. Już się więcej nie odzywał, nie ruszał. Pasażerowie szybko zmieniali się, wchodzili, wychodzili, przepływali przez wagon, jak sypki strumień piasku przez cewkę klepsydry... Coraz częściej słyszał koło siebie mowę ojczystą, wreszcie fala jej znienacka zachlusnęła pociąg i zmyła, zagłuszyła bez śladu dźwięki, wśród których żył ostatnie lata. Poczuł pod rzęsami palące łzy. Bał się oczu otworzyć, bał się ruszyć, aby się nie polały jawnie.

— Maniu... Zosiu... Stasiu... Jasiu... — oblegały go zabawne, a dlań tkliwe szczebiotania nawoływania, wykrzykniki..

Zamiast tęgich, mięsistych postaci Wschodu, otoczyły go figury drobne, o rysach delikatnych i trochę smutnych.

— Gdzie koszyk? Wzięłaś butelkę?

— Ach, Boże, niech pan nie zapomni powtórzyć mamie, o com pana prosiła...

— Ha! Jak kto może, tak orze!.. Powiadam mu, mości dobrodzieju...

— Widzi, pani dobrodziejka; myślę, że każdemu wolno obdarować innych, ale ze swojej kieszeni... Nic nie mam przeciwko takiemu komunizmowi...

— Właśnie! Ale oni rozporządzają się cudzem mieniem. W tem cała rzecz...

Rój słów... myśli... urywanych zdań... dawnych wspomnień szumiał dokoła, jak kołysanka lat dziecinnych... Pragnął wstać i powiedzieć tym ludziom: „oto jestem, wróciłem do was!"

Pragnął uścisnąć ich, spytać o tysiące szczegółów z życia, które upłynęło bez niego, i opowiedzieć im swoje przygody, bóle, udręki... Nagle w najczulszych i najweselszych momentach cudnych opowiadań wypływały przed nim niby krwawe widma, niby krótkie błyski piorunu niedawno przeżyte obrazy... Szukający go w stepie buryat... Własna jego naga figura, idąca przez słoneczny las... Krwawo oświetlona buda wioskowego stróża... Trup u drogi... Prom... Stary Wasylicz... Młoda, czysta i natchniona twarz Kieszy. Wreszcie niepostrzeżenie w jasnej, księżycowej aureoli wypłynęła i postać najdroższa i dlatego najdalej odpychana, zachowana gdzieś na samem dnie zawstydzonej duszy. Wypłynęła wśród woni kwiatów i powodzi miesięcznego blasku. Już się nie bronił... Za chwilę, za godzin kilka zobaczy ją... Już pociąg mija wzgórza znajome... Oto lasek, gdzie nieraz „toczył wagary", uciekłszy z gimnazyum... Oto cmentarz, gdzie łapał motyle, owady, i skąd raz przyniósł nawet do domu „prawdziwego" węża... Oto pierwsze domy miasta... Jakże są brudne, odrapane, ubogie... Oto słynna aleja, wiodąca od dworca do miasta swemi odwiecznemi białodrzewami... Reszta drogi królewskiej... Oto czarna renesansowa wieża fary... Znajome sklepy, domy, bramy... Czerniawa ludzi, snujących się po chodnikach... Wielu z nich zna go pewnie, z wieloma biegał nieraz po tych kątach w dniach dzieciństwa i wczesnej młodości, zanim nie utonął w wirze społecznym...

Poniósł go daleko prąd walki, a wyrok losu oderwał od rodzimych piersi...

XII

Stanął w hotelu nowym, gdyż w starym bał się natrafić na kogo ze znajomych. Może zarządzający, może szwajcar ten sam, co przed laty?.. Może poznałby go który ze służących?.. Na prowincyi ludzie przyrastają do miejsc!..

Nowy hotel był pół-niemieckiego, pół-żydowskiego pochodzenia. Cuchnął jeszcze wapnem i wilgocią, a jednocześnie już przyswoił sobie przykry zapach niedomytych talerzy, właściwy podobnym zakładom. W ciasnych i ciemnych numerach stały meble suto lakierowane, dostatecznie spaczone i koszlawe. Za to przed bramą wisiały dwie wielkie banie lamp acetylenowych, ostatnie nowości miasta.

Szumski przebrał się, zjadł obiad w podejrzanie czystej restauracyjce i wyszedł na ulicę.

Uderzył go jakiś zamęt niezwykły. Dorożki stały nie na miejscu. Ludzie ściśnięci w kupki coś sobie szeptali. Wielu stało na brzegu chodników i patrzało w jedną stronę.

— Co to? Pożar?

— Ale gdzie tam! Bomba! — odrzekł niechętnie młody człowiek i odszedł pośpiesznie.

— Co takiego? Na kogo?

— Nie wiem. Zdaje się, że w naczelnika rzucono — odparł drugi, spojrzał dziwnie i również oddalił się.

Szumski zniechcenia pomacał czapkę i zastanowił się.

— Hm, mój akcent!.. Kawał czasu! — rozśmiał się wreszcie i, nie pytając już nikogo skierował się wprost do znajomej kamienicy.

Po wąskich schodach, rozświetlonych temi samemi żółtemi szybami, wbiegł na pierwsze piętro i z bijącem sercem pociągnął za dzwonek. Długo czekał, wreszcie zagrzmiały łańcuchy, i z rozchylonych drzwi wyjrzał blady nos.

— A co to?

— Do panny Heleny...

— Jakiej panny Heleny?

— Panny Heleny Zwierzynieckiej...

— Tu nie mieszka... tu mieszka Rubinstein!

— Więc wyprowadzili się... A dokąd?

Ale drzwi już się zatrzasnęły.

— Idź pan, idź pan! Tu niema nic dla pana! — słyszał za drzwiami mamrotanie, a na podwórzu głos kobiecy wołał:

— Stróżu! stróżu! O jej!

Cofnął się do bramy i sam zaczął szukać stróża. W małym chlewku znalazł całą jego rodzinę...

— Stróżowa jestem... stróż poszedł... — wezwali go do cyrkułu... — A co wielmożnemu panu?

— Dokąd się wyprowadzili Zwierzynieccy?

— Zwierzynieccy? Tu tacy nie mieszkali...

— Ależ mieszkali. Wiem napewno...

— To my nie wiemy, bo my niedawno... od kwartału...

Zakłopotany wsunął dyskę stróżowej i odszedł. Na ulicy zatrzymał się i rozważał, co począć. Bał się zbyt włóczyć po mieście, gdzie krążyć już zaczęły patrole, bał się pokazać u kogokolwiek z mniej wtajemniczonych znajomych, gdyż było do przewidzenia, że wieść o jego przybyciu natychmiast gruchnie po mieście. Wtem przypomniał sobie adres, który podawała mu Helena w listach dla korespondencyi na wypadek, gdyby długo nie miał od niej odpowiedzi. Wsiadł do dorożki i kazał się wieść. Woźnica żydek nachylił się doń tajemniczo z kozła i po raz wtóry spytał o adres. Usłyszawszy go, tupnął nogami z wielkim ferworem i zaciął szkapę. Strasznie turkocąc i niemożliwie podskakując na nierównym bruku, „sypnęli samym centrem", zwracając uwagę wszystkich kawalerską jazdą. Nagle na skręcie, w głębi wskazanej ulicy, Wiktor spostrzegł łańcuch dragonów. Syknął na dorożkarza, trącił go nawet parasolem, ale ten pijany, czy też podniecony, leciał dalej zapamiętale. Zresztą już ich spostrzegli. Jeźdzcy rozstąpili się, i roztrajkotana drynda wpadła za kordon...

— Jedź dalej! — mruknął przez zęby Szumski.

— Po co dalej? To tu: siódmy numer..

Szumski czuł, że spojrzenia całej ulicy zestrzeliły się na nim. Wolno, wolniej, niż zwykle, zapłacił dorożkarzowi, wolno, wolniej, niż zwykle, wszedł na schodki frontowego wejścia. Kamienica nie miała bramy. Znalazł się wobec dwojga eleganckich drzwi z metalowemi,

świecącemi jak klamry pasów tabliczkami nazwisk. Przed nim były schody z wyświechtaną poręczą. Myśli twarde, jasne, jak zawsze w chwilach niebezpieczeństwa, niezmiernie wypukło występowały przed nim.

— Aha! trzeba zyskać na czasie... Skombinować...

Wszedł cicho na schody. U drzwi na trzeciem piętrze stał wyciągnięty żołnierz z karabinem w ręku.

Spojrzeli sobie w oczy. Żołnierz zrobił ruch niespokojny i coś zamruczał. Szumski cofnął się z połowy stopni, równie cicho, jak był wszedł.

Wyszedł na kamienne stopnie od ulicy i spojrzał na twarze dragonów, na czapki z malinowymi lampasami, na wsparte na biodrach karabiny, na ładownice, szable i konie skarogniade, wszystko czerwone od promieni zachodzącego za domy słońca. Ściągnął z ręki rękawiczkę i zszedł wolniuchno na chodnik. Żołnierze, policyanci, zaaresztowany dorożkarz nie spuszczali zeń szeroko otwartych i wystraszonych oczu. On spokojnie skręcił w furtkę, wiodącą na podwórze. Tu, przed rewirowym, w kole stójkowych stał płaczący stróż z okrwawioną twarzą.

— Gdzie tu mieszka kupiec Perłow?

— Kupiec Perłow tu nie mieszka... To na Krakowskiej ulicy... — odrzekł cokolwiek zdziwiony rewirowy.

— A gdzie ta Krakowska ulica?

— Tu za rogiem...

Szumski chwilę postał, odwrócił się i chciał odejść. Już zrobił kilka kroków, gdy usłyszał za sobą okrzyk, spostrzegł, że stójkowy zabiega mu drogę, i obrócił się.

Wszystkie karabiny dragonów były podniesione i wycelowane doń.

— Stój! Waroczaj!..

Zawrócił, nie śpiesząc się zbytnio. Był zadowolony z siebie. Czuł, że żaden aktor nie mógłby grać lepiej.

— Pasport. Kto pan jesteś?

— Stiepan Iwanowicz Kutkow, ajent handlowy, wysłany z Irkucka przez firmę herbacianą Butakowych dla zawiązania handlowych stosunków... Oto mój pasport.

Mówił doskonale po rosyjsku, bez cienia cudzoziemskiego akcentu.

Rewirowy przejrzał pasport, poczem wszedł do pobliskiej sionki i szeptał uniżenie:

— Wasze prewoschoditelstwo! Jak rozkażecie postąpić?

Ostrożnym rzutem oka Szumski wykrył tam spodnie z czerwonymi lampasami...

— Nie moja rzecz! nie moja rzecz! — zagrzmiał głucho bas.

Rewirowy wrócił zmieszany.

— Gdzie się pan zatrzymał? Tu wcale niema meldunku! — pytał zgryźliwie.

— Owszem, jest...

— Niema... gdzie?

Przerzucał kartki, szukając pieczęci.

— Proszę pozwolić!..

Szumski wziął pasport i pokazał pieczęć hotelu na pierwszej okładce...

— To nie na miejscu!

Szumski wzruszył ramionami. Rewirowy żarł go, świdrował oczami. Wreszcie twarz policyanta zmiękła.

— Więc w Nowym Hotelu? Dobrze, zajdę tam. Idź sobie pan a nie szwędaj się... Perłow tu za rogiem.

Szumski schował pasport do bocznej kieszeni i odszedł szpalerem, jaki tworzyli policyanci i dragoni.

Gdy mijał zdziwionego dorożkarza, żydek zdjął czapkę i szepnął:

— Panie, mnie się jeszcze pięć kopiejek należy!

— Jakie pięć kopiejek?

— Prowaliwaj!—grubiańsko wrzasnął dragon, najeżdżając na Szumskiego. Wiktor wyjął srebrną dwudziestówkę i rzucił pod nogi dorożkarza.

— Prowaliwaj! Pszoł!..

Skrzydła mu rosły u nóg, ale żelazna wola hamowała kroki. Nie śpiesząc się, doszedł do rogu, nie śpiesząc się, odszukał Perłowa, wszedł i zapytał o właściciela lub zarządzającego.

— Właściciel w Moskwie, a zarządzający bywa w rannych godzinach.

— Do godziny jedenastej!

— Dobrze!

Wyszedł i, nieznacznie zerkając za siebie, zaczął krążyć po ulicach.

Nie, nikt go nie śledził. Co robić? Wracać do hotelu i dziś jeszcze wyjeżdżać! Ale w pobliżu hotelu odrazu zauważył, że „nieczysto", u oświetlonego acetylenem wejścia stała nieśmiertelna figura w kortowym paltocie i czarnym meloniku. Wyminął takiegoż jegomościa na rogu ulicy, który mocno mu się przyjrzał, i ruszył ulicami, pełnemi łuny zachodu.

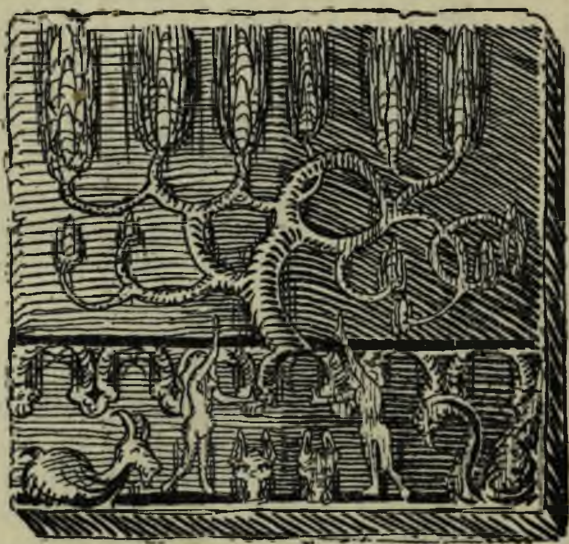
Nagle spostrzegł biały, niepozorny szyld miejscowej gazety.

Wszedł do redakcyi i zapytał o adres mecenasa Zwierzynieckiego. Z sąsiedniego pokoju wyjrzał znany mu z widzenia redaktor i krzyknął adres.

— Pan nietutejszy? to wcale niedaleko stąd, czwarta ulica naprawo...

Błoga radość znowu zalała mu serce. Poczuł się ocalonym. Pomaszerował, nie żałując nóg.

DCN



W. FELDMAN

Romantyzm i jego skutki

I

Taki tytuł nosił sławny swojego czasu artykuł, który pomieścił był ks. Fr. Krupiński w pierwszym roczniku „Ateneum“. Artykuł — wyraz reakcyi przeciwko rokowi 1863, która wyszła ze stadyum tępego ogłuszenia i uświadomiła sobie swój kontrast z przeszłością; artykuł — okrzyk samowiedzy nowego ducha: racyonalizmu mieszczańskiego, pozytywizmu. I z tej wyżyny jakich-ż to potępień nie rzuciło się na bogi wczorajsze! Zupełnie podług metody chińskiej. Więc smagało się je skorpionami najstraszniejszych zarzutów. Poezya romantyczna — to las guseł i upiorów, wicher uczuć dzikich i apokaliptycznych, tumany mistycyzmu ciemnego i wyobraźni gminnej, a przedewszystkiem—szał naiwny, w końcu zbrodniczy. Radził był poeta romantyczny młodości:

Tam sięgnij gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie —

— i istotnie: „Uczucie zaczęło łamać to, czego rozum nie mógł złamać, i powiodło naprzód do czynów nierozważnych“...

Jednem słowem:

„Rozczarowanie i zawody, na które obecnie patrzymy, są w znacznej części rezultatem romantycznej poezyi“.

Jakżeż historya się powtarza!

Trzydzieści parę lat minęło — i znowu tasama piosnka, chórem, molowo. Tosamo łamanie świec, tosamo grobowe: *anathema!* W formie również „filozoficznej“, naukowej, jak wówczas, gdy atak wyszedł od zawodowego filozofa. Zewnętrzny pretekst dał „uczony“ francuski, Piotr Lasserre. W całej zachodniej Europie romantyzm święci dzisiaj

prawdziwe zmartwychwstanie. We Francyi najwpływowszymi filozofami są Hegel i Nietzsche, którego zbiorowe wydanie się rozchwytuje; „Mercure de France" przynosi coraz to inne snopy utworów pośmiertnych, korespondencyj i nowych dzieł romantycznych. W zimnej, opanowanej przez kupców i fabrykujące powieści stare panny Anglii wstaje z grobu nieznany za życia William Blake i na odległość przeszło wieku podaje rękę młodemu Thomsonowi i staremu Swinburne'mu, aby obwieścić panowanie złotej chimery. Niemcy, żołdackie, łajdackie, maklerskie, junkierskie Niemcy Wilhelma Nędznego mają nurt głęboki, uboczny, podziemny, niemniej silny i przyszłościowy: na jego grzbiecie płynie dziś cała już biblioteka wydawnictw jedynego może na kontynencie księgarza-idealisty, milionera-humanitarysty: Eugieniusza Diederichsa; cała biblioteka romantyków swoich i obcych, filozofów takich, jak Fichte, Schelling, Schleiermacher, Hegel, Giordano Bruno; — poetów takich, jak Novalis, Schleglowie, Tieck, Hoffmann; cała biblioteka, traktująca o filozofii i historyi romantyki ojczystej i obcej. Różniczkuje się świat, rozdziela na dwa obozy; w jednym: zdrowy, mieszczańsko-junkiersko-kleszy rozsądek, syty, zadowolony, obwarowany dogmatami, formułami, policyą myślową i orężną; z drugiej — rwący się z tych bastyonów „wieczny rewolucyonista" duch...

Echa tych walk do nas, zajętych biedą domową i studyowaniem najpoczytniejszych dzieł czasu: Sherlocka Holmesa, nie dochodzą. Jakby wieki nas dzieliły od czasu, gdy literatura była czemś, o co staczano walki bezinteresowne, co miało swe prądy, porywy, natchnienia. „Mickiewicz nie idzie"; Słowacki ma szczęście: za rok będzie jego pogrzeb, a w Polsce tylko śmierć i pogrzeb czynią popularnymi. Powodzenie *Dziejów grzechu?* Nie łudźmy się ani na chwilę: nie dzieło sztuki, nie natchnienie wielkiego artysty porusza opinię, lecz to, co w niem jest tylko kanwą, tylko pozorem: temat... Obcymi stajemy się najżywotniejszym, najpiękniejszym manifestacyom ducha Zachodu; natomiast trafił do nas p. Piotr Lasserre, jeden z pretendentów do tronu, osieroconego w zakrystyach kościelnych i salonowych po Ferdynandzie Brunetierze, jeden z świetnych żonglerów słowa, robiący w przedpokojach Akademii konkurencyę Lemaitre'owi. Lasserre stał się w Polsce wyrocznią, świadomością, sumieniem naukowem i społecznem. Gdyby go nie było, byłoby się go musiało stworzyć. Wszak wyrzekł on słowa zbawcze, na które tylu już czekało z utęsknieniem, słowa: że „ro-

mantyzm wniósł do duszy ludzkiej rozstrój jej władz, do społeczeństwa rozkład jego pierwiastków, a sztukę pozbawił warunków rozwoju normalnego". Serca odetchnęły głęboko. Ostatnie lata przyniosły były zamieszanie pojęć, a pod pewnym względem ich korupcyę. Zapanował — zdawało się — w literaturze żywioł, który nazywano modernizmem, dekadentyzmem, chorobliwością, neoromantyzmem; refleks silny rzucił też na życie i zdawało się, że zwycięża: zarówno w życiu, jak i w sztuce. I poddało mu się mnóstwo umysłów, skłonnych wogóle do ulegania suggiestyi chwili, obdarzonych nieraz dobrą wolą, nieraz znowu oportunizmem, każącym paktować z biorącą górę siłą. Dzisiaj — moment historyczny się zmienił. I oto ci, co wczoraj może mimowoli znaleźli się pod nowym sztandarem, teraz wycofują się: jedni powoli, drudzy gwałtownie demonstrując, że duszą zawsze byli gdzieindziej. Starzy i młodzi zaczynają się wypowiadać, zaczynają formułować reakcyę przez chwilę historyczną wywołaną, i oto *à propos* Lasserre'a coraz głośniejszy okrzyk: precz z romantyzmem.

P. Bronisław Chlebowski, jeden z najzasłużeńszych wychowanków okresu pozytywistycznego, krytyk, który starał się także być sprawiedliwym dla najmłodszych, wpada w prawdziwe uniesienie pod urokiem książki Lasserre'a; przychodzi do przekonania, że postawiona przezeń dyagnoza romantyzmu („rozstrój"... „rozkład"...) „daje się zastosować u nas w całej pełni dopiero do objawów współczesnego neoromantyzmu (Wyspiański? Kasprowicz? Miciński? Staff?); mimo to oddać może olbrzymią przysługę, jako klucz do wyjaśnienia twórczości Słowackiego, a szczególnie Krasińskiego"... Byłoby bardzo ciekawą rzeczą usłyszeć argumentacye szan. redaktora „Słownika gieograficznego" w sprawie romantyzmu i rozkładowego charakteru autora *Irydyona*; niewiele jednak o tem słyszymy, natomiast opanowuje p. Chlebowskiego rychło obawa, że uogólniając i potępiając tak radykalnie romantyzm — nie zostawi prawie nikogo na Parnasie polskim; zaczyna tedy dowodzić (*Książka*, 1907, str. 215), że Mickiewicz, a nawet Słowacki niesłusznie są uważani za romantyków par excellence: byli oni nimi wyjątkowo — Mickiewicz np. tylko „w chwilach zachwiania równowagi duchowej". Wogóle, pociesza nas szan. autor, „większość pierwszorzędnych i drugorzędnych autorów niema nic wspólnego z romantycznością". Nie udowodnił jednak autor tego twierdzenia, a jesteśmy tego mocno ciekawi, chodzi mu bowiem o coś nierównie ważniejszego, nie o litera-

turę, lecz o życie, o tosamo, co niegdyś ks. Krupińskiemu: o „agitacyę“ i rewolucyę.

A w ślad za p. Chlebowskim poszedł cały szereg.

Prof. Edward Porębowicz rozkłada nasamprzód światła i cienie, znajduje w romantyzmie polskim „złe i dobre, śmieszne i wzniosłe“— ale prędko też wybucha: „Czy nie były destruktywnymi owe czynniki transcendentalne i mistyczne naszej historyografii i polityki, co utrzymywały wprawdzie życie nasze narodowe w nieustannem napięciu, lecz nie pozwalały w chwilach najważniejszych spojrzeć trzeźwo na środki i cele? Czy wogóle — pytam śmiało — rozwój naturalny naszej kultury nie został przerwany romantyzmem?“ Także p. Ign. Chrzanowski dostrzega w romantyzmie pewne strony dodatnie, szczególnie dla Polaków i Włoch, ale — konkluduje — „*naogół biorąc*, autor (*Lasserre*) ma słuszność“! (główną treścią romantyzmu są więc pierwiastki rozkładowe i chorobliwe!); „że autor wypowiedział im walkę w imię zdrowego rozsądku (!), rzetelnej (?) moralności i prawdziwego (?) piękna— walkę śmiałą, bezlitosną (!), ale uczciwą i rozumną (?), to jego wielka zasługa, nietylko naukowa, ale i społeczna“.

A gdy tak twierdzą pisarze wytrawni, niezaprzeczonej dobrej woli, którzy jednakowoż nigdy heroldami młodego pokolenia nie byli— uderza ten zwrot antiromantyczny także u niejednego z bojowników najnowszej doby literatury i życia... Zawód, rozczarowanie, reakcya wyrywa ten sam, co niegdyś ks. Krupińskiemu, okrzyk niejednemu z piersi, które niedawno temu z całych sił uderzały w surmy neoromantyzmu. Na pobojowisku rozsiada się chłodny racyonalizm i gasi resztki zapałów i zaczyna złorzeczyć wczorajszym tęsknotom i marzeniom. Jak po roku 1863, u wielkiej części młodych „romantyzm“ staje się współwinnym, jeśli nie głównym winowajcą, klęsk i bankructw; powstaje namiętna tendencya do deptania niedawnych świętości, jakoby one nie zgadzały się z odczuwaną dzisiaj potrzebą pracy „pozytywnej“ i wiedzy „ścisłej“; jakoby romantyzm i jego skutki istotnie były jednoznaczne z obrazem, nakreślonym niegdyś przez ks. Krupińskiego.

Jak lat temu czterdzieści, romantyzm siedzi na ławie oskarżonych. Starzy pozytywiści czują w powietrzu prąd sobie przychylny, z nimi łączą się młodzi racyonaliści, i zarysowuje się okres świeży w naszem życiu duchowem, świeży, a jednak od końca 18-go wieku dobrze już znany; wraca bankrut niejednokrotny: neo-pozytywizm.

ST. LACK

Uwagi o sztuce Daniłowskiego [1])

I

Mam tu na uwadze wyłącznie *Jaskółkę*, tę książkę Daniłowskiego, która, najwszechstronniej, jest wytworem artystycznych sił tego pisarza, która więc jest *narracyą* od początku do końca. Daniłowski bowiem, artystycznie, jest narratorem. Gdy się wyjaśni, co przez to rozumieć należy, będzie można ostatecznie wrócić do utartej nazwy: powieściopisarz. Któż jest narrator? Nie mógłbym tu wymienić narazie ani jednego, bo i w literaturze polskiej i w literaturze powszechnej (mowa o współczesnej polskiej i powszechnej) bardzo trudno o narratora zupełnego. W najlepszych romansach znajdziecie uroszczenia autorów tego np. rodzaju: autor chce pokazać pewien nieznany skrawek duszy ludzkiej; autor chce pokazać pewne szczególne osobliwości (oczywiście, psychologiczne!), których nikt prócz niego nie zauważył — dodajmy, że ich już nikt nie zauważy, bo ten autor załatwił już tę sprawę za wszystkich! Autor chce dać „syntezę życia chłopskiego", autor chce... czegoż autorowie nie chcą? Nie miejmy im tego oczywiście za złe, niezawsze są to tylko uroszczenia, jakoż

[1]) O *Jaskółce* czytałem jedynie T. Dąbrowskiego artykuł w „Krytyce". Znam przeto także zdanie J. Lorentowicza tam podane. Atoli ci pisarze nie piszą o *Jaskółce*. Lorentowicz zarzuca brak kompozycyi i epizodyzm. Dąbrowski przyjmuje to określenie i tłumaczy, dlaczego tak jest, i dlaczego tak być musi czy powinno. Tylko, że jak rzekłem, to się stosuje do innej książki, do innych książek. Ci pisarze mówią o rzeczy, o której nie piszą, a piszą o rzeczy, o której nie mówią.

im bowiem nie chcieć tego, czego chcieć muszą? Skąd to jednak wynika taka ich postawa niejasna? Myślą, że z tego: stoją ponad życiem. Któż stoi ponad życiem? Artysta? — nie. Tylko sędzia. A sędzia nie może pisać tragiedyj, sędzia pisze indagacye, śledztwa. Stać ponad życiem może znaczyć i co innego: organizować życie, dać formę życiu (jakiemu i czyjemu, to już sprawa każdego zosobna). Stać ponad życiem (to określenie wydobywam z najtęższych artystów i z *Jaskółki* Daniłowskiego) może znaczyć: być wszędzie i we wszystkiem, sympatyzować, jakkolwiek nie identyfikować się z nikim i z niczem. Proszę zważyć: to nie jest rezerwa, stanowisko obserwacyjne, chęć nieangażowania się i niezamykania sobie przeto drogi na przyszłość. Taka świadomość jest już zbyt krytyczna, iżby nie zemdlić najlepszych energij artystycznych. Jest w tem więcej naturalności, więcej nieświadomości, może i więcej wrodzonej delikatności. Lecz to już znaczy, także: identyfikować się niejako ze wszystkimi i ze wszystkiem. Jedynie takiej organizacyi artystycznej danem jest wyrażać największe *sprzeczności* z *równą* mocą. Kto uważnie przeczyta *Jaskółkę*, tego musi uderzyć różnorodność sytuacyj (tragicznych, komicznych, a nawet groteskowych) i jednostajna siła wyrazu. Kto uważnie przeczyta *Wrażenia więzienne*, musi się zastanowić nad tą okolicznością, że jestto niezmiernie lekkie opowiadanie, rzekłbym *causerie*, w której naprzemian tragizm i komizm przeciągają z jednakową swobodą, aż, powiadam, do groteskowości, która przywodzi na pamięć pewne arcyzabawne sceny z Szekspira (Chudogęba). A to nie dlatego, jakby mi szepnął pewien fanatyk prawdy, że życie nie jest ani jednostajnie tragiczne ani jednostajnie komiczne, bo ostatecznie mogę być w jednym kierunku ślepy, lecz właśnie dlatego, że Daniłowski posiada cenną moc sympatyzowania, t. zw. oddawania z równą siłą wszelkiej prawdy. Tylko, powiadam, takiej organizacyi umysłowej danem jest wyrażać i przedstawiać wszelakich ludzi. Musiało niejednego zastanowić, jak Daniłowski umie przedstawiać starca. Ale nie starca z myślą zgrzybiałą, lecz właśnie z myślą świeżą i otwartą. To nie takie proste, jakby się zdawało: bo świeżość umysłu w starym człowieku ma pewien odcień łagodności, dostojnej powagi, zabarwia ją rzeczywiste doświadczenie życia, którego młodość nie ma zupełnie i mieć nie może, więc i bywa czasem ostra i szorstka. Rozumieć tą ostrość i szorstkość młodą—otóż znamię takiego młodego starca, jakim jest *pan Marek*. Ten rozdział należy do

najpiękniejszych, a jako odpowiednik wymieniłbym rozdział p. t. *Amen*, w którym ciotka Orwidowa w posępnej samotności oddaje się wspomnieniom. Pod względem siły wyrazu można to porównać jedynie z pewnemi scenami-monologami Szekspira. Nie zestawiać sytuacyj i ludzi, lecz siłę wyrazu i artyzm i przywieść na pamięć tę scenę z *Hamleta*, w której król na klęczkach zapada się w siebie. Zaznaczę tu jeszcze pewien szczegół pracy artystycznej, zupełnie może nieświadomy. To rozpamiętywanie ciotki Orwidowej nie kończy się rozpaczą. Dlaczego? Odpowiedź łatwa: bo tak było! Daniłowski powiada jeszcze: i tak być powinno. Zważywszy kulturę umysłową takiej ciotki, niemożna pojąć, żeby tak nie miało być. Ta konsolacya jest nietylko faktem, ale wewnętrzną koniecznością — i to, uważam, jest sztuką bardzo delikatną, gdy się w nią wmyśleć. I dlatego ta konsolacya nie może rozluźnić napięcia atmosfery, nie psuje jej ani nie niszczy. Natomiast monolog (już się tych nazw będę trzymał) Jaskółki w ostatnim rozdziale powieści kończy się rozpaczą. Różnica nietylko jednostek czy temperamentów, ale różnica kultury. To zaś umieć wyrazić, znaczy mieć styl [1]).

Toby więc znaczyło: stać ponad życiem. Więc Daniłowski wreszcie jest narratorem zupełnym. Tu łatwo o nieporozumienie. Nie: opowiadaczem przygód czy innych zdarzeń, lecz: organizatorom współczesnego życia. Więc to nietylko jest *talent* narratorski, bo tu już narratorstwo jest poglądem na świat i na życie. Któż jest narrator? Sienkiewicz jest narrator, i Dumas jest narrator, i ten i ów jest narrator. Ale ci pisarze piszą o rzeczach, których nigdy nie widzieli. Co przez to rozumiem, wnet wyjaśnię. Jakież odnosi się wrażenie z przeczytania *Jaskółki?* Tę pewność przedewszystkiem, że nam tu nikt nie narzucał swego widzimisię, że tu naszej kontemplacyi zaproponowano pewien okres Czasu, do którego sami należymy. Z przeczytania *Jaskółki* odnosi się wrażenie harmonijne: wynosi się pewien pogląd na losy ludzkie, ponieważ się w nich uczestniczyło, wynosi się wrażenie tragiczne życia i wrażenie pogodności, które sprawia tego życia forma

[1]) Wspomnieć tu trzeba także takie sytuacye, któreby u innego miały cechy satyry. U Daniłowskiego jest to jedynie prawda wyrażona mocno. Mam na myśli zebranie literatów u Orskiego. Prawda zaś wyrażona mocno jest albo komiczna albo tragiczna. Ludzie się sami osądzają, jeśli chcecie, demaskują.

lekka, swobodna, niewymuszona, wszędzie w jednakim stopniu siły. Na tem polega sztuka Daniłowskiego. Daniłowski pisze historyę swego Czasu, historyę pokolenia, wchodzącego w życie, i historyę pokolenia, schodzącego do grobu; Daniłowski świadczy swojemu Czasowi, daje piętno swej epoce, że się ta może w jego książce przejrzeć, jak w zwierciadle. Historya! Nie wiem, czy wam wiadomo, kto takie historye pisał. Z powyższych słów mogliście wymiarkować, że mi stanął przed oczyma obraz Szekspira i także obraz Wyspiańskiego.

Książka Daniłowskiego nie jest „powieścią", chociaż sam Daniłowski tak ją nazwał i przez to zmylił szyki niektórym pisarzom, że się jęli domagać rozmaitych rzeczy, jak od powieści. W powieściach bywają takie pierwiastki, z jakich w całości składa się *Jaskółka*. *Jaskółka* składa się w całości z pierwiastków dramatycznych. Takich pierwiastków znajdziecie drobną garść u Reymonta, równie drobną u Sieroszewskiego i Żeromskiego, niemniej drobną u Berenta, chociaż u Żeromskiego znajdziecie świadome w tym kierunku usiłowania (w *Popiołach* scena, w której występują Piotr Olbromski i młode książątko; w *Dziejach Grzechu* wprost już karykaturalna scena, w której występują Bodzanta i Płaza-Spławski). Są to, że tak powiem obrazowo, wysepki. Zresztą tych pierwiastków tam nie szukamy. *Jaskółka* jest w całości dramatyczna: nie z powodu usiłowań Daniłowskiego świadomych, lecz z powodu natury jego talentu, z powodu natury jego artyzmu. W tej naturze najsilniej ugruntowana jest siła kształtowania, siła narracyi, nie opowiadania, lecz przedstawiania. Do takiej narracyi są zdolni ludzie bardzo naiwni (kronikarze) i ludzie bardzo dojrzali umysłowo i świadomi zawiłego biegu spraw życia. Niedość jest widzieć słowa i giesty, trzeba w dokładnem oddaniu tych słów i giestów umieć umieścić siły, których wyrazem są te słowa i giesty. Trzeba być świadkiem spraw i trzeba być razem uczestnikiem. Pisarz powieści dokładnie zna sprężyny mechanizmu, motywy swych postaci, analizuje. Narrator zna tylko giesty i słowa, ale umie w tych giestach i słowach umieścić cały kłębek motywów nierozwikłany. Na to nietrzeba nawet słów i giestów nadzwyczajnych. Narrator nie wyjaśnia nic, nie tłumaczy, nie odgaduje, nie domyśla się, narrator przedstawia. W tem więc znaczeniu narrator nie jest psychologiem (taksamo i dramaturg nie jest psychologiem; to znaczy: może być, że tak powiem, prywatnie), ale właśnie o nim powiedzieć można, że zna życie do głębi; wła-

śnie w sposób szekspirowski, w sposób dramatyczny. Wszystko, co jest analizą, odbyło się poza książką. To, co jest w książce, wychodzi już gotowe, żywe. W *Jaskółce* są ustępy, w których ktoby się mógł dopatrzeć analizy. Są to jednak pozory. Co nie znaczy, że Daniłowski operuje pozorami, lecz, że ludzie mylnie rzecz nazywają. Czyście zauważyli, że w tych ustępach Daniłowski nigdy spostrzeżeń nie indywidualizuje? „Orski doznawał uczuć łagodnych, takich, owakich". Takich uczuć może doznawać mniejwięcej każdy człowiek. Ale to znowu nie takie proste. Metoda Daniłowskiego jest właśnie tem szczególna: takie zaznaczanie stanów psychicznych ściśle odpowiada charakterowi dramatycznemu, to jakby podpowiedzieć aktorowi intonacyę recytowania. Przenieśmy się do ostatniej sceny, a raczej do ostatniego rozdziału *Jaskółki*. Tam Jaskółka, zostawszy w przedziale po wyjściu Orskiego, rozpoczyna dzieło analizy. Na czem polega ta analiza, jak się odbywa, dlaczego ją niszczy, niewiadomo tak dalece, że możnaby to wziąć za ogólnikowość i wpisać ten stan przesilenia i analizy w każdą inną osobę. Ale właśnie: tu sztuka słowa starczy za indywidualizacyę [1]). Daniłowski maluje zaciekłość Jaskółki przeciw sobie z taką mocą grozy, że już niemożna pytać o *przyczyny* tej apatyi, w którą popada, bo się sama ta apatya narzuca nam z mocą nadzwyczajną, i wierzymy, że to skutkiem tej przyczyny, i potrafimy pojąć cały rozmiar tej analizy. Tak to więc Daniłowski *przedstawia*. Narrator bardzo często, skutkiem umiejętności przedstawiania zawiłości, nie domyśla się nawet, jakiego materyału obserwacyjnego dostarcza psychologom. W narracyach można wyczytać bardzo wiele, czasem nawet więcej, niż w nich jest.

Jeśli tu przywiodłem nazwisko Szekspira i Wyspiańskiego, to jedynie ze względu na rodzaj sztuki, ze względu na kierunek artyzmu.

Wszyscy ci artyści znają fatalne kierunki ludzkich sił. Ale mają ten niezmierny takt, że sami nie kierują, że nigdy nie konkludują. Daniłowski nigdy nie konkluduje. A nie konkluduje dlatego, że sympatyzuje ze wszystkiem! Rzeczą jest tych ludzi, których przedstawiają,

---

[1]) Tuby się dało powiedzieć wiele o społecznem poczuciu takich artystów i o tem, jak to jest cechą ich artyzmu, cechą artystyczną, ale toby mnie zawiodło w inne strony.

żeby konkludować, bo ci muszą działać, muszą rozwiązywać sytuacye. Zakres zaś tych sympatyj jest nieograniczony.

Więc narrator nie jest „psychologiem", ale materyału psychologowi dostarcza mnóstwa. Psycholog znajdzie tu oczywiście i swój morał. Mógłby się np. wmyśleć w umysłowość Halszki, mógłby przeszukać jej duszę i wskazać jej żądzom i pragnieniom właściwy kierunek, w którym te żądze i te pragnienia i tak zresztą nigdy nie pójdą, niestety! Bo mają właśnie kierunek tragiczny, przewidziany od wieków.

Któż to jest właściwie Halszka Orwidówna? Halszka Orwidówna jest istota tragiczna, t. j. taka, która w swej najgłębszej żądzy i w swej najlepszej dążności musi doznać niepowodzenia, która więc jest na to, żeby przez spełnianie swych losów uratować wszystkie swoje siostry tragiczne od zguby (nie wątpić, że się niejedna jeszcze zgubi, tylko nie tak, jak Halszka). To nie jest sprawa „romantyzmu" uczuć. Bo Halszka ma zdolności na miarę swych pragnień. Czego jej brak, to nieomylności. Więc. tego uczucia pełni (chociaż to się wam wyda dziwacznem powiedzeniem). Uczucie pełne, to jest uczucie nieomylne. Nieomylne przed czasem. A ta nieomylność jest tu właśnie niemożliwa! Halszka nie może się poznać *całkowicie* na Orskim, bo wprawdzie ma głowę zdolną, ale (przepraszam!) nieco zaniedbaną, nieco już na te czasy staroświecką. Więc też nie może przewidywać, ani też nie może sobą pokierować w stanowczej chwili, ponieważ nie zna i znać nie może rozmiaru i kierunku tych sił, które w niej są, wreszcie nie zna stopnia napięcia, jak zdolne są te siły. W chwili zetknięcia się z Orskim ten stopień jest takisam u niej i u niego. Dalej sięgnąć nie może. Dlaczego? Ach, dlaczego... Mogę podać jedną przyczynę, ale nie żądajcie więcej. Ale rozumiecie, że nie Orski jest sprawcą losów Halszki, ani nikt inny (dla analogii powiedzmy, że: żaden Kreon nie jest sprawcą losów Antygony), że kogokolwiekby Halszka wybrała, zawszeby jednako „skończyła". T. zw. romantyzm uczuć, to zgoła inna sprawa. Tu snać pomieszano pojęcia: romantyzm i romansowość. Ten romantyzm więc chciałby życie zamienić na romans. I nie poprzestaje, powiedzmy, na tem, żeby dać życiu podstawy romansowe, lecz chce je gwałtownie na romans przerobić (na to, niestety, życie jest za... długie). To się nie da. Nie dlatego, że są przeszkody w okolicznościach życia czy w nieubłaganych jakoby prawach przyrody, lecz, że są przeszkody w braku zdolności: zdolności kochania, zdolności tworzenia,

zdolności takiego napięcia, jakie głowa romansowa wyobrazić sobie potrafi, ale osiągnąć nie zdoła, chociaż się to osiągnąć da.

Otóż tego wszystkiego Daniłowski nie mówi, ale to wszystko w Daniłowskim *jest*, zrealizowane, a to jest właśnie sztuka. Dzieła tego rodzaju, co *Jaskółka*, są źródłem dla psychologów, na tych kształtach można odczytać wzory życia. Zważyć jedynie, że nie sposób postępowania Halszki jest wzorem do naśladowania (o takich wzorach nie mówię), że tu nie idzie o przeforsowanie jakiegoś uczucia i zachowania się i obyczaju, o zdobywanie dlań praw istnienia, bo to uczucie istnieje przez się, mocą swej siły czynu. (Jest tam pewna apostrofa Halszki do sióstr, ale ta ma inne znaczenie, a raczej nie ona ma znaczenie, tylko właśnie siła czynu). Idzie o jego losy i o drogi tych losów. Idzie o tę fatalną siłę, która istotę ludzką przeznacza na to, żeby być kształtem nieśmiertelnego piękna, i żeby swem życiem i swoją śmiercią zaświadczyć istnienie potęg tajemniczych, które są duszą. Tak jak losy Halszki, niczyje się losy na świecie nie ułożą, i nie szukajcie podobizn naokoło siebie, ale wedle tego wzoru układają się losy wszystkich sióstr tragicznych Halszki Orwidówny. Jest niezawodnie rzeczą piękną zginąć przy szturmie barykady w Medyolanie i wnieść w rozgoryczenie ludzi zdesperowanych szlachetną postawę piękna, ale to może być udziałem jedynie Halszki Orwidówny, bez względu nawet na to, czy byłaby z Orskim czy z człowiekiem innym. Halszka Orwidówna jest prawdziwa, ale jest niedokładna. Dokładni jesteśmy wszyscy, ale Halszka wychodzi poza granice jednostki tem, że jest dziełem sztuki. Taką więc miarą należy mierzyć tę książkę Daniłowskiego.

SAVITRI

Bez sił

Znów leżę chory i bez sił,
jak powalony młody klon...
Ja — nadotchłannych dźwigacz brył,
zaprzepaściłem życia plon.
W strasznym wysile rwał się nerw,
rzęził strudzony oddech płuc,
walczyłem długo i bez przerw,
chciałem ponurą otchłań zmódz.
Nie wytrzymała tęgość bark,
stoi nademną niemoc — kat,
i muszę patrzeć na wasz targ,
na sieć nikczemnych waszych zdrad.
I spaść nie mogę, jako grom,
na małość waszą skręcić bicz,
ani przeszkodzić płynąć łzom,
ani rozdmuchać mrący znicz.
Na świecie łzy, na świecie ból,
kołace w drzwi me cichy jęk,
a mienie wasze niszczy mól,
a na was czyha śmierć i lęk.
Naprzód! chcę walki dzikich salw!
a zwolna krzepnie krew mych żył...
Pośród jesiennych bladych malw
znów leżę chory i bez sił.



L. TYP

Mamert Wikszemski

Przed niespełna dwoma miesiącami był w naszej redakcyi, składając nam fragmenty z poematu „Asmodeusz“, które częściowo ukazały się w zeszycie 7-ym „Witezia“. Sądzone było, byśmy widzieli się wówczas po raz ostatni. Tegoż dnia bowiem wyjechał z Warszawy do rodzinnego majątku swego na Wołyniu (Klepacze), gdzie się urodził (1872 r.), i gdzie, po ukończeniu szkół w Równem oraz przeszedłszy studya agronomiczne w Halle i filozoficzne w Heidelbergu, osiadł na roli. Tymrazem nie zabawił tu długo. Wyruszył wkrótce na Inflanty Polskie, do Nowego-Dworu. Przyjechał już gorączkujący, chory, a po parotygodniowej męczarni—zabił go tyfus w d. 16 maja.

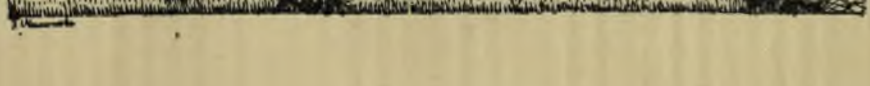
Zmarły był jedną z owych dusz tęskniących, które z życiem obecnem godzić się nie mogą. Widział wszystko przez pryzmat gorących pożądań lepszej przyszłości, a widzenia swe wyrażał w sposób wysoce artystyczny. W ciągu ostatnich lat dziesięciu krótkiego żywota swego rozrzucił po czasopismach warszawskich mnóstwo pięknych liryk, ballad i erotyków, oraz odczutych przekładów z Heinego. Drukował w „Głosie“ (za Wasilewskiego), w „Chimerze“, „Prawdzie“, „Tygodniku Ilustrowanym“, „Krytyce“, „Nowej Gazecie“ i „Wędrowcu“. Na konkursie ostatniego dramat Wikszemskiego—„Śnieżana“—otrzymał nagrodę.

Gdy nastąpiły wypadki lat dopiero ubiegłych, Mamert Wikszemski, dotychczas trzymający się zdala od zgiełkliwego a pustego życia Warszawy, przybywa tu i bierze żywy udział w gorączkowo rozpoczętem życiu społecznem, nadto obejmuje sekretaryat redakcyi „Prawdy“, gdzie pracuje przez ostatnie dwa lata, ogłaszając — prócz poezyi — szereg krytyk i rozpraw estetycznych.

Artysta i charakter prawy — jednał sobie głęboką sympatyę spotykanych przy pracy ludzi. Toteż smutna wieść o odejściu poety wywołuje niekłamany żal tych, którzy go znali i cenili, jako człowieka i pisarza, — którzy wiedzieli, ile i jak — ze spokojem i godnością duszy szlachetnej — umiał cierpieć w swem niedługiem życiu —

Zasłużonym hołdem pamięci zmarłego byłoby zebranie i ogłoszenie drukiem licznych jego utworów, po czasopismach rozsianych, wraz z puścizną rękopiśmienną. Uczynić tego zapewne nie zaniedba rodzina z pomocą grona przyjaciół zgasłego artysty.

Uczynić to należy.



D-r MIECZYSŁAW BIERNACKI

O śmierci

Nie ulega wątpliwości, że problemat śmierci odgrywa pierwszorzędną rolę w naszem życiu i ma dominujący wpływ na rozstrzyganie najdonioślejszych i najżywotniejszych kwestyj życiowych. Dlatego też i historya tego pojęcia i przyrodnicza jego analiza powinny być ogólnie znane i przedyskutowane.

Na zasadzie badań nad ludami pierwotnymi dochodzimy do wniosku, iż fakt, że każdy człowiek umiera i umierać musi, nie był znany w zaraniu cywilizacyi ludzkiej; każdą śmierć uważano wtedy za wypadek szczególny, wywołany jakąś przyrodzoną lub nadprzyrodzoną przyczyną. Ponieważ nie umiano rozróżniać w tych odległych czasach śmierci od stanów letargicznych lub epileptycznych, przeto wyrodziło się pojęcie o śmierci, że śmierć jest takiem samem zawieszaniem funkcyj życia, jak to bywa we śnie lub chorobie; tylko że zawieszenie to jest bardziej długotrwałe i kompletniejsze.

Jednak nie wątpiono o tem, że zmartwychstanie jest równie możliwe, jak rozbudzenie się ze zwykłego snu codziennego. Ta pierwsza wiara zmartwychwstania — czysto materyalistyczna — opierała się jeszcze na innej podstawie, nie zaś tylko na analogiach co do snu i stanów chorobliwych człowieka.

Przecież pamięć o świeżo zmarłych jest tak żywa w umysłach otoczenia, przecież sny o nich zdarzają się tak często, że człowiek pierwotny, nieodróżniający marzeń i snów od rzeczywistości, niewątpliwie był przekonany o bytowaniu nieboszczyków — przynajmniej tych, którzy niedawno pomarli. A więc pierwsza koncepcya człowieka pierwotnego co do śmierci da się zredukować do takiego wyobrażenia: Niewiadomo, co się temu człowiekowi stało, śpi i nie rusza się, jak dawniej; niewiadomo, kiedy wstanie, lecz w nocy ukazuje się on nam we śnie. Przyjaciołom i krewnym wypada w takiem nieszczęściu pomagać leżącemu nieruchomo na ziemi. A więc trzeba mu dać jeść, trzeba go ochraniać od zimna i zabezpieczyć przed ludźmi i dzikiemi zwierzętami.

Zabytki tych pojęć przedostają się i do naszej cywilizacyi w postaci np. obchodu Dziadów na Litwie i Rusi, podczas którego żywi karmią nieboszczyków, ale najwyższym wyrazem tego kierunku myśli jest zakonserwowanie zwłok ludzkich w postaci mumii; jak u starożytnych Peruwiańczyków i Egipcyan.

Przyjąwszy raz zasadę materyalistycznego zmartwychwstania, te wysoko cywilizowane ludy starały się za pomocą techniki zabezpieczyć umarłemu ciału długotrwałość potrzebną do tej chwili, gdy życie doń powróci. I trzeba przyznać, że udało się im to w wysokim stopniu, o ile wogóle mogło się udać takie przedsiewzięcie. W ten sposób Egipcyanie i Peruwianie walczyli w sposób materyalny ze śmiercią: piramidy i mumie — to ich zwycięstwo pozorne i przejściowe. Los bowiem człowieka w życiu przyszłem był zależny od skutecznej obrony jego mumii, a gdzież podziała się ta władza, która trzymała na wodzy barbarzyńską rękę świętokradcy? Tymczasem nie nadszedł ożywczy dech życia nowego, a mumie stały się tylko ciekawymi okazami naszych gabinetów i muzeów... Ślad tej nauki przechował się — jakkolwiek nie w tak wspaniałej, jak u Egipcyan, formie — także w naszych chrześciańskich wierzeniach o zmartwychwstaniu ciał. Lecz pod tym względem musimy przyznać Egipcyanom bezsprzecznie większą konsekwencyę i realniejsze pojęcia przyrodnicze. Egipcyanie wierzyli w zmartwychwstanie tych tylko ciał, które były zakonserwowane, nie wierzyli zaś, aby ciała spalone lub rozłożone mogły znów zmartwychwstać.

Wiara zaś nasza w zmartwychwstanie ciał, uniezależniona od losu trupa, napotyka ze strony przyrodniczej niepokonane trudności. Zmartwychwstanie ciał? — pyta przyrodnik — ale jakich ciał i w jakim okresie życia? Wszakże ciało zmienia się ciągle, jak woda w rzece, i ciało nasze nie jest identyczne ani w jednym dniu, ani w jednej godzinie. A więc które ciało ma powstać na żywot wieczny? — A dalej wykazuje nam obliczenie matematyczne, wykazujące, że na to, aby postawić na nogi wszystkie gieneracye ludzi przyobleczone w ciała, potrzeba nie kuli ziemskiej, ale ciała daleko większego, że więc poprostu brak materyału na odlew tylu przejściowych tworów gieneracyj ludzkich.

Daleko większe znaczenie od tego materyalistycznego pojmowania śmierci i zmartwychwstania miała druga koncepcya śmierci, jako rozdziału ciała i duszy. Badania etmograficzne ludzi pierwotnych wykazują, że pojęcie duszy powstało z dwóch materyalnych pojęć; mianowicie, u niektórych ludów ze zjawiska cienia, u innych — ze zjawiska dechu. Pod wpływem tych pojęć dziki człowiek wyobrażał sobie, że cień, który za nim chodzi, jest ożywiającym go pierwiastkiem, i że śmierć polega na tem, że cień, który w pozycyi leżącej umarłego był niewidomy, opuścił nieboszczyka i wędruje samotny w inne kraje. Inne ludy przedstawiały sobie, że pierwiastkiem ożywczym jest dech, który, opuściwszy człowieka, pozostawia go martwego. Widocznie Słowianie należeli do tej właśnie grupy, jak to wykazuje pochodzenie etymologiczne duszy od wyrazu dech. Toteż mówimy ciągle jeszcze o cieniach zmarłych i wydaniu ostatniego tchu, nie zdając sobie sprawy, że co dla nas jest alegoryą i symbolem, to było dla naszych praojców konkretnem, napół materyalistycznem pojęciem duszy. W ich oczach dusza, czy to cień odłączający się od ciała, czy płomyk odfruwający w przestrzeń, znajdowała się zaraz po śmierci w pobliżu trupa i dopiero z biegiem czasu udawała się na miejsce przeznaczenia duchów. Miejsca te—to albo odludne wy-

spy, albo szczyty gór, albo niedostępne szczeliny i jaskinie. Pod wpływem ówczesnej gieografii, która uznawała bezpośrednią komunikacyę szczytów górskich z niebem (Olymp) i jaskiń z podziemiem, utworzyło się pojęcie o przebywaniu duchów nieboszczyków — u Greków w podziemiu, a u Hindusów na szczycie niedostępnych gór Himalai. Później w świecie chrześciańskim przyjęto oba te pomieszczenia, przeznaczając górne dla dobrych, a dolne dla złych. W żadnym razie nie należy zapominać, że ta komunikacya ziemi z górą i dołem była bardzo bliska według ówczesnych pojęć gieograficznych, dlatego też i życie pozagrobowe nie odróżniało się wielce od życia na ziemi. — W większości wypadków nastrój był pesymistyczny. Uważano, że nieboszczykom będzie zbywało na wielu rzeczach, które my mamy na ziemi, i dlatego wkładano do ich grobów oprócz jedzenia różne użyteczne przedmioty. Na grobach wodzów zabijano wiele zwierząt i ludzi, których przeznaczeniem było towarzyszyć im w życiu pozagrobowem. Mimo to życie pozagrobowe Grekom nie wydaje się szczęśliwem, i Achiles wolałby być parobkiem rąbiącym drwa na ziemi, niż królem i książęciem w podziemiu.

Ale nastrój bywa także optymistyczny. Tak więc Patagończycy wierzą, że w przyszłem życiu napawać się będą szczęśliwością wiecznego pijaństwa; inne zaś ludy mają zawsze nadzieję robić w życiu przyszłem to, co odpowiada najwyższemu ich wyobrażeniu o ich doczesnem szczęściu.

Ideał chrześciański życia pozagrobowego połączył te dwa nastroje i rozdzielił jednolity świat pozagrobowy starożytnych na dwie ściśle oddzielone sfery nieba i piekła, świata górnego szczęścia oraz świata dolnego nieszczęścia i rozpaczy. Co do treści życia pozagrobowego, to niebo chrześciańskie wyklucza wszystkie nasze radości materyalne, wyklucza nasze więzy społeczne i indywidualne, a stwarza tylko jedno stowarzyszenie oddające się bezustannym praktykom religijnym, a więc także czynności, która z ziemi do nieba chrześciańskiego się przedostała. Rozwój pojęcia piekła z tych niewielu hebrajskich i greckich przesłanek, tych prac Syzyfowych i Danaid, i z tej Giehenny, gdzie będzie płacz i zgrzytanie zębów, należy do najsmutniejszych kart rozwoju ducha ludzkiego. Odbija się tu cała wyrafinowana ohyda procedury średniowiecznej, której na imię: tortura. Tortura materyalna ducha niemateryalnego — oto ów nonsens średniowieczny, który straszył całe gieneracye i pokolenia. Pojęcie czyśćca, dołączone o wiele później w celach praktycznych, jest wynikiem także pojęcia prawniczego w średnich wiekach, mianowicie — wykupu. Skoro każdy winowajca mógł się wykupić od każdego prawie przestępstwa w sądach koronnych, to dlaczegóż nie miałoby być tego wykupu i w życiu pozagrobowem? Jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, dlaczego duchowieństwo starało się rozwinąć to pojęcie obce zupełnie wszystkim apostołom i ojcom kościoła.

Zaiste, groźba tortury wiecznie trwającej w piekle była straszna, ale gdy groźba ta wskutek jej nadużycia osłabła, wymyślono nową, realniejszą, więcej ziemską: legiendę o strasznej godzinie śmierci. I widzieliśmy obojętnych na dalekie i niesprawdzone tortury piekielne ludzi, którzy uginali się pod wpływem doktryny strachu przed tą straszną godziną, gdy duch się od ciała odrywa, a natura wysila się, aby naśladować średniowiecznego kata. — Otóż na zasadzie lekarskiej obserwacyi okazuje się, że chwila śmierci nie jest bolesnym momentem wyrywania duszy, ale że jest to powolny proces

zanikania funkcyj ciała, przyczem mózg pogrąża się w coraz to większy brak świadomości tak stopniowo, iż o żadnych wyjątkowych katuszach tu nie może być mowy. Natura jest o wiele dobroczynniejsza pod tym względem od opowiadań klerykalnych, i legienda ta powinna być doszczętnie wykorzenioną z pojęć ludowych narówni z wszelkimi innymi przesądami.

Mimo to człowiekowi będzie trudno — prawie niepodobna — oswoić się z myślą o zniszczeniu własnej indywidualności i osoby. Nic w tem dziwnego. Wszakże dla nas właściwie nic nie egzystuje poza naszemi zjawiskami mózgowemi, jakże więc mamy pojąć cokolwiek z wykluczeniem właśnie tego aparatu, przez który wszystkie pojęcia otrzymaliśmy? I czyż właśnie z tej niemożebności nie wypływa ta łatwa wiara w indywidualną nieśmiertelność — nawet wbrew oczywistości? Sprawa ta wyjaśni się powoli, gdy odrzuciwszy wszystkie koncepcye filozoficzne w kwestyi śmierci, staniemy na gruncie przyrodniczym.

Niezniszczalność materyi—oto pierwsze przyrodnicze prawo, które nam przedstawia śmierć w zgoła innem świetle, niż poglądy filozoficzne. Śmierć to nie unicestwienie, obracanie się w proch, ale przekształcanie się materyi w prostsze i mniej zawiłe. Śmierć jest rozkładem, analizą tych wszystkich ciał o wysokiem napięciu i wielkich molekularnych drobinach, które życie stworzyło za pomocą syntezy, całkowania.

Śmierć więc jest zjawiskiem koniecznem dla dostarczenia życiu materyału do nowych przejawów i nowych kombinacyj, jest więc koniecznem uzupełnieniem życia Marzenie greckiego filozofa, że πάντα ῥεῖ — wszystko płynie — okazało się gienialnem przeczuciem ustalonego dzisiaj prawa przyrodniczego o tym wielkim i ciągłym obrocie materyi organicznej, przepływającej od roślin i powietrza ku zwierzętom i naodwrót. Śmierć więc odgrywa w tym wielkim potoku taką samą rolę, co życie. Życie skupia, śmierć rozprasza, — oba zaś te akty są nieodzowne do utrzymania w ruchu i obiegu materyi organicznej.

Śmierć indywiduum tedy jest ogólnem prawidłem biologicznem i dotyczy w równej mierze świata roślinnego, jak zwierzęcego. Już z tego samego faktu wynika, że o ile chcielibyśmy określić śmierć co do jej istoty, jako rozłączenie ciała i duszy, musielibyśmy niewątpliwie uogólnić to określenie nietylko co do ludzi i zwierząt, ale także i co do drzew i roślin. W jaki zaś sposób moglibyśmy sobie przedstawić nieśmiertelne dusze roślin, żyjące po śmierci każdej rośliny — gdzieś w lazurach, na to niechaj odpowiedzą ludzie dawnego światopoglądu...

Tymczasem nieśmiertelnością przyrody nie są wciąż powstające i ginące indywidua, ale jest ona połączona z częściami rozrodczemi roślin i zwierząt, tam bowiem składa zaczyn nowego życia. Połączenie pierwiastka męskiego z żeńskim rozdzielonym już na bardzo niskim szczeblu drabiny ewolucyjnej — jest tym biologicznym sposobem wytwarzania nowych kombinacyj i nowych tworów; w ten więc sposób odnawia się przyroda wiecznie młoda i wiecznie świeża i nowa.

Ale aby to nowe życie powstało, potrzebny jest materyał dostarczany przez zanikanie tych indywiduów, które, utraciwszy już siłę rozrodczą, są ze stanowiska przyrody osobnikami zbytecznymi. Śmierć tych użyźnia nowe pędy i sieje wszędy życie nowe. W granicach naszego świata i naszych warunków nieśmiertelny jest rodzaj i gatunek, a indywiduum jest przejściowe i śmiertelne.

Przyroda nie zacieśnia więc wiary w nieśmiertelność, ale ją rozszerza w sposób zaiste nieoczekiwany i o wiele wyższy etycznie, niż pierwsze koncepcye egocentryczne tak ściśle związane z ciasną sferą pojęć pojedyńczego człowieka. Zamiast dziecinnej wiary w nieśmiertelność duszy Maćka, Bartka lub Pawła powstaje wielka postać nieśmiertelnego Narodu i jeszcze większa — nieśmiertelnej Ludzkości.

Postacie te wyrywają nas z ciasnego kręgu egoistycznych interesów, wymadlania sobie indywidualnego szczęścia gdzieś poza grobem, i każą nam oddać się temu pierwiastkowi, który jest rzeczywiście nieśmiertelny, to jest interesowi ogółu, narodu i ludzkości. Stąd też wypływają nakazy etyczne o wiele wyższe, o wiele szersze, o wiele światlejsze.

Przedewszystkiem ten światopogląd utrwala i czyni potężniejszym związek rodziców z potomstwem. Gdy bowiem wiara w nieśmiertelność indywidualną doprowadza do egoistycznych, osobistych tylko zabiegów o zbawienie własnej duszy, niema zaś tam miejsca dla przyrodzonej miłości rodzicielskiej, to przekonanie o zbiorowej nieśmiertelności narodu każe nam widzieć w dzieciach dalszą cząstkę naszej jaźni, naszego ciała i duszy, i właśnie tę cząstkę, która ma przetrwać naszą śmierć indywidualną. Stąd—nakaz moralny do udoskanalania, do rozwoju i pielęgnowania tej dalszej naszej cząstki życia, nakaz tak zgodny z elementarnemi prawami natury. Niedarmo więc przechodzi przez życie ten, kto pozostawia światlejsze i dalej dążące dzieci, a troska o to jest pierwszorzędną kwestyą dla człowieka chcącego zapewnić sobie udział nieśmiertelności w swym narodzie. Wybór żony staje się też, pod tym kątem widzenia, pierwszorzędną i doniosłą sprawą, gdyż od tego wyboru zależy ta nowa kombinacya, w której część mojej duszy rozwijać się będzie. Jak małostkowymi i dziecinnymi wydają się wszelkie względy uboczne, majątkowe i stanowe, gdy patrzymy na tę sprawę w ten sposób—przyrodniczy, i jak wyższą okazuje się ta etyka od etyki wypływającej z troski egoistycznej o zbawienie własnej duszy! Przecież owa dawna etyka nie umiała nic powiedzieć w tej pierwszorzędnej sprawie, jak wogóle nie umie ona powiedzieć nic w sprawach wychodzących poza kółko pojedyńczej jednostki. Ale świat ludzki stworzył sobie poza ramami zwierzęcego żywota jeszcze wielką nadbudowę—gmach wielki i nieśmiertelny, dzieje Ducha ludzkiego, gmach kultury ludzkiej. Gmach ten buduje się zwolna i przez wielu budowniczych jest stawiany, jego budowa nie kończy się nigdy, a wciąż piętrzy się wyżej i wyżej—, a każdy, kto się przyłoży do tej budowy, jest i pozostanie na wieki nieśmiertelnym, gdyż czyn jego, choć będzie zapomniany, jednakże trwa i jest osadzony na swojem miejscu i tak równie potrzebny dla całości, jak każda cegła wysokiej wieży.

Dzieci nasze i czyny nasze—oto nasza nieśmiertelność, sprowadzona z wyżyn wymarzonych w świat rzeczywisty i realny, a cel—rozwój i postęp wszechstronny rodzaju ludzkiego. Nakaz to płodny, nie zaś jałowy, i zastąpić musi starodawne mrzonki egoistyczne.

MISERICORDIA



(ja) *„Wesele krakowskie w Wiedniu"* (wesołe waryacye na smutne tematy).

I. „Uroczystości jubileuszowe Franciszka Józefa I nie zakończą się operowym hołdem książąt tej Rzeszy niemieckiej"...

II. „W dniu 12-ym czerwca odbędzie się pochód jubileuszowy, w którym *przyjdą do głosu* ludy Austryi"...

III. „Komitet zawiązał się pod przewodnictwem Włodzimierza Tetmajera...... do komitetu zaś weszły zastępem licznym „pany—chłopy, chłopy—pany"......"

IV. „Panie! Co za morze barw lunie na Ringi wiedeńskie.. ..Jeżeli na to Wiedeń ust nie otworzy!"

V. „My wystawimy hufiec jezdnych... hufiec konny 300 krakusów w ordynku militarnym... ...jak jazda polska lekkiego znaku. Więc przodem oddział trębaczy... wydymających sygnały ułańskie".

VI. „Dalej „znak", czyli chorągiew ziemi krakowskiej"...

VII. „Potem hetman"...

Kuryer Warszawski. 1908. Nr. 139.

✱

(*koresp. z Krakowa*)

1. — Biada ci, lekkomyślny Hohenzollernie, przodowniku operowego chóru książąt Rzeszy niemieckiej!

Patrz i drżyj:

Rozwarły się wrota Wawelu, z podwórca królewskiego „lunęło morze barw..."

Przodem trębacze dmą sygnały ułańskie, – aż w dalekich Pirenejów przepaściach i kniejach ocknęły się, zagrały echa.

Lecą – hukają — pytają:

„Czy orły pobite wskrzesły? Napoleonidzi"?

Dmą trębacze sygnały ułańskie... Poza Warszawą, poza Wisłą szarą, śród pola szczerego powstały mary zabitych, ściętych drzew... A każde świeci czerwonemi rany...

I szepce olszyn listowie — pyta:

„Ułany? Ułany? Malowane dzieci?"

Dmą trębacze sygnały ułańskie. A przed nimi, a nad nimi leci śpiewka rozhasana — weselna:

„Nastroiłem pawich piór"...

Drżyj, Wielki Mistrzu krzyżacki!

✱

2. Strojno i rojno, i gwarno na Ringach...

Cieszy się rozbawiony ludek habsburski słońcem i błękitem, i tysiącem czarno-żółtych proporców, i wesołym pogwarem muzyki, co ze wszystkich ulic i placów roztańczona leci.

Ach! Co to? Co to jest?

Naraz umilkły Ringi, — wpatrzyły się tam... poza miasto.

Od Kahlenbergu słuchać obcą nutę.

Przeleciał tłumem szept: „Die Polen, die Polen"...

„Po co? Na co? Nam dziś nie trzeba odsieczy..."

A z Kahlenbergu grzmi muzyka — i skrzypice, i kozice, i basetle, i...

...i trąbki – sygnały ułańskie...

„Po co? Na co?"

A tu jak wicher wpada morze barw: wstęgi, świecidła, sukmany, kierezyje, — i wiechy, wiechy pawich piór...

Lecą — biegną — konni, dziarscy, rozhukani...

„Die Polen, die Polen"...

Dmą trębacze sygnały ułańskie, — a tłum słucha i słyszy jedno:

„Złoty wór wysypie
ludziskom przed ślipie:
nakupie se pawich piór!"

Drżyj, Hohenzollernie —

*

3.
Za sukmannymi za trębaczami
Płynie ziemicy krakowskiej znak:
W purpurze, w złocie, ponad tłumami
Srebrno-królewski kąpie się ptak —
I pieśni krwawej rzuca korale
W szafir słoneczny, w nadgwiezdną dal:
„Gdy mię bezczeszczą w błazeństwa szale —
Boże! – piorunem uderz mię, spal"...

Milczy błękitne niebo, milczy Bóg.

Drżyj Hohenzollernie – przodowniku!

*

4. Za „znakiem", — za chorągwią ziemi krakowskiej — na koniu — on — h e t m a n w s u k m a n i e...

*

5. A potem, a dalej...

Trzystu jezdnych, „półksiężycem" — hufiec w ordynku militarnym — „pany—chłopy, chłopy—pany" — w najautentyczniejszych sukmanach — — —

...A — a! Nie bój się, Krakowie, i ty, „Galicyo zachodnia"! Wiedeń otworzy usta, otworzy! Ogłupieje — nie ponad nas wszelako! o, nie!

Co za obraz!

Lud — pany — mieszczanie — wszyscy zbratani — wszyscy przystrojeni w sukmany... Wiedeń, Ringi, podłe maski, farbowany fałsz, obrazki, — hetman sukmanny na czele —

— „hołd polski" —

Drżyj Hohenzollernie — przodowniku...

*

6. ...Gospodarzu, Włodzimierzu! Wszakci byłeś na weselu! Czas pomyśleć o przymierzu—wspomnieć czas o przyjacielu, co od wczoraj leży w grobie, co przez Czepca mówił tobie:

„Człek człekowi nie dorówna,

. . . .

nie polezie orzeł......"

*

7. Pojechali — huczni, gwarni, weselni na Ringi — z Wawelu. Opustoszał królewski podwórzec, zamknęły się ciężkie wrzeciądze wrót.

Oby się nie rozwarły, gdy wrócą, boć miejsce to święte jest i nie godzi się go kalać prochem z Ringów wiedeńskich...

Cicho, bardzo cicho na Wawelu — i w katedry podziemiach.

...Rozedrzyj, Hohenzollernie, przewodniku chóru operowego Rzeszy niemieckiej, płaszcz biały i zegnij żelazny kark pod jarzmo hańby i wstydu. Oto jeden z ludów Austryi przychodzi do głosu.

Płacz i kajaj się, mnichów-rycerzy dziedzicu, Hohenzollernie, przodowniku operowy: z Wawelu królewskich wrót wybiegł

—balet polski—

on ci Grunwald na Ringach zgotuje...

* * *

...A możebyście, chłopi galicyjscy, zechcieli nie pojechać na Ringi? Czasy się odmieniają: synowie i wnuki wasze gotowiby się sromać, gdy o was powie historya: „Oni byli na Ringach".

(m) „Nowej Gazecie" z każdym dniem coraz bardziej podobają się mówki p. Dmowskiego. Więc pocóż było dawniej tyle hałasu podnosić przeciwko „panu prezesowi"? Wszakże zarówno przedtem, jak i dzisiaj ostatecznym wynikiem tych mówek jest frazes, jeśli niezawsze bardzo brzydki, to w każdym razie czczy i szkodliwy, do niczego nieobowiązujący. Zarówno dawniej, jak i dzisiaj, były to mniej lub więcej sprytne, gramofonowe surrogaty mów politycznych, usypiające opinię społeczną, wzbudzające zaufanie „sytych brzuchów". „Dla nas — mówi p. D. — nie istnieją w Rosyi

partye, istnieją tylko te lub inne dążenia i czyny polityczne". Cóż to za wygodna sytuacya!

P. Dmowski od pp. Bobrzyńskich, Dziembowskich, Głąbińskich.... nigdy niżej nie stał. Niema obawy: i bez poparcia „Nowej Gazety" p. Dmowski jeszcze wysoko zajdzie. „Nie budzą tacy ludzie — mówi J. Bartoszewicz — współczucia dla siebie, w upadającym narodzie zawsze ich mnóstwo, toczą ciało narodowe". Dla jego dostojności przypominanie, że to, co jest łaskaw dziś zużytkować dla swego frazesu, oddawna już mówili gromieni przez jego przyjaciół postępowcy, jest jakgdyby wiatr wiał, jakby żaby wieczorem rechotały.

(P. W.) Najświeższą sensacyą Warszawy (oczywiście, nie tej myślącej i pracującej, lecz brukowej) jest „drapacz chmur", czyli gmach ośmio-piętrowy, który wystawić zamierza Tow. telefonów „Cedergren". Najpoczytniejsze brukowce (codzienne i tygodniowe) poświęciły „drapaczowi" artykuły i ilustracye, a jedno z pism „prawdziwie demokratycznych" zaszczyciło go nawet... artykułem wstępnym.

Jaka szkoda, że tasama prasa kuryerkowa, opiewając sensacyę zewnętrzną Tow. telefonów w postaci „drapacza chmur", pomija milczeniem inną sensacyę tej zacnej instytucyi... Sensacyą tą jest wyzysk pracy telefonistek, stosowany na jaknajszerszą skalę.

Na stacyi telefonicznej pracuje ogółem około 220 telefonistek, pobierających za godzinę pracy z początku 15, a potem 18 kopiejek. Teoretycznie telefonistki pracować powinny 7—8 godzin, w praktyce jednak (wobec szerokiego stosowania systemu znanego w stosunkach robotniczych pod nazwą „roboty pofajerantowej") pracują po godzin 10, 12, a nawet 14. W godzinach zajęć telefonistki upadają pod ciężarem pracy, ponieważ — w stosunku do ruchu—pracuje ich na stacyi zbyt mało. W dniach zaś, kiedy ruch się zmniejsza, a więc w soboty i święta, personel też się zmniejsza o $^2/_3$. Praca nocna jest jeszcze uciążliwsza, gdyż na całej sali zostaje zaledwie 3, 4 pracownice. Zdaje się więc, że eksploatacya pracy jest tu posunięta do ostatnich granic; niekoniec jednak na tem: nad „prawidłowością zajęć" czuwa 12 kontrolerek, na których czele stoi t. zw. inspektorka, będąca dosłownie panią życia i śmierci. Telefonistce niewolno się obejrzeć, niewolno opierać się o krzesło; niewolno w ciągu pierwszych 6 godzin pracy wstać z miejsca, chyba za zezwoleniem kontrolerki. W razie jakiegokolwiek „przewinienia" udzielany jest kilkutygodniowy urlop — oczywiście bez pensyi. Kary zaś, aż do usunięcia z posady, są tak częste, że telefonistek pracujących dłużej nad rok jest zaledwie $^1/_3$.

Jeszcze jedno: w kontrakcie, który telefonistka podpisuje, jest taki ustęp: telefonistka nie może podsłuchywać rozmów abonentów; w razie jednak, jeśli dyrekcya tego zażąda, telefonistka obowiązana jest komunikować dyrekcyi treść słyszanych rozmów.

Takie to sensacyjne umowy zawiera Tow. telefonów „Cedergren" ze swemi pracownicami!

Dziesięciolecie „Przeglądu Filozoficznego“.

Uchodzimy powszechnie za naród najmniej filozoficznie wykształcony ze wszystkich kulturalnych. Do pewnego stopnia to słuszne. Ogół nasz do dziś dnia nie umie myśleć. Wszystkie czyny narodu od lat dwustu conajmniej dowodzą tego w sposób jaskrawy. Czyny polityczne w epokach, kiedy nie mogło być wątpliwości, co robić należy, nosiły cechę tej połowiczności, która zawsze bywa następstwem niejasności myśli, nieobeznania się z logiką i jej bezwzględnemi wymaganiami. Dość przypomnieć lata 1794 i 1830, kiedy nie umiano się pogodzić z nieprzełamaną jasnością faktów, kiedy próbowano samych siebie oszukiwać tysiącem „możliwości“ nieziszczalnych, naiwnych, kiedy nie umiano z całą stanowczością chwytać się czynów, jakie nasuwała logika, jako jedyną życiową możliwość. Brak energii nie jest tylko następstwem małoduszności. Również często bywa skutkiem braku uświadomienia, braku kultury myślowej, a—co za tem idzie—braku *siły przekonania* o słuszności takiego, nie zaś innego, postępowania.

Z miłem przeto zdziwieniem stwierdzamy obecnie, że społeczeństwo nasze uczuło w sobie potrzebę kultury filozoficznej—sztuki myślenia. Oto „Przegląd Filozoficzny“, pismo tak „specyalne“, istnieje już u nas dziesięć lat i bynajmniej nie może się uskarżać na brak prenumeratorów w porównaniu z podobnemi czasopismami zagranicą. Nie skarży się również na brak współpracowników, bo przez cały czas istnienia wydrukowało *jedną* zaledwie pracę obcego, tłumaczonego autora, liczba zaś samodzielnych autorów polskich, którzy zamieścili swe prace w „Przeglądzie“, jest bardzo poważna— *152.* „Piszących, którzy jednorazowo drukowali swe prace — czytamy w sprawozdaniu dziesięcioletniem tego pisma — było 58, reszta drukowała po kilka lub kilkanaście razy“. Przytem prace, zamieszczane w „Przeglądzie“, były zawsze wartości niepoślednie). Dowodem tego fakt, iż nawet niektóre z odrzuconych przez redakcyę prac drukowały pierwszorzędne pisma obce, nie mówiąc już o licznie tłumaczonych z „Przeglądu“, który ze swej strony, jak mówiłem, nigdy prac nawet polskich autorów, którzy ogłaszali je w obcych językach, dla swojego pisma już nie przyjmował. W ten sposób „Przegląd Filozoficzny“ wnosił do ogólno-europejskiej kultury filozoficznej istotnie coś nowego, samodzielnego, co możnaby uważać za początek właściwej polskiej kultury myślowej — na szerszą skalę.

Cała zasługa w utworzeniu tego pisma przypada w udziale jego redaktorowi, p. Władysławowi Werysze, który rozwinął w zorganizowaniu go, w kierownictwie, w podtrzymaniu jego istnienia—cichą, wytrwałą i pomysłową energię, takt i rozum. Jestto zasługa pierwszorzędnej wartości — dla przyczyn, wypowiedzianych wyżej. Z zainteresowania się tem pismem widać, że przestano już u nas filozofię uważać za coś „oderwanego od życia“, że „pozytywne“ teorye nie wykorzeniły u nas ze szczętem budzących się chęci do podstawowego, bezwzględnego myślenia. Może kiedyś przestaniemy się wreszcie łudzić chęciami łączenia ognia z wodą, godzenia niemożliwych do pogodzenia sprzeczności, np. czynu i bezczynu; może kiedyś postępować będziemy równie radykalnie, jak myśleć; może zrozumiemy, że konsekwencya myśli prowadzi nie-

ubłaganie do konsekwencyj życiowych, a nietylko „upoważnia" lub „usprawiedliwia". Wiemy, do czego doszedł naród, który umiał myśleć — Francuzi — w końcu XVIII w., idąc za śladem logiki. Przecież tam walczono nietylko o to, co chciał żywioł. Kierowników ruchu pchało do czynów bezwzględnych mocne przeświadczenie o tem, że to, co robią, jest konieczne, że dawne wartości świata są już w myśli ludzkiej przezwyciężone, że są już absurdem, który życiowo zwalić trzeba tak, jak są zwalone w duchu.

Ale nie na samem stworzeniu i organizacyi pisma polega zasługa redaktora „Przeglądu Filozoficznego", który obecnie, nie przestając być pismem ogólnem, jest przedstawicielem „Polskiego Towarzystwa Psychologicznego" w Warszawie, „Polskiego Towarzystwa Filozoficznego" we Lwowie i „Polskiego Towarzystwa badań nad dziećmi". Wł. Weryho pobudził cały ogół do interesowania się myślą współczesną przez założenie w redakcyi „Przeglądu" czytelni czasopism filozoficznych i utworzenie Biura pośrednictwa pomiędzy specyalistami różnych gałęzi filozoficznych. Ponieważ zaś dotychczas liczba uczestników tego biura, przedstawicieli różnych specyalności, dochodzi do 200, można wyniku powinszować. Wreszcie zaś „Przegląd Filozoficzny" poważnie przyczynia się stale do podniesienia kultury myślowej u nas przez wydawanie wybitnych dzieł filozoficznych ze szczególnym naciskiem na współczesne kierunki krytyczne.

J. Kl.

—— I. Wydawnictwa Polskiego Stowarzyszenia Równouprawnienia Kobiet: 1) *L. Jahołkowska-Koszutska*: Herezye w ruchu kobiecym; 2) *E. Chwalewik:* Ekonomiczne czynniki ruchu kobiecego; 3) *St. Koszutski*: Kobieta i polityka; 4) *C. Walewska*: Z dziejów krzywdy kobiet.

—— II. Wydawnictwa im. Elizy Orzeszkowej: 1) *T. Męczkowska*: Ruch kobiecy; 2) *A. Szycówna*: Kobieta w pedagogice — Matka.

—— III. Biblioteka Równouprawnienia Kobiet: 1) *A. Leśniewska*: Nowa dziedzina pracy kobiet; 2) *M. Dulębianka*: Polityczne stanowisko kobiet.

Czterdzieści lat prawie upłynęło od chwili, kiedy John Stuart Mill pisał, że „poddanie jednej płci pod władzę drugiej stanowi zasadnicze zło, a zarazem jedną z głównych przeszkód, tamujących postęp ludzkości". Od owego czasu wiele się zmieniło w roli społecznej kobiety, w jej umysłowości i charakterze, a nawet w jej położeniu prawnem. Sprawa kobieca wszędzie wysunęła się na czoło zagadnień społecznych. Pogląd Milla coraz więcej znajduje zwolenników, a zasada równouprawnienia kobiety z mężczyzną przenika nietylko do pojęć ogółu, ale i do życia.

U nas rozwój sprawy kobiecej opóźniło nieco polityczne położenie kraju.

Dążenie do jej duchowego podniesienia, do usamodzielnienia jej pod względem towarzyskim, do rozszerzenia zakresu jej pracy i horyzontów życiowych — wypełniało działalność Hofmanowej, entuzyastek ze Żmichowską na czele i wielu innych. Jeżeli ruch kobiecy u nas nie wszedł na właściwe tory, t. j. na drogę walki o prawa, tłumaczyła to Orzeszkowa w swem studyum „o kobiecie w Polsce" tem, że „o wywalczenie dla kobiet praw politycznych lub równouprawnienia w prawach cywilnych wobec położenia kraju mowy być nie może", rozumiała więc, że strona społeczna sprawy kobiecej tkwi w jej równouprawnieniu w życiu i ustawach, i że tylko warunki

polityczne zmuszają skierowanie sprawy ku jej rzeczywistemu rozwiązaniu odroczyć do szczęśliwszych czasów.

Entuzyazm. z jakim przyjęto w 1873 r. dzieło Edwarda Prądzyńskiego „O prawach kobiety“, dwa jego wydania w ciągu dwóch lat dowodziły, że sympatya dla zasady równości płci coraz szersze zatacza kręgi.

Sprawa kobieca oczekiwała sposobnej chwili i znalazła ją przed kilku laty, kiedy zmiana warunków politycznych pozwoliła wypowiedzieć się tajonym przez długie lata dążnościom i pragnieniom. Kobiety skupione już podówczas około p. Pauliny Reinschmit-Kuczalskiej i za jej inicyatywą zawiązały „Koło pracy kobiet“, przeobrażone następnie w „Związek równouprawnienia kobiet“ i rozpoczęły bardzo energiczną działalność w kierunku swych zadań, a więc: rozszerzenia roli społecznej i horyzontów umysłowych kobiety z jednej, a propagandy równouprawnienia kobiet z drugiej strony. Pewna ilość członkiń Związku odłączyła się od niego i utworzyła „Stowarzyszenie równouprawnienia kobiet“, o celach podobnych do tamtego. Nie zaszkodził widocznie ten rozłam samej sprawie, skoro tak obfite zbiera ona plony. Niewiele jest zagadnień społecznych, które mogłyby się pochwalić równą energią swych bojowników. Oto leży przedemną aż ośm broszur, wydanych w ostatnich czasach. Cztery z nich należą do Stowarzyszenia, dwie — do Związku, dwie wreszcie — do „Wydawnictwa jubileuszowego imienia Elizy Orzeszkowej“.

Broszury p. A. Leśniewskiej (Nowa dziedzina pracy kobiecej) i A. Szycówny (Kobieta w pedagogice—Matka) poruszają tematy poszczególne. Pierwsza mówi o pracy kobiet w aptekarstwie, o własnych w tym kierunku usiłowaniach autorki, jako założycielki apteki, obsługiwanej wyłącznie przez kobiety, i szkoły farmaceutycznej żeńskiej, o przeszkodach i niechęci, które napotykała na początku swej pracy, wreszcie o stopniowej, korzystnej zmianie opinii. P. Szycówna w „Matce“ zdaje sprawę z odpowiedzi otrzymanych przez nią na kwestyonaryusz, ktory rozesłała do matek z zapytaniem: w jaki sposób pojmowały i wykonywały swoje obowiązki matek — wychowawczyń, jakie miały do tego przygotowanie, czy z wiedzą swą dzieliły się z innemi matkami, jakie wreszcie reformy pedagogiczne uważają za najpożądańsze. Szczupła ilość 89 odpowiedzi nie dostarczyła zapewne materyału do jakichś ścisłych i stanowczych wniosków; p. S. zastrzega więc, że wysnuła z niego tylko wiele „ciekawych szczegółów co do obecnego stanowiska matki-polki w wielkiem dziele wychowania“; dochodzi jednak do wniosku, że „dzisiejsza matka-polka jest prawdziwą matką obywatelką, pracującą dla przyszłości narodu: nie zrywając z tradycyą, śledzi ona współczesny postęp wychowania, interesuje się kwestyą jego reformy, usiłując w nich zająć własne stanowisko“. Wniosek ten może niezupełnie zgadza się z zastrzeżeniem, o którem wyżej mowa, co zresztą nie przesądza zupełnie jego słuszności, przynajmniej co do tych matek, które nadesłały odpowiedzi na kwestyonaryusz.

Obok tych dwóch książeczek, poświęconych zagadnieniom poszczególnym, wszystkie inne sięgają do podstaw sprawy kobiecej, ogarniając z tego czy innego punktu widzenia jej całokształt. Nie mam potrzeby chyba wspominać, że wszystkie one stoją na gruncie zupełnego równouprawnienia kobiety, a jako wydawnictwa, mające ściśle określony cel polityczny, celowi temu służą. Nie będę przytaczał tutaj ich treści, choćby dlatego, że zawierają one materyał znany, argumenty wielokrotnie powtarzane. Broszury, o których mowa, nie mają na celu głoszenia nowych myśli, ale pro-

pagandę zasad znanych i przez liczne koła już dziś uznanych. Wszystkim wiadome są argumenty, które są przytaczane w obronie równouprawnienia kobiety, jego przedmiot i zakres, oraz środki, którymi dążyć należy do jego wywalczenia. Zapewne zachodzą w poglądach różnice, nawet dość istotne, ale niemniej znane.

P. Chwalewik, stając na gruncie materyalistycznego pojmowania dziejów i uznając, że „istotną przyczyną, która powołuje do życia wszelkie formy socyalne i nadaje wybuchającym ruchom społecznym prężność największą, jest potrzeba ekonomiczna", wykazuje w swej broszurze, jak położenie prawno-społeczne kobiety było w zależności od sposobów produkcyi, i jak obecny rozwój życia ekonomicznego wysunął sprawę jej wyzwolenia, które nie jest „jakimś wymysłem kółka czy też grupy kobiet rozentuzyazmowanych lub niezadowolonych z otoczenia i siebie samych", ale koniecznością historyczną. Szczególne znaczenie nadaje p. Chwalewik ruchowi wśród kobiet pracujących, proletaryuszek, przez które sprawa kobieca łączy się ze sprawą społeczną wogóle. „To utożsamianie ruchu kobiecego, kończy p. Chwalewik, z ogólną kwestyą społeczną, rozdwaja wprawdzie siły kobiece na dwie nierównomierne części i wnosi do całego ruchu rozdźwięk, wytyka mu natomiast właściwą drogę do rozwoju w przyszłości. Kobieta z klas pracujących cierpi podwójnie. Cierpi ona wskutek swych towarzyskich i społecznych upośledzeń, lecz głównie z powodu ekonomicznej zależności swej narówni z całą klasą pracującą. Ta właśnie zależność winna być drogowskazem dla rozwoju ruchu kobiecego w przyszłości".

Drogowskazu tego nie uznaje p. Dulębianka, która kwestyę kobiecą uważa, do pewnego stopnia, za niezależną od jakiegoś określonego kierunku społecznego. Program p. Dulębianki ma być przedewszystkiem bezpartyjny: nie chce ona wiązać sprawy kobiecej ani z programem N. D., ani z programem S. D. „Dla samej opozycyi, mówi, nie zwalczajmy nikogo, żadnego stronnictwa, żadnego przeciwnika, i owszem, oddajmy każdemu, co mu się należy, ale zwalczajmy do upadłego wszystko to, co staje na przeszkodzie ku postępowi i uregulowaniu stosunków ludzkich na zasadzie sprawiedliwości". A na przeszkodzie staje mu, według p. D., kapitalizm, militaryzm, i wróg gorszy od nich, bo bliski i codzienny, każdy ucisk, każdy fałsz, każda nieprawość. Szkoda, że autorka nie wyjaśniła bliżej, w jaki sposób, uzbrajając się przeciwko tym wrogom, nie zbroi się jednocześnie przeciwko stronnictwom, które są naturalnymi obrońcami tych wrogów, i w jaki sposób odłącza sprawę kobiecą od sprawy tych stronnictw, które walczą z tym samym wrogiem, co i kobiety?

Nie twierdzę bynajmniej, aby t. zw. feminizm niezależny, t. j. kierunek uznający, że sprawa kobieca ma swoje strony specyalne, które nie pozwalają jej roztopić się np. w socyalizmie, nie był do pewnego stopnia uzasadniony, przynajmniej w dzisiejszym ustroju i okresie walki, ale p. D. tego nie uzasadniła, a to stanowiło, zdaje się, główne zadanie jej broszury.

Dobrze natomiast, według mego zdania, sformułowała stosunek sprawy kobiecej do ogólnego postępu społecznego p. Męczkowska. „Z racyi podwójnej swej niewoli, kobieta musi walczyć nietylko o to, o co walczą rzesze wydziedziczonych, lecz i o zdobycie tych praw, których ją pozbawiono jedynie ze względu na płeć". Kobieta walczyć musi zatem i jako obywatel, i jako kobieta; musi walczyć obok mężczyzny i z mężczyzną. Nie może zerwać związku z ruchem ogólnym, ale nie może się w tym

ruchu całkowicie zamknąć. Równouprawnienie kobiety urzeczywistnionem być może tylko na podłożu ogólnych reform, a jednocześnie przyczynia się do ich urzeczywistnienia. Słusznie też mówi na jednem miejscu p. Męczkowska, że „kobiety pojmowały zawsze i pojmują dziś dobrze, że to, do czego dążą, czego pragną, wiąże się ściśle z całokształtem życia, jest cząstką ogólno-ludzkiej wolności i może być osiągniętem dopiero wówczas, gdy stosunki społeczne zostaną oparte na innych, niż dotąd, podstawach", a na innem znów miejscu, że „zdobycie praw zapewni kobiecie udział w życiu społecznem, a tem samem umożliwi wniesienie do tego życia nowych pierwiastków kultury". Książka p. Męczkowskiej wskazuje te pierwiastki, i są one tesame mniejwięcej, co u p. Dulębianki. „Ideały, do których dąży ruch kobiecy, będą dopiero wówczas urzeczywistnione, gdy w umysłach, charakterach i usposobieniach ludzkich zyskają przewagę dobre, szlachetne pierwiastki, gdy one będą sprężyną myśli i czynów naszych". Walka obok mężczyzny o wyzwolenie człowieka, walka z fałszem małżeństwa i prostytucyą, z alkoholizmem i militaryzmem, demokratyzacya szkoły i koedukacya — oto ideały etyczno-społeczne ruchu kobiecego. Mają one stworzyć podstawę dla „nowego" życia, które będzie kresem krzywd i cierpień człowieka wogóle a kobiety w szczególności.

Ile cierpień miała ona, o tem pięknie mówią „Dzieje krzywdy kobiet" p. Walewskiej.

„Wyzwalająca się Ewa staje u podnóża trybun publicznych: chce zabrać głos, chce powiedzieć, co ją boli, wskazać na rany swoje odwieczne... Spycha ją upór, zaciekłość, przemoc władztwa, które nie chce podziału".

Kobieta chce zabrać głos... to znaczy, że jej potrzeba praw takich samych, jakie ma mężczyzna, aby mogła z nim wspólnie urządzić życie, któreby uwzględniało potrzeby nie połowy, ale całego rodzaju ludzkiego. Postulat ten ze stanowiska potrzeb i korzyści kobiety i państwa uzasadnia p. Koszutski w broszurze „Kobieta i polityka" na podstawie całego szeregu konkretnych objawów życia społecznego i politycznego; p. Jahołkowska-Koszutska zaś, jakby w poparciu postulatów prawno-politycznych broszury poprzedniej, w polemice z Ellen Key, obala jej twierdzenie, jakoby natura kobiety wskazywała jej jakieś odrębne, a niższe funkcye społeczne i umysłowe w porównaniu z mężczyzną, i dochodzi do prawie słusznego wniosku, że niezależnie od tego, „czy kobieta *dorówna* mężczyźnie w twórczości ideowej, czy pozostanie na *drugim* planie, ...należy jej się najdoskonalszy, najpełniejszy rozwój, wyzwolony z *okowów prawa*, *przesądów społecznych*, *nawet z dogmatów feminizmu.*"

Wniosek ten nazywam prawie słusznym dlatego, że wyraz „dorówna" pozwala przypuszczać, że autorka jakgdyby rezygnuje z tego, co jednak według niej stanowi cel pożądany, choć niedościgniony. Czyżby p. J.-K. sądziła, że kobieta może rzeczywiście zdobyć się tylko na naśladownictwo i współdziałanie z mężczyzną? Zdaje się, że tak nie jest, bo o kilka wierszy wyżej ponad cytowanym ustępem jest mowa o „własnej kobiecej indywidualności". A więc nietylko o dorównanie mężczyźnie chodzi, ale o pójście także własną drogą, o wniesienie do życia pierwiastków ducha kobiecego.

Według mnie, tutaj właśnie tkwi istota sprawy kobiecej; równouprawnienie płci potrzebne jest dlatego, aby wyzwolić z okowów prawa i przesądów indywidualność

kobiecą, te jej pierwiastki, które odróżniają ją od indywidualności mężczyzny. Przyznać należy, że żadna z broszur cytowanych powyżej nie zapomina o indywidualności kobiecej. Żadna reforma ani żadna teorya nie zrobi z kobiety mężczyzny. Zawsze istnieć będą pomiędzy nimi różnice, i nie spotykamy już dzisiaj śmiesznych aspiracyj do zniesienia tych różnic.

Kobieta jest inna, a wchodząc w życie, jak słusznie mówi między innemi p. Dulębianka, „musi wnieść z pracą swoją jakąś nową cyfrę, nową wartość, jakiegoś nowego ducha“.

Ten duch jest konieczny, aby odrodzić ludzkość, odwrotnie — odrodzona ludzkość wyzwoli tego ducha.

Przyszłość należy do syntezy męskości i kobiecości.

Trzeba wszakże, aby kobiecość przemówiła, aby znalazła się w warunkach, w których zupełnie swobodnie wypowiedziećby się mogła. Otóż tutaj zrobić muszę zarzut tym wszystkim autorom i autorkom, których prace z taką przyjemnością przeczytałem: nie zdobyliście się na żadne silne słowo, któreby ujęło całą kwestyę kobiecą, któreby otwierało jakieś szerokie horyzonty, rozpalało wyobraźnię; nie powiedzieliście rzeczy najważniejszej: co powie kobieta, skoro jej pozwolą swobodnie mówić i działać; co to jest ta nowa cyfra, nowa wartość, nowy duch, który wniesie ona do życia? Nie jest to chyba walka z kapitalizmem, militaryzmem, prostytucyą, ani walka z fałszem i obłudą, ani propaganda etyczna, bo wszystko to już dawno wymyślili mężczyźni. Nie są to te poszczególne krzywdy kobiety, które ma uleczyć równouprawnienie.

Ruch kobiety jest większy i głębszy, niż przedstawiają go autorowie omawianych broszur, którzy, chociaż napisali rzeczy bardzo dobre, nie zdobyli się wszakże na siłę godną ważności sprawy, na słowa, któreby, jak grom, uderzały.

To jest jeszcze do zrobienia. *Józef Lange*

——— *Andrzej Baumfeld*: Andrzej Towiański i Towianizm. Zarys chwili i postaci – skreślił... W Krakowie, nakł. D. E. Friedleina, 1908 (str. 73+VI).

Aż dotychczas o Towiańskim i jego nauce piśmienny ogół nasz wie bardzo mało. To zaś, co wie, jest w dziewięciu częściach nieprawdą, a w jednej komunałami, naszpikowanymi „mistycyzmem“ („niezdrowym“ — *ad libitum*), „mesyanizmem“ („chorobliwym“—*ad libitum*), „obłędem religijnym“, „wizyonerstwem“, – wedle gustu i nieznajomości rzeczy,

Coprawda, bliższe zaznajomienie się z Towianizmem bynajmniej nie było ułatwione przez towiańczyków. Z drugiej znowu strony, prądy dominujące w społeczeństwie, niezupełnie sprzyjały dążnościom do poznania rzeczy zawiłych, a niemających bezpośredniej styczności z czemś niewątpliwie pozytywnem, jak np. uprzemysłowienie kraju, udoskonalenie rasy wyścigowych koni i t. p. Możnaby wskazać i inne przyczyny tego zjawiska, ale fakt pozostaje faktem: piśmienny, czytający, a nawet pisujący ogół nie wie o Towiańskim nic konkretnego.

Dziś powstają u nas nowe prądy myślowe. Czasem zdaje się nawet, jakobyśmy się zaczynali domyślać, że życie wielkiej społeczności musi opierać się na jakichś ideowych, a może nawet idealnych pierwiastkach. Stąd pewna skłonność publicystów (niektórych) do zaglądania w nasze skarbce ideowe, do poszukiwania testamentów

przeszłości. Jest więc wszelkie prawdopodobieństwo, że przyjdzie nareszcie chwila rozejrzenia się w spuściźnie ideowej tego, który nauką swoją wywarł ogromny wpływ na twórczość i życie Mickiewicza i Słowackiego.

Książka p. Andrzeja Baumfelda jest, o ile wiemy, pierwszą próbą syntetycznego a związłego ujęcia zjawiska, któremu było na imię *Andrzej Towiański*.

„Chciałem w tej pracy połączyć trzy rzeczy: zarysować postać Andrzeja Towiańskiego i najwybitniejszych z tych, którzy się z nim zetknęli; dać obraz chwili, w której wystąpił i działał, — i wykład pogladów jego i dążeń; wreszcie z tego wszystkiego wysnuć pewne objęcie syntetyczne".

Powiedzmy z góry: zadaniu swemu autor podołał, a zadanie bynajmniej nie było łatwe. Kto zna dzieła Towiańskiego, ten wie, jak trudno streścić bez okaleczenia zawiłą jego doktrynę, dążącą do objęcia życia w całym jego ogromie, od szczytów metafizycznych do suteryn życia powszedniego. Dlatego książką swą, niezmiernie przejrzyście napisaną, p. A. Baumfeld oddał czytającemu odłamowi społeczeństwa niepospolitą przyslugę, — tembardziej, że to, co napisał. nosi wyraźną cechę *wyświetlenia prawdy*, bez żadnych ubocznych tendencyj. Kładę na to szczególny nacisk. Albowiem, prawem reakcyi, mówiąc o Towiańskim, łatwo można było wpaść w drugą, przeciwną dotychczasowej, krańcowość: w dążenie do zatuszowania lub pominięcia tego, co stanowiło istotnie słabą stronę doktryny, zwłaszcza w jej praktycznem zastosowaniu; boć słabością był niczem nieusprawiedliwiony optymizm Towiańskiego w stosunku do rządów i hierarchii kościelnej. A wszakże optymizm ten posuwał się niejednokrotnie tak daleko, że stawał na granicy karygodności.

Zaiste musiał mieć w sobie jakowąś niezwykłą siłę człowiek, któremu „Bóg nie dozwolił przeczytać w całości ani jednej książki" (własne słowa Towiańskiego o sobie samym), — jeżeli klękał przed nim gieniusz tej miary, co Mickiewicz; jeżeli nawet po rozejściu się z „mistrzem, tenże Mickiewicz zawsze żywił dla niego głęboką cześć; jeżeli na gruncie jego nauki zeszli się zawsze rozdzieleni dotychczas „dwa na słońcach swych przeciwne bogi".

W szczupłej objętością książce swej autor nie pomija żadnego wybitniejszego momentu działalności, żadnego zwrotnego punktu drogi Towiańskiego i ludzi z nim związanych. Przez to właśnie dziełko to jest nader zajmujące i ujmujące czytelnika.

Niemniej interesujące są ostatnie karty tej książki, w których p. A. Baumfeld odpowiada na postawione przez się pytania:

„Czy Towianizm skończył się — błysnął i zgasł, czy też był początkiem, z którego snuje się dalszy wątek?" (str. 68).

Tu bowiem znajdujemy zwięźle, lecz dobitnie wypowiedziany światopogląd autora, przepojony wiarą w potęgę indywidualizmu. Tu również przekonywamy się, że autor nietylko *przestudyował* dzieła Towiańskiego i powstałą na ich tle literaturę, lecz *przemyślał*, *przebolał* i *przeżył* jego naukę, wyszedł poza nią, a przeto miał prawo mówić o Towiańskim i sądzić jego działalność.

Jan Adamowicz

—— *Andrzej Baumfeld*: Sam na sam z duszą-kapłanką. Napisał..... W Krakowie, nakł. D. E. Friedleina, 1908 (str. 71).

„Mistrz on i królewna Dusza" — „Błogosławiona pieśń wiosennego lasu" — „O

sześciu dniach stworzenia i siódmym dniu wypoczynku", — oto trzy poezye w prozie i wierszem, zrodzone z onego „Sam na sam z duszą-kapłanką".

Wszystkie trzy w jednym nastroju są pisane i jednym tonem brzmią, i w jednym bytują regionie. A regionem tym wiecznie gienezyjska mgławica przeczuć o tworzeniu się świata w duszy i poza duszą człowieka.

Każdy przeto rzut myśli-uczucia i uczucia-myśli poety wybiega poza kres rzeczywistości, która *jest*, bo się *stała*, i gubi się... w chaosie. Chaos ten jest może chaosem gienezyjskim — *możnością* stania się *kształtem*, lecz jest chaosem jeszcze, więc czemś, leżącem poza granicami wyobrażenia, świadomości, uczucia nawet.

Przeto zdaje mi się, że p. Baumfeld niewdzięcznego podjął się zadania, próbując oddać słowem żywem rzeczy, wobec których muzyka nawet jest niemal bezsilna. I dlatego też zapewne w dźwięcznych częstokroć akordach jego poetyckiej mowy znać więcej kunsztu, niż natchnienia. A częstokroć i kunszt mu nie dopisuje, zwłaszcza tam, gdzie idzie o wywołanie efektu plastycznego. Nie pomogą tu wyrazy-nowotwory: „zśród", „wtopiona", „zstrzymał" i t. p.

Nie pomoże dziwaczne raczej, niż dziwne zestawienie wyrazów: „...mówił cicho i wolno—a było to tak, jakgdyby *słowa w nią zatapiał i jakby je z niej wyławiał*"... — albo: „... tę twarz tam obrócisz na światłość — o, taką: *z temi wciśniętemi w siebie ustami*..."— lub: „Spłynęły *nagie ciał stepy czerwoną krwią pocałunków*"...

Wszakże są to jeno „słowa, słowa, słowa" — dźwięczne czasem, ale niezdolne wywołać obrazu przed oczyma duszy czytelnika. I zdaje się ostatniemu, że i autor *myślał* o tych obrazach, ale ich *nie widział*.

Cóż dopiero powiedzieć o takich zwrotach: „...zapłaczemy powielekroć u trumny niezrodzonego dziecięcia — — — " — lub: „k'tobie opiłki bytów lgną, Magnesie Świata!..."

A impresya, czy wizya, czy sen, czy wymysł „O sześciu dniach stworzenia i t. d." zaczyna się tak:

„Nic nigdzie nie było dookoła. Gdziekolwiek się obrócił, był jakby w ogromnej, powietrzem wydętej masie. Ale ani masy nie było ani powietrza: Nic nie było nigdzie wokół niego".

No — no!..

Jest jednak w tych utworach p. Baumfelda coś, co nie pozwala obojętnie przejść nad niemi do porządku dziennego. Owem „czemś" jest niewątpliwie szczera praca duchowa nad zdobyciem sobie własnej formy wypowiadania się i nad ujęciem w kształt artystyczny niesfornych jeszcze przeczuć i nastrojów.

O ile się nie mylę, książeczka „Sam na sam z duszą-kapłanką" jest pierwszym dopiero słowem autora na tej drodze; i aczkolwiek, mojem zdaniem, słowo to brzmi niezbyt wyraźnie i samodzielnie, jednak daje ono prawo do nadziei, że dalsze utwory mogą wypaść fortunniej, niż pierwszy.

J. Adamowicz

Redaktor i wydawca: H. St. Pytliński Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa



WITEŹ

ROCZNIK I ≡ ZESZYT 10—12
Warszawa, 15 czerwca 1908 r.

ANTONI SZECH

Czy my mamy jeszcze nadzieję?

W najsmutniejszych chwilach porozbiorowej historyi naszej — w najciemniejszych dniach, które przeżywaliśmy, świeciła nam ona, jak gwiazda polarna na pochmurnem niebie — Bywało, że mrok wokoło stawał się ciężki, straszny, że otchłań huczała burzą okrutną — że fale i wichry miotały się w nas z dziką nienawiścią, a chmury — całe zaciągały niebo i wszystkie gasiły na niem gwiazdy, wszystkie światła, wszystkie skrawki jaśniejsze nieba — Ale ta jedna gwiazda, gwiazda nadziei — pozostawała zawsze —

Do niej zbliżyć się nie śmiały czarne chmur kłęby, ją omijały spłoszone dymy mgieł, pajęczyny gęste oparów—Brylantowa, jasna pośród mroków nocy, naprzekór tym gęstym, czarnym chmurom, urągając burzy, co szalała wokoło, i wściekłości wszystkich mocy ciemnych—ona świeciła zawsze—I cudny, łagodny jej promień spływał z nieba ku nam—ku łodzi naszej i szlak nam znaczył poprzez spienionych fal grzywy w dal, w mroki mgieł, co wszystko zaległy, w poświst burzy, w łono wichrów, w przyszłość—

I na czołach naszych promień jej kładł blask swego światła, że mrok ogarnąć ich nie mógł, ni chmura okryć ich i zasępić—I w oczach nam świecił głębokim, tajemniczym blaskiem, którego zaćmić nie mo-

gli nieprzyjaciele nasi i przyszłości naszej grabarze—blaskiem bohaterskiej potęgi duszy—niezwyciężonej, niezwalczonej mocy—I do serc się naszych przedostawał i tam łzy nasze gorzkie, tajemne w perły cudowne przemieniał—i rany nam bliźnił, krwawiące się czerwono,—i otuchę wlewał i siłę —

I w stal hartowną—w nieskruszony przemieniał ją spiż—

I można było życia nas pozbawić —

I można było serca wyjąć nam z dymiących, krwawych piersi —

I kraj cały krwią zalać —

I w pustynię ruin, zgliszcz, popiołów go zamienić —

W jeden wielki, posępny cmentarz, kędy nad grobami i nad lasami krzyżów jęczy czarnych ptaków stado—i wichry wyją—

Ale nadziei odebrać nie było można—Ale tej gwiazdy jasnej zgasić—ni jej zaciemnić—nigdy—

Wśród mroków, wśród smutków, wśród coraz straszniejszych ciemności—

Ona promieniała owszem żywiej, ona nabierała blasków, ona potężniała tylko—

Ta błogosławiona gwiazda nasza—nadzieja—

I nic zgasić jej nie było w stanie —

Choć wszystko wokoło bluźniło nadziei—Choć wszystko, co było, co się widziało dokoła, czego spodziewać się rozsądnie było można—urągało jej—

Choć rozum jej przeczył, choć oczywistość była przeciw niej—

Choć szalonym trzeba było być, by ją zachować—

Ona nas jednak nie opuszczała—

Choć wszystkie głosy nieba i ziemi piekielnym krzykiem, szatańskim chórem, piorunową gromów muzyką wrzeszczały przeciwko niej—ona cichym, łagodnym dźwiękiem brzmiała w głębi dusz naszych, w jakiemś „świętem świętych“ naszego serca, a dźwięk ten zgłuszyć się nie dawał wszystkim tym wrzaskom—

I cichy, łagodny, lecz uparty przemagał tamte—

Silniejszy, potężniejszy był od nich —

* * *

Na pobojowisku wśród gruzów i trupów krwawiących, jęku rannych i kałuż krwi dymiącej i krzyków dzikiego ptactwa, co chmurami

na żer leciało—na tle łun, palonych wsi i miast naszych—i stratowanych i kulami zrytych pól naszych —

Na mogiłach naszych bohaterów i kurhanach dawnej sławy naszej —

Wśród krwawych odblasków nieba i ziemi —

Brzmiała pieśń wieszczów naszych dźwiękami nadziei i lotem sokolim wzlatywała ku niebu—i przed tronem upadała Bożym—i Aniołem biegła ku przyszłym pokoleniom, Aniołem, co czuwać miał nad duszami dziatek—i budzić serca zastygłe—i zapalać oziębłe—a w chwilach smutku ręce swe białe kłaść miał na czoła blade i wznosić je ku niebu —

Z pieśnią nadziei szły legiony nasze poprzez niebotyczne szczyty Alp śnieżnych—i zawrotne skalne zwały Pirenejów—i zielone, lasami cyprysów i pinij zarosłe doliny Italii—i przekraczały morza i oceany, hen—ku krańcom świata za orłami Napoleona zmierzając —

I krok ich każdy—i czyn każdy—i kropla krwi ich każda—i każde westchnienie ich konania — aktem były nadziei i świadectwem przed Bogiem i światem —

Że żyje w nich—i nie zginie —

Z pieśnią nadziei jeśli nie na ustach, bo one przemocą brutalną zawarte być musiały, to w sercu przynajmniej — szły szeregi długie, smutne, bolesne wśród brzęku, poświstu—i dymów śnieżnych zawiei—i na bezludne, jak świat wielkie równiny—by ofiarą błagalną spocząć pod całunem białym tych bezkresnych cmentarzy —

I z pieśnią nadziei kładli się tu ci męczennicy nadziei wiekuistych —

I pieśń nadziei uparta, przekorna, nieśmiertelna, niestłumiona niczem, którą głębie serc polskich śpiewały—krzepiła ramiona tych, co przyszłość kuli w wiekuistych mrokach podziemi —

I pod krzyże męki towarzyszyła ona, jak Anioł skrzydlaty —

I głuszyła jęki czarami melodyi swojej—ta pocieszycielka nasza Boska—ten Anioł Stróż nasz—ta krzepiąca rosa w posusze serc naszych—ta gwiazda przewodnia nasza wśród burz i piorunów—pieśń nadziei —

I cała ziemia polska brzmieć nią się zdawała od krańca do krańca, od twardych Tatr szczytów — do poszumu fal Bałtyckiego morza i do rozśpiewanych pieśnią smętną zielonych stepów Ukrainy —

Słyszałeś ją i w bohaterskich podmuchach halnych wichrów — i w szumie rzek naszych i jezior — i w głosie orłów podniebnych — i w szeptach traw i kwiatów łąkowych —

Tę pieśń śpiewały święte nasze lasy czerwonych sosen i potężnych dębów—i zawodziły ją wichry czasu burz letnich i zawieruch zimowych — i w głosie dźwięcznym słowików słyszałeś ją i w jękach ciągnących żórawi —

I brzmiała nią ojczyzna cała — w sercach, duszach, w myślach i czynach, w lasach i trawach — i wszystkich głosach natury — jak jedna wielka, rozśpiewana srebrna arfa —

Tą pieśnią błogosławioną nadziei —

* * *

I jak niegdyś pierwsi wyznawcy Chrystusa, za przyjściem ukochanego Mistrza swego stęsknieni, z dnia na dzień oczekiwali go i zapowiedź przyjścia jego widzieli we wszystkiem —

I spać się kładąc, myśleli, że oto gromów muzyka ich zbudzi — i blask roztwierającego się nieba sen spędzi im z powiek — I za dnia spoglądali ku niebu, czy w promieniach słońca nie ujrzą ukochanej postaci—i nasłuchywali, czy nie zabrzmi pieśń anielskich hufców—

Tak i my czyniliśmy —

Z każdą wiosną czekaliśmy ziszczenia marzeń naszych — urzeczywistnienia naszych złotych nadziei —

I dziwno nam było, że się ono opóźnia tak bardzo —

I że zawodzi nas tak okrutnie —

Zaledwo echo dalekie zabrzmiało nad rozłogiem pól naszych odgłosami dział, co kędyś na krańcach ziemi grały —

Zaledwie zawierucha podniosła się gdzie od stepów dzikich — czy skał Kolchidy—czy od czarnych fal dalekiego morza —

Zaledwo drżenie jakie wstrząsnęło światem dusz—czy wicher czasów zahuczał złowrogo, uderzając w podwaliny jakiejś mocy, a ta się zachwiała —

Myśmy już słuch natężali, czy to nie głos spełniających się snów naszych—nie hasło dnia nowego —

Zaledwo łuna się podniosła od wschodniej czy zachodniej granicy naszej—czy zorza zaświtała jakiej nowej idei — czy błyskawica jakiego niezwykłego zdarzenia —

Myśmy otwierali oczy — czy to już nie blask, w którym znijdą ku nam oczekiwania nasze —

I niecierpliwi—trwożni—stęsknieni—do grobu tego przypadaliśmy cochwila, w którym ukochanie nasze złożono,—i ze drżeniem przykładaliśmy ucho, czy tam pod tym twardym, olbrzymim głazem nie budzi się życie —

Czy nie zadrga grób ten —

I nie zatrzęsie się ziemia —

I nie rozchyli się on, jak pęk kwiatu na wiosnę —

I nie nastąpi wskrzeszenie —

I wpośród krzyżów, mąk, cierpień, katuszy — i wielkich zawodów—i urągań losu—i wciąż rozwiewających się nanowo złudzeń —

My patrzyliśmy tylko — rychło li błysną blaski zmartwychwstania —

I cud się ziści —

Rychło li ta pieśń nadziei, którą rozbrzmiewała ojczyzna — którą śpiewały i serca wszystkie, i lasy, i łany, i wiatry —

Zamieni się w hymn tryumfu — w jeden olbrzymi hymn pochwalny —

Hymn świętego wesela —

Spełnionej nadziei —

* * *

A dziś czy my mamy jeszcze nadzieję?

Tyle już razy ona nas zawiodła —

Tyle już razy ta gwiazda nasza na błędne jeno zawiodła nas manowce —

Tyle już razy te grzmoty i gromy, cośmy jako zapowiedź zguby wrogów naszych uznawali, spadały na nas —

Tyle już razy te ognie niby zmartwychwstania — w czerwone, krwawe łuny klęsk się zmieniły —

I grób ów czarny, smutny ukochań naszych smutnym pozostawał —

A głaz twardy na nim gniótł go coraz bardziej—i ciemniej, straszniej było na nim coraz —

Rozbolały już oczy nasze—czy oślepły—od wypatrywania wciąż złudnych wschodów —

I uszy już słyszeć przestały—od ciągłego natężenia —
Zmęczyły się, wyczerpały serca —
Zbyt to już długa ta próba —
Zbyt wiele zawodów —
I nazbyt krwawych, okrutnych, złośliwych —
I zwątpić wolnoby nam już było —
I znienawidzieć—przekląć nadzieję —

* * *

Czy my jeszcze mamy nadzieję?

W. GINTOWT

...Mamy

Takie pytanie nie może zostać bez odpowiedzi. Samo jego postawienie z akcentem na *jeszcze* wywołuje wrażenie ukrytej w nim wątpliwości, a nawet przeczenia.

Co więcej, fatalne owo *„nie!"* już raz wypowiedziane zostało głośno i otwarcie przed czterdziestu kilku laty, kiedy klęskę dziejową uznali współczesne i następne pokolenia nie za przegraną bitwę, jak porywy dawniejsze, ale za straconą niepowrotnie sprawę.

Podówczas fałszywy ten wniosek nastręczał się niejako naturalnie; istotnie, w kataklizmie została rozgromioną ostatecznie szlachta, która do tego dziejowego momentu niepodzielnie reprezentowała naród, wypełniała całkowicie karty jego, a właściwie—własnej historyi to czarnem, to złotem pismem, a im bliżej końca, tem stylem podnioślejszym godnym epopei. Toteż bankructwo jej wyglądało, jako bankructwo całego narodu. Na opuszczonym przez nią pobojowisku nie dostrzegało się żadnych sił wolnych do działania, gdyż świeżo uwłaszczony lud ledwie się dźwigał z wiekowej niedoli, i trudno w nim było upatrywać i poznać dziedzica porzuconej sprawy,

Przytem, choć szlachta jako warstwa przodująca naturalnej tendencyi narodu upadła i wyrzekła się ojców bohaterskiej spuścizny, nie przepadła bynajmniej, [nadając w dalszym ciągu ogólny ton umysłowemu i obyczajowemu życiu. Ona nadal pisała, przemawiała za cały naród, nic więc dziwnego, że jej opinie wrzynały się najsilniej w społe-

czeństwo. Toteż owo „już nie“ rozpowszechniło się tak szybko, wrosło tak głęboko nieraz nawet w szerokie umysły i gorące serca, że ta niewiara w możliwość powodzenia stała się wkrótce podstawą mas, ideą aktu wiary politycznej, obowiązującą doniedawna wszystkich, a dziś jeszcze olbrzymią większość.

Przypisywany przez legiendę Naczelnikowi okrzyk *finis!* stał się po latach kamieniem staczającym się z wyżyn społecznych i umysłowych na głowy marzących o możliwości niezależnego bytu. Potem, gdy ze śmiertelnem westchnieniem mohikanina ostatniego wybuchu wytchnęła ducha jego szlachta, nikt nie przypuszczał, nikt nie chciał wierzyć, by tensam w swej najgłębszej istocie duch mógł się zczasem wcielić w inną, stokroć liczniejszą potęgę — w ciemnego zupełnie podówczas, a dziś ledwie jak cyklop jednookiego, ale silnego jak on olbrzyma.

Tak się jednak stało.

Świeżo przeżyte doby pierwszych drgnięć zaświadczyły wymownie, że to był nie wytrysk mętnego źródła, ale zakołysanie się niezmierzonego morza.

Kto kipiał w tej fali! Dość przypomnieć sobie brzmienie nazwisk niezapisanych w herbarzu, by przekonać się, że rylec nowożytnej historyi przeszedł z delikatnych w spracowane ręce.

Świeżo minął czas, kiedy zabłąkany do nas wędrowiec mógł pytać:

Czy to maki zakwitały na bruku, czy to krasne róże splotły konary przydrożnych drzew osad i wiosek?—tak było w kraju różowo... Czy śpiewające macie mury, grające pola i lasy? — tak od krańca do krańca leciał wstrząsający starem życiem śpiew...

Dziś zwinęły się w sobie purpurowe kwiaty, jak się stulają kielichy czułków przed nadejściem nocy — czyż to znaczy jednak, że zwiędły bezpowrotnie? Urwała się na ustach pieśń—czy to znaczy jednak, że nie huczy nadal we wściekłej z męki piersi?

Słońce wschodzące zaciągnęło się w chmury—czyż to znaczy jednak, że zagasło i nigdy już nie wstanie? —

Nie!

Wszystko to znaczy tylko, że się przerachowały nieuzasadnione lekkomyślnych nadzieje. Żeśmy pragnęli nabyć niżej ceny kosztu niemożliwie tanio rzeczy, które zawsze wszędzie drogo bardzo kosztują

i tak tylko opłacone posiadają wysoki gatunek i trwałość niepośledną.

Ale myśmy nie zyskali istotnie nic?

Przeciwnie.

Choć atmosfera jest groźna — przecież wolno znacznie lżej oddychać, niż przed kilku laty, — łatwiej się poruszać, wyraźniej mówić. A co najważniejsze, żeśmy już zduszeni na letarg w milczącej mogile nabrali w płuca świeżego powietrza, zaczerpnęli w pierś zapas tchu, którego nic odebrać nie zdoła. To wszystko zyskaliśmy od jednego drgnięcia jeszcze jednookiego olbrzyma.

Więc nie jest to wcale *finis*, ale dopiero *initium* odradzającego się narodu, nie finał, ale dopiero introdukcya zmartwychwstania.

Mamy więc nadzieję, i nietylko ci, co nie tracili jej nigdy, — ale mają ją także najzawziętsi jej grabarze. Beznadziejnej bowiem sprawy nikt nie ściga, nikt się jej nie boi, nikomu ona snu nie odbiera. Ta zaś sprawa wywołuje istne konwulsye gniewu, popłoch i niepokój.

Mobilizują się wielkie siły na zagładę nadziei, jakby w przeczuciu, że to nie ona, ale one giną. A im bardziej się srożą, tem przyśpieszają i gotują sobie straszliwszy zgon. — Bo niezłomna jest przeniknięta nią dziś siła, prężna i nieuchwytna jak powietrze, jak gaz, który można otoczyć żelaznym kożuchem i póty tłoczyć i uciskać, aż powłoka pęknie. Można ją udeptywać, jak ogień w torf, by się paliła coraz głębiej do dna, aż pożarem wybuchnie. I gdy się wszystko to czyni, można gryźć z powodu tylu cierpień, można gorzeć z oburzenia—ale niemożna mówić o utracie nadziei, lecz jedynie się sprzeczać o terminach jej spełnienia, o środkach, o drogach, o tych różnych załamaniach i skrętach, którymi kres swój osiągnąć musi, równie pewnie, jak rzeka, znaleźć ujście w morzu, i nic jej w tym biegu wstrzymać nie zdoła.

HENRYK STAP

Pewność

Człowiek, który dużo lub wszystko stracił, może mieć nadzieję odzyskania tego, co postradał, lub być tej nadziei pozbawionym, t. j. może spodziewać się zdobycia dóbr utraconych lub nie. Ziszczalność

zaś lub nieziszczalność nadziei polega na umiejętności wynalezienia i użycia środków do celu prowadzących. Bez myślenia o tych środkach, bez wprowadzania ich w życie, bez czynu — nadzieja jest tylko chimerą chorej wyobraźni, prowadzącą do ostatecznego zaniku wszelkiej energii, do leniwego przejadania życia — przy braku płodnej myśli o przyszłości. „Wiara bez uczynków martwa jest", a przymówisko ludowe: „nadzieja — matka głupich", dosadnie charakteryzuje karmiących i karmiących się *samą* nadzieją, jako źródłem wszystkich dóbr przyszłych, wszystkich „pieczonych gołąbków". Liczenie na coś, „co się stać musi" bez naszego udziału, na „jakoś to będzie", tak charakterystyczne u nas szczególnie w dobie dzisiejszej, jakaś bezmyślna wiara w cud — dowodzi napozór, że naraz przestaliśmy mieć podstawę do uzyskania tego, o czem zaledwie samą nadzieję żywić śmiemy. Bo trzeba to wyznać: gdy pozostaje tylko nadzieja — nie pozostaje już nic.

Czy więc jesteśmy jedynie dziećmi nadziei?

Gdy w przemianach czasu nastąpiły przemiany u nas — przemiany nader istotne, bo w samodzielność państwową godzące, nie poddawaliśmy się wiekowej rozpaczy, której wynikiem mogło być zwątpienie lub — nadzieja, jeno tworzyliśmy lub tworzyć usiłowaliśmy przemiany nowe, przywracające nam to, cośmy utracili. Oczywiście, czyniliśmy to z nadzieją dobrego skutku, ale nie byliśmy jej synami, lecz twórcami. Pobudką prac zawsze była pewność służenia dobrej sprawie, zasadniczość pragnień, podstawność żądań. Tej pobudki nie zabiły niepowodzenia i zawody; przeciwnie, czyniły ją one czujniejszą, prężniejszą, nigdy nie odwodząc od usiłowań może coraz trudniejszych, lecz zarazem może coraz odporniejszych i intensywniejszych. Tak pozostaliśmy sami sobą, ci-sami w najważniejszych pozycyach życia. Jeżeli zaś dowodem istnienia jednostki dla niej samej, dowodem bezwarunkowej konieczności tego istnienia — jest poczucie jej odrębności od otoczenia, inności, to tenże dowód z równą szansą da się zastosować do całych społeczności. A naród, zachowujący, mimo wszelkie przeszkody i tamy, wyraźną swą odrębność, indywidualność, nierozpływający się w innem środowisku mimo wiekowe ku temu parcie, lecz owszem istniejący sam w sobie — oddzielnie i niezawiśle — nawet po zdarciu zeń państwowości i mimo zewnętrzne naciski niekiedy zapierające oddech swym ciężarem, temsamem daje dowód niepożytej żywotności, która nie może być startą w proch i rzuconą na wiatr.

Jest więc zasadniczość pragnień, podstawność żądań, i tej zasadniczości, tej podstawności żadna moc złamać nie potrafi, są to bowiem rzeczy naturalne, przyrodzone. Stąd też i owe pragnienia tak zasadnicze, i owe żądania tak podstawne nie mogą być ani nazawsze bez zaspokojenia zgaszone, ani żadną mocą zwalczone, gdyż są one rezultatem przyrodzonego prawa do życia, nie zaś następstwem jakiejś umowy międzyludzkiej, której trwałość mierzy się trwałością i rodzajem międzyludzkich stosunków. Tu zaś miara przekracza zakres ludzkich docierań, nakazów, mocy fizycznej, traktatów, pozostając w sferze natury, której prawa do układu czasowych stosunków gromad człowieczych — nadto układu, będącego częstokroć skutkiem interesów jednostek — naginać się nie dadzą. Na tem też polega bezwarunkowa, nieulegająca wątpliwości konieczność odrębnego istnienia, znajdująca wyraz w przyrodzonem poczuciu tej odrębności, inności. Poczucie to nawet może być zatraconem w jednostkach, jest ono natomiast wiecznietrwałe w masach, spojonych jednolicie językiem, wierzeniami, podaniami, obyczajem i całą wogóle wspólnotą życia. Środki wynaradawiania najbardziej przymusowe nigdy jeszcze nie dopięły zamierzonego celu, będąc sztuczną, a więc względnie słabą i zgóry na pokonanie skazaną próbą pobicia siłą ludzką niepokonanego, bo naturalnego, prawa do istnienia. Temwięcej — że, o ile zawsze akcya rodzi reakcyę, w tym wypadku każda akcya zastaje gotową już reakcyę, jednocześnie wysuwaną przez niedającą się zgnieść przyrodę. Najszczelniejsza pokrywa nie zamknie nagromadzonej w najtęższym kotle pary. Owszem, im pokrywa będzie szczelniejsza, im ściany kotła — nieprzenikliwsze, prężna siła pary jakgdyby się podwoi, potroi... kocioł pęknie. Czy tu para będzie pierwiastkiem buntowniczym? Nie. Wypełni ona tylko żywiołowe prawo przyrody. Buntownikiem zaś przeciwko ostatniej będzie niefortunny gwałciciel pary, usiłujący ją zamknąć— wbrew wiekowemu doświadczeniu — w środowisku nieodpowiedniem, ograniczyć jej prężność, działalność, zniszczyć indywidualną moc, pozbawić jej energię ujścia. Toteż — miast powodzenia — zapewne ze zdumieniem ujrzy wręcz odmienne skutki pomysłu swego. Ale minęły już czasy, kiedy wolno było nieznać elementarnych zasad, na jakich opiera się każde życie. Dziś takie nieuctwo to zgubny anachronizm, prowadzący do następstw coraz groźniejszych.

Niedosyć jednak wypełnienia pierwszej części nakreślonego przez

naturę zadania. Wyzwolona para ulata i, swobodnie odrzucając kształty narzucone, zmienia formę, ustrój — już zgodnie z prawami przyrody. Nic tego pędu zahamować nie może: nawet wykonywana po drodze praca dla dobra ludzkości. Jest to bowiem mus — konieczność nieodwołalna, nieprzeparta. Toteż wiemy, że każdy byt musi mieć w pojęciu naszem określony kształt, formę, ustrój — dopóty zmienny, dopóki najlepiej odpowiadać nie będzie samemu bytowi i jego potrzebom. Kształt ów, forma, ustrój jest konieczny wskutek nieprzełamanych wymagań tak wewnętrznych, jak zewnętrznych. Niezbędność załatwień kulturalno-rozwojowych i gospodarczych łączy się z niezbędnością stosunków z innymi ustrojami. Tak gromady ludzkie rządzą się same w sobie i załatwiają sprawy pomiędzy sobą — tu i tam przez odpowiednie, wyłonione z siebie, rozumem swoim i wolą, organy. W innych wypadkach powtarzać się musi historya pary przepełniającej zamknięty kocioł.

Stąd właśnie wynika zarówno wspomniana zasadniczość pragnień i podstawność żądań, jak niezbędność opartych na nich a usilnych prac, konieczność nieopuszczania rąk, tudzież obowiązek odrzucenia jałowych zawsze lamentów, jałowego zawsze oglądania się na inne gromady lub równie jałowego przekarmiania się bezwolną i bezczynną nadzieją. Na sztandarach widnieć ma nie nadzieja, lecz pewność; nie powinniśmy być dziećmi nadziei, lecz jej twórcami; nie mamy iść naprzód frazesem, leez myślą i czynem; musimy nietylko przekonywać, lecz przekonać, stojąc mocną stopą na pewnym gruncie przyrodzonych praw swoich, które przez nikogo nie mogą być nigdy przeinaczonemi ani obalonemi. Prosta, jasna i niezawodna droga.

Jest fatalna pora przypominania prawd tak pewnych, jak niezawodne są cięcia miecza doświadczonego w bojach wojownika; jest fatalna pora czynienia porachunków pojęć ubiegłych i bieżących; jest fatalna pora wykazywania błędów minionych i zamierzanych. Czyż wiecznie chadzać będziemy chmurnemi i omylnemi a krętemi drogami nadziei, pełnemi wybojów i kałuż? Czyż nie wstąpimy na równe i gładkie, proste i czyste, osłonecznione gościńce pewności?...



ARTUR ŚLIWIŃSKI

Mochnacki jako publicysta

W dwóch epokach pisał swoje prace publicystyczne Mochnacki, i na dwa okresy publicystykę jego możnaby podzielić. Kiedy w podziemiach buntu gromadziły się materyały palne, kiedy później nastąpił wybuch i przyszły dni upragnionej walki, słowa Mochnackiego nawoływały do czynów i w czynach szukały wcielenia. Mochnacki szedł wtedy o krok naprzód przed armią przewrotu, najwyżej wznosił sztandar niezadowolenia i najgłębiej, a zarazem najgoręcej bronił zasad spiskującej młodzieży. Na emigracyi znakomity publicysta w innym ukazuje się charakterze: zmiana warunków wpłynęła na zmianę stanowiska.

Jedną z najznakomitszych prac Mochnackiego w pierwszej epoce było pisemko p. n.: „Głos obywatela z Poznańskiego". Ów „Głos", napisany w roku Sądu Sejmowego, krążył w licznych odpisach jako wyraz opinii patryotycznej Warszawy. A chwila była niezwykła. Na ławie oskarżonych siedziało ośmiu członków Towarzystwa Patryotycznego, a los ich spoczywał w rękach senatorów polskich. Wyrok potępiający miał być dowodem lojalności, stwierdzeniem faktu, że Polacy, dzierżący resztkę pozostawionej im władzy, godzą się iść pod komendę Nowosilcowa. Wprawdzie twórcą tego sądu był potężny minister Lubecki, ale za Nowosilcowem stał W. Ks. Konstanty i całą potęgę swojego wpływu, cały swój gniew cisnął na ważące się szale sprawiedliwości sądowej.

Oczy całej Polski zwróciły się na ławę oskarżonych.

Kto zwycięży? Książę Konstanty, czy ci, co tuż pod jego bokiem tworzyli występne związki?

Senatorowie mieli dać odpowiedź. Senatorowie mieli stwierdzić, jaka jest „dobrze myśląca“ opinia kraju. Senatorowie mieli rozwiać nadzieje spiskowców, przekonać, że ich knowania natrafią na żelazny odpór ze strony władnej jeszcze części społeczeństwa polskiego, lub też wyrokiem swoim napiętnować Nowosilcowa, rozbudzić przyczajony gniew W. Księcia i usankcyonować zbrodnię stanu. W gorączkowem naprężeniu czekała rozpraw sądowych Warszawa. Z dnia na dzień rósł niepokój i tembardziej wzmagała się obawa, że strwożona opinia nie śmiała przeciwstawić się Konstantemu i stanąć otwarcie po stronie oskarżonych. Lecz to, czego obawiano się dokonać jawnie, uczyniono w drodze konspiracyjnej: ukazały się bezimienne pisemka, jadowite, złośliwe, zuchwałe i lotne. Śród nich powszechną uwagę zwróciło na siebie pismo, wystosowane pod adresem senatu Królestwa Polskiego a zatytułowane: „Głos obywatela z Poznańskiego“. Zachodzono w głowę, ktoby mógł być autorem, a domysłom i przypuszczeniom nie było końca.

Praca ta, jak zresztą wiele innych, które wyszły z pod pióra Mochnackiego, obok swej doniosłości politycznej posiada wielkie zalety literackie. W utworze tym jak w żywym organizmie tłucze się serce wrażliwe, niespokojne, drżące, skarży się niedola i męskim energicznym tonem przemawia podeptana godność. Co mógł czuć i myśleć Mochnacki, prześladowany widmem powroza, grożącego towarzyszom, to wyraziło się w jego piśmie. Wyrok potępiający nazwał zgóry „zbrodnią“ i „szatańską niegodziwością“, ale nie uprzedzał wypadków i przedewszystkiem do serc senatorów kołatał. A kołatał przedziwnie, pomistrzowsku, gienialnie. Pytania jego musiały zastanawiać i wstrząsać. Mochnacki w takiej chwili nie błagał i nie zaklinał, ale pytał np. sędziów, kto po wyroku potępiającym mógłby jeszcze miłować Ojczyznę? Dziwne pytanie, ale któż nie zadrżał, czytając taką mowę, któryż z sędziów mógł ją obojętnie traktować? Wyrok potępiający! „Jużby wtenczas śmiało rzec trzeba, — pisał Mochnacki — że nie na sejmie grodzieńskim, kiedy nieprzyjaciele Rzeczypospolitej działa i sprzęty wojenne obrócili przeciw izbie radnej panów, nie pod Maciejowicami, ani w falach Elstery, ale teraz, wobec was, na Sądzie Sejmowym, Polska zginęła!“

„Głos obywatela z Poznańskiego“ ujawniał to, co czuła rzesza sprzysiężonych i współwinnych, a zarazem był sygnałem ostrzegaw-

czym, śmiało wzniesionym nad otchłanią hańby, jaka się otwierała pod stopami sędziów, gdyby zwycięstwo odniosła małoduszność. Wrażenie było wielkie. Biskup Woronicz, dowiedziawszy się, kto jest autorem tej płomiennej odezwy, ze łzami w oczach ściskał i błogosławił młodzieńca. A Woronicz należał do składu sędziowskiego. Co o tej odezwie myśleli inni senatorowie, rzecz niewiadoma. Oczywiście, nie mogła mieć ona wpływu decydującego na obradujących sędziów. Ulegli oni z wyjątkiem smutnej pamięci hr. Krasińskiego opinii powszechnej, ale nie zmniejsza to w niczem znaczenia pracy Mochnackiego. „Głos obywatela" był najsilniejszym wyrazem tej opinii, szczytem, na jakie się wzniosło dławione uczucie.

Już ta pierwsza praca zapowiadała niezwykły talent publicystyczny autora.

„Nowa Polska" w całej rozciągłości zapowiedź tę miała potwierdzić.

Artykuły Mochnackiego w tem piśmie, które najwięcej uczyniły hałasu, śmiało wzywały do rewolucyi socyalnej. Krwawy koszmar tej rewolucyi płoszył sen z powiek spokojnych obywateli, niepokoił członków rządu, prześladował konserwatywnych posłów. Groźne sceny, dobrze znane współczesnym z historyi rewolucyi francuskiej, przerażały stronników istniejącego stanu rzeczy i do żywego niepokoiły umiarkowaną opinię. Czemże jednak była ta rewolucya socyalna, której teorye w „Nowej Polsce" rozwijał Mochnacki, a którą w sejmie propagował najgorętszy rzecznik uwłaszczenia ludu, Olrych Szaniecki? Ci dwaj ludzie, reprezentujący najskrajniejsze prądy społeczne swojej epoki, żądali zniesienia pańszczyzny i nadania włościanom ziemi na własność. Oto, do czego dążyli, oto jak rozumieli rewolucyę socyalną. Byłże to przewrót tak wielki? Wszakże za zniesieniem pańszczyzny przemawiali nawet ministrowie Biernacki i Niemojowski — wszakże ku myśli tej skłaniało się wielu posłów i dalej patrzących obywateli. Nadanie ziemi na własność po zniesieniu pańszczyzny nie było już krokiem zbyt gwałtownym, i ta myśl zresztą miała zwolenników w umiarkowanym odłamie sejmowym. Ale same słowa „rewolucya socyalna", ale energiczne akcenty w mowach Szanieckiego, w artykułach, które drukował w „Dzienniku Powszechnym", ale wrząca namiętność i niepohamowany temperament Mochnackiego, ale płomienie niezadowolenia, ziejące ze szpalt „Nowej Polski", słowem, sama for-

ma więcej, niż treść, budziła zimny lęk i nieufność. Z dreszczem grozy i wstrętu myśleli członkowie rządu o „Nowej Polsce". I nie było takiego błota, nie było tak wstrętnych zamiarów, którychby nie przypisywano znienawidzonemu dziennikowi. Nawet czas nie udobruchał tych, których Mochnacki w ogniu krwawego szyderstwa prażył na łamach „Nowej Polski". Oto jak scharakteryzował ją już na emigracyi jeden z członków rządu:

„Literatura nasza nic podobnego nie znała... Wszystko w nim (dzienniku) dążyło do tego, aby zelżyć, sponiewierać, błotem obrzucić wszystko, co w kraju wyższe było zasługami, cnotami, rozumem, imieniem i majątkiem odznaczało. Wszystkie środki uznano ku temu za dobre i godziwe: celem było, żeby namiętności wywołać i podburzyć, niezgodę zasiać, anarchię i piekło domowe wprowadzić. Nic nie poszanowano: ani religii, ani cnoty, ani prawa, ani reputacyi, ani honoru[1]"...

Oto co mówił Barzykowski o jednem z najświetniejszych dzienników polskich, o organie Mochnackiego, Lelewela, Artura Zawiszy, Goszczyńskiego, Zaleskiego, Nabielaka! „Rewolucya socyalna", jak widać z dzieła Barzykowskiego, i na emigracyi nie dawała członkom rządu spokoju...

Zasady tej rewolucyi najlepiej charakteryzuje świetny artykuł Mochnackiego; „Być albo nie być".

„Kościuszko — powiada Mochnacki — był poczciwym Polakiem, był walecznym rycerzem, lecz źle rozumował... Polska potrzebowała rewolucyi socyalnej; on jej nadał charakter ekscentryczny. Kościuszko zgubił Polskę!"

— Potrzeba się uzbroić! — wołano dookoła.

— „Potrzeba się uzbroić", — powtarzał z piekącą ironią Mochnacki i przypominał, że to samo mówił Kościuszko, a jednak Polska zginęła.

„Potrzeba się uzbroić! Czyż się od dwóch miesięcy nie uzbrajamy? Potrzeba poruszyć masy, trzeba powołać do życia miliony, a one się same uzbroją".

Ta myśl była główną troską Mochnackiego. Poruszenie mas najszerszych było jego najgorętszem pragnieniem i ostatecznym celem usi-

---

[1]) „Historya Powstania Listopadowego" przez Stanisława Barzykowskiego. Tom II, str. 84.

łowań. Aby osiągnąć ten cel, ciskał gromy i na gromy własną głowę narażał, wyśmiewał, szydził, z ognistym impetem atakował szańce swoich przeciwników. Bez reformy włościańskiej, wołał, niemożna mas poruszyć. Dlatego też „rewolucyę socyalną“, która się całkowicie w granicach tej reformy mieściła, uważał za rzecz konieczną i nagłą. W myśl tych samych zasad pisał po kilku miesiącach w „Dzienniku Krajowym“, że dzielny żołnierz nie jest jeszcze wszystkiem, że tylko wojsko, widzące wkoło siebie masy i z mas tych czerpiące moc wewnętrzną, może walczyć zwycięsko...

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Mochnacki, członek T-wa Patryotycznego, nie pod wpływem chwili dążył do polepszenia doli ludu wiejskiego, ale jednocześnie ta „rewolucya socyalna“ była w oczach jego jednoznaczna z odniesieniem zwycięstwa.

Obok tego hasła, które tyle narobiło hałasu, rzucał Mochnacki sporo myśli, niemniej zasługujących na uwagę. On pierwszy scharakteryzował „utopię słowiańską“ i wykazał dobitnie, dlaczego dążenia słowiańskie muszą pozostać utopią. Trybun ludowy był konsekwentny i w polityce nazewnątrz. Opierając się na ludzie, rozumiał dobrze, że ideały ludowe nie mogą znaleźć uznania u obcych rządów. Więc potępiał zarówno „nadzieje słowiańskie“, jak wszelkie machinacye dyplomatyczne, starał się zedrzeć łuskę z oczu dyplomatów, wierzących w pomoc gabinetów zagranicznych.

„Wzywając litości gabinetów, przepomnieliśmy, że prosimy ich o to, czego się najmocniej obawiają, co im niepochybną rokuje zgubę; że prosimy ich o Polskę“...

I wykazywał, że Polska zwiastuje upadek społecznego porządku feudalnej Europy.

„Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami!“

Wprawdzie już Brodziński w słynnej swej mowie na ostatniem posiedzeniu T-wa Przyjaciół Nauk tę samą myśl wypowiedział, ale Mochnacki pierwszy ją rozwinął i sformułował. Hasło to nie przykuło na razie powszechnej uwagi, wszakże później, na emigracyi, wrosło we wszystkie serca i stało się katechizmem, ewangielią wychodźców. Ale Mochnacki, idący naprzód, wtedy inne już rzucał hasła i walczył z nowem złudzeniem.

Wydawana w Zakroczymiu „Gazeta Narodowa“ była zakończe-

niem działalności publicystycznej Mochnackiego w kraju. W chwili powszechnego zwątpienia i upadku talent jego rozbłysnął jak świetna gwiazda nadziei, ale smutne wypadki zgasiły ją niebawem i zmusiły Mochnackiego do złożenia oręża, jakim było jego świetne, nieporównane pióro.

Zaledwie szersze koła emigracyi zgromadziły się w Paryżu, zaczęło się poszukiwanie winowajców. Przyszły dni sądu. Wysoko wzniesione fale zrozumiałego rozgoryczenia znalazły niebawem ujście w krytyce, pełnej jadu i złośliwości. Ciężar winy przesuwano z ramion na ramiona. Każdy starał się zmniejszyć własną odpowiedzialność i straszne brzemię klęski zrzucić na barki swych przeciwników. Mochnacki usuwał się zwolna od waśni emigracyjnych, ale zarówno w słynnem swem dziele „Powstanie Narodu Polskiego", jak w artykułach, drukowanych w „Pamiętniku Emigracyi", smagał dyplomacyę polską, sejm, dyktatora, wodzów, wykazywał niedołęstwo i nieudolność, małoduszność i niezrozumienie sytuacyi przez sfery kierownicze. Jeśli dawniej pisma jego nawoływały do czynu i grzmiały, jak surma bojowa, to teraz w śmiałych, jaskrawych barwach odtwarzały niedawną przeszłość, stawały się wyrzutem sumienia i palącym wstydem.

Powoli i w przekonaniach Mochnackiego zachodzi ewolucya.

Nie przyłącza się on do obozu Czartoryskiego, ale i nici, łączące go z byłymi członkami T-wa Patryotycznego, zaczynają pękać. Dawni towarzysze gromadzą się pod sztandarem T-wa Demokratycznego, Mochnacki nazywa ich sektą i występuje nawet w obronie Czartoryskiego przeciw jen. Dwernickiemu. Rewolucya socyalna nie przestaje być jego hasłem, ale samo hasło traci swoje akcenty śmiałe, ostre, gwałtowne. Zmiana staje się widoczną. Tak np. w „Nowej Polsce", we wspomnianym już artykule „Być albo nie być" dowodził Mochnacki, że Kościuszko zgubił Polskę, bo „nie chciał przemienić większości w naród przez wzgląd na mniejszość", a w parę lat potem starał się wykazać, że „jedyny środek insurekcyi, jedyny środek poruszenia ludności są właściciele ziemscy". I dowodził, że nie może być zbawienną polityka, która obraża „mogących i chcących powstać".

Pomiędzy redaktorem „Nowej Polski" a współpracownikiem „Pamiętnika Emigracyi" niejednokrotnie już starano się nawiązać łączność

wykazać, że Mochnacki we wszystkiem pozostał wierny dawnym przekonaniom. Kontrasty są jednak zbyt rażące, aby bez naruszenia prawdy można łączność taką stworzyć. Dość porównać ze sobą to, co w tych dwóch epokach pisał o Kościuszce, o T-wie Patryotycznem, o nocy 15 sierpnia, aby dojść do przekonania, że ostrze radykalizmu społecznego stępiło się na emigracyi.

Krytykując T-wo Demokratyczne, nie zbliżał się jednak do obozu Czartoryskiego. Występował w jego obronie, to prawda, zbudował teoryę absolutyzmu, i to też prawda, ale niesłusznie na tej zasadzie następcy Czartoryskiego zaprzęgli go już po śmierci do obozu konserwatywnego. Nic fałszywego nad to mniemanie! Absolutyzm Mochnackiego dotyczył rewolucyjnej władzy wykonawczej w przyszłem powstaniu, obrona Czartoryskiego była obroną osoby, lecz nie systematu, jaką b. prezes rządu reprezentował, a środki walki, jakie wskazywał Mochnacki, nie miały nic wspólnego z nadziejami obozu, na którego czele stał ks. Czartoryski.

Czartoryski działał na drodze dyplomatycznej, a Mochnacki jedyne zbawienie widział w nowej walce, wierzył w niezmierny opór ludu i w ostatniej swej pracy wyraził przekonanie, iż najoświeceńszy i najłagodniejszy naród Słowiańszczyzny będzie się musiał uciec do środków wojowania „godnych Atylli i Dżingischana“.

Nic podobnego nie postało w głowie księcia-dyplomaty.

Miał pewną słuszność Nabielak, gdy w liście swoim gromił dawnego towarzysza [1]), ale niesłusznie zaliczono później Mochnackiego do zwolenników ks. Adama.

Mówiąc jednak o działalności Mochnackiego na emigracyi, przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na dwie jego idee, które mogły mieć olbrzymie znaczenie dla wszystkich żywiołów emigracyjnych.

Kiedy po upadku powstania tysiące rozbitków posunęło się na zachód, we wszystkich krajach witano ich z zapałem i entuzyazmem. Ludy Europy Zachodniej prześcigały się w składaniu dowodów sympatyi. W Niemczech witano emigracyę kwiatami i pieśnią legionów, a Francya na wieść o poddaniu Warszawy zadrżała, jakgdyby śmier-

---

[1]) L. Nabielak. Do Maurycego Mochnackiego z powodu pism auxerskich. Paryż, 1834.

telnym ugodzona grotem. W Paryżu lud żądał niezwłocznej interwencyi zbrojnej na rzecz Polski i okrzykami groźby, skierowanemi przeciw królowi i ministrom, a później budowaniem barykad wyrażał swoją wolę. Wprawdzie do nowej rewolucyi nie doszło, ale gdy wychodźcy polscy zaczęli przybywać do Francyi, entuzyazm ludu z nową wybuchnął siłą.

I wszędzie sprawę polską zespalały ludy ze swoją własną sprawą i wszędzie mówiły to samo przez usta najgodniejszych swych przedstawicieli. Z postawą ludów musiały liczyć się niechętne Polakom rządy. Emigracya nasza szybko zoryentowała się w sytuacyi i oto wszędzie, gdzie przebywali Polacy, rozległo się rzucone niegdyś przez Mochnackiego hasło:

„Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami".

I wołano, że sprawa ludów jest sprawą polską, że ludy podźwigną Polskę z upadku.

Wiara ta była niemal powszechna, a trwając lat kilkanaście, przeniknęła do publicystyki i filozofii i poezyi, stworzyła cały świat teoryj i uczuć. Mochnacki nie poddał się ogólnemu prądowi. On złudzeń nie miał. Więc gdy zaczęto oglądać się na ludy Europy, pierwszy uderzył na alarm. Wprawdzie przed nim jeszcze Mickiewicz wypowiedział w „Pielgrzymie Polskim", że całą rachubę należy opierać na siłach własnych, ale zdanie Mickiewicza Mochnacki rozwinął i podniósł do znaczenia idei.

„Pomoc ludów — pisał — jest równie problematyczną, równie pełną zagadek, jak pomoc rządów... Daleko mądrzej, daleko bezpieczniej powiedzieć nareszcie samym sobie, powiedzieć po raz pierwszy od lat stu: rachujmy na wszystko, co wypaść może, ale się na nic nie spuszczajmy i nie wierzmy w nic, tylko w samych siebie. Naród, który nie przestał być narodem, który jeszcze chce być narodem, w jakimkolwiek stanie się dziś znajduje, tylko sam siebie ratować może"...

I wołał Mochnacki, że „gieniusz Polski wynajdzie dla jej zbawienia inną nieznaną jeszcze wojnę", inne nieznane jeszcze środki wojowania.

Trzeba było długich lat tułaczki, trosk, zawodów i upokorzeń, aby rozwiały się nadzieje, pokładane w obcej pomocy, aby siły potrzebnej nie w okolicznościach zewnętrznych, lecz w sobie szukać zaczęto, trzeba było długich lat, aby znowu padły te same słowa.

I jeszcze jedną wielką myśl rzucił Mochnacki:

„Podług nas trzeba wynaleźć władzę dla insurekcyi, a zatem władzę, której pierwszym charakterem powinna być możność nawiązania stosunków z narodem“...

Doniosłość tych dwóch idei ocenić można tylko na tle prądów, nurtujących ogół emigracyjny. Ten ogół istotnie wierzył najgłębiej, że Europa ludów lub Europa gabinetów wydźwignie Polskę, lub conajmniej pomoże do jej wydźwignięcia. Ale niedość na tem. Ten ogół, działając dla Polski, mówiąc o Polsce, tęskniąc do Polski, zapominał o tem, że działalność emigracyjna, niezwiązana z działalnością w samym kraju, nie może być owocodajną. Płynęły tygodnie, miesiące i lata, wychodźcy czekali powszechnej rewolucyi, a czas biegł, nadziei nie ziszczał, ale te nadzieje tak głęboko zapadły w dusze, że zdawało się, iż nic ich rozwiać nie może.

Gieniusz Mochnackiego pierwszy otrząsnął się ze złudzeń, pierwszy próbował zniweczyć wiarę w problematyczną pomoc Europy i pierwszy wskazał drogę, którą wytknęło sobie zczasem „Stowarzyszenie ludu“, a którą poszli później tacy działacze i bohaterzy, jak Seweryn Goszczyński lub Szymon Konarski.

Obie te idee są koroną działalności publicystycznej Mochnackiego na emigracyi, obie najdobitniej wyrażone zostały w ostatniej jego pracy, pisanej na kilka tygodni przed śmiercią.

Wszystkim pismom Mochnackiego przyświecała jedna wielka myśl, jedna wielka idea. Do celu, który mu ta idea wskazywała, szedł wytrwale i śmiało. Powalony i zdeptany przez przeciwników, nie załamywał rąk z rozpaczą, nie wyrzekał się niczego, lecz podnosił się natychmiast i w kłębach dymu kadzidlanego lub w nowych płomieniach niechęci szedł znowu naprzód, straszny, niezłomny, niepowstrzymany. Duch Mochnackiego pozostał żywym i żywotnym. Z epoki, w której żył, tysiące dzieł pogrzebano w otchłani niepamięci, ale i w tej otchłani prace Mochnackiego błyszczą, jak najpiękniejsze dyamenty.

Najwyższa pora zmieść z tych klejnotów pył półwiekowej obojętności i w całym blasku wydobyć je na światło dzienne!

Mnóstwo zarzutów czynili Mochnackiemu pisarze współcześni,

a wielu z nich zgodnie zarzucało mu przedewszystkiem nadmiar ambicyi. Istotnie ambicyę miał wielką, ale była ona jednym z najcenniejszych przymiotów, bo zawsze z wielką łączyła się ideą. Ta idea dopiero nadaje właściwy wyraz i wyolbrzymia spiżową postać nieustraszonego działacza i znakomitego pisarza. Ideę swoją w kilku słowach streścił sam Mochnacki, i całe jego bujne, płodne, a tak młode życie zawiera się w tem jednem wyznaniu:

„Polska niepodległa i potężna była jedynym romansem mojej młodości"...

W nadchodzącą 75-tą rocznicę zgonu wielkiego publicysty te słowa, jako najlepiej charakteryzujące ich autora, złotemi głoskami możnaby wyryć na jego grobowcu.





JERZY HUZARSKI

Problemat emigracyjny w kwestyi żydowskiej

Najpoważniejszą tamą na drodze do kulturalnego podniesienia mas żydowskich jest ich nędza.

Dziś olbrzymia większość żydów stanowi w strefie osiadłości wynędzniały do ostatka proletaryat, żyjący niewiadomo jak, niewiadomo z czego; przytem z dniem każdym nędza mas żydowskich wzrasta. Jest to nieuniknione następstwo rozwoju kapitalizmu w Polsce oraz zbytniego nagromadzenia się żydów w ziemiach dawnej Rzeczypospolitej.

W ciągu szeregu stuleci Polska była głównym przytułkiem uciekających z Zachodu żydów. Poczynając od epoki wojen krzyżowych każdy kataklizm w dziejach żydów Zachodu — a kataklizmów tych było tak wiele! — wzmagał emigracyjny potok, spędzał do Polski coraz liczniejsze rzesze. Tu od XVI-go w., t. j. od czasu, kiedy oddali się pod bezpośrednią opiekę szlachty, działo im się nieświetnie, ale bądźcobądź lepiej, niż na Zachodzie. Obdzierani przez szlachtę, obdzierali wiejski lud, pielęgnowali kult — Jehowy na niebie, Złotego Cielca na ziemi i... żyli.

Ale wraz ze zmianą systemu gospodarki idylla musiała się skończyć, w miarę rozwoju kapitalizmu musiała stać się tragiedyą. Powstanie racyonalnego gospodarstwa wiejskiego po uwłaszczeniu chłopów usunęło grunt z pod nóg wszystkich tych żydów, którzy mogli

istnieć dotychczas, jako jedyni przedstawiciele gospodarki pieniężnej wśród gospodarki naturalnej. Rozpoczęła się ucieczka do miast gdzie, jak okazało się, żydzi wpadli z deszczu pod rynnę. W miastach handel żydowski przechodził nader ciężki okres z powodu konkurencyi z nowopowstającym handlem i przemysłem polskim; żydzi tracili jedną placówkę po drugiej, nie zyskując wzamian żadnych nowych. W tych warunkach przybysze ze wsi nie mogli znaleźć po miastach pola dla swej działalności handlowej, mogli jedynie zwiększyć jeszcze konkurencyę, zdezorganizować doreszty drobny handel żydowski. I tak się też stało. Obecnie byt żydów w tak zwanej strefie osiadłości jest wprost rozpaczliwy, jest powolnem dogorywaniem i degieneracyą. Olbrzymia większość żydów stanowi jedyną w swoim rodzaju klasę społeczną, którą najsłuszniej byłoby ochrzcić mianem „luftproletaryatu" [1]). Nie ulega wątpliwości, że podobny stan będzie z dniem każdym komplikować się bardziej. Powstające kooperatywy włościańskie odbiorą utrzymanie tej resztce żydów, którzy czerpali swe zarobki z pośrednictwa między wsią a miastem lub miasteczkiem; rozwijający się wielki przemysł zrujnuje doreszty suchotnicze rękodzielnictwo żydowskie. A nędza i, jako jej wynik, ciemnota nie pozwala masom cywilizować się i wejść w wir kapitalistycznej gospodarki, wytwarza się więc swojego rodzaju *circulus vitiosus*. Ten stan rzeczy jest szkodliwy dla kraju, zbyt biednego, by módz wyżywić tak liczną a nieprodukującą klasę ludności, i zabójczy dla mas żydowskich, które degienerują się, pogrążają coraz głębiej w otchłań nędzy.

Jedynym sposobem uratowania żydów od ostatecznej zagłady, a uwolnienia kraju od nadmiaru nieprodukcyjnych żywiołów staje się emigracya; toteż rozwiązanie ekonomicznej strony kwestyi żydowskiej ściśle jest spojone z uregulowaniem problematu emigracyjnego.

Instynktownie zrozumiały to żydowskie masy, tem łatwiej, że w ciągu długich wieków przyzwyczaiły się chwytać każdej chwili za kij tułaczy. Kiedy więc w smutnej pamięci roku 1881 pogromowy szał ogarnął całe południe Rosyi i część miast Królestwa, grożąc żydowstwu zagładą, już nietylko z nędzy, lecz i od noży siepaczów, kie-

---

[1]) Tak np. w Warszawie na 250 tysięcy żydów zaledwie 10 tysięcy można było opodatkować na rzecz gminy żydowskiej, najniższa zaś składka wynosi 3 rb. rocznie.

dy grabież z ludzi zamożnych zrobiła biedaków, a biedaków zrujnowała doszczętnie,—rozpoczęła się masowa ucieczka ze strefy. Uciekano do Niemiec, Austryi, Francyi, do Anglii i Ameryki — głównie do Ameryki, kraju, o którym wśród żydów krążyły fantastyczne a różowe baśnie.

Początkowo emigracya żydów odbywała się normalnie, a wychodźcy w nowej ojczyźnie wkrótce urządzili się niezgorzej. W Anglii, Ameryce, a nawet we Francyi przy pomocy olbrzymich instytucyj filantropijnych zdobywali znośne warunki bytu, przytem dość szybko cywilizowali się i już w drugiem pokoleniu stawali przykładnymi yanke'sami, anglikami lub francuzami. Nawet kolonie rolnicze, założone przez bar. Hirscha w Argentynie, choć napozór upadły, jednak przyniosły wychodźcom znaczną korzyść. Porzucając pracę na roli, udali się oni do miast Południowej Ameryki, a wobec lenistwa i ospałości ludności miejscowej wkrótce ujęli w swe ręce liczne gałęzie handlu.

Niestety, i tu stan rzeczy począł się po pewnym czasie komplikować. Potok emigracyjny dostarczał Anglii i Ameryce rocznie koło stu tysięcy wychodźców, którzy stali się wkrótce żywiołem niepożądanym dla kraju, a w szczególe dla miejscowego proletaryatu. Pozbawieni w pierwszym czasie po przybyciu środków do istnienia, żydzi imali się wszelkich robót i za wszelką cenę; obniżali płacę zarobkową, utrudniali proletaryatowi walkę o poprawę bytu. Wkrótce rozpoczęła się w Anglii i Ameryce agitacya na rzecz ograniczenia nadmiernego przypływu wychodźców, i puszczono w ruch aparat prawodawczy.

W Anglii przeszedł w r. 1904-ym bill utrudniający imigracyę, w Stanach Zjednoczonych uchwalono szereg przepisów, skierowanych przeciw wychodźcom, a w najbliższej przyszłości spodziewać się należy nowych ograniczeń, jeżeli nie zupełnego zamknięcia Ameryki dla imigracyi. Za ostatnim środkiem energicznie agitują amerykańskie organizacye robotnicze, które przedstawiły nawet zredagowaną w tym duchu rezolucyę socyalistycznemu kongresowi w Stuttgarcie. Wprawdzie kongres uchwały nie zaakceptował, ale mimo to agitacya trwa nadal i doprowadzi niewątpliwie do znacznego ograniczenia imigracyi.

Tak więc problemat emigracyjny staje się dla żydów nowym węzłem gordyjskim. Nędza i prześladowania zmuszają masy żydowskie do gromadnego opuszczania strefy osiadłości; masy chcą wydobyć się z pęt nędzy, lecz nie mają dokąd uciekać, gdyż instynkt sa-

mozachowawczy nakazuje społeczeństwom krajów imigracyi zatamować napływ nędzarzy żydowskich.

Żydowska inteligiencya, a przynajmniej ten jej odłam, który nie mógł spokojnie patrzeć na powolne dogorywanie mas, wydanych na łup nędzy i rzezi, ocenił olbrzymie znaczenie emigracyi. Działacze żydowscy zrozumieli, że uwolnienie kraju od nadmiernej liczebnie klasy „luftproletaryatu" umożliwi pozostałym żydom znośny byt, pozwoli masom podnieść się ekonomicznie i kulturalnie. Dlatego też żywiołowy ruch emigracyjny powitali oni z uczuciem ulgi i postanowili spożytkować go w celu uregulowania kwestyi żydowskiej. Powstały olbrzymie instytucye filantropijne, których zadaniem było popieranie i regulowanie emigracyi, ułatwienie wychodźcom walki o byt w nowej ojczyźnie: Żydowskie Towarzystwo Kolonizacyjne (ICA), którego kapitał wynosi około 250 milionów franków, Alliance Israélite, wreszcie kolonie założone przez bar. Rotschilda w Palestynie. Powstał wreszcie t. zw. ruch palestynofilski, zainicyowany w epoce pogromów 1881-go r. przez grupę marzycieli żydowskich. Palestynofile (chowewe-cyon) chcieli spożytkować gorączkę emigracyjną w celach wskrzeszenia żydowskiego bytu narodowego i skierować emigracyjny potok do Palestyny, gdzie zczasem żydzi mogliby utworzyć prowincyę autonomiczną. Z marzycielskiego ruch palestynofilski stał się praktycznym, z kółka „zwolenników Syonu" przeobraził się za sprawą Hertzla i Nordau'a w potężną organizacyę współczesną z własnym bankiem, funduszem narodowym i t. d. Nie poprzestawał już na powolnem zasiedlaniu przez żydów Palestyny, lecz zapragnął odrazu autonomicznej prowincyi i jednorazowego przeniesienia do Syonu wszystkich tych, którym zbyt ciasno jest w „gołusie" (na wygnaniu).

Wysiłki syonistów, ich dążenia zasługiwałyby na gorącą sympatyę i poparcie, gdyż rozwiązanie problematu emigracyjnego byłoby rozwiązaniem ekonomicznej, a w następstwie i kulturalnej strony kwestyi żydowskiej. Ale—niestety—syonizm z praktycznego ruchu stał się dziś psychozą, zadecydował, że „aut Sion, aut nihil", a ponieważ sułtan nie podziela poglądów Nordau'a i nie zamierza oddać żydom Palestyny, syonizm ograniczył swą działalność do „wskrzeszania narodowego bytu żydów w gołusie" i wypisał na swym sztandarze wszystkie hasła

żydowskiego separatyzmu. Wszelkiej zaś tymczasowej i praktycznej pracy nad uregulowaniem emigracyi syonizm wyrzekł się, uważając podobną działalność za niegodną jego wielkich zamiarów, jego wielkich celów.

Tak więc inicyatywa społeczna dotychczas niewiele przyczyniła się do uregulowania emigracyi. Wychodźtwo odbywa się wciąż bezładnie, komplikuje coraz bardziej, staje się wprost gordyjskim węzłem. Ale nie wynika stąd bynajmniej, aby problemat emigracyjny nie mógł być rozwiązanym, a przynajmniej uproszczonym drogą samopomocy. Dotychczasowe wysiłki nie dały żadnych poważniejszych wyników, gdyż albo szły w fałszywym kierunku (*vide* syonizm), lub też były opieszałe i nieudolne, jak np. działalność Żyd. Tow. Kol., powierzonego biurokratom. Zarząd instytucyi tej troszczy się tylko o jedno: aby nie wydać w całości procentów od pozostawionego przez bar. Hirscha kapitału; lwia zaś część procentów idzie na pensye dla niezliczonej rzeszy urzędników.

Społeczeństwo żydowskie powinno ująć w swe ręce tę kwestyę. Powinno starać się o skierowanie emigracyjnego potoku do krajów, w których wychodźcy mogą znaleźć odpowiednie pole działalności, a więc w pierwszym rzędzie do krajów słabo rozwiniętych pod względem ekonomicznym lub tych, w których daje się odczuć brak rąk roboczych; społeczeństwo powinno, jednem słowem, wszelkiemi siłami starać się organizować emigracyę, z żywiołowej i bezładnej uczynić ją celową i zorganizowaną. Jest to jedyny sposób rozwiązania ekonomicznej strony kwestyi żydowskiej, gdyż obecnie masy żydowskie, skupione w strefie osiadłości, duszą się, giną i degienerują z nędzy. Wszelkie zaś nadzieje na otwarcie przed żydami wrót zaklętego Sezamu—Cesarstwa — pozostaną przez dłuższy czas tylko... nadziejami.

Społeczeństwo polskie powinno zdaniem naszem popierać i zachęcać wszelką inicyatywę, zmierzającą ku zorganizowaniu żydowskiej emigracyi, gdyż milionowa masa nędzarzy jest dla kraju brzemieniem ponad siły.

Uregulowanie emigracyi żydowskiej powinno stać się jedną z głównych trosk społeczeństwa — żydowskiego oraz polskiego.

LEON RYGIER

Twórczość

Pokusa chwili:

Jużem dojrzała, jako winne grono,
Na gór pochyłem, a słonecznem zboczu;
Już w ust purpurze i w złocie mych oczu
Dojrzysz miłosną żądzę zaczajoną...

Już piersi moje pod lekką zasłoną
Mają okrągłość i twardość uroczą;
Już biodra moje pod suknią przezroczą
Przypominają lirę odwróconą...

O, przyjdź, kochanku nieznany, tęskniony,
Po miąsz gron moich i po pieśń mej liry...
Dobądź z owocu wino, ze strun tony...

Niech nas upoi rozkosz wonią mirry,
By próżno nie stygł żar mych ust czerwony,
I oczu moich nie blakły szafiry...

Twórca:

O duszo jasna, o duszo daleka,
O gwiazdo — siostro mojej duszy złota!
Hymnem jest pełna pustelni mej grota,
A łaska płynie przez nią, niby rzeka...

I serce tęskni za czemś, na coś czeka...
Słodkie czekanie i słodka tęsknota!..
Oto się iści święty sen żywota,
Lilia marzona srebrny kształt obleka...

Wiosenne niebo otwiera ramiona,
By przyjąć ciche rozkoszy westchnienie...
Dusza, z pęt ziemskiej nędzy wyzwolona...

Szerokie przed nią, nieznane przestrzenie...
Chwila — a długa męka się dokona,
I życie srebrne wypiją promienie...

Pokusa chwili:

Zimne są gwiazdy, jako sarkofagi,
W których przeszłości blade próchno świeci...
Może już zgasły od wielu stuleci
I trwają tylko, jak dziejów swych sagi...

Odwróć od trupów oczy ku mej nagiej
Piersi, co życie w tobie tchem roznieci,
A gwiazda żywa w łono twoje zleci,
Jaśniejsza, niźli ta, co wiodła magi...

Wieczności pragniesz?... To, co nieskończone,
Jakże w skończony kształt ci się oblecze?...
A przez me usta żywe i czerwone

Nieskończonego zdrój istnienia ciecze...
Cóż, że w uściskach twych na popiół spłonę?
Kwiaty przyszłości wyssą ze mnie mlecze...

Twórca:

Więc dobrze... Pójdź... To prawda... Ze krwi twojej
Tęsknota moja żywe weźmie ciało;
W spazm twej rozkoszy zaklnę wieczność całą,
Wieczności winem pierś twa mię upoi...

O jakże dziwnie moc się twórcza dwoi,
Aby harmonię wytworzyć wspaniałą!
Co wiecznie trwać ma — to z chwili powstało,
A co jest chwilą — o wieczności roi...

Daj mi swe usta, chwilo, słodka chwilo!..
Płonę, umieram — aby żyć na wieki...
Niebiosa w moje objęcia się chylą,
I sam w niebiosa lecę, jak duch lekki..

. . . .

Tak chmury, które dżdżem rzekę zasilą,
Ponowne życie biorą z łona rzeki...

JANINA PRZECŁAWSKA

Życie

Stąpa dziewica wysmukła, wiewna
łąkową trawą,
Uśpione pąki otwiera rzewna
dłonią łaskawą —

Idzie i w oczy jasne, jak słońca,
zbiera miłośnie
lotny puch kwietny, która wiatr strąca
w ofierze wiośnie —

Idzie i wargi swe wtula blada
w wonne powicie...
Płatek za płatkiem z kwiatów opada
i szepce:
Życie...





rys. T. Ulanowski

TADEUSZ ULANOWSKI

Maryanna

Hej, Maryanna! o twojej cnocie
Majowy deszczyk wie, Maryanna!
— Za twoje ciało dawali krocie
Panicze możni, hej, Maryanna!!

W błocie stojąca przed pałacami
Tańcuj! wybrałem kamień najgładszy:
Pokaż im piersi — obróć plecami,
Niech się zazdrosna pani napatrzy.

— Co oni wiedzą?! patrzą, jak klęczę
Przed tobą, Maryanna naga...
— Kto ci, gdy skaczesz, trzyma obręcze,
Kto się piosenek uczyć pomaga?

Hej, Maryanna! wyjdź na ulicę:
Deszczyk opłukał kamień najgładszy...
— Zatańcz! pieniążek z balkonu chwycę,
Gdy się zazdrosna pani napatrzy.

Zatańcz! pan z panią dobrze zapłacą;
Zaśpiewaj rajskie Adama gody:
— Przy młodej pani stoi pan młody,
A pani gniewna... na kogo?... za co?...

Rajska pawica! pani zazdrosna
Przy mężu—żona—tego nie zniosła,
Żeś taka piękna, o Maryanna!
Po twoje oczy, po rajskie oczy
Pani rajskiego wyprawia posła...

. . . .

Hej, Maryanna! twoich warkoczy
Na posag starczy dla kilku pań!
Wyjdź na ulicę — wynijdź, jak wiosna,
Przed pałacami, jak posąg, stań!

Łzami umyłem kamień najgładszy:
Zaśpiewaj o tym dzbanie ze szkła, —
— Pieniążek chwycę, gdy się napatrzy
Zazdrosna pani o męża zła!...



W. FELDMAN

Romantyzm i jego skutki

II

Walka o romantyzm jest walką o światopogląd. W tem jej znaczenie, w tem źródło entuzyazmów i nienawiści. Walka to zatem dawniejsza, niż opowiadają historycy literatury, którzy z wyżyny stosów swojej bibuły dostrzegają początki romantyzmu w Russie, Chateaubriandzie, Schleglach, Byronie.

Nie literaturą jest romantyzm, i nie *Nowa Heloiza* go zrodziła. Gdy Damarates odpowiedział Kserksesowi, że spartanom wolno tylko zwyciężyć lub umrzeć na stanowisku, i istotnie trzystu ze śpiewem na ustach stanęło przeciwko dwom milionom — była to walka romantyzmu z przemożnym niezwyciężonym — zdawało się — pozytywizmem. I romantyzmem najczystszym tchnie kult Dyonyzosa i tajemnic orfickich, z których wyszła tragiedya grecka. Gdy później przed sądem mądrych, racyonalistycznych faryzeuszów i sceptycznego patrycyusza rzymskiego stanął Chrystus o marzycielskich oczach — był to romantyk, który rozpoczął okres w dziejach ludzkości: walki chrześciaństwa transcendentalnego i mistycznego, z upostaciowanym w Rzymie rozumem i porządkiem świata Ale i chrześciaństwo rychło skostniało w racyonalistyczny, dogmatyczn-scholastycyzm: wobec niego romantyzmem jest odrodzenie, które przywróciło moc uczuciu, modliło się naiwnymi obrazami prerafaelitów, duszę świata ogarnęło płomiennym duchem Giordana Bruna, całą bezdeń bólów i walk tytanicznych, urągających mrowisku ludzkiemu, wyraziło w gigantycznych dziełach Buonarotti'ego. Romantyzmem był czyn Kopernikowy, który cały świat na głowie postawił, w czem jest pier-

wiastek racyonalistyczny, ale na *swojej* głowie; romantyzmem był czyn Kolumbowy. Romantyczny jest Szekspir — i zrozumiałą jest rzeczą, że uległ zapomnieniu w następnych wiekach harmonii, porządku i kultury, uwieńczonych sztuką nieprawdziwą, dekoratywną, czysto zewnętrzną, jak — peruka.

Nie prowadzę dalej dowodu historycznego: to, co napisałem, wystarczy do ujęcia dziejów człowieczeństwa w formułę dwóch zasadniczych potęg: jedna stoi na gruncie twardej, empirycznie danej rzeczywistości; nie przekracza jej zaklętego koła „zdrowymi" swymi zmysłami; jako marzycielstwo, szaleństwo, dezorganizacyę życia i spraw jego piętnuje wszystko, co się wyłamuje z pod dyktatury zdrowego, praktycznego rozsądku; drugiej na imię chimera, utopia, głównym motorem: siła uczuciowa, natchnienie, szał, bohaterstwo, a rezultatem — często, bardzo często: ulatywanie, jakby mocą skrzydeł, tam, dokąd pełzający rozsądek nigdyby nie doszedł lub doszedłby z chyżością żółwią.

Często, pewnie nawet najczęściej, dzieje się też inaczej. Można więc sławić Sancho Pancha, jako uosobienie zmysłu praktyczności i doraźnych korzyści wobec fantastyczności Don Kichota, liczącego sińce na swem ciele. Ale czy też zadał ktoś sobie trud napisania historyi „zdrowego rozsądku", która byłaby — jak już Kant powiedział — historyą jego kompromitacyi?

W dwóch sferach upływa nasz byt: w tej, która *jest*, i w tej, która *ma być*. Pierwszą nauczyliśmy się, potomkowie wieku dziewiętnastego, uważać za wyłączną dziedzinę realizmu, którego ojczyzną: poznanie. Zamknięta przed nami wielka tajemnica da się otworzyć jedynie kluczem badawczego rozumu; ciemność jej przebija li tylko „mędrca szkiełko i oko". I tem różnimy się od przodków naszych, że z dziedziny poznania wypłoszyliśmy wszelki mistycyzm, t. j. dochodzenie do prawd drogą skojarzeń uczuciowych. Tak jest; nauka i tylko nauka ścisła przyniosła nam wszystkie te zdobycze poznawcze, któremi duch ludzki się chlubi — ale czy w tym procesie czynniki uczuciowe istotnie żadnej nie odgrywają roli? „Uczucie — to pionier poznania!" woła Wundt, i profesor bazylejski Karol Joel poświęca omówieniu tej tezy jedną z najpiękniejszych książek, jakie współczesna literatura posiada („Der Ursprung der Naturphilosophie aus dem Geiste der Mystik"). Na początku i na końcu Umiejętności i poznającego stoi ów wzgardzony, potępiony czynnik uczuciowy. Nasza znajomość natury wypłynęła z mistycyzmu zarówno na Zachodzie, jak i w Grecyi

i w nowożytnej Europie za czasów renesansu. Prądy mistyczne stały u kolebki wiedzy przyrodniczej, zarówno starożytności, jak i dziewiętnastego wieku; w ostatnich czasach pamiętamy wszyscy, jak silny bodziec dał „mistycyzm" psychologii dzisiejszej, szczególnie badaniom „okkultystycznych" stanów duszy. Tak surowy badacz i przeciwnik mistycyzmu, jak Ostwald, przyznaje, że „mistycyzm zdawał się czasami wyświadczać usługi pionierskie, gdyż antycypował pewne myśli, których doniosłość później występowała na jaw". Równocześnie badacz, obowiązany do operowania środkami ściśle intelektualnymi, nietylko w nich czerpie moc swą i myśli najwspanialsze. Pamiętna jest mowa, którą Helmholtz wygłosił na cześć Heidelberga. „Coś z daru widzenia poety musi w sobie i badacz posiadać. Oczywiście musi ostatni więcej łożyć pracy cierpliwej i zmudnej, aby materyał porządkować i przygotowywać. Ale sama praca — idei światłodajnych nie przyniesie. Te wyskakują, jak Minerwa z głowy Jowisza, nieoczekiwanie, niespodzianie, nie wiemy skąd przychodzą. Tylko to jest pewne: temu, kto życie poznał tylko wśród książek i papierów, i temu, który osowiał wśród monotonnej pracy, nie zjawiają się one". Tu wielki badacz hymn śpiewa na cześć piękna przyrody, które zapładnia uczuciowo duszę i wnosi ład i światło w świat chaosu... Bo — dodaje Joel — gdyby myślenie miało pochłonąć wolę i uczuciowość, gdybyśmy mieli rozwijać się w kierunku wyłącznie intelektualistycznym—w takim razie doszli Chińczycy i scholastycy znacznie wyżej, niż my...

Tak jest; uczucie to pierwszorzędny czynnik poznania, i gdy mowa o błędach i klęskach uczucia, nie zapominajmy też o błędach i klęskach systemów naukowych, osiągniętych najsumienniejszemi badaniami ścisłemi. Dzieje nauki są dziejami hypotez — tylko dzieje uczucia miałyby od nich być wolne?

Nie wygnać zatem romantyzmu—nazwijmy go przeczuciem, natchnieniem, mistycyzmem—z tej dziedziny, która niezaprzeczonem jest królestwem Myśli badawczej, i która najwięcej przyniosła faktów, odsłaniających zaklętą twarz rzeczywistości. A jakżeż się ma rzecz z powiązaniem faktów tych poszczególnych w pewną całość ideową, w syntezę? Gdy przechodzimy do tej niewygasłej potrzeby ducha ludzkiego, nagle najściślejszy empiryk przemienia się znowu — w poetę-romantyka, zaś poeta-romantyk w mistycznych swych przeczuciach wyprzedza nieraz ścisłą wiedzę. I tak panteiści, jak Schelling i Słowacki,

zwiastują teoryę rozwojową Darwina, zaś badacze wypróbowani, jak Haeckel, Forel i inni, głoszą godny Słowackiego panpsychizm. Nauka nowoczesna zna bowiem szeregi faktów i tylko faktów — lęka się nawet wiązania ich mianem „przyczynowości", a o ile pragnie wznieść się do poznania *całości* — operuje typową metafizyką! Metafizyką jest „materya", a gdy ją odrzucamy i wprowadzamy energię—mamy znowu tylko inne pojęcie metafizyczne. I daremnie usiłują myśliciele empiryo-krytyczni wydostać się z tego zaczarowanego koła przez sprowadzanie nauki do opisywania zjawisk, przez wyznaczenie myśli roli naśladownictwa faktów (Mach); myśl nie ogranicza się do konstatowania, ona porządkuje, uzupełnia, tworzy: daje syntezy—Romantyzm!

Rzeczy to powszechnie wiadome, a jednak trzeba je powtarzać, trzeba za reakcyą „anti-romantyczną" zajść do fortów, w których ona się czuje najsilniejszą, niezwyciężoną, do nauki o przyrodzie, w której bez filozofii można wprawdzie dzisiaj być np. lekarzem, jak można być praktycznym maszynistą bez znajomości fizyki, ale nie przyrodoznawcą w nowoczesnem znaczeniu słowa. I tem się dziś różnimy od pokolenia, które przed czterdziestu laty poiło się streszczeniami Comte'a, Huxleya i Haeckla, nie przeczuwając, do czego ów Haeckel dojdzie: do wprost rozpaczliwych prób rozwiązywania „zagadek świata". Nienaruszalna i święta jest władza badawcza, ale poza jej obszarem: stwierdzaniem faktów, wznosi się królestwo Niepoznawalnego i Niepojętego, a do niego prowadzi nas uczucie, oczywiście po stopniach, zbudowanych przez ścisłą naukę.

Taką jest rola Romantyzmu w stosunku do świata, *który jest.*

„Który jest" — w naszem wyobrażeniu. Istoty bowiem i natury jego nie znamy, a to, co wiemy, osiągnęliśmy właśnie dzięki przezwyciężeniu empirycznej, rozsądkowej rzeczywistości.

A w świecie, który *ma być?*

Przechodzimy w sferę Nieskończoności, zamkniętą w wnętrzu duszy ludzkiej, w bezkresny krąg możliwości, jakim jest człowiek.

Dopieroż się przekonywamy, że historya jest — przezwyciężaniem rzeczywistości.

Wszystko płynie... Poezya wprzódy, niż nauka ścisła, odczuła owe prawo wieczystej przemiany, któremu podlega wszystko, co istnieje. Nieśmiertelna Wola Schopenhauerowska w bezustannem swem dążeniu do wcielań — przybiera formy nazewnątrz coraz bardziej skompliko-

wane, ustrojowo wyższe — nawewnątrz coraz bardziej uduchowione...

Objektywne prawo ewolucyi ma podkład subjektywny, którym jest nieskończony szereg walk między empirycznie daną rzeczywistością a Duchem.

Zależny od wszystkich potęg zewnętrznych był człowiek pierwotny, zależny rodzi się i dziś człowiek. A, o ile naprawdę rozwija się i rośnie — rośnie on zwewnątrz. Zzewnątrz mogą go otaczać wszystkie środki magiczne, dostarczone bodaj przez technikę nowoczesną; o ile duchem nie urósł—są one dlań kapitałem martwym; o ile duszę wolną posiadł—stwarza je sobie z minimalnych nieraz zadatków.

Duszę: tęsknotę...

Duszę: uczucie...

Duszę: wyzwolenie.

Wszystko, co człowiek nowoczesny posiadł, w każdym zakresie bytowania, było dlań niegdyś snem, chimerą, należało do sfery, która dopiero miała być.

Z tego stanowiska można wszystko, co posiada, nazwać wcielonem marzeniem, upostaciowanym duchem.

A jeżeli czegoś nie posiadamy, to dlatego, że marzymy zamało intensywnie, że chcemy ze zbyt słabą mocą.

Co nie uchodziło za Utopię! Ustrój polityczny wielu państw dzisiejszych — cała technika współczesna — stanowisko człowieka wobec człowieka i wobec przyrody — cały nasz byt codzienny wydawał by się ludziom z połowy XYIII wieku Utopią.

Nie znaczy to, jakobyśmy mieli prawo do optymizmu i do parweniuszowskiego chełpienia się: oto, jak wysoko doszliśmy! Znaczy tylko: nie obcinajmy skrzydeł marzeniom — nie obniżajmy lotu — tężmy naszą wolę.

A to jest Romantyzm.

Teraz jesteśmy u węzłowego splotu Poezyi i Życia.

„Narodowy artysta organizuje wyobraźnię, jak naprzykład polityk narodowy organizuje siły stanu“ — powiedział Norwid, i to jest chyba najgłębsze określenie stosunku sztuki do życia. Bez zamierzeń tendencyjnych ze strony artysty, w zgodzie z prawem, przysługującem przedewszystkiem artyście: *fiat spiritus, ubi vult,* narzuca się jednak świat jego twórczości, o ile odpowiednią ma siłę, wyobraźni czytelników, wyciska na niej ślad niezatarty.

Artysta narzuca ogółowi swoje widzenie świata — swoją koncepcyę świata. Tem zaś różni się prawdziwy artysta od zwykłych śmiertelników, że ma dar dostrzegania poza kłębami chaosu i efemeryd — tego, co w zjawiskach jest najgłębsze, najistotniejsze: co jest niejako Ideą ich odwieczną. Ideą tą zaś jest rzeczywistość wyższa nad tę, którą ograniczonymi widzimy zmysłami: prawda ducha w walce z pozorami zdrowego rozsądku. I prawdę tę życia, sięgającego ponad życie, dostrzegają artyści zawsze, kiedy tworzą szczerze, śmiało, nieskrępowanie, kiedy nie są skazani na rolę wyższego rzędu błaznów; szczególnie więc w czasach nowszych, kiedy sztuka przestała być zależną od dworów i salonów.

Stąd skargi szkolarzy na brak w nowoczesnej literaturze epopei spokojnej, harmonijnej, zrównoważonej. Ostatniemi jej arcydziełami: *Herman i Dorota* oraz *Pan Tadeusz*. Wizye świata w stanie statycznym. Zresztą przewrażliwione dusze prawdziwych artystów wyrażają najsilniej rytm bytu w całem natężeniu jego pędu ku Wyzwoleniu, wyrażając go z całą wrodzoną sobie mocą fantazyi, uczucia obrazowania, i ten rytm narzucają ludom.

Dlatego też prawie cała sztuka nowoczesna jest romantyczna.

Z wyjątkiem kilku artystów, zajętych czystą kontemplacyą lub utożsamiających technikę z formą i poświęcających całą siłę intelektu przezwyciężaniu zadań technicznych — cała prawie literatura dziewiętnastego wieku jest romantyczna. Jest nią nawet tam, gdzie teoretycznie przeciwstawia się romantyzmowi, np. w powieściach Dostojewskiego, Zoli lub Balzaka. Indywidualność bowiem górniej patrząca nie da się nigdy złudzić pozorom powierzchni, nie ukorzy się przed Mayą, płytką, zewnętrzną Rzeczywistością. Bierze od niej fakty, aby po ich stopniach zajść dalej: uchwycić bieg świata w całej jego głębi i prawdzie. Staje się wyrazem siły metafizycznej: Idei — prącej naprzód, wcielającej wyzwalającą się duszę świata. U jednego przemawia językiem uczucia, tęsknoty, rozmarzenia, u drugiego — płomienną mową haseł, gromów i potępień, u innego — obrazami, porywającymi w krainę wyśnioną, czarów pełną i piękna bezkresnego — tu znowu — językiem negacyi, unicestwienia — u wszystkich tensam podkład i tensam rezultat: bunt przeciw powszedniej, obmierzłej Rzeczywistości — narzucanie wrażliwym wyobraźniom projekcyi bytu innego, wyzwolonego.

Niema obawy, by ktoś podkopał znaczenie rozumu. I niema antagonizmu między rozumem a światem Ducha, gdzie królestwo Romantyzmu. Nikt nie odmówi wielkiego rozumu mędrcom starożytności z Platonem na czele; wiadomą jest rzeczą, że między mistykami były pierwszorzędne potęgi umysłowe, ze szczególnemi zdolnościami do najbardziej ścisłej z nauk: do matematyki; metafizycy nie byli chyba w czambuł pozbawieni „rozumu", do ostatnich czasów znajdują się w Niemczech uczeni, którzy na polu badań naukowych pierwszorzędne położyli zasługi, a również są filozofami o najbardziej romantycznej metafizyce (Lotze, Fechner, poczęści nawet Wundt, zwolennik Schopenhauerowskiej zasady Woli).

A niema też obawy, by romantyzm zanadto się na świecie rozpanoszył. „Es ist schon dafür gesorgt, dass die Bäume nicht zu hoch in den Himmel wachsen". Życie, którem kieruje przedewszystkiem instynkt samozachowawczy, ma tysiące sposobów dochodzenia do „równowagi", przypalania i skracania skrzydeł, które zanadto pną się w górę ponad tłumy leniwe dwu- i czworonogów. Życie jest przedewszystkiem faktem biologicznym, ten „ducha" nie potrzebuje, gdyż procesy przyrody nie znają celu; cel zakreśla sobie dopiero duch, stąd wieczna między tymi dwoma pierwiastkami walka. Herold, pionier, zwiastun najczęściej ginie: rzecz to ze stanowiska „zdrowego rozsądku" i zdrowej estetyki bardzo... niezdrowa — nie znaczy to jednak, jakoby zwycięstwo faktu było zwycięstwem w wieczności. Oznacza tylko, że romantyzm w istocie swej jest zawsze tragiczny, że ludzkość bardzo powoli zdąża za przednią swą strażą, ale wszystkie momenty, które nazywamy tryumfem ludzkości, świętem jej i wywyższeniem na drabinie rozwojowej — są datami uroczystości Romantyzmu.

Nie, niema obawy, by romantyzm był wrogiem życia w jedynem jego szerokiem, pięknem znaczeniu: jako obrazu świadomości tworzącego, idącego wzwyż człowieczeństwa. Tembardziej, że zasadniczo romantyzm nowoczesny ulega przeobrażeniu podobnie, jak np. metafizyka nowoczesna; dawniejsza była spekulacyą li tylko „z wnętrza swojego ja", dzisiejsza rozpoczyna, gdzie kończą się umiejętności doświadczalne, jako na nich oparta nadbudowa. W podobnym stosunku pozostaje do doświadczalnej rzeczywistości nowożytny romantyzm. Kłaść na jego karb twory niedojrzałe i absurdy — jest metodą nieszlachetną. A że są możliwe całe nawet narody, pielęgnujące ową nadbudowę romantyczną: kult

bohaterstwa — natchnienia — piękna — na podstawie bardzo pozytywnej, dowodem bodaj... Japonia. Czy istotnie tak łatwo zapominamy?

Doskonali się, przetwarza romantyzm, ale w treści pozostaje niezmieniony. Jest nią — jak od wieków — bunt przeciw powszedniej, obmierzłej powierzchni życia, narzucanie wrażliwym wyobraźniom projekcyi bytu wyższego, wyzwolonego.

III

A teraz czy trzeba dowodzić — wbrew p. Chlebowskiemu — że i czemu poezya polska w czasach najwyższego swego rozkwitu, około pierwszej połowy dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku, była romantyczna?





WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

XIII

Helena sama otworzyła mu drzwi.

— Do kogo pan sobie życzy?

— Panno Heleno... nie poznaje mnie pani?

Cofnęła się zdumiona, przerażona nieledwie.

— Pan... pan... puścili pana?

— Ależ nie... uciekłem! — odrzekł, zdejmując palto.

Chwyciła go za rękę i pociągnęła w głąb przyległego saloniku.

— Pan pewnie nie wie, co się tu u nas dzieje?

— Owszem. Byłem u Bukowskiego... Nie mogłem odszukać adresu państwa...

Usta jej zbielały i zęby zaszczękały drobnym bolesnym szczękiem.

Opowiedział jej w krótkości całe zdarzenie. Słuchała uważnie, lecz wydało mu się, że się słania na nogach. Zrobił nieznaczny ruch aby ją podtrzymać, i pochylił się ku niej cokolwiek. Dostrzegł wtedy w półzmroku, jak po bladej, skamieniałej twarzy potoczyły się z pod przymkniętych powiek wielkie łzy. Zapomniał o wszystkiem. Przygarnął ją po raz pierwszy w życiu do siebie, poczuł jej piersi na swoich piersiach, smukłą postać wyciągniętą tuż blisko swego ciała. Jej ramiona otuliły mu szyję, palce błądziły po włosach.

— Jesteś... — szeptał głos senny i cichy. — Myślałam, że już nigdy, nigdy cię nie ujrzę, a oto... jesteś...

Nie odpowiadał, szukał jej ust, lecz usunęła je mu, i mógł jedynie całować jej szyję mięką, pachnącą i ciepłą. Miał wrażenie, że płonącemi

wargami w skwarze i znoju dręczącej podróży przypadł nareszcie do zdroju czystego, że pije napój mocny, krzepiący, ożywczy... Ogarnęła go rozkosz bezwzględnego zapomnienia, jakiej do tej pory nie znał, przedsmak boskiej nirwany, ucieczki zupełnej od trosk świata. Głowa mu ciężko osunęła się na jej ramię, jak we śnie. Garnął ją do siebie coraz mocniej.

Odtrąciła go zlekka.

— Dość już, dość! Ojciec przyjdzie...

— Dosyć?!...—powtórzył nieprzytomnie Szumski.—Ach tak, ojciec...

Wyprostował się.

— Opowiadaj, gdzie zatrzymałeś się... pan... co zamyślasz robić? Czy nadługo?

— Właśnie nie wiem, jak postąpić... Hotel obsadzony... Muszę spędzić gdziekolwiek noc. Kto tu jest z naszych?

— Po rozłamie zostało bardzo mało... A teraz ta sprawa Bukowskiego... Ale to się da zrobić. Siadaj...

— A więc rozłam nastąpił?

— Nie chcę mówić o tem teraz, nie chcę...

— Rozłam z jakiego powodu?

— Niepodległość!... Wyrzekają się...

— Co? — żachnął się, odchylając w tył. — Dlaczego?

— Nikt tego dobrze nie wie — zaczęła, wybuchając i płomieniejąc coraz bardziej.—W tem kryje się jakaś tajemnica. Niektórzy twierdzą, że klika intrygantów znalazła się wypadkiem u steru, w chwili najwyższego politycznego napięcia... Rozegrała się jakaś niezmiernie wyrafinowana intryga, intryga na szeroką skalę. Pokryto ją płaszczem, że dla proletaryatu niepodległość jest niepotrzebna, a nawet szkodliwa. Obsaczono nagwałt wybitniejsze, odpowiedzialniejsze miejsca ludźmi stosownych poglądów, albo ludźmi chwiejnymi, nowymi, niczem niezwiązanymi z ruchem. Głośno na wiecach wyrażano pogardę dla dawnego programu, dla przeszłości, wyszydzano i obrzucano błotem dawnych zasłużonych działaczy... Zaczęła się wewnętrzna, zażarta, bratobójcza walka... Działo się coś niesłychanego... Nie spełniano uchwał, przeszkadzano sobie wzajem... Nie, nie będę o tem mówiła... nie mogę...

— A masy? — spytał złamanym głosem.

— Też się podzieliły... Znaczna część oszołomiona, zachwiana w wie-

rze waha się, lub odchodzi, traci idealizm... Tragizm niewysłowiony...

— A pani, panno Heleno? Czy pani też odeszła?

Zmieszała się i spojrzała nań smutno.

— Niezupełnie... Nie. Ale... mama umarła... Musiałam zająć się drobnem rodzeństwem, gospodarstwem... więc chwilowo... znalazłam się na uboczu...

Siedział postarzały, zgięty ze zwieszoną głową i nie patrzał na nią.

— Ojciec idzie! — szepnęła drżącym głosem i podniosła się.

Podniósł się i Szumski.

— Helciu! Helciu! Rewirowy przysyła stróża, aby mu oddać klucze od naszej góry i piwnicy... Coś nowego... Co oni chcą z nami robić? Chodź, gdzie się podziałaś?

— Tu jestem, ojcze.

— A kogo tam masz, Helciu? Wszak prosiłem cię, żebyś... — zabrzmiał głos na progu, i we drzwiach ukazał się siwy mężczyzna ze wspaniałą rozłożystą brodą.

— A-a-a... To pan... W jakiż to sposób? Czy uwolniono pana?

Chłodno przyjął wyciągniętą rękę i nie ruszył się, gdy młodzieniec pochylił się do jego ramienia.

— Nie, ojcze, pan Wiktor uciekł i potrzebuje właśnie...

— Co to, to nie. Nie cofam nigdy swego słowa, a już powiedziałem, że z tem skończyłem... Dosyć, panowie! — zaczął z pięknym giestem — Ale pogadać mogę... Owszem, nawet bardzo proszę! — dodał i ręką wskazał Szumskiemu fotel. Ten jednak z zaproszenia nie skorzystał, tak że i mecenas po krótkiem wahaniu pozostał na nogach.

— Czegóż jeszcze chcecie? Doprowadziliście kraj do pożądanego przez was stanu... Nędza, bezrobocia, głód... rozboje... Zamiast korzystać ze swobód, zająć się pracą twórczą — strajki, wywłaszczenia, chaos, mgławice... Rozpętaliście bestyę... Cofnęliście życie o sto lat... Zniszczyliście wysiłki całego pokolenia... uniemożliwiliście wszelką kulturalną pracę u podstaw...

— Jaką kulturalną pracę? Czyją? Nie przypominam sobie, aby pan założył choć jedną szkółkę, albo nawet biblioteczkę w czasach, gdy za to karano więzieniem.

— Robili to inni, to wszystko jedno. A teraz co? Do czego

doprowadziliście społeczeństwo? My tęsknimy do stójkowych, my z wdzięcznością spotykamy żołnierzy, gdyż oni chronią naszego życia i mienia. Pozbawiacie nas tej naturalnej obrony, nie zapewniając bezpieczeństwa. A co daliście nam: garść szumnych frazesów, orgie mów wiecowych, trupy niewinnych i bezbronnych. Napady... środy! Chcecie wmówić w nas, że uwolnicie nas przez to wszystko. Nie! Prysł urok waszych słów! Wyszliście nareszcie z ukrycia, i znikła odrazu bajka o bohaterach. Z pod jaśniejącej monstrancyi tajemności obnażyło się owrzodzone i trędowate ciało wasze... Historya odwróci się od was, przeklęte pokolenie!...

Szumski zrobił ruch gwałtowny.

— Pozwól pan, niech wszystko wypowiem przy tej okazyi... — tu kiwnął głową w stronę córki — A ojczyzna, coście zrobili z ojczyzną? Opluliście jej imię. Sam słyszałem, jakeście wołali: „precz z Polską"...

— Paru ciemnych szaleńców...

— Wymyślali na białego orła...

— A odkąd to pan, panie mecenasie, stał się takim jego zwolennikiem?

— Zawsze nim byłem... Że nie gardłowałem, nie krzyczałem, to niczego nie dowodzi. W głębi serca nosiłem go w ukryciu... A wy...

— Daliśmy możność mówić o nim głośno...

— Proszę mi nie przerywać!

— Nie mam wcale zamiaru wysłuchywać pana. Wiem, do czego to wszystko prowadzi i... żegnam pana.

Ukłonił się.

— Ojcze! Ojcze! Pan Wiktor trafił wypadkiem do... Bukowskiego... Nie ma się gdzie ukryć... Hotel osaczony...

— Co?.. Bu-kow-skie-go? Tem lepiej, tem lepiej — mruczał trochę zmieszany Zwierzyniecki, wychodząc za Szumskim do przedpokoju. Ten wciągnął już palto na ramiona.

— Ojciec uniósł się!.. Ojciec nie miał racyi... Zostań pan — powtarzała zająkliwie dziewczyna.

— Wcale nie! pan Szumski zbiera własny posiew... Nie ma prawa żądać, abyśmy ginęli z jego powodu.

— Zupełnie słusznie, panno Heleno... Żegnaj!... Proszę o jaki adres do Warszawy...

— Żadnych adresów... Proszę sobie iść! — ostro wmieszał się

mecenas, stając między gościem a córką. Znacząco ujął za klamkę i, skoro się tylko Wiktor cofnął do sieni, drzwi za nim natychmiast zamknął.

Helena gorączkowo szukała w ciemnościach kapelusza i okrycia.

— Chcesz iść? Szaleństwo! Ani mi się waż! Telefonowano mi, że straszne rzeczy dzieją się na mieście...

Dziewczyna nie słuchała go. Wtedy przekręcił klucz w zamku i włożył go do kieszeni. Poczem spokojnie zapalił lampę.

— Zdasz mi sprawę z tego, co tu między wami zaszło... Czego on od ciebie chciał? Dlaczego przyszedł do nas właśnie? Żądam, aby to się raz nazawsze skończyło — mówił.

Ale Heleny już nie było. Rzuciła się w głąb mieszkania i, roztrąciwszy drobne rodzeństwo, zastępujące jej drogę, wypadła przez kuchnię na schody, na podwórko i w bramę.

XIV

Szumski był już dość daleko. Szedł sztywnym, niepowstrzymywanym krokiem lunatyka. Głębię ulicy zasnuł już stalowy zmierzch. Blado migały w nim żółte centki latarń... Różowa łuna biła dziwacznie nad domami... Zdala dobiegał poszum niespokojnego ruchu... Dziewczyna nic tego nie widziała... Biegła, śledząc wytężonym wzrokiem za wysmukłą figurą młodzieńca.

— Wiktorze! Wiktorze! — zawołała nareszcie z rozpaczą, gdy miał jej zniknąć za rogiem ulicy. Obejrzał się i stanął.

— Co pani robi? Nie widzi pani, co się tu dzieje?

Drgnęła, gdyż w tej chwili właśnie rozległ się głuchy łoskot odległej salwy. Schwyciła go za rękę.

— Już cię nie opuszczę!

— Przeciwnie. Wrócisz zaraz do domu. Ja dam sobie radę...

Próbował obrócić ją i pociągnąć z powrotem.

— Nie, nie! Pójdę z tobą... Będziemy razem... budować od początku — szeptała cicho, przylegając głową do jego ramienia. — Nie odtrącaj mnie!.. Na nic się to nie zda!... Nie mogę... Oszaleję... Nie odczepię się... Będę krzyczała... Zresztą, pozwól, odprowadzę cię do znajomych... Wrócę potem z którymkolwiek z nich... — powtarzała bezładnie, uśmiechała się, garnęła ku niemu i drżała.

Znów głuchy, jakiś potworny pomruk doleciał ich od krańców miasta, a poza nimi, na skrzyżowaniu ulic błyskały w świetle latarni bagnety. Słychać było miarowe kroki piechoty.

— Dobrze, już dobrze! Idziemy. Jeszcze nas tu zabiorą — odpowiedział rwącym się, wylękłym i zarazem radosnym głosem.

Zaczęli szybko uchodzić przed zbliżającym się, miarowym sznurem wojska. Wkrótce zauważyli, że takich jak oni jest wielu... Żenie ich w jednym kierunku jakiś wicher niewidzialny... Bramy domów zawierają się przed nimi z łoskotem... Gwar popłochu polatuje nad nimi. Dziewczyna, gwałtownie ciągnięta przez Wiktora, zawisła mu ciężko na ręku.

— Tu, tu... w tę ulicę! Stamtąd już niedaleko...

Nagle tuż blisko huknęła salwa, i kule jak stado świegocących drozdów przeleciały nad ich głowami... Jednocześnie fala czarnych, obłąkanych ludzi wylała się z bocznej ciemni ulicznej, gdzie nie błyskało już żadne światło.

Tłum ogarnął ich, zmiął, podchwycił i poniósł z sobą. Szumski rozumiał niebezpieczeństwo, ale narazie nie był w stanie wyrwać swej towarzyszki z szalonego ludzkiego potoku... Biegli więc razem z falą i dopiero, gdy cokolwiek zrzedniała, zawrócili do pierwszego spotkanego zaułku. Tu było cicho i złowrogo. Nigdzie nie migało światło w oknach, nigdzie nie było widać żywej duszy. Jeno za rogiem pełgały jakieś niezrozumiałe blaski. Ale zbiegowie nie mieli wyboru.

— Gdzie jesteśmy?

— Nie wiem...

— Zdaje się, że tu gdzieś niedaleko plac, obejdziemy placem i wrócimy na Krakowską... Albo wiesz co, pójdziemy za miasto... Na cmentarz... noc ciepła...

Helena przytuliła się doń mocniej...

Ostrożnie przekradali się w cieniu domów, łagodząc, o ile się dało, stuk własnych kroków. Zdawało im się, że brzmią one niezwykle dziko i złowieszczo w umarłej ulicy. Łuna tymczasem rosła, zabarwiała ciemności, jak krew, przesiąkająca przez żałobną oponę. Zawrócili pod kątem i zastygli bez ruchu przed niespodzianym widokiem... W głębi obszernego placu płonął z trzaskiem piętrowy dom... Oddzielał go od nich czarny, nieruchomy żywopłot ludzi, poza którym opodal błyskały w łunie pożogi rzędy jakgdyby ostrych

płomyków... Zbliżyli się ku wylotowi ulicy, pociągnięci straszną, niezwyciężoną siłą, i zmieszali się z milczącym, rzadkim tłumem... Przepychali się coraz dalej naprzód, jak w okropnym śnie... Dom płonął, niby stos ofiarny, rzucając prosto ku górze niezmierzony słup czarnego dymu, sięgający, zda się, gwiazd. Na pustym placu widać było jak na dłoni blade kółka twarzy regularnie rozstawione nad ziemią, niby żałobne, bezpłomienne lampy... Z boku błyszczały krwawo hełmy strażaków, mosiężne krany ciemnych beczek i sikawek, guzy końskiej uprzęży... Wszyscy z zapartym oddechem patrzyli na ten straszny dom, gdzie z płomieniem, dymem i łuną biły w podniebie obłąkane wrzaski, to cichnąc, to zrywając się, jak wytryski głowni i skier, lecących z rumowiska... Gdzie z sykiem ognia płynął nieustannie głuchy, mistyczny, przejmujący śpiew, szeroki jak świat, jak świat wielki i niezgłuszalny... On wylatywał z samej gardzieli ognia, z poza płomiennych języków, liżących białe ściany, wybuchających ze wszystkich otworów wysoko ponad dach. W złotych kwadratach okien migały tu i owdzie czarne sylwetki ludzi... Krzyczeli coś, wyciągali ręce, grozili pięściami. Niektórzy wyskakiwali na plac. Lecz tu rychło chwytała ich gromada rozjuszonych szumowin i mętów, uzbrojonych w drągi, pałki, łomy. Zabijano ich natychmiast i rzucano na kupę drgających ciał, skąd z cichym jękiem wychylały się blade, pomiażdżone, okropne twarze, i skąd płynęła po bruku daleko czarna struga posoki.

Już nikt z domu nie skakał, już nie było widać czarnych ludzkich plam w otworach okien... Wtem tłum drgnął... Rozległo się przenikliwe wołanie:

— Ludzie!..

Kobieta z rozpuszczonymi włosami wychylała się, wypadała nieledwie z kamiennej framugi, podając stojącym w dole małe dziecię.

— Ludzie, ulitujcie się!

— Rzuć! — zawyła tłuszcza.

Obdarta, w łachmanach, dzika postać wyciągnęła ku górze czerwone od krwi i ognia łapy. Po tłumie przeleciał pochwalny pomruk.

— Rzuć!

Dziecię błysnęło w krwawem powietrzu, niby gołąb. Poczem kobieta oswobodzone ręce przycisnęła z wdzięcznością do ust, do serca i z łkającym szeptem, z oczyma wniebowziętemi błogosławiła...

Nagle przeciął ciszę słaby pisk duszonego, rozdzieranego na sztuki pisklęcia.

Tłum drgnął.

Wtem niewiadomo skąd i jak przedostała się przez ciżbę młoda dziewczyna i z głośnem szlochaniem, z wyciągniętemi rękami podbiegła...

— Ludzie!..

Wnet ją spostrzegli, schwytali...

— Obywatele! — zaczął gdzieś ponad tłumem rwący się głos.

Szumski z głuchym rykiem cisnął się naprzód...

— Heleno... Puśćcie... Zabiję...

Daremnie jednak rwał się Wiktor, szarpał, kopał, przeklinał. Ścisnęli go jak kleszczami i wlekli.

Wreszcie wybił się wyżej, ponad ramiona, i dojrzał, jak Helenę odzierali z szat, jak rzucili ją na okropny, ruszający się wzgórek trupów, rozkrzyżowali białe ręce, a między rozdarte nogi wbili gorejący pal...

Stracił przytomność... Upadł w jakąś czarną przepaść... Gdy się ocknął i zebrał poszarpane myśli, zawrzał, dobył broni i począł słać bolesne kule, kulę za kulą. Rozległy się żałosne jęki śmierci.

Błysnęła sina salwa, i bicz kul chlasnął w ciemne powietrze... Szumski stał hardo; włosy jeżyły mu się nad czołem, zaciśnięte zęby błyskały z pod drgających ust, straszna spiżowa twarz płonęła w łunie dalekiego pożaru... Ruszył naprzód, przeraźliwy, jak sam bóg wojny, i szukał piorunowemi oczyma wokoło...

Jednocześnie huknęła salwa, i Wiktor padł na bruk, jak zerwany sztandar....

KONIEC

H. M.



MARYA MARKOWSKA

Żywie...

Otom powalon, witeź wdały,
Na krwawem polu mojej chwały...

Ległem-ci jako lew spętany,
Wraże skowały mnie kajdany,
Wraże łańcuchy wzięły siłę...
— A tam kopają mi mogiłę...

Już się żelaza w koście wżarły —
A tam mi prawią, żem umarły...

Kołem nademną kraczą wrogi,
Jako nie runąć mi w bój srogi,
Jako mi nie ujść złej obieży,
Jako bez ducha trup mój leży.

Przyszli nademną płakać swoi,
Bez miecza przyszli i bez zbroi...
Każdy uderza mnie oczyma,
Szydnie pogląda na olbrzyma...
Każdy nienawiść ma u czoła,
A żaden ku mnie nie zawoła:
— Witeziu, wstań! —

Miecza się żadna dłoń nie imie...
Wzgardzie oddają moje imię,
Jako grzech we mnie był i zdrada,
Każdy mnie sądzi a spowiada...
Szarpają krwawe me wawrzyny,
Złem słowem hańbią moje czyny —

Otom powalon, witeź wdały.

W ciele zatrute grzęzną strzały...
Od sępich skrzydeł pomrok pada...
A owo kruków ciagną stada,
Na suchej wierzbie puszczyk woła...

Szłyk się z krwawego zwalił czoła,
— A gdzież jest, który zleczy rany? —
Spękał się brzeszczot hartowany
I pokruszony grot w oszczepie...

Jakoż się zmogę, jako skrzepię?.

Przeczże mnie miecza i zbroicy
Zbawili bracia — niewolnicy!
Przeczże mi sroższe kładą pęta,
Niżeli wroga moc przeklęta!
Mogiłę dla mnie kopią wrogi,
A bracia ku niej moszczą drogi...
Jeno nienawiść zła u czoła,
A żaden ku mnie nie zawoła:
— Witeziu, wstań! —

Ległem na czarną matkę-ziemię
I oto snem ostatnim drzemię.

. . . .

Rośnie nademną kurhan szary,
W rozbitej piersi rosną żary:
Krew z mojej ziemi życiem wraca!
Grabarze Czynu, próżna praca!
Gości na stypę zwiecie kruczą —
W podziemnej kuźni młoty huczą.
Grabarze Ducha, próżne znoje!
Podziemna kuźnia kowa zbroje.
Burzą plonuje boju zdrada:
Kuźnica Czynu gromem gada!

Pryska ogniwo po ogniwie:
W spękanej trumnie Zmarły żywie!



ST. LACK

Uwagi o sztuce Daniłowskiego

II

W *Jaskółce* jest nietylko dokładność (prawdziwość), ale jest prawda czyli sztuka. I dlatego, myślę, niema u Daniłowskiego tego odcienia wulgarnej rewolty, która nas razi w wielu powieściach. Tu się nikomu niczego nie narzuca, bunt Halszki nie wychodzi ani na chwilę poza granicę smaku. Bo pojmijmy: ludzie gorszą się pewnemi uczuciami, pewnemi myślami, które czytają w książkach. Wysyłają swoje zgorszenie pod złym adresem. Uczuciem lub myślą niemożna się gorszyć, lecz formą, t. j. można mieć odrazę do narzucania uczuć i myśli, bo nie uczucia i myśli oraz ich następstwa krzywdzą, lecz ich narzucanie i chęć narzucania. W tym sensie Daniłowski nikogo nie zgorszy, nie dlatego, że jest „letni", lecz dlatego, że ma smak, że więc każdego ujmie (rozumie się, że wspominam o tem, ponieważ w tem widzę działanie czynnej siły, ujętej kierunkiem, nie zaś działanie przypadku). Daniłowski ma szacunek dla wszystkich uczuć, rozumie się: dla prawdziwych. A to dlatego, że ma poczucie życia. Cóż to znaczy? To znaczy, że nietrzeba mu sytuacyj nadzwyczajnych, poprzestaje na każdej, bo każda ma jednaką wartość, o ile jest prawdziwa. Każda sytuacya jest właściwą miarą człowieka. I to jeszcze znaczy, że smak u Daniłowskiego jest wynikiem „uspołecznienia czyli wrażliwości sumienia", właściwości, na której brak u Szwajcarów skarży się tak bardzo Kwaszewski (t. II, str. 42).

Zadawałem sobie pytanie, dlaczego Daniłowski nie pisze dramatów? Jest to prawdopodobnie sprawa techniki przedewszystkiem (my-

ślę: poprostu wprawy, ćwiczenia), a potem sprawa niemniej ważna—kwestya rozwiązania. Dramat musi być dramatem, nie może być jedynie sceną dramatyczną, dramat musi mieć... koniec. Narracya Daniłowskiego wyprowadza niejako *dramatis personas* Czasu, tej epoki, którą przedstawia. Z tych niektóre tragiczne w samym przebiegu losy swe spełniają. Pod tym względem można mieć tymczasowy żal do Daniłowskiego, że zatytułował rzecz swoją *Jaskółka.* Jak to już pchało do dania na samym ostatku owego monologu Jaskółki! Bo ten rozdział ostatni nie jest tem, co się nazywa rozwiązaniem: *dénouement.* Narracya nie może się kończyć. A rozdział, w którym jest przedstawiony koniec Jaskółki, nie jest *zakończeniem* narracyi, lecz wyczerpaniem tego, co się w zakreślonej ramie czasu mieści. O to jednak narazie mniejsza.

Orski się skończył, dobrze; bo komużby znowu stał się pretekstem do spełnienia tragicznych losów? Taki już los pewnych ludzi, że są na świecie pretekstem. Bez nich wszystko *jest,* ale niewszystko bez nich *się dzieje.* Bądźmy mu wdzięczni i za to, tembardziej, że go Daniłowski nie przedstawił odrażająco. Jest to przecież chłopiec bardzo sympatyczny. Taki Kreon, żeby się już trzymać analogii, jest człowiek twardy, zły, tępy. Więc i to się poczęści w sprawę miesza. Ale Orski... Orski jest mistrzowsko przedstawiony. Kto to jest Orski? Siliłem się, żeby znaleźć określenie, i doszedłem do tego, że Orski to jest człowiek, który się zrównał z sobą. Znalazłem to określenie za pomocą tekstu Daniłowskiego. W pierwszym tomie *Jaskółki* (str. 83) Orski, już jako dziedzic, jedzie do swej odziedziczonej Wolicy. Jest w drodze. „Na widok tej rozległej przestrzeni, monotonnej, białej i obojętnej, Orskiemu zatułała się po głowie refleksya, czy czasem cały jego teraźniejszy tryb życia nie jest taką jazdą, pracowitem dreptaniem na jednem miejscu wystygłej pustyni, z tą różnicą, że *wrażenie szalonego pędu w porównaniu do powolności ruchu naprzód* i ogromu obszaru pola, które zbiegać należy, znajduje się w jakimś tragicznie niewspółmiernym stosunku?“ Tak przewidzieć człowieka! To spostrzeżenie wydaje mi się niezwykle, jak powiadają, subtelnem. Orski doszedł więc do zupełnej harmonii, do zgody z sobą. Nie wierzę Jaskółce, która go ma za odstępcę. Orski zamłodu wybiegał nerwami i wykonywał tym wehikułem szalone ruchy, ale wszystkie jego siły właściwe stały na miejscu, niezużyte. Orski więc jest w zgodzie z sobą, nie

odstępca, nie zdegradowany, [1]) tylko, żeby rzec tak, elegant z nadszarpaną wiarą w swoją elegancyę, elegant z bardzo nieznacznym wyrzutem sumienia, który się budzi w Krakowie w chwili rozbrzmiewania hejnału z maryackiej wieży.

Ale ci inni, Linowski, Rudny (osobiście np. jestem ciekaw, mocą tej ciekawości anegdoty, którą już pewnie mam zarówno jak inni, czy się Rudny w „Secesyi" poznał z Ignacym!), Kwaszewski — ci się nie skończyli. W tych jest możliwość zbiorowego czynu, zestrzelenie dążności jednostkowych, które cechowały Halszkę, Dulkę, Orskiego; ale to właśnie należy do innego czasu, to należy może właśnie do dramatu. I w ten sposób jednak byłby to koniec narracyi, koniec epoki, koniec całej gieneracyi, którą nam przedstawiono we wszystkich odcieniach. A w perspektywie może dramat, a może trzeci tom. Takbym jednak doszedł do tego właśnie, że „powieść współczesna" Daniłowskiego jest bardzo dobrze skomponowana. Niektóre osoby warto bliżej rozejrzeć. Z tragicznych zasługuje jeszcze na uwagę Jaskółka. Co nas uderza w tej postaci, to brak motywów działania. To może poprostu na fałszywą drogę pchnięta żądza szczęścia, nie: żądza życia, czynu, jak u Halszki. Jednostki, które w działaniu popadają w nieszczęścia, w cierpienia moralne, widocznie poszły w złym kierunku. Podtrzymuje je raczej wiara ludzi, z którymi wspólnie pracują, niż wiara własna. A sprawę, dla której działają, tak dalece wiążą z tymi właśnie ludźmi, że gdy spostrzegą pomyłkę, przenoszą całą gorycz na sprawę, tracą wiarę, której nigdy nie miały, i wtedy uogólniają własne cierpienia i zawody i ustępują miejsca, rzekomo zwyciężone, rzekomo zwyciężającym. Ofiary własnej pomyłki tragicznej, w którąby popadły we wszelakiej sytuacyi życia.

A osoby dramatu tego, który jeszcze nierozegrany, to Linowski, Rudny, Kwaszewski.

Z tych Kwaszewski ma stanowczo zabarwienie dramatyczne. I jemu brak nieomylności, ale Kwaszewskiego życie jest pełne; czy się więc omyli czy nie omyli, na jego życie to nie wpłynie, przysporzy mu ostatecznie trochę upokorzeń drobnych, narazi czasem na śmie-

---

[1]) Tu zwracam uwagę na notę w zeszycie poprzednim, str. 475, oraz na te ustępy niniejszych uwag, w których jest mowa o ciotce Orwidowej i o smaku Daniłowskiego.

szność u ludzi, którzy „już" niczego nie biorą na seryo. O to też nie idzie. Jego dramat tkwi w tem, że to jego dążenie może go zaprowadzić w bezkresy. Widać to po tem, że nie poprzestaje na budowaniu podstaw nowego życia, lecz, że chciałby wszystkich zamienić na budowniczych. Ludzkość złożona z samych ludzi — otóż idea prosta i naturalna. Naród (np. polski) złożony z samych Polaków — otóż idea znowu prosta i naturalna. Ale ta idea jest prosta i naturalna dopóty, dopóki idzie o to, żeby: *być*. Idea się jednak wikła, gdy idzie o to, żeby *działać*. W działaniu wszyscy są zajęci jedną budową, ale metody i motywy działania mogą i muszą być różne, różnorodne. Tu nie można ujednostajniać, to nie jest romans, tu trzeba nawet stworzyć każdemu motywy odmienne? na miarę jego ducha? Tu więc Kwaszewski może zajść na drogi niebezpieczne, bo tu Kwaszewski nie jest pełny i tu może się mylić. W tym zaś kierunku Kwaszewski będzie pełny, gdy weźmie w siebie i Linowskiego i Rudnego i jeszcze tego chłopa z pod Krakowa, którego poglądem na bieg spraw życia jest: prać. Dlaczego? Z jakich motywów? Cóż nas, Kwaszewskich, to może obchodzić? Kwaszewscy — mamy moc transfiguracyi i w naszym ogniu spłonie wszystko, co nieczyste. W tym więc kierunku Kwaszewski musi się stać nieomylny, musi pojąć, że w zwykłych warunkach istoty tragicznej rzeczą jest: mylić się, ale rzeczą istoty pełnej jest, żeby pomyłkę zamienić na prawdę! Zadługo budujemy podstawy, za wiele „wyczuwamy", gdzie to tętni życie Polski, Kwaszewscy pełni, musimy je wyczuć wszędzie. W tych sprawach zmiany zewnętrzne są budowaniem podstaw, są zmianą wewnętrzną, Linowski jeden ma racyę. Ale nie jest dolą Kwaszewskiego być człowiekiem pełnym.

A Linowski? Jest pewien rys w tym człowieku, który mnie zdumiewa: Linowski jest trochę bakałarzem. Przepraszam za to Linowskiego, bo mi się zresztą Limowski bardzo podoba, chociażby dla gwałtowności, z jaką wyszedł z pewnej jadłodajni, że nie mógł znieść bezmyślnego ruchu, bezmyślnych słów i konceptów zgromadzonego społeczeństwa. Ale mnie zdziwił u tego człowieka *nowego* pewien znamienny rys, który tu przytoczę, a który Daniłowski sumiennie zapisał. Otóż właściwością bakałarza jest, że się dziwi mądrości swego uczucia. A drugą właściwością jest, że się czuje odpowiedzialnym za głupotę swego ucznia. Za mądrość bakałarz zahukany nie czuje się odpowiedzialnym.

Linowski, pozbawiony noclegu, błąkał się po Warszawie i zaszedł gdzieś na most. Było to właśnie po owem wyjściu z restauracyi. Po tem wszedł w park i usiadł. Przysiadł się do niego wkrótce pewien andrus. Ten andrus, pochwyciwszy uchem niebezpieczeństwo bliskie, wskazał Linowskiemu dobrą kryjówkę w rurze kanalizacyjnej, która tam leżała. Nadchodzą policyanci, którzy muszą wpaść na niego. Wówczas andrus, na wołanie, wychodzi i w ten sposób ocala Linowskiego. Linowski faktem ocalenia nie cieszy się — dobrze. Ale Linowski nie cieszy się dlatego, że go ocalił andrus! To sprawę zmienia. Bo tu, niestety, wpadamy w melodramat (jedyny to rozdział w *Jaskółce* (t. II *Łowy*), który przez to wypada z tomu). Wpadamy w gełne goryczy kontrastowanie, może zaczniemy się rozczulać szlachetnością czy ludzkością andrusa. To niedobrze! To nam mąci prostotę i siłę spojrzenia. Obejrzyjmy więc drugą stronę, której nie widzimy, bo ją nam zasłania gniew Linowskiego. Po drugiej stronie widzimy, że ten andrus Kubuś rozporządza niezmierną ilością swobody i niezależności, t. zn., że jest niezależny od swoich czynów, działa jak prawdziwy człowiek wolny, bo ma siłę, bo ma możność [1]). W jego motywy nie wchodzę. Mógłbym ich znaleźć tysiąc w beletrystyce całego świata i mógłbym dodać jeszcze kilka. Na miejscu Linowskiego człowiek prosty, o ileby rzecz samą przyjął, a Linowski ją przyjął, wstałby i poszedł do swego dzieła. A przedewszystkiem nie stawałby na szczudłach wobec Orskiego i nie wołałby melodramatycznie: „pewien złodziej kieszonkowy powziął ideę, żeby ocalić człowieka. Nie nauczam, opowiadam fakt, zdarzenie",—to są słowa, które łatwo wystylizować, przemoralizowawszy już całe zdarzenie do szczętu, że w tem przemoralizowaniu zginęło już nawet samo zdarzenie. Cały gniew Linowskiego potem traci dla mnie całą piękność (bo napisany jest pięknie), wobec tego, że wynika z goryczy, nie z siły! Tak jednak było! powiecie. Wiem. Ale tak być nie powinno. Na to nie pozwalają prawa stylu, o których już w innym związku powyżej mówiłem. Nie!

---

[1]) W tem postąpieniu andrusa jest poezya! Ale na tę jest ślepy Linowski, bo właśnie czuje się odpowiedzialnym jedynie za jego andrusowstwo, gdy ten andrus właśnie tak jedynie jest tragiczny. Wolicie, żeby takiego piękna nie było? Ja też. Ale to inna sprawa. Tu, niestety, to piękno już zamazane. Jakkolwiek... może tu nieco przesadzania.

wolę stanowczo umysłowość Linowskiego, gdy rozmawia z pomnikiem wieszcza lub gdy słucha, co mówią fale Wisły rozlanej, „jak blacha nieruchoma, wprawiona w brzegi, wytknięta linia świateł“. Pyszny obraz! Więc się tu rozstańmy.

*

* *

Te uwagi pisałem w listopadzie 1907, kiedy „Jaskółka“ pojawiła się w książce. Obecnie dodałem jedynie notę pierwszą i to, co jest z nią w związku. Ale miałbym jeszcze kilka słów uzupełnienia.

Co do *Halszki Orwidówny*, która mnie bardziej od wszystkich innych zajmuje swym tragizmem: że jej brak nieomylności ukazuje się odrazu tam, gdzieby należało rzeczy widzieć w prawdzie: Halszka bierze pozory siły (u Orskiego) za siłę rzeczywistą. W ludziach czynnych a tragicznych tem nierozgarniony optymizm, ta łatwowierność jest właśnie tragiczna. Orski, zamiast toastu na balu, wzniósł okrzyk *Evviva l'anarchia*. Te słowa, w tej atmosferze gminnej i ospałej, znaczą dla Halszki więcej, niż dla Orskiego, znaczą żądzę życia, żądzę czynu. Dla Orskiego nie znaczą niemal nic. — Pewien znamienny rys, który jako wskazówka stylu jest znakomitym odpowiednikiem szczegółów podkreślonych powyżej w owej konsolacyi ciotki Orwidowej, znowu mi wrócił na pamięć: Orski opowiedział Halszce rzecz o *mariage blanc* z Jaskółką. Pierwsza rzecz, która w tem Halszkę uderza, to powaga takiego *mariage blanc*, którego nikt nie bierze na seryo. „Jak mi Jaskółki żal“. Halszka byłaby istotnie niezupełna bez tego rysu, bez tej świadomości krzywdzenia kogoś z wiedzą. Jest to znowu sprawa kultury: ten odcień, ta nieobecność pospolitej rewolty i bezwzględnego rewindykowania praw swego uczucia. W swoją ostateczną decyzyę Halszka bierze pewną dawkę winy, która dla ludzi bardzo czynnych ma cierpki smak bardzo nikłej, ostrej rozkoszy. Halszka czuje tu jeszcze słabość Jaskółki, którą może widzi w prawdzie: istota porwana na kozła ofiarnego przez jakiegoś molocha-ideę. Halszka widzi w Jaskółce istotę słabą i równie jak ona tragiczną, lecz słabą.

W czasie wysokiej kultury jest zadaniem sztuki i sztuką umieć przedstawić ludzi ukształconych. Nie jest zaś zadaniem nijakiem pokazywać t. zw. bestyę w człowieku, niezdolną do ukształcenia. Jest to przesąd, który się opiera na innym przesądzie, że w tej bestyalności tkwi dusza, potęga niezależna od kultury. Tak nie jest: kultura for-

muje duszę, która stworzyła sobie kulturę. Osoba bez kultury, a wcale nieskomplikowana (jak chce pewna krytyka-estetyka), Ewa (*Dzieje Grzechu* Żeromskiego), idzie do żony swego kochanka, żeby się nakarmić jej krzywdą, ile że ją uważa za swoją krzywdzicielkę. Halszka, osoba z kulturą, powiada: „Jak mi Jaskółki żal". Różnica temperamentów? Nietylko. Ewa jest prawdziwa, ani słowa, gdy tak postępuje, ale prawdziwość nie stanowi jeszcze sztuki.

A teraz: o całej tej grupce młodych miałem powiedzieć, że w atmosferze uniwersyteckiego życia koleżeństwo stwarza pewne pozory, które siła organizacyjna potrafiłaby zamienić na prawdę. Ci wszyscy, którzy ino mają nieco szczodrości w umyśle i sercu, łączą się z ruchem nowym samą mocą koleżeństwa. Być kolegą działacza, znaczy dla młodego umysłu być towarzyszem i działaczem. O prawdziwem działaniu na podstawie rzeczywistych motywów może być mowa u kilku, u tych, którzy ruch stwarzają, u Linowskich i t. p. [1]). Inni — są to właściwie anarchiczne istoty, bez określonych charakterów, zależne od swych temperamentów i osobistych sympatyj i antypatyj, którym pierwsza lepsza sposobność da pokarm właściwy: otóż Dulka, Orski, Jaskółka. Istoty plastyczne, z których wszystko da się urobić, bo własnego kierunku nie mają. Wykrzyknik Orskiego na balu u Wilskich *Evviva l'anarchia* nie jest przypadkowy: Orski wyraża w ten sposób swoją naturę anarchiczną, zdezoryentowaną tymczasowo. Dla Orskiego życie uniwersyteckie było jakby przelotną miłostką. Orskiego najgłębszą miłością będzie własna jego osoba, doskonale przystosowana do tej organizacyi społecznej, która jest, a która polega na hodowaniu takich właśnie osobników anarchistycznych, pozbawionych (czy zgoła wolnych?!) kierunku.

Niema powodu użalać się z powodu tego. Jest to zawiła sprawa siły i działania okoliczności. Siły, ponieważ siła organizacyjna takiego Linowskiego może sprządz razem Dulkę, Orskiego, Rudnego i siebie— żywioły sprzeczne, i nie stanie się nijaka krzywda tym istotom; otrzymają kierunek, którego same nigdy nie zdobędą. Ale mają stanąć na

---

[1]) Co do tego Linowskiego, to powiedziałem wyżej, że on jedynie ma racyę. Jest to konkluzya moja, czytelnika. Bo my, czytelnicy, musimy... konkludować. Może tekst nas do tego skłania, może własne usposobienie i skłonności umysłu?

zawadzie okoliczności. Manifestacye studentów rozpędzają Orskiego, Dulkę. To nie jest ani ich dzieło, ani ich wina, to jest rzecz bardzo zawiła: nie umiano ich wyzyskać, nie umiano ich przerobić na siły — a jako jednostki nie są niczem. Każdy idzie w kierunku swej natury, zrzuca niejako jarzmo dyscypliny — Dulka popada w anarchię zupełną i kończy giestem pięknym, ale mało tragicznym, bo przesyconym goryczą, bo gorzkim, a nie silnym; Orski popada w taką samą anarchię, t. j. w bezwład. Właściwie zostać filistrem czy skończyć jak Dulka na barykadzie, to wszystko jedno w pewnych okolicznościach, w tych właśnie, które przedstawia Daniłowski.

W takich sprawach nietrzeba szukać t. zw. szczerości: osobniki anarchistyczne wcale jej nie mają, więc dyscyplina nic im nie odbiera. Nietrzeba szukać szczerości, bo nie każdemu jest dany talent twórczy, są ludzie stworzeni wyłącznie na współpracowników: można ich siłą własną utrzymać w tonie poważnym. To wystarczy.

Kwaszewskim nauka, którzy chcą działać na dusze (to są już znowu moje, niestety, konkluzye). Dusze należy zostawić w spokoju, bo wszystkie do wszystkiego są dojrzałe! A wszystkie są oblubienice jednego i czekają na grom. Wystarczy je budzić (oświecać), na właściwy czyn porwą się, gdy się zjawi ktoś z potęgą. Tymczasem zaś wszystko je budzi, urabiać ich do nowych stanów nietrzeba. Trzeba zaprowadzić nowy stan, a będą przeto urobione.

W maju, 1908.



JAN ADAMOWICZ

Fatalną idę, bezpowrotną drogą...

Fatalną idę, bezpowrotną drogą
W bezbrzeżne wiecznej tajemnicy lasy,
Tam, gdzie owite nieśmiertelną trwogą
Drżą lękiem bytu wieków przyszłych czasy.
A niemasz ze mną ni przy mnie nikogo,
Ktoby odważył życie na zapasy
Z niewysłowioną tajemnic potęgą.
Idę, związany złotych przeczuć wstęgą.

Nikogo nie mam — druha ani brata,
Ni towarzysza, ani przyjaciela.
Samotny idę w ciemną przyszłość świata,
Nikt moich widzeń, przeczuć nie podziela,
Nie wie, dzwon jaki w sercu mem kołata,
Jakiego twórcy, czy też burzyciela
Głos mię przyzywa, bym stanął do boju
Z Nieprzebłaganym u tajemnic zdroju.

Już ominąłem złudzenia tęczowe,
A sny o szczęściu zostały poza mną,
Już zwiędły róże, co wieńczyły głowę...
A ja wciąż idę w ciemność złotobramną,
A ja wciąż pragnę zdobyć moce nowe
I chcę i muszę zabić zmorę kłamną,
Co strzeże kluczy tajemnicy, — wściekła
Chimera, dziecko Nirwany i piekła.

Wiem, że polegnę na tajemnic progu,
Jak tysiąc innych — padnę bez imienia.
Lecz cóż mi imię? Jako z krzewu głogu,
Gdy przyjdzie święta chwila przemienienia
Kwiatu w nasienie, — giną śród rozłogu
Snieżyste płatki... tak doba wytchnienia
Po trudzie życia imię moje schłonie
I złoży martwe w tajemnicy łonie.

Gdzieindziej gniazdo moja duma wije
Z innego źródła moc zaciętą czerpie...
Ja życiem dziwnem, a tajemnem żyję,
Ono nie skończy się na śmierci sierpie;
O tem, kim byłem, i za co tak cierpię, —
Choć nie powiedzą nic usta niczyje,
Lecz moje żywe prawdą krwawą słowo
Błyśnie wam jutro, jak topór nad głową.

A tem straszniejsze, tem, że bezimienne,
Że niepojęte wczoraj — jutro jasne,
Srogie w swej prawdzie, zagładą brzemienne, —
To słowo będzie niby wasze własne,
A takie krwawe i takie płomienne,
Nieubłagane... Więc cóż mi, że zgasnę,
Jak gwiazdy gasną o świtu godzinie?
Duch mój i słowo moje nie przeminie.

Cóż mi, że oto strzygi i upiory,
Jak ptaki nocne, krążą mi nad głową, —
Że wczoraj braci zdradą byłem chory,
A dziś mi grozi może zdradą nową, —
Że wokół słyszę trupie rozhowory, —
Że brzmi bez echa moje twarde słowo?
Ja idę przed się, w tajemic otchłanie,
Gdzie berła dzierżą Śmierć i Zmartwychwstanie.

Obu potęgom sceptry wydrzeć muszę
I w jeden ołtarz stopić złote trony.
Z obu przerażeń wyswobodzić duszę
I stos zapalić płomieniem czerwony,
I w ognia wichrze, w złotej zawierusze
Skąpać mój żywot — ja, duch umęczony
Trudem i bojem z potęgami Doli,
Ja — duch bezkresu, syn wieczystej Woli.





SAVITRI

Ostatnie utwory L. Andrejewa

Leonidas Andrejew co do formy zajął stanowisko odrębne, odrzucając ramy realizmu, malarstwa obyczajowego, te najbardziej podstawowe tradycye literatury rosyjskiej. Lecz co do treści nie zboczył bynajmniej z tej zasadniczej paraboli duszy rosyjskiej, która, kreśląc po najdalszych przestworzach najcudniejsze tęcze, zawsze trafia— w głodnego chłopa.

Tylko u Andrejewa problemat społeczno-etyczny w danym czasie i środowisku urasta w kosmiczny, najszerszy, wszechogarniający, w abstrakcyę pozbawioną konkretnych akcesoryów i balastów realistycznych. Myśl jego niby promień biegnie od ziemi w przestrzeń międzyplanetarną, odrzucając stopniowo wszystkie pyłki ziemskiej atmosfery. I kiedy znowu na ziemię wróci, nawet kiedy kształt widomy oblecze, już w niej nie czuć brutalnych drgawek życia. Wszystko się skondensowało w kwintesencyi, w skrócie wszelkich zjawisk, w formułce algiebraicznej, w której znajduje rozwiązanie każdy fakt odosobniony.

Podłożem tych żelaznych, zwartych konstrukcyj jest ciężki bój myślowy już nie o istnienia odosobnione indywiduów i grup, lecz o podstawy życia. Zamiast wyławiania jęków miażdżonego człowie-

ka lub klasy, zamiast rozsnuwania rodzajowej pstrocizny — stawia naprzeciw siebie dwóch tylko wrogów: duszę i ból. I rozpoczyna się ponury dramat myśli, potępiającej istnienie wśród krzyku łamiących się wiar, znajdującej dla teraźniejszości jedno rozwiązanie: zagładę — i już nawet bez buntu malującej niewiadomą potęgę, która niewiadomo po co daje szczęście i niewiadomo po co zabiera.

Artyście operującemu abstrakcyami zawsze grozi niebezpieczeństwo: może wpaść w suchość i bezbarwność lub w niesmaczną alegoryczność. Lecz Andrejew jest naturą o silnych i wrażliwych zmysłach. I to mu pozwala odtworzyć swe pomysły w świetnych barwach, w dźwięcznej rytmice słów, z zapachem krwi i zimnem dotknięciem śmierci. Myśli skamieniałe w grozie wieczności ubiera w szaty wspaniałe, w dekoracye tak żywe, że z dreszczem strachu wyczuwa się poza nimi — śmiertelną nieruchomość.

Jest tu potężnie działający impresyonizm—a brak emocyonalności, tej emocyonalności, która np. u Żeromskiego oddaje bezpośrednią muzykę duszy.

Po „Bazylim Fiwejskim", „Judaszu" i bogoburcy „Sawwie", do dziedziny wielkich, głębokich i niezwykłych problematów psychologicznych należy „Eleazar". Radosna legienda ewangieliczna opiewa, że Chrystus wskrzesił brata Maryi i Marty, Łazarza, na trzeci dzień po śmierci. I było wielkie wesele i podziw dla cudu.

Andrejew wybiera z tej legiendy nie moment wskrzeszenia, lecz późniejsze życie zmartwychwstałego Eleazara. Zebrali się krewni i przyjaciele, obleczono go w bogate szaty i posadzono przy radosnej uczcie. Eleazar siedzi nieruchomo. Ciężko spoczywa na stole jego ręka zachowująca jeszcze koło paznogci siność śmierci. Na twarzy — pęknięcia i plamy, ślady powstrzymanego rozkładu w mogilnym dole.

I nagle ktoś z obecnych zadaje pytanie nasuwające się na wszystkie usta: „Powiedz nam, Eleazarze, co widziałeś — tam?" Zmartwychwstały podnosi ociężałe powieki i zaczyna patrzeć. A w oczach jego było to, co włożyła w nie śmierć.

Pod tem spojrzeniem milkną wesołe gwary, obecnych ogarnia zgroza, potem nuda i zniechęcenie, a wreszcie kamienna obojętność. I odtąd tak było z każdym, kto spojrzał w jego oczy. Niektórzy odbierali sobie życie, inni żyli, lecz stawali się podobni do Eleazara. Spojrzenie jego zabijało życie. Wszyscy zaczęli go unikać — pozostał

sam w pustym domu. I codzień o zachodzie widziano jego olbrzymią, ciemną sylwetę, idącą w stronę zachodzącego słońca, by dłużej czuć ciepło promieni.

„Eleazar" — to jedno z największych usiłowań wgłębienia się w istotę śmierci bez małoduszności materyalisty i złudzeń mistyka. Jako rezultat — potworny krzyk zgrozy, wykazujący całą niewspółmierność śmierci z życiem.

W „Mroku" jest beznadziejna odpowiedź udręczonej duszy, sięgającej zawsze aż do najgłębszych den i czującej odpowiedzialność jednego za wszystkich, wszystkich za jednego. Ściganemu bojowcowi, który się zakonspirowuje na noc przed zamachem w domu publicznym, prostytutka zadaje pytanie: „Jakie masz prawo być dobrym, kiedy ja jestem licha?"

Tak, on nie ma prawa. Zrozumiały jest ten kryzys człowieka, zaglądającego w otchłanie nędzy, uświadamiającego sobie po raz pierwszy nieopisaną krzywdę już nie robotnika i chłopa, lecz występnego motłochu; ale nie odkupieniem, nie wyrównaniem krzywd będzie zsunięcie się na dno, upadek z upadłymi, w odpowiedzi na pytanie: „A to ty nie wiesz, że wstyd być dobrym?" Tak mówi tylko rozpacz, gdy do końca walki, do ostatecznego wyzwolenia jeszcze bardzo daleko.

Dwa ostatnie utwory dwamatyczne Andrejewa: „Życie Człowieka" i „Głód-Mocarz" noszą cechy tak odrębne, że gdyby autor w dalszym ciągu pisał dla sceny, stworzyłby niewątpliwie własny „Teatr Andrejewa". I przedtem Andrejew próbował swych sił na polu dramatycznem, lecz jego utwór dawniejszy — „Ku gwiazdom", osnuty na tle walki rewolucyjnej, prócz aktualności typów i treści, niczem się nie odznacza. Na wszystkich trzech utworach znać robotę odśrodkową, wcielanie schematu gieometrycznego, rozdawanie Myślom ról osobowych. U większości pisarzy t. zw. „myśl przewodnia" była nicią zszywającą oddzielne części i epizody. U Andrejewa proces twórczy polega na *zobrazowaniu* myśli. Do pomocy bierze się inne sztuki: malarstwo, muzykę, plastykę. Nie chodzi już o zachowanie prawdy, naturalności — fetyszów teatru Stanisławskiego — lecz o wystylizowanie w jednym nastroju, o podkreślenie, zasuggierowanie dominującego pojęcia, o zrobienie z całej sztuki wyjaśniającego się w przebiegu akcyi symbolu, który oddaje nie fotograficzną różnorodność zjawisk, lecz jeden wyabstrahowany krzyk życia lub śmierci.

Sztuki w ten sposób pisane, jakkolwiek wynikają całkowicie z organizacyi umysłowej samego Andrejewa, stały się urzeczywistnieniem programu artystycznego Meierholda, znanego stylizatora i modernisty rosyjskiej sceny.

Całkiem zrozumiały w takim procesie twórczym był jeszcze jeden krok: wyeliminowanie właściwej osoby działającej — leit-motywu—Myśli—i żywe jej upostaciowanie. Historyk literatury zrobiłby nawrot ku przeszłości i przypisał ten krok naśladownictwu dawnych Prologów i innych manekinów, wygłaszających sens moralny lub zapowiadających treść sztuki. Lecz każdy, kto ma wrażliwość niezabitą historycznością, zrozumie zupełną nowożytność pomysłu.

W „Życiu Człowieka", przedstawiającem przeciętne koleje przeciętnego człowieka, Niewiadome, Los staje na scenie jako Ktoś Szary, który trzyma w ręku świecę, palącą się odpowiednio do chwili życia Człowieka. Pomijając nową technikę, cała sztuka w swej wewnętrznej osnowie, nawet gdy akcentuje przeraźliwy determinizm, jest tylko algiebraiczną formułką banalnego filistra. Filister ów wyzywa los, gdy jest młody, zdrowy i zakochany, aczkolwiek głodny, i modli się doń, gdy mu syn ma umrzeć. Lecz prawda—wszak to człowiek—schemat!

„Mocarz-Głód" jeszcze w większym stopniu uwydatnia brak indywidualnego bohatera, lecz potęgą i niesłychaną jaskrawością przewyższa poprzednią sztukę. Niewiadomo, czy się uda zobaczyć „Mocarza-Głód" na scenie. Wystawiony w teatrze dramat ten zamieniłby się w straszny sąd i groźbę, w ponurą wizyę apokaliptyczną. Artyzm nie dałby się odczuć, przytłoczony nadmiarem grozy. Byłoby to spojrzenie Eleazara.

Lecz w czytaniu, gdy fortissima głosów i obrazów nie tak szturmują do zmysłów, można ogarnąć i pojąć wspaniałą symfoniczność „Mocarza-Głodu" z wyeliminowanym leit-motywem.

Bohaterem tu jest Wielogłów—Tłum. Wszystkie sceny z wyjątkiem prologu są zbiorowe. Tłum nieindywidualny, składający się z cząsteczek, z chwil, przemawiających parę słów i niknących, rzucony na scenę, przygniata ją prawie ogromem męki i zbrodni. A ponad nim góruje ton przewodni, idea tłumu, dźwignia i bodziec jego czynów, ku większej wyrazistości z bezosobistych piersi wyjęta i upostaciowana: Mocarz-Głód i Śmierć.

Dwie straszne postacie: Śmierć w ponurej draperyi i wysmukły,

długi Mocarz-Głód w płaszczu królewskim—powtarzają się w każdej scenie, jak refren.

Oto na dzwonnicy rozmawiają Dzwonnik - Czas, Głód-Mocarz i Śmierć; Głód-Mocarz obiecuje Czasowi nadejście chwili oczekiwanej, Smierci—bogate żniwo. W rzeczy samej schodzi ku Głodnym, dzieciom swoim. Obiecuje im być z nimi. Wspaniałe efekty dekoracyjne przedstawia scena w hucie, przy blasku ogni w piecach i w piwnicy, gdy Głód-Mocarz agituje motłoch, a na górnem piętrze nad nimi widać bal, zakochane pary, przepych i wesołość.

Wybucha bunt. Scena przedstawia przerażoną burżuazyę, która usiłuje się bawić w oczekiwaniu strasznych wypadków. Dzięki wynalazkowi inżyniera i zdradzie w szeregach Głodnych, bunt zostaje stłumiony. Uspokojona burżuazya przechadza się po polu zasłanem trupami Głodnych i cieszy się zwycięstwem. Lecz oto zjawia się Głód-Mocarz, zwraca się do swych martwych dzieci. Na jego zaklęcie odpowiadają trupy: „Umarli powstaną—biada zwycięzcom!“ I w popłochu ucieka z pola śmierci syte stado zwycięzców...

Jakże inaczej potraktowany został temat pokrewny w „Jutrzniach“ Verhaerena, gdzie nie obeszło się bez bohatera indywidualnego, i gdzie tragiedya zbiorowa zakłóconą została przez szablonowe sola...

Jakikolwiek będzie nasz stosunek do Andrejewa, powinniśmy pamiętać, że mamy przed sobą zjawisko wyjątkowe: człowieka, którego nic nie obchodzi (nie w znaczeniu ignorancyi), że istniała na świecie grecka tragiedya, renesans, realizm, romantyzm i t. d., i który pisze najzupełniej poswojemu, nie przykrawając nowych faktów życia do starych kanonów.

A w życiu rosyjskiem jest tym, który duszy dał głos przed zjawą zewnętrzną...





JAN LEMAŃSKI

Prawo własności

(Piosenka)

Mea res agitur
Proximi dum paries ardet

I

Pomiędzy JA i NIE-JA gdzie granica jasna?
Która z rzeczy mi cudza? a która mi własna?

Czy śpiew, ton, dźwięk, że mój, więc będzie mi eolski?
Czy przeciwnie: że piękny, a przeto mój — Polski?

Czy wszystko, co na świecie śmiałe jest i chrobre,
Jest Polską?.. Czy też tylko co Polskie — to dobre?

Hm?.. nie wiem. Moją żonę pięknem zowią drudzy,
A ja? I ja gustuję w żonie, ale — w cudzej.

Stąd więc, o ile mi się zdaje, słusznie mniemam,
Że piękną nie jest żadna rzecz, której JA nie mam.

A skoro tylko moją stała się rzecz cudza,
Zaraz się we mnie wszelki do niej gust ostudza.

Może to właśnie Polska własność?.. Spójrzmy w duszę.
Mój pradziad zmarł z pieniactwa o miedzową gruszę.

Mój dziad, prawdziwy Polak, więc chłop zuch, jak dyabli,
Pospolicie zdobywał *rzecz* machaniem szabli.

Gdy zmarł na własnym gruncie, legł we własną jamę,
Wieczny mu odpoczynek niechaj będzie. Amen.

II

Przed ławą szkolną, w ławie, na ławie, za ławą,
Każdy z nas kuł, lub kuto weń własności prawo.

To jest własnością twoją, na co kładziesz rękę:
Wszyscyśmy obkuwali, wszyscy tę piosenkę.

Od kolebki ten morał ssiemy z piersi mamek:
Aby własny zamykać dom swój - ul na zamek.

Tę piosenkę od pieluch nucą nam matule:
Bądźcie słodcy i bądźcie pękaci, jak ule.

Chociaż kwiat wam nachyla darmo kielich z miódkiem,
Wy miód swojego ula chowajcie pod kłódkę.

Tak nas pap zbiór i mam zbiór, i zbiór praw naucza:
Nie wyżyjesz na świecie bez zamka i klucza.

Karnym się i cywilnym ogródź kodeksami.
Oprócz tego, przy budzie, na łańcuchu psa miej!

Okuj drzwi kas żelazem, w okno wmuruj kratę!
Kup pistolet, kup prochu, kup kul, kup armatę!

Tak trzymając swój z miodem ul w wojennym stanie,
Możesz pewnym być, że ci krzywda się nie stanie.

III

To własnością jest twoją, co twa ujmie *ręka*,
Jeszcze do dziś nam dzwoni w uszach ta piosenka.

Chcesz mieć własność, jest na to jeden tylko środek,
eden „klucz": klucz od zamków, zatrzasków i kłodek.

To ideał, mój bracie, ula. Kto go łamie,
Ten za karę, pamiętaj — siedzi w „ula" jamie.

Więc jeżeli ci przyjdzie chęć w mój ul się włamać,
Bracie, do rąk cię własnych władzy oddam, psiamać!

Bo obydwom nam jedna śpiewała matula:
„Miej ul swój!" Ja już mam swój: idź i ty, „do ula"!

O zamkach słyszeliśmy oddawna od mamek.
Więc ponieważ ja mam swój: idź i ty „pod zamek".

To *moje*, a to *twoje*: ściśle rozgraniczaj.
A nie, to, bracie, w ulu cierp za nieobyczaj.

Co tu, bracie, owijać w bawełnę i kłamać:
Ja zamki wolę stawiać, ty — wolisz je łamać.

Bracie mój, bliźni bracie, przeto się nie gorycz,
Że mamy różną własność: ja miód, a ty — gorycz.

IV

Patrz na mnie. Ja mam zamek. W zamku moim — sale;
W salach — dzierżawcy „kluczów": poddani, wasale;

A w wasalach — czół bitność: korni, pełni drżączki,
Schylają się do kolan i „całują rączki".

Tego człek szczypnie w ucho, tamtą człek poklepie,
I... ech — rób, coć się tylko zaroi w czerepie.

Oto szczęsnego losu najlepsza poręka:
Jest własnością to, na czem twa spoczęła ręka.

Więc szerokie miej ręce, zgarniaj, ile starczy,
I na zamek. Pod progiem twoim pies niech warczy.

Niźli cietrzew na sęku, lepszy w ręku wróbel,
Więc oburącz go łap i zamykaj na skóbel.

Skóbel, klucz, kłódka, zatrzask, pies i brzęk łańcucha
Niechaj nie wpuszcza w zamek twój *żywego* ducha.

Albowiem nas tej prawdy doświadczenie uczy:
Nie wyżyjesz na ziemi bez zamków i kluczy.

Nawet niebo ci święty Piotr otwiera... z klucza.
Nawet niebo!.. i niebo klucza nie wyklucza!

V

Jest jedna własność, która mniej, niż piach ten w Wiśle,
Ceni się i ochrania, mniej zbożnie, mniej ściśle:

A jest nią WŁASNOŚĆ DUCHA... O, miasto Warszawo,
Ducha praw twych nie broni w tobie żadne prawo.

Duch twój z pod praw wyjęty, błędny, jak banita.
Psom gryźć go u nas wolno, gdy w nasz „ul“ zawita.

. . . .

Dwóch synków miała mama. Śpiewała im — Lulu!
Dziś jeden z miodem ul ma, drugi — „siedzi w ulu“.

Dwom synkom śpiewywała mama — Lulu! — słodko;
Dziś jeden się „ululał“ a drugi pod kłodką.

Dwaj synkowie z pap jednych, z jednych mam i mamek:
Dziś jeden jest „pod zamkiem“, a drugi — ma zamek.

. . . .

O, miasto pełne zamków i kluczy, Warszawo,
Ducha nie strzeże w tobie żadne, żadne prawo!

O, miasto pełne zamków i kłodek i kluczy!
Co jest własnością twoją Ducha — nikt nie uczy.

Pełne psów z łańcuchami i psów bez łańcucha,
Miasto, bronisz swych skarbów, lecz nie skarbów Ducha.

VI

Zamykać swój kuferek wolno mi na kłodę.
Lecz do arki mej Ducha, kto chce, włazi w szkodę.

Wolno mi rząd zatrzasków mieć i zamków szereg.
Lecz wolność Ducha liczy mi *Ul* do usterek.

Wolno mi nagromadzać dóbr, jak piachu w Wiśle,
Lecz mi niewolno mnożyć ducha niezawiśle.

Własność w psy, kłodki, zamki i w łańcuchy zbrojna
Jest jedynie naprawdę cenna i dostojna.

Bez zamków, bez łańcuchów ludzie — to urwisi.
Zaraz, panie, takiego za hals — i niech wisi!

My, w zamkach, mamy klucze: on użył wytrycha.
Nas fortuna w kolebkach, jego — kat kołycha.

Od kolebki uczyły nas nauczycielki:
Źdźbła w oku bliźniem dojrzyj, choć w swojem masz belki.

Przeto za źdźbło skradzione z kufra nam niewielkie,
Pod naszem własnem okiem, winny—marsz na belkę.

O, miasto, pełne zamków i belek, Warszawo!
Ducha nie strzeże w tobie żadne, żadne prawo!

VII

Twój duch— to *res nullius*, właściciela nie ma.
Łamać go pies nie broni ni praw anatema!

Od najścia duszy naszej bronić jakąż drogą?
Nasz duch—to nieużytek, pustosz, *rzecz nikogo.*

Wywłaszczony *servi*tut w kluczu Europy,
Tratowany przez gminne uwłaszczone stopy.

Nasz duch-gminu *servi*tut, wspólny szmat pastwiska:
Servus każdy w nim ryje, każdy *serv* w nim pyska.

Nim coś tu zdąży urość, za moment króciutki
Zćpają to uwłaszczonych gmin trzody i trzódki.

Wywłaszczony *servi*tut skubie cała wioska,
A zorać go i zasiać jakiż *serv* się troska?

Wszakże to *res nullius* — rzecz bez Ducha-Króla,
Duch nasz w ulu jest: w miodzie, albo w celi „ula".

O, miasto pełne zamków i uli, Warszawo!
Ducha nie broni w tobie żadne, żadne prawo!

Dusza twoja to pustosz leżąca odłogiem,
Dusza twoja — głusz cierniem bolesna i głogiem.

VIII

Dwóch synków miała mama, śpiewała im „lulu".
Jeden ul ma i miód ma: drugi — siedzi w ulu.

Jeden synek ukochał życia miód słodziutki:
Psy złe na *sforach* trzymał, zamki miał i kłódki.

Drugiego *niesfornego* miała taż matula:
Roił „zamki na lodzie", roił „Ducha-Króla".

Jeden chciał w swego brata wmówić przez *par force'*y:
Że TY, bracie, a nie JA, jesteś ten najgorszy.

Pamiętał brat ten bardzo dziecinną piosenkę:
Że własnością jest wszystko, na co kładziesz rękę.

Że, aby sobie *swego* majątku przymnożyć
Dość jest na *swego* brata „ręce swe położyć"...

Drugi syn myśli grotem godził w Ducha sedno:
Aż ugodził w tę prawdę: TY i JA — to jedno.

I cokolwiek na ziemi TY stworzyłeś złego,
JA zwę to EGO-izmem: *quia peccavi ego.*

I cokolwiek się w życiu dobrego poczyna,
To jednako jest moja — moja wielka wina.

IX

Co własność? Nie wiem (wyznam w ducha wam pokorze):
Czy *mam* to, co spożywam? czy *mam* to, co tworzę?

Czy jest lepiej, jeżeli trochę się poczeka,
Aż *ktoś* stworzy, a potem — za hals tego człeka?

Czy też ja mam *sam* dział swój ulepszyć najżyźniej
I czekać, aż posprząta mój plon i zje — bliźni?

Czy być drzewem, które się o to li kłopoce,
By mieć owoc?... Czy panem być i trząść owoce?

Czy, jak plon, dać się głupio zsypać w loch, pod zamek?
Czy dbać tylko o mądrość zatrzasków i klamek?

. . . .

Gdy wymaganiom pańskim życia czynię zadość:
To grzech mój—wielki grzech mój, lecz i wielka radość.

A kiedym owoc zrodził panom na uciechę:
Jest to moją radością, lecz i moim grzechem.

A więc chyba utrafię tem najbardziej w sedno:
Gdy powiem: TO i TAMTO, JA i Ty — to jedno.

Po tej stronie: bal, pętla — w niej honoru legia;
I po tamtej bal, pętla, kat, grób i.... elegia.

W. LIS

Sprawa narodowa w Galicyi a Koło polskie

Wstąpienie ludowców do Koła polskiego w parlamencie austryackim powiększyło ilość członków reprezentacyi polskiej z 54 na 71. Koło stało się trzecią zrzędu, co do liczebności, grupą parlamentarną (po chrześciańsko-socyalnych oraz socyalistach). Wzrosła jego powaga, powiększył się wpływ na sprawy publiczne, co przejawiło się już chociażby w tonie odpowiedzi ministra spraw wewnętrznych na przemówienia radykałów rusińskich podczas dyskusyi o galicyjskich nadużyciach wyborczych. I jeżeli ta zmiana stosunku ludowców do Koła, jako wyraz ich oryentacyi naprawo, potępianą bywa przez wielu, między innymi—przez nasze organy postępowe, to z drugiej strony ciągle spotykać się można z wyrazami nadziei zdobyczy narodowych, które spaść mają na Galicyę z powodu wzmocnienia wpływu jej reprezentacyi.

I napozór tak być powinno. „Burżuazya" jest, jak wiadomo, wszędzie „nacyonalistyczna", więc i w Galicyi dążyć ona powinna do rozszerzenia „stanu posiadania" narodu polskiego. I niejeden z nas prawdopodobnie w cichości ducha mówi sobie, że nie potrzebujemy solidaryzować się z tymi ukrytymi lub wyraźnymi reakcyonistami, ale jeśli oni tam coś dla nas wydostaną, to i owszem!

Tymczasem niewszystko, co jest „samo przez się zrozumiałe",— jest prawdziwe. I właśnie jednem z największych kłamstw konwencyonalnych, w które jednak chyba dostatecznie obfituje szare życie polityczne, — są wszelkie uzyskane już lub mające być uzyskanemi zdobycze narodowe Koła polskiego.

Żeby się o tem przekonać, weźmy sprawę *autonomii* w Galicyi. Wobec zupełnego w chwili dzisiejszej braku jakichkolwiek dążności

seperatystycznych wśród polonii austryackiej (godzą się pod tym względem wszystkie stronnictwa), autonomia jest wcieleniem dążeń narodowych i będzie niem dopóty, dopóki nie stanie na porządku dziennym przekształcenie ustroju wewnętrznego monarchii austryackiej, lub póki nie powstanie poza jej granicami jakiś centr, wywierający na Polaków galicyjskich i śląskich działanie przyciągające. Otóż największą przeszkodą do rozszerzenia autonomii galicyjskiej jest właśnie Koło polskie i jego rządy w kraju.

Nie byłoby ono nią w tym wypadku, gdyby zarówno sejm, jak rady powiatowe, gminne i miejskie wybierane były przez całą ludność, i gdyby wszelkie władze, administracyjne, szkolne, sądownicze i t. p. zależne były od tegoż ogółu, czy to przez odpowiedzialność władz przed wybieranemi w powszechnem głosowaniu ciałami prawodawczemi, czy też przez bezpośrednią obieralność tychże władz (jak to się dzieje w Szwajcaryi). Ale tak nie jest. Ludność robotnicza miejska i wiejska, biedniejsi chłopi, znaczna część inteligiencyi nie bierze wcale udziału w wyborach do ciał autonomicznych, reszta ludności głosuje według wysoce niesprawiedliwego systemu wyborczego, a administracya zależna jest bezpośrednio od ministeryum, pośrednio od rodów magnackich, które ją zmonopolizowały. Wobec tego ogromna większość ludności nie ma żadnych widoków uwolnienia się od nadużyć władzy, o ile nie obroni jej minister, trybunał najwyższy lub rozprawa w parlamencie, wywołana przez którego z posłów. I jak można przypuszczać, że ludność wzdychać będzie do rozszerzenia tej autonomii, która każdego dnia daje się jej we znaki?

Weźmy przykład. Galicyjska Rada Szkolna miała dawniej prawo mianowania nauczycieli i dyrektorów gimnazyów i szkół realnych. Ale działy się z tego powodu tak straszne nadużycia, tyle skarg sypało się do ministeryum, że skorzystało ono z tego i zniosło te prerogatywy Rady Szkolnej. I dziś, chociaż stan gimnazyów galicyjskich bynajmniej nie może służyć za wzór, jednak, gdyby dawne przywileje zostały wrócone polskiemu „ministeryum oświaty", — nie ulega wątpliwości, że mnóstwo ludzi załamałoby z tego powodu ręce.

W ten sposób, sprzeciwiając się zacięcie zdemokratyzowaniu instytucyj krajowych, Koło polskie odbiera ludności ochotę do rozszerzenia ich kompetencyi, zabija naturalne i istniejące faktycznie dążenia autonomiczne.

Niekoniec na tem. Koło nietylko *negatywnie*, ale i *pozytywnie* przyczynia się do utrzymania w Galicyi status quo, wstrzymuje postęp narodowy. Żadna bowiem zdobycz narodowa nie jest możebna bez walki. Partye niemieckie wszelkich odcieni (z wyjątkiem socyalistów) przeciwne są rozszerzeniu zakresu języka polskiego, utworzeniu nowych instytucyj polskich i t. p. Nie mają one w tem coprawda wielkiego interesu narodowego [1]), gdyż element niemiecki w Galicyi jest znikomo słaby, ale wpływają na nie dwie pobudki: 1) każda nowa narodowa instytucya polska równa się powiększeniu korzystania z dochodów ogólno-państwowych przez Polaków, 2) za koncesyami dla Polaków musiałyby pójść ustępstwa na rzecz Czechów, Słoweńców, Włochów i t. d. — a tu już w grę wchodzi bezpośredni interes narodowy niemiecki. Trzeba zatem opór tych Niemców zwalczyć, a do tego Koło polskie nie jest zdolne. Jest ono bowiem związane milionem nici z każdorazowem ministeryum: potrzebuje jego pomocy do przeprowadzenia wyborów w swoim interesie, do zachowania wpływu swego na administracyę, wreszcie każdy prawie poseł załatwia w Wiedniu cały szereg spraw, które przynoszą korzyść materyalną albo jemu, albo jego krewnym, sąsiadom, wyborcom wpływowym. I pod działaniem wszystkich tych pobudek Koło zwykle ogranicza się do wylewania swych uczuć narodowych na łamach pism galicyjskich, ale, gdy przychodzi do głosowania nad budżetem czy inną sprawą, — ulega naciskowi ministrów i nie podnosi danej kwestyi. A ministrowie, czy to dla uzyskania spokoju ze strony Niemców, czy też z własnego popędu, zawsze ten nacisk wywierają. W ten sposób stajemy się świadkami tego arcykomicznego i napozór niezrozumiałego zjawiska, że pewne postulaty narodowe polskie od dziesiątków lat stale głoszone są przez pisma galicyjskie zarówno stańczykowskie, jak demokratyczne, a Koło polskie, ta potężna partya, nigdy ich nie przeprowadza.

Weźmy znowu przykład. Od iluż to lat czytamy o potrzebie polskiego seminaryum nauczycielskiego na Sląsku, gdzie istnieje ćwierć miliona ludności polskiej, stale i systematycznie giermanizowanej i cze-

---

[1]) Z pewnem zastrzeżeniem: na zachodzie Galicyi istnieje grupa Niemców bialskich, złączonych politycznie z hakatystami Śląska i Czech, którzy usiłują zniemczyć te okolice.

chizowanej przez szkołę ludową! Skargi na ten temat powtarzane były rokrocznie i przez „Czas“ i przez „Nową Reformę“ i t. p. Ale zawsze, gdy przychodziło do głosowania nad odpowiednią pozycyą budżetu, znajdowały się zakulisowe wpływy, i Koło polskie kwestyi tej nie podnosiło. I trzeba było, by dostał się do komisyi budżetowej poseł socyalistyczny, Diamand, aby odpowiedni wniosek został postawiony, obroniony i *uchwalony*.

Inny przykład. Żandarmerya galicyjska ma dotychczas język niemiecki w urzędowaniu wewnętrznem. Jest to zupełny bezsens nawet z punktu widzenia służbowego. Przedstawmy sobie bowiem, jak się to odbywa. Żandarm Polak albo Rusin, zwykle chłop z ukończoną szkołą ludową, musi pisać raport o wykrytem przestępstwie do swego zwierzchnika, również Polaka, poniemiecku. Raport ten idzie potem do sądu polskiego, który urzęduje popolsku. Wynikają stąd oczywiście tysiące nieporozumień i mitręga niepotrzebna zupełnie. I regularnie przed każdymi wyborami w wyznaniu wiary wszystkich partyj znajdujemy postulat wprowadzenia polszczyzny do urzędowania żandarmeryi, a pomimo tego anomalia ta istnieje dotychczas i będzie istniała, dopóki nie znajdzie się znowu jaki Diamand, który wymusi jej zniesienie. Koło polskie zaś w Wiedniu ma czas zajęty zupełnie czem innem.

Przykładów takich znaleźlibyśmy tyle, ile jest niezaspokojonych potrzeb narodowych w Galicyi i na Śląsku. Usunięcie ich będzie możliwe, gdy zapanują w Galicyi elementy ludowe, które potrafią prowadzić w Wiedniu politykę narodową. A to możliwem się stanie tylko wtedy, gdy złamaną zostanie przewaga Koła polskiego.

WITOLD PILAWSK

Z Francyi

Wszystkie wybory, jakie się odbywały we Francyi w ciągu ostatnich piętnastu lat, wykazywały stały wzrost lewicy republikańskiej, były nieprzerwanym łańcuchem zwycięstw polityki radykałów z jednej strony, socyalizmu z drugiej, znaczyły zarazem drogę, która doprowadziła do upadku wszystkie odcienie prawicy—nacyonalistycznej, klerykalnej, konserwatywnej. Były momenty—jak np. wybory parlamentarne w maju 1906 r.—kiedy się zdawało, że ewolucya ta daleka jest bardzo od swego kresu, że należy, przeciwnie, oczekiwać, w ciągu najbliższych lat jeszcze silniejszego zwrotu opinii publicznej kraju w kierunku lewicy społecznej. Przewidywania te miały swe główne źródło w krótkowzroczności politycznej, w nieuctwie społecznem i historycznem olbrzymiej większości kierowników „opinii", wielkorządców prasy. Już bowiem w chwili samego zwycięstwa królewskiego, jakie odniosła dwa lata temu demokracya francuska, istniała i działała przyczyna głębokiej zmiany w łonie naczelnego stronnictwa lewego bloku. Przyczyną tą był i jest pokaźny wzrost ruchu robotniczego, wzrost przytem podwójny: polityczny — dzięki zwycięstwu wyborczemu zjednoczonej partyi socyalistycznej, i ekonomiczny—dzięki powstaniu i niesłychanemu rozwojowi syndykatów, które nadają dzisiaj nową zupełnie i niezmiernie ciekawą barwę kwestyi robotniczej we Francyi. Przeciwko tej wzrastającej potędze „kollektywistów", „antymilitarystów", przeciwko niebezpieczeństwu, grożącemu „ojczyznie" ze strony „antypatryotów", musiała się siłą rzeczy wytworzyć pewna odporność śród burżuazyjnych a silnie patryotycznych radykałów. I radykalizm począł się cofać z już zajętych, a bardzo w kierunku „państwowego" socyalizmu wysuniętych pozycyj. W przeciwstawieniu do kollektywizmu „Zjednoczonych" poczęto bagatelizować potrzebę reform, uznawanych wczoraj za naglące, ale które mogłyby przemawiać na rzecz ewolucyi kraju w myśl socya-

listycznych koncepcyj; w przeciwstawieniu do antymilitaryzmu i antypatryotyzmu syndykalistów uderzono w cymbałki nacyonalistyczne.

I antymilitarysta francuski w żołnierskim mundurze, zagnany w piaski afrykańskie, w imię ojczyzny, w imię „pierwszego kraju świata" roztwiera bagnetem zbuntowane piersi Marokańczyków... Wydrze serce.

Obrona prywatnej własności, obrona „honoru" ojczyzny! Precz z fałszywymi Francuzami, którzy wolą pokój nad dobroczynną akcyę Francyi w Marokko! Precz z trucicielami młodzieży, którzy zakładają szkoły w duchu antypatryotycznego syndykalizmu! Precz z wyzyskiwaczami robotników, którzy im każą rujnować przemysł narodowy! A pod temi hasłami, zwracającemi się przeciwko *idei* i jakgdyby w imię *idei*, kryje się zwyczajny strach o władzę polityczną i jeszcze większy —o stan posiadania ekonomicznego. Treścią polityki radykałów pod naczelnym (i czelnym w stosunku do własnej przeszłości) kierownictwem Clémenceau stało się zwalczanie ruchu robotniczego. I jeżeli część radykałów (grupa Pelletan'a, *Le Rappel*) tę politykę destrukcyjną zwalcza, a o istnieniu pozytywnego programu reform społecznych stronnictwa radykalnego nieustannie przypomina, to jest to tylko dowodem więcej, jak poważny kryzys przechodzi radykalizm francuski, jak znacznie się przesunęło ku prawicy jego główne skrzydło.

Potwierdzeniem tego są ostatnie wybory municypalne. Jakkolwiek niemożna dziś jeszcze ocenić dokładnie ich wyników ze względu na ogrom materyału statystycznego (36222 gminy wybrały około $1/2$ miliona radców), jakkolwiek w wielu gminach decydowały kwestye czysto ekonomiczne i lokalne, a nawet osobiste, to jednak znaczenie polityczne wyborów jest naogół dość doniosłe zarówno ze względu na to, że rady municypalne biorą udział w czysto politycznych wyborach do senatu, które wypadają w roku przyszłym, jak i ze względu na wyżej wzmiankowane przesilenie w konfiguracyi partyj rządzących. Najdonioślejszym wynikiem wyborów jest fakt, że wzrostu lewicy republikańskiej nie było, przeciwnie—w wielu miejscowościach znaczniejszych rady municypalne przeszły w ręce prawicy społecznej. I nie są w stanie zaprzeczyć temu oficyalne deklaracye Clémenceau, który „tryumfuje" z powodu rzekomego zdobycia przez radykałów około 2 tysięcy mandatów. W istocie rzeczy „zwycięstwo" to jest porażką, gdyż do radykałów zaliczyła statystyka oficyalna postępowców (*progressistes*),

którzy istotnie odnieśli wiele zwycięstw, ale którzy... zwalczają politykę *demokratyczną* radykałów, popierają zaś obecne szukanie przez rząd oparcia w prawicy elementarnej!

Antysocyalistyczna akcya gabinetu i radykałów wydała już owoce. W Paryżu „Zjednoczeni" stracili trzy mandaty, stracili ponadto Montluçon, Limoges, Marsylię, Roubaix, Brest, Tulon, Dijon, Tuluzę — miasta, w których dotychczas rządzili niepodzielnie. Te straty socyalistów radykali również głoszą za swoje zwycięstwa! Ironią tych „zwycięstw" jest fakt, że zwycięzcami rzeczywistymi są — nacyonaliści i postępowcy, nie zaś — radykali. Utrata wielu mandatów socyalistycznych tłumaczy się głównie popieraniem kandydatów prawicowych w głosowaniu ścisłem przez radykałów. W głosowaniu bowiem pierwotnem ilość głosów socyalistycznych wzrosła wszędzie, jakkolwiek mniej, niż się tego mogła partya socyalistyczna spodziewać. W Paryżu przybyło dziesięć tysięcy głosów socyalistycznych.

Względna przegrana socyalizmu dała sposobność prasie burżuazyjnej do rozpoczęcia nowej, a tym razem tryumfalnej i jakgdyby na opinii powszechnego głosowania opierającej się naganki na ruch robotniczy. Ruch ten tymczasem stale potężnieje. Uroku spokojnej, ale stanowczej siły nabrał niedawno skutkiem upadku lock'aut'u budowlanego w Paryżu. Nowe zwycięstwa zapisały na kartach jego dziejów kongres syndykatów nauczycieli rządowych i kongres pracowników kolejowych..

E pur si muove!

Paryż, w maju 1908



H. ST. P.

Aleksander Smaczniński

Człowiek czynu. Żołnierz, ziemianin, pisarz. Syn wizytatora szkół publicznych, Wincentego, urodzony r. 1845 w Piotrkowie, po ukończeniu szkół warszawskich, jako młodzieniec ośmnastoletni, rzucił się w wir wypadków roku 1863. Wypadło emigrować. Zagranicą uczył się dużo i owocnie, ukończył akademię rolniczą w Hohenheim i odbywał studya w różnych miastach uniwersyteckich; zbliżył się z Mierosławskim i innymi wybitnymi patryotami. Po powrocie dwukrotnie i długo był więziony w cytadeli z oskarżenia o czynny udział w powstaniu. Nareszcie dobił szczęśliwie do względnie spokojnego portu — wioski swej pod Nowem Miastem, Sacina. Nieprzyjazne jednak warunki przerzuciły go w r. 1889 na bruk miejski. W Warszawie oddał się pracy publicystyczno-literackiej. Między innemi przez lat szesnaście był kierownikiem „Tygodnika Mód i Powieści". Tu ku końcowi roku ubiegłego spotkał go zawód, który znacznie pogorszył niedomaganie przejściowe i stał się ostatnią przyczyną śmierci. Wrażliwa dusza, nieumiejąca się bronić przeciwko zabiegom płaskim, handlarskim, głęboko odczuła rozczarowanie doznane, nieposzanowanie tyloletniej wytężonej pracy, nieposzanowanie zasług i prawości. A praca była istotnie wytężona. Przed kilku laty zmarły żartobliwie obliczał, ile złożyłoby się tomów z jego artykułów i książek: wypadło wtedy około siedmdziesięciu — dużych, po kilkaset stron w każdym... Z tych oddzielnie wydał powieści: „Zbłąkani", „Na dnie otchłani", „Samodzielna", pozatem tom „Nowel", dwa tomy „Ze wspomnień". Nie ujrzał już drukujących się właśnie opowiadań swych „Z za kraty": zakończył pracowity żywot w dniu 14 czerwca.

Czynny świadek wzruszających porywów i przejść, gawędziarz wyśmienity, był niewyczerpany w barwnych opowieściach o czasach minionych. Opowieści te były okraszone smętnym humorem, a drgały życiem i prawdą. Toteż młodzież, którą ko-

chał, zwartem gronem otaczała kochanego wzajem „Redaktora“. Pamiętam, jak tęskniliśmy do niego, gdy przed kilku laty znagła, bez powodu, zmuszony był jeszcze przebyć paromiesięczne uwięzienie...

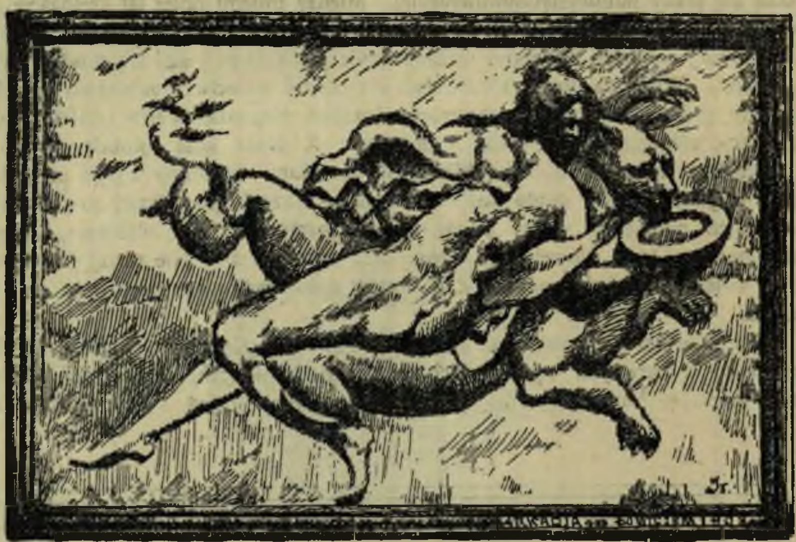
Przed miesiącem, gdy zdrowie pozornie się polepszyło, powrócił do stałego marzenia życia: spisania szczegółowego pamiętnika o czasach i ludziach. Ustępy swych wspomnień miał drukować w naszym „Witeziu“. Z ożywieniem mówił o przedmiotach najbliższych fragmentów. A byłyby one ciekawe nad wyraz i pouczające: miał je spisywać człowiek, który tyle widział, tyle czynił i cierpiał, — nadto człowiek głęboko wykształcony, mądry i prawy, umiejący dokładnie ocenić zarówno ludzi i wypadki, jak przyczyny i skutki spraw. Nie mógł już dokonać zamierzenia...

* * *

A gdy przejdzie się myślą żywot człowieka, który odszedł: człowieka o charakterze nieskazitelnym i gołębiej duszy, który — mimo ciężkie przejścia ogólne i osobiste, mimo straty najbliższych ukochanych i przecierpiane bóle — był prawie zawsze pogodny, bo przeżył czynnie okres najwyższych uniesień i umiłowanej idei swej wiernym do końca pozostał, którego życie kołysało wszystkiemi, zda się, nadziejami i chłostało wszystkimi zawodami, jakie tylko przejść można, i który do końca nienaruszone poczucie pewności słusznej swej sprawy zachował, — rzec trzeba: przeżył wszystko...

Chociaż więc żal serdeczny i tęsknota towarzyszy i towarzyszyć będzie każdej myśli o zgasłym Żołnierzu — —

zaiste nie wiem: czy Cię żałować, czy Ci zazdrościć mam, Stary Przyjacielu...



MISERICORDIA



(ja) Głosił p. Kramarz: „Równość, Wolność, Braterstwo!“ – A głosił z takim ogniem, zapałem, entuzyazmem — że się rozczulił nietylko hr. Bobrinskij, ale nawet najrozważniejszy — co mówię! — pierworodny nowoczesnej rozwagi polskiej — zapłonął, drgnął, skrzydlaty rzucił aforyzm:

„Sprawa słowiańska stała się sprawą polską bez żadnych zastrzeżeń“.

Zaiste — nikt z myślicieli ani gieniuszów świata nie zdobył się jeszcze na tak obfitującą w wieloraki sens tezę.

Przeto zdumiały się rzesze – na chwilę. Ale w następnej już chwili zahuczał chór komentatorów.

A każdy z nich miał racyę — każdy zosobna — omal nie wszyscy razem.

Podobno sam nawet o. Heliodor, znany ze sceptycznego nieco względem Polaków usposobienia, słysząc to Słowo „nowoczesne“, rzekł melancholijnie:

„Pan Roman ma racyę! Ja również oddawna mówiłem, że Polaków wytępić trzeba!“

Różne są bowiem na sprawę Słowiańską poglądy — a do wszystkich zarówno przypada aforyzm lotnoskrzydły.

Tu mądrość.

Naprzykład:

1. Słowiańszczyzna — na wolności, równości, braterstwie oparta — cóż piękniejszego, szczytniejszego? To Królestwo Boże!

Ale — czyż ludzie różnojęzyczni i różnowierni — mogą naprawdę być sobie braćmi? Wolnymi i równymi?

Nie! Sto razy — tysiąc razy — milion miliardów razy *nie!*

Przeto:

Jeden język, jedna wiara, jedna władza — oto są konkretne odpowiedniki abstrakcyjnych haseł równości etc.

Kto się nie zgadza na to — ten nie chce być Słowianinem. Nie chce — więc nim nie jest.

W łeb go!

To rzekł p. Roman bez zastrzeżeń!

2. Wolność, Równość i... miłość! — bo p. Kramarz — ręczę panu — przez pomyłkę jeno powiedział: „braterstwo"... O! Miłość, miłość — „kwiecie różany" — jak mówi El czy Wyspiański... Wszyscy Słowianie muszą, — ale to koniecznie muszą się kochać! Pan Roman bardzo, bardzo trafnie to ujął: „Sprawa Polska jest..." Ach! Nie! „Sprawa Słowiańska jest..." Znów nie tak, ale to wszystko jedno... Główne — miłość bez zastrzeżeń... Rozumie pan? Bez żadnych za-strze-żeń... Znam pewnego esauła... Powiadam panu — Słowianin — całkiem naturalny... Ale co za.. za... co za... uczucie! Zresztą, — i śród huzarów... dragonów nawet... A Czesi? Owszem, zdarzają się wcale, wcale... Podobno Bułgarzy i Serbowie też... Ach! Tak jestem wdzięczna p. Romanowi — — —

3. My — Polacy — nie potrzebujemy się nawet łączyć ze Słowiańszczyzną, — bo zawsześmy byli z nią złączeni węzłem nierozerwalnym. Kolega Dmowski, jak zawsze, gienialnie powiedział to, co wszyscy zawsze wiedzieli... Nasz wieszcz narodowo-demokratyczny... przepraszam... narodowy, Adam Mickiewicz, mówi: „Porzuć lokaja..." — przepraszam... Piję zdrowie Słowiańszczyzny, Romana i Adama.

4. A to się będziecie mieli zpyszna, przeklęci Ukraińcy! Teraz Polacy z nami, z nami bez zastrzeżeń. Czekajcie, chamskie nasienie, hajdamaki, rizuny! Poznacie, co to starorusini... My was nauczymy „Równości, Wolności, Braterstwa" w Słowiańszczyźnie... Was, a i Lachów wraz... Panie Romanie! Daj bracie gęby, dajcie pyska... Niechaj swojego swój uściska!..

5. ...Widzicie łzy, łzy uznania, rozczulenia w moich oczach, kolego, bracie Romanie — Słowianinie. Ja, Puriszkiewicz, — rozumiem was, rozumiem... Jedno jeszcze: porzućcie ten swój zaskorupiały, zbutwiały zachód, przyłączcie się do związku naszego... Ja, Puriszkiewicz, błagam was — dajcie dobry przykład tym lachom „bezmozgłym"... Wszakżeście rzekli, że sprawa Słowiańszczyzny... bez zastrzeżeń...

6. Byłem — jestem — będę przeciwnikiem Dmowskiego... Ale to mu się udało! Bo to chyba jasne, że wyrazu „Słowiańszczyzna" użył on dla konwenansu. Zresztą — wszystko jedno — byle się raz urwało łeb tym przesądom narodowym. Człowiek powinien być człowiekiem, a nie tam Niemcem, Francuzem, Polakiem, Czechem, czy choćby nawet... hm!... Żydem...

7. Ależ, panie!.. Toż to jasne, jak na dłoni! Tu nie może być dwóch zdań! Co jest sprawą Słowiańszczyzny? Polska! Rozumie pan: Polska!! Bez Polski — niema i nie może być żadnej Słowiańszczyzny. Dmowski — ho! ho! To tęgi łeb! On, jak zechce, to potrafi! On *to* właśnie, *to* miał na myśli. Trzeba było być osłem, żeby go inaczej zrozumieć. I tak go też tam zrozumiano. Inaczej — skąd ten entuzyazm u prawicowców nawet? Zdrowie p. Romana!

I t. d., i t. d., i t. d. — aż do powszechnego, jawnego, bezpośredniego i równego z aforyzmu zadowolenia.

Tu mądrość!

* * *

I byłbym się „bez zastrzeżeń" zachwycał złotym listkiem błyskotliwego afory zmu, gdyby nie...

Wyobraźmy sobie jedno nieprawdopodobieństwo: przepiękna monarchia Habsburgów bierze się za łeb z dostojnem Hohenzollernów mocarstwem — i Słowianie polskiego pochodzenia upikielhaubowani stają oko w oko z uczakowanymi Słowianami niemniej polskiego pochodzenia.

Czyby bodaj na ten wypadek nie zrobić jakowegoś zastrzeżenia w tożsamości sprawy Słowiańskiej ze sprawą polską?

(st) Nie powiem, skąd czerpię opowieść. A nie powiem dlatego, że i tam, cytując słowa „Witezia", nie wspomina się jego imienia. Ba! — „Witeź" to „jedno- z tych czasopism, w których piękny frazes odgrywa zawsze rolę wskaźnika politycznego", choć więc usiłuje się zwalczać rzekomą szkodliwość pisma, nie wymienia się jego nazwy: to przecież mogłoby być „reklamą", mogłoby zachęcić kogo do sprawdzenia cytaty, aby poznał, że acz w cudzysłowie podana, została nieco... przeinaczoną. Mniejsza jednak o to. Zapytać jeno wypada: czy „jedno z tamtych czasopism", gromiące „poezyę" naszego „Witezia", w polityce dawało kiedy jakiekolwiek wskazania istotne? Czy dawało choćby „piękny frazes"? Nie. Szło i idzie zawsze za wiewem od chwilowej większości płynącym, a prócz frazesu — nie pięknego, lecz bezbarwnego... bezpiecznego — nigdy swym czytelnikom żadnej strawy nie daje. Teraz brukowcowi nie podoba się nazwanie rzeczy po imieniu: przedstawienia na Ringach — baletem, snuje więc w artykule wstępnym na ten temat niepiękne frazesy. Och, „jedno z tamtych czasopism" nie lubi twardej, rzetelnej prawdy! Łatwiej przecie iść przez życie obłudą i rabstwem. Tu trochę, tam trochę... Toteż i autor owego artykuliku, tak dobrze umiejący odróżniać „poezyę" od „polityki", podpisał się skromnie:—*ski. Nomen omen. Ski*— to narzędzie wygodne: niezmiernie ułatwia staczanie się w dół po pochyłej...

(m) Sienkiewicz w najnowszym manifeście do narodu zapowiada, że w dalszym ciągu pójdzie tą samą drogą, którą szedł dotychczas. Czyż podobieństwo? A myśmy sądzili, że po katastrofie w sądzie wiedeńskim mistrzowi oczy się otworzą weźmie więc kija sękatego i przepędzi na cztery wiatry tych spryciarzów, co chytrze z jego sławy uczynili siewnik nienawiści społecznej i plemiennej. Pokazało się jednak, że wobec Sienkiewicza większy Pan Rymsza, niż Pan Bóg.

(J) — Mickiewicz napisał w *Panu Tadeuszu* słynny wiersz: „Dlaczego siedzisz w błocie? Siedzę, bom przywyknął". („Myśl Niepodległa", nr. 65, str. 805).

— Pytał raz Litwin, nie wiem, dyabła czy Pińczuka: Dlaczego siedzisz w błocie? — Siedzę, bom przywyknął. (*Dziady*, część III — słowa Frejenda).

Mała rzecz, a wstyd!

Stanisław Kutrzeba: Historya ustroju Polski w zarysie. Wydanie drugie. Lwów, 1908, str. XI + 278.

Organizacya władz publicznych państwa polskiego, określenie zakresu ich kompetencyi i zestawienie krytyczne ogółu instytucyj, stanowiących prawo państwowe polskie, jest to przedmiot niezmiernie ważny zarówno dla badaczów tegoż prawa, jak dla historyka i socyologa.

W ramach tych instytucyj rozwija się i wyrabia z jednej strony pojęcie władzy najwyższej, z drugiej zaś, jednocześnie obok niego, ciągnące się przez całą naszą historyę dążenie do jaknajzupełniejszego wyrażenia wolności. To dążenie, któremu, może i słusznie, historycy nadają nazwę demokratyzmu — rozumie się, ograniczonego pierwotnie tylko do ogółu szlacheckiego — okazało daleko więcej siły żywotnej, twórczej, niż jej posiadała idea władzy państwowej. Wydało ono początkowo znakomite rezultaty i pochodziło z czysto swojskich, rodzimych pierwiastków ducha polskiego w epoce, gdy naród przejęty był zapałem do pracy kulturalnej a samodzielnej.

Lecz gdy prąd wolnościowy w życiu publicznem bardzo szybko uzyskał przewagę, zastęp jego zwolenników i twórców zaczął się troszczyć jedynie o utrzymanie zdobyczy, ku czemu dostarczała mu łatwej pomocy organizacya stanowa społeczeństwa, oparta na przywileju, której ogół szlachecki w tym gwałtownym pochodzie za prawami politycznemi nie zdążył jeszcze rozwikłać w interesie całego narodu jako takiego. Skutkiem tego idea prawa, jako najwyższej normy społecznej, głęboko tkwiła tylko w stanie szlacheckim, który utwierdzić ją zdołał w instytucyach państwowych na zasadzie zupełnej wolności.

Poza obrębem zaś szlachty pozostawały jeszcze miliony chłopów i mieszczan, posiadających wprawdzie swoje prawa stanowe, lecz niezwiązanych niczem z życiem publicznem państwa, tworzących niejako osobne społeczeństwo — osobny naród. Gdy anomalie wynikłe z takiego jednostronnego i z gruntu interesownego poglądu klasy panującej stały się zbyt rażącemi w świetle idei humanitarnych XVIII w., gdy szkodą wynikająca stąd dla państwa stała się widoczną, a wraz z nią zaczęło się umysłom wyższym ukazywać ponure widmo zguby narodowej, postępowo usposobiona część szlachty odważnie i stanowczo przystąpiła do przerabiania anachronicznych przeżytków w ustroju państwowym i społecznym. Najpierwsze już wyniki reform zainicyowanych przez ówczesnych wielkich mężów naszych i przeprowadzane częściowo w sejmach, głównie zaś w nieszczęsnej pamięci sejmie t. zw. delegacyjnym, były niewątpliwie dobre, zapowiadały w dalszym rozwoju fundamentalne odrodzenie kraju i nawet w pewnej mierze dokonały tego. Radykalną reformę Rzeczypospolitej przedsiewziął sejm czteroletni, lecz urzeczywistnieniu rozumnych i postępowych usiłowań narodu przeszkodziła wojna 1792 r. i dalsze wypadki.

Z metody gienetycznej przedstawienia instytucyj prawa polskiego, przyjętej przez prof. Kutrzebę, — metody, krórą jeszcze bardzo długo, a kto wie, czy i nie zawsze, trzeba będzie stosować do nauki tego przedmiotu, wynika konsekwentnie, że podział materyi na pięć okresów oprócz wstępnego ma znaczenie przedewszystkiem tyl-

ko dla historyka. Jeżeli zaś w dziele omawianem chcielibyśmy znaleźć gotowe *compendium* prawa państwowego polskiego, to okazuje się, że na taką pracę trzeba będzie jeszcze poczekać.

Znajomość prawa państwowego polskiego zawdzięcza bardzo wiele usiłowaniom prof. Oswalda Balcera i całego szeregu jego uczniów, do których należy i prof. Kutrzeba. Dzięki tym nowym badaniom prace dawniejszych uczonych, zajmujących się ustrojem państwa polskiego, nawet tak cenne dotychczas dzieło Lengnicha nie może być już dziś uważanem za dostateczne. Głęboko jestem przekonany, że wkrótce to samo powiedzieć wypadnie i o książce prof. Kutrzeby, lecz to bynajmniej nie zmniejsza jej wartości i nie ujmuje w niczem wysokiej zasługi autora.

Traktując same instytucye prawno-państwowe, organy władzy rządowej i ich funkcye w sposób zanadto, zdaniem mojem, treściwy i jakby szkicowy, autor zatrzymywał się dłużej nad faktami wybitnymi, przełomowymi w życiu politycznem narodu polskiego. Zajmowało go przedewszystkiem stopniowe stawanie się państwa w jego formach zewnętrznych, oraz różniczkowanie pojęć narodowych, które ostatecznie w ustroju wolnego parlamentaryzmu odbiły całkiem samodzielnie i swoiście postulaty umysłowości narodowej. Pod tym względem, pomijając niepewne, dla braku ścisłych danych, przytoczenia z okresu wstępnego o organizacyi rodowej i plemiennej, spotykamy w dziele naszego autora wyborne ustępy, w których obszernie wykłada znaczenie najważniejszych kwestyj prawa państwowego polskiego.

Do takich zaliczyć trzeba naprzód nader trafną charakterystykę całego okresu drugiego, czyli właściwie trzeciego, który się kończy podług autora na śmierci Kazimierza W. lub na przywileju koszyckim. Jest to pierwsze ograniczenie formalnej, dotychczas niczem nieskrępowanej władzy książęcej. Immunitety czyli przywileje nadają ton i barwę całemu owoczesnemu życiu społeczeństwa. Są zaś dopiero jednostkowe, bo grup społecznych jeszcze niema, wytwarzają się one właśnie skutkiem prawie identycznej treści przywilejów i układają w stany. Poza uprzywilejowanymi stanami osiadła po wsiach ludność wolna i niewolna zlewała się od XIII w. w jedną masę ludności zależnej. Stało się to pomimo dobrych skutków, jakie dla ludności wiejskiej, to jest dla uporządkowania jej praw, przyniosła kolonizacya, naprzód z Flandryi, a następnie z nad Renu, zapoczątkowana przez klasztory.

Świetnie kreśli autor doniosłe zmiany, wprowadzone do nas przez kolonizacyę obcą, właściwie mówiąc, niemiecką, tak co do techniki rolniczej, jak co do gospodarczego i prawnego ustroju wsi polskiej. Głównie zaś kolonizacya zmieniła stosunek osadników do pana wsi przez ścisłe określenie „świadczeń" czyli prestacyj w pieniądzach, co w pewnej mierze wpłynęło i na uregulowanie wsi polskich niekolonizowanych lub kolonizowanych ludnością polską, lecz przeniesionych na prawo niemieckie. Do skutków tej wielkiej kolonizacyi zalicza słusznie prof. Kutrzeba powstanie miast i rozwój handlu krajowego, gotową, przejętą z Niemiec organizacyę municypiów i władz miejskich oraz cechów.

Ostateczne skonsolidowanie się państwa widzi autor dopiero za panowania Kazimierza W.

Równowaga stanowa pod działaniem żywego, postępowego rozwoju społeczeństwa polskiego zaczęła chwiać się w XV wieku, lecz proces, jaki w tym kierunku na-

stąpił, odbywa się u nas szybciej, niż na zachodzie, gdyż mogliśmy brać stamtąd gotowe już formy państwowe, zamiast wyrabiać je powoli u siebie. Na frankońskich wzorach, pochodzących od kapitularza „De villis" Karola W., oparta była organizacya grodów (nie miast), które autor nazywa „głównym zrębem organizacyi państwa". Trafnie oceniano w tej twórczej dobie potrzeby i trafnie wynajdywano sposoby ich zaspokojenia, chociaż później nie umiano zastosować się do warunków zmienionego życia. Szlachta zaczyna pośpiesznie zdobywać swoje prawa, przywilej zanika. Okres absolutyzmu nie był konieczny dla rozwoju Polski, — mogła ona była dojść do tych samych rezultatów, które osiągnęły inne państwa przez dalszy rozwój praw społeczeństwa. Szkoda, że inne stany, oprócz szlachty, nie posiadały dostatecznych sił za sobą, aby się uchronić od pognębienia w tej walce, władza zaś królewska była za słaba, aby je popierać.

Nie mogąc tu z powodu braku miejsca zatrzymywać się nad interesującym rozbiorem prawno-państwowego uregulowania unij poszczególnych dzielnic z Polską, jakoteż obcych krajów, jak Prusy, Ruś, Litwa, Inflanty, oraz stosunku z lennemi Prusami, Kurlandyą i Semigallią, winienem parę słów powiedzieć o poglądach autora na wyrobienie się stałego sejmu polskiego, głównie zaś na gienezę dwóch jego zupełnie odrębnych czynników. Senatu i Izby poselskiej. Jest to pogląd oparty od początku do końca na podstawach współczesnej umiejętności historycznej, zgodny zresztą ze znanemi skądinąd jej wynikami. Na tym punkcie badacz zasad państwowości polskiej przenieść się musiał całkowicie na pole poszukiwań dziejowych i krok za krokiem śledzić ustawiczne zdobycze tak zwanej wolności szlacheckiej, których ciężar przechylił ostatecznie równowagę na zgubę narodu, zwłaszcza, że obok niego działały także rozkładowo i inne czynniki, nieznajdujące właściwego ustalenia w prawie państwowem. Do takich zalicza autor kontraktowy stosunek króla-elekta do narodu, *articulus de non praestanda obedientia*, niebędący wprawdzie polską nowością, lecz już zaniechatnym dawno gdzieindziej przeżytkiem, oraz błędną organizacyę sejmów i wszechwładność sejmików.

Są to wszystko rzeczy znane, lecz po raz pierwszy dopiero prof. Kutrzeba uwydatnił z naukową jasnością całkowite ich znaczenie prawno-państwowe. Przedstawiwszy szczegółowo gienezę urzędów i władz, autor dość mało miejsca poświęcił skarbowości, co do której jednak prace naszych uczonych, zwłaszcza A. Pawińskiego, dostarczają przynajmniej dla pewnych epok sporo materyału. Również krótko i, rzec można, pobieżnie streścił autor ważniejsze momenty okresu reformatorskiego, zapewne z tej przyczyny, że wskutek groźby i nastąpienia kataklizmu państwowego, tylko bardzo nieznaczna część reform mogła być wprowadzoną w życie.

W każdym razie książka prof. Kutrzeby jest nader szacownym nabytkiem dla nauki państwowego prawa polskiego i niewątpliwie z wdzięcznością przyjęta będzie przez ogół. *St. Pyrowicz*

═══ *Jan Rundbaken:* Sladem Rosynanta. Poemat dramatyczny. Nakład Redakcyi „Chimery".

Ostatnie dziecię „Chimery" przed nami — dziecię nieodrodne, wszystkimi jej wpływami nacechowane, dziecię tej „Chimery", która nam dała Norwida i wielkich duchów obcowanie.

Z gotyckiej koronkowej świątyni na śnieżnym Himalaju wyszedł ku nam uczeń, we dwie struny trącając: wieczne i niepojęte. Zpośród ziemskiego trudu wznosi się znów spojrzenie, ogarniające najszersze kosmiczne dale, zpośród ludzkości, która jeszcze „chleba nie dostała", znów rozkwita przepych głodów duchowych, niesytych łaknień „niebieskiej rzeczywistości."

Gdy rycerze dokonań wszelkie pragnienie gasić bieżeli, w artystycznym eremie *rozbudzano* pragnienia, iżby ludzkość wiecznie znała nowych kształtów możliwość, aby nigdy jej nie zaskoczyła beznadzieja skończonej drogi. To było zadaniem „Chimery", które spełniła wśród zarzutów, iż stoi ponad życiem. A co to jest *życie*?.. — zapyta astrolog w gwiazdy zapatrzony. — Dla mnie życiem jest „sen o niepojętem". —

Wbrew mniemaniu karcicieli... „sztuki dla sztuki", nie był swoisty ton „Chimery" igraniem z pięknem, samocelowością kształtu. Zamieszczono w niej wiele utworów, w których rytmika, forma zewnętrzna łamie się i pryska pod naporem ducha, szukającego najpełniejszego, najbliższego do swej treści wyrazu. Kiedy sztuka przestaje być tylko równoważnikiem stanów uczuciowych, wtedy nie wystarcza jej czasami suggiestya muzyki, wspaniała dekoracyjność. Są rzeczy, które tylko muzyką oddać można. Lecz religijny trud, surowy bój z myślami wymaga wypowiedzenia się bezpośredniego, bez— osłon. I wpadają w ronda zwiewnych mitycznych impresyj twarde uderzenia pojęć. Stąd refleksyjność poezyi, zlanie myśli filozoficznej z poezyą — zaspokojenie potrzeby wyrazu dla duszy na tem pograniczu, gdzie sfera intuicyjna nie znajduje określników w myśli ścisłej, gdzie myśl się rozlewa w oceany bezmierne przeżyć, falujących uczuć. Więc: nie igranie z pięknem, lecz najpełniejsze emanacye ducha ku przeobrażeniu jego wiodące.

Dwie są drogi poznania prawdy metafizycznej: albo przez streszczenie w pojęciu – symbolu, albo przez *wyjawianie* istoty zjawisk konkretnych w artystycznem odtworzeniu. Dwie drogi — dośrodkowa i odśrodkowa, dające supremacyę wzruszeniowości lub myśli. Która prawdziwsza, która trudniejsza? Czy stworzenie kształtu życia, czy wyeliminowanie z kształtów nieskończoności treści najogólniejszej? Mniejsza o to — dość, że w naturach wysoce kulturalnych pewne pojęcia stały się już czemś konkretnem, stały się znakiem realnym i obrazowym, wzbudzającym określone stany duchowe, nieodłączne wrażenia piękna. Przeto są prawowitym przedmiotem sztuki. Przeświadomienie myślowe wyłącza żywioł – lecz nie piękno.

„Niezdrowe mgły mistyczne" były objawem niezmiernie zdrowej reakcyi na pozytywizm. Zaprzaństwo najcenniejszego dobra w człowieczeństwie — pytania wobec tajemnicy — nie mogło trwać długo. Lecz przebywanie w regionach wieczności, gdzie czas nie włada, mimowoli wytwarza nieruchomość. Wartości wieczne już są — kto w sferę tę wchodzi, zastyga w kontemplacyi lub ekstazie. Dopiero po wyjściu z tej sfery, wcieleniu się w żywą różnorodność zjawisk, zaczyna się już nie stwierdzanie lub odkrywanie, lecz s t w a r z a n i e. Dzieła podobne, jak „Śladem Rosynanta", są nową świątynią, zbudowaną starej wierze. I owszem: niech ludzkość ma swe świątynie. Lecz niech to nie będzie sztuki struną jedyną. Niech będzie nietylko ducha trwanie, lecz i ewolucya. Po „kolumnie duchów" trzeba dojść ku formie nowej i tę ze siebie wyłonić. Inaczej — cóż po rekapitulacyi „świętej wieków pamięci"? Pozostaje znalezienie nowego przymiotnika dla dawnego podmiotu.

Jeżeli chodzi o dzieło Rundbakena — przymiotnik ten został znaleziony. Spotykamy w niem niezmiernie oryginalne i silne sformułowania wszystkich drgnień duszy. Jest to najczystsza liryka metafizyczna, która nigdzie nie zamienia się w wierszowany traktat abstrakcyjny. Chwilami oczarowuje nas jaki refren, który wypłynął z serca prawdziwego poety. I ten nas przekonywa, że chropawość innych ustępów wynikła jedynie z dbałości o dokładność oddania myśli, niechcącej zatracić się w słowach, choćby w ich najharmonijniejszem brzmieniu.

„Śladem Rosynanta", śladem marzycieli, za którymi się wlecze śmieszność i ironia, idzie bohater. W „Refleksyach bohatera" smutnie spogląda na świat, na którym „dziś dusza ludzka krwawo zgasła", głosi, że „duchowość" — to prawda wieczna twej istoty — i wybiera symbole swych dróg: Gołębia, Wężów, Krzyż i Księgę.

Przeżywszy „Wspomnienia" stacyj swej drogi, bohater w noc św. Jana spala się w świętojańskim kwiecie i wstępuje w „sfery Kryształowe", „dla ludzi po słońce".

Sfera Kryształowa — to „Duszy sfera, w której na wiek zastyga, co w życiu umiera: wspomnienia liche, zgryzota i czar śnionej potęgi".

I-a Sfera nosi znak Gołębia—symbol myśli żądnej niespodzianek, symbol zmian i barwnej wiei życia. Rozgrana fala życia przepływa przed bohaterem, kończąc się radosnem wezwaniem Panteizmu.

W sferze Węża przechodzi szlak szukających boga przez wiedzę — Esseńczycy, Egipt świątyń, Magowie Chaldei, Akademia Bractw Nauki, gmach o dwóch stronach, ugruntowanych przez Arystotelesa i Platona. Niezaspokojona myśl chce się wyzbyć cierpienia — ognia pragnień — wstępuje w III-ą sferę — bez znaku — sferę Próżni, Bezpamięci.

Tu — dwie struny: religijnego kwietyzmu Buddy i ziemskiego buntu archanioła Abbadona — dwie alternatywy zrozpaczonych.

Bohater szuka nowego hasła: ukazuje mu je Don Kichot w szczęściu Golgoty.

W IV-ej sferze—tragiedya chrystyanizmu. Po Golgocie autor przedstawia dalsze stadya myśli Chrystusa — załamanie jej w indywidualnościach wybitnych, różne jej ujecia przez Mereżkowskiego, Dostojewskiego, Słowackiego i t. d. Ostatecznie chrystyanizm kulminuje w Savonaroli, który zapowiada: „Swiat umęczony dam ci, Boże!"

Po śnie chrystyanizmu znów się budzi dążenie ku źródłu, ku pierwszej przyczynie. Bohater wchodzi w V-ą sferę—Księgi—i zachodzi w „sen o Niepojętem".

Tak się kończy szlak idący „śladem Rosynanta", śladem wielkiej tęsknoty. Niech będzie tymczasem na szczycie kolumny duchów człowiek Wszechpojęcia, niech wśród pogardy własnego bólu zapomni nawet na chwilę, że istnieje rzecz święta — maluczkich ból... Bo ktokolwiek przejdzie bezmiary, ten zawsze przyniesie z nich — bunt i założy protest przeciwko „ziemi" — choćby nawet — ukojeniem w wieczności.

Savitri

═══ *Iza Moszczeńska:* Pogadanki moralne. W księgarni J. Lisowskiej. *Tejże autorki:* O wychowaniu religijnem (odbitka z nru 1 „Panteonu"). W księgarni G. Centnerszwera i Sp. Warszawa, 1908.

P. Iza Moszczeńska posiada ogromną zaletę, jako publicystka: dar jasnego, pro-

stego formułowania myśli. Obok żywości stylu, pełnego plastycznych porównań, daje to p. M. pierwszorzędne warunki na pisanie rzeczy popularnych, pedagogicznych. Autorka potrafi przemówić zarówno do inteligienta, jak i do człowieka z ludu. Stąd też umie doskonale pisać dla dzieci. Jej „Pogadanki moralne“, mające na celu „jasne określenie dzieciom wartości moralnych i rozjaśnienie spraw i stosunków życiowych“, są pisane świetnie, roztrząsają szereg zagadnień życiowych w sposób subtelny i przystępny, tak, że książka ta stanowi niezwykle cenny nabytek dla tych pedagogów, którzy dbają nietylko o intelektualny, ale też uczuciowy rozwój dziecka, nietylko o jego umiejętności, lecz także o charakter. Pogadanki te są tak zajmujące, że je wszystkie odczytałem z prawdziwą przyjemnością, sądzę więc, że dzieci, dowiadujące się o mnóstwie zebranych tam faktów po raz pierwszy, szczerze pokochają tę książkę, pedagogowie zaś znajdą bardzo obfity materyał do rozmów z dziećmi. Znajdą przytem rzecz najważniejszą: *metodę* — metodę żywą, bo polegającą nie na abstrakcyjnem wdrażaniu „zasad“, lecz na opowiadaniu przykładów z życia wziętych. Słusznie autorka w pogadankach owych kierowała się zasadą, że „rozmiłowanie w moralnem pięknie czynów szlachetnych jest znacznie pewniejszą dźwignią charakteru, niż obrzydzenie dla niskich, nieuczciwych postępków“. Słusznie też brała przykłady z historyi, z bieżącego życia, z bajek fantastycznych, z literatury, gdyż „działając na wyobraźnię, najsilniej poruszyć możemy uczucie i wolę“. Książka omawia „tę tylko część nauki moralnej, która dotyczy obowiązków człowieka względem samego siebie“, — następna traktować ma o stosunku człowieka do człowieka — rodzinnym, społecznym etc. W danym zbiorku szczególniej pięknie opowiedziano o odwadze, porządku, cierpliwości — zresztą wszystkie rozdziały są znakomite.

„Pogadanki moralne“ mogą stanowić żywą ilustracyę, żywy dowód faktu, dziś już nieulegającego wątpliwości, że moralność „bezwyznaniowa“ znacznie prościej i skuteczniej wychowuje ludzi, niż religijna, nie mówiąc już oczywiście o barbarzyństwie katechizmowych nakazów. Tę drugą kwestyę oświetla p. M. w broszurce „O wychowaniu religijnem“. Autorka przedewszystkiem bardzo trafnie charakteryzuje tam ustaloną jakoby „religijność“ naszego społeczeństwa, słusznie zupełnie dowodząc, że wykształcony ogół nasz to właściwie — pomimo nieraz szumnych obron wiary — tchórzliwi indyferentyści. „Bezmyślne przyzwyczajenie, wygodny oportunizm, mdła połowiczność i gładka hipokryzya sprawiają, iż bez protestu pozwala sobie przypisywać wiarę, której wcale nie odczuwa“. „Gorliwy kaznodzieja, wyklinający z ambony Darwina, jest w oczach przeciętnego inteligienta bardzo naiwny i zabawny, niemniej jednak dla przykładu, dla uniknięcia „zgorszenia“ uczęszcza na jego kazania i wyznaje mu swe grzechy raz do roku, około Wielkiejnocy, starannie przechowując kartki z odbytej spowiedzi, ażeby „w razie czego“ nie było ambarasu z pogrzebem“. P. M. doskonale zrozumiała w tem bierność, apatyę myślową i ślimaczą „ostrożność“ naszego ogółu. W tej ślimaczości leży przecież przyczyna walk wszelkich ludzi czynu u nas z jakimś tępym, bezmyślnym uporem, trzymającym się „zasad“ mu niepotrzebnych i w rzeczywistości równie obojętnych jak ojczyzna, społeczeństwo i wszystko, co jest poza własną kieszenią. Trafnie określa też przynależność endecyi do kościoła katolickiego, jako „czysto formalną“, „pasportową“, poddaje ostrej, niemiłosiernie logicznej kryty-

ce niektóre zabawniejsze katechizmowe nauki i nawołuje do energii wobec zaborczego stanowiska kleru względem naszego młodego szkolnictwa.

J. Kl.

—— *Lina Boegli:* „Avanti". Listy z podróży naokoło świata. Przekład *Maryi Świderskiej.* Lwów, B. Połoniecki. — Warszawa, E. Wende i Sp.

Lekka, bezpretensyonalna, zajmująca lektura, przynosząca jednak mało pożytku zarówno z artystycznego, jak naukowego punktu widzenia. Autorka, pozytywna, poczciwa, naładowana optymizmem Szwajcarka opowiada w listach do przyjaciółki dzieje lat dziesięciu, spędzonych kolejno w różnych miejscowościach Australii i Ameryki Północnej. Listy te wykazują wybitne zdolności narracyjne i pewien zasób naturalnego humoru. Krainy spotykane charakteryzuje autorka zwięźle i barwnie, przeważnie w formie anegdotycznej. Nie posiadając gruntowniejszego przygotowania naukowego, nie czyniła nigdzie samodzielnych obserwacyj i korzystała z relacyj przygodnie spotkanych ludzi. W sądach o urządzeniach społecznych i politycznych p. Boegli jest zawsze zdania tego środowiska, w którym przebywa. Tak np. z południowcami Stanów Zjednoczonych z powodu zniesienia niewolnictwa ubolewa nad murzynami, którzy daleko lepiej się czuli i byli pracowitsi w niewoli (przeciw czemu tłumaczka uczuła się w obowiązku zaprotestować), krytykuje zły stan „sprawy robotniczej" w Australii, gdzie robotnicy są leniwi i wymagający, a służba zasiada z państwem do stołu. Pomimo pewnych ogólników na temat dążeń demokratycznych, z książki wieje szacunek dla wszelkich tytułów i dostojeństw, oraz nader lojalne zgadzanie się z wolą Opatrzności, która za cnotę i pracowitość wynagradza biedną podróżującą nauczycielkę sowicie, wyszukując dla niej intratne posady, pomoc dobrych ludzi i gościny u bogatych uczenic. Dosyć powiedzieć, że książka ta polecona została przez galicyjską Radę Szkolną Krajową, jako lektura wzorowa dla młodzieży. Przekład dobry.

Z.

—— *Czesław Wrocki:* W imię Krzyża! Krótki rys dziejów inkwizycyi powszechnej. Kraków, 1908. Warszawa—G. Centnerszwer i Sp. (str. 88 i 2).

„Krótki rys dziejów" p. Cz. Wrockiego jest broszurką agitacyjną o antyklerykalnej tendencyi, jak to się okazuje z całego toku rzeczy, nie mówiąc już o „przedmowie" i o „zakończeniu", w których autor wprost oświadcza, że chodzi mu o uroszczenia hierarchii kościelnej do przewodzenia w społeczeństwie; zastrzega się jednak przytem, że z religią zgoła walczyć nie pragnie, że właśnie w świetle religii, ofiary i miłości szczególniej ponurą barwą przyodziewa się praktyka tych, którzy się mienią wykonawcami nakazów Chrystusowych. Jako broszura agitacyjna, książka może spełnić swe zadania. bo oto np. ciężka sprawa zachodzi z wyjaśnieniem kolizyi pomiędzy zasadą nieomylności papieża a potwornym faktem inkwizycyi, za który odpowiedzialnością historya obarczyła kościół katolicki, jakkolwiek od odpowiedzialności tej dziś uchylićby się pragnął. I ciężka także sprawa z współczesną nam kanonizacyą największych okrutników, którzy niegdyś pławili się we krwi męczenników. W taki oto sposób dzieje ubiegłe stają się teraźniejszością, kościół wyprzeć się nie może tego, czego jednak dziś się wstydzić jest zmuszony. Pozatem broszurka posiada wątpliwą wartość we względzie ściśle

historycznym, chociażby nawet w znaczeniu szkicu popularyzatorskiego. Wykład jest nieco chaotyczny. Znaczna część energii jest włożona w to, by dowieść świadomej woli kościoła w stosowaniu do kacerzy kary śmierci, ale nie w sensie faktu przedmiotowego, lecz raczej w sensie dowodu obciążającego... współczesne tendencye kościoła. Co najważniejsze wreszcie—fakt inkwizycyi jest wyrwany z zespołu innych faktów historycznych, przedstawiony jest wyłącznie jako objaw zdziczenia instytucyi papiestwa, lecz nie jako zjawisko, wypływające z odpowiednich przesłanek dziejowych. W jednych krajach krwawe prześladowanie kacerzy rozwija się i kwitnie przez stulecia, w innych znowu ten kwiat przeklęty rychło zamiera lub wcale rozkrzewić się nie daje. Dlaczego? Jedyna odpowiedź: tu i owdzie duchowieństwo umiało rozdmuchać fanatyzm religijny tłumów. Czemu gdzieindziej dokonać tego nie zdołało? Niektórzy historycy uważają inkwizycyę hiszpańską za narzędzie władzy świeckiej. Autor walczy z tem twierdzeniem: nie, papiestwo i tylko papiestwo ponosi moralną odpowiedzialność za zgrozę katowania setek tysięcy niewinnych ludzi. Czy gdyby było dowiedzione, że inkwizycya była dobrym interesem dla Filipa II (ostatecznie, głupim interesem), czy przez to ohyda popierania znęcań się nad ludźmi „w imię krzyża" stałaby się mniejszą? „Do celu — powiada autor—zdążano ostrożnie, powoli i konsekwentnie". I oto papiestwo chwyta się pozoru wypraw krzyżowych, by ugruntować fanatyzm religijny. Następnie zabrano się do tępienia innowierców i heretyków... W ten sposób pracę wieków, powolny pochód dziejowy autor przedstawia jako piekielną machinacyę, niewiadomo skąd powstałą, pewnej grupy jednostek, a następnie rozwijające się fakty uważa za skutek wykonywania takiego oto testamentu! Jest to chyba pogląd dość niehistoryczny! Broszura może zaostrzyć nieufność czytelników względem uroszczeń klerykalnych, ale trwałych nabytków umysłowych chyba mu nie dostarczy.

A. Drogoszewski

—— *Feliks Kon*: Etapem na katorgę. Ze wspomnień proletaryatczyka. Kraków, 1908. Nakł. A. Heflicha.

W sprawozdaniu „Czytelni Wolskiej" za rok ubiegły między innemi znajdziemy ustęp, potrącający o wymagania młodzieży robotniczej, która żąda nieraz „coś z Syberyi" lub „z więzienia". O ile wymagania te dotyczyły wspomnień, obejmujących różne chwile i szczegóły ruchu woluościowego z ostatniej ćwierci wieku ubiegłego i początku XX-go, Czytelnia z pewnością znalazła się w wielkim kłopocie, gdyż dziwnie ubogi jest u nas ten dział literatury historycznej, tak bujnie gdzieindziej rozkwitający. Do szczupłej wiązanki, którą w tej dziedzinie pochwalić się możemy, przybywa obecnie garstka „wspomnień proletaryatczyka", skreślonych żywem F. Kona piórem. Wspomnienia zamykają się w rodzinnej niejako atmosferze skazańców, autor nie ma uroszczeń do rozwinięcia szerszego obrazu historycznego. Mamy tedy w książce przedstawione ostatnie dni pobytu w Warszawie, dni pełne trwogi o los tych towarzyszów, którym groziła śmierć, i następnie dzieje wędrówki proletaryatczyków na wygnanie. Cośmy powiedzieli o przedmiocie, powtórzyć możemy o jego traktowaniu. Autor z naciskiem i namiętnością nawet uwypukla szczegóły i drobiazgi, które łatwo zginą w ogólnej perspektywie, lecz które dla garstki skazańców mogły mieć pierwszorzę-

dne, moralne zwłaszcza znaczenie. Tak widocznie mocno utkwiło we wspomnieniu zachowanie się zawiadowcy, którego obłudę (udawał wzruszonego wykonaniem surowego wyroku) autor po dwudziestu kilku latach z ogniem piętnuje. Gdzieindziej autor parokrotnie wraca do refleksyj na temat budowania karyery życiowej kosztem cierpień, kosztem życia innych... W miarę posuwania się grupy wygnańców ku przeznaczonemu dla nich kresowi zmieniają się widoki, przesuwają się coraz to inni ludzie przed oczami, nowe doświadczenia czekają naszych badaczów pomimo woli. Nić opowiadania wiąże szereg luźnych epizodów, szereg luźnych spostrzeżeń, niekiedy uogólnień, może nawet nieco ryzykownych (o uczciwych ludziach, administracyjnie wysyłanych na Syberyę *wskutek knowań zamożnych gospodarzy*), i znowu wszystko to rozwija się w odpowiednią panoramę, oglądaną przez pryzmat osobistości podróżników, przez pryzmat ich ówczesnego usposobienia.

Zaznaczone powyżej cechy omawianej książki częściowo są zależne od założenia, więc od woli autora; częściowo zaś są wypływem jego indywidualności, wypływem nastroju, w którym odświeża w pamięci przygasłe widoki, dawno niewidziane twarze, przeżywa odnowa minione uczucia... Cały ton opowiadania, zarówno jak poruszane rzeczy — wszystko to pociąga za sobą ten ogólny skutek, iż niejako przybliża do nas, częściowo przynajmniej, dzieje ubiegłych lat, spoufala nas z niektóremi stronami ruchu. Nadto tu i owdzie autor zachował cały szereg drobnych rysów, wyświetlających psychologiczne znamiona ruchu, odsłania niejako jego stronę poufną. W jednem miejscu np. (str. 23) spotykamy wzmiankę o „tysiącu argumentów“ przeciwko uczuciu „zemsty“, i o tem, jak wobec surowych doświadczeń owe tysiące argumentów rozumowych skruszą się w proch wobec swoistej logiki uczuciowej. Gdzieindziej spotykamy ciekawe spostrzeżenia o dziwnem stanowisku wygnańców względem sprawy narodowościowej, gdyż w kraju byli uznani nawet w mowach obrońców sądowych za „wyrzutków społeczeństwa“, gdzieindziej naraz awansowali na szowinistów... I znowu gdzieindziej wskaże nam autor różnicę traktowania przez władze skazańców na terenie tradycyjnie gorącym, i na terenie tradycyjnie pewnym (Moskwa) i t. d., i t. d. Pryzmat zaś podmiotowy, barwiący niekiedy przedmiot kolorami nieco sentymentalnymi, nadaje zarazem tokowi opowieści cechy żywości, cechy zupełnej prawdy i szczerości. Jeszcze jedna drobna na zakończenie uwaga. Podmiotowego charakteru książki, uwidocznionego zarówno w temacie, jak jego ujęciu, nie należy rozumieć w ten sposób, iżby autor chciał wysuwać swą osobę na plan pierwszy. Przeciwnie, z nadzwyczajną skromnością swoje *ja* ukrywa zawsze poza *my*.

A. Dr.

Sprostowanie. W zeszycie 9-ym (str. 441), w art. „O nacyonalizmie żydowskim“, w wierszu 1-ym, zamiast *gienialnej* powinno być *gremialnej*.

Druk niniejszego zeszytu ukończono d. 26 czerwca.

Redaktor i wydawca: H. St. Pytliński Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa

2⁴/64 k